

Droga - 01 - Eon (1985)

Bear Greg



calibre 0.9.27

Greg Bear

Eon

(Eon)

Tłumaczyła Anna Reszka

Spis treści

Prolog:

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

Epilog

Prolog:

cztery początki

Pierwszy. Wigilia Bożego Narodzenia 2000 Nowy Jork

– Wchodzi na eliptyczną orbitę okołoziemską – powiedziała Judith Hoffman. – Perigeum dziesięć tysięcy kilometrów, apogeum – pięć tysięcy. Co trzecie okrążenie wykonuje pętlę wokół Księżyca. – Odsunęła się od ekranu, żeby Garry Lanier, który siedział na biurku, również mógł spojrzeć. Kamień nadal wyglądał jak ziemniak; nie widać było żadnych szczegółów.

Odgłosy przyjęcia dobiegające zza drzwi gabinetu przypominały Judith o zaniedbanych obowiązkach towarzyskich. Przeprowadziła go tu kilka minut temu.

– To musi być nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– To nie jest zbieg okoliczności – stwierdziła Judith. Wysoki, o czarnych, krótko obciętych włosach, Lanier wyglądał na jasnoskórego Indianina, choć nie miał w żyłach kropli indiańskiej krwi. Judith uważała, że Garry ma spokojne, badawcze spojrzenie człowieka przyzwyczajonego do spoglądania w niezmiernie dale. Jednak nie pokładała zaufania w ludziach tylko na podstawie wyrazu ich oczu. Polubiła Laniera, ponieważ czegoś ją nauczył. Niektórzy uważali go za zimnego, ale ona wiedziała swoje. Mężczyzna był po prostu kompetentny, opanowany i spostrzegawczy.

Nie zwracał uwagi na ludzkie słabostki, dzięki czemu był wyjątkowo skuteczny jako przełożony. Rzadko dostrzegał drobne uchybienia, złośliwości i oszczerstwa. Oceniał innych wyłącznie po wynikach ich pracy; takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Umiał znaleźć w nich to, co najbardziej wartościowe. Obserwując stosunek niektórych ludzi do Laniera, wiele się o nich dowiadywała. I przyjęła własny styl działania, wzorując się na nim.

Lanier nigdy przedtem nie był w domowym gabinecie Judith Hoffman i teraz w zimnym świetle padającym od ekranu patrzył na półki wypełnione blokami pamięci, szerokie puste biurko, sekretarskie krzeselko i kompaktowy edytor tekstów pod sprzętem wideo.

Jak większość gości na przyjęciu trochę bał się pani domu. W Waszyngtonie nazywano ją Doradczynią. Pełniła funkcję, oficjalnie i nieoficjalnie, naukowego eksperta u boku trzech kolejnych prezydentów. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy świat otrząsał się właśnie z szoku po Małej Śmierci, popularne były jej programy wideo popularyzujące odkrycia naukowe. Należała do zarządu Jet Propulsion Laboratory (Laboratorium Napędu Odrzutowego) i ISCCOM – Międzynarodowego Komitetu Badania Kosmosu. Nie mogła ukryć masywnej budowy ciała, ale miała niezawodny gust. Narzucała sobie też pewne ograniczenia. Paznokcie miała krótko obcięte, nie pomalowane i wypielęgnowane oraz skromny makijaż. Ciemne włosy układały się w naturalny sposób, tworząc burzę drobnych loczków.

– To obraz z Drake’a – stwierdził Lanier.

– Tak, ale nie bezpośredni. Drake jest w dalszym ciągu ustawiony na Perseusza.

– Nie nakierują go na Kamień?

Potrząsnęła głową, odsłaniając w uśmiechu zęby jak wilk.

– Starzy dranie ściśle trzymają się planu i nie odwrócą teleskopu nawet po to, by spojrzeć na największe wydarzenie dwudziestego pierwszego wieku.

Lanier uniósł brwi. O ile się orientował, Kamień był tylko asteroidem. Podłużny kawałek materii nie zagrażał Ziemi, a po wejściu na orbitę miał stanowić dogodny obiekt badań naukowych. Było to interesujące, lecz niewarte aż takiego entuzjazmu.

– Dwudziesty pierwszy będzie za miesiąc – przypomniał jej.

– I wtedy będziemy bardzo zajęci. – Złożyła ręce. – Garry, pracujemy razem już od jakiegoś

czasu. Ufam ci.

Zesztywniał. Przez cały wieczór wyczuwał w niej napięcie. Doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. Ona jednak najwyraźniej zamierzała go teraz w coś wtajemniczyć.

– Co wiesz o Kamieniu? – spytała. Zastanawiał się przez chwilę.

– Teleskop kosmiczny Drake’a odkrył go osiem miesięcy temu. Asteroid ma około trzystu kilometrów długości i sto kilometrów szerokości w części środkowej. Średnie albedo. Prawdopodobnie zbudowany z krzemu, ma niklowo-żelazne jądro. Kiedy został pierwszy raz dostrzeżony, otaczało go coś w rodzaju halo, które jednak zniknęło. W związku z tym niektórzy naukowcy sugerowali, że to jądro wyjątkowo dużej starej komety. Sprzeczne raporty na temat jego niskiej gęstości ożywiły dawne spekulacje Szklowskiego na temat księżyca Marsa.

– Skąd wiesz o raportach?

– Nie pamiętam.

– To mnie trochę pociesza. Jeśli ty nie słyszałeś wiele na ten temat, inni prawdopodobnie też nie słyszeli. Były przecieki od personelu Drake’a, ale już to załatwiliśmy.

Lanier znalazł się w kręgu jej współpracowników, kiedy pełnił funkcję rzecznika prasowego firmy AT&T Orbicom Services. Zanim zatrudnił się w Orbicom, odsłużył sześć lat w marynarce jako pilot myśliwców, a później zbiornikowców latających na dużych wysokościach. W czasie Małej Śmierci latał na słynnej trasie Charliego Barkera nad Florydą, Kubą i Bermudami, zaopatrując w paliwo samoloty Straży Atlantyckiej, które odegrały decydującą rolę w zakończeniu wojny. Po zawieszeniu broni zwolnił się z wojska i przeszedł jako specjalista od inżynierii lotniczej do Orbicom, który rozwijał światową sieć telekomunikacyjną.

Najpierw kilkakrotnie zadzwoniono do siedziby Orbicom w Menlo Park w Kalifornii, później przyszło parę próśb o pomoc, a następnie nieoczekiwanie przeniesiono go do filii w Waszyngtonie, co, jak się później dowiedział, nastąpiło z inicjatywy Judith Hoffman. Nie mieli romansu – jakże często dementował takie plotki na ten temat – ale ich współpraca była czymś zupełnie wyjątkowym w Waszyngtonie, gdzie panowała atmosfera stałej wojny podjazdowej i rywalizacji.

– Po co ta tajemnica? – spytał.

– Personelowi Drake’a polecono cenzurować wszystkie informacje udostępniane społeczności. – Chodziło jej o społeczność naukowców.

– Dlaczego, u licha, mieliby to robić? W ciągu ostatnich kilku lat stosunki rządu z naukowcami były fatalne. Ta sprawa z pewnością ich nie poprawi.

– Tak, ale tym razem zgadzam się ze stanowiskiem rządu.

Poczuł dreszcz. Hoffman była bardzo oddana środowisku naukowców.

– Skąd to wszystko wiesz, skoro sprawa jest poufna?

– Mam swoje kontakty w ISCCOM. Prezydent zlecił mi nadzór na wszystkim.

– Jezu.

– Muszę więc wiedzieć, czy mogę na tobie polegać.

– Judith, jestem tylko drugorzędnym rzecznikiem prasowym.

– Bzdury. Orbicom uważa, że jesteś najlepszym kierownikiem działu informacji, jakiego mieli. Przez trzy miesiące musiałam walczyć z Parkerem, żeby cię przeniósł do Waszyngtonu. Byłeś wyznaczony do awansu, wiesz?

Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że uniknie kolejnego awansu. Czuł, że odsuwa się od prawdziwej pracy, pnąc się coraz wyżej ku władzy.

– A ty spowodowałaś moje przeniesienie?

– Pociągnęłam za sznurki jak przystało na marionetkarza, za jakiego mnie wszyscy uważają. Mogę cię potrzebować. Wiesz, że nie wybieram współpracowników, dopóki nie jestem pewna, że kiedyś uratują mi skórę.

Skinął głową. Znalazłszy się w otoczeniu Hoffman, zyskiwało się perspektywę ważnego stanowiska. Do tej pory starał się nie myśleć w ten sposób.

– Pamiętasz supernową zaobserwowaną w tym samym czasie co Kamień?

Lanier potwierdził skinieniem głowy. W gazetach ukazały się skąpe informacje, ale on był zbyt zajęty, żeby uznać ten brak zainteresowania za dziwny.

– To nie była supernowa. Mimo że miała odpowiednią jasność, nie spełniała innych wymagań. Po pierwsze, Drake odkrył ją jako podczerwieniony obiekt tuż poza granicami Układu Słonecznego. Po dwóch dniach rozbłysk stał się widoczny i zarejestrowano promieniowanie o częstotliwości charakterystycznej dla rozpadu atomów. Temperatura wzrosła od miliona do miliarda stopni Kelvina. Detektory na satelitach, między innymi nowa super-Vela, odebrały promieniowanie gamma związane z przemianami jąder, atomowych. Obiekt był wyraźnie widoczny na nocnym niebie, więc astronomowie musieli to jakoś wyjaśnić. Oświadczyli, że kosmiczne instalacje obronne odkryły supernową. Nie wiedzieli jednak, z czym mają do czynienia.

– I co?

– Rozbłysk zniknął, wszystko się uspokoiło, ale w tej samej części nieba pojawił się Kamień. Do tego czasu zorientowano się, że to nie jest zwykły asteroid. – Na ekranie pojawił się nowy obraz.

– Spójrz. Połączone Dowództwo Sił Kosmicznych przejęło kontrolę nad Drakiem i zmieniło jego ustawienie.

Drake był najpotężniejszym orbitalnym teleskopem optycznym. Na ciemnej stronie Księżyca zbudowano większe instrumenty, ale żaden nie mógł się z nim równać. Nie należał do Departamentu Obrony. Dowództwo Sił Kosmicznych nie miało prawa nim rozporządzać, z wyjątkiem sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa państwa.

Obraz Kamienia na ekranie był mocno powiększony i opleciony siecią cyfr i naukowych danych. Ukazało się więcej szczegółów – duży krater w jednym z końców obiektu, mniejsze kraterki na całej powierzchni i dziwny pas przecinający go w poprzek.

– Mimo wszystko wygląda jak asteroid – stwierdził Lanier bez przekonania.

– Istotnie – zgodziła się Hoffman. – Znamy ten typ. Bardzo duży mezosyderyt. Znamy skład. Brakuje jednak czterdziestu procent masy. Potwierdziły to obserwacje. Przekrój przez środek przypomina geoidę. Geoidy nie występują w przestrzeni kosmicznej, Garry. Prezydent już zaakceptował moją propozycję zorganizowania ekspedycji. Wprawdzie było to przed wyborami, ale myślę, że możemy przepchnąć ten pomysł przez nową administrację, mimo ograniczenia umysłowego jej przedstawicieli. Planujemy do końca lutego sześć lotów promów kosmicznych. Potrzebny będzie zespół naukowców. Chciałabym, żebyś nim pokierował. Z pewnością uda się nam go zorganizować z pomocą Orbicom.

– Ale po co te tajemnice?

– Ależ, Garry, jestem zaskoczona. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. – Gdy przybywają obcy, rząd zawsze stara się utrzymać to w sekrecie.

Drugi.

Sierpień 2001, lotnisko Podlipki w pobliżu Moskwy

– Majorze Mirski, nie skupiacie się na zadaniu.

- Kombinezon mi przecieka, pułkowniku Majakowski.
- To nie ma nic do rzeczy. Możecie wytrzymać jeszcze przez piętnaście, dwadzieścia minut.
- Tak jest, pułkowniku.
- Skoncentrujcie się. Musicie wykonać ten manewr.

Mirskiemu pot zalewał oczy. Zamrugał, próbując dostrzec właz cumowniczy amerykańskiego typu. Woda w skafandrze ciśnieniowym sięgała mu już do kolan. Jej poziom stale się podnosił. Mirski nie potrafił stwierdzić, jak duży jest przeciek. Miał nadzieję, że Majakowski to wie.

Musiał zaklinować metalową sztabę między dwoma czujnikami. Za pomocą zaczepów w kształcie litery L przypiętych do butów i rękawic przymocował prawą kostkę i nadgarstek do zaokrąglonej pokrywy włazu. Następnie lewą ręką...

(...ależ starali się go zniechęcić w szkole w Kijowie. Teraz już z tym koniec. Nie ma jego nauczycieli i ich dziewiętnastowiecznych pomysłów. Jakże próbowali przyzwyczaić go do posługiwania się wyłącznie prawą ręką, aż wreszcie, kiedy miał prawie dwadzieścia lat, wydano zarządzenie oficjalnie uznające leworęczne dzieci.)

Mirski z hukiem zamocował sztabę. Odczepił kostkę i nadgarstek.

Woda sięgała mu do pasa.

– Pułkowniku...

– Miną trzy minuty, zanim właz się otworzy. Mirski zagryzł wargi. Wykręcił szyję, starając się zobaczyć przez wizjer hełmu, jak radzą sobie jego koledzy. Przy sąsiednich włazach majstrowali dwaj mężczyźni i Jefremowa. A gdzie Orłów?

Tam.. Mirski zdjął hełm i zobaczył, że trzech nurkowie holują Orłowa w ciemność, ku powierzchni zbiornika, świeżemu powietrzu. Nie czuł już wlewającej się do skafandra wody.

Właz zaczął się odsuwać. Major słyszał odgłos pracującego mechanizmu. Pokrywa nagle zatrzymała się, otwarta w jednej trzeciej.

– Zacięła się! – zawołał zdumiony. Zakładał, że ćwiczenie dobiegnie końca, kiedy tylko otworzy się właz, który miał podobno być szczelny i odblokować się po odpowiednim umieszczeniu klina. Amerykańska technika!

– Źle założyliście sztabę.

– Ależ nie! – zaprotestował Mirski.

– Majorze...

– Tak jest! – Ręką chronioną grubą rękawicą uderzył w sztabę. Nie przyczepiony do włazu, odpląnął i stracił cenne sekundy na podholowanie się po linie. Zaczepy. Kolejny cios. Bez rezultatu.

Zimna woda wlała mu się do hełmu. Przełknął kilka łyków i zakrztusił się. „No tak! Pułkownik pomyśli, że tonę, i zlituje się.”

– Dociśnijcie ją – poradził pułkownik.

Rękawice były zbyt grube, żeby mógł sięgnąć do wyżłobienia, w którym spoczywała sztaba, zablokowana przez częściowo otwarty właz. Nacisnął. Do rękawów napłynęła mu woda. Palce zdrętwiały. Spróbował jeszcze raz.

Skafander wypełnił się wodą. Mirski zaczął tonąć. Dno zbiornika znajdowało się trzydzieści metrów niżej, a wszyscy nurkowie zajmowali się Orłowem. Nic go nie uratuje, jeśli sam sobie nie poradzi z otwarciem włazu. Ale jeżeli nie wycofa się w porę...

Nie odważył się jednak. Od wczesnej młodości marzył o gwiazdach i gdyby teraz wpadł w panikę, na zawsze znalazłyby się poza jego zasięgiem. Krzyknął wewnątrz hełmu i wcisnął czubek rękawicy w wyżłobienie, czując ostry ból miażdżonych palców.

Właz drgnął.

– Po prostu się zaklinował – stwierdził pułkownik.

– Do diabła, ja tonę! – krzyknął Mirski. Odchylił hełm i wypuł wodę. Usłyszał odgłos ssania i bulgotanie. Powietrze uchodziło przez szparę wzdłuż pierścienia otaczającego szyję.

Wokół zbiornika zapaliły się reflektory. Rozwodnione światło zalało włazy. Mirski poczuł pod pachami i wokół nóg czyjeś dłonie. Przez zamglony wizjer niewyraźnie dostrzegł trzech pozostałych kosmonautów. Wydostali się przez włazy i ciągnęli go w górę, ku odwiecznemu i jakże mile widzianemu niebu.

Siedzieli przy stoliku z dala od dwustu innych rekrutów i jedli kielbasę z kaszą. Piwo było zimne i w dużej ilości, choć kwaśne i wodniste. Dostali też pomarańcze, marchew i głąby kapusty. A na deser uśmiechnięty kelner postawił przed nimi wielkie puchary świeżo zrobionych waniliowych lodów, których nie jedli od czasu treningu.

Po obiedzie Jefremowa i Mirski poszli na spacer po terenie Centrum Szkolenia Kosmonautów. Minęli groźnie wyglądający zbiornik z czarnej stali do połowy wkopany w ziemię.

Jefremowa pochodziła z Moskwy i miała lekko skośne oczy. Mirski przyjechał z Kijowa i równie dobrze można go było wziąć za Niemca jak za Rosjanina. To, że urodził się w Kijowie, miało swoje dobre strony. Rodacy współczuli mu, że nie ma dokąd wrócić.

Niewiele rozmawiali. Uważali, że są w sobie zakochani. Jefremowa była jedną z czternastu kobiet w Szturmowych Oddziałach Kosmicznych. Z powodu płci musiała się starać jeszcze bardziej niż mężczyźni. Wcześniej szkoliła się jako pilot w Wojskach Obrony Powietrznej, latając na treningowych bombowcach Tu 22M i starych myśliwcach Suchoj. Mirski wstąpił do wojska po ukończeniu wyższej szkoły techniki lotniczej i kosmonautycznej. Miał szczęście: zamiast pójść do armii w wieku lat osiemnastu, otrzymał stypendium w ramach Nowego Uprzemysłowienia.

W szkole inżynierskiej miał doskonałe oceny z nauk politycznych i dowodzenia, więc natychmiast wyznaczono go na trudne stanowisko oficera politycznego w eskadrze myśliwców w Niemczech, lecz później przeniesiono do Wojsk Obrony Kosmicznej, które istniały dopiero od czterech lat. Nigdy wcześniej o nich nie słyszał, lecz było to szczęśliwe zrządzenie losu. Zawsze chciał być kosmonautą.

Ojciec Jefremowej był wysoko postawionym moskiewskim urzędnikiem. Załatwił jej miejsce w wojskowym programie szkoleniowym. Uznał, że to dla niej bezpieczniejsze niż włóczenie się z okrytymi złą sławą moskiewskimi młodymi chuliganami. Okazało się, że jest bardzo zdolna i bystra; przeszłość zapowiadała się interesująco, chociaż nie tak, jak oczekiwał ojciec.

Tak bardzo różnili się pochodzeniem, że istniały niewielkie szanse, by kiedykolwiek udało się im umówić na randkę, nie mówiąc o romansie, a tym bardziej o małżeństwie.

– Spójrz – odezwała się Jefremowa. – Dzisiaj widać go wyraźnie.

– Tak? – Od razu wiedział, o co jej chodzi.

– Tam. – Przechyliła głowę i wskazała na drobny punkcik tuż nad wieczorną zorzą, obok księżyca w pełni.

– Dotrą tam przed nami – szepnęła Jefremowa ze smutkiem. – Zawsze są szybsi.

– Jesteś pesymistką – stwierdził Mirski.

– Ciekawe, jak go nazywają. Jaką dadzą mu nazwę po wylądowaniu.

– Z pewnością nie „Ziemniak”! – zaśmiał się Mirski.

– Nie – zgodziła się.

– Pewnego dnia – powiedział, mrużąc oczy, żeby dojrzeć plamkę.

– Co pewnego dnia?

– Może nadejdzie czas, kiedy im go odbierzemy.

– Marzyciel – skwitowała Jefremowa.

Tydzień później na obrzeżach lotniska w dwuosobowej komorze próżniowej nastąpiła implozja. Jefremowa testowała w niej nowy rodzaj skafandra. Zginęła na miejscu. Obawiano się politycznych reperkusji wypadku, lecz jej ojciec okazał się rozsądny. Lepiej mieć w rodzinie męczennika niż chuligana.

Mirski wziął krótki urlop i spędził go z butelką brandy przeschmuglowaną z Jugosławii. Cały dzień przesiedział w moskiewskim parku i nawet jej nie otworzył.

Po roku ukończył szkolenie i otrzymał promocję. Opuścił Podlipki i spędził dwa tygodnie w Gwiezdnym Miasteczku, gdzie obejrzał pokój Jurija Gagarina, obecnie coś w rodzaju świątyni kosmonautów. Stamtąd odleciał do tajnego ośrodka w Mongolii, a potem na Księżyc.

I zawsze spoglądał w stronę Ziemiaka. Wiedział, że pewnego dnia polecą tam, i to nie jako członek wyprawy

ISCCOM:

Trzeci.

Wigilia Bożego Narodzenia 2004, Santa Barbara, Kalifornia

Patricia Luisa Vasquez odpięła pasy i zamierzała otworzyć drzwi samochodu. Spieszyło się jej do domu. Testy psychologiczne, którym przez kilka dni poddawano ją w Vanderberg, były wyczerpujące.

– Zaczekaj – poprosił Paul Lopez. Położył jej dłoń na ramieniu i spojrzał na deskę rozdzielczą. Z radia dobiegały dźwięki Czterech pór roku Vivaldiego. – Twoi rodzice nie będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą...

– Nie martw się – uspokoiła go, odgarniając kosmyk ciemnobrązowych, prawie czarnych włosów. Pomarańczowe światło ulicznej latarni nadawało jej jasnooliwkowej skórze różowy odcień. Patrzyła na Paula uważnie, zaplatając włosy w dwa warkocze. Jej duże wyraziste oczy przypominały mu oczy kota szykującego się do skoku.

– Spodobasz im się – zapewniła głaszcząc go po policzku. – Jesteś pierwszym chłopakiem nieanglosaskiego pochodzenia, jakiego im przedstawiam.

– Chodzi mi o fakt, że mieszkamy razem.

– Nie będą się martwili tym, o czym nie wiedzą.

– Czuję się trochę skrępowany. Stale opowiadasz, jacy są staroświeccy.

– Chciałam tylko, żebyś ich poznał i zobaczył mój dom.

– Ja również tego pragnę.

– Posłuchaj, nikt nie będzie się przejmował moim dziewictwem, kiedy przekażę im najnowszą wiadomość. Jeśli mama zapyta, jakie mamy plany, pozwolę ci mówić.

– Wspaniale – skrzywił się Paul.

Patricia przyciągnęła do siebie jego dłoń i pocałowała ją. Potem otworzyła drzwi.

– Zaczekaj.

– Co znowu?

– Ja nie... wiesz, że cię kocham.

– Paul...

– Ja tylko...

– Wejdz i poznaj moją rodzinę. Nie denerwuj się. Wysiedli z samochodu i otworzyli bagażnik, żeby wyjąć pakunki. Patricia pomaszzerowała ścieżką. W chłodnym nocnym powietrzu jej

oddech zamieniał się w parę. Wytarła buty o słomiankę, otworzyła drzwi, przytrzymała je łokciem i krzyknęła:

– Mamo! To ja. Przywiozłam Paula.

Rita Vasquez wzięła od córki paczkę i postawiła ją na stole kuchennym. W wieku czterdziestu pięciu lat była tylko lekko zaokrąglona, lecz ubierała się niemodnie, co dostrzegała nawet nie interesująca się modą Patricia.

– Co to jest, prezent? – spytała Rita. Wyciągnęła ramiona i przytuliła córkę.

– Mamo, skąd wytrzasnęłaś tę sukienkę z poliestru? Nie widziałam takiej od lat.

– Znalazłam ją w garażu, w pudle. Twój ojciec kupił mi ją, zanim się urodziłaś. Gdzie jest Paul?

– Niesie jeszcze dwie paczki. – Zdjęła płaszcz, rozkoszując się zapachem tamales, pieczonej szynki i słodkich ziemniaków. – Domowe zapachy – powiedziała, a Rita rozpromieniła się.

Stojąca w salonie sztuczna choinka była jeszcze nie ubrana – dekorowanie drzewka w wigilijny wieczór należało do rodzinnych tradycji – a na kominku płonął ogień. Patricia spojrzała na gipsowe płaskorzeźby winorośli pod gzymsem, ciężkie drewniane belki na suficie i uśmiechnęła się. Urodziła się w tym domu. Dokądkolwiek pojedzie, to zawsze będzie jej dom.

– Gdzie są Julia i Robert?

– Robert stacjonuje w Omaha! – zawołała Rita z kuchni. – Nie udało się im przyjechać w tym roku. Może dostanie urlop w marcu.

– O – powiedziała Patricia rozczarowana. Wróciła do kuchni. – Gdzie jest tata?

– Ogląda telewizję.

Paul wszedł do kuchni obładowany. Patricia wzięła od niego pakunki i położyła je na podłodze obok lodówki.

– Spodziewaliśmy się całej armii, więc przywieźliśmy mnóstwo prowiantu – wyjaśniła.

Rita spojrzała na stosy jedzenia i potrząsnęła głową.

– Wszystko się zje. Zaprosiliśmy sąsiadów, państwa Ortiz, kuzyna Enrique i jego nową żonę.

Więc to jest Paul?

– Tak.

Rita uściskała go, ledwo obejmując ramionami. Przytrzymała jego dłonie i odsunęła się, przyglądając mu się badawczo. Paul uśmiechnął się. Wysoki, szczupły, z brązowymi włosami i jasną skórą, wyglądał na Anglosasa. Odwzajemniła uśmiech. Zaakceptowała Paula.

Patricia poszła do pokoiku, gdzie jej ojciec zwykł siadywać przed telewizorem. Nigdy nie powodziło się im zbyt dobrze, więc odbiornik był sprzed dwudziestu pięciu lat, na jego ekranie pojawiały się odbicia.

– Tato? – powiedziała Patricia cicho, podkradając się do niego w półmroku.

– Patty! – Ramon Vasquez obejrzał się, a pod siwym wąsem pojawił się szeroki uśmiech. Trzy lata temu miał wylew, w wyniku którego był częściowo sparaliżowany i nawet operacja niewiele pomogła. Patricia usiadła na sofce obok niego.

– Przywiozłam Paula – oznajmiła. – Przykro mi, że Julia nie mogła przyjechać.

– Mnie również. Ale tak jest w wojsku. – Ramon służył w lotnictwie przez dwadzieścia lat, zanim odszedł na emeryturę w 1996 roku. Z wyjątkiem Patricii cała rodzina miała coś wspólnego z armią. Julia poznała Roberta sześć lat temu na przyjęciu w bazie lotniczej.

– Mam wam coś do powiedzenia, tato.

– Tak? Co takiego? – Czyżby jego wymowa poprawiła się od czasu, kiedy ostatnio rozmawiali? Chyba tak. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Córko! Pomóż nam! – zawołała Rita z kuchni.

– Co oglądasz? – spytała Patricia, nie mając ochoty go zostawiać.

– Wiadomości.

Komentator – i jego wyraźnie widoczny cień – mówił właśnie o Kamieniu. Patricia ociągała się z wyjściem pomimo wołania matki – Ponieważ na Kamień wysyła się coraz więcej personelu, obywatele i grupy naukowców domagają się informacji. W czwartym roku prowadzonych przez NATO i Eurospace badań zasłona okrywająca ich rezultaty jest coraz bardziej nieprzenikniona...

Więc to nie była wcale nowina.

– ...a szczególnie niezadowoleni są z tego powodu Rosjanie. Tymczasem członkowie Stowarzyszenia Planetarnego, Towarzystwa L-5, Przyjaciół Kontaktów Międzygwiazdnych i innych grup zebrali się przed Białym Domem i tak zwanym Niebieskim Sześcianiem w Sunnyvale w Kalifornii, protestując przeciwko militarnemu zaangażowaniu i ukrywaniu najważniejszych odkryć dokonanych na Kamieniu.

Na ekranie pojawił się młody, poważny, konserwatywnie ubrany mężczyzna. Stał przed Białym Domem i przesadnie gestykulując mówił:

– Wiemy, że to jest sztuczny obiekt i że składa się z siedmiu ogromnych komór. To nie my go zbudowaliśmy. We wszystkich komorach, z wyjątkiem siódmej, są miasta, opuszczone miasta. W tej ostatniej jest coś niewiarygodnego, coś niewyobrażalnego.

– Co takiego? – spytał dziennikarz. Protestujący zamachał rękami.

– Uważam, że wszyscy powinni się o tym dowiedzieć. Jako podatnicy mamy do tego prawo!

Komentator dodał, że rzecznicy NASA i Połączonego Dowództwa Sił Kosmicznych nie mają nic do powiedzenia.

Patricia westchnęła i zaczęła masować plecy ojca.

Paul przyglądał się jej uważnie podczas kolacji, czekając, aż Patricia znajdzie odpowiedni moment, ale ona nie przekazała nowiny. Czuła się skrępowana w obecności przyjaciół i sąsiadów. To było coś, o czym powinni się dowiedzieć tylko rodzice. Zresztą im też nie mogła wyjawić tyle, ile by chciała.

Wyglądało na to, że Paul spodobał się Ricie i Ramonowi. To dobrze. W końcu i tak wszystkiego się dowiedzą... jeśli już się nie domyślili, że Patricia i Paul są czymś więcej niż przyjaciółmi, że mieszkają razem w akademiku.

Tyle sekretów. Może nie będą tak zaszokowani, jak się spodziewała. Krępowała ją świadomość, że rodzice uznają ją za dojrzałą kobietę. Nie była tak otwarta jak większość jej przyjaciół i znajomych.

Z pewnością kiedyś pobiorą się z Paulem. Jednak oboje byli jeszcze młodzi, a Paul nie zamierzał się oświadczyć do czasu, zanim będzie w stanie ich oboje utrzymać. Albo dopóki ona nie przekona go, że sama zarobi na życie. A nawet z doktoratem w kieszeni było to mało prawdopodobne w ciągu kilku najbliższych lat.

Nie licząc oczywiście zapłaty, którą dostanie za pracę w grupie Judith Hoffman. Te pieniądze wpłyną na osobne konto, gdzie będą czekały do jej powrotu.

Gdy naczynia zostały uprzątnięte i wszyscy zebrali się wokół choinki, Patricia dała matce znak, że muszą porozmawiać w kuchni.

– I przyprowadź tatę.

Rita pomogła Ramonowi dojść do kuchni o kulach. Usiedli przy zniszczonym drewnianym stole, który należał do rodziny od sześćdziesięciu lat.

– Muszę wam coś powiedzieć – zaczęła Patricia.

– O, mądre de Dios! – wykrzyknęła Rita, klaszcząc w ręce i uśmiechając się radośnie.

– Nie, mam, to nie chodzi o Paula i o mnie – wyjaśniła Patricia.

Twarz matki na chwilę się zachmurzyła.

– Więc o co?

– W zeszłym tygodniu miałam telefon. Nie mogę wam zdradzić wszystkiego. Wyjeżdżam na kilka miesięcy, może na dłużej. Paul wie tyle co wy.

Paul właśnie wszedł do kuchni.

– Kto ci złożył propozycję? – spytał Ramon.

– Judith Hoffman.

– Kto to? – spytała Rita.

– Kobieta z telewizji? – dopytywał się Ramon. Patricia skinęła głową.

– Jest doradcą prezydenta. Chcą, żebym współpracowała z nimi, i tylko tyle mogę powiedzieć.

– Dlaczego wybrali akurat ciebie? – zainteresowała się Rita.

– Chyba chcą, żeby zbudowała wehikuł czasu – rzucił Paul. Za każdym razem, gdy to mówił, Patricia złościła się, ale teraz tylko wzruszyła ramionami.

Nie mogła oczekiwać, że Paul zrozumie jej pracę. Niewielu ludzi ją rozumiało, z pewnością nie rodzina i przyjaciele.

– Paul ma jeszcze kilka zwariowanych teorii – oświadczyła. – Obowiązuje mnie jednak tajemnica.

– To prawda – powiedział Paul. – Trudno z nią było wytrzymać przez kilka ostatnich dni.

– Gdybyś tylko nie próbował mnie zmusić do mówienia! – Westchnęła dramatycznie – ostatnio często się jej to zdarzało – i spojrzała w sufit. – To zapowiada się bardzo ciekawie. Nikt nie będzie się mógł bezpośrednio ze mną kontaktować. Możecie wysyłać do mnie listy pod tym adresem. – Przysunęła do siebie notes z numerami telefonów i zapisała go – Czy to dla ciebie ważne? – spytała Rita.

– Oczywiście – odpowiedział Ramon za córkę. Patricia sama nie bardzo wiedziała. Nawet teraz propozycja wydawała się jej zwariowana.

Po wyjściu gości zabrała Paula na nocny spacer po okolicy. Przez pół godziny szli milcząc w świetle ulicznych latarni.

– Wiesz, że wrócę – odezwała się w końcu.

– Wiem.

– Musiałam ci przedstawić moją rodzinę. Jest dla mnie bardzo ważna. Rita, Ramon, dom.

– Rozumiem – powiedział Paul.

– Bez nich czułabym się zagubiona. Mnóstwo czasu poświęcam pracy. To, czym się zajmuję, jest tajemnicze... dziwaczne dla większości ludzi. Gdybym nie miała miejsca, do którego mogę wrócić, zginęłabym.

– Wiem – zapewnił Paul. – Masz bardzo miłych rodziców. Spodobali mi się.

Zatrzymała się i wzięła go za rękę.

– Cieszę się.

– Chciałbym z tobą założyć dom – oświadczył. – Drugie miejsce, do którego chciałabym wracać.

Popatrzyła na niego z takim napięciem, jakby zaraz miała na niego skoczyć.

– Kocie oczy – mruknął Paul, uśmiechając się szeroko. Zawrócili. Zanim weszli do domu na kawę i kakao z cynamonem, pocałowali się na ganku.

– Jeszcze ostatnie spojrzenie – powiedziała, kiedy przygotowywali się do powrotu na Politechnikę Kalifornijską.

Poszła korytarzem w stronę łazienki, mijając wiszące na ścianie zdjęcia z promocji i oprawione w ramki strony „Physical Review”, w którym pojawił się jej pierwszy artykuł. Przystanąła. Serce zamarło jej na moment. Odniosła krótkotrwałe, dość przyjemne wrażenie spadania, dziwną pustkę w środku, jakby zaraz miała zemdleć. Szybko wróciła do siebie.

Zdarzało się jej to już wcześniej. Nic poważnego. Tylko czasami ciarki przechodziły jej po plecach na myśl o tym, dokąd się wybiera.

Czwarty.

1174, 5 Rok Podróży, Axis City

Premier Axis City, Ilyin Taur Ingle, stał w dużej kopule obserwacyjnej, spoglądając na Drogę, na niebieską poświatę miasta i autostrady, po których nieprzerwanie mknęły pojazdy, przemieszczając się między bramami. Za nim stały jego dwa duchy i występujący we własnym ciele poseł hexamońskiego Nexus.

– Zna pan dobrze Olmy’ego, ser Franco? – spytał premier językiem graficznym.

– Nie, ser Ingle, nie znam – odparł poseł – chociaż jest słynny w Nexus.

– Trzy wcielenia, o jedno więcej niż dopuszcza prawo. Za nadzwyczajną służbę. Olmy jest jednym z najstarszych cielesnych obywateli – stwierdził Ingle. – Tajemnicza postać. Już wycofałby się do Pamięci Miasta, gdyby nie był tak przydatny dla Nexus. – Wydał polecenie urzędzeniu rozpylającemu talsit. Mgła wypełniła sześcian otoczony słabą fioletową poświatą pól trakcyjnych. Ingle wszedł do środka i wziął głęboki oddech.

Duchy nie poruszyły się. Nie reagowały, dopóki się do nich nie zwrócono, tylko słuchały i czekały.

– Podobno pochodzi z naderytów – powiedział poseł.

– Tak – potwierdził premier. – Ale służy Hexamonowi niezależnie od tego, kto sprawuje władzę. Nie wątpię w jego lojalność. Niezwykły człowiek. Twardy, w dawnym znaczeniu tego słowa, człowiek, który przeżył wiele poważnych zmian, wiele cierpienia. Pamiętam go z punktu jeden i trzy dziesiąte do dziewiątej. Nadzorował przygotowania do ofensywy jartów. Jednak tutaj może być dla nas bardziej użyteczny. Tylko jego możemy wysłać. Axis Nader nie będzie mogło nam niczego zarzucić. Jego raporty są zawsze szczegółowe i dokładne. Proszę poinformować prezydenta, że przyjmujemy zadanie i wysyłamy Olmy’ego.

– Tak, ser Ingle.

– Przypuszczam, że duchy są zadowolone z odpowiedzi?

– Słuchamy – odezwał się jeden. Drugi nie poruszył się.

– Świetnie. A teraz spotkam się z ser Olmym. Duchy zniknęły, a poseł Franco wyszedł, dotykając palcami naszyjnika. Nad jego lewym ramieniem pojawił się obraz flagi świadczącej o pełnionej funkcji.

Premier wyłączył pole trakcyjne i pokój jeszcze bardziej zaparował talsitem. Gdy Olmy wszedł, poczuł odurzający, intensywny jak aromat starego wina zapach.

Zbliżał się cicho do premiera, nie chcąc przerywać jego zamyślenia.

– Proszę dalej, ser Olmy – przywitał go Ingle. Odwrócił się do gościa wchodzącego po stopniach kopuły. – Wygląda pan dzisiaj na wypoczętego.

– Pan również, ser.

– Tak. Żona urządziła mi wspaniałą seans zapomnienia. Zniknęły przykrości mojego dwudziestego roku. To nie był dobry okres. Wymazanie go z pamięci przyniosło mi ulgę.

– Doskonale, ser.

– Kiedy się pan ożeni, Olmy?

– Gdy znajdę kobietę, która pozwoli mi zapomnieć o moim dwudziestym pierwszym roku, pierwszym wcieleniu.

Premier roześmiał się serdecznie.

– Słyszałem, że przyjaźni się pan z bardzo dobrym adwokatem z Axis Nader. Jak ona się nazywa?

– Suli Ram Kikura.

– Tak, oczywiście... Zdaje się, że łągodziła napięte stosunki między Nexus a zwolennikami Korzeniowskiego?

– Tak. Rzadko o tym rozmawiamy.

Premier zrobił zakłopotaną minę i spojrzał w dół na platformę.

– Cóż, więc dobrze. Mam dla pana trudną misję.

– Z radością służę Hexamonowi.

– Tym razem nie będzie to zwykłe dochodzenie w sprawie nielegalnego handlu. Co kilka dziesięcioleci wysyłamy kogoś do Thistledown, żeby zbadał sytuację. Teraz jednak mamy jeszcze inny powód. Zajęto Thistledown.

– Ktoś wkroczył na Zakazane Terytoria?

– Nie. To tajemnicza sprawa. Nasi wartownicy przy pierwszej barierze niczego nie zauważyli. Najwyraźniej obcy przybyli do Thistledown z zewnątrz. I, co nas zdumiewa, to są ludzie. Jest ich niewielu, ale są dobrze zorganizowani. Nie warto dociekać, skąd pochodzą – mamy na to za mało informacji. Otrzyma pan oczywiście wszelkie pełnomocnictwa i środek transportu. Ser Algoli poinformuje pana o szczegółach. Czy wszystko jasne?

Olmy skinął głową.

– Tak, ser.

– Dobrze. – Minister oparł się o poręcz i popatrzył na ziemię znajdującą się dwadzieścia kilometrów w dół. Wokół kilku pasów ruchu wirował rój świateł. – Zdaje się, że przy bramie utworzy się korek. To pora kłopotów. Miesiąc Dobrego Człowieka. – Odwrócił się do Olmy'ego. – Powodzenia. Albo jak mawia Eld: niech Gwiazdy, Los i Duch będą łaskawe.

– Dziękuję, ser.

Zszedł z platformy, wsiadł do windy, która długą smukłą kolumną zawiozła go do Central City, gdzie poczynił przygotowania do długiej nieobecności.

Wyznaczone zadanie stanowiło przywilej. Powroty do Thistledown były zabronione, chyba że chodziło o sprawy żywotne dla Nexus. Olmy nie odwiedzał tamtego miejsca od ponad czterystu lat.

Jednocześnie misja mogła okazać się niebezpieczna, zwłaszcza wobec tak niewielu informacji. Zabierze ze sobą Franta. Dzięki temu wyprawa będzie miała szansę powodzenia.

„Jeśli w Thistledown przebywają ludzie i nie są to renegaci – co wydawałoby się najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem – to skąd się tam wzięli?”

Jak na jego gust cała historia była zbyt tajemnicza.

Kwiecień 2005

W pierwszej fazie podróży wahadłowcem Patricia Vasquez obserwowała na ekranie zasnutą chmurami Ziemię. Jeszcze przed odlotem kamery przesłały obraz długich pojazdów dostarczających ogromny ładunek na TPO, transportowy prom orbitalny. Skojarzyły się jej z pajakami przekazującymi sobie owiniętą w kokon muchę. Operacja zajęła godzinę. Obserwowanie załadunku oderwało myśli Patricii od jej obecnej sytuacji.

Gdy nadeszła jej kolej, nałożyła skafander i ruszyła do wjazdu, usilnie starając się zachować spokój. Skafander był z przezroczystego plastyku, więc nie cierpiała z powodu klaustrofobii, wręcz przeciwnie. Czowała ogrom czarnej pustki otaczającej pojazd kosmiczny, chociaż nie widziała gwiazd. Przycmiewał je blask Ziemi oraz jasnych światła promu.

Składająca się z trzech mężczyzn i dwóch kobiet załoga TPO przywitała ją ciepło w wąskim tunelu za wjazdem i zaprowadziła do fotela. Miała stąd dobry widok i dopiero teraz dostrzegła nieruchome punkciki gwiazd.

Oglądana z tego miejsca, bez pośrednictwa monitora, przestrzeń kosmiczna zdawała się ciągnąć nieskończonymi gwiezdny korytarzami. Patricia odniosła wrażenie, że mogłaby pójść jednym z tych korytarzy i zgubić się.

Nadal miała na sobie czarny kombinezon, który dostała na Florydzie zaledwie sześć godzin wcześniej. Czowała się nieświeżo. Włosy spięte w kok wymykały się niesfornymi kosmykami. Wyczuwała niemal zapach własnego zdenerwowania.

Załoga szybowwała wokół niej, wykonując ostatnie czynności kontrolne przed startem i wprowadzając odczyty do tabliczek cyfrowych i procesorów. Patricia przyjrzała się ich kolorowym kombinezonom i bezskutecznie próbowała zorientować się, jakie mają rangi i kto jest dowódcą. Działali sprawnie, zachowywali się i rozmawiali swobodnie, jakby byli cywilami.

TPO był zarejestrowany jako nie uzbrojony pojazd wojskowy, podlegający ograniczeniom narzuconym po Małej Śmierci. Należał do dziesiątków nowych statków zbudowanych na orbicie okołoziemskiej, od chwili gdy pojawił się Kamień. Różnił się zdecydowanie od pojazdów obsługujących Orbitalne Platformy Obronne Połączonych Sił Kosmicznych. Był większy i miał duży zasięg. Zgodnie z traktatem rozejmowym nie mógł dostarczać ładunków na platformy.

– Startujemy za trzy minuty – oznajmiła jasnowłosa kobieta, drugi pilot, i z uśmiechem dotknęła ramienia Patricii, która zapomniała jej nazwiska. – Przez jakieś pół godziny będzie gorąco. Jeśli chcesz skorzystać z łazienki lub napić się czegoś, teraz jest odpowiednia pora.

Patricia potrząsnęła głową i odpowiedziała z uśmiechem:

– Wszystko w porządku.

– To dobrze. Jesteś dziewczicą? Patricia wytrzeszczyła oczy.

– Ona ma na myśli, czy to twój pierwszy lot – wyjaśniła druga kobieta. Patricia pamiętała, że ma na imię Rita, jak jej matka.

– Oczywiście – odparła. – Czy inaczej siedziałabym tutaj z miną skazańca?

Blondynka roześmiała się. Pilot – James albo Jack, z pięknymi zielonymi oczami – spojrzał na nią przez ramię – Jego głowa rysowała się na tle pasa i miecza Oriona.

– Rozluźnij się, Patricio – poradził ze spokojem.

– Onieśmiałą ją ich pewność siebie wynikająca z rutyny. Byli gwiezdny podróżnikami, wyznaczonymi do obsługi platform orbitalnych, a obecnie kursującymi na trasie między Ziemią, Księżycem i Kamieniem. Ona dopiero co skończyła studia i nigdy wcześniej nie opuszczała

Kalifornii, zanim udała się do Ośrodka Lotów Kosmicznych imienia Kennedy'ego na Florydzie, żeby odbyć podróż wahadłowcem.

Zastanawiała się, co teraz robią ojciec i matka w Santa Barbara. Czy mają pojęcie, gdzie jest córka? Pożegnała się z nimi zaledwie tydzień temu. Poczowała skurcz żołądka na wspomnienie ostatnich chwil spędzonych z Paulem. Zagwarantowano jej, że listy od niego będą dochodziły za pośrednictwem poczty polowej. Co jednak będzie mogła mu odpisywać? Najprawdopodobniej niewiele, a ma przebywać w kosmosie co najmniej dwa miesiące.

Słuchała dudnienia maszyn, szumu pomp paliwowych, tajemniczych odgłosów, bulgotania, jakby wielkie bąble wyskakiwały na powierzchnię wody, ostrego dźwięku silników korygujących.

Zaczęli się obracać wokół osi znajdującej się gdzieś pośrodku owiniętego w kokon ładunku, przypiętego klamrami w miejscu, gdzie powinien być szczęśliwy zapasowy zbiornik paliwa. Prom wystartował z szarpnięciem po odpaleniu pierwszego silnika. Blondynka, która nie zdążyła usiąść w fotelu, wylądowała na ścianie, odbiła się od niej i wpadła na komputer.

Wszyscy zapięli pasy.

Drugi silnik został odpalony piętnaście minut później.

Patricia zamknęła oczy, skuliła się w fotelu i zaczęła rozmyślać nad problemem, którego rozwiązanie odkładała od dwóch tygodni. Na początku pracy nigdy nie robiła notatek. Przed oczami ukazały się jej matematyczne symbole oddzielone znakami umownymi, które sama wymyśliła, kiedy miała dziesięć lat. Mimo że nie było muzyki – zwykle słuchała w czasie pracy Vivaldiego albo Mozarta – pograżyła się w morzu abstrakcji. W małej podręcznej torbie namacała tabliczkowe urządzenie stereo i pudełko z płytami wielkości monet.

Kilka minut później otworzyła oczy. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach, wpatrując się uważnie w tablicę przyrządów pokładowych. Próbowwała się zdrzemnąć. Tuż przed zaśnięciem powróciło wielkie pytanie: dlaczego akurat ją wybrano spośród rzeszy doskonałych matematyków? To, że otrzymała Medal Fieldsa, wydawało się niewystarczającym powodem; inni mieli znacznie większe doświadczenie i osiągnięcia...

Hoffman właściwie nie podała jej wyjaśnienia. Powiedziała tylko: „Lecisz na Kamień. Wszystko jest utajnione, więc nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Zorientujesz się na miejscu. Czeka cię mnóstwo pracy. Jestem pewna, że dla takiego umysłu jak twój będzie to wspaniała zabawa”.

Patricia domyśliła się, że nie chodzi o doświadczenie, i była z tego zadowolona.

Nie wątpiła w swój talent. Ale sam fakt, że powołali się na jej pracę doktorską Niegrawitacyjne zakrzywione w geodetykach w n-wymiarowej przestrzeni: wizualizacja nadprzestrzeni i grupowanie prawdopodobieństw, wzbudził w niej czujność.

Sześć lat temu profesor matematyki ze Stanford powiedział jej, że jedynymi istotami, które pojmą jej pracę, będą bogowie lub istoty pozaziemskie.

Starając się nie zwracać uwagi na hałasy statku i ucisk w żołądku, pograżyła się w sennych rozmyślaniach o Kamieniu. Zainteresowane rządy nie zniechęcały do spekulacji, lecz nie dostarczały do nich pożywki. Rosjanie, dopuszczeni na Kamień dopiero rok temu, napomykali enigmatycznie o tym, co odkryli ich badacze.

Astronomowie amatorzy – i paru cywilnych zawodowców, którym agenci rządowi jeszcze nie złożyli wizyt – wskazywali na trzy poprzeczne pasy i dziwne wgłębienia na obu biegunach asteroidu, jak gdyby wykonano go na kole garncarskim.

W rezultacie wszyscy byli przekonani, że jest to wielkie wydarzenie, może największe w dziejach ludzkości.

Nie więc dziwnego, że Paul kojarząc fakty domyślił się, iż narzeczona wybiera się na

Kamień.

– Jesteś zbyt rozkojarzona, byś mogła jechać gdzieś indziej – stwierdził.

„Bogowie i istoty pozaziemskie”. Jednak udało się jej zasnąć.

Gdy się obudziła, zobaczyła Kamień. TPO wykonywał manewr dokowania. Asteroid wyglądał jak na zdjęciach, które widziała tyle razy w gazetach i czasopiśmie: w kształcie fasoli, zwężony pośrodku, przecięty sztucznie wykonanymi rowami, usiany licznymi kraterami. Miał dwieście dziewięćdziesiąt dwa kilometry długości, a w najszerszym miejscu mierzył dziewięćdziesiąt jeden kilometrów. Skąła, nikiel i żelazo. Wcale nie był taki zwyczajny, na jaki wyglądał.

– Zbliżamy się od strony bieguna południowego – wyjaśniła blondynka, obracając się w fotelu, żeby spojrzeć na Patricję Vasquez. – Udzielę ci krótkiej lekcję na wypadek, gdyby ci nic nie powiedzieli. Sami mało wiemy, kochanie. – Spojrzała znacząco na pozostałych członków załogi. – Na początek parę faktów i liczb ważnych dla zwykłych nawigatorów. Zauważ, że Kamień obraca się wokół osi wzdłużnej. To nic zaskakującego, wszyscy o tym wiedzą. Pełen obrót wykonuje w ciągu siedmiu minut...

– W ciągu sześciu minut i pięćdziesięciu sekund – poprawił James albo Jack.

– To oznacza – kontynuowała blondynka, nie zbita z tropu – że każda rzecz odfrunie z jego powierzchni ze sporą prędkością, więc nie możemy tam dokować. Musimy podejść od bieguna.

– Czy w środku coś jest? – spytała Patricia.

– Całkiem sporo, zważywszy na to, co i kogo przywieźliśmy przez parę ostatnich lat – odparł James albo Jack.

– Albedo Kamienia jest podobne jak u innych krzemowych asteroidów. Najwyraźniej ten również kiedyś do nich należał. Oto biegun południowy – oznajmiła Rita.

Pośrodku wielkiego polarnego krateru znajdowało się wgłębienie, sadząc po wielkości Kamienia dość płytkie, o głębokości nie większej niż kilometr i szerokości trzech lub czterech kilometrów.

Rotacja Kamienia była ledwo zauważalna. Prom wyrównał kurs i zaczął schodzić wzdłuż osi, a krater powiększał się, ukazując coraz więcej szczegółów. Niezbyt zdziwiona Patricia zauważyła, że powierzchnia Kamienia, pokryta płytkimi sześciokątami, wygląda jak plaster miodu.

W środku wgłębienia znajdowała się czarna okrągła plama o średnicy około stu metrów. Otwór. Wejście. Powiększało się coraz bardziej, ale nadal pozostawało nieprzeniknione.

Prom wleciał do otworu.

– Musimy poczekać pięć minut, dopóki prędkość rotującego doku nie dostosuje się do naszej – wyjaśnił James-Jack.

– My to wszystko zrobiliśmy? – spytała Patricia niepewnym głosem. – W ciągu zaledwie pięciu lat?

– Nie, kochanie – odparła blondynka. – To nie tu było. Z pewnością słyszałaś, że Kamień jest wydrążony wewnątrz i ma siedem komór. Znajdują się tu tysiąca ton sprzętu i spory personel, który robi Bóg wie co i odkrywa różne rzeczy. Wiele dalibyśmy, żeby się dowiedzieć co. Na tym kończy się nasza wiedza. Poza tym zabroniono nam rozsiewania plotek. Nie będą ci zresztą potrzebne.

– Przez ostatnie kilka minut lecieliśmy według sygnału dekującego – powiedział James-Jack. – Lada sekunda będziemy mieli kontakt głosowy.

Z radia dobiegł spokojny męski głos.

– TPO trzy-siedem. Dok gotowy. Podchodźcie z prędkością metra na sekundę.

Rita włączyła reflektory statku. Oświetliły wnętrze szarego cylindra, wewnątrz którego prom

wyglądał jak niewielki samolocik. Przed nimi pojawiły się cztery rzędy świateł, które lekko się chwiały, gdy dok korygował szybkość obrotu.

– Zbliżamy się.

Patricia mocno zacisnęła dłonie na kolanach. Wstrząs było ledwo wyczuwalny. Silniki wyłączyły się i prom znieruchomiał w tunelu. Przed statkiem otworzył się właz i pojawili się trzej ludzie w skafandrach kosmicznych, ciągnący kable. Włączyli silniczki odrzutowe skafandrów, żeby oblecieć pojazd i przycumować go.

– TPO trzy-siedem, jesteście przycumowani – kilka minut później dobiegł głos z radia. – Witajcie na Kamieniu.

– Dzięki – odparł James-Jack. – Mamy duży ładunek i cenną przesyłkę na pokładzie. Obchodźcie się z nimi ostrożnie.

– Importowane czy krajowe?

– Krajowe. Najlepszy gatunek kalifornijski. Patricia nie wiedziała, czy rozmawiają o ładunku wina, czy o niej. Nie miała odwagi zapytać.

– Masz dla nas jakieś nowiny, sekrety, przewodniku? – spytała blondynka.

– Moi ludzie chcą przystąpić do rozładunku za pięć minut.

– W porządku.

– Pytacie o sekrety. Zastanówmy się. Czym się różni kruk od biurka?

– Drań. Pomyślę nad tym – powiedział James-Jack. Wyłączył mikrofon i zbliżył się do Patricii, żeby pomóc jej odpiąć pasy. – Milczą jak grób, wszyscy – stwierdził, prowadząc ją korytarzem w stronę włazu. – Zostawiam cię na ich łaskę. I obiecaj nam, że pewnego dnia – poklepał ją ojcowskim gestem po ramieniu – kiedy będziemy snuli wspomnienia w barze w Sausalito... – zachichotał, zdając sobie sprawę, jak śmiesznie to brzmi – opowiesz nam ze szczegółami, co się tutaj działo. Wystarczy to nam na resztę życia.

– Dlaczego sądzisz, że mi powiedzą? – spytała Patricia.

– Jak to, nie wiesz? – Rita dołączyła do nich. – Jesteś tu najważniejsza. Masz uratować im skórę.

Patricia wsiadła do kapsuły transportowej. Właz zamknął się za nią. Zdążyła jeszcze dostrzec ciekawość na twarzach załogi. Pokrywa luku otworzyła się i dwaj mężczyźni w skafandrach wyciągnęli kapsułę ze statku. Przekazano ją sobie z rąk do rąk przez okrągły otwór w ciemnoszarej powierzchni doku.

Dwadzieścia pięć kilometrów od osi obrót Kamienia wytwarzał przyspieszenie równe sześciu dziesiątym ziemskiego. Garry Lanier jak co dzień wykorzystał ten fakt, żeby wykonać zestaw ćwiczeń gimnastycznych trudnych lub niemożliwych do wykonania na Ziemi. Głęboko oddychając, robił obroty na poręczach, szybując wysoko nad dołem wypełnionym białym drobnym piaskiem. Zmiany pozycji w powietrzu były łatwe.

Ćwiczenie rozjaśniało mu umysł – przynajmniej na parę minut – i pozwalało wrócić myślami do czasów uniwersyteckich, kiedy trenował gimnastykę.

Pierwsza komora Kamienia, widziana w przekroju poprzecznym, przypominała nieco spłaszczony cylinder. Miała trzydzieści kilometrów długości i pięćdziesiąt szerokości. Ponieważ wszystkie sześć komór było szerszych niż dłuższych, wyglądały jak głębokie doliny, i tak je czasami nazywano.

Lanier zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę na rurę plazmową. Kręgi światła przesuwały się przez zjonizowany gaz, niewiele gęstszy od otaczającej próżni, pędząc wzdłuż osi od otworu wlotowego do przeciwległego krańca komory z taką prędkością, że oko rejestrowało je jako wydrążony szyb lub rurę. Plazmowa rura – i jej przedłużenia w pozostałych komorach – dostarczała światła całemu Kamieniowi, i to od dwunastu wieków.

Lanier zeskoczył na piasek i wytarł dłonie o spodenki gimnastyczne. Ćwiczył przez godzinę, kiedy czas mu pozwalał, a nie zdarzało się to często. Jego mięśniom brakowało ziemskiego przyciągania. Dobrze choć, że przyzwyczał się do rozrzedzonego powietrza.

Przeczesał palcami krótko ostrzyżone czarne włosy i wykonał trucht w miejscu, żeby ochłonać.

Teraz wróci do małego gabinetu w pawilonie administracyjnym. Zajmie się podpisywaniem dokumentów, przydzielaniem materiałów do różnych badań, nadzorowaniem zmian zespołów naukowych w pięciu zatłoczonych laboratoriach, układaniem planu zajęć, blokami pamięci i informacjami napływającymi z drugiej i trzeciej komory...

Miał też zająć się sprawą kłótni agentów ochrony, ciągłymi skargami Rosjan na narzucane im ograniczenia.

Zamknął oczy. Z tym potrafił sobie poradzić. Judith Hoffman nazwała go kiedyś urodzonym administratorem, a on nie zaprzeczył. Kierowanie ludźmi, zwłaszcza błyskotliwymi, zdolnymi, było dla niego jak chleb z masłem.

Poświęci też trochę czasu małej statuetce w górnej szufladzie biurka. Stanowiła ona symbol osobliwości Kamienia.

Była to trójwymiarowa postać mężczyzny zatopiona w bloku kryształu o wysokości zaledwie dwunastu centymetrów. Na podstawie widniało wygrawerowane ładnymi, zaokrąglonymi literami nazwisko: Konrad Korzeniowski. Korzeniowski był głównym budowniczym Kamienia i żył sześćset lat temu. Od tej statuetki wszystko się zaczęło. Nowo zdobyta wiedza, o której myślał jako o groźnej Bestii z Biblioteki, z każdym dniem zabierała kawałek jego człowieczeństwa, ograbiła go, pchając na krawędź załamania. Nie potrafił sobie poradzić z tym, co wiedział... on i jeszcze dziesięć innych osób. Wkrótce przybędzie jedenasta.

Było mu jej żal.

Przyrządy gimnastyczne znajdowały się pół kilometra od osiedla naukowców, w połowie drogi między nim a ogrodzeniem z drutu kolczastego wytyczającym granice, których nikt nie mógł przekroczyć bez eskorty i zielonej odznaki.

Dno doliny pokrywała miękka warstwa piaszczystej gleby, suchej, lecz nie pylistej. Wyrastało z niej kilka kęp karłowatej trawy, ale pierwsza komora w większej części była jałowa.

Samo osiedle, jedno z dwóch w pierwszej komorze, przypominało starożytne rzymskie obozowisko, z wałem ziemnym i płytką suchą fosą wokół budynków. Wał był naszpikowany elektronicznymi czujnikami zamontowanymi na słupach co pięć metrów. Wszystkie te środki ostrożności pochodziły z czasów, kiedy podejrzewano, że na Kamieniu mogą jeszcze przebywać jego mieszkańcy i stanowić pewne niebezpieczeństwo. Siłą nawyku – a także dlatego, że nigdy nie wykluczono takiej możliwości – utrzymano te zabezpieczenia.

Lanier przeszedł przez mocny drewniany mostek nad fosą i wspiął się po kilku stopniach na wał, machnąwszy kartą przed czytnikiem zamontowanym na jednym ze słupów.

Minął baraki mężczyzn i kobiet i wszedł do pawilonu administracji. Postukał palcem w biurko Ann Blakley i pomachał jej ręką idąc dalej. Ann była jego sekretarką i asystentką od ponad roku. Okręciła się na krześle i sięgnęła do tabliczki pamięci. – Garry...

Potrząsnął głową nie patrząc na nią i ruszył w górę po schodach.

– Za pięć minut – rzucił.

Na pierwszym piętrze wsunął kartę do szczeliny identyfikacyjnej w drzwiach gabinetu, przycisnął kciuk do małej płytki i wszedł. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Zdjął spodnie i podkoszulek i przebrał się w niebieski służbowy kombinezon.

Gabinet był schludny, ale dość zagracony. Po obu stronach małego biurka zamajstrowanego z przegród zbiornika promu stały chromowane pojemniki z rolkami papieru. Obok stojaków z blokami pamięci umieszczonymi za mocną, wyposażoną w alarm plastikową płytą wisiała wąska półka z prawdziwymi książkami, a na pozostałych ścianach mapy i wykresy.

Szerokie okno wychodziło na budynki osiedla. Na pomocy, za obszarem nieurodzajnej ziemi, piasku i zarośli rysował się szary kształt kłapy zamykającej komorę.

Lanier usiadł w lekkim fotelu i oparł nogi o parapet okna. Ciemne oczy okolone zmarszczkami ze zmęczenia utkwili w odległym punkcie, gdzie rura plazmowa stykała się z klapą. Przez rozproszoną poświatę trudno było dostrzec otwór wlotowy o średnicy stu metrów wywiercony w klapie i tunel prowadzący do następnej komory. Otwór znajdował się pięć kilometrów ponad atmosferą.

Za dwie minuty skończy się jego wolny czas. Garry ułożył tabliczki i procesory, zerknął na plan dnia i przygotował się psychicznie do pracy.

Gdyby tylko potrafił zrozumieć to, co wiąże się ze sprawami statuetki, ogrodzenia z drutu kolczastego, drewnianego mostku nad fosą – wszystko by się poukładało. Wyjaśniłaby się tajemnica Kamienia. Jedyne wytłumaczenia, jakie mu przychodziły do głowy, były zbyt nieprawdopodobne.

Zabrzączał interkom.

– Tak, Ann.

– Jesteś teraz zajęty, Garry?

– Właśnie.

– Wiadomość z doku. Zbliża się TPO.

– Nasz wybawicielka.

– Tak przypuszczam.

Judith Hoffman powiedziała, że ta młoda kobieta jest bardzo ważną osobą, a opinia Doradczyni była jedną z niewielu rzeczy, na jakich Lanier mógł polegać. W ciągu czterech lat, które minęły od tamtego przyjęcia, poznał lepiej politykę prowadzoną przez światowe mocarstwa i sposoby przewycięzania kryzysów. Zrozumiał, jak niezwykła jest ta kobieta, zdolna i obdarzona niezawodną intuicją.

Ale myliła się wtedy w jednej sprawie. Pojawienie się Kamienia nie stanowiło zapowiedzi przybycia obcych, przynajmniej w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Wziął dwie tabliczki i procesor.

– Coś jeszcze? – spytał, stając obok biurka Ann.

– Poczta – odparła, podając mu sześcian z wiadomościami.

Od niemal pionowej płaszczyzny klapy stale wiał łagodny, chłodny wietrzyk. Czasami padał śnieg, tworząc zasy pod niklowo-żelazną ścianą. Wejście do windy, doskonały półokrągły łuk, podobnie jak wszystkie tunele, drogi dojazdowe i otwory wlotowe Kamienia, wypalono w materiale asteroidu za pomocą palnika termojądrowego o niezwykłej mocy i wydajności. Boki krótkiego korytarzyka zostały wypolerowane i wytrawione kwasem przez budowniczych Kamienia, którzy w ten sposób ukazali piękno trójkątnych struktur Widmanstatta, skał pożyłkowanych troilitowymi intruzami.

Winda miała kształt cylindra o średnicy dziesięciu metrów i wysokości pięciu. Służyła do przewożenia zarówno ludzi, jak i towarów. Wzdłuż obwodu znajdowały się uchwyty, a w podłodze wgłębienia do umocowania ładunku. Poruszała się w pochyłym szybie, docierając do pomostów roboczych otaczających zewnętrzny otwór wlotowy. W miarę wznoszenia się rosła kątowna prędkość windy, a słabła siła odśrodkowa wytworzona przez rotację Kamienia. W pobliżu otworu wlotowego przyspieszenie wynosiło jedną dziesiątą procenta g.

Podróż trwała dziesięć minut. Winda łagodnie zwolniła i zatrzymała się dokładnie na wprost prowadzącego do pomostów roboczych tunelu, w którym panowało zwiększone ciśnienie.

Lanier wsiadł do jednego z dwudziestu paru sprowadzonych z Ziemi elektrycznych wózków poruszających się na szynie magnetycznej i przejechał nim większość drogi.

Wózek zatrzymał się z sykiem i Lanier pokonał ostatni odcinek, dryfując w powietrzu i przytrzymując się rozpiętych lin.

Pierwsze lądowania w otworze wlotowym były niebezpieczne. W tamtym czasie rolujące doki były słabo oświetlone. Piloci statków za każdym razem dawali dowody swojego kunsztu. Pierwsi badacze wykazali się dużą odwagą, opuszczając statek i zbliżając się do ścian otworu wlotowego, które obracały się z prędkością trzech czwartych metra na sekundę. Teraz, kiedy przywrócono do użytku urządzenia doków i pomostów roboczych, proces lądowania i dokowania był znacznie łatwiejszy.

Trzy doki były proste, masywne i dobrze spełniały zadanie. Cylindry w otworze wirowały jak wirniki w gigantycznym silniku elektrycznym, żeby skompensować obrót Kamienia. Inżynier w budce pod pierwszym dokiem kontrolował wszystkie pozostałe, otwierając i zamykając włazy, koordynując wyładunek towarów i ruch pasażerów.

Zespół inżynierów wyposażył pomosty wyładunkowe w stanowiska naprawcze i produkcyjne przystosowane do pracy w stanie nieważkości. Tutaj sprawdzano ogromne kontenery, wyładowywano towary i przewożono je windami na niższe poziomy lub wzdłuż osi do następnej komory.

Gdy Lanier dotarł na pomost pierwszego doku, kierownik zespołu inżynierów, Lawrence Heineman, rozmawiał tam z filigranową, ciemnowłosą kobietą. Stali w kręgu światła, trzymając się lin i obserwując, jak wielkie luki rozsuwają się i ukazują ładunek promu. Wyglądali przy nim jak karzełki.

Heineman, niski, o krótko obciętych włosach, muskularny specjalista od techniki lotniczej i kosmonautycznej z Florydy, uśmiechał się szeroko i wymachiwał rękami, wyjaśniając coś młodej kobiecie. Gdy Lanier zbliżył się, mężczyzna odwrócił do niego.

– Patricio, to jest Garry Lanier, nasz jedyny szef-cywil. Garry, to Patricia Luisa Vasquez.

Lanier wymienił z kobietą uścisk dłoni. Była drobna i miała delikatną urodę: okrągłą twarz, lśniące brązowe włosy, wąską talię, szerokie jak na swój wzrost biodra. „Zupełnie nie wygląda na profesjonalistkę”, pomyślał. Jej duże oczy były czarne jak jego własne, nos mały i ostry, a usta ściągnięte w wąską kreskę. Wyglądała na przestraszoną.

– Miło mi – powiedział Lanier. – Larry, co już zdążyłeś naopowiadać?

Heineman rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– Patricio, mam tylko niebieską odznakę, a słyszałem, że ty dostaniesz zieloną. Garry martwi się, że mogłem zdradzić się z jakąś tajemnicą. Przysięgam, że opowiadałem tylko o swojej pracy. – Podniósł prawą rękę, a lewą przyłożył do piersi. – Garry, czytałem artykuły tej damy w paru czasopiśmie naukowych. Ona jest fantastyczna.

Na jego twarzy wypisane było pytanie, z którego odczytaniem Lanier nie miał kłopotu. „Co, u licha, ona tutaj robi?”

– Słyszałem. – Wskazał na ładunek w kokonie. – Co to jest?

– Moja rekomendacja do zielonej odznaki. Nareszcie – odparł Heineman. – Z faktur wynika, że to plazmolot. A za kilka godzin, następnym statkiem, przyleci VISTOL – samolot pionowego startu i lądowania.

– Więc rozpakujmy go i zobaczymy, jakich modyfikacji będziemy musieli dokonać.

– Dobrze. Miło mi było cię poznać, Patricio. – Heineman zebrał się do odejścia, lecz odwrócił się jeszcze z zakłopotaną miną. – To, o czym piszesz, przerasta moją wiedzę. – Uniósł brwi i dodał z nadzieją w głosie: – Może porozmawiamy później, kiedy dostanę zieloną odznakę?

Patricia uśmiechnęła się i skinęła głową. Wokół kokonu już zbierały się grupki mężczyzn i kobiet, jak mrówki pilnujące królowej. Heineman dołączył do nich, wykrzykując polecenia.

– Panno Vasquez... – zaczął Lanier.

– Wystarczy Patricia. Nie jestem formalistką.

– Ja również. Kieruję zespołem naukowym.

– Pan Heineman już mi powiedział. Mam tyle pytań... Panie Lanier, Garry, czy to naprawdę statek kosmiczny, międzygwiazdny? – Zatoczyła ręką koło i w tej chwili poczuła, że traci równowagę.

– Tak – potwierdził, czując dziwną przyjemność. Choć Kamień niemal przyprawiał go o szaleństwo w ciągu kilku ostatnich lat, ciągle go zaskakiwał i budził strach, on go kochał.

– Skąd przyleciał?

Lanier uniósł ręce i potrząsnął głową. Patricia zauważyła, że wygląda na wyczerpanego, i to trochę ją ostudziło.

– Z pewnością chcesz się odświeżyć i odpocząć. Wszelkie udogodnienia znajdują się w dolinie – w komorze. Jest tam całkiem miło. Potem możesz odwiedzić bar, poznać członków zespołu. Wszystko po kolei.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Jej badawcze spojrzenie było niezbyt przyjazne, nawet agresywne.

– Coś nie w porządku?

Lanier uniósł brwi i odwrócił wzrok.

– Mamy swoją nazwę na określenie stanu, w jaki wprawia ludzi to miejsce. Człowiek tutaj „kamienieje”. Po prostu jestem skamieniały, to wszystko.

Patricia rozejrzała się po doku i wykonała eksperyment z siłą odśrodkową, lekko podskakując.

– Wygląda tak zwyczajnie – stwierdziła. – Spodziewałam się, że ten sztuczny twór będzie niesamowity, ale rozpoznaję niemal wszystko, jakby zbudowano go na Ziemi.

– Cóż – powiedział Lanier. – Heineman i jego ludzie dużo tutaj działali. Bądź jednak ostrożna. Zejdziemy teraz na poziom pierwszej komory. Trzymaj się lin. I jeśli Larry jeszcze tego nie zrobił, pozwól, że przywitam cię na Kamieniu.

Patricia leżała w ciemności na dmuchanym materacu, starając się nie poruszać, żeby prześcieradła ze sztucznych włókien nie ocierały się ze skrzypieniem o winyl. Była odświeżona, najedzona – jedzenie podawane w barze okazało się całkiem smaczne – i choć zmęczona, nie mogła zasnąć. Pamięć podsuwała jej różne obrazy:

Trzydziestokilometrowej długości komora, szarobrązowa dolina zamknięta z obu końców przez skalne ściany, przecięta świecącą rurą plazmową.

Dziwny widok ujrzała przed sobą, kiedy stanęła w drzwiach windy na poziomie zero, na wprost płaskiego, ciągnącego się kilometrami krajobrazu, pustyni pod zachmurzonym niebem. W oddali, po obu stronach – zgodnie z kierunkiem obrotu i przeciwnie do niego – zakrzywienie stawało się wyraźniejsze. Wydawało się jej, że stoi pod ogromnym łukowatym mostem przerzuconym nad płynącą w górze mleczną rzeką – plazmową rurą. Na północy podłoże wznosiło się i stykało z okrągłą klapą. Gdy się patrzyło w górę, wszystko wydawało się zniekształcone, jakby widziane przez obiektyw typu „rybie oko”. Przeciwna strona komory również łączyła się z klapą, dopełniając koła.

Kamień w dalszym ciągu żył, mimo że komory były opustoszałe od wieków.

Lanier nie odpowiedział na wiele jej pytań, twierdząc, że poznanie Kamienia to proces, który musi się dokonywać stopniowo.

– Jak inaczej – powiedział – uwierzyłabyś w to, co ci mówimy?

To miało sens, ale Patricia czuła się rozczarowana. Po co te tajemnice? Kamień był wspaniały i wywoływał lęk, ale – o ile mogła stwierdzić – nie krył w sobie nic, co mogłoby w niej wzbudzić zawodowe zainteresowanie. Zwykła fizyka, tyle że zaawansowana.

To naprawdę proste. Wystarczy wziąć asteroid, skałę z niklowo-żelaznym jądrem, liczący miliardy lat kawałek pierwotnej materii planetarnej i umieścić na orbicie wokół planety. Wydrążyć siedem komór, połączyć je otworami wlotowymi umieszczonymi na osi, następnie wywiercić tunele, drogi dojazdowe, magazyny i szyby wind. Sprowadzić dodatkowe węglowe i lodowe asteroidy i wykorzystać jako budulec. Wysłać całość w przestrzeń kosmiczną i voila!

Kamień.

Na razie dowiedziała się paru ważnych rzeczy. Wszystkie komory były połączone tunelami wydrążonymi w materiale asteroidu. Wiele z nich stanowiło część rozbudowanej sieci kolejowej. W pierwszej komorze nie jeździły pociągi, ponieważ służyła ona jako magazyn i rzadko ją odwiedzano w czasach, kiedy Kamień był zamieszkały. Siódma, co rozumiała, spełniała podobne zadanie – zewnętrzne komory stanowiły jednocześnie zabezpieczenie przed zniszczeniem stosunkowo cienkich krańców asteroidu. Ściana między klapą pierwszej komory a próżnią miała miejscami tylko kilka kilometrów grubości.

Coś dziwnego jednak kryło się w siódmej komorze. Patricia wyczuła to w głosie Laniera i domyślała się z wyrazu twarzy osób spotkanych w kawiarni. A na Ziemi słyszała plotki...

Siódma komora była inna, ważna. Patricia poznała do tej pory pięciu członków zespołu naukowców, troje z nich w kawiarni: Roberta Smitha, wysokiego, kościstego mężczyznę o rudych włosach i oczach spaniela, które nadawały mu smutny wygląd, eksperta od asteroidów; Hua Ling, drobną i żywą jak srebro przedstawicielkę chińskiej ekipy, fizyka plazmy, która większość czasu spędzała w okolicy południowego otworu; oraz Lenore Carrolson, pięćdziesięcioletnią kobietę o okrągłej twarzy, szpakowatych włosach, ciężkich powiekach, oczach okolonych zmarszczkami od

śmiechu i przyjaznym usposobieniu. Carrolson przywitała nową koleżankę z macierzyńską troskliwością. Minęło kilka minut, zanim Patricia zorientowała się, że to jest ta Lenore Carrolson, laureatka Nagrody Nobla, astrofizyk, która odkryła i częściowo wyjaśniła fenomen układów podwójnych.

Lenore Carrolson wzięła sobie do serca sugestię Laniera, żeby pokazać Patricii przeznaczone dla kobiet kwatery, które mieściły się w długich barakach z płyt pilśniowych w pomocnej części osiedla. Pokoje były małe i puste, lecz dość wygodne, a lekkie, wykonane własnym przemysłem meble zajmowały mało miejsca. W sali klubowej Lenore przedstawiła jej astronomów Janice Polk i Beryl Wallace, obie z Abell Array w Newadzie. Siedziały na sofach, które wyglądały, jakby sklecono je ze złomu w szkolnym warsztacie. Pierwsza z nich bardziej przypominała modelkę niż astronoma. Nawet w kombinezonie była piękna, elegancka i niedostępna. Na jej twarzy gościł wyraz nie tyle dezaprobaty, co sceptycyzmu. Druga była dość atrakcyjna, ale ważyła o dziesięć kilogramów za dużo. Wydawała się czymś wzburzona.

Lenore Carrolson wskazała na listę towarzyską wywieszoną obok głównych drzwi.

– W zespole naukowym jest trzydzieści kobiet i sześćdziesięciu mężczyzn. Dwa małżeństwa, cztery osoby zaręczone...

– Pięć – poprawiła Patricia.

– I sześć osób, których małżonkowie są na Ziemi. Ja jestem jedną z nich. To oznacza niewielki wybór dla samotnych mężczyzn. Zaręczona czy nie, umieść swoje nazwisko na liście. Jest stare powiedzenie, które tutaj trzeba trochę zmodyfikować: „nie maczaj pióra w biurowym atramencie”. Ponieważ tutaj jest wszędzie służbowy atrament, maczanie pióra jest nieuniknione. Nie ma jednak żadnego przymusu. – Carrolson spojrzała na Janice Polk i Beryl Wallace. – Prawda, dziewczyny?

– Raj – powiedziała Janice Polk apatycznie, podnosząc wzrok znad tabliczki. – Lepiej niż na uniwersytecie.

– W razie kłopotów – dodała Lenore Carrolson – od razu zwróć się do mnie. Jestem tutaj najstarsza.

– Poradzę sobie – odparła Patricia.

Nigdy nie była motylem fruującym z kwiatka na kwiatek, ze skłonnością do zakochiwania się mocno i szybko... i zwykle bez wzajemności. Tym bardziej teraz, kiedy miała Paula, nie zamierzała tutaj nikim się interesować. Chociaż – uśmiechnęła się w ciemności – Lanier jest przystojnym facetem. Aczkolwiek wyraźnie zatroskanym.

Patricia zastanawiała się, czy ona również będzie tak zatroskana, kiedy pozna to miejsce.

Nie wiedząc kiedy, zasnęła. Zbudziło ją brzęczenie interkomu. Na urządzeniu stojącym obok łóżka migało przyjemne bursztynowe światełko. Zamrugła oczami, patrząc na nagie białe ściany, i od razu przypomniała sobie, gdzie jest. Czuła się jak w domu i była trochę podniecona. Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka.

Patricia nigdy nie miała w sobie żyłki awanturniczej.

Brała wprawdzie udział w wyprawach z namiotem i pieszych wycieczkach, ale nie przepadała za ruchem na świeżym powietrzu, z wyjątkiem jazdy na rowerze. Co sześć lub osiem miesięcy zmieniała się w zapaloną rowerzystkę, jeżdżąc codziennie przez dwie godziny po kampusie. Zapał mijał zwykle po kilku tygodniach i wtedy wracała do siedzącego trybu życia.

Zawsze miała dużo pracy umysłowej. Mogła ją wykonywać prawie wszędzie, ale nie w trakcie niebezpiecznych wspinaczek lub po męczącym długim marszu. Lecz tutaj...

Tej nocy polubiła Kamień. Znała to uczucie. Z podobnym zapałem zabierała się do

rozwiązywania matematycznych problemów. Była ożywiona. Czuła przyspieszone krążenie krwi, a na twarzy pojawiły się rumieńce jak u dziewczynki. Gdy zapukał Lanier, była już ubrana i uczesana. Otworzyła drzwi całkiem rozbudzona. Za Lanierem stała Lenore Carrolson. – Śniadanie? – spytał Lanier. „W służbowym niebieskim kombinezonie z zamkami błyskawicznymi i guzikami wygląda poważniej”, pomyślał.

Jasne światło plazmowej rury nigdy się nie zmieniało. Idąc rzucali słabe cienie. Bar, przyległy do eksperymentalnej stacji rolniczej, wydawał śniadania dla popołudniowej i nocnej zmiany. Dla Patricii „noc” trwała od szóstej rano do drugiej po południu. Lanier powiedział, że sypia nieregularnie. Lenore Carrolson właśnie skończyła dyżur.

Przed ekranem w końcu baru zebrało się około dwudziestu naukowców. Lanier podszedł do nich. Wrócił, kiedy Patricia i Lenore usiadły przy stoliku. Robot podał im tace z jedzeniem zadziwiająco smacznym. Przy ladzie znajdował się kurek opatrzony napisem: „Prawdziwa woda z Kamienia! H₂O z gwiazd! Nie przegap okazji”. Woda była bez smaku, ale nie najgorsza.

Lanier wskazał na grupkę wokół ekranu.

– Piłka nożna – wyjaśnił. – Hunt i Thanh podłączyli się do zewnętrznego układu antenowego. Niektóre komercyjne stacje nadają dla subskrybentów zakodowane relacje z meczów, a tak się szczęśliwie złożyło, że znajdujemy się w tej samej części nieba co satelita. Naszym udało się rozkodować sygnał.

– Czy to legalne? – spytała Patricia niedbale, wybierając co lepsze kąski z talerza.

– Odległość od Ziemi daje pewne korzyści – powiedziała Lenore Carrolson. – Nikt nas nie będzie ciągał po sądach.

Można było tu zamówić nawet świeży sok pomarańczowy. W świetle rury doskonale owocowały drzewa cytrusowe. Syrop klonowy na naleśnikach również był prawdziwy, choć nie robiony na miejscu. Lanier dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy Patricii.

– To, czego nie możemy wyhodować na Kamieniu, sprowadzamy z Ziemi. Koszty transportu są i tak ogromne, więc nasze zamówienia zwiększają je zaledwie o ułamek procenta. Przekonaliśmy rząd, że musimy być karmieni równie dobrze jak załogi łodzi podwodnych lub osadnicy na Księżycu. Nie żałuj sobie, to śniadanie kosztuje dwieście dolarów.

Lenore Carrolson w czasie posiłku ciepło opowiadała o swoim mężu, który został na Ziemi. Był matematykiem zatrudnionym przez Ministerstwo Nauki i Techniki. Lanier odzywał się rzadko. Patricia również milczała, obserwując go spod oka, kiedy sadziła, że nikt nie patrzy. Podobały się jej jego indiańskie rysy, lecz ciemne kręgi pod oczami świadczyły, że nie dosypiał od wielu tygodni.

– ...jest naprawdę dobre – mówiła Lenore. Patricia spojrzała na nią pustym wzrokiem.

– Światło rury plazmowej – powtórzyła Carrolson. – Doskonale spełnia rolę światła i jest nieszkodliwe. Można leżeć w jego blasku całymi dniami, żeby otrzymać odpowiednią dawkę witaminy D, i nie ulec poparzeniu.

– O – bąknęła Patricia. Carrolson westchnęła.

– Garry, znowu robisz wrażenie.

– Jakie wrażenie? – Lanier wydawał się zdziwiony.

– Spójrz na tę dziewczynę. – Zabębniła palcami po metalowym stoliku, zrobionym ze złomu, podobnie jak większość mebli w osiedlu. – Uważaj, Patricio. To pożeracz serc.

Patricia spojrzała na nich zaskoczona.

– Co takiego?

– Kończę zmianę – oznajmiła Carrolson, zabierając tacę. – Zapamiętaj to. Wszystkie kobiety w zespole mają ochotę na Garry’ego. On jednak odpowiada przed kimś na Ziemi... kimś bardzo

ważnym. – Uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła w stronę zmywarki.

Lanier wypił łyk kawy.

– Nie wiem, czy właściwie odczytała twoje zachowanie.

– Oczywiście, że nie.

– Ona ma na myśli, że jestem odpowiedzialny przed Doradczynią... Judith Hoffman.

– Poznałam ją – powiedziała Patricia.

– Nie ma mnie na liście towarzyskiej, ponieważ mam zbyt wiele pracy i za mało czasu. Poza tym muszę pamiętać o swojej randze. – Dokończył kawę i odstawił filiżankę.

– Można by sądzić, że w środowisku inteligentnych ludzi ranga niewiele się liczy – stwierdziła Patricia. Wymawiając ostatnie słowa, poczuła się głupio.

Lanier złożył ręce na stoliku i spojrzał jej prosto w oczy, aż odwróciła wzrok.

– Patricio, jesteś młoda i wszystko to może ci się wydawać bardzo romantyczne, lecz jest śmiertelnie poważne. •Pracujemy nad problemami, których rozwiązanie może zabrać lata, jeśli w ogóle uda się je rozwiązać. Stanowimy międzynarodowy zespół naukowców, inżynierów i żołnierzy, a nasze odkrycia nie zostaną ujawnione wszystkim ludziom na kuli ziemskiej, przynajmniej przez jakiś czas. Ponieważ będziesz miała dostęp do największych tajemnic, musisz być szczególnie odpowiedzialna... podobnie jak ja. Proszę, nie trać czasu na interesowanie się... Cóż, proponuję, żebyś nie umieszczała swojego nazwiska na liście towarzyskiej. W innym miejscu, w innym czasie, proszę bardzo, romans i przygoda. Ale nie na Kamieniu. Siedziała sztywno z rękami złożonymi na kolanach.

– Nie mam zamiaru w nic się angażować – odparła. Mimo że to nie była nagana, czuła zdenerwowanie.

– To dobrze. Chodźmy po zieloną odznakę dla ciebie i zrobmy przejażdżkę po dolinie. – Odnieśli tace i wyszli z baru. Lanier szedł kilka kroków przed nią, z oczami utkwionymi w ziemię. Zbliżyli się do małego budynku w pobliżu pomocnej strony obwałowania. Krępa kobieta o szerokich ramionach, ubrana w czarny kombinezon z zielonym pasem i czerwonymi naszywkami sierżanta na rękawach, otworzyła im drzwi i usiadła za biurkiem, również zrobionym domowym sposobem, żeby wypełnić formularze. Następnie otworzyła pudełko i wyjęła zieloną odznakę z rysunkiem Kamienia w rogu, otoczonym srebrnym kręgiem.

– Obowiązują tu ściśle przepisy bezpieczeństwa – powiedziała pani sierżant. – Proszę zapoznać się z zasadami. Zielona odznaka to duża odpowiedzialność.

Patricia podpisała odznakę, a następnie przycisnęła palce do płytki identyfikacyjnej, żeby wprowadzić odciski do pamięci komputerów. Kobieta przypięła jej odznakę do kieszonki na piersi.

– Miło mi, że jest pani z nami. Jestem Doreen Cunningham, szefowa ochrony osiedla numer jeden w pierwszej komorze. Jeżeli będzie pani miała jakieś problemy czy pytania, proszę zwracać się do mnie.

– Dziękuję – odparła Patricia. Wyszli z budynku i Lanier poprowadził ją na obwałowanie.

– Jeśli chcesz poćwiczyć, mamy ścieżkę do biegania wokół wewnętrznego obwodu osiedla, z przedłużeniem do drugiego obozu. Niedaleko stąd są przyrządy gimnastyczne. Polecam intensywne ćwiczenia, kiedy to tylko możliwe. Niskie przyciąganie trochę osłabia. Jeśli nie trenuję, wiotczeją mi mięśnie. Ruch pomoże ci szybciej przyzwyczaić się do niskiego ciśnienia.

– Myślę, że mała siła przyciągania jest przyjemna – stwierdziła. Podeszli do dużego baraku o zaokrąglonym dachu. – Czuję się lekka.

Wewnątrz znajdowały się dwa pojazdy przypominające duże pługi śnieżne, z tym że zamiast płóz miały zamontowane sześć kół o gumowych oponach i stalowych szprychach. Patricia pochyliła

się i zajrzała pod spód.

– Bardzo mocna konstrukcja – stwierdziła, prostując się.

– Nasze ciężarówki. Łatwe w obsłudze. Szybko się nauczysz. Dzisiaj będzie tylko wycieczka.

Miej oczy otwarte.

Otworzył drzwi, pomógł jej wejść po wysokim stopniu i zająć miejsce dla pasażera.

– Przykro mi, że byłem taki ostry wobec ciebie. Pewnie wiesz, jak jesteś tutaj ważna i...

– Nie wiem – oświadczyła Patricia. – Nie mam najmniejszego pojęcia, po co tu jestem.

Lanier skinął głową i uśmiechnął się.

– Ale masz rację. Skoro jestem tak ważna, muszę harować bez wytchnienia.

– Wygląda na to, że łatwo sobie przyswoisz etos pracy badaczy Kamienia – stwierdził

Lanier. Siadł za kierownicą i wyciągnął z kieszeni tabliczkę. Podał ją Patricii. – Wypadło mi z głowy. Prawdopodobnie będziesz chciała robić notatki. Przydział rządowy.

Włączył elektryczny silnik i wyprowadził ciężarówkę z garażu.

– Pojedziemy do drugiej komory, do miasta. Spędzimy tam kilka godzin, a potem zabiorę cię do Trzydziestego Stulecia.

– To jeden z pociągów? Skinął głową.

– Podarujemy sobie dzisiaj trzecią komorę. To byłoby dla ciebie zbyt wiele naraz i za wcześnie. Zatrzymamy się w osiedlu ochrony w czwartej komorze na obiad, a potem pojedziemy prosto do szóstej.

Ciężarówka zbliżyła się do ogrodzenia ciągnącego się kilka kilometrów na wschód i na zachód.

– Czy będzie za wcześnie, jeśli zadam teraz parę pytań?

– Musimy od czegoś zacząć – odparł Lanier.

– Tu jest prawdziwa gleba. Można by ją zasiać.

– Jest dość żyzna – powiedział Lanier. – Prowadzimy kilka upraw, głównie w czwartej komorze. Większość ziemi to zawierający węgiel materiał asteroidu z domieszkami.

– Uhm. – Przyjrzała się zaroślom i tumanowi kurzu, który zostawał za nimi. – Czy Kamień ma sprawne silniki, to znaczy, czy może odlecieć?

– Silniki ma sprawne – odparł Lanier. – Nie wiemy jednak, czy może odlecieć.

– Zastanawiałam się... gdyby nagle odleciał, znaleźlibyśmy się w pułapce. Wtedy musielibyśmy uprawiać ziemię, prawda?

– To nie dlatego ją uprawiamy – powiedział Lanier. Czekala, aż powie coś więcej, ale on tylko patrzył przed siebie. Zwolnił, gdyż zbliżali się do bramy w siatce.

– Silniki są bardzo stare. Niektórzy inżynierowie uważają, że są zużyte – wyjaśnił, jakby jednocześnie podążał za własną myślą. Wyjął z kieszeni elektroniczny klucz i otworzył bramę sygnałem radiowym. – Nie rozumiemy na razie zasady napędu. Ostatnie zadanie silników polegało na wyhamowaniu Kamienia i wprowadzeniu go na obecną orbitę. Zużyły dużą ilość materiału wydobytego przez roboty z zewnętrznej części asteroidu. Pozostał po tym ślad w postaci głębokich rowów. Materiał ten roboty dostarczały do miejsca w pobliżu północnego krateru. Ten koniec jest zamknięty. Wkrótce się dowiesz dlaczego. Nie wiemy, co działo się z nim dalej. Trudno jest zrozumieć dokumentację.

– Wyobrażam sobie.

Ciężarówka przejechała przez bramę i ruszyła drogą gęsto znaczoną koleinami. Nie było śladu zarośli.

– Po co to ogrodzenie z siatki? – odezwała się Patricia. – Każdy przed przylotem tutaj zostaje

dokładnie sprawdzony, więc można by sądzić, że wystarczy zabezpieczeń. Transport musiał mnóstwo kosztować. Można było zamiast tego przywieźć rzeczy potrzebne do badań naukowych.

– Nie przywieziono siatki z Ziemi. Już tutaj była.

– Ogrodzenie z siatki?

– I statuetki – dodał Lanier.

– O czym ty mówisz?

– Kamień zbudowała ludzka rasa, Patricio. Ziemianie. Wytrzeszczyła oczy i próbowała się uśmiechnąć.

– Zbudowali go tysiąc dwieście lat temu. Tyle lat sobie liczy.

– Nabieraj kogoś innego.

– Ależ ja mówię poważnie.

– Nie lubię, jak się ze mnie żartuje – oświadczyła spokojnie, prostując się na siedzeniu.

– Nie żartuję. Myślisz, że przesyłalibyśmy statkiem osiem czy dziewięć kilometrów siatki?

– Najpierw musiałabym uwierzyć, że Karol Wielki albo ktoś inny kazał zbudować Kamień.

– Nie powiedziałem, że on pochodzi z naszej przeszłości. Proszę, Patricio, bądź cierpliwa.

Czekaj i patrz.

Skinęła głową, ale była wściekła. To wyglądało na coś w rodzaju inicjacji. Wziąć młodą kobietę na przejażdżkę, sterroryzować ją, dać przedsmak tajemnicy, odwiedzić i pośmiać się z niej. Teraz będzie prawdziwą mieszkanką Kamienia. Wspaniale.

Nigdy nie tolerowała takiego traktowania, nawet jako trzynastoletnia studentka Uniwersytetu Kalifornijskiego.

– Spójrz na ziemię – powiedział Lanier. – To trawa. Nie przywieźliśmy jej ze sobą.

– Wygląda jak trawa – przyznała.

Droga przez dolinę zajęła trzydzieści minut. Dotarli do szarej kłapy. Przed wejściem do tunelu wznosił się łuk ze srebrnego metalu mający około dwudziestu metrów szerokości. Prowadziła do niego pochylnia usypana z ziemi. Lanier wjechał po niej.

– Jak odnawia się powietrze? – spytała. W ciszy czuła się nieswojo. Lanier włączył światła.

– Pod trzema środkowymi komorami znajdują się duże stawy. Są płytkie i zarośnięte różnymi gatunkami rzęsy, lilii wodnych i glonów. Wciąż odkrywamy i identyfikujemy kolejne rośliny. Największy staw ma kształt torusa i otacza czwartą komorę. W kłapach ciągną się przewody wentylacyjne o długości około trzech kilometrów można je dostrzec przez lornetkę lub bez, jeśli ma się dobry wzrok – a cały Kamień jest podziurawiony jak rzeszoto szybami i tunelami.

Patricia skinęła głową, unikając jego wzroku. „Wkrótce zakocha się w Kamieniu”, pomyślał Lanier. Pierwszą oznaką jest złość. Złość i niedowierzanie przychodzą znacznie łatwiej niż akceptacja. Nawet najbardziej ostrożne poznawanie Kamienia nie zapobiegało szokowi. Wszyscy musieli najpierw zobaczyć na własne oczy. Szczegóły i wyjaśnienia następowały później.

Sześć minut po wjeździe do tunelu dotarli do mocnego ogrodzenia przeciwhuraganowego z siatki, całkowicie zasłaniającego wylot. Lanier otworzył kluczem następną bramę i znaleźli się w drugiej komorze.

Pochylnia prowadząca z tunelu była umocniona po obu stronach murem z cegieł. Między ścianami rozciągnięto siatkę, a przy bramie stała wartownia. Trzej żołnierze piechoty morskiej w czarnych kombinezonach stanęli na baczność, kiedy ciężarówka podjechała bliżej, turkocząc po rampie. Lanier zahamował, otworzył drzwi i wysiadł. Patricia została na swoim miejscu, podziwiając widok przed sobą. Za rampą ciągnął się masyw parku dwukilometrowej szerokości z nieregularnie rozmieszczonymi kępami drzew i licznymi, płaskimi budowlami z białego betonu,

które przypominały fundamenty. Za parkiem, w odległości około kilometra, widać było wąskie jezioro czy rzekę, otaczającą całą komorę. Brzegi łączył wiszący most z wysokimi, smukłymi, zaokrąglonymi wieżami. Most prowadził do miasta.

To mogłoby być Los Angeles w wyjątkowo pogodny dzień lub jakiegokolwiek inne współczesne miasto ziemskie, gdyby nie surrealistyczny rozmach. Było większe, ambitniej zaprojektowane i uporządkowane, bardziej dojrzałe architektonicznie. Tak wielkich budowli nie widziała nigdy w życiu. Wysokie na co najmniej cztery kilometry, przypominały żyrandole wykonane z betonu, szkła i lśniącej stali. Skojarzenie z żyrandolami okazało się jeszcze trafniejsze, kiedy Patricia spojrzała w górę i zobaczyła, że budynki zwisają ze sklepienia komory. W odległości pięćdziesięciu kilometrów, widziane przez warstwy atmosfery miasto stawało się nierealnie piękne, jak eksponat w muzeum za zakurzonym szkłem. Patricia patrzyła raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby obserwowała rozgrywający się w wolnym tempie mecz tenisowy między olbrzymami.

– Dzień dobry, panie Lanier – powiedział starszy oficer, podchodząc, żeby zerknąć na odznakę. – Nowa?

Lanier potwierdził skinieniem głowy.

– Patricia Vasquez. Nieograniczony dostęp.

– Tak, sir. General Gerhardt powiadomił nas wczoraj, żebyśmy spodziewali się pana.

– Coś się działo? – spytał Lanier.

– Oddział zwiadowczy Mitchella bada teraz mega K, sześć kilometrów stąd.

Lanier zajrzał do kabiny.

– Mega to te ogromne budowle – wyjaśnił. Patricia osłoniła oczy przed blaskiem rury plazmowej, próbując dojrzeć przeciwległy kraniec komory. Zobaczyła parki i małe jeziora, sieć ulic tworzących koncentryczne koła, kwartały.

Odległość między nimi a drugim końcem miasta odpowiadała odległości między Long Beach a Los Angeles. Pomimo skali miasto wyglądało jak zbudowane przez ludzi.

Lanier wszedł na stopień i zapytał Patricię, czy chciałaby rozprostować nogi przed dalszą jazdą.

– Jak je nazywacie? – zainteresowała się.

– Aleksandria.

– To wasz pomysł? Lanier potrząsnął głową.

– Nie.

– Pojedziemy dzisiaj do siódmej komory?

– Jeśli masz ochotę.

– Jak długo tutaj zostaniemy?

– Najwyżej kilka godzin. Chcę, żebyś zobaczyła bibliotekę, zanim ruszymy dalej.

– Bibliotekę?

– Właśnie – odparł Lanier. – To jedna z atrakcji. Opadła na siedzenie. Oczy się jej rozszerzyły.

– Czy miasto jest opuszczone?

– Większość z nas tak sądzi. Było parę dziwnych raportów, ale składam je na karb nerwów. Duchy. Tak je nazywa ochrona. Zjawy. Nigdy nie spotkaliśmy żywego mieszkańca Kamienia.

– A znaleźliście martwych?

– Całkiem sporo. W tej komorze i w czwartej znajdują się mauzolea. Główny cmentarz w Aleksandrii leży dziesięć kilometrów stąd, w kierunku dwudziestu sześciu stopni. Znasz tutejszy system współrzędnych?

– Chyba tak – odparła Patricia. – Chodzi o kąt mierzony od osi i odległość od klapy. Ale

gdzie wypada kąt zero i o którą klapę chodzi?

– Zero to most, a mierzymy od południowej klapy.

– To nie jest obrzęd inicjacji, więc... nie opowiadałeś bajek. Kamień zbudowali ludzie.

– Istotnie – potwierdził Lanier.

– Dokąd poszli?

Lanier uśmiechnął się i pokiwał palcem.

– Wiem – powiedziała Patricia z westchnieniem. – Czekał i patrzył. – Wysiadła z pojazdu i przeciągnęła się. – Jestem pod wrażeniem.

– Gdy po raz pierwszy zobaczyłem Aleksandrię, poczułem się jak w domu – wyznał Lanier. – Wychowałem się w Nowym Jorku, przeprowadziłem się do Los Angeles, kiedy miałem piętnaście lat. Przez całe życie mieszkałem w wielkich miastach. Ale to tutaj naprawdę zrobiło na mnie wrażenie. Moglibyśmy osiedlić w tej komorze dwadzieścia milionów ludzi i wcale nie byłaby zatłoczona.

– To dlatego Kamień jest tak ważny... jako nieruchomość?

– Nie – odparł Lanier. – Nie zamierzamy sprzedawać domów. Mamy w zespole piętnastu archeologów. Zabili by każdego, kto by zrobił taką sugestię. Co kilka dni organizują konferencje. Z pewnością zjawisz się na którejś.

Pracują niemal bez przerwy od czasu, gdy ich tutaj przywieźliśmy trzy lata temu. Nie pozwalają nam niczego dotykać, jedynie na polecenie dowódców oddziału ochrony albo moje. I nawet wtedy potrzebujemy bardzo dobrego pretekstu.

Patricia skinęła głową trzem żołnierzom, którzy serdecznie odwzajemnili powitanie. W wartowni zatrzeszczało radio. Na wezwanie odpowiedział starszy oficer. Patricia nie dosłyszała jego gardłowej odpowiedzi, ale język brzmiał jak rosyjski.

– Przysięgłabym, że to najprawdziwsi amerykańscy żołnierze – stwierdziła Patricia.

– I miałybyś rację. Rosjanie pracują przy południowym otworze wlotowym razem z Hua Ling.

– Żołnierze piechoty morskiej znają rosyjski?

– Ten najwyraźniej zna. I trzy albo cztery inne języki. To sama śmietanka.

– Czy przysłano tu kogoś, kto nie jest wybitny?

– Nie ma tu zwykłych szeregowych, jeśli o to ci chodzi. Nie możemy sobie na to pozwolić. Wszyscy pełnią dwie lub trzy funkcje. – Usiadł za kierownicą. – Gdy będziesz gotowa, przejedziemy przez most i zajrzemy do biblioteki.

– W każdej chwili – odparła Patricia.

Lanier ruszył. Brama otworzyła się i zamknęła za nimi.

Przejechali przez czteropasmowy most. Opony turkotały i piszczały na asfalcie. Patricia sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła tabliczkę. Używając skróconej klawiatury o dziesięciu klawiszach, napisała:

Pogoda, a raczej jej brak. Niebo czyste. Widok rzeczywiście zapiera dech w piersiach. Łąd w najbliższym otoczeniu wydaje się płaski, ale w pobliżu horyzontu (jeśli się patrzy w kierunku północnym) zakrzywia się coraz bardziej, tworząc ściany doliny. W górze dużo szczegółów widocznych przez lekką mgiełkę.

Odczytała notatkę, szukając błędów. Nauczyła się pisać na tabliczce w szkole średniej, ale to było wiele lat temu. Wolą pisać ręcznie. Jednak papier najwyraźniej był luksusem na Kamieniu i należało go używać oszczędnie.

Pisała dalej w czasie, gdy jechali szeroką ulicą.

Ulica ma około pięćdziesięciu metrów szerokości i jest przedzielona pośrodku pasem drzew i czegoś, co kiedyś mogło być trawą. Po dwa pasy w obu kierunkach. Żadna z roślin nie wygląda zdrowo. Systemy ogrodnicze zniszczały, a może wcale nie działają? Okna wystawowe na poziomie ulicy, niemal wszystkie wybite. Agencje, siedziby firm otwarte.

W jednym z okien manekin o ludzkim kształcie. Długa szyja.

Upozowany, ale nagi.

Zauważyła napis nad czymś, co kiedyś mogło być sklepem jubilerskim. – Kesar's – odczytała. Alfabet łaciński. Kawałek dalej zobaczyła to samo nazwisko napisane cyrylicą. Niektóre sklepy miały wywieszki z wschodnimi ideogramami – chińskimi i japońskimi. Inne reklamy były po laotańsku lub wietnamsku.

– Boże – powiedziała. – Jakbym była znowu w LA. W tych sklepach było coś dziwnego, zwłaszcza niektóre wystawy. Zmrużyła oczy, próbując zorientować się, w czym rzecz.

– Zaczekaj chwilę – poprosiła. Lanier zwolnił. – To wszystko ma być oryginalne, prawda? W dawnym stylu. Podobnie jak u nas, gdy budujemy hale targowe, które mają sugerować, że jesteśmy w starej Anglii.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza – stwierdził Lanier, wzruszając ramionami. – Nigdy się tu specjalnie nie rozglądałem.

– Garry, mam mętlik w głowie. Jeśli Kamień zbudowano tysiąc lat temu, dlaczego wszystko jest takie?

Lanier pokonał łagodny zakręt i zatrzymał ciężarówkę na środku ulicy. Wskazał na wielki budynek koloru umbry na północnym krańcu parku.

– To biblioteka, jedna z dwóch, które teraz badamy. Pozostałe są zamknięte.

Patricia przygryzła wargę.

– Powinnam się denerwować?

– Chyba tak. Ja bym się denerwował.

– To jest jak... – Potrząsnęła głową. – Dlaczego muszę tam iść? Jestem matematyczką, a nie inżynierem albo historykiem.

– Wierz mi, nie każdy może wejść do bibliotek. Zostałaś wybrana jako jedna z niewielu. Pracowałaś w dziedzinie, która nie ma praktycznych zastosowań... na razie.

– Przestaję zadawać pytania – oznajmiła Patricia z westchnieniem. – Zresztą nawet nie wiem, o co pytać.

Wokół budynku były rozmieszczone elektroniczne czujniki i kamery. Wrażenie wzmacniało ogrodzenie z siatki najeżone ostrymi zwojami drutu. Przed wejściem stało czterech wartowników wyposażonych w lasery przeciwpiechotne. Wyglądali bardzo groźnie. Gdy Lanier i Vasquez zbliżyli się, zagrzmiął wzmocniony głos:

– Panie Lanier. Proszę się zatrzymać i poddać przeszukaniu. Kto jest z panem?

– Patricia Vasquez – odpowiedział. – Członek zespołu naukowego. Przepustka od generała Gerhadta.

– Tak, sir. Proszę podejść i pokazać identyfikator. Wysiedli z pojazdu i podeszli do bramy.

– Drut i czujniki sprowadziliśmy z Ziemi dwa lata temu – wyjaśnił Lanier. – Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, co tutaj mamy.

Pokazali identyfikatory i przyłożyli dłonie do płytki trzymanej przez kobietę w czarno-szarym stroju. Po sprawdzeniu weszli przez ogrodzenie.

Tutaj również okna na parterze były wybite. Mimo braku tabliczek informacyjnych czuło się, że to biblioteka, choć, podobnie jak inne budynki, wydawała się dziwna. W środku panowała

ciemność.

– Strażnicy nie mogą tu wchodzić. Tylko członkowie specjalnego oddziału ochrony, w czarno-szarych mundurach. Wewnątrz przy monitorze przez cały czas pełni służbę jedna osoba, słyszeliśmy jej głos.

– Bardzo wymyślne – stwierdziła Patricia.

– Konieczne.

Zapaliły się jarzeniówki na suficie. Kolejno zabłysły następne, tworząc świetlną ścieżkę prowadzącą przez parter i klatkę schodową.

– Mamy przenośne generatory w czterech miejscach w Aleksandrii – mówił Lanier po drodze. Podłoga była pokryta kurzem, na którym zostawały wyraźne ślady. – Większość sieci energetycznych miasta nie funkcjonuje. Nie znaleźliśmy jeszcze źródła zasilania, ale prawdopodobnie nie są nim elektrownie. Zdaje się, że Kamień posiada zapas mocy zgromadzony w przechłodzonych akumulatorach.

Patricia zmarszczyła czoło.

– Akumulatorach?

– Takich jak stumetrowe ogniwa w Arizonie i Wielkiej Ciepłarni Afrykańskiej.

– Aha. – Niezbyt dobrze się znała na fizyce stosowanej, ale nie chciała, żeby Lanier o tym wiedział.

– System elektryczny jest skądinąd dość konwencjonalny. Ma optyczne kanały kontrolne i informacyjne, mniej więcej takie jak na Ziemi. W budynkach jest ciemno, ponieważ nie zadziałała większość bezpieczników – lub czegoś, co spełniało ich funkcję – nikt nie zamierza ich włączyć, dopóki lepiej nie poznamy zagrożeń pożarowych.

– Dlaczego okna są wybite? – spytała Patricia, gdy wchodzili po schodach.

– Szkło z czasem robi się kruche i pęka pod wpływem zmian ciśnienia.

– Czynniki atmosferyczne?

– Coś w tym rodzaju. W komorach są systemy wysokiego i niskiego ciśnienia, prądy wstępujące i siła Coriolisa, a w pobliżu kłap prądy zstępujące. Mamy nawet burze. W niektórych komorach od czasu do czasu występują opady śniegu. Zjawiska te wyglądają na kontrolowane, ale nie wiemy, czy urządzenia sterujące są wbudowane w system, statyczne, czy gdzieś pracują maszyny.

W mrocznych salach na pierwszym piętrze Patricia zobaczyła cylindry wielkości człowieka ustawione w rzędy ciągnące się w ciemność.

– Od roku gromadzimy dane z tych banków pamięci – powiedział Lanier. – Nie znaleźliśmy języków programowania, dlatego jedynie przez pół roku udawało się nam uzyskiwać tylko czytelne kopie i obrazy. Okazało się, że biblioteka w sąsiedniej komorze jest jeszcze większa, więc teraz koncentrujemy się na niej. Ale wolę tę. Na trzecim piętrze jest ogromny zbiór kopii na dyskietkach. To tam zdobywałem wiedzę. Teraz twoja kolej.

– Czuję się, jakbym była na Mary Celeste.

– Robiono już takie porównania – odparł Lanier. – W każdym razie tutaj i wszędzie indziej jest zasada, żeby nie ruszać niczego, czego nie potrafi się odłożyć na miejsce. Archeolodzy właśnie kończą najważniejsze badania i są bardzo drażliwi. Od czasu do czasu musimy łamać tę zasadę – naprawiamy potrzebny sprzęt, majstrujemy przy komputerach – ale nie wolno zbyt nabałaganić. Jeśli Kamień to Mary Celeste, musimy się dowiedzieć, dlaczego tak jest.

Na trzecim piętrze weszli do wielkiego pomieszczenia z niszami do czytania, wyposażonymi w ekrany i szare panele zamontowane na małych biurkach. Jedno ze stanowisk było wyposażone w niedawno przywiezioną z Ziemi tensorową lampę podłączoną do nowego źródła zasilania. Lanier

przysunął Patricii krzesło.

– Wracam za chwilę – oznajmił. Poszedł do drzwi w przeciwnym krańcu sali, zostawiając ją samą. Patricia dotknęła przegładarki. Jest przeznaczona do wideotaśm, może mikrofilmów? Nie potrafiła stwierdzić. Ekran był płaski i czarny jak heban, o grubości ponad sześciu milimetrów.

Patricia poczuła, że krzesło jest jakieś dziwne. Pośrodku miało twardy niewygodny wałek. Możliwe, że kiedyś przykrywały go poduszki... a może krzesło wytwarzało własną poduszkę, gdy włączyło się zasilanie. Spojrzała nerwowo na rzędy pustych wnek, próbując wyobrazić sobie tych, którzy z nich kiedyś korzystali. Gdy Lanier wrócił, ucieszyła się. Ręce jej drżały.

– Tutaj straszy – powiedziała, uśmiechając się niepewnie. Podał jej małą książkę oprawioną w matowy plastik.

Przekartkowała ją. Papier był cienki i mocny, język angielski, krój pisma drukarskiego niezwykle, z dużą liczbą zdobników. Otworzyła na stronicy tytułowej.

– Przygody Tomka Sawyera – przeczytała – Samuel Langhorne Clemens, Mark Twain. Data wydania 2110. – Zamknęła książkę i odłożyła, przełykając głośno ślinę.

– I co? – spytał Lanier cicho.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Otworzyła usta, ale nie odezwała się.

– Zastanawiałaś się, dlaczego wyglądam na takiego zmęczonego – stwierdził Lanier.

– Tak.

– Teraz rozumiesz?

– Z powodu... biblioteki.

– Częściowo – powiedział.

– Jest z przyszłości. Kamień pochodzi z przyszłości.

– Nie jesteśmy pewni.

– Ale po to właśnie się tu znalazłam... żeby wam pomóc to wyjaśnić.

– Są jeszcze inne zagadki i może wszystkie się ze sobą wiążą.

Znowu otworzyła książkę.

– Opublikowane przez Greater Georgia General we współpracy z Harpers of the Pacific.

Wziął od niej książkę.

– Wystarczy na razie. Chodźmy. Możemy odpocząć parę godzin w bazie oddziału bezpieczeństwa.

– Nie – zdecydowała. – Chcę jechać dalej. – Zamknęła oczy na kilka sekund. Lanier odszedł, żeby odłożyć książkę na miejsce. Gdy wrócił, zeszli na parter.

– Dwa bloki stąd znajduje się wejście do metra – poinformował. – Możemy pójść na piechotę. Ruch rozjaśnia umysł.

Pomaszerowała za nim przez park, spoglądając na budynki i napisy w różnych językach, ale właściwie ich nie widząc. Czowała, że powoli się aklimatyzuje.

Przeszli pod łukiem i ruszyli dalej pochylnią prowadzącą do stacji kolei podziemnej.

– Powiedziałeś, że Kamień nie pochodzi z przyszłości – rzuciła Patricia.

– Z naszej przyszłości – sprostował Lanier. – Może nawet nie jest z naszego wszechświata.

Zrobiło się jej gorąco. Zamrugnęła szybko oczami, niepewna czy ma się śmiać czy płakać.

– Do diabła.

– Czuję to samo co ty.

Stali na szerokim peronie przy ścianie ozdobionej dużymi, płaskimi, różowymi kryształami ułożonymi w nieregularną szachownicę. U sufitu wisiały tablice z nazwami linii. Farba łuszczyła się

na literach: „Centralny Nexus, linia nr 5”, „Aleksandria”, „San Juan Ortega, linianr 6, 20 minut”. Obok znaków wisiały czarne puste ekrany.

Patricia poczuła lekki zawrót głowy. Naprawdę znajduje się w tym miejscu, czy to tylko sen spowodowany przepracowaniem?

– „Kamieniejesz” – stwierdził Lanier. – Uważaj na siebie.

– Tak. Sama to dostrzegam.

– Następnym etapem jest zwykle depresja. Dezorientacja, urojenia, przygnębienie. Sam przez to przeszedłem.

– Tak? – Spojrzała na białe płytki pod stopami.

– Za parę minut powinien być następny pociąg – powiedział Lanier. Włożył ręce do kieszeni i również wlepił wzrok w podłogę.

– Czuję się dobrze – oznajmiła Patricia. Sama w to nie wierzyła, ale z drugiej strony nieraz przed egzaminami czuła się gorzej niż teraz. Poradzi sobie. – Zastanawiam się tylko, czy istnieje lepszy sposób indoktrynowania nowo przybyłych. Ten wydaje się dość ryzykowny.

– Próbowaliśmy różnych sposobów.

– Nie wychodziło?

– Różnie bywało, często gorzej.

Z tunelu wyleciał podmuch powietrza. Patricia wychyliła się za krawędź peronu. Nie dostrzegła żadnych szyn ani prowadnic.

Z ciemności z sykiem wynurzyła się gigantyczna stalowa stonoga. Pozbawiony okien przód był przecięty świecącymi zielonymi liniami. Pociąg zahamował gwałtownie. Czekał z cichym szumem, podczas gdy rozsuwały się drzwi. W pierwszym wagonie stał żołnierz z pistoletem i laserem.

– Panie Lanier – przywitał się, salutując służbiście.

– Charlie, to jest Patricia Vasquez. Kolejna zielona odznaka. Patricio, to kapral Charles Wurtz. Prawdopodobnie będziecie się często widywali. Charlie jest dowódcą ochrony linii zero.

– Niech wszystkie duchy trzymają się od pani z daleka – powiedział Charlie, uśmiechając się szeroko i potrząsając rękę Patricii.

Lanier pokazał jej gestem, żeby wsiadła pierwsza. Wnętrze okazało się podobne jak w każdym innym szybkobieżnym pociągu. Plastikowe siedzenia i metalowe części wyglądały na dobrze utrzymane. Najwyraźniej nie przewidywano tłoku w wagonach, gdyż nie było żadnych uchwytów ani poręczy dla stojących pasażerów, za to sporo wolnego miejsca między siedzeniami. I żadnych reklam czy napisów.

– Jak stary BART w San Francisco – stwierdziła Patricia. Już od wieków nie jeździła BART-em ani metrem w Los Angeles,

Usiedli. Patricia nie czuła, kiedy ruszyli. Zorientowała się, dopiero gdy wyrzała przez duże okna rozmieszczone w nieregularnych odstępach na bokach wagonu. Mignęła jej stacja. Potem była już tylko ciemność rozjaśniona przez świecące białe pionowe pasy.

– Nie wygląda na futurystyczny pojazd – stwierdziła. – Jest zwyczajny. Zawsze sadziłam, że przyszłość będzie inna, trudno rozpoznawalna. Zwłaszcza za tysiąc lat. A tu mamy budynki, metro... Dlaczego nie transmutery materii?

– Aleksandria i cały podziemny system komunikacyjny są znacznie starsze niż pozostałe części Kamienia. Gdy trochę pozwiesz, dostrzeżesz dużą różnicę między naszą techniką a tutejszą. Poza tym... – urwał. – Należy spojrzeć na to historycznie. Wziąć pod uwagę opóźnienia, przeszkody i przeżytki.

– Które wkrótce poznam.
– Właśnie – potwierdził Lanier. – Czujesz jakiś ruch? Przyspieszenie?

Zmarszczyła brwi.

– Nie. Ale może jedziemy wolno...

– Pociągi przyspieszają do czterech g.

– Zaczekaj. – Spojrzała na przesuwane się białe pasy i znowu się zmarszczyła. – Aleksandria... została zaprojektowana inaczej.

Lanier czekał cierpliwie. Mówiono, że jest genialna, ale wyglądała tak młodo. Zachowywała się jak grzeczna uczennica.

– Kamień musi przyspieszać i zwalniać, prawda? Podobnie jak ten pociąg, choć nie czuję żadnego ruchu. Komory powinny mieć nachylone dna, które by równoważyły siłę ciągu, ruch cieczy w jeziorach i stawach przy przyspieszaniu. Wyższe ściany po jednej stronie zbiorników. Wyprofilowane drogi.

– W komorach nie ma żadnych zabezpieczeń przed skutkami przyspieszeń – oznajmił Lanier.

– Jak to możliwe? Potrząsnął głową.

– Mieli inny sposób kompensacji?

– Szóstą komorę – powiedział Lanier. – Ona stanowi jednak tylko część systemu.

– Zmuszasz mnie, żebym sama do wszystkiego doszła?

– Jeśli to tylko możliwe.

– To ma być test?

– Nie – zaprotestował Lanier. – Doradczynie powiedziała, że możesz nam pomóc. Nie wątpię w to. Nawet gdyby to był test, wypadłabyś całkiem dobrze. – Jednak miał pewne zastrzeżenia.

Ukazały się ściany tunelu i pociąg wyjechał na powierzchnię. Przemknęli nad wodą z szybkością co najmniej dwustu lub trzystu kilometrów na godzinę.

– Na odcinkach nadziemnych są trzy szyny. Indukcja magnetyczna – rzucił Lanier.

– Aha. – Spojrzała na morze, monotony obszar niebieskoszarych fal ciągnący się na pomoc aż do wału mgły w pobliżu klapy. Nad szarością dostrzegła łuk komory, a na północny zachód i północny wschód – odległy brzeg morza.

W odległości około siedmiu – kilometrów wznosiła się sześciokątna wieża o wysokości jakichś pięćdziesięciu metrów i takiej samej szerokości. Jej dolna część ginęła w białej mgłę. Znacznie bliżej ukazała się widoczna w całości druga wieża, umieszczona na smukłym, okrągłym pylonie.

Mgła popędziła im na spotkanie. Nagle znaleźli się nad ziemią. W dole mignął gęsty las sosnowy, który wyglądał na zdrowy, choć lekko niebieskawy w świetle rury plazmowej.

– Czwarta komora była, zdaje się, centrum rekreacyjnym – powiedział Lanier. – I oczywiście rezerwuarem powietrza. Są tu cztery wyspy, każda z innym środowiskiem. Są rafy koralowe, stawy ze świeżą wodą i rzeki, kurorty, rezerваты, hodowle ryb. Wszystko to przywrócono do pierwotnego stanu, trochę dzikiego, lecz kwitnącego.

Pociąg zwolnił i z cichym szumem wjechał na nadziemny peron. Do wagonów podbiegli dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach. Lanier wstał. Patricia ruszyła za nim do drzwi. Rozsunęły się bezszelestnie.

Las, woda, ziemia – wszystko to dało się wyczuć w powietrzu.

– Na razie, Charlie – rzucił Lanier. Charlie zsalutował, stojąc w drzwiach.

Wartownik pilnujący peronu podszedł i sprawdził odznakę Patricii.

– Witamy w letnim obozie, panno Vasquez – powiedział. Patricia oparła się o poręcz

i spojrzęła w dół. Znajdowali się sześć metrów nad ziemią. Peron był otoczony osiedlem podobnym do tego z pierwszej komory, z budynkami z płyt pilśniowych i z ziemnymi obwałowaniami, ale ze znacznie większą cieplarnią-laboratorium.

Wszyscy w osiedlu byli ubrani w czarne lub czarno--zielone, czarno-khaki i czarno-szare uniformy.

– Ochrona? – spytała. Lanier skinął głową. Zeszli po schodach.

– Mamy tutaj niewielką grupkę naukowców i przysyłamy ludzi na krótkie wakacje, kiedy pozwala na to czas, co nie zdarza się często. Ta komora ma znaczenie strategiczne. Oddziela części Kamienia nadające się do zasiedlenia od części technicznej.

– Od systemu napędowego?

– Tak, i od siódmej komory. Będiesz miała okazję rozprostować nogi i wchłonąć to, co do tej pory zobaczyłaś.

– Wątpię – odparła Patricia. Lanier zaprowadził ją do baru.

Bar niewiele różnił się od tego z pierwszej komory. Usiedli przy stoliku w towarzystwie dwóch żołnierzy, brytyjskiego i niemieckiego. Lanier przedstawił Patricję niemieckiemu dowódcy, pułkownikowi Heinrichowi Berensonowi.

– Za tydzień pułkownik przejmuje dowództwo nad ochroną siódmej komory. Będziecie się ze sobą dość często spotykali.

Pułkownik Niemieckich Sił Kosmicznych miał płowe włosy i piegi, był równie wysoki jak Lanier, ale znacznie mocniej zbudowany. Wyglądał bardziej na Irlandczyka niż na Niemca, zwłaszcza ze swoim nazwiskiem i wytwornymi manierami. Patricia wzięłaby go raczej za obywatela świata. Zachowywał się przyjaźnie, choć z lekkim dystansem.

Zamówiła sałatkę – nowalijki ze stacji rolniczej – i rozejrzała się. Nikt nie nosił zielonej odznaki.

– O co chodzi z tymi odznakami? – zwróciła się z pytaniem do Laniera. Berenson uśmiechnął się i potrząsnął głową, jakby dotknęła jego czułego miejsca.

– Czerwone odznaki pozwalają poruszać się do otworu pierwszej komory – wyjaśnił Lanier. – Noszą je głównie ekipy techniczne. Ci z niebieskimi mogą przemieszczać się po całym Kamieniu, z wyjątkiem szóstej i siódmej komory, ale we wszystkich oprócz pierwszej muszą być eskortowani i wypełniać określone obowiązki. Osoby z zielonymi odznakami mogą wchodzić do wszystkich komór, ale są zawsze sprawdzane przez służbę bezpieczeństwa.

– Jestem tutaj ponad trzy lata – odezwał się Berenson – a mam zieloną odznakę dopiero od trzech miesięcy. – Spojrzał na jej odznakę i skinął głową znacząco. – Na szczęście znalazłem lukę w przepisach. Można uznać, że sam siebie eskortuję.

Lanier uśmiechnął się szeroko.

– Bądźmy wdzięczni, że wszystko idzie gładko.

– Amen – skwitował Berenson. – Niechętnie widziałbym prawdziwe zamieszanie.

– Osoby z zielonymi odznakami mają różny dostęp do spraw ściśle tajnych. Ci z pierwszym stopniem, najniższym, nie mają dostępu do określonych miejsc. Poziom drugi to ograniczony dostęp ze względu na obowiązki służbowe. Odznaki zielone drugiego stopnia mają niektórzy członkowie oddziału ochrony. Stopień trzeci to my.

– Ja mam drugi stopień – rzucił Berenson. Gdy wrócili do pociągu, Patricia zapytała:

– Stopień drugi oznacza, że pułkownik nie wie wszystkiego o Kamieniu?

– Gdy się było w siódmej komorze, wie się dużo.

– Ale nie o tym, co jest w bibliotekach.

– Nie – potwierdził Lanier.

Zmartwiło ją to. Berenson wydawał się przygnębiony, choć nie wiedział nic o bibliotekach.

Czterech ubranych w skafandry kosmiczne żołnierzy biegło długimi, pełnymi gracji krokami po powierzchni Księżyca. Drogę oświetlały im jedynie gwiazdy i sierp Ziemi. Mirski obserwował ich ze szczytu głazu wystawiając QQQQQQQ – Ocean Indyjski! – wykrzyknął dowódca, wskazując palcem w dół – na Ziemię. Potem uniósł obie dłonie, spoglądając w sufit.

Mężczyźni zaczęli wznosić okrzyki i klaskać.

– Będziecie teraz mieli gwiazdy, których zawsze pragnęliście, pułkowniku – powiedział dowódca, mocno ściskając mu dłoń.

Pozostała część czwartej komory szybko przesunęła się za oknami pociągu – wzgórza, małe jeziora i granitowe skały.

– Linia kończy się w szóstej komorze. Będzie tam na nas czekał Joseph Rinskaya i paru członków ekipy chińskiej.

– Rinskaya?

– To dzięki niemu się tutaj znalazłaś. Poleciał cię.

– Ale on opuścił uniwersytet i przeniósł się do Urzędu Statystycznego.

– I pracując w Waszyngtonie, poznał Doradczynię – dokończył Lanier.

Rinskaya był jej profesorem na seminarium z matematyki. Nie przepadała za nim. Był wysokim, niezgrabnym mężczyzną ze sztywną rudą brodą, hałaśliwym i apodyktycznym, profesorem nauk politycznych i ekspertem od statystyki i teorii informacji. Uważała go za niezłego matematyka, ale bez polotu niezbędnego do osiągnięcia czegoś ważnego w tej dziedzinie. Według niej doskonale nadawał się na pracownika dydaktycznego: surowy, wymagający i pozbawiony wyobraźni tyran.

– Skąd się tutaj wziął?

– Doradczynie uznała go za użytecznego.

– Jego specjalnością były statystyczne teorie zachowań populacji. To ma więcej wspólnego z socjologią.

– Zgadza się – przyznał Lanier.

– Jak...

Lanier zirytował się.

– Pomyśl, Patricio. Gdzie się podziali mieszkańcy Kamienia? Dlaczego odeszli i jak?

– Nie wiem – odparła cicho.

– My również nie wiemy. Na razie. Rinskaya jest szefem grupy socjologów. Może oni nam coś powiedzą.

– To diabelnie przestarzała metoda badań.

– Będę cierpliwy, jeśli ty też będziesz – powiedział Lanier. Patricia milczała przez chwilę.

– Nie daję gwarancji – oznajmiła. – Chcę, żebyś przestał drażnić się ze mną, kiedy zadaję proste pytania.

Lanier uniósł brwi i skinął głową.

– Proszę, nie bierz tego do siebie.

„Jest spięty”, pomyślała. „Cóż, ja także. Tyle że on miał czas, żeby się do tego przyzwyczaić. Jeśli to w ogóle możliwe w odniesieniu do czegoś takiego jak ta biblioteka... albo sam Kamień. Zresztą prawie na pewno jest dużo więcej...”

Nagle ukazała się jej wizja labiryntu tablic szkolnych czekających na nią w siódmej komorze pełnej matematyków pracujących wspólnie nad jakimś doniosłym problemem. Z ogromnego ekranu przygląda się im cierpliwie Doradczynie, jak Bóg, a Lanier jest jej wcieleniem.

– Rinskaya jest półkrwi Rosjaninem – kontynuował Lanier. – W papierach imigracyjnych umieszczono nazwisko jego owdowiałej babki, które przeszło na syna. On mówi doskonale po rosyjsku. Czasami pełni rolę tłumacza.

Szum pociągu przybrał wyższy ton. Zostawili za sobą czwartą komorę.

W piątej komorze było ciemniej niż w innych, które zwiedziła Patricia. Baldachim szarych chmur odcinał światło rury plazmowej. W dole roztaczał się wagnerowski krajobraz nagich gór, postrzępionych brył antracytu wymieszanego z tęczowym hematytem. Między nimi znajdowały się

rdzawe przepastne doliny, poprzecinane wodospadami zasilającymi srebrne rzeki. Góry bliżej środka komory miały zdumiewające kształty: łuki, gigantyczne nieregularne sześciany, piramidy z ułamanymi czubkami i groble o nieregularnych kamiennych stopniach.

– Co to takiego? – spytała.

– Coś w rodzaju kopalni odkrywkowej. Tak przypuszczamy. Nasi geolodzy – poznałaś jednego z nich, Roberta Smitha – sądzą, że kiedy drążono komory, nie ukończono piątej. Zostawiono ją na surowiec. Mieszkańcy Kamienia wykorzystali go. A to są wyrobiska.

– Doskonałe dla miłośników starych horrorów – stwierdziła Patricia. – Doskonałe miejsce na zamek Drakuli.

Nie rozmawiali ze sobą przez całą krótką podróż do szóstej komory. Gdy szum pociągu obniżył ton i w tunelu rozjaśniło się, Lanier wstał i oznajmił:

– Koniec linii.

Stacja końcowa była przestronną budowlą z nie otynkowanych płyt czerwonego betonu i skały macierzystej asteroidu w białe i czarne cętki. Peron znaczyły ledwo widoczne linie, jak gdyby kiedyś tworzyły się tutaj długie zakręcone kolejki.

– To była kiedyś stacja dla robotników – wyjaśnił Lanier – w czasach kiedy przebudowywano szóstą komorę. Prawdopodobnie sześćset lat temu.

– Od jak dawna Kamień jest opuszczony?

– Od pięciu stuleci.

Ruszyli rampą do budynku wzniesionego z grubych przezroczystych płyt, dających doskonały widok na szóstą komorę.

Całe dno doliny zajmowała gigantyczna maszyna. Walce, sześciany i skupiska okrągłych płyt ustawionych na sztorc przypominały monstrualną tablicę rozdzielczą. Tuż za budynkiem stacji ciągnął się aż do odległego muru rząd sferycznych zbiorników. Mur miał co najmniej sto metrów wysokości, a zbiorniki pięćdziesiąt metrów średnicy. Poniżej poziomu terminalu, między kulami i rzędem cylindrów ułożonych na bokach znajdował się ogromny rów z połyskującą wodą. Nad brzegiem stała ogromna pompa i biegły rury. Nad tym wszystkim płynęły skłębione chmury, wylewając strugi deszczu i śnieg. Nie tyle słyszało się, co wyczuwało stałe dudnienie, jakby przesuwwały się góry lub ocierały o siebie podmorskie skały.

Spoglądając pod kątem Patricia mogła dostrzec między chmurami przeciwległą ścianę komory, wybrzuszoną tajemniczym mechanizmem.

– Nie ma tu ani jednej ruchomej części z wyjątkiem wielkich pomp, których zresztą jest niewiele – powiedział Lanier. – Inżynierowie zaprojektowali cykl pogodowy. Deszcz pada, odbiera ciepło, woda spływa kanałami do płytkich stawów, paruje, unosi ciepło w górę, a systemy utrzymujące atmosferę w stanie równowagi osuszają ją, jeszcze nie wiemy jak.

– Co to wszystko daje?

– Gdy projektowano Kamień, szósta komora miała być kolejnym miastem. Budowniczowie obliczyli jednak, że Kamień można przyspieszyć do trzech procent g. Przed zakończeniem najważniejszych prac znaleźli sposób, by przyspieszyć go bardziej, do kresu mocy. Metoda była skomplikowana i droga, ale dawała Kamieniowi uniwersalność, z której budowniczowie nie mogli zrezygnować. Tak więc szóstą komorę wyposażono w inercyjną maszynę amortyzującą, a to, co tutaj widzimy, to zaledwie jej część. – Skinieniem głowy wskazał na widok za szybą. – To dlatego podłogi komór nie są nachylone, a stawy i rzeki nie mają zapór. Nie są potrzebne. Szósta komora selektywnie neutralizuje wpływ bezwładności na dowolne obiekty na Kamieniu. Na dużą skalę zapobiega skutkom przyspieszania i hamowania całego statku. Na małą skalę znosi efekty inercyjne

w pociągach. Sama się reguluje, choć nie znaleźliśmy sterującego nią „mózgu”.

Deszcz bębnił o przezroczysty dach i spływał po stromej pochyłości nad klatką schodową. Lanier przystanął, żeby spojrzeć na strumyki wody.

– Od tamtego czasu maszynię zmodyfikowano i rozbudowano. Kiedyś zajmowała trzy kilometry kwadratowe, a resztę szóstej komory wykorzystywano na przemysł i badania, których nie można było prowadzić w miastach. Teraz obejmuje także siódmą komorę.

Czterej ludzie ubrani w żółte płaszcze przeciwdeszczowe maszerowali wzdłuż brzegu kanału. Pojazd zaparkowali kilka metrów dalej, na biegnącej nasypem drodze.

– Nasz komitet powitalny – stwierdził Lanier. Podeszli do szczytu schodów. Powiało chłodem i Patricia zadrżała. W górze cicho szumiał deszcz. Między strużkami na szybie, przez podobną do rowu przerwę w chmurach Patricia zobaczyła północną klapę. Wszystkie pokrywy były gładkie, pozbawione wyróżniających cech. Na tej natomiast widniały rzędy prostopadłościanów rozmieszczonych w równych odstępach. Wyglądały jak strome schody. Na każdej z przednich ścian znajdował się eliptyczny wzór. Oceniała, że mają co najmniej kilometr szerokości, a elipsy pół kilometra wzdłuż dłuższej osi.

Pierwszy z przybyłych wszedł po schodach i zsunął kaptur. Patricia ujrzała swojego byłego profesora: rumiana, brodata twarz, małe oczy z wyrazem zadawnionej urazy. Rinskaya był dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Odpowiedział jej podejrzliwym spojrzeniem i skinął głową Lanierowi. Za nim stała wysoka blondynka o regularnych rysach twarzy i dwoje Chińczyków, kobieta i mężczyzna w zielonych czapkach. Wszyscy zdjęli płaszcze i otrząsnęli z nich wodę. Rinskaya podszedł do Patricii, każdym gestem zdradzając rezerwę, może nawet niechęć.

– Panno Vasquez – powiedział. – Mam nadzieję, że stanie pani na wysokości zadania. Mam nadzieję, że nie zrobi pani ze mnie głupca.

Otworzyła i zamknęła usta jak karp, a potem roześmiała się zbyt głośno.

– Profesorze, ja również mam taką nadzieję!

– Proszę się nim nie przejmować – odezwała się blondynka. Miała miły, głęboki głos i lekki brytyjski akcent. – Przez ostatnie cztery miesiące mówił o pani same dobre rzeczy. – Wyciągnęła dłoń. Jej uścisk był ciepły i silny. – Jestem Karen Farley, a to Wu Gi Me i Chang i Hsing. – Chang uśmiechnęła się szeroko do Patricii. Prosta czarna grzywka opadała jej na brwi według najnowszej chińskiej mody. – Jesteśmy z Politechniki Pekińskiej.

Rinskaya w dalszym ciągu przyglądał się Patricii. Przymrużył szare oczy.

– Jest pani zdrowa, nie ma pani choroby kosmicznej, żadnych zaburzeń emocjonalnych?

– Czuję się świetnie, profesorze – odparła.

– To dobrze. Więc wy... – wskazał palcem na Farley, Wu i Chang – ...się nią zaopiekujecie. Ja udaję się do pierwszej komory na odpoczynek. Nie będzie mnie przez tydzień, może dłużej. – Wyciągnął dłoń do Laniera. – Jestem zmęczony, między innymi dlatego, że już sam nie wiem, co mam myśleć o tym wszystkim. Nigdy nie byłem człowiekiem obdarzonym wyobraźnią, a to miejsce... – Wzdrygnął się. – Może pani się bardziej spodoba, panno Vasquez. – Skłonił się sztywno, nałożył płaszcz i poszedł w kierunku rampy prowadzącej na peron. Patricia patrzyła za nim zakłopotana.

– Zazdroszczę mu trochę – powiedział Wu doskonałym amerykańskim. Był prawie jej wzrostu, pulchny, krótko ostrzyżony i miał dzieciinną twarz. – Czytałem ostatnio kilka pani artykułów, panno Vasquez.

– Patricio.

– Są dla mnie za trudne. Chang i ja jesteśmy inżynierami elektrykami. Karen jest fizykiem.

– Fizykiem teoretycznym. Bardzo byłam nie... cierpliwa, żeby cię poznać – powiedziała

Farley.

– Niecierpliwa – poprawił Lanier.

– Tak. – Farley uśmiechnęła się, widząc zdziwienie Patricii. – Jestem obywatelką Chin. Mój wygląd myli większość osób. Proszę mnie poprawiać, jeśli zrobię błąd.

Patricia spojrzała na nich kolejno. Czuła się wyczerpana psychicznie, jeszcze nie gotowa, by poznawać nowych ludzi i nawiązywać bliższe kontakty.

– Zawieziemy Patricię do siódmej komory – powiedział Lanier. – Najpierw jednak może trochę odpocznie.

– Nie. – Patricia zdecydowanie potrząsnęła głową. – Chcę dzisiaj zobaczyć jak najwięcej.

– To dopiero kobieta – powiedziała Farley. – Samobójcza zawziętość. Podziwiam. Chang też ma tę cechę. Natomiast Gi Mi – nazywamy go Szczęściarzem – to leniwy facet.

– Karen i profesor Rinskaya nadają się na poganiaczy niewolników – rzuciła Chang. Jej angielski akcent nie był tak doskonały jak Wu i Farley. Wyjęła spod płaszcza dwie peleryny i podała Lanierowi i Patricii. Założyli je szybko i wyszli spod osłony stacji.

Powietrze pachniało deszczem, ozonem i metalem. Deszcz przeszedł w mżawkę, śnieg przestał padać. Woda spływała strumieniami po pochyłych ścianach do rynsztoków i zbierała się w basenie parę metrów poniżej biegnącej nasypem drogi. Patricia spojrzała na zbiornik i zobaczyła gładki lej wody niknący w ciemnościach.

Pojazd stojący na drodze był repliką ciężarówki, którą przejechali przez pierwszą komorę. Farley wskazała Patricii miejsce przy kierowcy, a pozostali wsiedli z tyłu, odsuwając skrzynie ze sprzętem naukowym. Farley uruchomiła pojazd i ruszyła, nabierając szybkości.

Droga ciągnęła się szeroką, monotonną wstęgą między kompleksami zbiorników i szarymi kształtami przesłoniętymi szybko gęstniejącą mgłą. Wu pochylił się do przodu.

– To, co wygląda jak asfalt, wcale nim nie jest. To skała asteroidu, z której usunięto wszystkie metale i wymieszano z olejem roślinnym. Powstała bardzo twarda, nie pękająca nawierzchnia. Zastanawiamy się, kto to opatentuje.

Patricia stwierdziła ze zdziwieniem, że posępny krajobraz dodaje jej otuchy. Mgła miała niebieskawy odcień, deszcz znowu zaczął mocniej padać, a bębnienie wody o dach pojazdu w połączeniu z łagodnym powiewem ciepłego powietrza z grzejnika pozwalało jej czuć się bezpiecznie, tak jakby spokojnie sobie oglądała program rozrywkowy w telewizji.

Szybko otrząsnęła się z tego stanu. Lanier ją obserwował. Gdy odwróciła się w jego stronę, spojrzął w bok. Dlaczego ją uważają za taką ważną? Co ona może zdziałać w obliczu niewyobrażalnej tajemnicy?

Te myśli przytłaczały i paraliżowały umysł. Spoglądając przez luki w pokrywie chmur, odnosiła wrażenie, że wygląda przez okno wahadłowca wracającego na Ziemię.

Pojazd sunął gładko po łagodnie wijącej się szosie i w ciągu dwudziestu minut przebył całą szóstą komorę. W przedzie zamajaczył znajomy łuk i wjazd do tunelu. Farley włączyła światła.

Po deszczowej szóstej komorze jasne i czyste światło rury plazmowej wydawało się przyjemne.

– Niemal słychać śpiew ptaków – skomentowała Patricia.

– Chciałabym je usłyszeć – powiedziała Farley. Zjechali po rampie. Przed nimi ciągnęła się prosta jak strzała droga, o takiej samej nawierzchni jak ta w szóstej komorze, lecz o połowę węższa. Po obu jej stronach na przestrzeni kilku kilometrów wznosiły się piaszczyste pagórki porośnięte sztywną żółtą trawą. W odległości krótkiego marszu rosły kępy niskich, rachitycznych drzew. Na zachodzie Patricia zobaczyła małe jeziora, coś, co wyglądało na rzekę wypływającą z jednego

z tuneli w pobliżu klapy, i parę pierzastych chmurek. Aż po krańce rury plazmowej krajobraz był równie jednostajny. Sama rura wyłaniała się ze środka klapy jak prosty, niczym nie osłonięty promień światła.

Patricia wyczuła w kabinie napięcie oczekiwania. Wszyscy czekali na jej reakcję.

Reakcję na co? Ta komora sprawiała mniej imponujące wrażenie niż pozostałe. Patricia napięła mięśnie. Co ma powiedzieć?

Lanier dotknął jej ramienia.

– Co widzisz? – spytał.

– Piasek, trawę, jeziora, lasy. Rzekę. Gdzieś tam chmury.

– Spójrz prosto przed siebie.

Spojrzała. Powietrze było przejrzyste. Widzialność wynosiła co najmniej trzydzieści kilometrów. Inaczej niż w pozostałych komorach, Patricia nie mogła dojrzeć północnej klapy. Spojrzała w górę i zmrużyła oczy, próbując zobaczyć koniec rury plazmowej.

Rura nie miała końca. Ciągnęła się z pewnością dalej niż trzydzieści kilometrów, stawała się coraz bledsza i cieńsza, aż niemal nikała na horyzoncie.

Na nie zakrzywionej powierzchni – a taką miały cylindry, kiedy patrzyło się równolegle do osi – horyzont znajdował się znacznie wyżej. Przy dużych odległościach powinien być widoczny w punkcie, gdzie wszystko się zbiega.

– Ta komora jest dłuższa – stwierdziła.

– Tak – zgodził się Wu ostrożnie. Chang skinęła głową, uśmiechając się, jakby usłyszała żart. Ręce trzymała skromnie złożone na kolanach.

– No dobrze. Przejechaliśmy około dwustu dwudziestu kilometrów w głąb Kamienia, który ma dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów długości. Tak więc ta komora powinna się ciągnąć przez jakieś pięćdziesiąt kilometrów. – Ręce jej drżały. – Ale tak nie jest.

– Spójrz uważnie – powiedział Lanier.

– To złudzenie optyczne. Nie widzę północnej klapy.

– Istotnie – potwierdziła Farley współczującym tonem.

– No wiec? – Patricia rozejrzała się po kabinie. Towarzysze podróży nie zmienili wyrazu twarzy, z wyjątkiem Chang, która uśmiechała się tajemniczo. – Co, do diabła, mam zobaczyć?

– Ty nam powiedz – odparł Lanier.

Zastanawiała się gorączkowo, wpatrując się w przeciwległy kraniec komory i próbując obliczyć odległości w ogromnych walcach.

– Zatrzymaj się.

Farley zatrzymała pojazd, a Patricia wysiadła z kabiny i stanęła na drodze. Następnie wspięła się po drabince na dach i spojrzała na drogę, która zbiegała się w oddali. Nie widać było żadnej klapy, żadnej granicy.

– Jest większa – stwierdziła. Farley i Lanier stali przy pojeździe, spoglądając na nią. Dołączyli do nich Wu i Chang. – Jest większa niż asteroid. Ciągnie się poza jego kraniec. To mi chcecie powiedzieć?

– Nic nie mówimy – odparł Lanier. – Pokażemy ci. To jedyny sposób.

– Próbujesz mi wmówić, że ona się nie kończy, że ciągnie się dalej? – Usłyszała w swoim głosie ton paniki i ekscytacji.

Profesor ze Stanford mylił się sześć lat temu. Oprócz istot pozaziemskich i bogów ktoś jeszcze potrafił docenić jej pracę. Wiedziała teraz, dlaczego ściągnięto ją na Kamień.

Asteroid był dłuższy wewnątrz niż na zewnątrz.

Siódma komora ciągnęła się w nieskończoność.

Patricia sprawdziła na zegarku, że spała dziewięć godzin. Leżała na koi, słuchając łagodnego łopotania klap namiotu na wietrze.

Przynajmniej w tej części siódmej komory nie było potrzeby wznoszenia solidnych budynków ze względu na suchy i łagodny klimat. Popatrzyła na płócienny daszek rozciągnięty między aluminiowymi słupkami, na mglisty zarys rury plazmowej widzianej przez brezent.

„Jestem tutaj. To prawda”.

– Kładziesz na szalę swoje życie – szepnęła. Namiot podzielony przepierzeniami miał około stu metrów kwadratowych powierzchni. Farley i Chang rozmawiały po chińsku przyciszonymi głosami.

Przez pierwsze parę godzin, podczas gdy pozostali urządzali dla niej kąt w namiocie i przygotowali posiłek, Patricia ożywiona krążyła wokół jak ćma i zadawała czasami bezsensowne pytania. Lanier z początku obserwował ją ponuro. Wyczuwała, że jest nią rozczarowany. Później jednak dołączył do pozostałych, którzy śmiali się z niej – i z nią. Wytrzasnął nawet skądś butelkę szampana.

– Zrobimy ci chrzest – powiedział.

Po pierwszym toaście próbowali wymyślić lepszą nazwę na to, o czym wszyscy do tej pory mówili „siódma komora” albo „korytarz”

– Spaghetti – rzuciła Farley.

– Nie – sprzeciwił się Wu – przecież jest wydrążony w środku.

– Chang zaproponowała „rurowy świat”. Nazwy „rura” i „tunel” były już zarezerwowane dla innych części Kamienia. Słowa i kształty przenikały się, jak naznaczone erotycznym podtekstem pomieszanie rzeczy-w-rzeczach.

Po paru kieliszkach szampana Patricia zrobiła się senna. Ledwo zdążyli ustawić jej łóżko polowe pod daszkiem. Zapadła w głęboki sen.

Przeciągnęła się i oparła głowę na łokciu, patrząc na piasek i zarośla, a potem w górę na rozległy ląd zasnuty w oddali mgiełką. Z namiotu wyszła Farley i usiadła przy łóżku.

– Marzysz?

– Nie – odparła Patricia. – Rozmyślam.

– Kiedy Garry półtora roku temu urządził nam wielką wycieczkę, myślałam, że zwariuję. Co sadzisz o takiej indoktrynacji? To dla ciebie dopiero początek, ale... – Urwała, patrząc na Patricię błękitnymi oczami. Farley była od niej jakieś dziesięć lat starsza. Zmarszczki wokół ust i oczu świadczyły o poczuciu humoru. Miała bezpośredni sposób bycia. „Jest podobna do Laniera”, pomyślała Patricia.

– Widzieć, to nie znaczy uwierzyć – odparła. – Usłyszeć też z pewnością nie wystarczy.

– Po jakimś czasie odzyskaliśmy spokój ducha – powiedziała Farley, patrząc na szarozieloną drogę. – Niekiedy mnie to martwi. Gdy przyjeżdżają nowi ludzie i widzą to, co my oglądamy każdego dnia, uświadamiamy sobie wszystko na nowo. Czasami czuję się jak żuk pełznący przez elektrownię termojądrową. Coś niecoś czuję, coś niecoś widzę, ale z całą pewnością niewiele rozumiem. – Westchnęła. – Nie jestem pewna, czy Garry to pochwali, ale uważam, że powinnam cię ostrzec przed zjawami.

– Wspominał o nich. Co to za zjawy?

– Niektórzy z nas widzieli duchy. Zjawy. Ja nie i nikt z naszej grupy. Wszyscy zgodnie twierdzą, że to objaw psychicznego napięcia. Nikt niczego nie zarejestrował ani nie sfotografował.

Bądź podwójnie czujna. Nikt nie udowodnił, że Kamień albo korytarz są opuszczone. Jest nas zbyt mało, byśmy mogli dokładnie zbadać i patrolować wszystkie komory. Jeśli cokolwiek zobaczysz, zamelduj o tym, ale nie dowierzaj własnym oczom. – Uśmiechnęła się. – Czy to ma sens?

– Nie – odparła Patricia, przerzucając nogi przez brzeg łóżka. – Mam jakiś plan zajęć? Wiadomo, co mam robić i kiedy?

– Garry powie ci wszystko za jakieś pół godziny. Teraz śpi. Jest skończony. To znaczy, wyczerpany. Trochę się o niego martwimy.

– Macie zielone odznaki. Trzeciego stopnia?

– Skądże. – Farley roześmiała się, odrzucając długie blond włosy na plecy. – Jesteśmy Chińczykami. Mamy szczęście, że udało się nam dotrzeć tak daleko. Znaleźliśmy się tutaj tylko dlatego, że nasze rządy akurat są w dobrych stosunkach. W każdym razie mamy lepiej niż biedni Rosjanie. Badają otwory wlotowe i rury plazmowe. Wszyscy uważają, że fizyka plazmy to ich specjalność, więc utknęli w pobliżu osi. Amerykanie nie mają pojęcia, jacy świetni są rosyjscy archeolodzy. A jeśli chodzi o socjologię... – Potrząsnęła głową ze smutkiem. – Urodziłam się i wychowałam jako marksistka, ale nie jestem pewna, czy mieszkańcy Kamienia odpowiedzialiby leninowskim dogmatom.

– Garry nie podał mi żadnych szczegółów umowy. Czytałam o tym w domu. Wiem, że nie powiedziano nam wszystkiego.

– Statki NATO i Eurospace pierwsze dotarły do Kamienia i rozpoczęły badania. Zgodnie z ustaleniami ISCCOM, NATO ma prawo kierować badaniami, a NATO, jak wiadomo, jest zdominowane przez Stany Zjednoczone. Rosjanie protestowali, twierdząc, że to szczególnie przypadek, ale do tej pory nic nie wskórali. Chińczycy nigdy zbyt nie interesowali się kosmosem, więc zgodzili się na to, co im zaproponowano. Spokojem i uległością osiągnęliśmy więcej niż Rosjanie. Nie ma żadnego Rosjanina w siódmej komorze. Sama się przekonasz.

– Nie mówisz jak Chinka. Farley roześmiała się.

– Dziękuję. Wszyscy uważają, że mam dobry akcent, ale czasami przekręcam słowa... Cóż, chodzi ci pewnie o to, że nie wyglądam na Chinkę. Jestem białą imigrantką w drugim pokoleniu. Moi rodzice zrzekli się brytyjskiego obywatelstwa i wyjechali do Czechosłowacji. Byli inżynierami rolnikami. Chińczycy przywitali ich z otwartymi ramionami w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Tam się urodziłam.

– Większość życia spędziłam w Kalifornii – powiedziała Patricia. – Czuję się uprzywilejowana w porównaniu z tobą. Nie znam prawdziwego świata.

– Świata intryg i międzynarodowej polityki? Ja również. Większość życia spędziłam na farmie w Hopeh. Byłam raczej odcięta od świata. A teraz obie jesteśmy tutaj. – Spojrzała na ziemię, potrząsając głową. – Nie powinniśmy rozmawiać o pewnych rzeczach. Garry mi ufa i cenię to sobie. Staramy się być uprzejmi i godni zaufania. Dlatego zaszliśmy tak daleko. Tak więc właściwy temat do rozmów to sprawy zawodowe. I żadnych dyskusji o sprawach zakazanych dla Wu Chang i dla mnie. Żadnych.

– W porządku – zgodziła się Patricia.

Farley spojrzała na północ, w stronę wylotu korytarza.

– Zbudowali go mieszkańcy Kamienia. Byli ludźmi, podobnie jak ty i ja. Poza tym błądzimy w ciemnościach. Kiedyś jednak natkniemy się na nich... lub na coś o wiele dziwniejszego. – Uśmiechnęła się blado. – Co sądzisz o tym proroctwie?

– Nie mów nic więcej, dostaję dreszczy. Farley poklepała ją po ramieniu.

– Muszę wracać. Garry wkrótce się zjawi. Weszła do namiotu.

Patricia wstała, wygładziła kombinezon i ruszyła przez piasek. Pochyliła się i przesunęła dłońmi po kępach trawy.

Długość korytarza zdumiewała, zapierała dech. Był niewiarygodnie piękny, doskonale zaprojektowany, ekonomiczny – równe oświetlenie, stopniowo zmniejszające się, lecz wyraźne szczegóły: piasek, krzaki, jeziora i rzeki płynące z południa...

Pomimo to, co powiedziała Farley, Patricia czuła się bezpieczna, idąc kolejne kilkadziesiąt metrów na zachód.

I śmiało mogła pójść jeszcze kawałek dalej. Po dziesięciu minutach dotarła do skraju karłowatego lasu i obejrzała się, żeby zlokalizować namiot i rampę prowadzącą do tunelu.

Drzewa przypominały karłowate sosny, mające nie więcej niż dwa metry wysokości. Ich powykrzywiane konary spletały się tworząc nieprzeniknioną gęstwinę. Nigdy nie widziała czegoś podobnego na Ziemi, choć igły przypominały jodłowe. Jej rodzina zwykle kupowała na święta jodełki, zanim w modę weszły sztuczne drzewka.

Patricia pochyliła się i zerknęła pod niski baldachim, ale nie zauważyła śladów życia.

Dziwne, że mieszkańcy Kamienia zabrali ze sobą wszelkie żywe istoty. Ogołocili Kamień. Dokąd poszli?

Nagle wszystko stało się oczywiste. Czuła to za każdym razem, kiedy spoglądała w głąb korytarza. Skierowali się na pomoc, w nieskończoność, jeśli korytarz rzeczywiście był nieskończony.

– Patricio! – zawołał Lanier z namiotu. Drgnęła, mając lekkie poczucie winy, ale w jego głosie nie było nalegania ani nagany.

– Tak?

– Praca czeka.

– Już idę. – Wróciła do namiotu.

Usiedli przy składanym stoliku ustawionym pod daszkiem. Lanier wziął tabliczkę, podłączył blok pamięci i położył urządzenie między nimi.

– Powinnaś się dowiedzieć, do czego jesteś tutaj potrzebna. Masz parę tajemnic do rozwikłania, a ta – wskazał na korytarz – niekoniecznie jest największa.

– Wcale tak nie myślałam – wtrąciła.

– Już ułożyłem dla ciebie wstępny plan zajęć. Zrobisz wycieczkę po mieście w trzeciej komorze, koncentrując się na tamtejszej bibliotece. Miasto nazywa się Thistledown, podobnie jak sam Kamień. Jest o parę wieków młodsze od Aleksandrii. Kilka razy wybierzesz się do biblioteki w drugiej komorze. Zajmie ci to tydzień lub dwa. – Włączył tabliczkę. Na ekranie pojawiły się instrukcje. – Są tu informacje, jak korzystać z metra, rozkład jazdy i ostrzeżenia. Oczywiście nie będę ci mógł towarzyszyć przez cały czas. Mam mnóstwo pracy. Prawdopodobnie na krótko wrócę na Ziemię. Zaopiekuje się tobą wtedy Carrolson. Większość rzeczy, które powinnaś wiedzieć na temat bezpieczeństwa, jest zapisana w tym bloku pamięci. Z kim możesz rozmawiać, a z kim nie powinnaś, i tego rodzaju informacje. Farley, Wu i Chang to wspaniali ludzie, ale bądź ostrożna. Bądź ostrożna wobec każdego, kto nie ma takich samych przywilejów jak ty.

– Z kim mogę rozmawiać, oprócz ciebie?

– Z Carrolson. Możesz rozmawiać z nią o wszystkim, z wyjątkiem tego, co przeczytasz w bibliotekach. Dopiero staram się zdobyć dla niej odpowiednie uprawnienia. Wkrótce poznasz innych. Niektórzy mają dostęp do bibliotek i z tymi osobami będziesz współpracowała. Czy to dość jasne? Przez następne parę tygodni będziesz się zajmowała wyłącznie studiami.

– Jak daleko od obozu mogę odchodzić?

– Jak daleko chcesz, ale bierz ze sobą radio. Pięćdziesiąt kilometrów w głąb korytarza

znajduje się baza oddziału ochrony, a czujniki reagują na ruch w promieniu kilkuset kilometrów. Jeśli zostanie ogłoszony alarm, wracaj jak najszybciej do tunelu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo takiej zmiany sytuacji?

– Małe. – Lanier wzruszył ramionami. – Może żadne. Jeszcze nic takiego się nie zdarzyło.

Mam nadzieję, że nie obraża cię to traktowanie. Gdyby cokolwiek ci się stało, Doradczyni zrobiłaby ze mnie dywan.

Patricia uśmiechnęła się.

– Więc kto jest moją niańką?

– Zanim przyjedzie Carrolson, Farley. Jakieś pytania?

– Później będę zadawała pytania.

– Zgoda. – Lanier zostawił ją przy stole. Patricia wzięła tabliczkę i zaczęła odczytywać pierwszy blok pamięci.

Lanier odleciał następnym statkiem. Zapowiedział, że wróci za dwa dni, by zacząć kolejną część jej edukacji. Carrolson przybyła kilka godzin później, przywożąc pudło bloków pamięci i potężniejszy procesor niedawno sprowadzony z Ziemi.

– Przynajmniej mogę pracować wszędzie, gdzie się znajdę – powiedziała.

Farley, Wu i Chang natychmiast wykorzystali nowy procesor, by rozwiązać kilka problemów.

Patricia przestudiowała informacje na temat korytarza. Jego długość była ciągle nie znana, ale sygnały radarowe wysłane cztery miesiące wcześniej jeszcze nie wróciły. Przypuszczano, że korytarz nie ma końca albo że sygnały zostały pochłonięte przez jakąś przeszkodę.

Ekipy badawcze odbyły kilka wypadów w głąb korytarza, ale na razie żaden z badających nie dotarł poza pięćsetny kilometr. Do tamtego miejsca korytarz był identyczny jak siódma komora: gruba warstwa gleby, atmosfera o typowym dla Kamienia ciśnieniu – sześćset pięćdziesiąt milibarów – i normalne natężenie światła plazmowego.

Korytarz różnił się od siódmej komory tylko pod jednym względem: na czterysta trzydziestym szóstym kilometrze znajdował się krąg sztucznych budowli, a nad dużymi wgłębieniami w ziemi wisiały w powietrzu cztery nieruchome kopuły, rozmieszczone na obwodzie koła w równych odległościach od siebie. Nie wiadomo, z czego były wykonane, jednak tworzywo nie miało zwykłych cech materii z wyjątkiem spoistości. Osiemset siedemdziesiąt dwa kilometry dalej znajdował się następny krąg, który obecnie badała nowa wyprawa.

Patricia sięgnęła do podręcznej torby, wyjęła urządzenie stereo i płytkę z Mozartem. Oddzielona od świata zewnętrznego, czytała dalej słuchając Zaczarowanego fletu.

Po półtoorej godzinie wyłączyła muzykę i zrobiła sobie przerwę.

Pomimo protestów Carrolson, słowo „niańka” doskonale, według Patricii, określało jej rolę. Carrolson nie miała żadnych obowiązków w siódmej komorze i niewiele mogła pomóc Patricii swoim doświadczeniem zawodowym. Jednak dziewczyna czuła się pewniej mając obok siebie starszą kobietę, zrelaksowaną, pewną siebie i łatwą w obcowaniu. Można jej było zadawać pytania, choćby po to, by podzielić się myślami.

Zawiłości protokołu i organizacji przedstawione na wykresie w bloku pamięci, który zostawił Lanier, sprawiały Patricii kłopoty. Badaniami Kamienia kierowały NATO – Eurospace, a konkretnie NASA i Europejska Agencja Kosmiczna, pod nadzorem komisji regulaminowej ISCCOM.

Połączone Dowództwo Sił Kosmicznych miało bardzo dużo do powiedzenia w kwestii prowadzonych badań. Była to właściwie wojskowa operacja, pomimo obecności wielu cywilów. Judith Hoffman, oficjalnie koordynująca z Sunnyvale i Pasadeny działania cywilnych i militarnych instytucji, nieco łagodziła to wrażenie.

Siły bezpieczeństwa na Kamieniu składały się z trzystu Amerykanów, stu pięćdziesięciu Brytyjczyków i stu Niemców; pozostała pięćdziesiątka pochodziła z Kanady, Australii i Japonii. Francja nie była członkiem NATO – Eurospace i odrzuciła zaproszenie do wysłania własnej ekipy na Kamień, bez wątpienia na znak protestu wobec nacisków NATO, by przyłączyła się do wielkiego rozbrojenia w pierwszych dwóch latach dwudziestego pierwszego wieku.

Za pośrednictwem właściwych dowódców oddział bezpieczeństwa przyjmował rozkazy od kapitana Marynarki Stanów Zjednoczonych Bertrama D. Kirchnera, dowódcy obrony zewnętrznej, i od generała brygady Olivera Gerhardta, kierującego obroną wewnętrzną.

Członkowie sześciusetosobowego oddziału rozmieszczeni w całym Kamieniu mieli bronić

cywilów w razie ataku, którego początkowo spodziewano się z siódmej komory lub nie zbadanych jeszcze miast drugiej i trzeciej komory.

Lanier pełnił funkcję zastępcy Judith Hoffman na Kamieniu. Koordynował wszelkie prowadzone tu prace. Lenore Carrolson była starszym kierownikiem naukowym; Heineman stał na czele zespołu inżynierów cywilnych, a Roberta Pickney zajmowała się łącznością.

Skład zespołu naukowców wiele mówił. Znajdowali się w nim matematycy, archeolodzy, fizycy, socjolodzy i historycy, informatycy i eksperci od medycyny i biologii. Było również czterech prawników.

W zespole inżynierskim wojsko miało swojego przedstawiciela. Kodowanymi transmisjami również zajmował się żołnierz. Pickney i jej zastępczyni, Sylvia Link, były odpowiedzialne za wewnętrzną łączność na Kamieniu i komunikację z Ziemią i osiedlem księżycowym.

Patricia doszła do wniosku, że nigdy nie zapamięta nawet najważniejszych nazwisk. Zawsze miała z tym trudności. Lepiej jej szło z twarzami i osobowościami.

Oprócz cywilnego personelu ze Stanów Zjednoczonych i Eurospace, do zespołu naukowego zaproszono przedstawicieli Rosji, Indii, Chin, Brazylii, Japonii i Meksyku. Wkrótce miało przylecieć kilku Australijczyków i jeden Laotańczyk. Carrolson napomknęła, że z Rosjanami są kłopoty. Przylecieli na Kamień przed rokiem, dopiero kiedy zgodzili się na pewne ograniczenia. Pomimo umów domagali się – Patricia uznała, że słusznie – dostępu do wszelkich informacji na temat Kamienia i do bibliotek. Carrolson wyjaśniła, że biblioteki są wyłączną domeną Amerykanów na mocy bezpośredniego rozkazu Hoffman i prezydenta.

– Oszczędziliby nam wielu kłopotów, gdyby po prostu udostępniłi wszystko wszystkim – oświadczyła Carrolson. – Gardzę tajemnicami. – Ale wypełniała polecenia.

– Kto kieruje zespołem naukowym, kiedy jesteś tutaj? – spytała Patricia.

Carrolson uśmiechnęła się.

– Wyzaczyłam Rinskaya. Jest opryskliwy, ale skuteczny. Ludzie z pewnością pomyślą dwa razy, zanim przyjdą do niego ze skargami. Ja jestem za łagodna. Potrzebuję odrobiny wytchnienia.

Blok pamięci zawierał nazwiska osób, którym Patricia mogła opowiadać o swojej pracy. Na temat biblioteki mogła porozmawiać tylko z Rimskaya, Lanierem i jeszcze jednym członkiem zespołu naukowego, którego jeszcze nie poznała – Rupertem Takahashim. Brał obecnie udział w wyprawie w głąb korytarza.

Patricia zjadła obiad z Carrolson i trzema Chińczykami, zdrzemnęła się pół godziny, a potem wzięła tabliczkę, składane krzeselko i poszła do lasku. Tam usiadła i zaczęła robić notatki. Carrolson dołączyła do niej godzinę później; przyniosła termos z mrożoną herbatą i kilka bananów.

– Potrzebne mi będą pewne przyrządy – oznajmiła Patricia. – Kompas, linijka, ołówki albo... Zastanawiałam się nad czymś. Czy któryś z inżynierów albo elektroników mógłby dla mnie zrobić pewną rzecz?

– Jaką?

– Chciałabym zmierzyć wartość g w korytarzu.

Carrolson zacisnęła usta.

– Po co?

– Z tego, co do tej pory przeczytałam, wnioskuję, że korytarz z pewnością nie jest zbudowany z materii. To coś zupełnie innego. Ostatniej nocy, to znaczy, podczas ostatniego odpoczynku, Farley i ja rozmawialiśmy trochę. Dziś rano przejrzałam parę artykułów, które Rimskaya i Takahashi napisali wspólnie przed moim przylotem.

– W niemowlęcych czasach matematyki super przestrzeni – powiedziała Carrolson z kwaśną miną. – Rimskaya powinien trzymać się swojej dziedziny.

– Może, ale wysunął kilka interesujących sugestii. Jutro Karen zamierza zabrać mnie do otworu wlotowego. – Wskazała na rurę plazmową i południową klapę. – Gdybym do tego czasu dostała przyrząd do mierzenia π , mogłabym wykonać pewne obliczenia.

– Dobrze – powiedziała Carrolson. – Coś jeszcze?

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale chciałabym przy okazji zmierzyć stałą grawitacyjną, stałą Plancka i parę innych rzeczy. Potrzebuję czegoś w rodzaju multimetra.

– Myślisz, że wartość stałych może być tutaj inna?

– Przynajmniej niektórych.

– Stała Plancka, kwant pędu? Przecież to niemożliwe.

– Może to z czegoś wynikać. Chciałabym wiedzieć.

Carrolson wstała, wzięła pusty termos, skórki od bananów i wróciła do namiotu. Parę minut później razem z Wu odjechali ciężarówką, kierując się do tunelu prowadzącego do szóstej komory.

Patricia patrzyła w głąb korytarza, lekko marszcząc czoło.

Miała realną, choć ograniczoną władzę. Właśnie skłoniła laureatkę Nobla, żeby skoczyła po coś dla niej.

Znaczną część życia Patricia spędzała w towarzystwie własnych myśli, zagubiona w świecie, który byłby zupełnie niezrozumiały dla większości ludzi na Ziemi. Siedząc teraz przy karłowatym lesie, słuchając symfonii Mozarta i wpatrując się w korytarz, poczuła najpierw niepokój, a następnie irytację, że nie dość szybko pogrąża się w znajomym stanie.

Wiedziała, od czego zacząć. Jeśli korytarz nie jest zbudowany z materii, istnieje zaledwie kilka wyjaśnień. Jest tunelem utworzonym z sił i wychodzącym poza asteroid dzięki jakiejś kosmicznej sztuczce albo nim nie jest. Jeśli nie, wtedy prawdopodobnie sam stanowi superprzestrzenną sztuczkę. Po namyśle odrzuciła jako filozoficznie bezużyteczny – na razie –

pomysł, że korytarz jest złudzeniem.

Teoria superprzestrzennej sztuczki była trudniejsza do rozpracowania. Jeśli budowniczowie Kamienia wykorzystali maszynę z szóstej komory, by zniekształcić czasoprzestrzeń, da się to stwierdzić. Kiedy dostanie multimetr, będzie mogła zmierzyć niektóre parametry. Zakrzywiona przestrzeń w skali korytarza prawdopodobnie spowodowałaby fluktuacje wartości π . Inne stałe różniłyby się w zależności od zmian w wyższych wymiarach.

Zrezygnowała na razie z rozmyślań. Miała do dyspozycji zbyt mało faktów.

Na razie nic więcej nie mogła zrobić, tylko odpoczywać i czytać. Włożyła następny blok pamięci do tabliczki.

– Jak długo przyzwyczajałaś się do braku nocy? – spytała Patricia. Farley stuknęła niecierpliwie palcami w ścianę, czekając na windę. Stały pięćdziesiąt metrów od rampy, na wypolerowanej kwadratowej płycie.

– Nie wiem, czy się przyzwyczaiłam – odparła Farley. – Żyję z tym, ale brakuje mi gwieździstych nocy.

– Można by sądzić, że mieszkańcy Kamienia, z całą swoją techniką, rozwiążą ten problem.

– Wyłączenie rury plazmowej byłoby ogromną stratą energii – rozważała Farley. – Zwłaszcza w siódmej komorze. Przecież ona chyba ciągnie się w nieskończoność. Zresztą jak wyłączyć coś takiego?

Patricia wyjęła tabliczkę i wystukała: „Rura plazmowa siódmej komory – źródło zasilania? Konserwacja? Taka sama jak pozostałych rur?”

Drzwi otworzyły się i obie weszły do dużej okrągłej kabiny. Farley nacisnęła guzik. Złapały się uchwyty zamontowanych w ścianach. Z początku przyspieszenie zwiększyło ich wagę. Po przejechaniu jednej trzeciej drogi winda uzyskała stałą prędkość. Wtedy obie poczuły się znacznie lżejsze. Chwilę potem zaczęło się hamowanie i wytworzył się stan bliski nieważkości. W drzwiach przywitał je wartownik w czarno-szarym mundurze.

Pomieszczenia otaczające siódmą komorę ogrzewano i utrzymywano w nich podwyższone ciśnienie, ale poza tym wyglądały tak, jak zostawili je mieszkańcy Kamienia wieki temu. Wstęgi niedawno zamontowanego oświetlenia przecinały ogromny pomost roboczy.

– Idziemy do osobliwości – poinformowała Farley. Żołnierz zaprosił je gestem do elektrycznego wózka. Trzymając się lin, zajęły miejsca i zapięły pasy.

– Mam wrażenie, że zamierzasz pokazać mi coś zdumiewającego – powiedziała Patricia oskarżycielskim tonem. – Jeszcze nie przyzwyczaiłam się do innych cudów.

– To podrzędny cud – odparła Farley tajemniczo. – Rezultat pozostałych, jeśli rozumiesz teorie Rimskaya i Takahashiego. Jesteś jednak tutaj ekspertem od czasoprzestrzeni.

– Nie jestem taka pewna – stwierdziła Patricia w zamyśleniu.

– Gdyby korytarz był macierzą zakrzywionych geodetyk, zniekształconym kosmicznym tunelem, co spodziewałabyś się znaleźć w jego środku?

– Zastanawiałam się nad tym wczoraj po południu. – Umilkła na chwilę. – W środku znajdowałby się obszar, gdzie załamują się wszystkie prawa fizyki.

– Otóż to.

– Osobliwość?

– Tam właśnie jedziemy – oznajmiła Farley.

Wózek zatrzymał się przy śluzie powietrznej zamontowanej w skalnej ścianie. Farley pomogła Patricji wyplątać się z pasów. Żołnierz zasalutował i powiedział, że zaczeka na nie.

Weszły do śluzy. Farley włączyła światło i zdjęła z wieszaka dwa podniszczone uniwersalne

skafandry próżniowe.

– Możesz skrócić trochę rękawy i nogawki tymi paskami. Swoboda ruchów i precyzja nie są tu potrzebne, tylko ciśnienie, temperatura i powietrze. Nie jest to najczęściej odwiedzane miejsce na Kamieniu.

W tylnej ścianie śluzy była wmontowana drabina o szerokich szczeblach, prowadząca do otwieranego kołem wjazdu w suficie. W kątach leżały stosy najwyraźniej dawno porzuconego ekwipunku.

– Uważaj pod nogi. Rób wszystko powoli. Nie ma niebezpieczeństwa, gdy się jest ostrożnym. Jeśli coś się stanie z twoim skafandrem – co jest mało prawdopodobne – możemy wrócić do śluzy w ciągu niecałych dwóch minut.

Farley sprawdziła szczelność skafandra Patricii i nacisnęła czerwony guzik na tablicy znajdującej się obok drabiny. Z pomieszczenia cicho zostało odpompowane powietrze. Patricia słyszała tylko swój oddech. Farley włączyła radio.

– Ruszamy po drabinie – powiedziała.

– Nigdy przedtem nie miałam na sobie skafandra – rzuciła Patricia, wdrapując się po szczeblach za Farley.

– I nie miałaś choroby kosmicznej. Tak mówiła załoga promu.

– Stan nieważkości jest zabawny.

– Hmm. Przyzwyczałam się do niego dopiero po trzech dniach.

Farley przekręciła koło i pchnęła wjazd. Odchylił się powoli do góry, ale nie do końca. Karen weszła stopień wyżej i pchnęła jeszcze raz. Otworzył się cały. W tunelu wlotowym były zainstalowane silne reflektory, chociaż wejście do siódmej komory znajdowało się w odległości zaledwie kilkunastu metrów, a wewnętrzna rura plazmowa rozsiewała słabą mleczną poświatę.

Patricia spojrzała na południe. Ściany tunelu – nierówne i pożłobione nieregularnymi liniami – ginęły w atramentowej czerni. Na końcu ciemności widniał krąg światła wielkości śrutu trzymanego w wyciągniętej dłoni. Spojrzała w górę i zobaczyła intruzje w pokładach skalnych asteroidu.

– Rura plazmowa ma początek w każdej komorze – poinformowała Farley. – Styka się z klapami; wytwarzana jest przez plazmotron, który działa również w ten sposób, że nie przepuszcza powietrza. W przeciwnym razie wyciekłoby przez otwory wlotowe, to znaczy wyleciało. Wyleciało, tak jest dobrze?

– W porządku – powiedziała Patricia. – A nie wystarczyłaby rotacja?

– Chodzi o wysokość. Gdyby nie plazmotron, ciśnienie atmosferyczne w otworach wynosiłoby około stu osiemdziesięciu milimetrów słupa rtęci.

– Aha – mruknęła Patricia.

– Przypuszczamy, że w klapach są rozmieszczone naładowane płytki, ale jeszcze ich nie znaleźliśmy. Rura w korytarzu jest inna. Nie mamy na razie zielonego pojęcia, jak działa.

Ruszyły wzdłuż ściany, korzystając z rozmieszczonych wszędzie lin i uchwytów. W pobliżu brzegu otworu wlotowego stało rusztowanie o wysokości około pięćdziesięciu metrów. Na jego szczyt prowadziła drabinka umieszczona w długiej cylindrycznej klatce.

– Ty pierwsza – powiedziała Farley. Patricia weszła do klatki i zaczęła się podciągać na rękach, nie podpierając nogami. Zaobserwowała w śluzie, że tak robi Farley. – Kiedy dojdiesz do końca, przyczep pierścień skafandra do kabla. Gdybyś jakimś trafem odpadła, pójdę po ciebie.

Na szczycie rusztowania, pokrywającego się dokładnie z osią Kamienia, Patricia chwyciła się liny zabezpieczającej i zrobiła miejsce Farley. Kilka metrów dalej znajdowała się następna

klatka. Obie wspięły się po drabince na pochyłą klapę.

– Pod tym kątem doskonale widać plazmę – powiedziała Farley.

Miały niewiarygodny widok na korytarz. Gdyby nie wyraźne zniekształcenie perspektywy, krajobraz wyglądałby jak namalowany na ogromnej czarze. Szczegóły były lekko rozmyte w mlecznym świetle rury, które koncentrowało się w jasnym kręgu pośrodku odległej klapy.

– Rosjanie nie mają tutaj wstępu. Pracują przy innych otworach wlotowych.

Patricia spojrzała w koniec drugiej klatki i zmrużyła oczy. Farley skinęła głową.

– To jest to – oświadczyła. – Miejsce, gdzie wszystko staje na głowie.

Wyglądało to jak rura o średnicy pół metra, wykonana z rtęci, ciągnąca się w nieskończoność, ani prosta, ani krzywa. Nie poruszała się ani nie była nieruchoma. Odbijała światło, lecz nie zachowywała się jak lustro, oddając ledwo rozpoznawalne obrazy otaczających ją rzeczy.

Patricia podeszła do osobliwości, starając się nie patrzeć na nią bezpośrednio. Tutaj prawa fizyki załamywały się, tworzył się węzeł, rodzaj kosmicznego pęпка.

Ukazało się odbicie jej zniekształconej, jakby z czystej złośliwości, twarzy.

– Nie wygląda na prostą, ale taka jest. Nie poddaje się penetracji – powiedziała Farley, dotykając gładkiej powierzchni. Jej ręka zsunęła się. – Wygląda na to, że wytwarza siłę, która działa w korytarzu jak siła grawitacji. Nie odczuwa się jej w siódmej komorze, lecz dopiero od miejsca, gdzie zaczyna się korytarz. Wyjaśnienie wydaje się proste. Im dalej od osobliwości, tym siła jest większa. Przy samych ścianach odnosi się wrażenie, że cię przyciągają.

– Istnieje jakaś różnica między przyciąganiem przez ściany a odpychaniem przez osobliwość?

Farley milczała przez chwilę.

– Niech to licha, jeśli wiem. Osobliwość ciągnie się wewnątrz rury środkiem korytarza. Podejrzewamy, że ma coś wspólnego z utrzymywaniem plazmy, ale szczerze mówiąc, jesteśmy ignorantami. Masz pole do badań.

Patricia wyciągnęła rękę. Zniekształcona lustrzana powierzchnia odpowiedziała jej tym samym gestem, wyciągając coś w jej stronę, lecz nie była to ręka. Dłoń i jej odbicie spotkały się. Patricia poczuła opór i nacisnęła mocniej.

Ręka łagodnie zsunęła się w dół. Patricia – ku swojemu zdumieniu – natychmiast zrozumiała zasadę.

– Oczywiście – powiedziała. – To jak dotykanie czasoprzestrzeni. Spróbuj dostać się do wnętrza osobliwości, a przemieścisz się wzdłuż którejś współrzędnej przestrzennej.

– Prześlizgniesz się – stwierdziła Farley.

– Właśnie.

Patricia zbliżyła się do zaokrąglonego początku – a może to był koniec? – osobliwości, objęła ją ramionami, jakby chciała uścisnąć. Zacisnęła palce na zakrzywionej powierzchni i została odepchnięta.

– Gdy się jej dotyka – powiedziała Patricia – odpycha z siłą działającą równoległe do osi. – Dotknęła rury jeszcze dwukrotnie. Tylko lina zabezpieczająca nie pozwoliła jej odlecieć. – Gdy dotykam jej pod tym kątem, odpycha mnie na północ. Gdy z przeciwnej strony – na południe. Brak nieukierunkowanego momentu obrotowego. Albo odpycha na zewnątrz, albo wzdłuż osi.

Farley uśmiechnęła się z zazdrością.

– Szybko chwytaś.

– Miło mi – odparła Patricia z westchnieniem i cofnęła się. – W porządku. Wracajmy. Muszę to przemyśleć.

Farley wzięła ją za rękę i ruszyły w drogę powrotną do służby powietrznej. Patricia miała

szklane, zamyślane spojrzenie.

Ledwo zauważyła jazdę windą. W obozowym namiocie usiadła z tabliczką i procesorem Carrolson. Karen Farley poszła coś zjeść. Gdy wróciła, Patricia drzemała. Karen spojrzała na wyświetlacz.

Z przyszłości? Osobliwość. Przechodzi przez ścianę asteroidu. Siłą odpychania wzrasta odwrotnie do kwadratu odległości. Dokąd poszli mieszkańcy Kamienia?

Brak krzywizny w pobliżu zniekształcającego lustra. Muszę mieć multimetr, żeby to sprawdzić. To wydaje się całkiem prawdopodobne. Gdyby uznać osobliwość za rezultat zaawansowanej techniki, manipulowania geometrią, wykorzystania przestrzeni i zmiennych geodetyk jako narzędzi. Osobliwość, być może nieskończenie długa, ma początek tutaj, na granicy korytarza i komory.

Energia potrzebna do utrzymania rury plazmowej w korytarzu. Funkcja odrębnego wszechświata, którym jest korytarz? Skąd pochodzi materia, gleba, atmosfera? Nie tylko z Kamienia; to oczywiste.

Ciepłe powietrze napływające z korytarza załopotowało brezentem namiotu, zmierzwiło trawę i wymieszało się z chłodnym powiewem od strony klapy, wzniecając tumany kurzu.

Chang i Wu grali w szachy pod płóciennym daszkiem.

Po jakimś czasie Farley również zapadła w drzemkę.

Heineman mrucał coś gniewnie pod nosem. Idąc wolno przez montażownię, odczytywał na tabliczce manifest przewozowy. Ładunek, wyjęty z kokonu i zmontowany, zgadzał się z zamówieniem złożonym – przez zespół inżynierów sześć miesięcy temu. To był zwariowany okres – próby zaprojektowania urządzenia o niezrozumiałych dla członków ekipy właściwościach. Wtedy jeszcze zielone odznaki były rzadkością.

Teraz nikt mu nie odmówi zielonej odznaki. Tylko on potrafi przetestować urządzenie i nauczyć innych jego obsługi.

Pojazd prezentował się wspaniale: pusty walec o długości dwudziestu metrów i szerokości sześciu, przypominający gigantyczny silnik odrzutowy. Heineman zerknął do środka na metalowe sierpy, które miały służyć przymocowaniu cylindra do jakiejś tajemniczej rzeczy. Klamry spoczywały teraz w plastikowych obudowach, które zostaną usunięte, gdy urządzenie dotrze do miejsce przeznaczenia.

To był plazmolot. Obok niego stał – przywieziony w trzech częściach kolejnymi statkami – zmodyfikowany turbośmigłowiec pionowego startu i lądowania Boeinga-Bella, w skrócie VISTOL, oznaczony numerem NHY-24B.

Był to najdziwniejszy samolot, jaki Heineman widział w życiu. Zbudowany pierwotnie dla Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych z przeznaczeniem do misji poszukiwawczych i ratunkowych, miał zamontowane na skrzydłach silniki, które mogły się obracać o sto dwadzieścia stopni. Pięć szerokich łopat każdego śmigła można było złożyć na gondole silnikowej. Na ogonie znajdował się silnik rakietowy, zapewniający dodatkową siłę ciągu... ale w jakich warunkach?

Skrzydła, zawadiacko nachylone do przodu i zamontowane w trzech czwartych długości kadłuba, niemal dotykały ogona w kształcie litery V. Samolot mógł przewozić osiemnastu ludzi, dwuosobową załogę i określony ładunek lub mniej pasażerów i odpowiednio większy ładunek. Był to jednocześnie samolot, helikopter i rakietka.

Heineman pokochał go, czytając dane techniczne. Zawsze miał słabość do gadżetów Rube'a Goldberga.

Samolot VISTOL można było zamocować do plazmolotu w trzech pozycjach: jako strzałę

wystającą z boku, z dziobem i dyszą paliwową pośrodku cylindra; w konfiguracji zgodnej z pierwotnym przeznaczeniem, czyli na ogonie, z wykorzystaniem silnika raketowego; przyczepiony do spodu cylindra.

Heineman nie miał najmniejszego pojęcia, do czego pojazd będzie służył po dostarczeniu na miejsce. Z aeronautycznego czy też astronautycznego punktu widzenia było to czyste szaleństwo. W jaki sposób cylinder sam utrzyma się na kursie po odłączeniu samolotu? Nie ma przecież żadnych silników manewrujących. Będzie mógł jedynie poruszać się wzdłuż osi napędzany silnikiem raketowym...

„To nie moja sprawa”, pomyślał, kończąc sprawdzanie listy. Pomimo początkowego entuzjazmu Heineman uznał, że żaden samolot nie jest naprawdę piękny, dopóki on się nim nie przeleci... i przeżyje.

Kokon zawierał również kontrabandę. W wykazie nie umieszczono dwóch metalowych skrzyń o rozmiarach i kształtach trumien. Heineman dobrze wiedział, co zawierają – szybkie, sterowane radarem działka Gatlinga.

Domyślał się również, gdzie zostaną zainstalowane i po co. Należały do Połączonego Dowództwa Sił Kosmicznych i jedynym człowiekiem, który o nich wiedział, był kapitan Kirchner. Stanowiły bezpośrednie pogwałcenie zasad ustalonych przez ISCCOM.

Heineman był przyzwyczajony do służenia dwóm panom. Wiedział, że Kirchner i Połączone Dowództwo mają swoje powody, by łamać zasady. Wiedział, że Lanier i Hoffman zrozumieją to, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Jeszcze upewnił się, że skrzynie dostarczono do pomostów wyładunkowych zewnętrznej służby bezpieczeństwa i zapomniał o nich.

Wrócił do montażowni i spojrzał na zegarek. Garry spóźniał się.

Lanier, trzymając się lin, dotarł do trzeciego doku. Plazmolot i samolot VISTOL stały na środkowym pomoście jak wielkie damy teatru czekające na występ.

Heineman zmierzył go ponurym spojrzeniem.

– Wyglądasz na wyczerpanego – stwierdził, podając mu tabliczkę. Lanier, nawet nie spojrzawszy, oddał ją bez słowa. – Wystraszysz ludzi, pojawiając się w takim stanie.

– Nic na to nie poradzę – odparł Lanier. Heineman potrząsnął głową z powątpiewaniem i gwizdnął cicho.

– Co cię gryzie?

– Pojazdy gotowe? – spytał Lanier.

Heineman potwierdził skinieniem głowy i wyjął z torby przy pasie pudełko z kośćmi pamięci.

– Wypróbuję je w następnym tygodniu. Jeśli dostanę zieloną odznakę...

Lanier sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął zieloną odznakę i pomachał nią przed oczami Heinemana.

– Jest twoja. Drugi stopień. Idź i sam się przekonaj. Jesteś taki niecierpliwy.

– Taką mam naturę – stwierdził Heineman. Przypiął odznakę do klapy. – Jak idzie dziewczynie? Pomoże nam?

– Nie wiem – odparł Lanier. – Szybko się przystosowuje. – Uniósł brwi i wziął głęboki oddech. – Da sobie radę. – Wyraźnie miał ochotę zmienić temat. – Zdobędę tymczasowe zielone odznaki dla twojej załogi.

– Zamierzam sam odstawić je na miejsce – oznajmił Heineman. Był zaskoczony, kiedy Lanier po prostu skinął głową. Spodziewał się sprzeciwu. – Kto wykona ze mną próbny lot?

– Ja, jeśli będę miał czas – zaproponował Lanier.

– Nie latałeś od lat. Lanier roześmiał się.

– Żaden z nas nie latał czymś takim. Poza tym, tego się nie zapomina. Sam dobrze wiesz.

Zbliżył się do nich jeden z żołnierzy, podając zalakowaną kopertę. Lanier wziął ją bez słowa.

– Spodziewałeś się tego – stwierdził Heineman.

– Tak. – Otworzył kopertę, przeczytał notatkę i schował do kieszeni, z której wyjął wcześniej odznakę Heinemana. – Rozkaz powrotu na Ziemię. Zamierzam spędzić tam parę dni i wrócić następnym statkiem. Larry, dostarcz plazmolot na miejsce, przygotuj się do próbnego lotu, ale zaczekaj do mojego powrotu.

– Doradczyni cię wzywa?

Lanier poklepał się po kieszeni.

– Obowiązki. Muszę się jednak najpierw upewnić, jak sobie radzi Vasquez. – Skierował się w stronę wjazdu.

– Będę czekał! – zawołał za nim Heineman. Spojrzał rozpromienionym wzrokiem na plazmolot i turbośmigłowiec.

Lanier podwiózł Carrolson do siódmej komory. W tunelu kobieta włączyła światło w kabynie i wyjęła jakiś przedmiot z pudełka, które trzymała na kolanach.

– Udziel elektronikom pochwały – powiedziała. – Patricia o coś poprosiła, a oni zrobili to w ciągu doby.

– Co to takiego?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Możesz się zdenerwować. Uśmiechnął się.

– Moja praca polega na denerwowaniu się.

– Poprosiła o przyrząd pomiarowy, którym dałoby się sprawdzić lokalne wartości π , stałej Plancka i stałej grawitacyjnej. Elektronicy poszerzyli jego możliwości. Będzie nim można także zmierzyć prędkość światła, stosunek masy elektronu do masy protonu i czas rozpadu neutronu. Nie wiem, czy skorzysta z tego, ale ma, co chciała.

– To mi wygląda na zaawansowaną technikę.

– Spytałam, jak im się udało zmieścić to wszystko w takim małym przyrządzie. Uśmiechnęli się i powiedzieli, że przez lata budowali satelity obronne i w porównaniu z nimi multimetr to łatwe zadanie. Odzyskali obwody z jakichś zapasowych urządzeń. Nie wiem, jak to działa, ale działa. Przynajmniej na to wygląda. Spójrz. – Wcisnęła jeden z guzików. Na wyświetlaczu pojawiła się liczba 3,141592645.

– Mój kalkulator też to potrafi.

– Nie wykaże jednak zmiany π .

– Kto za to zapłaci?

– Zespół naukowy, oczywiście. Nie ma za grosz poezji w twojej duszy. Wszystko sprowadzasz do pieniędzy?

– Mam to we krwi. Tak czy inaczej, zapisz to na nowy rachunek. Daj mu nazwę Vasquez i trzymaj wydatki w tajemnicy.

– Tak jest, sir. – Carrolson schowała multimetr do pudełka. Wyjechali z tunelu na światło rury plazmowej. – Będzie kosztowna?

– Nie wiem. Chcę oddzielić badania naukowe prowadzone w pierwszych sześciu komorach od tego, co się dzieje tutaj. Wracam na Ziemię na kilka dni i część czasu poświęcę na wyklócanie się z senatorami i kongresmanami o pieniądze. Nie będzie to łatwe.

– Jestem ciekawa, czy uda się jej coś wymyślić – powiedziała Carrolson.

Lanier rzucił jej rozdrażnione spojrzenie.

– Nie zaczynaj. Daj jej wszystko, czego zażąda, traktuj ją dobrze i pilnuj, kiedy mnie nie będzie. Poradzi sobie.

– Bo tak twierdzi Doradczyni? Lanier zatrzymał pojazd przy namiocie.

– Zdaje się, że zaprzyjaźniła się z Farley. Może ona się nią zaopiekuje, gdy będziesz miała coś ważnego do zrobienia? Mimo że jest Chinką.

– Nie przewiduję żadnych problemów.

– Ani ja. Stawiam tylko jeden warunek, żebyś to ty wozila ją do bibliotek z wojskową eskortą, a nie Farley.

– Dobrze. A teraz parę naprawdę przykrych spraw – uprzedziła Carrolson.

– Jakich?

– Rosjanie przebąkują o wycofaniu swoich ludzi. Jeśli Rosjanie odejdą, Chińczycy również mogą to zrobić. Wiem to z pewnego źródła. Musieliby tak postąpić. Też narzekali i nie zechcą, by

ktokolwiek myślał, że są bardziej naiwni niż Rosjanie.

– Do diabła, Farley od miesiący karmi ich opowieściami o siódmej komorze. To im nie wystarcza?

– Nie. Rosjanie również znają podstawowe fakty.

– Do diabła z nimi wszystkimi – warknął Lanier.

– Doskonale – uśmiechnęła się szeroko Carrolson.

– Dopilnuj, żeby Patricia nie rozmawiała z nieodpowiednimi osobami.

– Jasne.

– Łącznie z tobą.

Carrolson przygryzła wargę i gwałtownie potrząsnęła głową.

– Bądź dobrej myśli. A przy okazji, czy nie należy mi się awans?

– Porozmawiam z Hoffman. Cierpliwości.

– Mam dużo cierpliwości – odparła Carrolson. Lanier zmierzył ją surowym spojrzeniem.

Potem uśmiechnął się szeroko i dotknął jej ramienia.

– To będzie nasze hasło. Dziękuję.

– De nada, szefie.

Wu podszedł do ciężarówki.

– Wracają z drugiego kręgu – oznajmił. – Są w odległości sześćdziesięciu kilometrów.

Wiadomość przekazał oddział ochrony.

– Dobrze – powiedział Lanier. – Przygotujmy się na powitanie.

Druga ekspedycja składała się z czterech ciężarówek i dwudziestu sześciu osób. Siedząc pod lasem Patricia obserwowała tuman kurzu wzniesiony przez zbliżające się pojazdy. Wzięła tabliczkę i procesor i pomaszerowała do obozu.

Z tunelu szóstej komory wyjechały jeszcze dwie ciężarówki, turkocząc po rampie. Zaparkowały przy namiocie. Z jednej wysiadł Berenson, dowódca niemieckich oddziałów, a obecnie szef ochrony siódmej komory, a z drugiej Rinskaya i Robert Smith. Rinskaya szarmancko uklonił się Patricii. „Poprawił mu się nastrój”, pomyślała.

Lanier i Carrolson wyszli się z cienia namiotu.

– Jak daleko dotarli? – spytała Patricia Laniera.

– Do dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego kilometra, połowy zasięgu akumulatorów. – Podał jej owinięty w filc instrument. – Twój multimetr. Umieściliśmy go na liście wyposażenia i teraz należy do ciebie. Obchodź się z nim ostrożnie. Elektroniki nie da się tak szybko naprawić.

– Dziękuję – powiedziała Patricia. Wyjęła instrument i instrukcję napisaną na skrawku papieru. Carrolson zajrzała jej przez ramię.

– Ma zasięg około dziesięciu centymetrów – stwierdziła. Rinskaya podszedł do nich i odchrząknął.

– Panno Vasquez – odezwał się.

– Słucham, profesorze? – „Stare nawyki nie giną”, pomyślała.

– Jak się pani podoba problem?

– Fascynujący – odpowiedziała spokojnie. – Rozwiązanie go zajmie trochę czasu... jeśli w ogóle da się go rozwiązać.

– Oczywiście – powiedział Rinskaya. – Przypuszczam, że zna pani nasze hipotezy?

– Tak. Bardzo mi pomogły. – Istotnie tak było. Nie chciała jednak tego podkreślać.

– Dobrze. Widziała pani osobliwość? Skinęła głową.

– Szkoda, że nie miałam multimetra. – Podała mu go. Obejrzał urządzenie i pokiwał głową.

– Świetny pomysł. Widzę, że robi pani postępy. Znacznie większe niż ja. Tak powinno być. Wśród członków wyprawy jest pewien dżentelmen, który bardziej pani pomoże. Nazywa się Takahashi, to zastępca szefa ekspedycji. Bardzo utalentowany teoretyk. Przypuszczam, że czytała pani nasze wspólne artykuły.

– Tak. Bardzo interesujące.

Rimskaya wbił w nią na chwilę surowy wzrok, a potem skinął głową.

– Muszę teraz porozmawiać z Farley – oświadczył i odszedł.

Ciężarówki wyprawy zaparkowały dwadzieścia metrów od obozu. Lanier wyszedł im na spotkanie. Carrolson została z Patricia.

– Tak daleko dotarliśmy w głąb korytarza – powiedziała. – Podobno niewiele odkryli.

Powrót ekspedycji przyniósł pewne rozczarowanie. Nikt nie wysiadł z pojazdów. Na polecenie Laniera ciężarówki przejechały przez obóz i zniknęły w tunelu prowadzącym do szóstej komory.

Lanier wrócił z trzema blokami pamięci. Dał po jednym Carrolson i Patricii, a trzeci schował do kieszeni.

– Raport z wyprawy, bez komentarzy – powiedział. – Takahashi twierdzi, że to nic spektakularnego, z wyjątkiem...

Spojrzał za siebie, w głąb korytarza.

– Tak? – ponagliła go Carrolson.

– Drugi krąg to coś więcej niż unoszące się w powietrzu kopuły. Pod nimi znajdują się otwory. Wyglądają jak studnie. Nie odkryli, dokąd prowadzą, stwierdzili tylko, że są otwarte.

– Korytarz jest dziurawy – stwierdziła Carrolson. – W porządku. Patricio, czas zaplanować wycieczkę do pierwszego kręgu. Kiedy będziesz wolna?

Patricia potrząsnęła głową.

– W każdej chwili. Mogę pracować wszędzie.

– Więc może pojutrze – zdecydował Lanier. – Patricia i ja musimy spędzić trochę czasu w bibliotece. – Dyskretnie dał znak Carrolson. Przeprosiła ich i poszła do namiotu, obrzucając ich spojrzeniem.

– Część druga indoktrynacji zacznie się na następnej zmianie – oznajmił. – Najtrudniejsza ze wszystkich. Jesteś gotowa?

– Nie wiem – odparła, czując skurcz w piersi. – Muszę być. Tyle już przeżyłam.

– To dobrze. Spotkamy się na rampie za dwanaście godzin.

Axis City przeniosło się o milion kilometrów w głąb korytarza od czasu, gdy je zbudowano pięć wieków temu. Olmy i Frant pokonali ten dystans w niecały tydzień, lecąc samolotem łagodną spiralą wokół rury plazmowej.

W historii Thistledown i Drogi nikt nie przedostał się do asteroidu z zewnątrz.

Olmy i Frant przez dwa tygodnie obserwowali przybyszów, którzy zajęli Thistledown, i dowiedzieli się o nich dużo. To naprawdę byli ludzie i nawet sam Korzeniowski nie przewidziałby tego.

Thistledown zatoczyło pełne koło. Geszelowie ostrzegali, że może nastąpić przemieszczenie, ale nikt nie podejrzewał, jakiego rodzaju ani jakie będą jego skutki.

Wypełniwszy podstawowe obowiązki wobec Nexus, Olmy wyłączył rejestratory danych i wrócił do swojego dawnego domu w trzeciej komorze. Cylindryczny budynek z apartamentami, gdzie mieszkała jego triada rodzinna i gdzie spędził dwa lata dzieciństwa, stał na samym skraju Thistledown City, niecały kilometr od północnej kłapy. Kiedyś dom liczył dwadzieścia tysięcy mieszkańców, głównie geszelów, techników i badaczy zatrudnionych przy budowie szóstej komory. Służył wtedy jako tymczasowe schronienie dla setek ortodoksyjnych naderytów wypędzonych przez Nexus z Aleksandrii. Teraz oczywiście był pusty. Nic nie wskazywało na to, by odwiedzi go nowi mieszkańcy asteroidu Olmy przeszedł przez hol i stanął obok lady kredytowej. Uniósł jedną brew, jakby w wyrazie zdziwienia. Wyjrzał przez duże okno i dostrzegł na dziedzińcu franta, cierpliwie siedzącego na ogołocionym piedestale, na którym kiedyś stała rzeźba. Okno dawało złudzenie, że frant znajduje się we wspinałym ziemskim ogrodzie skąpanym w blasku słońca. „Spodobałoby mu się to”, pomyślał Olmy.

Zwrócił się z pytaniem do lady kredytowej i otrzymał odpowiedź, że jego apartament jest zamknięty, podobnie jak wszystkie mieszkania w budynku. Żadnego nie można zająć ani nawet obejrzeć, dopóki nie zostanie odwołany obecny zakaz.

Te rozkazy wydano po wysiedleniu z miasta ostatniej rodziny naderyckiej. Tylko publiczne budynki pozostawiono otwarte dla ostatnich naukowców kończących badania nad exodusem. Ziemianie już skorzystali z paru obiektów, między innymi z Biblioteki Thistledown City.

Olmy przesłał zakodowaną ikonę Nexus do lady kredytowej i powiedział:

- Mam upoważnienie, żeby czasowo znieść zakaz.
- Upoważnienie przyjęte do wiadomości.
- Proszę otworzyć i urządzić mieszkanie numer trzy siedem dziewięć siedem pięć.
- Jakiego wystroju sobie życzysz?
- Takiego jak w czasach, gdy mieszkała w nim triada rodzinna Olmy-Secor-Lear.
- Należysz do tej rodziny?
- Tak.
- Szukam. Polecenie wykonane. Możesz wejść.

Olmy wszedł do windy. Idąc kolistym szarym holem, kilka centymetrów nad podłogą, poczuł od dawna nie doznawane i bardzo nieprzyjemne ściskanie w sercu – zapomniany ból z powodu utraconych marzeń, młodzieńczych nadziei zniszczonych przez politykę.

Żył tak długo, że w jego wspomnieniach mieszały się myśli i emocje wielu różnych ludzi. Jednak jedno uczucie przyćmiewało pozostałe, na pierwszy plan wybijała się jedna ambicja. Przez całe wieki pracował dla rządzących geszelów i naderytów, nigdy nie korzystając z przywilejów, więc teraz może sobie wreszcie na to pozwolić.

Numer jego apartamentu jarzył się na czerwoną na podłodze pod okrągłymi drzwiami, jako jedyny na całym korytarzu. Wszedł do środka i stał przez chwilę w otoczeniu ze swojego dzieciństwa, ogarnięty nostalgią. Wszystkie meble i dekoracje były na miejscu, stanowiąc świadectwo wysiłków jego naturalnego ojca, by powielić wystrój mieszkania w Aleksandrii, z którego zostali usunięci. Spędzili tutaj dwa lata, oczekując na decyzję, zanim mogli się przenieść do nowo zbudowanego Axis City.

Byli ostatnią rodziną, która tu mieszkała, i Olmy miał sporo okazji, by myszkować po pamięci głównego komputera i eksperymentować z programami. Już w dzieciństwie wykazywał smykałkę do techniki, wprawiając w zakłopotanie swoich ortodoksyjnych naderyckich rodziców. I to, co zupełnym przypadkiem odkrył pięć wieków temu w pamięci komputera budynku, wpłynęło na jego życie.

Usiadł w niebieskim fotelu ojca przed kolumną danych, urządzeniem, które obecnie wyszły z użycia w Axis City. Służyły wyłącznie jako uroczne antyki, ale w dzieciństwie Olmy spędził przed nim setki godzin i stwierdził, że doskonale się z nim pracuje. Wysławszy zakodowane ikony, włączył kolumnę i otworzył kanał do pamięci budynku.

Niegdyś pamięć służyła potrzebom tysięcy mieszkańców, przechowując ich archiwa i pełniąc funkcję magazynu milionów możliwych wersji wystrojów wewnątrz. Teraz była wykasowana niemal do czysta. Olmy miał wrażenie, że pływa w ogromnej, ciemnej pustce.

Przesłał numer rejestru i stosu i czekał na zakodowane pytania. W miarę jak się przed nim pojawiały, odpowiadał precyzyjnie.

W pustce wyczuł czyjaś obecność. Fragmentaryczną i niekompletną, lecz silną i rozpoznawalną osobowość.

– Ser inżynierze – powiedział Olmy na głos.

„Mój przyjacielu”. Niemy przekaz był wyraźny i mocny, choć bezdźwięczny. Osobowość Konrada Korzeniowskiego, nawet niekompletna, była imponująca.

– Przyjechaliśmy do domu.

„Tak? Kiedy ostatnio ze mną rozmawiałeś?”

– Pięćset lat temu. „Nadal jestem martwy”.

– Tak – potwierdził Olmy cicho. – Teraz posłuchaj. Musisz się wiele dowiedzieć. Wróciliśmy do domu, ale nie jesteśmy sami. Thistledown zostało ponownie zasiedlone. Czas, żebyś teraz ze mną poszedł...

Patricia i Lanier minęli posterunki ochrony, weszli do biblioteki w drugiej komorze i udali się schodami na górę, idąc po świetlnych pasach. Na trzecim piętrze weszli do czytelnicy z ciemnymi niszami. Lanier zapalił światło w jednej z wnęk i ruszył w stronę regałów, zostawiając Patricię samą. Znowu poczuła chłód, obecność duchów wyczuwalną – pomimo wielu otaczających ją dziwnych rzeczy – wyłącznie w bibliotece. Lanier wrócił z czterema grubymi książkami.

– To jedne z ostatnich książek wydanych w dużych nakładach, zanim zmieniły się formy przekazywania informacji. Nie na Kamieniu, lecz na Ziemi. Ich Ziemi. Przypuszczam, że już się domyśliłaś, co to za rodzaj biblioteki.

– Muzeum.

– Właśnie. Starożytna biblioteka, swojska dla tych, którzy mają starożytne upodobania, prawda? Gdy pojedziesz do biblioteki w trzeciej komorze, poznasz zaawansowaną technikę mieszkańców Kamienia.

Podał jej pierwszy tom. Był wydany w stylu książek Marka Twaina, ale miał grubsze okładki i papier. Przeczytała tytuł na grzbiecie. Krótka historia Śmierci, Abraham Damon Farmer. Otworzyła na stronie tytułowej i spojrzała na datę.

– 2135. Naszego kalendarza?

– Tak.

– To o Małej Śmierci? – spytała z nadzieją.

– Nie.

– Więc chodzi o coś innego – szepnęła. Spojrzała na tytuł pierwszego rozdziału. Od grudnia 1993 do maja 2005. Zamknęła książkę, zakładając kciukiem. – Zanim zacznę czytać, chcę ci zadać pytanie.

– Pytaj. – Czekał cierpliwie.

– To są historyczne prace z przyszłości, ale niekoniecznie naszej, zgadza się?

– Tak.

– Jeśli jednak chronologia jest... właściwa, prawidłowa... jeśli chodzi o naszą przyszłość... to oznacza, że za niecały miesiąc nastąpi katastrofa.

Skinął głową.

– I ja mam jej zapobiec? Jak? Co mogę zrobić?

– Nie wiem, co możemy zrobić. Już się nad tym zastanawialiśmy. Zresztą pytanie, czy to w ogóle się wydarzy. Tak czy inaczej, gdy będziesz czytała te książki, stanie się dla ciebie oczywiste, że wszechświat Kamienia nie jest taki sam jak nasz, przynajmniej pod pewnym ważnym względem.

– To znaczy...?

– W przeszłości Kamienia żaden gigantyczny asteroid--statek kosmiczny nie wrócił w okolice Ziemi.

– To jakaś różnica?

– Tak sędzę, a ty nie? Odwróciła stronę.

– Ile mam czasu?

– Jutro odlatuję na Ziemię. Pojutrze pojedziesz do pierwszego kręgu.

– Czyli dwa dni.

Potwierdził.

– Zostanę tutaj?

– Jeśli zechcesz. Jest tu pomieszczenie przystosowane do noclegów. Jest żywność i kuchenka.

Co parę godzin będzie do ciebie zaglądał wartownik. Nie wolno ci mówić żadnemu z nich, co czytasz. Jeśli poczujesz jakikolwiek dyskomfort, zawiadom ich natychmiast. Jakikolwiek. Nawet jeśli to będą tylko mdłości. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Na razie zostanę z tobą. – Łagodnie ścisnął ją za ramię. – Za parę godzin zrobimy sobie przerwę, dobrze?

– Dobrze – odparła.

Obserwowała, jak zajmuje miejsce w sąsiedniej wnęce. Wyjął z kieszeni tabliczkę i spokojnie zaczął pisać.

Otworzyła na pierwszym rozdziale. Nie czytała wszystkiego po kolei, lecz przeskakiwała od środka książki do początku, potem znowu na koniec, wyszukując opisy najważniejszych wydarzeń lub wnioski.

Stronica 15

Pod koniec lat osiemdziesiątych stało się oczywiste dla Związku Radzieckiego i państw satelitarnych, że świat zachodni wygrywa – lub wkrótce wygra – wojnę technologiczną, i, co za tym idzie, ideologiczną, zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie, czego konsekwencji dla przyszłości narodów i całego systemu nie da się przewidzieć. Rozważano kilka sposobów wyjścia z sytuacji, jednak okazały się nieskuteczne. Gdy Stany Zjednoczone opracowały swój pierwszy satelitarny system obronny, Sowieci zintensyfikowali wysiłki, by zdobyć nowe technologie poprzez szpiegostwo i import objętych embargiem towarów – komputerów i innych skomplikowanych urządzeń – ale szybko okazało się to niewystarczające.

W 1991 roku satelitarne systemy obronne, które sami opracowali, okazały się gorsze pod każdym względem od zachodnich odpowiedników. Sowieccy przywódcy zrozumieli, że stało się to, co przewidywano od lat: Związek Radziecki nie ma szans w rywalizacji z wolnym światem w dziedzinie techniki.

Większość sowieckiego systemu komputerowego była scentralizowana; sieci prywatne lub nie scentralizowane były nielegalne (poza kilkoma wyjątkami, a konkretnie eksperymentem „Agata”) i ściśle tego pilnowano. Młodzi obywatele radzieccy nie mogli się mierzyć w dziedzinie znajomości techniki ze swoimi rówieśnikami w krajach zachodnich. Związek Radziecki zaczął się dusić gnębiony przez własnych tyranów. Był dwudziestowiecznym (lub dziewiętnastowiecznym) państwem w świecie dwudziestego pierwszego wieku. Sowieci nie mieli innego wyboru jak spróbować – używając terminologii sportowej – rzutu na taśmę. Musieli wystawić na próbę odwagę i stanowczość krajów zachodnich. Gdyby przegrali, pod koniec wieku byłiby słabsi niż przeciwnicy. Mała Śmierć była nieunikniona.

Patricia wzięła głęboki oddech. Nie czytała jeszcze nigdy relacji z Małej Śmierci dokonanych z tak odległej – historycznej – perspektywy. Przypomniała sobie koszmar, który przeżywała jako dziewczynka, nieprawdopodobne napięcie i strach, obrazy widziane w telewizji. Od tamtego czasu nauczyła się radzić sobie z tym, ale chłodne, krytyczne oceny, do tego przyswajane w takim otoczeniu, wywoływały dreszcze.

Stronica 20

Mała Śmierć z 1993 roku była partactwem. Niefortunnym wydarzeniem wywołującym

w równym stopniu przerażenie co zażenowanie. Przyniosła w rezultacie kiepskie rozwiązanie na szczeblu międzynarodowym, które przypominało obietnicę dla małych dzieci. Podczas tego pierwszego konfliktu wojska sowieckie i zachodnie, obawiając się nawzajem swojej broni, zdały się na taktykę i technikę minionych dekad. Kiedy doszło do użycia broni nuklearnej – czego w głębi serca przywódcy się spodziewali – satelitarne systemy obronne, jeszcze nie sprawdzone, okazały się całkiem skuteczne. Nie zdołały jednak powstrzymać trzech wystrzelonych z łodzi podwodnych pocisków, które zniszczyły Atlantę, Brighton i część wybrzeża Bretanii. Rosjanie nie zdołali obronić Kijowa. Możliwości walki nuklearnej były ograniczone. Kraje sowieckie i zachodnie skapitulowały niemal jednocześnie. Próbę już jednak przeprowadzono, a Sowieci otrzymali mniej „ciosów” niż przeciwnicy. Nie osiągnęli niczego, doszli natomiast do niebezpiecznego wniosku: że w żadnych okolicznościach nie mogą zostać pokonani i że ich system nie jest przestarzały.

Gdy nadeszła Śmierć, była totalną zagładą. Użyto wszelkiej dostępnej broni. Nikt nie dbał o konsekwencje.

Stronica 35

Z perspektywy czasu wydaje się całkiem logiczne, że kiedy broń raz zostanie wynaleziona, musi być użyta. Zapominamy jednak o krótkowzroczności i zaślepieniu ludzi z końca dwudziestego i początku dwudziestego pierwszego wieku, kiedy to najbardziej niszczycielską broń uważano za dobrą obronę, a horror Armageddonu za dostatecznie odstraszący, by nie zaryzykowało go żadne normalne społeczeństwo. Narody jednak nie były normalne. Racjonalne, świadome, opanowane, ale nie zdrowe na umyśle. W każdym narodzie istniał arsenał w postaci silnej nieufności i nienawiści...

Stronica 3

Rezultatem Małej Śmierci były cztery miliony ofiar, większość w Europie Zachodniej i Anglii. W wyniku Śmierci zginęło dwa i pół miliarda ludzi. Liczba ta jednak na zawsze pozostanie niepewna, ponieważ istnieje możliwość, że wielu ciał nie zdążono policzyć. Wiele też całkowicie wyparowało.

Patricia wytarła oczy.

– To okropne – szepnęła.

– Możesz zrobić sobie przerwę, jeśli chcesz – zaproponował Lanier z troską.

– Nie... jeszcze nie. – Dalej przerzucała stronicę książki.

Stronica 345

Bitwy morskie były makabrycznymi żartami.

W czasie Małej Śmierci okręty podwodne tropiono (i w wielu wypadkach zatapiano) aż do samej kapitulacji, a nawet później, ale wielkie floty stoczyły tylko niewielkie potyczki. W głównym konflikcie, kiedy wojna zaczęła się na dobre, około dwóch godzin po pierwszych wrogich działaniach marynarki Wschodu i Zachodu „wkroczyły na ścieżkę wojenną”. W Zatoce Perskiej, na północno-zachodnim Pacyfiku, północnym Atlantyku i na Morzu Śródziemnym (Libia udostępniła Sowiecom śródziemnomorską bazę w 1977 roku) stoczono zażarte i szybkie bitwy. Było niewielu zwycięzców. Bitwy morskie w czasie Śmierci trwały przeciętnie pół godziny, a wiele zaledwie pięć minut. Pierwszego dnia, kiedy przeciwnicy próbowali wybadać swoje strategiczne zamiary, jeszcze

przed eskalacją konfliktu, marynarki bloków wschodniego i zachodniego zniszczyły się nawzajem. Były to ostatnie wielkie floty na oceanach Ziemi, a ich radioaktywne szczątki nadal, sto trzydzieści lat później, są przyczyną skażenia wód.

Stronica 400

Dziwnym zjawiskiem drugiej połowy dwudziestego wieku był wzrost liczby „samotników”. Ludzie ci – zwykle w grupach po pięćdziesiąt lub mniej osób – zasiedlali odludne zakątki globu, spodziewając się wielkiej katastrofy, która zniszczy cywilizację i w rezultacie przyniesie anarchię. Mając zapasy żywności i broni, nastawieni na przetrwanie, moralne i fizyczne odizolowanie się, stanowili ucieleśnienie tego, co Orson Hamill nazwał chorobą dwudziestowiecznego konserwatyzmu. Nie ma tu miejsca, by analizować przyczyny tej choroby, w której indywidualna siła i zdolność przeżycia liczą się bardziej niż wszelkie względy moralne, a zdolność do niszczenia jest stawiana wyżej niż szlachectwo ducha. Ironia losu jest jednak wielka.

„Samotnicy” mieli rację...a jednocześnie mylili się. Katastrofa nadeszła i większa część świata została zniszczona, ale nawet w czasie Długiej Zimy, która potem nastąpiła, cywilizacji nie ogarnęła anarchia. W ciągu roku powstały zbratane społeczności. Życie jednostek stało się niemal święte i wszyscy, którzy przeżyli Śmierć, zostali braćmi. Miłość i pomoc sąsiedzka okazały się najważniejsze, gdyż żadna pojedyncza grupa nie miała środków ani sił, by przetrwać. Enklawy „samotników”, dobrze uzbrojonych i nie przebierających w sposobach obrony, wkrótce stały się przedmiotem nienawiści i strachu, stanowiąc jedyny wyjątek od nowego pojęcia braterstwa.

W ciągu pięciu lat od zakończenia Śmierci wytropiono większość enklaw „samotników”, a ich na wpół szalonych członków zabito lub schwytano.

(Niestety w trakcie czystki zlikwidowano także wiele odizolowanych społeczności „ocalałych”. Rozróżnienia między tymi grupami o podobnych inklinacjach można dokonać dopiero z perspektywy historycznej. Nie próbowały nawet zrobić tego władze z tamtych czasów.) Wielu „samotników” osądzono za zbrodnie przeciwko ludzkości, zwłaszcza za odmowę uczestniczenia w odbudowie cywilizacji. Z czasem czystki objęły wszystkich, którzy domagali się prawa do noszenia broni, a nawet, w niektórych społecznościach, wszystkich, którzy byli zwolennikami maksymalnie rozwiniętej techniki.

Wojskowych, którzy przeżyli, zmuszono do poddania się resocjalizacji.

Proces z 2015 roku, kiedy to wysokich rangą polityków i oficerów obu bloków oskarżono o zbrodnie przeciwko ludzkości, stanowił punkt przelomowy i surową, lecz zrozumiałą reakcję na potworności Śmierci.

To wydawało się nierealne. Patricia zamknęła oczy. Przeczytała relację o wydarzeniach, które jeszcze nie nastąpiły... i miały miejsce w innym wszechświecie.

Przełknęła ślinę. Jeśli to wszystko naprawdę ma się wydarzyć, należy coś zrobić. Przekartkowała przypisy.

Na stronicy 567 znalazła to, czego szukała. Na dwustu stronicach zamieszczono listę wszystkich miast, które zostały zbombardowane, oraz przybliżoną liczbę ofiar śmiertelnych i rannych. Odszukała Kalifornię: dwadzieścia pięć miast trafionych głowicami nuklearnymi. Los Angeles – dwadzieścia trzy w przeciągu dwóch tygodni. („Paroksyzm” – brzmiał komentarz na dole stronicy). Santa Barbara – dwie. San Francisco, łącznie z Oakland, San Jose i Synnyvale – dwadzieścia w ciągu trzech dni. San Diego – piętnaście. Long Beach – dziesięć. Sacramento – jedna. Fresno – jedna. Ośrodek Operacji Kosmicznych Vanderberg – dwanaście w równych odległościach wzdłuż

pasa przybrzeżnego.

Bazy lotnicze w miastach lub ich pobliżu, w tym cywilne lotniska, które można było wykorzystać do celów militarnych: pięćdziesiąt trzy. Zostały też zniszczone wszystkie ośrodki lotów kosmicznych na całym świecie, nawet w krajach neutralnych (i znowu przypis: „Paroksyzm”).

Patricia poczuła zawrót głowy. Odniosła wrażenie, że się oddala, izoluje od otoczenia. Jest Patricia Luisa Vasquez, ma dwadzieścia cztery lata i wiele lat życia przed sobą. Jej rodzice nie umrą jeszcze długo... niewyobrażalnie długo, ponieważ ich zna od tak dawna. I Paul także będzie bezpieczny, ponieważ dopiero się poznali i ponieważ był jedynym mężczyzną, który starał się dowiedzieć, o czym ona myśli.

Ale wszyscy oni mieszkali w okolicach, które wyparują – mogą wyparować – z powierzchni Ziemi.

To całkiem proste. Odlatując stąd, co nastąpi wkrótce, może za parę dni, weźmie ze sobą tę książkę. Zabierze ją na Ziemię i pokaże ludziom. Może już kiedyś zrobiono coś takiego.

A jeśli oba wszechświaty są wystarczająco podobne, ludzie zostaną zmuszeni do działania. W obliczu wojny nuklearnej zaczną się rozbrajać, zaczną przepraszać: „Boże, jak nam przykro, że omal do tego nie doszło; przyjmijmy to jako błogosławieństwo i...”

– O Chryste! – Zamknęła książkę i wstała.

Lanier poszedł z nią do zaniedbanego parku wokół biblioteki. Płakała przez pięć minut, zanim się uspokoiła. Miała trudności ze sformułowaniem pytań, które chciała zadać. I bała się odpowiedzi...

– Czy ktoś dokonał porównań? Między ich historią a naszą? – spytała.

– Tak – powiedział Lanier. – Ja i Takahashi.

– On wie tyle samo co my? Lanier skinął głową.

– Co odkryłeś? Czy nasze wszechświaty są podobne?

– Różnice w zapisach historycznych są na tyle nieistotne, że można je interpretować jako różnice między dwoma źródłami. Żadnych poważnych rozbieżności. Do czasu przybycia Kamienia.

– A sytuacje opisane w książkach... to brzmi, jakby wydarzyło się teraz na Ziemi, prawda?

– Tak.

– Mała Śmierć niczego nas nie nauczyła?

– Na to wygląda.

Usiadła na betonowym murku pod uschniętym drzewem.

– Na Ziemi wiedzą?

– Wie jedenastu ludzi, tu i na Ziemi.

– Co robią w tej sprawie?

– Wszystko, co mogą – odparł Lanier.

– Ale Kamień może zmienić bieg rzeczy. To zasadnicza różnica. Prawda?

– Mamy taką nadzieję. W ciągu następnych kilku tygodni musimy zdobyć jak najwięcej odpowiedzi na pytania o alternatywne wszechświaty, o miejsce, skąd pochodzi Kamień. Potrafisz pomóc?

– Musimy wiedzieć, skąd się wziął Kamień i na ile podobne są nasze światy, żeby stwierdzić, czy będzie wojna na Ziemi?

Lanier potwierdził skinieniem głowy.

– To bardzo ważne.

– Nie rozumiem, co dadzą wyniki, które uzyskam.

– Hoffman uważa, że jeśli ktokolwiek może nam pomóc, to tylko ty.

Patricia skinęła głową i spojrzała w bok.

– W porządku. Mogę postawić warunki?

– Jakie warunki?

– Chcę, żeby ewakuowano moją rodzinę i przyjaciół, żeby wywieziono ich tam, gdzie będą generałowie i politycy.

– Nie. – Obszedł powoli drzewo. – Nie gniewam się, że o to prosisz, ale odmawiam. Nikt z nas nie prosił o coś takiego. Choć oczywiście myśleliśmy o tym.

– Masz rodzinę?

– Brata i siostrę. Moi rodzice nie żyją.

– Żona? Nie. Jesteś kawalerem. Przyjaciółka, narzeczona?

– Żadnych trwałych związków.

– Więc możesz być bardziej obiektywny niż ja – rzuciła Patricia ze złością.

– Wiesz, że to nie ma nic do rzeczy.

– Mam tu pracować dla was i czekać, aż moi rodzice, chłopak, siostra i wszyscy ludzie, których kocham, zginą w kataklizmie?

Lanier przystanął przed nią.

– Przemyśl to, Patricio.

– Wiem, wiem. Na Kamieniu są setki ludzi. Gdyby wszyscy o to poprosili, zrobiliby się zamieszanie. Dlatego ograniczono dostęp do bibliotek.

– To jeden z powodów – powiedział Lanier.

– I żeby Rosjanie się nie dowiedzieli?

– To także.

– Sprytne. – Wbrew temu, czego się spodziewał, powiedziała to spokojnie. Zachowywała się rozsądnie i nie wyglądała na rozhisteryzowaną. – Co się stanie, kiedy dostanę list z domu? – spytała.

– Jeśli nie odpiszę?

– To nie będzie miało dużego znaczenia, prawda? Zostało tylko kilka tygodni.

– Jak się będę czuła, dostając listy? Jak będę mogła pracować?

– Będiesz pracować – powiedział Lanier – wiedząc, że jeśli szybko uzyskamy odpowiedź, będziemy mogli działać.

Wpatrywała się z suchą żółtą trawę.

– Piszą w tej książce, że wszystkie kosmodromy zostały zbombardowane.

– Tak.

– Jeśli tak się stanie, utkniemy tutaj, prawda?

– Tak. Większość z nas. Zresztą i tak nie będziemy chcieli wracać.

– To dlatego zaczęliście uprawiać ziemię? Nie dostaniemy niczego z Ziemi przez... jak długo?

– Jeśli wybuchnie wojna i będzie taka, jak w opisach, może przez trzydzieści lat.

– Ja... nie dam rady pójść teraz do biblioteki. Mogę trochę tutaj zostać?

– Oczywiście. Wróćmy do pierwszej komory i zjedźmy obiad. I pamiętaj, muszę żyć z tą wiedzą już od jakiegoś czasu. Nie ma powodu, żebyś i ty nie potrafiła.

Wstała bez słowa. Nie była roztrzęsiona. Czuła się zadziwiająco dobrze, zważywszy na okoliczności.

– Chodźmy – powiedziała.

Podróżnicy zebrali się obok ciężarówki dwie godziny przed poranną zmianą. Wyglądali jak grupka turystów wybierających się na wycieczkę. Ciężarówka była mocno obciążona.

Patricia siedziała między Takahashim a muskularnym żołnierzem piechoty morskiej o nazwisku Reynolds. Reynolds miał laser i pistolet maszynowy. Carrolson usiadła obok kierowcy, porucznika marynarki amerykańskiej Jerry'ego Lake'a, wysokiego, ogorzałego mężczyzny o piaskowych włosach. Lake obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, skinął głową Takahashiemu i uśmiechnął się do Patricii.

– Moi ludzie mają rozkaz chronić pannę Vasquez za wszelką cenę. Proszę więc nie oddalać się bez pozwolenia.

– Tak jest, sir – odparła Patricia spokojnie. Takahashi, niski pół-Japończyk, dobrze zbudowany, o krótko obciętych czarnych włosach i dużych zielonych oczach, odpowiedział Lake'owi skinieniem głowy. Jako jedyny miał na sobie zwykłe ubranie – bawełnianą koszulę, wiatrówkę i spodnie z denimu.

– Mam pozwolenie – wyjaśnił wcześniej w namiocie. – Jestem uczulony na barwnik kombinezonu.

Lake ruszył. Carrolson sprawdziła ekwipunek według listy odczytywanej przez Farley.

Ciężarówka wiozła ośmiu pasażerów: czterech wojskowych i czterech „ważniaków”, jak Carrolson nazwała naukowców i Patricię.

Patricia utkwiała wzrok w siedzeniu przed sobą. W kieszeni miała list od Paula, który dostała podczas poprzedniej zmiany.

Droga Patricio,

Gdziekolwiek jesteś, moja tajemnicza kobieto, mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Życie tutaj jest zwyczajne, ziemskie – zwłaszcza kiedy pomyślę, gdzie Ty możesz być – ale jakoś się toczy. Pozostaję w kontakcie z Twoimi rodzicami. Rita jest wspaniała, a Ramon i ja ucinamy sobie miłe pogawędki. Dowiedziałem się o Tobie sporo za Twoimi plecami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Słyszałem, że rozpatrywano podanie, które złożyłem u Prestera i Montona (producenci oprogramowania), ale wszystko jest wstrzymane do czasu uchwalenia ustawy o Platformie Obronnej. Mówi się o działaniach obstrukcyjnych, które mogą opóźnić sprawę o całe miesiące.

Dość o tym. Rozpaczliwie za Tobą tęsknię. Rita zapytała mnie, czy zamierzamy się pobrać, a ja milczałem, tak jak chciałaś. Pragnę tego, wiesz dobrze. Nie dbam o to, że jesteś taka tajemnicza i nawet nie wiem, gdzie się teraz znajdujesz. Tylko wróć i powiedz „tak”. Znajdziemy sobie dom. Nie bądź tym razem zbyt uparta. Cóż, wystarczy. Prawdopodobnie masz ważniejsze rzeczy na głowie, a moje narzekania tylko Cię rozpraszają. Już wiesz, że nie mogę zakończyć listu bez przykrej i niezręcznej uwagi. Kocham Cię. Całuję.

Paul

Napisała długą, ocenzurowaną przez siebie odpowiedź, pokazała ją Carrolson do zatwierdzenia i wysłała na Ziemię następnym statkiem.

Ku własnemu zaskoczeniu napisanie listu przyszło jej łatwo. Przekazała w nim wszystko, co Paul chciałby usłyszeć, wszystko, co uznała za konieczne, na wypadek gdyby Paul rzeczywiście miał zginąć za kilka tygodni. Nie znaczy to, że naprawdę zaakceptowała taką możliwość. Nie byłaby wtedy tak spokojna.

Lanier znajdował się w drodze na Ziemię. Patricia zazdrościła mu. Wolałaby tam czekać na

śmierć, niż żyć tu ze straszną świadomością.

Nie, to nieprawda. Zamknęła oczy i skarciła siebie. To największa odpowiedzialność, jaką na nią kiedykolwiek złożono. Musi przewyciężyć paraliżujący smutek i pracować usilnie, żeby zapobiec zagładzie.

I – niemal się za to znenawidziła – pracowała. W końcu osiągnęła właściwy stan umysłu. Zaczęły napływać sprzeczne rozwiązania, wszystkie w postaci równań, które kolejno odrzucała po wykazaniu błędów.

Takahashi sprawiał wrażenie bystrego i sumiennego człowieka, ale Patricia nie miała ochoty na rozmowy, więc niewiele o nim wiedziała. Lanier zdecydował, że Takahashi i Carrolson mają od tej pory służyć jej pomocą we wszystkich niemal sprawach.

Droga skończyła się pięćdziesiąt kilometrów od obozu. Ciężarówka wjechała w płytki wąwóz. Wielkie koła o stalowych szprychach wydawały dziwny świszczący odgłos na ubitej ziemi. W miarę jak się posuwali naprzód, wygląd korytarza się nie zmieniał. Południowa kłapa oddalała się powoli i nie sprawiała już tak przytłaczającego wrażenia. Patricii było niewygodnie wykręcać głowę, żeby obserwować widok, więc rzucała tylko przelotne spojrzenia za okno. Carrolson, Farley i Takahashi grali w szachy na tabliczce, a Patricia przyglądała się im z roztargnieniem.

– Połowa drogi – oznajmił Lakę dwie godziny później.

Gracze zapisali swoje ruchy i wyłączyli tabliczkę. Ciężarówka zwolniła i łagodnie się zatrzymała. Żołnierze wysiedli, przeciągając się z ulgą. Patricia poszła w ich ślady i stanęła na wysuszonej ziemi, rozprostowując kości i ziewając. Carrolson z przenośną chłodziarką w ręku nadeszła z drugiej strony pojazdu i naląła drinki do kubków.

– Wszelkie luksusy – powiedziała.

– Piwo? – spytał Reynolds.

– Za naukę – odparła Carrolson. – Ktoś jest głodny? Patricia wyjęła z torby kanapkę i odeszła z Takahashim kilkadziesiąt metrów od ciężarówki. Przez chwilę czuła niepokój, który szybko minął. Czego można się bać na pustyni, na której nie ma nawet owadów? Sama ta pustka dawała poczucie bezpieczeństwa. Nie zapisana tabliczka.

– „Morze było mokre, jak powinno być, piasek był suchy...” – zacytowała.

– Istotnie – zgodził się Takahashi. Ukucnęła, a on usiadł obok niej na ziemi w pozycji lotosu.

– Wiesz, dlaczego pojechałem na tę wycieczkę?

Miał krępująco bezpośredni sposób bycia. Odwróciła wzrok.

– Bez wątplenia po to, by mieć na mnie oko.

– Tak. Lanier powiedział, że należy cię uważnie obserwować. Jak się czujesz?

– Dość dobrze.

– Biblioteka... – ściszył głos i spojrzał w stronę kłapy. – To nie jest łatwe.

– Wkrótce będę się czuła jak księżniczka otoczona przez świtę.

Takahashi zachichotał.

– Nie będzie tak źle. Ciągle uspokajam Laniera. Muszę ci jednak zadać ważne pytanie. Możesz pracować?

Patricia dokładnie wiedziała, co on ma na myśli.

– Pracuję. Nawet w tej chwili.

– To dobrze. – Nic więcej nie trzeba było dodawać. Zerwała gałązkę, żeby przekonać się, czy tutejsze rośliny różnią się od gatunku rosnącego w pobliżu obozu. Nie różniły się, miały małe, woskowane listki. Nawet sucha trawa była taka sama.

– To nie jest rajski ogród – stwierdziła. – Spodziewałam się choćby karłowatych lasów.

– To miejsce niszczeje – powiedział Takahashi.

– Zastanawiałeś się kiedyś, ile ziemi musieli zwieźć do korytarza? – zapytała wstając. Ugryzła tylko kilka kęsów kanapki. Nie odczuwała głodu od dwóch dni. – Jeśli warstwa ma ćwierć kilometra grubości...

– Tak oceniamy na podstawie sondowania – przyznał Takahashi.

– Powiedzmy, że korytarz ma miliard kilometrów długości...

– Skąd ta liczba?

– Tylko domysł – odparła. – To daje około czterdziestu miliardów kilometrów sześciennych ziemi.

– Gdybyśmy pokruszyli Ziemię i wyłożyli nią korytarz – magmą, materiałem jądra i skorupy – pokrylibyśmy drogę długości około trzydziestu miliardów kilometrów. – Takahashi wsadził palec w piasek.

– A jeśli dalej są góry? Potrzeba by wtedy jeszcze więcej ziemi i skał.

– To możliwe – przyznał Takahashi. – Pytanie brzmi: skąd to wszystko wzięli? I nie zapominajmy o powietrzu. Jego warstwa ma około dwudziestu kilometrów grubości, co daje... jeden przecinek sześć bilionów kilometrów sześciennych powietrza, przy gęstości gram na litr...

– Już nad tym wcześniej pracowałeś.

– Oczywiście. Wiele razy. Zaczął Rinskaya, a kontynuowali statystycy. Ja kibicowałem. Pomyśl, ile to problemów logistycznych. W jaki sposób odnawia się powietrze w korytarzu? Regeneracyjne stawy Kamienia nie dałyby sobie z tym rady, zwłaszcza gdyby żyły tu zwierzęta. Więc może jest dość powietrza na kilka tysięcy lat.

– Nie wydaje mi się – stwierdziła Patricia. – Ktokolwiek to zbudował, projektował na wieczność. Nie masz takiego wrażenia?

– Czasami. Co nie oznacza, że to jest uzasadnione przypuszczenie.

– Jednak musi istnieć jakiś system konserwami korytarza.

Takahashi skinął głową.

– Rinskaya wysnuł teorię, że w korytarzu są otwory, zanim jeszcze odkryliśmy studnie.

Przyłączyła się do nich Carrolson.

– Zwróciliście uwagę na zapach? – spytała. Patricia i Takahashi potrząsnęli głowami.

– Pachnie jak tuż przed burzą. Przez cały czas. Jednak poziom ozonu nie jest wysoki. Kolejna zagadka.

Patricia wciągnęła powietrze. Pachniało świeżością, ale nie tak jakby zanosilo się na burzę.

– Wychowałam się w deszczowej okolicy. To ten zapach, na pewno – upierała się Carrolson.

Przez resztę podróży Patricia rozwiązywała problemy na procesorze, wprowadzając różne wielkości i masy, robiąc zestawienia.

Godzinę później Takahashi pokazał jej cztery studnie rozmieszczone na obwodzie koła. Każda znajdowała się we wgłębieniu mającym pół kilometra średnicy i dwadzieścia metrów głębokości. Nad każdym dołem na wysokości ośmiu metrów wisiała w powietrzu, niczym nie podtrzymywana, odwrócona do góry spodem brązowa czara o średnicy piętnastu metrów.

Ciężarówka zwolniła na brzegu wgłębienia. Na prośbę Takahashiego Lakę objechał studnię, zanim się zatrzymał. Wysiedli i zbliżyli się do krawędzi.

– Zrobiliśmy ze dwadzieścia wycieczek do tego kręgu – powiedział Takahashi. – Niemal ubiliśmy trakt.

Patricia wyciągnęła przed siebie multimetr: wartość pi się nie zmieniła. Ukłękła i wysunęła instrument poza krawędź. Odczyt pozostał taki sam.

– Zejdź w dół – zaproponował Takahashi. Żołnierze, Farley, Carrolson i Takahashi stali na brzegu wgłębienia. Patricia zmarszczyła brwi.

– Kolejna inicjacja? Ty pierwszy.

– To zepsuje zabawę – zaprotestowała Carrolson. – No, śmiało.

Patricia ostrożnie postawiła nogę na piaszczystym zboczu.

– Dalej – ponaglił Lakę.

Westchnęła i zeszła niżej. Po dziesięciu metrach, czując się dziwnie, spojrzała za siebie. Była nachylona pod innym kątem niż pozostali. Zakręciło się jej w głowie, próbowała się wyprostować i omal nie upadła. Naturalną pozycję ciała wyznaczał promień krzywizny czary, jakby siła grawitacyjna w korytarzu działała wzdłuż niego. Jednak multimetr nie zarejestrował lokalnego zniekształcenia przestrzeni. Członkowie wyprawy ruszyli za Patricia.

W cieniu wiszącej czary znajdowała się lekko wystająca brązowa zatyczka o połowę węższa od czary. Takahashi przeszedł przez nią, by udowodnić, że nie ma niebezpieczeństwa. Patricia poszła w jego ślady, trzymając przed sobą multimetr. Żadnych zmian.

– Macie jakieś wyjaśnienie, co utrzymuje czarę? – spytała. Farley i Carrolson wzruszyły ramionami. Żołnierze siedzieli na piasku wokół studni. Wyglądali na znudzonych.

– To chyba nie jest właściwe pytanie – powiedział Takahashi. – Spójrz na materiał, z którego jest wykonana misa i zatyczka. Przyjrzyj się uważnie. O ile możemy stwierdzić, to ten sam materiał, z którego wykonane są ściany korytarza.

Patricia uklękła i przesunęła dłońmi po powierzchni zatyczki. Na brązowej powierzchni wiły się jak robaki i zlewały ze sobą czerwone i zielone smugi. Miejscami występowały czarne plamy.

– To także geometria, prawda? – spytała Patricia.

– Na pewno nie materia – odparła Carrolson. – Wykluczaliśmy tę możliwość zaraz po odkryciu studni.

– Trochę czasu zabrało nam oswojenie się z myślą o wykorzystaniu przestrzeni jako materiału budulcowego – powiedział Takahashi. Farley przytaknęła energicznie.

– Ze mną jest inaczej – stwierdziła Patricia spokojnie. – Pisałam o tym cztery lata temu. Jeśli niemowlęce wszechświaty z jakiegoś powodu nie mogą przybrać określonego stanu, w związku z ciągłymi przeciwstawnymi transformacjami przestrzennymi powstaje bariera uniemożliwiająca penetrację.

Takahashi uśmiechnął się, a Carrolson i Farley tylko wytrzeszczyły oczy.

– Więc nic nie podtrzymuje misy – powiedział. – Ona nie istnieje realnie. To tylko mający pewien kształt pakiet prawdopodobieństw. Brzmi sensownie.

– Uhm – bąknęła Farley.

Lakę usiadł pośrodku zatyczki, kładąc laser na kolanach.

– Jestem tylko chłopakiem z małego miasteczka w Michigan – oświadczył. – Ale ten korek wydaje się całkiem solidny. Nawet nie jest śliski.

– Dobra uwaga – powiedziała Patricia. Dotknęła powierzchni palcami. – Zdaje się, że nie ma tu całkowitego rozdzielenia możliwych stanów. Pewne interakcje między materią a powierzchnią są dopuszczalne. – Położyła multimetr na zatyczce. Wartość pi zmieniła się gwałtownie. Na wyświetlaczu pojawiła się liczba: 3,141487233. – Pi spadło – oznajmiła Patricia. Sprawdziła inne wielkości. – Stała grawitacyjna w normie, prędkość promieniowania elektromagnetycznego normalna i stała.

– A stała Plancka? – zapytała Carrolson.

– Tak samo. Do czego służą studnie?

– Trudno stwierdzić, ponieważ te są zamknięte.

– Może prowadzą do czegoś, co znajduje się poza korytarzem – zaryzykował Takahashi. –

Postanowiliśmy nie sprawdzać, dokąd prowadzą. Początkowo studnie nie były zamknięte, a gąbczaste pole sił nieznanego rodzaju chroniło centralny otwór przed zasypaniem przez piasek. Widzieliśmy czerwone światło wydobywające się z każdej studni. Posłaliśmy do jednej z nich mały bezzałogowy helikopter. Nie wrócił. Już po dziesięciu minutach straciliśmy go z oczu. Postanowiliśmy nikogo nie wysłać za nim.

– Mądrze – stwierdziła Carrolson.

– Moi ludzie są gotowi wypełnić każdy rozkaz – oświadczył Lake.

– Doceniamy to, poruczniku – powiedziała Carrolson. – Mamy jednak powody, by nie działać pochopnie.

– Proszę mi dać skafander, broń, wsparcie.... – Uśmiechnął się szeroko.

– Naprawdę poszedłby pan? – spytała Patricia, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Gdybym choć w ogólnych zarysach wiedział, z czym mamy tutaj do czynienia, poszedłbym.

Wszyscy poszlibyśmy. – Żołnierze zgodnie potwierdzili. – Służba tutaj nie jest zbyt podniecająca. Dobrze, że samo miejsce jest ciekawe.

– Zrobiliśmy trochę wykopów – poinformował Takahashi, wspinając się na zbocze i pokazując rozmieszczenie otworów. Wziął garść ziemi i przesiał między palcami. – Gleba we wszystkich studniach jest jałowa. Żadnych mikroorganizmów, żadnych większych stworzeń, żadnych roślin.

– Żadnych istot żywych... oprócz nas – dodała Farley.

– I żadnego promieniowania – kontynuował Takahashi. – Żadnych nieznanymi związków chemicznych. Może te zamknięte studnie to tylko punkty orientacyjne.

– Punkty orientacyjne dla bogów – dorzuciła Carrolson.

– Wszystkie studnie są takie same? – spytała Patricia.

– O ile możemy stwierdzić, tak – odparł Takahashi. – Zbadaliśmy tylko dwa kręgi.

Reynolds wstał i otrzepał się z piasku.

– Hej, poruczniku. Może stąd wychodzą duchy? Lake przewrócił oczami.

– Widział pan kiedyś ducha? – zainteresowała się Patricia, patrząc uważnie na żołnierza.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek widział – powiedziała Carrolson.

– Panie Reynolds?

Reynolds popatrzył na Lake'a, a potem na Patricię.

– Naprawdę chce pani wiedzieć?

– Tak – oświadczyła Patricia. Postukała w odznakę, niepewna, czy ma ona jakieś znaczenie dla marines.

– Nie widziałem żadnego – oświadczył Reynolds. – Ale inni widzieli. Mam do nich zaufanie.

– Wszyscy o nich słyszeliśmy – wtrącił się żołnierz o nazwisku Huckle. – Chłopaki opowiadają różne historyjki.

– Ci ludzie nie są skłonni widywać rzeczy, które nie istnieją. Raportów jest niewiele, ale są bardzo interesujące – dodał Lake.

Patricia skinęła głową.

– Zaplanowano badanie studni?

– Na razie nie – odparł Takahashi. – Mamy inne problemy na głowie.

Spojrzała na zatyczkę. Przesunęła po niej butem.

– Chciałabym po powrocie dostać raport z wyprawy – oznajmiła.

W trakcie rozmowy przyszło jej do głowy rozwiązanie, które wytrzymało wstępną krytyczną ocenę. Spojrzała w górę na odwróconą czarę, na zmieniające się kolory.

• – Wracamy? – rzucił Takahashi.

– Myślę, że tak – odparła Patricia.

Używając specjalnego piktora do tworzenia obrazów otoczenia, Frant kamuflował obecność obcych w obozie. Gdyby Olmy zachowywał się hałaśliwie, dwaj wartownicy mogliby go usłyszeć, ale nie zobaczyć. Jednego z żołnierzy minął w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów w drodze do skrzyni, która służyła Patricii Luisie Vasquez za biurko.

Ta młoda kobieta szczególnie go interesowała. Zorientował się, że jest najważniejsza w grupie. Jeśli jest tą samą osobą, o której mówił Inżynier...

Na skrzyni leżało w nieładzie kilkadziesiąt zapisanych kartek papieru. Wiele notatek było przekreślonych lub zamazanych. Uwagi pokrywały czasami całe strony, z wyjątkiem równań i wykresów. Olmy cicho przerzucił kartki, próbując odszyfrować pismo Patricii.

W rogu leżała tabliczka z podłączonym blokiem pamięci. Jej srebrnoszary ekran był pusty. Olmy obejrzał się na wartowników, ukląkł przy tabliczce i włączył ją. Nauka obsługi starożytnego urządzenia nie sprawiła mu trudności. Szybko przejrzał zawartość bloku pamięci. Przekopiował niektóre fragmenty do swojego implanta, żeby je później przeanalizować. Zabrało mu to cztery minuty.

Z tego, co zrozumiał z jej pracy, Patricia była całkiem zaawansowana jak na epokę, w której żyła.

Ułożył papiery, tak jak leżały wcześniej. W tym momencie zza namiotu wyszedł wartownik i spojrzał w jego kierunku. Olmy wstał powoli, pewien, że kamuflaż jest skuteczny.

– Słyszysz coś, Norman? – spytał sierżant Jack Teague.

– Nie.

– Jakby powiew wiatru? Przysięgłbym, że słyszałem szelest papierów.

– To tylko kolejna zjawia, Jack.

Teague podszedł do skrzyni i spojrzał na notatki.

– Jezu – mruknął. – Ciekawe, co to jest. – Pochylił się i przesunął palcami po rzędach symboli. Litery pisane kursywą mieszały się ze zwykłymi; były też pionowe kreski przypominające symbole macierzy, które studiował w szkole lotniczej, całki, wykładniki potęg, greckie litery, zakrętasy, trójkąty i koślawe koła z podwójnymi kropkami w środku, litery z pojedynczymi lub podwójnymi kropkami u góry...

– Co za bałagan – stwierdził sierżant Teague, prostując się. Włosy zjeżyły mu się na karku. Wciągnął powietrze i obejrzał się gwałtownie.

Oczywiście nic nie zobaczył. Czego się spodziewał?

Lanier przespał większą część dwudniowej podróży, śniąc o Kamieniu i Ziemi, przeszłości i przyszłości.

Spojrzał na zegarek, a potem na agenta tajnej służby siedzącego obok niego w limuzynie. Między lądowaniem w Vanderberg a zameldowaniem się w gabinecie Hoffman w Jet Propulsion Laboratory miał osiemnaście godzin dla siebie. Za oknami samochodu przesuwała się pustynia. Ciśnienie było wysokie, a siła grawitacyjna uciążliwa. Słońce przypiekało nawet przez ciemne szyby.

Zatęsknił za Kamieniem.

– Mam trochę wolnego czasu – powiedział.

– Tak, sir. – Agent patrzył prosto przed siebie z uprzejmym wyrazem twarzy.

– Jesteście dyskretni, chłopcy.

– O tak, sir. – odparł kierowca. Agent siedzący obok obejrzał się na Laniera.

– Panna Hoffman powiedziała, że jesteśmy do pańskiej dyspozycji, ale musimy pana dowieźć do Pasadeny w dobrej formie przed ósmą jutro rano. Lanier zastanawiał się, jak Hoffman zareagowałyby na informację, że mówią o niej „panna”.

– Panowie – powiedział. – Żyłem w celibacie przez wiele miesięcy. Z rangą wiążą się obowiązki. Czy w Los Angeles jest miejsce, gdzie bezpiecznie można... – Szukał zwrotu równie staroświeckiego jak „panna”... – gdzie jest dyskretnie, przyjemnie i czysto?

– Tak, sir – odparł kierowca.

Pozwolił sobie na dwa drinki w ekstrawaganckim, choć starym barze znanym jako Polo Lounge, w otoczeniu reliktyw z dawnych złych czasów telewizji kablowej. O trzeciej po południu wynajęli dwa apartamenty w hotelu Beverly Hills. Agenci sprawnie przeszukali jego pokoje i dali mu znak, że są bezpieczne.

Nareszcie miał przynajmniej iluzję prywatności. Wziął prysznic, położył się na łóżku i omal nie zasnął. Ile czasu minie, zanim się przyzwyczai do zwiększonej wagi? Jak to wpłynie na jego sprawność?

Kobieta, która zjawiała się o piątej, była uderzająco piękna i miła, lecz nie przyniosła mu ukojenia, choć nie ze swojej winy. Wystawił sobie niezłą ocenę, ale sam akt sprawił mu niewiele radości. Wyszła o dziesiątej.

Lanier nigdy wcześniej nie korzystał z usług prostytutek. Poza kilkoma godnymi uwagi wyjątkami, raczej nie miewał tak silnych pragnień jak inni mężczyźni.

O dziesiątej piętnaście rozległo się lekkie pukanie. Otworzył drzwi. Agent, który prowadził limuzynę z lotniska, podał mu dwa bloki pamięci.

– Panna Hoffman przysłała je panu wraz z komplementami – powiedział. – Będziemy po drugiej stronie korytarza, gdyby pan czegoś potrzebował.

Bloki pamięci, które przywiózł z Kamienia – cenniejsze niż jego osoba – przewieziono tego samego dnia do pasadeny bezpieczniejszymi pojazdami. Doradczyni z pewnością zapoznaje się teraz z ich zawartością.

Zgasił wszystkie światła i położył się na łóżku, wpatrując się w sufit i zastanawiając, ilu podstarzałych klientów z baru Polo obsłużyła dziewczyna w swoim młodym życiu.

Nigdy nie dręczyło go pożądanie. Tym razem też jedynie spełnił obowiązek wobec ciała. Wydawało się prawdopodobne, że po tylu miesiącach postu ciało ma potrzeby, których on sam sobie nie uświadamia.

Przynajmniej to świadczyło, że jest normalny. Zawsze męczyło go lekkie poczucie winy z powodu oziębłości, jeśli to odpowiednie słowo. Winy i wdzięczności. Miał dzięki temu znacznie więcej czasu na myślenie, nic go nie rozpraszało.

Z powodu oziębłości pozostał kawalerem. Miewał kochanki, ale praca zawsze zwyciężała. Kochanki najczęściej zostawały przyjaciółkami... i poślubiały innych przyjaciół.

Bardzo wygodna sytuacja.

Zasnął. Miał ciężkie i mroczne sny. Był kapitanem ogromnego, luksusowego liniowca płynącego przez czarny ocean i za każdym razem, kiedy zerkał za burtę, żeby sprawdzić poziom wody, stwierdzał, że statek zanurza się o dwa metry. Pod koniec snu wpadł w panikę. Ziemską grawitacja ściągała pod wodę najpiękniejszy statek, jakim kiedykolwiek dowodził. Tracił go i nie mógł opuścić budząc się...

O ósmej rano Lanier szedł z aktówką w ręce przez betonowy dziedziniec Jet Propulsion Laboratory, w towarzystwie dwóch nowych agentów. Cieszył się jasnym słońcem i normalną wagą i niemal czuł żal na myśl, że spędzi dzień w klimatyzowanych gabinetach. Pierwsza z dwóch czy nawet trzech zaplanowanych narad miała się odbyć w pokoju konferencyjnym dla VIP-ów.

Zażył tabletkę od bólu głowy, popił wodą z fontanny stojącej w nowym parku i zwolnił przy dużej czarnej tablicy ukazującej projekty JPL. Plany zagospodarowania Marsa rywalizowały z projektem Słonecznego Żagla i hologramem sondy, która miała polecieć do Proximy Centauri.

Nie było wzmianki o drugim ABE – próbniku pasa asteroidów – wystrzelonym dwa lata wcześniej.

Lanier i jego dwa cienie w szarych garniturach wspięli się powoli po schodach i przeszli przez strzeżone drzwi z grubego szkła. Lanier przesunął przed monitorem kartę identyfikacyjną i stalowa bramka otworzyła się z przyjemnym brzęczeniem. Agenci nie weszli razem z nim. Za drzwiami ciągnął się korytarz z gablotkami po obu stronach. Znajdowały się w nich miniaturowe modele obrazujące ostatnie osiągnięcia Jet Propulsion Laboratory: „Voyager”, „Galileo”, „Drake’a”, „Słonecznego Żagla”, a także TPO i „Gwiezdnej Sondy”.

Lanier wszedł do windy i pojechał na szóste piętro, wpatrując się w niebieskie numery.

Przywitał go kolejny agent prosząc o kartę identyfikacyjną. Lanier wyjął kartę z kieszeni i przyłożył do odznaki. Agent podziękował mu z uśmiechem. Lanier wszedł do sali konferencyjnej.

Hoffman siedziała w końcu długiego czarnego stołu. Leżał przed nią plik papierów, dwie tabliczki i stos bloków pamięci. Po jej lewej stronie zajmował miejsce Peter Hague, przedstawiciel prezydenta w ISCOM, a po drugiej stronie – Alice Cronberry, doradczynie do spraw bezpieczeństwa i szefowa projektu drugiego ABE. Lanier obszedł stół i wymienił uścisk dłoni z Hoffman, a potem z Cronberry i Hague'em.

– Widzę, że Dowództwo Sił Kosmicznych i Szefostwo Połączonych Sztabów nie mają tu swoich przedstawicieli – stwierdził, siadając po przeciwnej stronie stołu.

– Za chwilę do tego przejdziemy – powiedziała Hoffman. Postarzała się od czasu, kiedy widział ją ostatnio; włosy posiwiały, zmarszczki mimiczne pogłębiły się, przytyła. – Dobrze wyglądasz, Garry – zauważyła uprzejmie.

– Gorzej się czuję.

– Jak idzie Patricii Vasquez?

– Jak można się było spodziewać. Wezwano mnie, zanim zdążyłem przyjrzeć się jej pracy. Sama też nie przedstawiła jeszcze żadnych wyników.

– Wnioskuje, że nie jesteś jej pewien – powiedziała Hoffman.

– Istotnie – przyznał Lanier. – Nie dlatego, że uważam ją za mało zdolną czy kiepską

w swojej dziedzinie, ale dlatego, że jest młoda. Biblioteka była dla niej szokiem.

Cronberry położyła prawą dłoń na stole i odchyliła się lekko.

– To był szok dla nas wszystkich – stwierdziła. Hoffman podała mu kartkę.

– Przestudiowaliśmy materiały, które przywiozłeś. Już sporządziliśmy raport dla prezydenta.

– Zanim Vasquez przedstawi wnioski.

– Wątpię, czy powie nam to, co chcielibyśmy usłyszeć. Przeczuję poważne kłopoty. –

Hoffman utkwiała wzrok ponad ramieniem Laniera. – Sprawdziliśmy niektóre informacje z biblioteki.

Lanier uważnie przyjrzał się twarzom obecnych. Wszyscy wyglądali na nieszczęśliwych, mimo że próbowali ukrywać emocje.

– I co?

– Są rozbieżności.

– Dzięki Bogu – powiedział. Hoffman uniosła dłoń.

– Niezbyt poważne rozbieżności. Na podstawie informacji z biblioteki i tego, co odkryliśmy od tamtego czasu – – między innymi dzięki ABE – doszliśmy do zgodnego Wniosku, że wojna jest bardzo prawdopodobna. Zweryfikowaliśmy historyczne wzmianki o sekretarzu partii Wasiliewie. Zrestrukturyzował Radę Obrony, dokładnie, jak mówią źródła historyczne. Rosjanie montują SS-45 na transportowcach klasy Kijów i w pociskach samosterujących klasy Kirów oraz oczywiście na okrętach podwodnych „Tajfun” i „Delta IV”, rywalizując z naszym programem „Morski Smok”. Rzeczywiście wiedzą, jak zakłócić nasze systemy multispektralnej łączności laserowej. Łamią tym samym postanowienia Układu Rozbrojeniowego z 1996 roku, co samo w sobie jest istotne, skoro do tej pory nie wyeliminowano żadnej broni. Lanier skinął głową.

– Musimy przycisnąć Połączone Siły Kosmiczne i wydusić informacje o systemach multispektralnych – oświadczyła Cronberry. – To jeden z powodów nieobecności przedstawicieli Ministerstwa Obrony i Szefostwa Połączonych Sztabów.

– To nie jest najgorsze – kontynuowała Hoffman. – Kongres zainteresował się naszym budżetem. Przyznano nam wcześniej dotacje, więc można to wyjaśnić dążeniem do zdyskredytowania biblioteki, Kamienia i nas wszystkich. Kilku członków gabinetu przekonało prezydenta, że Kamień jest oszustwem albo rzeczą co najmniej nieważną.

Lanier mocno zacisnął szczęki.

– Dlaczego?

– Podejrzewam, że prezydent nie jest w stanie zrozumieć tego, co znaleźliście na Kamieniu. To solidny liberał ze środkowego zachodu, nie znający się na nauce ani technice. Administrator bez wyobraźni. Nigdy nie czuł się pewnie w sprawach kosmosu. To go po prostu przerasta.

Cronberry wyjęła z teczki list napisany na papierze Białego Domu i podała Lanierowi. Wynikało z niego, że prezydent rozważa możliwość wszczęcia dochodzenia w sprawie badań prowadzonych na Kamieniu.

– Został napisany po tym, jak zaczęliśmy przekazywać do Białego Domu raporty zespołu projektującego ABE oraz po potwierdzeniu dowodów zgromadzonych w bibliotece.

– Chcieliśmy przed końcem tygodnia wysłać wiceprezydenta na Kamień, ale odrzucił zaproszenie – oznajmiła Hoffman.

– Ile wiedzą Rosjanie? – spytał Lanier.

– Dwa lata temu w sekrecie wystrzelili sondę w stronę pasa asteroidów. Sonda przesłała im obrazy mniej więcej w tym samym czasie co ABE. Wiedzą, że istnieje duży asteroid bardzo podobny do Kamienia.

– Junona?

– Tak. Podobieństwo jest niemal całkowite, nie licząc wykopów.

Lanier nie słyszał do tej pory o wynikach misji ABE.

– Więc Junona i Kamień są identyczne.

Hoffman podała mu zdjęcia wykonane przez ABE oraz satelity wywiadowcze. Jedno ze zdjęć przedstawiało Junonę, kawałek pierwotnej materii planetarnej w kształcie ziemiaka, zryty kraterami i rowami. Kamień był identyczny, lecz pocięty wykopami i otworami wlotowymi.

– Boże – powiedział Lanier.

– Nie sądzę, by Jego należało winić – stwierdziła Hoffman. – Może winny jest twój Konrad Korzeniowski.

– W każdym razie – włączył się Hague – Rosjanie zamierzają wycofać swoją ekipę w ciągu trzech tygodni, może wcześniej. Są wściekli z powodu ograniczeń, zwłaszcza że Chińczyków dopuszczamy aż do siódmej komory. To pretekst, ale szczerze mówiąc, całkiem dobry. Ja również byłbym wściekły. To jednak nie wyjaśnia wszystkiego.

– Zgodzili się na te warunki rok temu, kiedy ustalaliśmy zadania dla ekip – przypomniał Lanier, marszcząc czoło.

– Tak, ale najwyraźniej były jakieś przecieki – powiedział Hague.

– O Chryste. Kto?

– I – kontynuował Hague – teraz twierdzą, że wprowadziliśmy ich w błąd w związku z bibliotekami.

– Bo to prawda – powiedziała Hoffman, uśmiechając się słabo.

– Czy zespół naukowy poradzi sobie bez Rosjan? – spytała Cronberry.

– Tak. Oni pracują głównie nad teorią rury plazmowej jako źródła mocy. Potrafimy sobie poradzić bez nich, ale tempo wielu ważnych badań zwolni się, a może w ogóle zostaną one wstrzymane. A co z Pekinem?

Cronberry przejrzała teczkę z aktami personalnymi. Hague wziął do ręki jeden z dokumentów.

– Karen Farley jest obywatelką chińską i fizykiem. Pracuje w pańskim zespole, zgadza się?

– Tak. Jest bardzo przydatna. Proszę, tylko nie Farley... ani Wu i Chang...

– Ona i jej koledzy zostaną odwołani, jeśli Rosjanie odejdą.

– Dlaczego? – spytał Lanier.

– Chińczycy wyczuli, że dzieje się coś niedobrego – wyjaśniła Hoffman. – Skoro Rosjanie uważają, że są wprowadzani w błąd i odsuwani od ważnych decyzji, Chińczycy mają takie same podstawy do narzekań. A są nam potrzebni.

– Nie mogę uwierzyć, że którakolwiek z grup zrezygnuje z miejsca na Kamieniu. Ja bym tego nie zrobił.

– Nie zrobią tego – powiedziała Hoffman. – Zdobyliśmy dowody, że Rosjanie i Chińczycy mają w oddziale bezpieczeństwa, a może nawet w ekipie naukowej swoich szpiegów. Na Księżycu i orbicie zarejestrowano zwiększoną aktywność, nie wspominając o podwyższonej gotowości w Tyuratam i bazie na Oceanie Indyjskim.

– Inwazja z Ziemi i Księżyca? Hoffman potrzęsła głową.

– To wszystko drobiazgi w porównaniu z najważniejszym pytaniem. Czy Vasquez coś wymyśliła? Co ma do powiedzenia o równoległych światach, alternatywnych historiach?

– Nie miała za dużo czasu – odparł Lanier spokojnie. – Może dowiemy się czegoś za parę tygodni.

– Rozumiem punkt widzenia prezydenta. Trudno w to wszystko uwierzyć – odezwała się Cronberry. – Uważa pan, że Kamień pochodzi z naszej przyszłości?

– Nie – odparł Lanier. – Kamień pochodzi z innego wszechświata. To pewne. Istnieje wyraźna różnica.

– Brak Kamienia w przeszłości Kamienia – podsunął Hague.

– Właśnie.

– I nie można stwierdzić, w jaki sposób Kamień wpływa na bieg naszej historii.

– Sądzę, że ma duży wpływ – zauważyła Hoffman. – Z pewnością pogorszył sytuację. – Wzięła do ręki jeden z bloków pamięci opatrzony tytułem: Zmiany fizjologii roślin pod wpływem promieniowania rury plazmowej. – Sam zrobiłeś tę kopię? – Podała ją Cronberry, a potem Hague'owi.

Lanier skinął głową.

– Kod S – poinformował. – To zestawienie najlepszych źródeł, głównie z biblioteki w trzeciej komorze. Vasquez uda się tam za kilka dni.

– Czego dotyczy? – spytał Hague, unosząc blok w górę.

– Pierwszych dwóch tygodni wojny. Cronberry wzdrygnęła się.

Hoffman wzięła tabliczkę, zaprogramowała ją na odczytanie kodu S, podłączyła blok i spojrzała na ekran. Jej twarz spopieliała.

– Nie widziałam tego wcześniej – powiedziała.

– To głównie fotograficzna dokumentacja wykonana przez armie obu stron. Na końcu są zdjęcia z Długiej Zimy.

– Więc to nie jest teoria – stwierdził Hague. Lanier potrząsnął głową.

– Jak długo trwała... będzie trwała ta zima? – spytała Cronberry, niechętnie biorąc tabliczkę od Hoffman.

– Najcięższa rok lub dwa. Hague wziął tabliczkę od Cronberry.

– Gwarantuje pan, że te materiały pochodzą z biblioteki trzeciej komory? Lanier zirytowany przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

– Trudno byłoby mi to wymyślić.

– Oczywiście – powiedziała Hoffman. – Jeśli źródła mówią prawdę, jeśli dzieje naszych światów rzeczywiście są podobne, pozostało nam szesnaście dni.

– Do tego czasu dowiemy się wszystkiego w ten czy inny sposób – powiedział Lanier. – Choć wiedza o wydarzeniach niemal na pewno wpłynie na ich skutki. Jeśli to wszystko w ogóle się zdarzy.

– Jutro w południe mamy spotkanie z Rosjanami – oznajmiła Hoffman. – Całkowicie nieoficjalne. Prosimy, żebyś był obecny. Departament pana Hague'a bardzo naciskał na Departament Stanu i Ministerstwo Obrony, żeby wyraziły na nie zgodę. Jeśli rozmowy zakończą się sukcesem, odbędą się następne spotkania na wyższym szczeblu. A jeśli przekonamy prezydenta do końca tygodnia, może uda się zorganizować konferencję na szczycie. – W dalszym ciągu wpatrywała się w jakiś punkt za jego plecami wzrokiem znużonego bitwami weterana.

Przyszła wreszcie kolej na miasto w trzeciej komorze.

Po wycieczce do pierwszego kręgu studzien i po przeczytaniu książek wybranych przez Laniera z biblioteki w Aleksandrii Patricia poczuła znużenie tematem i odrętwienie. Miała wrażenie, że to gra, ćwiczenie, podobne do zadań matematycznych, które rozwiązywała jako nastolatka.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni wiele razy jeździła pociągiem do Thistledown City, ale trzecia komora była mocniej strzeżona. Pociąg nigdy się tam nie zatrzymywał... aż do dzisiaj.

Towarzyszył jej Rupert Takahashi.

Japończyk wykonywał w zespole naukowym wiele zadań. Mimo matematycznego wykształcenia, stale zmieniał zainteresowania, pracując jednego dnia z jedną grupą, a następnego z inną. Był omnibusem i miał określony cel: nadzorowanie matematycznej i statystycznej ścisłości prowadzonych badań. To wyjaśniało, w jaki sposób doszło do jego współpracy z Rinską nad wstępną teorią korytarza. Zajęli się tą kwestią, gdy Takahashi sprawdzał wyniki prac Rinskai.

Thistledown City, nowsze od Aleksandrii o dwa wieki, było zdumiewające. Zbudowano je po wyruszeniu Kamienia w podróż, wcielając w życie projekty, o których się nikomu wcześniej nie śniło. Tutejsi architekci pozwolili sobie na całkowitą swobodę. Traktując komorę jako gigantyczną dolinę, rozciągnęli liny między kłapami i zawiesili na nich budynki. Wykorzystując nachylenie podłoża, wzniesli łukowate budowle o długości dziesięciu kilometrów. Pasy ze stali i przetworzonego materiału Kamienia przeplatały się tworząc srebrno-białe wzory, rzucając cienie o zaokrąglonych brzegach. Niektóre budynki sięgały krańców atmosfery. Były szersze w góry niż u dołu.

Nawet opustoszałe, Thistledown City sprawiało wrażenie żywego. Wystarczyła odrobina wyobraźni, by zobaczyć jego mieszkańców spacerujących między budynkami, ubranych w wymyślne stroje – kolorowe, powiewne, harmonizujące z zaokrągleniami, łukami i sklepieniami. Jasne kolory kontrastowały ze stonowanymi bielami, beżami i metalicznymi barwami miasta.

Główna biblioteka była praktycznie ukryta pod rozległą przybudówką jednej z mniejszych budowli. Takahashi powiedział, że to niedaleko, więc ruszyli spacerkiem przez place, mostki dla pieszych, drogi, które kiedyś musiały roić się od pojazdów, w większości sterowanych komputerowo.

– Wszystkie pojazdy zniknęły – powiedział Takahashi. – Tylko dzięki filmom wiemy, jak wyglądały. Zapewne wykorzystali je podczas exodusu.

Próbowała wyobrazić sobie dziesiątki milionów mieszkańców Kamienia – taką liczbę ludzi z łatwością mogło pomieścić samo Thistledown City – jadących korytarzem w kierowanych przez roboty pojazdach.

Wejście do biblioteki stanowiła lita czarna płyta, która wyglądała na marmurową. Gdy podeszli, jakiś głos kazał im się zatrzymać. Stali pełne dwie minuty, zanim uzyskali zgodę na wejście.

W czarnej płycie odsłonił się szeroki, półokrągły otwór. W środku czekali żołnierze z oddziału ochrony w czarno-szarych mundurach, którzy sprawdzili ich tożsamość. Wnętrze biblioteki było jasno oświetlone.

– W Thistledown nie ma bezpieczników – powiedział Takahashi. – Nie znamy nawet źródła zasilania.

Sama biblioteka była mniejsza niż jej kuzynka – czy też przodkini – w Aleksandrii. Nigdzie nie było widać zbiorów książek czy dyskietek. Nad pokrytą pastelowiebieską wykładziną podłogą wisiała stumetrowej długości płyta z lekko lśniącego tworzywa. W całym pomieszczeniu stało co

najmniej tysiąc zielonych wyściełanych siedzeń. Przed każdym znajdował się chromowany pulpit w kształcie łyżki stojący na szarym postumencie.

Tkaniny i materiały wykorzystane w bibliotece nie miały śladów zniszczenia.

Takahashi zaprowadził ją do jednego ze stanowisk. Otaczał je sprzęt do nagrywania i przeglądania. Nie pasował do tego miejsca. Najwyraźniej został zamontowany przez samych badaczy.

– Zwykle korzystamy z tego, ale wybór należy do ciebie. Potrząsnęła głową.

– Nie podoba mi się to wszystko – stwierdziła, wskazując na sprzęt. Spacerując między rzędami stanowisk, wybrała jedno, które znajdowało się w głębi sali, i usiadła.

Takahashi poszedł za nią.

– Możesz zobaczyć, jak kiedyś wyglądał Kamień – powiedział. – Chciałabyś zrobić wycieczkę po miastach, kiedy jeszcze były zamieszkane? – Uniósł górną część poręczy fotela i pokazał, jak używać przycisków znajdujących się na tablicy kontrolnej. – To tylko podstawowe funkcje. Są setki innych sztuczek. Możesz sobie poeksperymentować. Potraktuj to jako rozrywkę. Nie mam tu nic do roboty, więc zaczekam na zewnątrz. Przyjdź do mnie, kiedy skończysz... powiedzmy za jakąś godzinę.

Nie miała ochoty zostawać sama, skinęła jednak głową na znak zgody. Teraz doceniła Laniera, który został z nią w bibliotece w Aleksandrii. Usadowiła się wygodniej i zaczęła manipulować przyciskami. Przed nią pojawił się w powietrzu okrągły graficzny monitor, tak wyraźny jakby był materialny. Takahashi nie wyjaśnił jej wszystkiego, więc przypadkowo włączyła podręcznik. Głos z lekkim amerykańskim akcentem poprawił jej błędy i pouczył, jak operować sprzętem. Następnie podał jej numery i kody wywoławcze dla różnego rodzaju informacji.

Przywołała podstawowy przewodnik po mieście drugiej komory. W jednej chwili otoczyła ją Aleksandria. Patricia stała na balkonie apartamentu na jednym z niższych pięter megadomu, spoglądając w dół na ruchliwe ulice. Iluzja była doskonała – obejmowała nawet pamięć o tym, jak wygląda „jej” mieszkanie. Gdyby zechciała, mogła odwrócić głowę i zobaczyć wszystko, co znajduje się za nią, mogła obejść, choć zdawała sobie sprawę, że siedzi w bibliotece. Głos – odzywający się gdzieś w środku głowy – wyjaśniał jej, co widzi.

Spędziła w Aleksandrii pół godziny, obserwując ludzi, ich twarze, ubiór, uczesanie, sposób poruszania się i mimikę. Niektóre stroje zwróciły jej uwagę. Inne wydawały się zdecydowanie purytańskie, mimo że przylegające do ciała. Najbardziej popularnym kobiecym strojem w tamtych czasach była przezroczysta suknia – zwykle różowa lub bladopomarańczowa – z kapturem wykończonym małym szkarłatnym krążkiem z jakiegoś miękkiego materiału. Niektóre kobiety miały na lewym ramieniu sześciokątne niebieskie wzory...

(„Informacje o insygniach i rangach można uzyskać, cicho wypowiadając następujące kody...”)

...a inne – czerwone wstęgi udrapowane na prawym ramieniu, wykończone złotymi wisiorami. Męskie ubrania były nie mniej ozdobne; różnice zdawały się wskazywać na całkiem inne niż w jej świecie i w jej czasach stosunki między płciami.

Słyszała, że mówią dziwnym językiem, przypominającym walijski, czasem angielski albo francuski.

(Jakim językiem do mnie mówisz i skąd wiesz, jakim masz mówić?)

(„Angielskim z końca dwudziestego pierwszego wieku, najwcześniejszym z dostępnych bez specjalnego kodu, wybranym na podstawie twojej wcześniejszej rozmowy”.)

Dowiedziała się, że chociaż poszczególne narody zachowały swoje macierzyste języki,

zmieniały się one w bardzo krótkim czasie, a wiele z nich przekształciło się w jeden wspólny język. Szybkie zmiany były możliwe dzięki takim urządzeniom jak te, które znajdowały się w bibliotece. Można było nauczyć się nowego języka lub jego odmiany w ciągu paru godzin lub minut.

Jeśli chodzi o języki pisane, uproszczono je lub – co wydaje się paradoksalne – bardziej skomplikowano. Czyżby kwiecista mowa wyszła już z mody?

(„To jest słynny Plac Nader, który zdobył nagrody za architektoniczną doskonałość, zanim statek Thistledown opuścił okolice Ziemi...”)

Słuchała uważnie, całkowicie pochłonięta widokiem. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie spodnie przypominające szkockie, inni garnitury, które nie wyglądałyby dziwnie w Los Angeles w dwudziestym pierwszym wieku. Zdaje się, że buty całkiem wyszły z użycia, być może dlatego, że roboty sanitarne utrzymywały miasto w nienaganej czystości. (A co ze społecznymi dewiacjami? Z gettami i slumsami?)

Sceneria zmieniła się błyskawicznie.

(„Społeczne niepokoje w Aleksandrii i innych częściach Kamienia nie są nieznane. Niektóre dzielnice wydzielono z miast. Ich mieszkańcy postanowili unikać wszelkich nowoczesnych udogodnień, odrzucić wszelkie urządzenia wynalezione później niż w dwudziestym wieku. Spełniono życzenia; zwykle są szanowanymi obywatelami i mają prawo wierzyć, że do Śmierci doprowadziła technika i że Bóg pragnie, byśmy żyli wśród wygod nie wymienionych w dziełach Szlachetnego Nadera i jego Apostołów z Gór”.)

Kilka razy słyszała nazwisko Nadera, ale trochę czasu zajęło jej przełączenie urządzenia na właściwą funkcję. Poprosiła o wyjaśnienie paru rzeczy, które mieszkańcy Kamienia uznaliby za oczywiste. Otrzymała elementarną, skróconą historię Kamienia i czasów między Śmiercią a zbudowaniem Thistledown.

Była zaszokowana, kiedy się dowiedziała, że Szlachetny Nader to w rzeczywistości Ralph Nader, adwokat i niezależny badacz, który wywołał wielkie poruszenie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jeszcze żył – na jej Ziemi, w jej czasach – ale w bibliotecznych zbiorach jego nazwisko zawsze wspomniano z szacunkiem. Zawsze był „Szlachetnym Naderem” albo „Dobrym Człowiekiem”. Jego zwolennicy – naderyci – od stuleci stanowili potężną siłę polityczną. Albo... będą stanowili. Przynęła sobie od tej pory stosować fizyczne pojęcie czasu, bez żadnych szczególnych odwołań do przeszłości, terażniejszości lub przyszłości.

Po Śmierci, strasznej Długiej Zimie i Rewolucjach Hiszpan o nazwisku Diego Garcia de Santillana doszedł do władzy na gruzach Europy Zachodniej pod sztandarem ruchu Powrotu do Życia. Rozpoczął wysiłki sformowania rządu światowego. W następnym roku, 2010 („za pięć lat”, pomyślała, łamiąc przyrzeczenie) w Ameryce Północnej powstała koalicja naderytów. Nader – obwołany podczas Śmierci męczennikiem – został wybrany ze względu na swój stosunek do energii jądrowej i nowoczesnej techniki; stał się świętym, bohaterem zniszczonego świata pełnego strachu i wściekłości z powodu tego, co ludzka rasa zrobiła sobie samej. W 2011 naderyci wchłonęli ruch Powrotu do Życia, a nowo powstające rządy Ameryki Północnej i Europy Zachodniej zawarły umowy o handlu i współpracy. Porażki w wyborach doprowadziły do objęcia władzy przez rządy naderyckie, które natychmiast położyły kres badaniom naukowym i rozwojowi techniki. Ukuto nowe hasło: „Uprawa ziemi”. Po świecie rozjechali się Najeżdźcy – członkowie elitarniej, nieco tajemniczej organizacji – żeby „wyperswadować” opornym rządów przyłączenie się do nich. W Rosji rewolucja z 2012 roku, wywołana przez zwolenników naderytów, doprowadziła do upadku ostatniej Rady Najwyższej, która wycofała się do centrum swojej władzy, Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej. Narody bloku wschodniego odzyskały polityczną suwerenność i większość

z nich przeszła na stronę naderytów.

To wyjaśniało, dlaczego w zbiorach tak często pojawia się nazwisko Nadera. Między rokiem 2015 a 2100 zwolennicy Dobrego Człowieka skonsolidowali swoje siły i przejęli władzę nad większą częścią świata. Jedyne ogniska oporu znajdowały się w tamtych dekadach w Azji, gdzie Wielka Kooperatywa Azjatycka – złożona z Japonii, Chin, Filipin, Tajlandii i Malezji – odrzuciła naderyzm i entuzjastycznie wróciła do badań naukowych i rozwoju techniki, łącznie z energią jądrową. Pierwsza realna opozycja wobec naderytów na Zachodzie utworzyła się w 2100 wraz z ruchem narodowym w Wielkich Niemczech...

Patricia wyłączyła urządzenie i oparła się o poręcz krzesła, pocierając oczy. Informacje pojawiały się w postaci danych na monitorze, wybranych obrazów i jeszcze staranniej dobranych dźwięków. Gdy brakowało dokumentami multimedialnej, pojawiał się druk, ale z towarzyszeniem subtelnego i wyraźnego podkładu głosowego. W porównaniu z tym zwykłe czytanie było torturą, a obecna technika wideo tak archaiczna jak malowidła jaskiniowe.

Gdyby miała ochotę, miło spędziłaby tutaj resztę życia, jako wieczna studentka korzystająca z wiedzy nagromadzonej przez stulecia, których nie знаła ona ani jej przodkowie.

Zważywszy na stojącą przed nią alternatywę, ta perspektywa jawiła się jako bardzo atrakcyjna.

Godzina prawie minęła.

Patricia szybko włączyła sprzęt, żeby dowiedzieć się czegoś na temat korytarza, exodusu mieszkańców Kamienia i wyludnienia miast. We wszystkich wypadkach na ekranie wyświetliła się najeżona kolcami kula sygnalizująca brak dostępu.

Spotkawszy się na zewnątrz z Takahashim, który spokojnie palił papierosa – pierwszego, jakiego widziała na Kamieniu – Patricia przeciągnęła się.

– Zamierzam tutaj wrócić.

– Oczywiście.

– Dokąd teraz?

– Na krótką wycieczkę. To kawałek drogi, więc weźmiemy ciężarówkę.

Garaż okazał się blaszany barak pod jednym ze spinających komorę łuków. W pobliżu znajdowało się wejście do metra. Linie tranzytowe, które kiedyś obsługiwały Thistledown City, były nieczynne i żeby dostać się do innej części miasta, należało jechać wąskimi drogami dojazdowymi.

– Nie mogę niczego się dowiedzieć na temat exodusu – poskarżyła się Patricia, kiedy Takahashi sprawdzał ciężarówkę. Pochylił się, żeby obejrzeć podwozie, wyprostował się i otrząpał dłonie.

– Archeolodzy nad tym pracują. Powinniśmy zdążyć na konferencję, na której przedstawią wyniki. – Spojrzał na zegarek. – Mamy jeszcze jednaście godzin. Teraz jest dziewiąta. Zdaje się, że wszystko w porządku. Ruszamy? – Otworzył jej drzwi od strony kierowcy. – Brałaś już lekcje jazdy?

Patricia potrząsnęła głową.

– Więc najwyższy czas, nie sądzisz? Wzruszyła ramionami.

– To nic trudnego. Zwłaszcza tutaj. Wszędzie można dotrzeć drogami dojazdowymi. Na ścianach są znaki przeznaczone dla maszyn obsługujących miasto. Nie różnią się od ziemskich kodów paskowych. Zastępują znaki drogowe. Wystarczy skierować czytnik na znaki umieszczone na rogach ulic i już wiadomo, gdzie się jest. Powiem ci, kiedy skręcić. Wzdłuż wszystkich dróg ciągną się mury, więc nie można się zgubić. Czy to jasne?

– Tak.

Wsiadł na miejsce dla pasażera i pokazał jej kolumnowy układ kierowniczy.

– Jak w samolocie. Kiedy pchniesz dźwęk do przodu, samochód rusza do przodu, im mocniej pchasz, tym szybciej jedziesz, do stu kilometrów na godzinę. Zwalniasz, ściągasz dźwęk do pozycji pionowej. Ciągniesz do siebie, masz bieg wsteczny. Maksymalna prędkość na wstecznym – dziesięć kilometrów na godzinę. Automatyczna zmiana biegów. Chwytasz za poprzeczkę i kręcisz w kierunku, w którym chcesz jechać. Jeśli chcesz zawrócić bez dodatkowych manewrów, kręcisz do oporu. Ciężarówka obróci się wokół osi. Chcesz wypróbować?

– Oczywiście. – Zrobiła rundę po garażu. Używanie dźwęka jako hamulca wymagało wprawy. Kiedy uznała, że nieźle sobie radzi, uśmiechnęła się do Takahashiego. – Jedziemy.

– Szybko chwytasz, prawda?

– Nie mów na zapas – ostrzegła.

– Dobrze. Zawróćmy. – Wskazał na najbliższy wyjazd. Ograniczone z obu stron murami drogi wiły się pod budynkami miasta, zwykle omijając większe pochyłości. W niektórych jednak miejscach jazda przypominała przejażdżkę kolejką górską. Takahashi pomagał Patricji radami.

– Właśnie przejechaliśmy nad główną instalacją wodociągową w tej okolicy – wyjaśnił.

Tam, gdzie drogi biegły tunelami i gdzie łuki i budowle zasłaniały rurę plazmową, oświetlenie zapewniały duże mleczone płyty rzucające łagodną poświatę. W mieście wszystko było skąpane w jasnym, równomiernym świetle.

Gdy dotarli do rozgałęzienia dróg, Takahashi kazał jej zwolnić. Wyjął z kieszeni czytnik i nakierował go na nierównej grubości zawiłe linie znajdujące się na murze po jego stronie. Czytnik był podłączony do tabliczki, na której wyświetliła się mapa, współrzędne i odległości do najbliższych punktów.

– W lewo – zdecydował. – Wkrótce wjedziemy do budynku mieszkalnego. Kuchennymi drzwiami, jeśli tak można powiedzieć.

Przejechali pod oślepiającą, złotą cylindryczną wieżą. Po drodze zapalały się jakieś światełka, ale nic się nie wydarzyło.

– Zatrzymaj się w tamtych otwartych drzwiach – polecił Takahashi.

Znak umieszczony na łańcuchu zabraniał wjazdu. Patricia zatrzymała pojazd, zaciągnęła hamulec ręczny i odczytała napis: „Zakaz wstępu z polecenia Y. Jacoba, kierownika ekipy archeologów”.

– On tego rzeczywiście przestrzega – powiedział Takahashi flegmatycznie. – Za tym znakiem rozciąga się dziewicze terytorium. Sprawdzili cały budynek i dlatego możemy wejść, ale nie wolno nam niczego dotykać.

Wspięli się na występ metrowej wysokości i pochylili, żeby wejść przez właz. Ostatnio zainstalowano tu zamki i łańcuchy. Patricia zauważyła czujniki na ścianach, podłodze i suficie, niektóre zakryte srebrną taśmą.

– Maszyny wyładowywały tutaj żywność, sprzęt i wszystko, czego potrzebowali mieszkańcy. Automatyczne wózki dostarczały towary do odpowiednich pochylni i dalej do różnych części budynku. Od tego jednak miejsca nie jesteśmy towarem; jesteśmy ludźmi.

Przez kolejny właz weszli do przestronnego holu na parterze. Pod dużym oknem, które miało co najmniej dwadzieścia metrów wysokości, w kącie wypoczynkowym stały krzesła o najróżniejszych kształtach i kozetki z naturalnego drewna. Za oknem widać było dobrze utrzymany ogród kwiatowy. Patricia całkowicie uległa złudzeniu, dopóki nie uświadomiła sobie, że ogród jest zalany światłem słonecznym i że między drzewami widać niebieskie niebo. Zatrzymała się, żeby popatrzeć, a Takahashi czekał cierpliwie z założonymi rękami.

– Urocze – powiedziała.

- Ogród jest prawdziwy; słońce i niebo fałszywe – poinformował ją.
- Zastanawiałam się, jak obywają się bez słońca i niebieskiego nieba.
- Gdybyś wyszła na zewnątrz, zobaczyłabyś nas w oknie.
- Wszystko wygląda jak prawdziwe.

Podłogę stanowiły lśniące kamienne płyty, ale czuło się wykładzinę. Patricia przesunęła po niej nogą, lecz nie usłyszała żadnego dźwięku.

– Podróż na górę będzie wymagała trochę odwagi – uprzedził Takahashi. W ścianie w drugim końcu holu znajdowały się dwa otwarte szyby. – Nie polecam tym, którzy cierpią na zawroty głowy. – Weszli do szybu po lewej stronie. Takahashi pokazał w dół i dotknął stopą czerwonego kręgu na podłodze. Krąg rozjarzył się. – Siódme – rzucił Japończyk. – Oboje.

Podłoga zniknęła. Poszybowali w górę. Patricia nie odczuwała żadnych sensacji, z wyjątkiem wrażenia ruchu. Szeroko otworzyła oczy i dotknęła ramienia Takahashiego. Szyb był zupełnie pusty, pozbawiony wszelkich cech. Nie można było zorientować się, ile pięter minęli.

– Jazda trwa tylko sekundę – powiedział. – Podoba ci się? W tyłu powieściach o tym czytałem. A w Thistledown sam tego doświadczam. – Po raz pierwszy Patricia usłyszała od niego słowa zachwyty. Wydawał się bardzo zainteresowany jej reakcją. „Kolejna tajemnica”, pomyślała. „Zobaczymy, jak dziewczyna wpada w panikę.”

Puściła jego ramię w momencie, kiedy część szybu przed nimi zrobiła się przezroczysta. Jakaś siła łagodnie przeniosła ich na korytarz siódmego piętra.

Patricia głośno przełknęła ślinę.

– Jestem zdumiona – przyznała z pewnym wysiłkiem. – W przeciwieństwie do drugiej komory wszystko tutaj funkcjonuje sprawnie.

Takahashi skinął głową, jak gdyby się zgadzał z tą uwagą.

– Idź za mną.

Korytarz zakręcał z obu stron. Był kolisty i pomalowany na różne odcienie zieleni. Wydawało się, że przez cały czas prowadzi ich krąg ciepłego światła. Patricia spojrzała w dół i zauważyła, że dotyka stopami niewidocznej płaszczyzny.

– Idziemy w powietrzu – stwierdziła, powstrzymując nerwowe drżenie.

– Ulubione złudzenie mieszkańców Kamienia. Po jakimś czasie się nudzi. – Przystanęli i Takahashi wskazał na podłogę po prawej stronie. Pod bladozieloną linią jarzyła się czerwono liczba 756. – To są drzwi, których szukamy. Czyń honory. Przyłóż rękę do ściany i naciśnij.

Zrobiła tak, jak powiedział. W ścianie pojawił się owalny otwór o wysokości dwóch metrów, ukazując biały pokój.

– Archeolodzy znaleźli go przez przypadek. Prawdopodobnie był nie zamieszkały przed exodusem. W ten właśnie sposób potencjalni mieszkańcy sprawdzali, czy apartament jest wolny. Wszystkie inne drzwi w budynku są kodowane i tym samym nie do sforsowania dla obcych. A jak się sama przekonałaś, informacje o prywatnych mieszkaniach w Thistledown City są zastrzeżone. Proszę.

Patricia weszła do przedpokoju. Apartament był nieskazitelnie biały, umeblowany nieforemnymi białymi bryłami ledwo przypominającymi łóżka, krzesła i stoły.

– Jest brzydki – stwierdziła, rozglądając się po pozbawionym okien salonie. Owalne drzwi prowadziły do dwóch tak samo białych i zastawionych topornymi meblami sypialń. Przynajmniej wydawało się jej, że to sypialnie. Łóżka równie dobrze mogły być kozetkami.

Jedynym niebiałym przedmiotem w apartamencie był chromowy pulpit w kształcie łyżki umieszczony na postumencie. Patricia zatrzymała się przy nim.

– Taki jak w bibliotece. Takahashi skinął głową.

- I tak nie można z niego korzystać. – Wskazał na małą skrzynkę przymocowaną do podstawy postumentu. – Spróbuj coś tu majstrować, a w pomieszczeniach ochrony włączy się alarm.
- To domowe urządzenie biblioteczne?
- Tak przypuszczamy.
- Działa?
- Nikt jeszcze nie próbował, o ile wiem. Możesz zapytać Garry’ego.
- Dlaczego tu nie ma okien? To przechodni apartament?
- W żadnym z mieszkań nie ma zwykłych okien.
- I dlaczego tu tak brzydko?
- Jeśli masz na myśli, że surowo, to dlatego, że nikt nie wybrał wystroju. Nikt tu nie mieszka.

Apartament jest wolny.

- Tak. Co trzeba, żeby go umeblować?
- Przypuszczam, że trzeba zawrzeć coś w rodzaju umowy najmu – odparł Takahasbi. – Potem można go urządzić, wydając na głos polecenia.
- Wspaniale – powiedziała Patricia. – Nikt nie wchodził do pozostałych mieszkań?
- Nie w trzeciej komorze. Są zamknięte na głucho.
- Więc jak znaleźli to? Przypadkiem?
- Vitshak Jacob sam obszedł kolejno wszystkie piętra. To był jedyny apartament, przed którym świecił się numer.

- Jak mieszkańcy trafiali do swoich apartamentów?
- Może gdy ktoś się zbliżał, wyświetlały się numery, a drzwi otwierały. Może mieli inne sposoby. Jeszcze jesteśmy daleko od zrozumienia tak podstawowych rzeczy.
- „Jeśli nie rozumiemy podstawowych rzeczy”, pomyślała Patricia, „jak możemy mieć nadzieję, że kiedykolwiek zrozumiemy szóstą komorę, korytarz?”

- Wracajmy – zaproponował Takahashi – żeby zdążyć na konferencję.

Ledwo im się to udało. Bar w pierwszym osiedlu zespołu naukowców przemeblowano. W części jadalnej ustawiono podwyższenie, pulpit i rzędy krzeseł. Gdy zainteresowani członkowie zespołu wybrali sobie miejsca, na podium stanął Rinskaya.

Patricia i Takahashi zjawili się punktualnie o jedenastej. Większość krzeseł była zajęta, więc usiedli z tyłu. Karen Farley obejrzała się i pomachała im. Patricia odpowiedziała takim samym gestem. Rinskaya podszedł do pulpitu.

- Panie i panowie, koledzy, nasz dzisiejszy raport dotyczy exodusu. Zrobiliśmy znaczne postępy i możemy teraz przedstawić wnioski. – Wskazał na drobnego mężczyznę o jasnobrązowych włosach i delikatnych rysach. – Doktor Wallace Rainer z Uniwersytetu Oklahomy zaprezentuje nam wyniki badań. Dzisiejsze spotkanie nie potrwa dłużej niż pół godziny.

Rainer spojrzął w koniec sali, uzyskał potwierdzenie od kobiety obsługującej projektor i podszedł do pulpitu, rozkładając metalowy wskaźnik.

- Nad sprawozdaniem pracowali wszyscy archeolodzy oraz kilku socjologów. Doktor Jacob jest niedysponowany, więc ja go zastąpię.

Od strony publiczności dobiegły chichoty.

- Jacob nigdy nie występuje publicznie – wyjaśnił Takahashi. – Jest bardzo nieśmiały. Woli opuszczone ruiny.

– Zawsze nas intrygowało, że mogły współistnieć miasto z drugiej komory znane jako Aleksandria i znacznie bardziej rozwinięte Thistledown City z trzeciej komory. Od czasu do czasu zadawaliśmy sobie pytanie: dlaczego mieszkańcy Kamienia utrzymywali Aleksandrię w pierwotnym

stanie, zamiast ją przebudować i zmodernizować? Z pewnością współcześni ludzie czuliby się niezadowoleni żyjąc w stosunkowo prymitywnym otoczeniu, gdyby mogli mieć wszelkie wygody za cenę niewielkiej przebudowy miasta. Wiemy dużo o warunkach życia w Aleksandrii, lecz zdecydowanie mniej o Thistledown City. Jak wiecie, w Thistledown wszystko jest ściśle chronione i jeśli nie chcemy dokonywać włamań, mamy dostęp tylko do jednego budynku. Aleksandria jest bardziej otwarta i pod pewnymi względami bardziej przyjazna, jeśli zgodzicie się na takie określenie. Wszyscy tutaj obecni mamy drugi stopień wtajemniczenia. Wiemy, że mieszkańcy Kamienia byli ludźmi i że wywodzą się z podobnego kręgu kulturowego jak my, lecz z przyszłej Ziemi. Wiemy, że istniały dwie społeczności: geszelowie, zainteresowani nauką i techniką, oraz naderyci. Tak przy okazji, zastanawiam się, kto powie o tym Ralphowi. Wśród słuchaczy rozległy się wymuszone śmiechy.

– Stary dowcip – szepnął Takahashi do Patricii.

– Wiemy, że Aleksandria przed exodusem była zamieszkała głównie przez ortodoksyjnych naderytów przywiązanych do stylu życia sprzed dwudziestego pierwszego wieku.

Patricia nagle uświadomiła sobie, że nikt z obecnych, oprócz niej samej, Takahashiego i Rimskayi, nie zna powodu, dla którego ważna jest ta szczególna linia rozgraniczająca.

– Pod tym względem przypominali amiszów. I podobnie jak amiszki szli na ustępstwa – akceptowali megabloki i inne architektoniczne innowacje. Ich cel jednak był jasny; postanowili zachować styl Aleksandrii i odrzucili bardziej nowoczesny styl Thistledown City. Nie jesteśmy pewni, kiedy nastąpił podział na ortodoksyjnych naderytów i ich bardziej liberalnych współobywateli oraz geszelów, ale nie wydarzyło się to w początkach podróży Kamienia. Jesteśmy natomiast pewni, że Thistledown City ewakuowano i zamknięto przynajmniej wiek przed Aleksandrią. Innymi słowy, exodus z trzeciej komory nastąpił prawie sto lat przed ostateczną ewakuacją drugiej komory. Istnieją namacalne dowody, że drugą komorę ostatecznie opróżniono siłą. Kamień opuszczono zatem nie w wyniku masowej migracji, ale z potrzeby realizacji określonego planu. Ludzie, którzy go obmyślili, najwyraźniej dali swoim ziomkom wiek na przygotowanie się, a kiedy ci mimo to okazali się oporni, usunęli ich siłą. Istnieją ponadto świadectwa, że niektórzy ortodoksyjni naderyci musieli przez kilka lat mieszkać w Thistledown City. Przypuszczamy, że wszyscy mieszkańcy opuścili Kamień korytarzem. Nie mamy na to dowodów i nie wiemy, dlaczego nastąpił exodus ani dlaczego jego inicjatorom zależało na opróżnieniu asteroidu.

Prezentacja zakończyła się serią zdjęć pokazujących mieszkania w Aleksandrii oraz zestawień wielkości populacji w drugiej i trzeciej komorze w ciągu wieków. Przy rzadkich oklaskach Rainer ustąpił miejsca Rimskayi.

– Antropolodzy i archeolodzy wykonali wspaniałą robotę, zgadzacie się? – powiedział, wskazując uprzejmym gestem na osoby siedzące w pierwszych rzędach.

Rozległo się więcej oklasków. Patricia wstała i wyszła z baru, a Takahashi ruszył za nią.

– To fascynujące – odezwała się. – Podobała mi się dzisiejsza wycieczka. Archeolodzy pracują po omacku, prawda?

Takahashi wzruszył ramionami i skinął głową.

– Tak. Nie mają trzeciego stopnia wtajemniczenia. Rimskaya naprowadza ich na trop najlepiej jak potrafi, nie naruszając zasad bezpieczeństwa.

– Nie drażnią cię te tajemnice? Takahashi energicznie potrząsnął głową.

– Nie. To konieczność.

– Może – powiedziała Patricia z powątpiewaniem. – Mam mnóstwo pracy przed powrotem Laniera.

– Oczywiście. Chcesz, żebym cię odwiózł?

– Nie. Wracam na razie do Aleksandrii. Później będę w siódmej komorze, gdybyś czegoś potrzebował.

Takahashi skinął jej głową i wrócił do baru. Farley wyszła chwilę później i dogoniła Patricię przy garażu za osiedlem.

– Podwieźć cię?

– Rupert udzielił mi lekcji jazdy. Myślę, że prowadzenie mnie zrelaksuje.

– Jasne – zgodziła się Farley. Wsiadły do ciężarówki.

Pokój był przesiąknięty zastarzałym dymem papierosowym i potem. Lanier i Hoffman zastali w środku czterech mężczyzn. Dwaj mieli na sobie szare poliestrowe garnitury, byli grubi, łysiejący. Wyglądali jak typowi Rosjanie z amerykańskiej komedii. Pozostali dwaj, w miarę szczupli i modnie ostrzyżeni, nosili szyte na miarę garnitury z czystej wełny. Po wymianie uprzejmości i uśmiechów wszyscy usiedli wokół owalnego stołu konferencyjnego. Przez kilka minut oczekiwania na Cronberry i Hague'a panowała niezręczna cisza.

Gdy tamci się zjawili, najstarszy rangą Rosjanin, Grigorij Fiodorowski, wyjął z kartonowej teczki pojedynczą kartkę i położył na stole. Następnie wsadził na nos okulary w drucianej oprawce.

– Nasze rządy mają do omówienia kilka ważnych spraw dotyczących Kamienia, czy też jak my go nazywamy, Ziemiaka. – Jego angielski był doskonały. Na twarzy malował się spokój. – Przedstawiliśmy ISCCOM swoje obiekcje i teraz wysłuchamy, co macie do powiedzenia. Sprzeciwiamy się decyzji o przyznaniu prawa do eksploracji tym, którzy pierwsi znaleźli się na Kamieniu...

Lanier przypomniał sobie, że koncesja ma już prawie dwa lata.

– ...uważamy, że Związek Radziecki i zaprzyjaźnione państwa zostały oszukane. Choć naukowcy radzieccy zostali wpuszczeni na Kamień, wciąż stawia się im przeszkody na drodze i nie pozwala prowadzić prac. Odmówiono im dostępu do ważnych informacji. W świetle tych i innych zarzutów, które prześlemy prezydentowi i senackiej komisji do spraw kosmosu, uważamy, że Związek Radziecki i kraje sojusznicze zostały potraktowane... – odchrząknął, jakby z zakłopotaniem – ...źle. Uznaliśmy, że dalszy udział w międzynarodowych badaniach Kamienia, zdominowanych przez Stany Zjednoczone i NATO-Eurospace jest bezcelowy. Dlatego też wkrótce wycofamy nasz personel i wsparcie dla całego przedsięwzięcia.

Hoffman skinęła głową, mocno zaciskając usta. Cronberry odczekała chwilę, żeby się zastanowić, i zabrała głos.

– Przykro nam z powodu waszej decyzji. Uważamy, że zarzuty stawiane ISCCOM, NATO-Eurospace i personelowi Kamienia okazały się nieuzasadnione, oparte na godnych pożałowania plotkach. Czy decyzja waszych przełożonych jest ostateczna?

Fiodorowski skinął głową.

– Uzgodnienia ISCCOM dotyczące Kamienia wymagają, by wszystkie ekipy zostały wycofane do czasu rozwiązania spornych kwestii.

– To niewykonalne – oświadczyła Hoffman. Fiodorowski wzruszył ramionami i zacisnął usta.

– Niemniej jednak, to właśnie przewiduje umowa.

– Panie Fiodorowski – odezwał się Hague, kładąc dłonie na stole. – Przypuszczamy, że istnieją inne powody wycofania waszego personelu. Możemy o tym porozmawiać?

Fiodorowski skinął głową.

– Z zastrzeżeniem, że nie mamy pełnomocnictw do negocjacji ani wydawania oficjalnych oświadczeń.

– My również. Myślę, że wszyscy musimy się uspokoić i znaleźć sposób, by dojść do porozumienia. – Spojrzał na Rosjan, unosząc pytająco brwi. Tamci kiwnęli głowami. – Nasz prezydent został poinformowany, że Związek Radziecki uważa, iż na Kamieniu zdobyto niebezpieczne informacje o militarnym charakterze – stwierdził Hague.

Twarz Fiodorowskiego pozostała nieprzenikniona, wyrażała jedynie uprzejme zainteresowanie.

– Choć prawdą jest, że NATO-Eurospace rozpoczęły badania drugiej i trzeciej komory Kamienia...

– Wbrew naszym życzeniom i protestom – dorzucił Fiodorowski.

– Tak, ale z waszą ostateczną zgodą.

– Pod presją.

– Istotnie – powiedział Hague, znowu unosząc brwi i spoglądając na biurko. – Jednak niczego niebezpiecznego tam nie znaleźliśmy.

I rzeczywiście to była prawda. Biblioteki nie zawierały szczegółowych informacji na temat broni.

– Zgodnie z umową o każdym takim odkryciu należy natychmiast zameldować radzie rozjemczej w Genewie.

– Możliwe – powiedział Fiodorowski. Lanier zastanawiał się, jakie role odgrywają pozostali trzej Rosjanie. Marionetek? Obstawy? Agentów pilnujących Fiodorowskiego? – Nie interesują nas jednak takie raporty. Pozwólcie, że będę szczery. – Teraz on również położył obie ręce na stole, dłońmi do góry. – Pamiętajcie, że nie mogę wypowiadać się oficjalnie. Wyrażę jednak swoją opinię jako zwykły obywatel. – Zdenerwowany, wziął głęboki oddech. – Wszyscy jesteśmy, w pewnym sensie, kolegami. Mamy wiele wspólnych interesów. Nie chodzi nam o nowe technologie wojskowe. Mój rząd i rządy suwerennych krajów sojuszniczych są bardziej zainteresowane bibliotekami w drugiej i trzeciej komorze, zawierającymi relacje z przyszłej wojny między naszymi krajami.

Lanier był jak ogłuszony. Sądził, że ochrona na Kamieniu – zwłaszcza wokół bibliotek – jest szczelna. Czy można go obciążyć odpowiedzialnością za ten groźny przeciek... a może to był przeciek z innego źródła, może z gabinetu prezydenta albo Hoffman?

– To bardzo niezwykła sytuacja – kontynuował Fiodorowski. – Szczerze mówiąc, moim kolegom i mnie trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. – Pozostali trzej Rosjanie skinęli głowami. – Na naszych informacjach można jednak polegać. Co macie do powiedzenia na ten temat?

– Do materiałów znalezionych w bibliotekach podeszliśmy bardzo ostrożnie – powiedział Hague. – Dopiero zaczęliśmy je opracowywać.

Fiodorowski spojrział w sufit, wyprowadzony z równowagi.

– Prosiliśmy o szczerą rozmowę. Mój rząd wie, co jest w bibliotekach. Jesteśmy pewni, że relacje z przyszłej wojny znajdują się w rękach waszego prezydenta.

Spojrzał kolejno na zebranych. Lanier wytrzymał jego wzrok i dostrzegł cień uśmiechu na ustach Rosjanina.

– Tak – powiedział Fiodorowski. – Oczywiście wiemy, że Kamień zbudowali ludzie albo zbudują go za parę wieków. Wiemy, że zostanie do tego celu wykorzystany asteroid o nazwie Junona. Junona i Kamień są identyczne. Potwierdziły to zdjęcia naszej sondy wysłanej do pasa asteroidów.

– Panie Fiodorowski, mamy do czynienia z niezwykle problemem – odezwała się Hoffman. – Jesteśmy pewni, że Kamień nie pochodzi z naszego wszechświata, ale ze świata alternatywnego. Uważamy, że informacje przechowywane w bibliotekach mogą zostać źle zinterpretowane.

Możliwe, że wcale nie dotyczą naszego świata. Naukowe dane mogą być użyteczne i dokładnie je studiujemy, ale lekkomyślne ich ujawnienie może się okazać katastrofalne w skutkach.

– Niemniej jednak istnieją takie relacje.

– Jeśli istnieją, nic o nich nie wiemy – oświadczyła Cronberry.

Lanierowi zamarło serce. Nienawidził kłamstw, nawet koniecznych. Nienawidził uczestniczyć w kłamstwach. Jednak podobnie jak Cronberry i Hague wcale nie chciał, żeby Rosjanie

weszli do bibliotek. Przez to sam stawał się kłamcą.

Rosjanin siedzący obok Fiodorowskiego, Jurij Kiereński, nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Fiodorowski skinął głową.

– Panie Lanier, zaprzecza pan istnieniu takich informacji?

– Nic o nich nie wiem – odparł Lanier gładko.

– Ale przyznaje pan, że jeśli istnieją, znajomość dat, godzin, wydarzeń i konsekwencji miałyby wielką strategiczną wartość i zarazem byłyby wielkim obciążeniem dla pana osobiście?

– Przypuszczam, że tak – przyznał Lanier.

– Proszę nie wywierać nacisku na pana Laniera – przerwał mu Hague.

– Przepraszam – powiedział Fiodorowski. – Proszę wybaczyć, ale jesteśmy bardzo zatroskani.

Kiereński wstał nagle.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że między naszymi narodami utrzymuje się obecnie poważne napięcie, może najpoważniejsze od 1990 roku. Według nas kłopoty na Kamieniu, szczególnie związane z bibliotekami, zagrażają pokojowi światowemu. Jest oczywiste, że nie rozwiążemy problemu na tym szczeblu. Zatem nie widzę potrzeby dalszej dyskusji.

– Panie Kiereński – zabrała głos Hoffman. – Mam tutaj dokument, który powinien zobaczyć wasz sekretarz partii. Jest to lista prac, jakie wykonują wszyscy naukowcy na Kamieniu. Myślę, że to powinno uciszyć plotki o stawianiu przeszkód waszym badaczom. Kiereński potrząsnął głową i postukał palcem w stół.

– To już nieistotne. Nie chodzi o stawianie przeszkód. Sprawą sporną są biblioteki. Od tej pory rozmowy będą się toczyły na szczeblu oficjalnym. Miejmy nadzieję, że rezultaty będą lepsze. – Rosjanie wstali i Hague odprowadził ich do drzwi.

Tam przejął ich agent tajnej służby. Hague zamknął drzwi i wrócił do stołu.

– No i doczekaliśmy się – powiedział.

– Robi mi się niedobrze – rzucił Lanier półgłosem.

– Tak – odezwała się Cronberry, unosząc się z krzesła. – A co mieliśmy według pana zrobić, Lanier? To pan jest odpowiedzialny, wie pan o tym? Zaniedbał pan sprawę ochrony i teraz mamy ten bałagan, dyplomatyczną katastrofę. Dlaczego w ogóle otwierał pan biblioteki? Nie potrafił pan przewidzieć kłopotów? Ja z pewnością bym je wyczuła. Cały Kamień musi cuchnąć.

– Zamknij się, Alice – poleciła Hoffman spokojnie. – Przestań się zachowywać jak małpa.

Cronberry obrzuciła wszystkich wzrokiem, usiadła i zapaliła papierosa, mocując się z zapalniczką. Lanier obserwował ją z niepokojem. „Ta sytuacja nas przerasta”, pomyślał. „Jesteśmy jak dzieci bawiące się prawdziwymi karabinami, prawdziwymi kulami”.

– Wczoraj telefonował prezydent – poinformowała Hoffman. – Jest bardzo niezadowolony z powodu sprawy bibliotek. Chce, żeby je zamknięto i wstrzymano badania. Twierdzi, że sprawy wymknęły się nam spod kontroli, a ja nie mogę się z nim nie zgodzić. Nie możemy zrzucać całej winy na Garry’ego. W każdym razie prezydent zamierza tymczasowo zawiesić dalsze badania. Rosjanie dostaną to, czego chcą.

– Ile mamy czasu? – spytał Lanier.

– Aż rozkaz dotrze wszystkimi kanałami? Prawdopodobnie tydzień.

Lanier uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Co w tym zabawnego? – spytała Cronberry zimno, wydmuchując dym.

– Źródła historyczne mówią, że zostały dwa tygodnie do wybuchu wojny.

Hoffman zaprosiła Laniera do swojego gabinetu na wieczornego drinka. Zjawił się o siódmej

po szybkiej kolacji w barze JPL. Gabinet Hoffman był skromny i funkcjonalny, podobnie jak ten w Nowym Jorku. Jediną różnicę stanowiła większa liczba półek z blokami pamięci.

– Próbowaliśmy – powiedziała, podając mu szklanekę czystej szkockiej. – Cóż. – Uniosła swoją szklaneczkę duboneta z lodem.

– Tak – potwierdził.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Jestem zmęczony.

– Dźwigasz ciężar całego świata na swoich barkach – stwierdziła, przyglądając mu się uważnie.

– Ciężar paru wszechświatów – powiedział. – Przekonuję się, jakim jestem łajdakiem, Judith.

– Ja również. Znowu rozmawiałam dzisiaj z prezydentem.

– Tak?

– Nazwałam go idiotą. Prawdopodobnie zostanę zwolniona albo zmuszona do rezygnacji, zanim odleci.

– To dobrze – stwierdził Lanier.

– Siadaj. Porozmawiaj ze mną. Opowiedz mi, jak tam jest. Tak bardzo chciałabym tam polecieć... – Przyciągnęła krzesła. Usiedli naprzeciwko siebie.

– Po co? – spytał Lanier. – Widziałaś wszystko na ekranie.

– Głupio pytasz.

– Istotnie – przyznał Lanier. Oboje czuli się już lekko wstawieni, zanim jeszcze alkohol zdążył zadziałać. Lanierowi zdarzało się to już wcześniej, gdy był w dużym napięciu.

– Cholera, rozumiem Rosjan – stwierdziła Hoffman po chwili milczenia. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat przegoniliśmy ich w każdej dziedzinie – w dyplomacji, technice. W kosmosie i na Ziemi. Jesteśmy jak króliki wobec żółwi. Oni są dinozaurami i nienawidzą wszystkiego, co szybsze i lepiej przystosowane. Młody Iwan nie odróżnia terminala komputerowego od koła traktora. Nawet Chińczycy biją ich na głowę.

– Chińczycy mogą nas prześcignąć za pokolenie lub dwa.

– I dobrze. Przyda się to nam – powiedziała Hoffman. – Teraz przechwycimy Kamień, przywłaszczymy go sobie i rzucimy im ochłapy w interesie międzynarodowej współpracy. To, co odkryjemy na Kamieniu, będzie kamieniem nagrobnym dla całego bloku wschodniego. Znajdziemy się w posiadaniu niewyobrażalnej techniki. Boże. Chciałabym zasiąść z nimi przy stole i przekonać... ale oni są zbyt przestraszeni, a nasz prezydent zbyt głupi.

– Nie sądzę, żeby głupi było właściwym słowem. Może zdezorientowany.

– Niewiele wiedział o Kamieniu, kiedy obejmował urząd.

– Wiedział, że nadlatuje – sprostował Lanier – czyli tyle samo co my.

– Więc do diabła z nim, jeśli nie potrafi wziąć na siebie odpowiedzialności – powiedziała Hoffman, wpatrując się w okno. – Kiedyś dawno temu rozbiłeś się. Gdzie chciałeś być, gdy samolot zaczął spadać?

– Przy sterach – odparł Lanier bez wahania. – Tak bardzo chciałem uratować samolot, że nawet nie pomyślałem o katapultowaniu się. Uważałem, że jest piękny, i chciałem go uratować. Wylądowałem w jeziorze, żeby nikogo nie zabić.

– Nie jestem taka odważna – wyznała Hoffman. – Uważam, że Ziemia jest piękna, i chcę ją uratować. Pracowałam nad tym ze wszystkich sił. I wszystko, co udało mi się osiągnąć, to ten bałagan. Twój samolot dał ci prztyczka w nos. Nie wezwał na dywanik, żeby cię skarcić za wysiłki, prawda?

Lanier potrząsnął głową.

– A mnie to spotyka. Więc mówię sobie: „Do diabła z nimi”. Chcę być na Kamieniu, kiedy się zacznie.

– Jeśli na Ziemi rozpęta się piekło, przez wiele lat nie opuścimy Kamienia. Nie pomoże nam nawet osada księżycowa.

– Ziemia przeżyje?

– Ledwo – odparł Lanier. – Przez rok temperatury poniżej zera na półkuli północnej, epidemie, głód, rewolucje. Jeśli relacje dotyczą naszej rzeczywistości, zginą może trzy lub cztery miliardy ludzi.

– Ale to nie będzie koniec świata.

– Nie. Zresztą może do tego wszystkiego nie dojdzie.

– Wierzysz w to?

Lanier milczał przez dłuższą chwilę. Hoffman czekała cierpliwie. – Nie. Już nie. Może gdyby Kamień w ogóle się nie pojawił.

Odstawiła szklankę i przesunęła palcami po jej krawędzi.

– Cóż. Spróbuję tam dotrzeć. Nie pytaj jak. Jeśli mi się uda, zobaczymy się na Kamieniu. Jeśli nie... Dobrze się z tobą pracowało. Chciałabym, żeby tak zostało. – – Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w czoło. – Dziękuję.

Pół godziny później, po tym jak wypili jeszcze po trzy drinki, odprowadziła go do drzwi. Wcisnęła mu do ręki złożony świstek papieru.

– Weź to i wykorzystaj, jak zechcesz. Możesz to dać Gerhardtowi albo zniszczyć. Prawdopodobnie nie ma to już teraz dużego znaczenia.

– Co to jest? – spytał.

– Nazwisko rosyjskiego szpiega na Kamieniu. Lanier ścisnął kartkę w dłoni, ale jej nie rozwinął.

– Prezydent działa szybciej, niż sadyłam – powiedziała Hoffman. – Jutro otrzymasz polecenie zamknięcia bibliotek. Chce przekonać Rosjan, że jesteśmy szczerzy.

– To szaleństwo – stwierdził Lanier.

– Niezupełnie. To polityka. On ma poważne problemy na głowie. Czy ja to powiedziałam? Tak. Zaczynam rozumieć prezydenta. Muszę być pijana. Zresztą czy to ważne?

– Z pewnością mogłoby być.

– Zrób, jak zechcesz. Minie kilka tygodni, zanim coś odkryją i odwołają cię. – Uśmiechnęła się. – Jak tylko Vasquez wykona zadanie, dasz mi jakoś znać, dobrze? Jeszcze nie wszystkie karty weszły do gry. Mam po swojej stronie paru senatorów i członków Połączonych Sztabów.

– Dobrze. – Schował kartkę do kieszeni. Otworzyła mu drzwi.

– Do widzenia, Garry.

Agent stojący w korytarzu spojrzał na niego obojętnie.

„Czy naprawdę chcę wiedzieć?”

Musi wiedzieć.

Musi przygotować Kamień na to, co ma nadejść.

Heineman sam pilotował samolot VISTOL, korzystając z silnika raketowego. Minęło dopiero czterdzieści minut od chwili, kiedy połączył ze sobą samolot i plazmolot przy południowym otworze. Ze wszystkich stron otaczała go „ziemia”, przyprawiając początkowo o zawrót głowy. Stracił orientację. Szybko jednak się przyzwyczaił.

Dzięki radiolatarniom umieszczonym we wszystkich komorach i komputerom samolotu, potrafił określić położenie z dokładnością do kilku centymetrów. Ostrożnie i z radością pilotował połączone statki przez kolejne komory, wykorzystując zrobiony na zamówienie układ sterowniczy samolotu.

Włosy jeżyły mu się na karku w pobliżu otworów wlotowych, które wyglądały na maleńkie w porównaniu z masywnymi klapami. Choć z daleka prawie niewidoczne, w rzeczywistości były większe od boiska piłkarskiego i nie stanowiły prawdziwego wyzwania.

Przeleciał pewnie nad mrocznym krajobrazem gór i przepaści piątej komory. Wlatując w otwór między piątą i szóstą komorą, wysłał zwięzłą instrukcję do inżynierów czekających w pobliżu osobliwości w siódmej komorze: „Rozbierzcie je. Będę za parę minut”. Potwierdzili odbiór i zaczęli rozmontowywać rusztowanie służące badaczom.

Heineman zamierzał nawlec igłę za pierwszym razem, powoli i pewnie.

Połączone statki były czymś monstrualnym z punktu widzenia aerodynamiki i nieprawdopodobnym, ale pilotowanie ich nie było trudne. Prawie próżnia w pobliżu osi Kamienia nie stawiała oporu.

Nawet koncentrując się na ostatniej fazie podróży, Heineman nie mógł przestać myśleć o lataniu.

Wejście w atmosferę miało być najtrudniejszą częścią operacji. Po osadzeniu plazmolotu na osobliwości Heineman sprawdzi klamry, lecąc trzydzieści jeden kilometrów wzdłuż osi. Wytracenie wysokości miało być znacznie łatwiejsze w głębi korytarza – tak mu powiedziano. Zejdzie tam po prawie prostej linii zamiast po spirali, co byłoby konieczne w wirującej komorze.

Samolot VISTOL odłączy się i odleci od osi dzięki włączanej od czasu do czasu na krótko sile ciągu silników wodorowych. Następnie rozpocznie łagodne opadanie, napotykając opór powietrza na wysokości rury plazmowej, czyli około dwudziestu dwóch kilometrów nad ziemią, a trzy kilometry od osi. Pierwsze kilometry atmosfery będą zdradliwe ze względu na prądy powietrza i turbulencje spowodowane siłą Coriolisa i nagrzewaniem. Pilot będzie musiał zapomnieć wiele rzeczy, których nauczył się na Ziemi.

Projektanci obliczyli zużycie paliwa dla samolotu. Mógł wykonać dwadzieścia startów i lądowań oraz przelecieć w atmosferze w przybliżeniu cztery tysiące kilometrów z szybkością podróżną bez korzystania ze zbiorników paliwa, tlenu i nadtlenu wodoru w plazmolocie. W pełni obciążony, plazmolot mógł pięć razy dotankować samolot VISTOL, a przytwierdzony do osobliwości, mógł podróżować w nieskończoność, korzystając z efektu zniekształcenia przestrzeni.

Teraz zarówno samolot, jak i plazmolot leciały nie obciążone. Po nanizaniu na osobliwość ekipa techniczna napełni zbiorniki na pomoście roboczym siódmej komory.

Szósta komora obracała się wokół Heinemana, a pokrywa chmur rozstępowała się miejscami, ukazując maszyny, o których istnieniu dowiedział się zaledwie trzy dni temu.

Był niemal przeświadczony, że archeolodzy i fizycy z czystej złośliwości uknuli spisek, żeby trzymać go z daleka od najciekawszych części Kamienia.

– Nie ma tam żadnych ruchomych części – powiedziała Carrolson. – Nie sadziliśmy, że cię to

zainteresuje.

Zacisnął zęby. Maszyneria szóstej komory onieśmiała ogromem. Nigdy nie śnił, że zobaczy coś takiego, nawet na Kamieniu. Niemal odwróciła jego uwagę od pilotowania plazmolotu i samolotu VISTOL.

Ostatni otwór przybliżał się szybko. Heineman zwolnił i po raz ostatni włączył ciąg. Poza paroma korektami kursu pośrodku otworu, koniecznymi ze względu na ruch Kamienia po orbicie wokół Ziemi i Księżyca, będzie mógł się ześliznąć prosto na osobliwość, przymocować plazmolot klamrami, a następnie go wypróbować.

– Jest! – zawołała Carrolson, wskazując palcem. Patrzyła przez specjalne okulary z filtrem na rurę plazmową w miejscu, gdzie stykała się ona z południową klapą. Po chwili oddała okulary Farley, która wyraźnie zobaczyła połączone pojazdy, jakby zawieszony w powietrzu. Z tej odległości nie można było dojrzeć osobliwości.

– Zamierza dzisiaj nim polecieć? Carrolson przytaknęła.

– Heineman wypróbuje go i zostanie tu do powrotu Laniera.

Rimskaya podszedł do nich i przez chwilę stał w milczeniu.

– Moje panie – odezwał się w końcu – bierzmy się do pracy.

– Oczywiście – powiedziała Farley. Carrolson uśmiechnęła się szeroko za plecami Rimskayi.

Razem wrócili do namiotu.

Vasquez kontynuowała wirtualne wycieczki po mieście trzeciej komory. Odkryła, że może dowolnie wybierać trasy, chociaż nadal nie miała wstępu do prywatnych mieszkań.

W ten sposób relaksowała się między okresami wyętej pracy umysłowej. Robiła również piesze wyprawy. Poczucie wolności, gdy wędrowała po Kamieniu z podręczną mapą albo tabliczką i blokami pamięci, nie zaczepiana przez nikogo, sprawiało jej radość. Udawało się jej niemal odgonić ponure myśli... choć nie do końca.

Jeździła pociągami między szóstą i trzecią komorą co najmniej raz na dobę. Od czasu do czasu korzystała z biblioteki w drugiej komorze, czasami zostawała w niej, spędzając noc na łóżku polowym w ciemnej czytelni. Nie było to jej ulubione miejsce do spania – wołała namiot w siódmej komorze – ale przynajmniej mogła się cieszyć chwilami samotności. Nawet Takahashi nie korzystał częściej z tej biblioteki.

Biblioteki stanowiły dwa miejsca jej pracy. Rozwiązując kolejne problemy, wchłaniała jednocześnie mnóstwo niepotrzebnych informacji. Pławiła się w intelektualnym luksusie.

Gdy poprosiła o materiały źródłowe dotyczące projektu Kamienia, na ekranie wyświetliła się czarna kula ze sterczącymi kolcami. Miły głos poinformował:

– Brak dostępu. Proszę skonsultować się z dyżurnym bibliotekarzem.

Odczuwała frustrację. Praktycznie wszystkie materiały dotyczące teorii i budowy szóstej komory były zastrzeżone. Brakowało informacji na temat siódmej komory i korytarza. Odpowiedź na jej pytania brzmiała:

– Nie ma w zbiorach.

Rozżłoszczona niepowodzeniami, wpadła na pomysł, żeby zajrzeć do własnych prac – nawet tych, które dopiero miała napisać – i przekonać się, czy ma swoją odpowiedniczkę, która zaznaczyła własną obecność w historii Kamienia.

Zywiła jednak niemal przesadną niechęć, by drążyć tę sprawę. Gdy w końcu natrafiła na swoje nazwisko, stało się to przypadkiem.

Jedyne wzmianki o szóstej komorze znajdowały się w bibliotece w Aleksandrii, w składającym się z siedemdziesięciu pięciu tomów zestawie podręczników, które wyglądały jak wydanie dla kolekcjonerów, majsterkowiczów, inżynierów lub emerytów.

Swoje nazwisko znalazła w przypisie w tomie czterdziestym piątym, ciężkiej księdze liczącej dwa tysiące stron i zawierającej teorię maszynierii szóstej komory i inercyjnej amortyzacji.

W ciemnej czytelni, gdzie jedyne oświetlenie stanowiły stojące na biurkach lampy i świetlówki, wpatrywała się w przypis, czując jak napinają się jej mięśnie pleców.

„Patricia Louisa Vasquez”, czytała jak zaklęcia, Teoria n-przestrzennych geodetyk z zastosowaniem w fizyce newtonowskiej i rozprawa na temat linii świata. Nigdy nie napisała artykułu pod takim tytułem... na razie. Miał być opublikowany w roku 2023 w numerze „Dziennika Fizyki”.

Wiec przeżyje Śmierć.

I przyczyni się, przynajmniej w niewielkim stopniu, do zbudowania Kamienia.

Znalazła artykuł w bibliotece w Thistledown City, gdzie najwyraźniej uznano go za zbyt przestarzały, by objąć zakazem. Przeczytała cały, podekscytowana, i stwierdziła, że jest trudny. Gdy przedzierała się przez nieznanne symbole i niejasną terminologię, próbując cokolwiek zrozumieć z tego, co miała napisać jej odpowiedniczka za osiemnaście lat – lub napisała wiele wieków temu – przyszło jej do głowy pewne wyjaśnienie.

Pierwotnym celem maszynierii szóstej komory miało być tłumienie momentu pędu wybranych obiektów na Kamieniu, co eliminowało konieczność obwałowania brzegów rzek, wznoszenia zapór i specjalnie zaprojektowanych budynków.

Przystępując do budowy Kamienia, wyznaczono górną granicę przyspieszenia i hamowania na trzy procent g. Dzięki maszynierii szóstej komory ograniczenia okazały się niepotrzebne. Komory Kamienia były niezależne od wpływów zewnętrznych.

W podręcznikach wyjaśniono, dlaczego maszynieria amortyzująca działa selektywnie. W przeciwnym razie rotacja Kamienia byłaby bezużyteczna i wszystko w komorach unosiłoby się w powietrzu w stanie bliskim nieważkości.

Implikacje tego okazały się zdumiewające. Maszynieria szóstej komory w istocie zmieniała relacje masa-przestrzeń-czas na Kamieniu.

Niewiele już brakowało, żeby móc manipulować przestrzenią i czasem w taki sposób, by stworzyć korytarz.

A jednak Kamień nie podróżował szybciej od światła i nie miał sztucznej grawitacji – przynajmniej w pierwszych sześciu komorach. A czegoś takiego należało oczekiwać w świetle teorii amortyzacji inercyjnej. Dlaczego budowniczowie Kamienia i fizycy nie potrafili postawić kropki nad i? Wróciła do aleksandryjskiej biblioteki i przejrzała podręczniki, ale ponieważ dotyczyły tylko budowy i konserwacji maszynierii Kamienia, nie znalazła w nich odpowiedzi.

Leżąc na łóżku połowym w czytelni, ukryła twarz w dłoniach i potarła oczy. Była zupełnie wyczerpana. Musiała się cały czas koncentrować, a miała zbyt mało czasu, żeby rozwiązać piętzące się problemy i jak najszybciej uzyskać odpowiedzi.

Powinna sobie zrobić przerwę. Wstała i zeszła na dół. Wyszła na światło rury plazmowej i usiadła na ławce pod betonowym murkiem.

Próbowała nie myśleć o niczym. Na próżno.. Wciąż powracały myśli o Paulu i rodzinie. – Gubię się – szepnęła potrząsając głową. Była samym mózgiem. W szarej pustce przelatywały najróżniejsze myśli. Nagle w tej pustce pojawiła się szczelina. Kiedyś zajmowała się przestrzeniami ułamkowymi – pojedynczymi wymiarami pozbawionymi odpowiedników oraz wymiarami wyrażonymi w liczbach mniejszych od jedności, czasem bez przestrzeni, długością bez szerokości, głębokości lub czasu. Prawdopodobieństwami. Półprzestrzeniami, ćwierćprzestrzeniami. Jako narzędzia służyły jej transformacje ułamkowe i geometryczna analiza fraktalna. Zaczęła nawet wykreślać geodetyki przestrzeni o wyższej liczbie ułamkowych wymiarów oraz przestrzeni cztero – i pięciowymiarowych.

Położyła głowę na kolanach. Myśli pędziły chaotycznie. Bez ładu, bez dyscypliny.

Korytarz – przedłużenie maszynierii szóstej komory służącej do amortyzacji inercyjnej.

W trakcie podróży przez wieki mieszkańcy Kamienia zmienili zdanie albo zapomnieli o pierwotnych celach. Kamień, jako osobny wszechświat, odcisnął swoje piętno na następnych pokoleniach, dla których stało się naturalne, że żyją w obracających się cylindrach, wydrążonych w skale asteroidu. Z czasem może nawet sam asteroid zniknął z powszechnej świadomości. Pozostało tylko życie w cylindrach.

Niewolony i ograniczany przez wieki, karmiony widokiem Kamienia, ujawnił się geniusz jego mieszkańców. Stali się niemal bogami, stworzyli swój własny świat i ukształtowali go na podobieństwo świata, który najlepiej znali.

Znaleźli wyjście z Kamienia, nie narażając na szwank ostatecznej misji...

Odkryli, że mogą stworzyć niewiarygodne przedłużenie swojego świata...

Czy ktokolwiek z mieszkańców Kamienia mógł się oprzeć pokusie? (Tak, ortodoksyjni

naderyci, i dlatego zostali o cały wiek dłużej).

Tak więc inżynierowie szóstej komory, kierowani przez tajemniczego Konrada Korzeniowskiego, stworzyli korytarz, nadali mu określone cechy, zabawili się możliwościami. Zbudowali studnie i znaleźli sposób, by napełnić korytarz powietrzem i glebą, stworzyć krajobrazy dorównujące tutejszym dolinom, może nawet wspanialsze.

Poczuła, że rozjaśnia się jej w głowie. Niektóre symbole z jeszcze nie napisanego artykułu stały się teraz dla niej zrozumiałe. Odniosła wrażenie, że widzi wszystkie problemy naraz, jak ludzi pracujących w wieżowcu o szklanych ścianach.

Mieszkańcy Kamienia stworzyli korytarz, żeby wyzwolić się z poczucia uwięzienia. Nie chodziło o dosłowne zwiększenie przestrzeni życiowej, gdyż Kamień nigdy nie był przeludniony.

Raptem przyszło jej do głowy, że z korytarzem wiązało się pewne niebezpieczeństwo, efekt uboczny, którego początkowo mogli sobie nie uświadamiać...

Albo nigdy sobie nie uświadomili.

Tworząc korytarz, wypchnęli Kamień z jego kontinuum. W myśli uformował się jej pewien obraz, choć wcale nie była pewna, czy właściwy: korytarza jako bicza i Kamienia jako jego końca. Gdy bicz rozwinął się w nadprzestrzeni, koniec wystrzelił z jednego wszechświata...

I znalazł się w jej świecie.

Cztery godziny później obudziła się zeszywniała, z niesmakiem w ustach i nieznośnym bólem głowy. Z trudem wstała z ławki i zamrugała oczami.

Była jednak bliska rozwiązania zagadki.

Odkrywszy, że nie uda się wypełnić pierwotnej misji Kamienia, jego mieszkańcy wyemigrowali w głąb korytarza.

Wygladziła kombinezon. Musi teraz wrócić i położyć fundamenty pod zbudowane przez siebie zamki z piasku.

I znaleźć gdzieś aspirynę.

Podczas całej podróży wahadłowcem i promem Lanier nie zajął do schowanej w kieszeni kartki. Bał się chwili, kiedy będzie musiał to zrobić i podjąć kroki przeciwko koledze, może przyjacielowi.

TPO przycumował do Kamienia. Lanier wysiadł, złożył krótką relację Robercie Pickney i ekipie łącznościowców oraz polecił Kirchnerowi wzmocnić zewnętrzną ochronę Kamienia.

Co do ochrony wewnętrznej...

To naprawdę nie należało do niego. Czy Gerhardt już otrzymał tę samą informację, którą on miał napisaną na świstku papieru? Jak Hoffman zdobyła to nazwisko i dlaczego mu je podała?

Posłaniec przyniósł mu na tabliczkach meldunki od szefów poszczególnych ekip. W niewielkim pomieszczeniu przylegającym do platformy wyładunkowej, leżąc w jednym z hamaków, które służyły jako łóżka pracującym w pobliżu osi pracownikom, Lanier czytał je zaabsorbowany, aż w końcu uświadomił sobie, że tylko odwleka to, co jest nieuniknione.

Wchodząc do windy w towarzystwie milczącego żołnierza, wyjął kartkę z kieszeni i rozłożył ją.

– Chciałabym pojechać do drugiego kręgu studzien, jak tylko to będzie możliwe – oznajmiła Patricia. Takahashi przytrzymał jej klapę namiotu. Carrolson i Farley drzemały w rogu pomieszczenia; Wu i Chang pracowali w drugim kącie. Takahashi wszedł za nią do środka.

– Leniuchujecie? – rzucił. Carrolson i Farley obudziły się równocześnie i zamrugały oczami, niezadowolone z pobudki.

– Musimy dokonać wyrywkowych pomiarów czasoprzestrzeni – wyjaśniła Patricia. Miała wymizerowaną twarz i fioletowe cienie pod oczami. – Poprosiłam pana Heinemana o pomoc. W samolocie jest radiolatarnia kierunkowa. Odbierzemy jej sygnały, wprowadzimy do analizatora częstotliwości i porównując nasze odczyty z odczytami w samolocie, który będzie nad nami przelatował, obliczymy, z jaką prędkością poruszamy się w czasie.

– Doszłaś do jakichś wniosków? – spytała Carrolson, siadając na łóżku.

– Tak sądzę – odparła Patricia. – Potrzebuję jednak dowodów. Mam pewne przewidywania i jeśli się potwierdzą, będę mogła stworzyć hipotezę.

– Powiesz nam o nich? – spytał Takahashi, siadając obok Carrolson.

Patricia wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Korytarz ma dziury. Każda dziura to fluktuacja czasoprzestrzeni i potencjalne przejście do innego wszechświata. W tych miejscach powinny występować niewielkie zmiany stałych geometrycznych i fizycznych, a także fluktuacje czasowe.

– Czy to oznacza, że korytarz jest pełen potencjalnych studzien?

– Tak przypuszczam. Wybrano tylko kilka, dostrojono, jeśli tak można powiedzieć. – Spojrzała w górę, jakby szukała odpowiednich słów na wyjaśnienie tego, co jej chodziło po głowie. – Wgłębienia nakładają się na siebie. Może ich być nieskończona liczba. Studnia otwarta we wgłębieniu – potencjalna lub już dostrojona – może prowadzić do innego wszechświata.

Takahashi potrząsnął głową.

– Zwariowana teoria.

– Tak – zgodziła się Patricia. – Chciałabym poczekać z wyjaśnieniami do powrotu Garry’ego.

– Niedługo tu będzie. Kilka godzin temu wyładował – poinformowała Carrolson. Klepnęła się w kolano i wstała. – Coś mi się przypomniało. Jutro w pierwszej komórce urządzamy tańce. Zapraszamy wszystkich. Możemy to potraktować jako powitanie Garry’ego. Przyda się nam trochę

rozrywki.

- Jestem dobrym tancerzem – pochwalił się Wu. – Fokstrot, twist, swing.
- Słyszeliście! Pewnie pomyślicie, że jesteśmy trzydzieści lat do tyłu! – zawołała Chang.
- Czterdzieści – sprostował Wu.
- Jeśli uda się oderwać Heinemana od jego zabaweczki – powiedziała Carrolson – nauczę go paru modnych kroków.

Lanier rzucił kartkę na biurko i sięgnął do interkomu. Zawahał się.

Zrozumiał, dlaczego Hoffman dała mu to nazwisko.

- Ann – powiedział. – Chcę się jak najszybciej zobaczyć z Rupertem Takahashim.

Miał nadzieję, że robi to, co zasugerowała mu Hoffman: rozbraja bombę, którą stał się Kamień...

Dwudziestoczteroletni kapral Thomas Oldfield ostatnie sześć miesięcy spędził na Kamieniu i uważał je za najbardziej pasjonujący okres w życiu, chociaż w rzeczywistości nie było tu nic szczególnie podniecającego. Większość czasu spędzał na służbie w drugiej komorze tuż za tunelem prowadzącym do pierwszej komory. Godzinami obserwował na zmianę drogę, most, pobliskie miasto oraz odległy kraniec komory. Zwykle towarzyszył mu przynajmniej jeden kolega, ale dzisiaj przyszedł rozkaz eskortowania jakiegoś naukowca od stacji metra do pierwszej komory, więc został sam. Nie spodziewał się żadnych kłopotów. Przez cały pobyt na Kamieniu nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nigdy nawet nie widział ducha.

Nie wierzył w ich istnienie.

Oldfield pogwizdując wyszedł z budki i spojrzał w stronę mostu. Pusto.

– Ładny dzień, żołnierzu – powiedział wesoło, salutując. – Tak jest, sir. Piękny dzień, sir. Zawsze jest piękny dzień.

Zastanawiał się, czy od jego przybycia jest to ciągle ten sam dzień. Jeden długi dzień bez nocy. Pogoda zmieniała się od czasu do czasu, padały deszcze, znad rzeki unosiła się mgła. Może miały odmierzać czas?

Sprawdził laser i wypróbował go za budką wartowniczą, gdzie na murku leżały opakowane w folię racje żywnościowe. Każdy niewidoczny promień światła zmiatał jedną paczkę. Gdy zejdzie ze służby, ustawi przestrelone paczki na miejscu, żeby następna zmiana mogła przetestować broń. Stało się to rytuałem.

Obszedł budkę, otworzył drzwi i obejrzał się.

Nie potrafił opisać tego, co zobaczył.

Nawet nie pomyślał o karabinie. Pomyślał o raporcie i robieniu z siebie głupca.

Obcy miał ponad dwa metry wzrostu, był chudy, miał wąską jak deska głowę. Wyłupiastymi oczami obserwował go spokojnie bez mrugnięcia. Para długich ramion wyrastała z tułowia znacznie poniżej miejsca, gdzie powinny wyrastać; były pokryte czymś podobnym do folii, w którą pakowano racje żywnościowe. Nogi miał krótkie i silne. Gładka skóra odbijała światło, nie była świecąca ani oślizła, lecz wypolerowana jak stare drewno.

Nieznajomy przywitał go uprzejmym ukłonem.

Oldfield odklonił się i w tym momencie, przypominając sobie regulamin, uniósł broń i zażądał:

- Przedstaw się.

Jednak tamten zniknął.

Oldfield miał wrażenie, że duch wszedł do tunelu, ale nie był tego pewien.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu i rozczarowania. Miał szansę. Widział ducha i nie zrobił

nic, żeby inni też mogli go zobaczyć. Postąpił podobnie jak wszyscy, którzy twierdzili – oficjalnie lub nieoficjalnie – że coś widzieli.

Oldfield zawsze sądził, że jest twardy. Uderzył pięścią w budkę i wcisnął przycisk alarmu.

Lanier spotkał się z Takahashim w pokoju konferencyjnym na pierwszym piętrze. Towarzyszyła mu, oprócz eskorty, Carrolson, która o niczym nie wiedziała. Lanier doszedł do wniosku, że to nie ma znaczenia. Będzie się zachowywał normalnie. Poprosił o przyniesienie obiadu do gabinetu. Gdy zjedli w milczeniu, przekazał nowe rozkazy. Carrolson potrząsnęła głową i westchnęła.

– Vasquez chce zorganizować następną wyprawę, tym razem do drugiego kręgu – poinformowała. – Jestem pewna, że nie spodoba się jej zakaz wstępu do bibliotek.

– Nikt nie wejdzie do bibliotek – oświadczył Lanier. – Wstęp do nich jest surowo zabroniony. I nie będzie drugiej wyprawy. Wstrzymujemy wszelką działalność na Kamieniu. Chcę, żeby archeolodzy wrócili do osiedli i żeby zakończono badania wokół otworów wlotowych.

Takahashi obrzucił go ponurym wzrokiem.

– Co się stało z Hoffman? – spytał.

Lanier nie spojrzał na niego. „Wspólny obiad”, pomyślał, „był ostatnią uprzejmością w ich wzajemnych stosunkach”.

Nie mógł już dłużej zwlekać. Najdelikatniej, jak potrafił, poprosił Carrolson, żeby wyszła. Rzuciła mu zdziwione spojrzenie, ale nie zauważył tego. Całą uwagę skupił na Takahashim.

– Muszę rozwiązać pewien problem – oznajmił, kiedy zostali sami. – Chcę, żebyś mi pomógł i złożył raport swoim szefom.

– Słucham? – powiedział Takahashi. Ręka trzymająca szklanekę z sokiem pomarańczowym lekko zadrżała.

– Chcę, żebyś przekazał wszystko zwierzchnikom, w taki sposób, jak to robiłeś do tej pory.

– Nie rozumiem.

– Ani ja – powiedział Lanier, nieporuszony. – Nie poinformuję Gerhardta, chociaż instynkt podpowiada mi, że powinienem. Pozostaniesz na wolności. Będiesz mógł potwierdzić, że zawieszamy działalność do czasu rozwiązania spornych kwestii. Zaświadczysz też, że nie znaleźliśmy w bibliotekach żadnych informacji na temat broni.

– Garry, o czym ty mówisz?

– Wiem, że jesteś agentem Sowietów.

Takahashi zacisnął szczęki. Spojrzał na Laniera, marszcząc brwi.

– Dzisiaj są tańce – przypomniał Lanier. – Carrolson spodziewa się nas. I przyjdziemy. Gerhardt również będzie. Nic mu nie powiem, ponieważ zamknąłby cię i odesłał na Ziemię pierwszym statkiem, w kajdankach. Nie chcę tego.

– Z szacunku? – zapytał Takahashi, mrugając oczami.

– Nie – odparł Lanier. – Nie będę powtarzał banałów, że każdy robi swoje. Jesteś przeklętym zdrajcą. Nie wiem, gdzie to wszystko się zaczęło, ale skończy się tutaj. I chcę to dobrze załatwić. Informacje, które przekazywałeś na Ziemię, omal nie doprowadziły do wybuchu wojny. Powiedz swoim zwierzchnikom, że wycofujemy się z bibliotek, a później może ewakuujemy się z Kamienia. Musimy się najpierw dogadać. Zrozumiałeś? Takahashi nic nie powiedział.

– Wiesz, co się dzieje na Ziemi? – spytał Lanier.

– Niedokładnie – zapewnił Takahashi uroczyście. – Może powinniśmy wyjaśnić sobie parę rzeczy. Pomóc rozładować sytuację. Im zależy na tym podobnie jak nam.

– Nam?

– Jestem Amerykaninem, Garry. Zrobiłem to, żeby nas chronić.

Lanier zacisnął zęby i odwrócił się od Takahashiego. Z trudem opanował chęć, by zapytać go, ile dostawał pieniędzy. Nie chciał wiedzieć.

– Dobrze. Oto jak wygląda sytuacja.

I przekazał Takahashiemu, czego dowiedział się na Ziemi. Miał nadzieję, że tego właśnie oczekiwała od niego Hoffman.

Późnym popołudniem w sali wykładowej osiedla grupa socjologów zaprezentowała kolejny raport. Wśród publiczności było dwudziestu członków zespołu; niewielu mniej siedziało na podwyższeniu za pulpitem. Rinskaya stał z boku, a Wallace Rainer przedstawiał pierwszych czterech socjologów.

Lanier siedział w końcu sali. Dziesięć minut później zjawiła się obok niego Patricia.

Pierwsza mówczyni nakreśliła krótko hipotezę grup rodzinnych na Kamieniu. Trochę więcej powiedziała o triadach rodzinnych, spotykanych głównie wśród naderytów.

Patricia zerknęła na Laniera.

– Dlaczego nie mogę wchodzić do bibliotek? – spytała szeptem.

– Nikt nie może – odparł. – Od dzisiaj.

– Tak, ale dlaczego?

– To skomplikowane. Wyjaśnię ci później. Patricia westchnęła.

– W porządku. Będę pracowała u siebie. To jeszcze dozwolone.

Skinął głową i poczuł wyraźny przypływ sympatii do niej.

Drugim mówcą była Tanya Smith – nie spokrewniona z Robertem Smithem – która rozwinęła przedstawiony wcześniej raport o ewakuacji Kamienia.

Patricia słuchała nieuważnie.

– Komisja przesiedleńcza rozpatrywała wnioski o migrację i koordynowała transport...

Patricia znowu spojrzała na Laniera. Uchwycił jej spojrzenie.

To szaleństwo. Tyle pracy badawczej na nic.

W decydującej godzinie ludzkość reprezentował zespół szukających na ślepo, spętanych i zakneblowanych intelektualistów. Pomyślał o Takahashim, o nieskuteczności ochrony, i znowu poczuł ściskanie w żołądku.

Plan polegał na tym, by badacze mniej wtajemniczeni, niżsi rangą, prowadzili prace pod nadzorem członków zespołu mających dostęp do tajemnic. Wyniki następnie analizowano i zestawiano, porównując z odpowiednimi dokumentami w bibliotekach. To było jedyne wyjście. Tak niewiele osób dopuszczono do prowadzenia badań w bibliotekach, że zważywszy na ilość zgromadzonych w nich materiałów, minęłyby dekady, zanim sformułowano by znaczące wnioski.

Tak w każdym razie rozumowano. Lanier wykonywał zadanie, ponieważ w głębi serca nadal był żołnierzem słuchającym zwierzchników, jeśli nawet im nie ufał.

To i tak nie miało znaczenia.

Nie miało znaczenia, gdyż wszystko i tak zostanie zamknięte. Spakują się i wrócą do domu, a Takahashi zamelduje – jeśli wszystko pójdzie dobrze – że podjęto wysiłki, by uspokoić rozgniewanych Sowieców.

Jednak Sowieci nadal nie będą mieli wstępu do bibliotek. Chyba że prezydent jest szaleńcem i otworzy puszkę Pandory.

Zapoznał się z osiągnięciami technicznymi mieszkańców Kamienia. Przekonał się na sobie o skuteczności systemu nauczania wykorzystywanego w bibliotekach. Wiedział, że potrafili dokonywać manipulacji w dziedzinie biologii i psychologii. (Manipulacji? Czyżby to świadczyło o uprzedzeniu? Tak. Niektóre rzeczy wstrząsnęły nim do głębi i przyczyniły się do najgorszych

ataków „zauroczenia Kamieniem”). Nie był pewien, co jego własny ukochany kraj zrobi z taką potęgą, a tym bardziej Sowiet.

Patricia posiedziała jeszcze kilka minut i wyszła. Lanier dogonił ją przy pawilonie kobiecym.

– Tylko minutkę – powiedział. Zatrzymała się, nie patrząc na niego, lecz na zasadzone w donicach drzewa limonowe. – Wcale nie zamierzam utrudniać ci pracy.

– I tak bym na to nie pozwoliła.

– Chciałem, żeby wiedziała...

– W porządku. – Stała z nim twarzą w twarz, wsuwając ręce do kieszeni. – Pewnie jesteś nieszczęśliwy, że sprawy przyjmują taki obrót.

Otworzył szerzej oczy. Poczł nagły przyływ gniewu z powodu sugestii zawartej w tym jednym zdaniu.

– Nie możesz być szczęśliwym człowiekiem, trzymając nas tutaj i wiedząc o wszystkim.

– Nie trzymam cię tutaj.

– Nigdy ze mną nie rozmawiałeś, z nikim. Mówisz różne rzeczy, ale nie rozmawiasz z nami.

Gniew ustąpił miejsca równie nieoczekiwanemu uczuciu zagubienia, samotności.

– Z rangą wiążą się pewne przywileje – powiedział cicho.

– Nie sądzę. – Zmrużyła oczy. Chciała go sprowokować, rzucić wyzwanie. – Jaki jesteś? Sprawiasz wrażenie... zimnego. Naprawdę taki jesteś?

Lanier pogroził jej palcem, a na jego twarzy pojawił się niewesoły uśmiech.

– Rób swoje – poradził. – Ja będę robił swoje.

– Wciąż wymigujesz się od rozmowy.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał ochryplym półszepceniem, robiąc krok w jej stronę. Plecy miał przygarbione, a podbródek niemal dotykał szyi. „Jest spięty”, pomyślała Patricia. Przestraszył ją.

– Chcę, żeby mi ktoś powiedział, co mam sadzić – powiedziała.

– Cóż, nie potrafię tego zrobić. – Lanier rozluźnił się. – Jeśli zaczniemy myśleć o czymś innym...

– Niż praca, praca – dokończyła Patricia, niemal kpiąco. – Jezu, pracuję, Garry. Przez cały czas pracuję. – W jej oczach pojawiły się łzy i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że on również ma wilgotne oczy. Lanier podniósł rękę do twarzy, ale zaraz ją cofnął i łza spłynęła mu po policzku w zmarszczkę obok ust.

– W porządku – powiedział. Chciał odejść, ale nie mógł. – Oboje jesteśmy ludźmi. To chciałaś wiedzieć?

– Pracuję – powtórzyła Patricia – ale jestem zrozpaczona. Może w tym rzecz.

Szybko wytarł oczy.

– Nie jestem z lodu – powiedział obronnym tonem. – I to nie w porządku oczekiwać ode mnie, akurat teraz, czegoś więcej, niż mogę dać. Rozumiesz?

– To naprawdę dziwne – stwierdziła Patricia, unosząc ręce do twarzy, jakby go przedrzeźniała. Dotknęła palcami gorących policzków. – Przepraszam. Ale sam za mną poszedłeś.

– To prawda. Skończymy na tym?

Patricia potwierdziła skinieniem głowy, zawstydzona.

– Wcale nie uważam, że jesteś zimny.

– To dobrze – powiedział. Odwrócił się i poszedł szybkim krokiem do baru.

W swoim pokoju przycisnęła pięści do oczu i spróbowała przypomnieć sobie słowa piosenki, którą uwielbiała jako dziecko. Nie była pewna, czy pamięta je dokładnie. „Dokądkolwiek pójdziesz,

cokolwiek zrobisz, będę cię śledzić...”

Patricia siedziała na dachu kobiecego baraku. Spojrzała na datę na zegarku. W osiedlu zespołu naukowego zbierali się goście, którzy przyszli na tańce. Wojna miała wybuchnąć za siedem dni.

Wszystko spadło na nią zbyt szybko. Potrafiłaby sformułować wnioski, ale nie była w stanie przekonać siebie o ich trafności. Mogła, na przykład, powiedzieć Lanierowi, że Kamień nie wypadł zbyt daleko ze swojego kontinuum. Jego historia i obecna rzeczywistość nie różniłyby się znacząco. Nie na tyle, by zapobiec wojnie.

„Może świadomość, że grozi wojna, powstrzyma Sowietów, zapobiegnie jej...

Może obecność Kamienia i wyraźna przewaga technologiczna, jaką dał krajom bloku zachodniego, mimo wszystko pchnie Sowietów do wojny...

Może Kamień wywarł pewien wpływ i jednocześnie go zneutralizował, zostawiając jedynie zmarszczkę na najbliższej przyszłości Ziemi...”

Pojawili się Carrolson i Lanier. Patricia widziała, jak witają się z członkami zespołu.

Uczucie rozdarcia, rozpacz przygasło. Nie czuła gniewu ani smutku. Nie czuła nawet, że żyje. Jediną rzeczą, jaka sprawiała jej teraz radość, było pogrążenie się w znajomym stanie, oddanie pracy, rozkoszowanie się wspaniałością i majestatem korytarza.

Musi już zejść, pojawić się wśród gości. Nigdy nie chciała pozować na geniusza unikającego kontaktów z ludźmi. Nie znaczy to wcale, że miała ochotę na takie kontakty. Wolałaby wrócić do swojego pokoju i popracować. Myśl o tańczeniu w wiecznym świetle rury plazmowej – tańce miały się odbyć na powietrzu – i prowadzeniu miłych rozmów, a zwłaszcza umieszczeniu nazwiska na towarzyskim grafiku, choćby na kilka godzin, przerażała ją. Nie była pewna, czy potrafi zachować dobry nastrój i nie wybuchnąć płaczem z wściekłości i frustracji.

Zeszła po schodach, trzymając ręce w kieszeniach. Gdy zbliżała się do kłębiącego się tłumu, wysunęła brodę do przodu.

Dwaj żołnierze, dwaj biolodzy i dwaj inżynierowie skonstruowali z niepotrzebnych części własny syntetyzer oraz gitary elektryczne. Od kilku tygodni krążyły wieści, że zespół jest całkiem niezły. Miał po raz pierwszy wystąpić przed publicznością. Wyglądał profesjonalnie, strojąc instrumenty i podłączając wzmacniacze.

Archeolodzy pracujący w Aleksandrii znaleźli głośniki o dziwnym kształcie i podarowali je organizatorom tańców jako wyraz dobrej woli i zadośćuczynienie za irytującą protekcjonalność. Głośniki ustawiono w rogach prostokątnego placu, na którym miały stanąć w przyszłości budynki. Do głośników nie prowadziły żadne kable; muzyka była przekazywana do nich na specjalnej częstotliwości za pośrednictwem przekaźnika niskiej mocy. Spełniały swoje zadanie, choć wychodzący z nich dźwięk miał trochę metaliczny pogłos. Heineman rzucił na nie okiem i powiedział:

– Nie wiem, co to takiego. To nie są głośniki.

– Ale działają, prawda? – wtrąciła się Carrolson. Heineman zgodził się, że emitują dźwięki, ale nie dodał nic więcej. Pytanie pozostało bez satysfakcjonującej odpowiedzi.

Zaczęły się tańce. Grupa Sowietów trzymała się z boku, nie biorąc udziału we wspólnej zabawie. Hua Ling, Wu, Chang i Farley przyłączyli się ochoczo do tańczących, choć już ich poinformowano o wstrzymaniu badań.

Zespół zagrał kilka starych utworów rockowych, ale nie zostały dobrze przyjęte, więc niechętnie wrócili do nowocześniejszej muzyki.

Patricia zatańczyła z Lanierem jeden z japońskich walców, które stały się popularne w ostatnich latach. Na zakończenie Lanier z tajemniczą miną skinął jej głową i uśmiechnął się. Poczła rumieniec wypływający na twarz. Przyciągnął ją do siebie i powiedział:

– To nie twoja wina, Patricio. Wspaniale sobie radzisz. Jesteś prawdziwym członkiem zespołu.

Patricia zmieszana odeszła na bok. Czła się podniesiona na duchu. Naprawdę oczekiwała pochwały od Laniera? Jego słowa sprawiły jej wyraźną przyjemność.

Wu poprosił ją do tańca i udowodnił, że jest niezłym tancerzem. Resztę zabawy Patricia przesiedziała. Lanier podszedł do niej w czasie przerwy. Przez cały czas tańczył zapamiętane z wieloma partnerkami, między innymi z Farley i Chang.

– Dobrze się bawisz? – spytał.

W pierwszej chwili skinęła głową. Potem powiedziała:

– Niezbyt.

– Ja też, jeśli mam być szczerzy.

– Jesteś dobrym tancerzem. Lanier wzruszył ramionami.

– Czasami trzeba się rozerwać, nie sądzisz?

Nie mogła się z tym zgodzić. Było tak mało czasu.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– W czasie zabawy?

– Może być tutaj? – zapytała równocześnie. Hałas był na tyle duży, że nikt nie mógł ich podслуchać.

– Równie dobre miejsce jak inne – stwierdził. Rozejrzał się za Takahashim. Matematyk stał po przeciwnej stronie placu, z dala od Rosjan.

Skinęła głową. Jej oczy znowu wypełniły się łzami. Lanier powiedział parę miłych słów, a ona teraz przekaże mu swoje najgorsze obawy, najczarniejsze myśli.

– Próbowałam obliczyć, jaki impet nadało Kamieniowi stworzenie korytarza.

– I co? – zainteresował się Lanier, obserwując tańczących.

– Niezbyt duży – odparła. – To skomplikowany problem. Ale impet nie był duży.

– Więc jesteście na tropie? Poczła ucisk w gardle.

– Możliwe. Dlatego potrzebowaliście mnie na Kamieniu? Żebym to stwierdziła?

Potrząsnęła głową.

– Hoffman cię wybrała. Powiedziała, że jestem za ciebie odpowiedzialny. Ja tylko dałem ci zadanie do wykonania. – Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa listy. – Nie miałem okazji wcześniej ci ich wręczyć. Nie, to nieprawda. Wypadło mi z głowy. Przywiozłem je ze sobą.

Wzięła od niego listy. Jeden był od jej rodziców, drugi od Paula.

– Mogę odpisać?

– Napisz, co chcesz – odparł. – W granicach rozsądku. Daty na znaczkach były bardzo dawne.

Minął tydzień. Minął dzień, w którym spodziewano się Annagedonu.

Patricia siedziała w swoim pokoju, pracując resztkami sił.

Nie mogła zmienić pierwotnego wniosku.

Każdy dzień był zwycięstwem. Rzeczywistość dowodziła, jak bardzo można się mylić.

Lanier wysiadł z windy i ruszył w stronę wózka, trzymając się liny. Kierowca – drobna kobieta w niebieskim mundurze wojsk lotniczych – zboczyła ze zwykłej trasy. Jechali do Kirchnera. Lanier był u niego wcześniej tylko dwa razy. Po drodze próbował przygotować odpowiedzi na pytania, które się spodziewał usłyszeć.

Podczas ostatniego seansu łączności Hoffman wspomniała, że informacja, którą mu przekazała, dotarła do Szefów Połączonych Sztabów. To oznaczało, że Kirchner i Gerhardt już wszystko wiedzą.

Adiutant Gerhardta przywitał go w krótkim tunelu przed magazynem, gdzie pracował zespół Kirchnera. Zaprowadził Laniera do niszy wykutej w nagiej skale, zastawionej skleconymi domowym sposobem szafkami na akta. Wypolerowana skalna ściana służyła jako ekran projekcyjny. Kirchner akurat przeglądał odczyty na tabliczce. Chwilę po Lanierze zjawił się Gerhardt.

Kirchner skinął im obu głową. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Lanier... byłeś komandorem porucznikiem, prawda? – spytał Gerhardt szorstko. Był przysadzistym, czarnowłosym mężczyzną o szerokim spłaszczonym nosie. Jego ubiór różnił się nieco od ubrań wewnętrznej służby bezpieczeństwa. Miał na sobie zielony mundur i czarne wysokie buty na gumowych podeszwach.

– Tak, sir.

– Nie poinformowałeś nas, że Takahashi jest sowieckim szpiegiem, Lanier – stwierdził Kirchner.

– Istotnie.

– Dowiedziałeś się o tym prawie dwa tygodnie temu i nie poinformowałeś szefów oddziału ochrony o zdradzie?

Lanier nic nie odpowiedział.

– Miałeś swoje powody – podsunął Kirchner.

– Tak.

– Możesz nam je podać? – spytał Gerhardt z lekkim naciskiem.

– Chcieliśmy pójść na pewne ustępstwa wobec Rosjan, przekonać ich, że się wycofujemy. Nie mogliśmy tego zrobić, gdyby Takahashi został zatrzymany.

– Tak właśnie by się stało – potwierdził Gerhardt. Lanier skinął głową.

– Masz rację. Zrobiłbym to. Zdajesz sobie sprawę, że to zagrażało całej operacji? Takahashi mógł być świadkiem naszych manewrów, przygotowań do odparcia ataku...

– Nie, sir. Przebywa na terenie osiedla i tylko od czasu do czasu wysyła meldunki.

Kirchner jak zwykle milczał, pozwalając Gerhardtowi besztuć delikwenta.

– I wysyłał je za naszymi plecami, razem z naszymi sygnałami naprowadzającymi promy. Wspaniale. Każę go aresztować i natychmiast odesłać na Ziemię. Niech go tam osadzą za zdradę. Chryste, Garry. – Gerhardt energicznie potrząsnął głową, jakby się opędział od owadów. – Hoffman tak zdecydowała?

– Raczej zasugerowała.

– Podała ci nazwisko. I co dalej? Rosjanie zdecydowali się przystąpić do negocjacji?

– Nie, nic o tym nie słyszałem.

– Bo nie zamierzają rozmawiać. Wiedzą, co tutaj mamy. Spodziewałeś się, że nam uwierzą, iż się wycofamy i wtajemniczymy ich?

– Uważałem, że potrzebujemy wytchnienia. Okazji ponownej oceny sytuacji.

– Czy Hoffman wiedziała, jakie informacje przekazywał Takahashi? – spytał Kirchner.

– Tak. Materiały na temat bibliotek.

– Jezu, Garry, on miał dostęp do miejsc, gdzie Kirchner i ja nie możemy wejść. Spartaczyłeś robotę, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? Może twoja słodka studentka coś odkryła?

– Tak, bez wątpienia – odparł Lanier, zachowując spokój. Czekał, aż generał ochłonie. – I dobrze wiecie, że wam nie powiem. Będziecie musieli zapytać swoich zwierzchników.

Gerhardt uśmiechnął się.

– Tak. Prezydenta, który – tak między nami – ma przedwojenne wyobrażenie o demokracji, nie potrafi rozmawiać ani nawet myśleć o kosmosie. Albo Senatu składającego się z jego pionków i wstecznych republikanów, którzy ze zgrzytaniem zębów wydzielają nam fundusze... – Spojrzał na Kirchnera, który z uśmiechem potrząsnął głową i odwrócił wzrok. – Nie przywiązują dostatecznej wagi do Kamienia... a może się mylę?

– Masz rację, a zarazem mylisz się. Nie sądzę, żeby istniał na świecie ważniejszy temat niż Kamień. Wszyscy spekulują. Rosjanie są przerażeni, że zdobędziemy nad nimi druzgoczącą technologiczną przewagę. Już ją mamy, ale Kamień ją umacnia, prawda?

– Więc co my tutaj robimy, Kirchner i ja, Garry? Dlaczego się nas o niczym nie informuje? Ochrona Kamienia to zadanie kapitana i moje, ale tamci dranie zaciągnęli wokół nas kurtynę. Nie możemy wchodzić do bibliotek, zobaczyć dokumentów. Nic nie rozumiem. Słyszałem o paru dziwnych rzeczach. Chyba zwariuję. Czy nie pora, żebyśmy zaczęli współpracować?

– Mają swoje powody – stwierdził Lanier.

– Obserwowałem cię, Garry. Opuściłeś się w ciągu ostatniego roku. Dla własnego dobra nie chcę znać twoich sekretów. Ale chciałbym wiedzieć, z czym mamy tutaj do czynienia.

– Jakie dostałeś rozkazy z Ziemi, Oliver? – zapytał Lanier.

– Mam się przygotować do odparcia ataku na Kamień i na możliwość nuklearnej konfrontacji na Ziemi.

– Czy Rosjanie mogą zdobyć Kamień?

– Tak, jeśli rzucą przeciwko nam wszystko, czym dysponują w kosmosie – odparł Kirchner.

– Myślisz, że to zrobią?

– Tak – powiedział Kirchner. – Nie wiem, w jaki sposób. Myślimy nad tym dzień i noc. Przy następnym zbliżeniu do Ziemi wzniesą drobne konflikty na morzu i w Europie, żeby odwrócić uwagę od Kamienia, i wtedy nas zaatakują. Albo zaczną od Kamienia. Nie mam pojęcia.

– Może się im udać? Gerhardt uniósł rękę.

– Powiesz mi szczerze, na co się zanosi, Garry? I pozwolisz mi zamknąć drania?

Takahashi prawdopodobnie już spełnił swoje zadanie.

– Tak – odparł Lanier. – Zabierzcie go z Kamienia jak najszybciej. Niech się nim zajmie Departament Stanu.

– Wpuścisz nas do bibliotek? – spytał Gerhardt.

– Nie. Są zamknięte. Powiem wam wszystko, co powinniście wiedzieć.

– Więc ja odpowiem na twoje pytanie – odezwał się Kirchner. – Rosjanie mogą zwyciężyć. Mogą nas pokonać. Jeśli użyją wszystkiego, czym dysponują, nie będziemy w stanie ich zatrzymać, nie zamykając otworów wlotowych, a nie możemy tego zrobić, bo sami tu utkniemy. Zresztą nie pozwolono nam tego zrobić.

– Oczywiście – powiedział Lanier. To rozwiewało wszelkie wątpliwości.

– Dobrze się z tobą rozmawia, Garry – stwierdził Gerhardt uszczypliwie. – A teraz weźmy

się do roboty i wykurzmy tych sukinsynów z Kamienia.

– Tylko Takahashiego. Nie ruszajcie ekipy rosyjskiej.

– Boże, nie zamierzamy – odparł Gerhardt. – Nie zrobimy tego, dopóki nie będzie za późno na sentymenty.

We wnętrzu ciężkiego transportowca startującego z oceanu dowódca batalionu pułkownik Paweł Mirski słuchał, jak technicy Orbitalnej Platformy Obronnej Trzy napełniają zbiorniki paliwa umieszczone wokół zatłoczonego przedziału rufowego i przygotowują ich do następnego etapu podróży.

Mirski nauczył się lubić stan nieważkości. Przypominał mu skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu. Tyle razy skakał z samolotów w Mongolii i w pobliżu Tyuratam i tyle czasu spędził na orbicie podczas szkolenia, że nieważkość wydawała się czymś naturalnym.

Nie można było powiedzieć tego samego o wielu jego ludziach. Jedna trzecia cierpiała na ostry atak choroby kosmicznej. Trzy ciasne, duszne przedziały umieszczone jeden nad drugim wzdłuż linii środkowej transportowca nie zostały zaprojektowane dla wygody pasażerów. Pomarańczowe grodzie i ciemnozielone poduszki wyściełające większość powierzchni nie dawały poczucia bezpieczeństwa.

Oddział spędził już dwadzieścia godzin w zamknięciu. Najpierw musiał znosić przeciążenie, a teraz nieważkość. Leki na chorobę lokomocyjną okazały się przeterminowane.

Mirski dobrze sobie radził w takich sytuacjach i pomagał swoim ludziom, jak mógł.

– Co sądzisz o tej historii, Wiktor? – spytał swojego zastępcę, majora Wiktora Garabediana.

– Pieprzę ją – odparł Garabedian, apatycznie machnąwszy ręką. – Najlepiej mnie zastrzel.

– Dojdiesz do siebie.

– Pieprzę zdrowie.

– Wypij trochę wody. Tak, pieprz ją również, jeśli chcesz.

Wisielei na pasach w przednim przedziale, gdzie w powietrzu unosił się odór wymiocin; panowała atmosfera napięcia. Słysząc było głosy mężczyzn, którzy starali się zachować spokój. Nieliczni jedli z tubek.

Wystartowali z Oceanu Indyjskiego, korzystając z korytarza, którym zaopatrywano krążącą blisko Ziemi platformę obronną. Był to czwarty z siedmiu transportowców. Jeden wystrzelono z Księżyca. Siódemka nosiła kodowe nazwy: Ził, Czajka, Żyguli, Wołga, Rolls-Royce, Chevy i Cadillac. Na pokładach trzech transportowców, w tym Wołgi, którą leciał Mirski ze swoim oddziałem, byli obecni trzej generałowie nazwani Zew, Lew i New od popularnej trupy tańca komediowego. Na sześciu statkach znajdowało się dwustu ludzi oraz broń i zapasy, które miały się przydać, gdy powiedzie się pierwsza część misji. Siódmy – „Żyguli” – przewoził ciężką artylerię, dodatkowe zapasy i pięćdziesięciu techników.

Jeśli im się nie uda, nie będą potrzebne. Jeśli się powiedzie, będą mogli przeżyć całe lata bez dostaw z Ziemi lub Księżyca. Tak twierdzili taktycy, opierając się na danych wywiadu.

Mirski zastanawiał się nad szczegółami, o których nie mówiono w czasie odpraw. Plan wydawał się dość logiczny. Do wyznaczonego miejsca prowadziła tylko jedna droga.

Ciężkie transportowce były zamaskowane, podobno trudne do wykrycia – wielkie opasłe stożki zwieńczone trzema kopułami mieszczącymi kokpit i uzbrojenie. Broń, umieszczona w przedniej części statków pod płytami chłodzącymi, miała osłony antylaserowe. Na ile im to pomoże, kiedy wejdą w paszczę bestii... lepiej nie myśleć.

Zamknął oczy, żeby powtórzyć sobie kolejność czynności po wyładowaniu. Każdy żołnierz miał w plastikowym worku lekki skafander kosmiczny z balonistycznym hełmem, butlę z zapasem tlenu na dwie godziny i baterię; w drugim worku – spadochron i składaną osłonę aerodynamiczną. W skład wyposażenia wchodził również mały silnik odrzutowy z trzema dyszami rozmieszczonymi

w odległości paru centymetrów od siebie i ustawionymi promieniście na zewnątrz po przymocowaniu u spodu plecaka. Sterowało się nimi za pomocą przycisków, od których do kieszeni tuż pod rękawicami prowadziły giętkie przewody. Dysze były schowane w plastikowych opakowaniach i złożone do wewnątrz, a materiał napędowy przelewał się delikatnie przy poruszeniu.

Tak wyposażeni, ściskając w dłoniach laserowe strzelby i kałasznikowy AKY-297 przystosowane do działania w próżni – zwykłe karabiny maszynowe zmodyfikowane tak, by nie zacinały się w pozbawionej powietrza przestrzeni kosmicznej – zamierzali odzyskać honor i historyczne miejsce Związku Radzieckiego i krajów sojusznicznych w świecie. Na odprawach nie używano takich słów. Żaden przywódca nie przyznałby, że utracono honor i znaczenie.

Mirski był jednak praktycznym człowiekiem.

W półmroku kolejny żołnierz zaczął wymiotować. Może wkrótce się przyzwyczają. Lekarze twierdzili, że najgorsze są pierwsze dni na statku transportowym. Rosjanie spędzili dość czasu w kosmosie, żeby eksperci wydając opinie mogli wykorzystać fakty i doświadczenia.

Podciągnął się na pasach. Gdy nadejdzie pora, posłużą jako uprząż. Wszyscy przyczepią się do szyny ślizgowej i zostaną wypchnięci, jeden po drugim, ze statku. Od tego momentu będą zdani na siebie, dopóki nie zbiorą się we wnętrzu Ziemiaka... Kamienia.

Mirski był ciekaw, jaką obronę ma otwór wlotowy i co znajduje się za nim. Szczegóły opracowano z męczącą dokładnością, podczas gdy cały plan pozostawał zaledwie szkicem. Powiedziano im tylko tyle, żeby mogli wykonać zadanie.

Nigdy wcześniej nie zdobywano obiektu znajdującego się na orbicie.

Trudno było przewidzieć wszystkie komplikacje.

Nie znaczy to, że którykolwiek żołnierz spodziewał się przeżyć bitwę. W czasie Wielkiej Wojny jego dziadek zginął nad Bugiem, kiedy wojska hitlerowskie przekroczyły rzekę. Potem był też Kijów...

Rosjanie potrafili umierać.

Hoffman zabrała tylko najważniejsze rzeczy: siedem z około dwóch tysięcy bloków pamięci o dużej gęstości zapisu, trochę rzeczy osobistych i dwie sztuki biżuterii, które dostała od byłego męża dziesięć lat temu. Wychodząc z domu w Taos, zostawiła drzwi otwarte. Jeśli trafią tu jacyś włóczędzy, spędzą kilka miłych dni.

Nic więcej nie mogła zrobić. Poprosiła o kilka przysług. Nie było wątpliwości, co się stanie za cztery dni. Żadna osoba, z którą rozmawiała, nie widziała jej nigdy w stanie podobnego napięcia.

Działając zgodnie z instynktem, który służył jej tak dobrze w przeszłości, Judith Hoffman wyruszyła na Kamień. Miała nadzieję, że nie jest za późno.

Wiele godzin jechała wynajętym buickiem przez pustynię, szczerze pola, wsie i miasta, starając się nie myśleć i nie poddawać poczuciu winy. Nic więcej nie mogła zrobić.

Została pozbawiona wszelkiej władzy przez rozgniewanego i niekompetentnego prezydenta. Trzej członkowie gabinetu oskarżyli ją o wywołanie całego zamieszania.

– Do diabła z nimi – szepnęła.

W pobliżu skrzyżowania do Centrum Lotów Kosmicznych Vanderberg, w małym kompleksie handlowym dla personelu bazy zobaczyła sklep ogrodniczy. Bez wahania zjechała na parking.

W sklepie zastała chudego młodego sprzedawcę w zielonym fartuchu i kapeluszu a la Robin Hood. Zapytała o półki z nasionami.

– Warzyw czy kwiatów? – zapytał.

– Jednego i drugiego.

– Rząd H, za narzędziami, obok ściółki.

– Dziękuję. – Znalazła regały i wzięła po jednym opakowaniu wszystkiego, co zobaczyła, i po dwa lub trzy różnych warzyw i owoców. Koszyk zapełnił się pięcioma kilogramami torebek z nasionami. Sprzedawca spojrział z osłupieniem na ich stos.

Hoffman położyła na ladzie dwa banknoty studolarowe.

– Wystarczy? – spytała.

– Chyba tak...

– Proszę zatrzymać resztę – powiedziała. – Spieszę się.

– Poproszę kierownika...

– Nie mam czasu – powtórzyła, wyjęła jeszcze jeden banknot i położyła obok tamtych.

– Z pewnością to wystarczy – powiedział sprzedawca szybko, przełykając ślinę.

– Dziękuję. Proszę zapakować.

Hoffman wzięła pudło i wróciła do samochodu.

Lanier spał, kiedy zadzwonił brzęczyk. Wcisnął guzik, ale na linii panowała cisza.

Przetarł oczy i zamrugał. Wtedy usłyszał dzwonki w innych pokojach baraku. W korytarzu rozległy się kroki.

Wystukał numer. Drżący głos odpowiedział:

– Centrala pierwszej komory.

– Garry Lanier. Czy to alarm?

– Tak, panie Lanier.

– Z jakiego powodu? – Lanier mówił niezwykle cierpliwym tonem.

– Nie wiem, sir.

– Połącz mnie natychmiast z osiã.

Gdy chwilę później odezwał się kobiecy głos, Garry poprosił o meldunek.

– Mamy komunikaty z Londynu i Moskwy – poinformowała kobieta. – Radar rejestruje podwyższoną aktywność, zwłaszcza na orbicie. Próbowano zniszczyć satelity telekomunikacyjne i nawigacyjne.

– Jakież wiadomości z Florydy albo Sunnyvale?

– Żadnych.

– Z osiedla księżycowego?

– Nic, sir. Zgłasza się ciemna strona.

– Jadę do was. Proszę powiedzieć Link i Pickney, żeby przygotowały pokój operacyjny z miejscami dla piętnastu osób.

Przerwał mu głos Roberty Pickney.

– Garry, to ty? Wszystko już przygotowane na rozkaz Kirchnera. On chce, żeby ekipa naukowców i służba bezpieczeństwa współdziałały ze sobą. Przyjeżdżaj natychmiast.

W windzie, w otoczeniu personelu ochrony i zdezorientowanych inżynierów, którzy jeszcze nie słyszeli szczegółów, Lanier próbował obmyślić plan działania. Pomacał nie ogolony podbródek.

To wszystko wydawało się sennym koszmarem. Na Ziemi, gdzie spędził większość życia, gdzie żyła większość ludzi, których kochał – jak niewielu ich było! – prawdopodobnie już się zaczęło.

Nie potrafił odsunąć od siebie obrazów tego, co dzieje się teraz na dole. Przeżył to jako pilot, nigdy jako cywil.

Słuchanie radia, syren, mało zrozumiałych instrukcji obrony cywilnej. Rozkazy ewakuacji nadawane przez radio i telewizję. Wystraszeni ludzie wrzucający rzeczy do samochodów lub wciskający się do zatłoczonych autobusów, pociągów, ciężarówek...

Próbował pozbyć się tych myśli. Musi zostać przy zdrowych zmysłach.

W komorach przy osi oddziały bezpieczeństwa organizowały ludzi w grupy ewakuacyjne. Trzej młodzi żołnierze piechoty morskiej wyluskali go z tłumu i niemal siłą zaciągnęli do czekającego pojazdu.

Centrum łączności na Kamieniu stanowiło pomieszczenie o powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych, w rogu głównego doku. Sześciu kaprali piechoty morskiej stało przy drzwiach, trzymając karabiny w pogotowiu. Buty mieli przymocowane specjalnymi uchwytami, na wypadek gdyby musieli strzelać. Lanier przeszedł między nimi. W środku zebrało się dziesięć osób. Obserwowali go uważnie, kiedy zmierzał na swoje miejsce.

Na ścianie zamontowano cztery ekrany, do konsol podłączono głośniki. Na jednym z wielkich ekranów widniał niewyraźny obraz Kamienia w otoczeniu danych. Był to obraz z Drake'a. Lanier zobaczył go po raz pierwszy cztery lata temu. Pickney podała mu parę kaloszy.

– Jeszcze się nie zaczęło – powiedziała. – Ale ogłoszono alarm. Coś się stało, choć jeszcze nie wiemy co. Nałóż to. – Podała mu słuchawki i mikrofon. – Przez ostatnie godziny wszystkim kierowałam.

– Jakież rozkazy?

– Żadnych. Tylko alarm.

Usiadł na wskazanym miejscu. Przysunięto mu rząd klawiatur i przeglądark. Kilka minut później weszli kapitan Kirchner i jego adiutant, młody wąsaty komandor porucznik ubrany w khaki. Posadzono ich kilka metrów od niego na podobnych stanowiskach.

Kirchner, dowódca zewnętrznej obrony Kamienia, był tutaj główną postacią. Gerhardt zajmował się przygotowaniem w pierwszej komorze. Na razie jednak w komorach panowało zamieszanie.

– Wyślijcie na zewnątrz piętnastu ludzi z przenośnymi systemami wykrywającymi – rozkazał Kirchner. – Niech się dobrze ukryją. I ustawcie te cholerne gatlingi.

Zapadła cisza. Pickney ze skupioną miną prowadziła nasłuch. Z głośnika w drugim końcu pomieszczenia dobiegły trzaski.

Na największym ekranie przed Lanierem pojawił się obraz, zamigotał i znieruchomiał. Pochodził z kamery umieszczonej we wgłębieniu na zewnątrz otworu wlotowego. W tej chwili była wycelowana w Ziemię. Po chwili pojawił się świetlny krąg, sierp Ziemi jeszcze pograżonej w ciemnościach. Obraz zadrgał dwa razy, zanim się wyregulował. Lanier dostrzegł kontynenty, skupiska chmur, światła miast na nocnym niebie. Znajdowali się o kilka minut od perigeum odległego o niecałe trzy tysiące kilometrów.

W słuchawkach rozległ się przeplatany trzaskami głos.

– Gwiazdny Podróżnik, Gwiazdny Podróżnik, tu Czerwony Sześcian. Alarm nadzwyczajny.

– Cholera – mruknął Kirchner.

– Niedźwiedzie właśnie ogłosiły końcowy bieg. Kapitanie Kirchner, obmyślamy odpowiedź. Nie znamy waszej sytuacji.

– Jesteśmy bezpieczni i robimy przygotowania – powiedział Kirchner.

Czerwony Sześcian – kwatera główna Dowództwa Połączonych Sił Kosmicznych w Kolorado – odpowiedział:

– Nie jesteście uwzględnieni w naszych planach. Musimy działać, jakbyście nie istnieli. Napięcie rośnie. Wygląda na to, że zamierzają przejąć nasze bazy orbitalne. Zrozumieliście?

– Zrozumiałem. Nadzieja w Bogu, że ich powstrzymacie, Czerwony Sześcianie.

– Gwiazdny Podróżnik jest teraz zdany na siebie, kapitanie.

– Tak, sir. Transmisja skończyła się.

– Na moim ekranie widać zbliżający się prom – oznajmił Kirchner. – Zidentyfikowany?

– TPO czterdzieści pięć, wiezie zapasy i personel, wystartował dziewięć godzin temu ze Stacji Szesnastej – poinformowała Pickney. – Śledzimy go.

Adiutant Kirchnera potwierdził, że żołnierze ukryci we wgłębieniu na powierzchni przechwycili sygnał na skanerach.

– Przyjmijcie go – powiedział Kirchner. – Jeśli zacznie się wojna totalna, za dzień lub dwa zjawią się następne.

– Tak jest, sir... już startuje kilka następnych. Lanier zobaczył na ekranie statek zbliżający się do otworu wlotowego. Nagle prom zamienił się w płonącą kulę. Kula szybko powiększyła się i zrobiła ciemnopomarańczowa. Na jej tle pojawiły się ulatujące w przestrzeń szczątki.

– Sir – odezwał się adiutant Kirchnera – widać jakieś ciemne kształty przesłaniające gwiazdy. Za TPO.

– TPO już nie ma – powiedział Lanier. – Kapitanie, tamci wśliznęli się pod osłonę naszego statku.

– Mój Boże! – wykrzyknął jakiś głos, przebijając się przez trzaski i syki dobiegające z głośnika. To był jeden z żołnierzy piechoty morskiej wysłanych na zewnątrz. – Coś zmiotło nasz statek! Widzę...

– Nie odbieramy żadnych sygnałów.

– Tu Durban. Widzę ciemne plamy, ale to pewnie zakłócenia.

– Niemożliwe. Nie widziałem rozbłysku. Cztery, pięć, sześć kształtów zasłania gwiazdy.

Wielkie pijawki.

– Zamierzają wlecieć w otwór – stwierdził Kirchner. – Przygotujcie zbiorniki TPO, żeby

zablokować wlot. Zespół A, rozciągnijcie liny.

Kamery w otworze wlotowym przekazały podczerwieniony i zamazany obraz ludzi w skafandrach poruszających się za pierwszym rotującym dokiem. Podobne do moździerza działo wystrzeliło zwój stalowego kabla przez stumetrową szerokość otworu wlotowego. Harpuna zakotwiczyła się w przeciwległej ścianie. Szybko po sobie nastąpiło siedem kolejnych strzałów. Powstała sieć zasłaniająca otwór wlotowy. Przytoczono trzy opróżnione zbiorniki TPO i przymocowano je linami. Wszystko to trwało niecałe dziesięć minut.

– Nie wejda do doków – oświadczył Kirchner z pewnością w głosie. – To byłaby strata czasu. Postarają się dotrzeć do komór. Nami zajmą się później. Mam nadzieję, że żołnierze Olivera są przygotowani.

W czasie zamieszania Lanier odwrócił wzrok od ekranów ukazujących Ziemię. Teraz znowu na nie spojrzął.

Wzdłuż sowieckiego wybrzeża na zachód od Japonii wykwitły drobne pomarańczowe plamki. To wystrzelono zwykle rakiety służące do niszczenia satelitów i stacji bojowych.

– Rozpryskowe – stwierdził Kirchner.

Jeden z żołnierzy ukrytych na zewnątrz otworu wlotowego coś powiedział, ale słowa były zniekształcone. Gdy Pickney poprawiła odbiór, usłyszeli:

– Sir, odrzucają tarcze maskujące.

Na ekranach ukazał się otwór wlotowy. Za rozświetlonym flarą rotującym dokiem i zewnętrzną krawędzią otworu migotały gwiazdy. Na ich tle przesuwały się trzy cienie. W tym momencie otoczył je ogień i w przestrzeń poleciały metalowe odłamki. Ukazały się trudne do zidentyfikowania kształty. Lustrzane dzioby statków odbijały ciemne wnętrza otworu wlotowego i oświetlony główny dok.

– To Rosjanie – odezwał się adiutant Kirchnera. – Startujące z oceanu ciężkie transportowce. Pierwszy już jest w tunelu.

Rosyjskie statki o szerokości dwudziestu metrów przypominały świąteczne dekoracje. Pod wpływem niewidocznych promieni energii z karabinów ukrytych za rotującym dokiem na kadłubie pierwszego transportowca pojawiły się pomarańczowe rozbłyski. Lanier nie nadążał ze śledzeniem sytuacji. Biegał wzrokiem od ekranu do ekranu. Kirchner rzadko się teraz odzywał. Już wcześniej ułożono plan działania. Teraz jego ludzie robili wszystko, czego ich nauczono. Wszystko, co mogli zrobić.

– Pickney, połącz mnie z siódmą komorą – poprosił Lanier.

– Wszyscy są teraz w pierwszej i czwartej – powiedział Gerhardt.

– Więc połącz mnie z czwartą. Z którąkolwiek. Chcę rozmawiać z Heinemanem.

– Statek prowadzący odpowiada ogniem – oznajmił anonimowy głos. – Wygląda na to, że celują w zbiorniki albo w kable.

– Może nie widzą kabli – zasugerował inny głos. Ton obu żołnierzy był spokojny, wyczekujący.

Lanier zauważył na monitorze drobny punkcik Szesnastej Stacji znajdującej się na niskiej orbicie tysiąc kilometrów nad Ziemią. Na jego oczach punkcik zmienił się w rozjarzoną plamę białego światła. Światło po chwili zgasło.

– Heineman na kanale piątym – poinformowała Pickney. Lanier wcisnął guzik.

– Lawrence, tu Garry.

– Już wychodziłem, ale mnie zawołali. Jestem w czwartej komorze, Garry. Byłem w drodze...

– Lawrence, zostaliśmy zaatakowani. Wsiadaj do samolotu, przyczep plazmolot i startuj.

Czekaj, dopóki cię nie wezwę.

– Zrozumiałem. Ruszam.

Nad Japonią i Chinami zakwitły cztery świecące białe kwiaty, które rozrosły się w niebiesko-białe plamy. Były to wybuchy orbitalnych bomb nuklearnych. Miały sparaliżować łączność i sieć energetyczną intensywnymi rozbłyskami promieniowania elektromagnetycznego – źródła trzasków w głośnikach. W miarę jak Kamień przesuwiał się po orbicie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a Ziemia obracała się w dole, Lanier zobaczył kolejne wybuchy nad Związkiem Radzieckim i Europą. Razem czternaście. Prawdziwa nuklearna wiosna. Od czasu Małej Śmierci wzrosła stawka w grze. Jeszcze nie nastąpiła strategiczna wymiana ognia, jednak nie wyposażone w osłony urządzenia elektroniczne i sieci telekomunikacyjne nie przetrwały tych pierwszych kroków w tańcu.

Mniejsze ekrany ukazywały obrazy przechwycone z satelitów wywiadowczych, które jeszcze nie przestały działać.

Nad wybrzeżem Ameryki Północnej, nad wyraźnie widoczną Baja California wstał świt. Rozbłyśki na dużej wysokości rzucały niesamowite światło na ocean i ląd. Rzeź jeszcze się nie zaczęła. Jaki był plan? Błef? Podstęp?

Negocjacje już pewnie trwają. „Co zrobiono, co się stanie, jeśli... Jak się cofnąć w czasie, przygotować do ograniczonej konfrontacji... Kto kogo oszukał i jak daleko się posunie? Kto się podda?”

Mirski chwycił za brzeg luku prowadzącego do kokpitu statku. Z powodu osłony antylaserowej i opancerzonego kadłuba nie było widać stamtąd otworu wlotowego. Na ekranach znajdujących się przed dwoma pilotami pułkownik zobaczył plątaninę niewyraźnych linii, obracających się kół, toczących się przedmiotów podobnych do wielkanocnych pisanek.

– Niech ludzie się przygotują – rozkazał dowódca statku, patrząc przez ramię. – Powiedz im, że mają się trzymać blisko ścian otworu, dopóki nie znajdą się w pierwszej komorze. Czają się tam ludzie z laserami. Kolą jak osy.

Nagle usłyszeli odgłos, jakby ciężkie pięści zabębniły o kadłub. Włączyły się alarmy.

– Niegrzeczni chłopcy. To był gatling – odezwał się drugi pilot. – Osłony antylaserowe przebite. Drobne uszkodzenia zewnętrznego kadłuba.

Mirski cofnął się i zamknął za sobą luk, a komentarz dowódcy o kolących osach nadal dźwięczał mu w uszach. Mirski kiedyś hodował pszczoły w czasie praktyk studenckich w Leningradzie. „Atakujemy gniazdo”, pomyślał. „To naturalne, że próbują gryźć”.

Podryfował do pierwszego przedziału, zdjął hełm i wydał zwięzłe rozkazy. Sierżanci – dowódcy z drugiego i trzeciego przedziału – ruszyli do włazów, żeby postawić swoich ludzi w stan gotowości. Jeszcze parę minut i zaczną się.

– Dlaczego jesteś taki ponury, Aleksiej? – zbeształ żołnierza sprawdzającego hełm. – Przyjaciele, macie broń załadowaną?

Wyciągnęli strzelby ze stojaków i sprawdzili, czy diody się świecą.

– Stanąc w szeregu – rozkazał Mirski. Słyszał rozkazy wyszczekiwane w drugim i trzecim przedziale. Dowódca pierwszej kompanii, znajdujący się w pierwszym przedziale, major Konstantyn Ułopow, już założył hełm, a działonowy Zadów sprawdzał podłączenia i uszczelki jego skafandra. Gdy skończył, Ułopow z kolei pomógł Mirskiemu.

Żaden nie miał dostatecznej osłony przed strzałami z lasera lub zwykłymi pociskami. W tego rodzaju walce AKV czy nawet pistolet – przystosowany do działania w próżni, lecz ze standardowymi kulami – był równie skuteczny jak laser.

Mirski podszedł do małej grupki otaczającej „Zewa”, generała majora Sośnickiego.

– Batalion gotowy, towarzyszu generale – zameldował. Sztab Sośnickiego składający się z trzech oficerów – w tym oficera politycznego, majora Biełożerskiego – sprawdzał strój generała. Sośnicki podał Mirskiemu dłoń w rękawicy, nie zważając na zamieszanie wokół siebie.

– Marszałek będzie dumny z pana i pańskich ludzi – powiedział generał. – Dzisiejszy dzień, a może to jest noc, będzie chlubny.

– Tak jest, panie generale – odparł Mirski. Chociaż często przychodziły mu do głowy cyniczne myśli, słowa Sośnickiego wzruszyły go.

– Zemścimy się za Kijów, prawda, towarzyszu?

– Tak, towarzyszu generale.

Spojrzał na Biełożerskiego. Na twarzy oficera politycznego malowało się podniecenie pomieszane z paniką. Miał szeroko otwarte oczy i pot nad górną wargą.

Mirski wytarł sobie górną wargę. Całą twarz miał wilgotną. Odsunął się od grupki i zajął swoje miejsce.

Włączyły się lampki obok okrągłych włazów wyjściowych i statek rozpoczął manewry mylące, które miały utrudnić celowanie strzelcom wyborowym, w czasie kiedy żołnierze będą opuszczali pokład. Trzymając się nawzajem swoich uprząży, skoczą grupą do otworu wlotowego...

Nie wolno im było strzelać na oślep. Istniała większa szansa trafienia siebie niż przeciwników. Mogli użyć broni tylko w bezpośredniej walce, wyraźnie widząc wrogów. Powinni jednak starać się tego uniknąć, żeby nie tracić czasu.

Wszyscy mieli już na sobie skafandry kosmiczne i stali w szeregu. Awaryjna śluza powietrzna otaczająca drugi właz została zdemontowana i ustawiona przy grodzi. Z pomrukiem i dudnieniem pompy zaczęły opróżniać przedziały z powietrza. Włazy między przedziałami zasunęły się. Światła zostały wygaszone. Jedyne, co mogli teraz dostrzec żołnierze Mirskiego, to światełka nad włazami wyjściowymi i odbłask lin, których się trzymali.

– Sprawdźcie radia i lokatory – polecił. Żołnierze dokonali szybkiego przeglądu sprzętu łączności i urządzenia lokacyjnego.

Światełka zapalały się co pół sekundy. Wszyscy upewnili się, że są podłączeni do przewodnicy.

Dziesięć sekund do otwarcia włazu. Nawet Mirski zaczął odczuwać skutki gwałtownych ruchów statku – skoków, przechyłów i kołysania spowodowane nierówną pracą dysz manewrujących – zaczęły wpływać nawet na niego.

Nie słyszał już pomp. Znajdowali się w próżni. Włazy rozsunęły się i żołnierze zaczęli się wyspywać w ciszę i ciemność.

Dwie drużyny z pierwszego przedziału – razem dwudziestu ludzi – wyskoczyły w pierwszej kolejności.

Mirski był trzeci w rzędzie. Ułopow stał przed nim i Mirski trzymał się pasa przywiązanego do jego uda. Mirskiego z kolei trzymał się Zadów, który miał do boku przytroczone laserowe działko. Wszyscy trzej chwycili za brzeg włazu i wyskoczyli jednocześnie, tak jak ich wyszkolono, odfrunęli od statku z precyzją skoczków spadochronowych, tworząc małą sześcioramienną gwiazdę zawieszoną w bezkresnej pustce.

Mirski stwierdził, że jego wzrok szybko przyzwyczaił się do ciemności. Włączył lokator. Przez krótką straszną chwilę myślał, że wszyscy zginęli. Nie słyszał żadnego sygnału. I wtedy rozległ się stąły dźwięk latarni kierunkowej umieszczonej przez jakiegoś nieznanego rodaka – może już straconego przez Amerykanów – w otworze wlotowym prowadzącym do drugiej komory.

I dostrzegł mały punkcik światła, którym było wejście do pierwszej komory.

Wokół fruwały różne przedmioty. Zderzał się z nimi, ocierał. Tryskały jakieś ciemne krople. W promieniu światła padającego z hełmu zobaczył duże odłamki metalu, części rozerwanej grodzi, pogieęte arkusze stali. Statek!

Wbity w coś niewidocznego, jak mucha schwytna w sieć, wibrował ciężko wrak jednego z transportowców otoczony dryfującymi ciałami w większości bez hełmów, z pourywanymi kończynami, okaleczonymi korpusami.

Wszystko otaczał oślepiający krąg. Silne światła reflektorów ukazywały statki i wyrzuconych z ich trzewi żołnierzy, żywych i martwych. Zadów puścił pas Mirskiego, który instynktownie sięgnął po broń tamtego, ale chwycił tylko ramię. Skafander zwinął się pod dotykiem, a ciało okręciło gwałtownie jak pęknięty balon. Mirski omal nie puścił Ułopowa. Przez dziurę w skafandrze Żadowa uciekał gaz. Mirski wyciągnął rękę dalej i złapał działko. Podał je Ułopowowi.

(...To było tak wyraźne jak rzeczywistość, może nawet wyraźniejsze. Stał na trawiastym polu i przyglądał się temu wszystkiemu. Zebrał spadochron z żółtej trawy i potrząsnął głową, uśmiechając się do swoich myśli.)

Żołnierze wypełnili otwór wlotowy, setki żołnierzy. Instynktownie wyczuwał wszędzie wokół niewidoczne laserowe igły i kule zbierające żniwo.

Mirski pociągnął Ułopowa i rozejrzał się, szukając ściany, do której powinni się zbliżyć. Była niewidoczna. Śmierć Żadowa spowodowała, że zbczyli z kursu.

– Użyj rakiety – powiedział majorowi. – Rozdzielimy się teraz.

– Spsshssrany ziemniak – skomentował major krótko. Mikrofon ucinął pierwsze sylaby. – Spsshsąco jak w piecu. Spsshraz się usmażę. Spsshshdzenia, pułkowniku!

Mirski puścił pas i odpalił silniczek odrzutowy. Oddalił się od zaklinowanego wraku i trupów. Włączył wyświetlacz w hełmie. Na małym ekranie ukazała się latarnia kierunkowa i jego położenie wobec niej. Kolejny odrzut skierował go we właściwym kierunku, podobnie jak setki jego kolegów... nie potrafił stwierdzić ilu.

Nagle przypomniał sobie numer rozbitego statku, który został już daleko w tyle. To był statek księżycowy... pełen starannie wyszkolonych do walki przy niskiej grawitacji oddziałów. Ich najlepszych.

Mirski, którego w tej chwili nie zajmowało, ilu jego ludzi zostało z tyłu lub wysforowało się naprzód, leciał tunelem wlotowym w kierunku małego kręgu światła.

– Przedarli się – oznajmił Kirchner, uderzając dłonią o poręcz fotela. – W otworze są tylko ciała i wrak. Trzy transportowce wycofały się. Musimy unieszkodliwić pozostałe. Nie uciekną... nie mogą wrócić do domu.

– Piloci zaczekają, aż zostaniemy pokonani – odezwał się przez interkom zmęczony głos Gerhardta, który doglądał ewakuacji cywilów do czwartej komory.

– Nie wydajesz się najlepszej myśli, Oliver – stwierdził Kirchner. – Teraz twoja kolej.

– Mamy transmisje z Zatoki Perskiej – poinformowała Pickney. – Możemy je rozszyfrować. Chciałby pan posłuchać, kapitanie?

– Tak – zdecydował Kirchner.

Męski głos, który po przetworzeniu sygnału brzmiał niemal mechanicznie, mówił:

– Jeden K tu Kill Seven, Jeden K tu Kill Seven, spalony krąg; powtarzam, spalony krąg. Wampiry, czternaście, odległość pięćdziesiąt kilometrów, źródło, mała platforma „Turgnieniew”. Powtarzam, czternaście wampirów. Sześć spada. Zaczyna się drugie zmiatanie. Dymiący krąg. Rój idzie w górę, dziewięć w dół, noże w górę, jedenaście w dół. Trzy wampiry, dwadzieścia kilometrów. Kapłani wychodzą. Kapłani i wampiry nawiązują kontakt. Załogi salamander. Rozgwiżdża wystrzelona. Morskie Smoki w pogotowiu. Dwa wampiry, sześć kilometrów. Zaczyna się trzeci atak. Zamieszanie. Skośnoocy wyeliminowani, rzeźnicy wyeliminowani. Strażnicy wyeliminowani, noże na pokładzie. – Chwila przerwy. – Dwa wampiry, trzy kilometry. – Kolejna pauza, potem ciche: – Do widzenia, Shirley.

– To krążownik „House” – powiedział Kirchner spokojnie, pocierając oczy. – Już go nie ma.

– Następny – odezwała się Pickney. – Wybrzeże Omanu.

– Posłuchajmy – zdecydował Kirchner, spoglądając na Laniera.

– ...CYN dziewięćdziesiąt sześć, grupa Hairball – mówił głos – drugi start Feather Two; powtarzam, Feather Two, zaczyna Chigger, powtarzam, Chigger. Specjalny nuk czwartej klasy, pocztowcy przekażą wiadomość.

– Transportowiec „Fletcher” wysyła strategiczny samolot na rekonesans wybrzeża – przetłumaczył Kirchner.

– CYN osiemdziesiąt pięć, kod Zorro Doktor Betty. Pocztowcy wycofują zgodę. Pazury rozdrapią Chiggersów. Morskie Smoki w stanie gotowości. Ściana w górę, Indycze Pióra w dół. Powtarzam, wał w górę, a...

– Grupa Hairball, Leading Man, Groom i Alpha Delta Victor... Best Man, Chambermaid,

obiad odłożony...

– CYN sześćdziesiąt sześć, naliczyłem trzydzieści osiem wampirów, źródło – granatowa platforma klasy „Turgieniew”, odległość dziesięć kilometrów, noże w górę, skośnoocy, Morskie Smoki zaalarmowane. Kapłani i wampiry wchodzą w kontakt z dwoma aniołami... Jezu Chryste, są dwa kilometry stąd...

Kirchner drgnął, kiedy meldunek urwał się.

– Powiniennem tam być – powiedział. – Na polu bitwy.

– Ile TPO wystrzelono ze Stacji Szesnastej? – zapytał Lanier.

– Oprócz TPO 45, pięć. Trzy zbliżają się do nas. Dwa lecą na Księżyc.

– Ostrzeżcie te trzy, że nas zaatakowano i nie możemy ich przyjąć. Zaproponuj, by poleciełi na Księżyc.

– Jeśli im się uda – wtrąciła Pickney.

Ewakuacja platform orbitalnych i innych stacji już się rozpoczęła. Wojna rozszerzała się. Nie tylko platformy obronne, lecz również stacje badawcze i przemysłowe stały się celem ataku.

– To jakiś obłęd – stwierdziła Pickney gorzko – Wygląda, jakby wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Oczywiście, że tak – odezwał się Gerhardt przez interkom. – Tylko idiota lub ktoś doprowadzony do rozpacz mógłby myśleć inaczej. Garry, zrobiłeś wszystko co w twojej mocy. Będziesz mi potrzebny za parę minut w pierwszej komorze. Wracam.

Vasquez spała w namiocie wyczerpana po siedmiu godzinach wyętej pracy. Dwie tabliczki, procesor i kilkadziesiąt kartek papieru zaśmiecało podłogę obok łóżka.

Patricia, Carrolson, Farley, Wu i Chang – i oczywiście Heineman w samolocie VISTOL – tworzyli jedyną grupkę nie uwięzioną w pierwszej i czwartej komorze. Lanier doszedł do wniosku, że jej praca była zbyt ważna, żeby ją przerywać.

Śniła, że jest w sklepie na Ziemi. Odmówiono jej sprzedania lodów w rożku. Potem sen zmienił się. Stała przy tablicy w dużej szkolnej klasie, próbując wyjaśnić zawile problemy niesfornym uczniom. Zaczęli w nią rzucać kawałkami kredy. Z absolutnym przekonaniem, że to rzeczywistość, patrzyła, jak kreda uderza w równania wypisane na tablicy. Przestańcie! – krzyknęła. – Dość! – Klasa uspokoiła się. Patricia podniosła z podłogi kawałek kredy i zakreśliła równania trafione przez pociski. Oczywiście, powiedziała, to dowodzi...

Carrolson potrząsnęła jej ramieniem. Patricia odgarnęła kosmyki czarnych włosów i spojrzała na kobietę zapuchniętymi od snu oczami.

– Musimy jechać do czwartej komory – oznajmiła Carrolson.

– Po co? Pracuję...

– Praca się skończyła, kochanie. Ciężarówka już czeka. Chińczycy również jadą. Wszyscy. Rusz się! – Jej ton był oschły. Patricia wzięła torbę i upchnęła w niej tabliczki, bloki pamięci, multimetr i procesor. Carrolson zrobiła ruch, jakby chciała jej wyrwać torbę z rąk, ale cofnęła się, splatając ramiona. – Nie będziemy tego potrzebowali – powiedziała. – Naprawdę.

Łzy popłynęły jej po policzkach i zmoczyły przód kombinezonu.

– Wszyscy tak mówią – kontynuowała. – Podobno urwała się łączność satelitarna.

Patricia przycisnęła torbę do piersi i pobiegła do pojazdu, przeklinając pod nosem.

„Śmiesznie się zachowuję”, pomyślała częścią umysłu, do której jeszcze nie dotarła rzeczywistość. „Jak histeryczka.” Przecież wiedziała. Powinna być przygotowana.

Carrolson, Wu i Chang wsiedli za nią do ciężarówki. Farley ruszyła w stronę tunelu.

Mirski był przerażony. Popychany do przodu silniczkami raketowymi, które zostawiały za sobą cienką i szybko rozwiewającą się chmurę nadtlenu wodoru, leciał według sygnału latarni kierunkowej. Miał wrażenie, że spada we wszystkich kierunkach, że wszędzie czeka na niego Ziemia. W przdzie widniała ciemnoszara płaszczyzna. W górze, w dole, z tyłu i z przodu przepływały chmury. Nie mógł zamknąć oczu; musiał kontrolować na wyświetlaczu położenie latarni sygnałowej.

Zobaczył kilku żołnierzy. Za nimi ciągnął się ślad przypominający smugi kondensacyjne odrzutowca lecącego w wilgotnym powietrzu. „Ilu przeżyło? Jakie kroki podjęli Amerykanie?”

Musi pokonać tę straszną czeluść, to miejsce bez wierzchołka spodu, wlecieć w drugi otwór. Dopiero w drugiej komorze będzie mógł rozwinąć płat nośny i wylądować według prostej mapy, która wyświetli się na ekranie hełmu.

Powoli strach przemienił się w radość. Najdłuższy skok, jaki wykonał na Ziemi, trwał sześć minut. To było lepsze niż miłość, lepsze niż awans. Tutaj leciał już dziesięć minut, piętnaście, przyspieszając z każdym nowym odrzutem.

Gdyby zginął przy lądowaniu, nie żałowałby. Zobaczyć miejsce, gdzie ląd jest niebem, gdzie mógłby zanurkować w dowolnym kierunku albo opaść na ziemię. To było warte każdej ceny. Warte nawet koszmaru otworu wlotowego, rozerwanych ciał kolegów, twarzy rozdętych i posiniałych w próżni, oczu wysadzonych z orbit.

– Psskownik Mirski, to pan?

– Tak! Zidentyfikuj się.

– Pssłopow. Widziałem ludzi z naszego statku... i setki innych! Pshsh jak anioły, pułkowniku. Pskchkchk oddziały, proszę spojrzeć za siebie, pschkowniku.

Uważając na sygnał latarni, obejrzał się ostrożnie za siebie. Zobaczył w dole drobne białe kropki – spadochrony – w niebieskawej mgiełce nad dnem komory. Odwrócił się i zobaczył następne. Zgodnie z planem żołnierze kierowali się w stronę południowej ściany pierwszej komory, żeby zdobyć windy. Ogarnęła go duma. Kto inny potrafiłby tego dokonać? To przejdzie do historii!

Przed sobą pośrodku ściany zobaczył ciemną dziurę. Powietrza w zbiornikach skafandrów starczało na dwie godziny... kiedy wreszcie będzie mógł wylądować?

W osiedlu czwartej komory Carrolson zrezygnowała z prób zorganizowania członków zespołu naukowego. Większość oddziału bezpieczeństwa postawiono w stan gotowości. Baraki, bar i teren zostały do dyspozycji ewakuowanych.

Patricia siedziała w barze, odrętwiała i zapłakana. Nieuważnie słuchała sporadycznych radiowych meldunków dobiegających z głośników. Sygnały z satelitów były nadal przekazywane do transponderów rozmieszczonych przy wejściu do każdej komory. Elektroniczne trajkotanie robotów, które spokojnie szukały stacji bojowych i wysuniętych placówek orbitalnych lub milkły po wejściu w atmosferę, by zabić kolejne kilka milionów istot ludzkich, odgrywały rolę czynnika odstrasżającego, siały śmierć i zniszczenie.

„Wszystko wymknęło się spod kontroli”, pomyślała Patricia.

Spazm. Ruchy, jakie wykonuje umierający człowiek, drgawki agonii. San Diego, Long Beach, Los Angeles, Santa Barbara. Spazm.

Farley i Chang szlochały objęte ramionami. Wu, milczący i nieporuszony, siedział przy stoliku jak skamieniały. Rinskaya stał w rogu z butelką szkockiej, zapewne pochodzącej z kontrabandy. Co chwila pociągał z niej łyk, dopóki nie padł.

Kilku byłych pracowników departamentu obrony, powtarzających stare dowcipy, nieaktualne

oceny i domysły, przeprowadzało spokojne analizy na temat tego, kto wygrywa, kto jest jeszcze zdolny do walki, które wyrzutnie broni będą użyte w następnej kolejności. „Okręty podwodne pod czapami lodowymi?” „Nie, obie strony będą je trzymały w rezerwie”. „Po co?” „Kogo to obchodzi?” „A co z tymi ciężarówkami, no wiecie, z pojazdami, które wytwarzają poduszkę powietrzną i wytrzymują działanie fali uderzeniowej?” „Pieprzyć ich wszystkich”.

Spazm.

Zamknęła oczy, żeby nie dopuścić do siebie obrazu domu zamieniającego się w popiół.

A w środku Rita i Ramon, których nie ochronią ściany domu... upieczeni żywcem, ale nie całkiem zwęgleni... później obrócenie w popiół przez falę uderzeniową...

Farley podeszła do Patricii i poklepała ją po ramieniu, przerywając sny na jawie.

– Nie możemy wrócić – powiedziała. – Inżynierowie mówią, że nie ocalał żaden port kosmiczny. Vanderberg, kosmodromy, Centrum Kosmiczne Kennedy’ego, nawet baza Edwards, wszystko wyparowało. Nie możemy też polecieć na Księżyc. Nie ma dość statków ani paliwa. Nikt nie przyleci do nas przez dziesięć, może dwadzieścia lat. Tak twierdzą inżynierowie. Może zostało parę dobrych lotnisk w Chinach, ale nie ma wahadłowców, które spotkałyby się na orbicie z TPO. Zbliżył się do nich Wu.

– Nie ma już Chin – oznajmił. – Rosja dalej zrzuca bomby. Wszystkie miasta, w których mieszkałem, zniknęły. W szkole mieliśmy lekcje obrony cywilnej. Wiedzieliśmy, gdzie spadną bomby. Rosyjskie bomby, może nawet amerykańskie. Każde miasto miało przeznaczoną dla siebie bombę.

– Kiedy pogrzeb? – spytał ktoś siedzący w głębi pomieszczenia. Nie rozległy się śmiechy. Zapanowała cisza. Był to wyjątkowo grubiański żart. Z tym że to wcale nie musiał być żart. Kiedy ktoś umiera, odbywa się pogrzeb.

A kiedy umierają miliony ludzi? Carrolson usiadła obok Patricii.

– Wayne zginął i nasz syn – stwierdziła lakonicznie. – Jestem pewna, że już nie żyją. Wkrótce to zacznie straszliwie boleć. Przyzwyczajenie się będzie... – Twarz jej się wykrzywiła i pokryła czerwonymi plamkami. – Drań Rimskaya wypił całą butelkę.

– Jadę do biblioteki – oświadczyła Patricia.

– Nie możesz – przypomniała Carrolson. – Są zamknięte.

– Muszę coś zrobić.

– Oczywiście. – Ale nie wysunęła żadnych propozycji.

– Hej, mamy obraz z zewnętrznych kamer! – zawołał ktoś. Wytoczono na środek duży ekran.

Patricia nawet nie spojrzała. W bibliotece w Thistledown widziała teleskopowe i satelitarne obrazy zagłady. Gdzieś na Ziemi – w Waszyngtonie albo w biurze Hoffman w Pasadenie – kopie tych obrazów zostały zniszczone w katastrofie, którą ukazywały. Ironia losu. Carrolson patrzyła, mrużąc oczy i zaciskając usta. Miasta rozkwitały jedno po drugim. Powietrze falowało przy każdej eksplozji, jakby do stawu wpadła gigantyczna stalowa kula.

Po drugiej stronie Atlantyku, od zachodu rozlewała się jaśniejsza od zorzy porannej poświata, miejscami żółta, miejscami fioletowa lub zielona.

Cały świat ogarniał pożar wierzchołkowy, z tym że płomienie nie skakały z drzewa na drzewo, lecz z miasta do miasta, z kontynentu na kontynent. Ludzie nie byli odporniejsi niż sosnowe igły.

Gerhardt i Lanier stali obok oddziału żołnierzy strzegących wejścia do pierwszej windy. Gerhardt podniósł do oczu lornetkę.

– Małe plamki – powiedział. – Moskity. Większość ląduje w tej komorze. Wygląda jednak na to, że całkiem sporo leci dalej. – Podał lornetkę Lanierowi.

– Do drugiej komory. – Chłodny wiatr wiejący od pokrywy zmierzwił mu włosy. Lanier śledził dwie plamki, podążając wzrokiem za smugami kondensacyjnymi. Obniżył lornetkę, by sprawdzić stan obrony wokół dwóch osiedli zespołów naukowych.

– Tak. Spodziewają się, że mamy tutaj spore siły. Znowu spojrzał w górę i w pobliżu południowej klapy znacznie niżej zobaczył większe białe kropki.

– Spadochrony – stwierdził. – Są już w atmosferze.

– Boże, co za akcja – powiedział Gerhardt z podziwem. Włączył radio. – Południowe tunele, nadlatują w waszą stronę. Otwórz wlotowy, miejcie oczy otwarte.

Lanier nie mógł się skupić. Stale powracała myśl o dywersji. Czyżby podpalili świat tylko po to, by tutaj zdobyć przewagę? Mieli nadzieję, że potrafią kontrolować sytuację, utrzymać liczbę ofiar na poziomie z czasów Małej Śmierci? Nagle poczuł mdłości na myśl o wyuczonych reakcjach przedstawicieli rządu, wojskowych, patriotów i zdrajców, bojowników i...

Miał ochotę gdzieś się schować i zasnąć.

Wyobrażał sobie Hoffman w drodze do Vanderberg. Miała nadzieję uciec od szaleństwa, zostawić spadający samolot, uratować się, przylecieć tutaj, skąd rozprzestrzeniło się szaleństwo. Jednak nie udało się jej. Zaskoczyły ją wybuchy nad Vanderberg.

– Wiedzą? – zapytał.

– Kto? – zdziwił się Gerhardt.

– Czy Rosjanie wiedzą, że nadeszła Śmierć? Gerhardt, który nigdy nie był w bibliotece, zmarszczył czoło.

– O co pytasz, Garry? Lanier wskazał w górę.

– Za chwilę stoczą z nami bitwę, ale czy wiedzą, że nie mamy już najwyższych dowódców?

– Jacyś przeżyją – powiedział Gerhardt.

– Oliver, czy to ma znaczenie?

– Cholernie dobrze wiesz, że tak! – krzyknął Gerhardt. Kropla śliny spłynęła mu po brodzie. Wytarł ją rękawem kombinezону, potrząsnął głową i odwrócił poczerwieniałą twarz. – Nie załamuj się teraz, Garry. Potrzebujemy ludzi.

– Będę walczył – oświadczył Lanier.

– Nie pierwszy raz, prawda? – zapytał Gerhardt z napięciem w głosie.

– Tak. – „Wyuczone sposoby zachowania. Żadnego odpoczynku, żadnego końca, nawet w dniu zagłady”. – Gdzie jest moja broń?

Udało się im dostać do drugiego otworu wlotowego, pomimo sporadycznego ognia stacjonujących tutaj oddziałów. Wielu zginęło, ale nie wszyscy...

Czy kiedykolwiek przestanie spadać?

Mirski obejrzał się na miasto...

Nigdy nie widział takiego miasta!

...silniczki odepchnęły go o sto metrów od otworu, dwieście, trzysta. Zauważył punkt orientacyjny, którego szukał – most rozwieszony nad rzeką okrążającą komorę – odleciał od osi i skierował się w stronę rury plazmowej.

Inni żołnierze już weszli w atmosferę. Informator zapewniał, że lądowanie będzie bezpieczne, jeśli nie będą się ociągali, ale Mirski ufał tylko doświadczeniu. Nie miał pojęcia, czy jego towarzysze żyją, widział tylko drobne punkciki. Byli jak karzełki. „Jak parę setek żołnierzy da sobie radę rządząc obiektem wielkim jak państwo?”

Widok zmieniał się powoli, w miarę jak Mirski odlatywał od osi.

Wcale się nie dziwił, że jego odczucia są teraz samolubne i że przepelnia go nienawiść. Czuł to wiele razy wcześniej, w czasie szkolenia i koszmarnych testów wytrzymałościowych. Były to emocje żołnierza podczas bitwy, silne i gorzkie, naznaczone strachem, ale przede wszystkim wszechogarniającym instynktem samozachowawczym i egoizmem.

Kraj, ziemia ojczysta, rewolucja nie obchodziły go ani trochę. I wcale się tego nie wstydził,

Było tylko spadanie. Leciał po spirali, a wielki cylinder obracał się wokół niego. Kierował się według punktów orientacyjnych. Cisza. Nie słyszał nawet poszumu wiatru. Rozłożył powietrzne sanie.

I wtedy zauważył, że zboczył z kursu. Skorygował to za pomocą silniczka. Niewiele brakowało, żeby zwariował, a przecież spadał dopiero minutę, bardzo powoli.

Poczuł – możliwe, że tylko w wyobraźni – mrowienie i zorientował się, że przelatuje przez rurę plazmową. Kilkaset metrów niżej zaczynała się górna warstwa atmosfery. Przywarł ciałem do wewnętrznej wklęsłej powierzchni sani powietrznych, przywiązał ręce i nogi pasami. Nieważne, pod jakim kątem wejdzie w atmosferę, sanie obrócą się tak, by powietrze stawiało jak najmniejszy opór. Gdy usłyszysz świst powietrza, uwolni się od sań i zacznie nurkowanie przez piętnaście lub szesnaście kilometrów. Otworzy spadochron dopiero dwa lub trzy kilometry nad ziemią. Ponieważ będzie lżejszy, uderzenie wcale nie będzie silne.

Jakiś żołnierz pomachał do niego. Mirski nie rozpoznał go, dostrzegł tylko insygnia Szóstego Batalionu. Pokazał mu gestem, że ma rozłożyć sanie. Żołnierz uniósł je w górę – strzaskane przez kule – i odrzucił, wruszając ramionami. Musieli zachować ciszę radiową, ale żołnierz zbliżył się na tyle, by można było czytać z ruchu jego warg.

– Poradzę sobie bez nich?

– Nie wiem. Zwiń się w kłębek i spróbuj wejść w atmosferę plecami.

Trudno to było przekazać ruchami warg, więc Mirski pokazał żołnierzowi, co ma zrobić, podciągając w górę kolana i obejmując je ramionami.

Żołnierz skinął głową i uniósł w górę kciuk. Odlecieli od siebie. Żołnierz spadał wolniej. Mirski patrzył, jak tamten włącza silniczki, żeby oddalić się od klapy, w której stronę zaczął dryfować. Potem sam przygotował się do wejścia w atmosferę.

Sprawdził swoje położenie w stosunku do mostu. Dokonał drobnej korekty silnikami. Poczuł nacisk na sanie. Wibrację, słabe szarpnięcia.

Po raz ostatni włączył silniki, następnie odpiął i odrzucił plecak z rakietami. Nie dbał o to, gdzie spadną, byle tylko nie wylądowały na nim.

W trakcie przygotowań i pełnego napięcia wyczekiwania rzucił spojrzenie na miasto, ciekaw, jaki sekret kryje w sobie Ziemiak. Dlaczego o niego walczą? Co zyskają?

Jak zareaguje Zachód na kradzież największego skarbu? Lub na próbę (słyszał takie plotki) przejścia platform orbitalnych i satelitów szpiegowskich? Jak Rosja zareagowałaby w podobnych okolicznościach? Wzruszył ramionami.

Sanie szarpnęły i okręciły się. Pociemniało mu na chwilę o oczach, ale otrzeźwiło go miazdzące uderzenie i wysoki, załamujący się krzyk. Spadał.

Sanie obróciły się jeszcze raz, ale wreszcie ustawiły go w odpowiedniej pozycji. Przywarł

do ich wewnętrznej powierzchni, mając nadzieję, że nie złamał żadnych kości. To było gorsze niż upadek z trzech metrów podczas treningów. Poczł krew w ustach. Niemal przegryzł sobie policzek. Namacał ranę językiem. Zamknął oczy z bólu... (... Zebrał spadochron na złotym trawiastym polu, uśmiechając się do palącego słońca, spoglądając na swoich towarzyszy, osłaniając oczy przed blaskiem, by spojrzeć na odległą plamkę – samolot transportowy...)

Pospiesznie odwiązał sanie. Powietrze wokół niego huczało. Chwycił za sznurki. Puścił sanie, a pęd wyrwał mu je z rąk. Udało się!

Od tego miejsca był już tylko prosty skok ze spadochronem. Wyciągnął ramiona i nogi, żeby ustabilizować lot. Most stanowił białą kreskę nad ciemnoniebieską rzeką. Czy to rzeczywiście właściwy most?

Tak. Dostrzegł drobny punkcik budki wartowniczej oraz linie obrony i stanowiska obłożone workami z piaskiem. Poza tym nie mógłby tak bardzo zboczyć z kursu. Znajdował się nad celem, nawet zbyt blisko. Będzie musiał to skorygować.

Wiatr z łagodnym szumem opływał mu hełm. Mirski sprawdził laser, kałasznikowa i pas z ekwipunkiem.

Musiał na oko ocenić moment otwarcia spadochronu. Nie miało sensu liczenie odległości od osi, skoro wszyscy spadali w różnym tempie. Wyciągnął przed siebie kciuk, który zasłonił most.

Pociągnął linkę wyzwalającą i spadochron szarpnął, wydał się, zapadł i znowu zafalował, rozwijając się w kształt paczki małych kielbasek.

Mirski zakołysał się, zebrał linki w obie dłonie, pociągnął jedną, potem drugą, żeby nadać sobie właściwy kierunek.

Zobaczył z ulgą, że wylądjuje jakieś pięć kilometrów od celu. Jeśli nie mają więcej ludzi, niż mówiły raporty, ani automatycznych karabinów z radarowymi celownikami, których według informatora nie powinni mieć, prawdopodobnie go nie zestrzelą.

Dostrzegł wokół siebie innych spadochroniarzy. Razem setki.

Próbował pohamować łzy, lecz nie zdołał.

– Gdzie jest Patricia? – Carrolson rozejrzała się po barze.

– Nie wiem – odparła Farley. – Była tu parę minut temu.

– Powinniśmy ją odszukać – Ja pójdę – zdecydowała Carrolson. I tak musiała wyjść. Nie była pewna, czy zdoła tu dłużej wytrzymać.

Wyszła z baraku i rozejrzała się po osadzie. Zobaczyła coś zdumiewającego. Na tle ciemnoszarej południowej klapy pojawiły się drobne białe punkciki spadające jak śnieg – tuziny, po chwili setki.

Obok niej przebiegł jakiś żołnierz niosący dwa lasery. – Spójrz! – krzyknęła, wskazując palcem. Nie zwrócił na nią uwagi. Wskoczył na tył jednej z załadowanych wojskiem ciężarówek, które wyjeżdżały z osiedla.

Carrolson potrząsnęła głową. Ogarnięta smutkiem i gniewem, nie była zdolna do myślenia. Nie może sobie teraz pozwolić na słabość. Musi się skupić i znaleźć Vasquez.

Ze stacji po przeciwnej stronie osiedla odjeżdżał właśnie pociąg. Spojrzała na zegarek. Czternasta, przystanek w czwartej komorze. Peron był pusty, wojsko nie korzystało z pociągów. Działające według rozkładu metro nadawało wszystkiemu pozory normalności.

– Chryste – szepnęła, gdy nagle zrozumiała. Vasquez powiedziała, że chce wrócić do biblioteki. Którą miała aa myśli?

Podbiegła do niej Farley.

– Zaatakowali nas – oznajmiła. – Spadochroniarze. Rosyjscy żołnierze. Kosmonauci. Kimkolwiek są, lądują w pierwszej i drugiej komorze. Tutaj również się zjawia.

– Widziałam ich – powiedziała Carrolson. – Patricia pojechała do biblioteki. Musimy ją znaleźć...

– Jak? Pociąg już odszedł. Następnego nie będzie przez pół godziny. Nie możemy wziąć ciężarówki, wszystkie zabrało wojsko.

Carrolson nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna i niepotrzebna. Stała z zaciśniętymi pięściami, odwrócona twarzą w stronę południowej klapy. Większość spadochroniarzy już wylądowała.

Patricia wpatrywała się w siedzenie przed sobą, przygryzając dolną wargę. Nikt nie pilnował pociągu. Było to niedopatrzenie lub celowe działanie.

Od chwili opuszczenia Ziemi żyła jak we śnie. Czy to możliwe, żeby w nim utknęła?

„We śnie można robić wszystko, jeśli nauczy się panować nad sytuacją, kształtować rzeczywistość i wydawać rozkazy”.

A równania trafione przez kawałki kredy...

Jeśli równania były prawidłowe, to jej ojciec siedzi teraz w fotelu, czyta „Tiempos de Los Angeles”, a korytarz przechodzi obok tego miejsca, zakrzywienia przestrzeni. Ona musi tylko poszukać właściwych drzwi, właściwej części korytarza, żeby znaleźć Ritę i Ramona, Paula i Julię.

Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Lanierowi. Będzie zadowolony. A Rinskaya będzie dumny, że ją polecił. Rozwiązała tajemnicę korytarza, ostatnie kawałki układanki trafiły na swoje miejsce, choć tylko we śnie.

Zaprowadzi ich wszystkich z powrotem do domu.

Pociąg dojechał do jej przystanku. Wsiadła i wyszła po schodach na powierzchnię.

– Panna Vasquez?

Patricia odwróciła się i stanęła oko w oko z obcym człowiekiem. Siedział na betonowym

murku przy wejściu do podziemia. Miał czarne krótkie włosy i był ubrany w obcisły czarny strój.

– Proszę wybaczyć – powiedziała, nie patrząc wprost na niego. Intensywnie myślała, pogrążona w swoim stanie. – Nie wiem, kim pan jest. Nie mam czasu.

– My również. Musi pani pójść z nami.

Pojawiła się wysoka postać z głową wąską jak deska i wyłupiastymi oczami. Drugi nieznajomy miał zarzuconą na plecy luźną szatę ze srebrzystej tkaniny i nic poza tym. Jego skóra była brązowa i gładka, jakby dobrze wyprawiona.

Patricia wytrzeszczyła oczy, wyrażona ze stanu koncentracji.

– Zrobiło się tu prawdziwe zamieszanie, prawda? – powiedział obcy. Patricia zauważyła, że mężczyzna ma pozbawiony nozdrzy nos, jasnoniebieskie wyblakłe oczy i duże okrągłe uszy.

– Proszę wybaczyć – powiedziała łagodniej. – Nie wiem, kim jesteście.

– Ja nazywam się Olmy. Mój towarzysz to frant; oni nie mają imion. Mam nadzieję, że nie bierze nas pani za natrętów. Obserwowaliśmy was uważnie.

– Kim jesteście?

– Mieszkałem tutaj wieki temu – odparł Olmy. – A przede mną moi przodkowie. Pani może być jednym i moich przodków. Proszę. Nie mamy czasu na rozmowy. Musimy iść.

– Dokąd?

– W głąb korytarza.

– Naprawdę?

– Tam jest mój dom. Frantowie pochodzą z innego miejsca. Oni... cóż, pracują dla nas, chociaż to nie jest ściśle określenie. Frant pokiwał głową.

– Proszę się nie bać – powiedział. Miał ptasi głos, cichy i świergotliwy.

Powiew od strony południowej kłapy przeleciał przez obrzeża miasta w trzeciej komorze, szeleszcząc liśćmi na pobliskich drzewach. Za nim zjawił się wysmukły statek powietrzny o długości około dziesięciu metrów, w kształcie spłaszczonego stożka i ze ściętym dziobem. Z wdziękiem okrążył wieżę i wylądował na środkowym pylonie.

– Wykonała pani nadzwyczajną robotę – stwierdził Olmy. – Pewni ludzie będą tym bardzo zainteresowani.

– Próbuję wrócić do domu – wyjaśniła Patricia. Uświadomiła sobie, że mówi jak zagubione dziecko do policjanta. – Jesteście policjantami? Strzeżecie miasta?

– Nie zawsze – odparł Olmy.

– Proszę pójść z nami – odezwał się frant, robiąc krok do przodu na długich, dziwnie zginających się nogach.

– Porywacie mnie?

Olmy wyciągnął rękę. Nie wiedziała, co znaczy ten gest. Pokazywał, że to nie od niego zależy?

– Jeśli nie pójdę z własnej woli, zmusicie mnie?

– Zmusimy? – Wydawał się zdziwiony. – Ma pani na myśli użycie siły? – Olmy i frant wymienili spojrzenia. – Tak – przyznał Olmy.

– Więc lepiej, żebym poszła z wami? – Wydawało się jej, że te słowa wypowiada jakaś obca Patricia, spokojna i biegła w analizowaniu nocnych koszmarów.

– Proszę – powtórzył frant. – Dopóki sytuacja tutaj się nie poprawi.

– Sytuacja tutaj nigdy się nie poprawi – powiedziała. Olmy wziął ją za rękę z dworskim ukłonem i zaprowadził do owalnego luku w płaskim dziobie statku.

Wnętrze statku było ciasne, w kształcie litery T rozszerzającej się na rufie. Ściany, białe

i zaokrąglone, wyglądały jak wykonane z wypolerowanego marmuru. Olmy chwycił za grodz i pociągnął. Powstało łóżko.

– Proszę się położyć. – Posłuchała go. Miękkie tworzywo stwardniało pod nią, dopasowując się do ciała.

Frant poszedł dalej do swojej koi. Olmy usiadł naprzeciwko Patricii i dotknął naszyjnika.

Przesunął dłoń po znajdującej się przed nim wypukłości, a zaokrąglona powierzchnia zmieniła się w intaglio czarnych linii i czerwonych kół. Biel rozmyła się w wydłużony przezroczysty kształt, tworząc długie eliptyczne okno. Brzegi okna pozostały matowe jak oszroniona szyba.

– Startujemy.

Miasto trzeciej komory prześliznęło się w dole. Gdy statek przechylił się podczas skrętu, okno wypełniła ponura szarość północnej klapy.

– Myślę, że naprawdę spodoba się pani tam, dokąd lecimy – powiedział Olmy. – Podziwiam panią. Ma pani wybitny umysł. Jestem pewien, że Hexamon również będzie pod wrażeniem.

– Dlaczego nie ma pan nosa? – spytała ta obca Patricia.

Frant wydał odgłos, jakby zgrzytał zębami.

Wojska sowieckie wylądowały w parku dwustumetrowej szerokości, oddzielającym rzekę od południowej klapy drugiej komory. Oddziały przegrupowały się, zajmując stanowiska po przeciwnych stronach mostu, w odległości trzech kilometrów od celu. Nawiązały ze sobą łączność.

Batalion Mirskiego znalazł schronienie w gęstym lesie karłowatych sosen. Oficerowie stwierdzili, że most jest silnie broniony i wkrótce otrzyma posiłki, więc muszą uderzyć od razu. Ekwipunek jeszcze nie został zrzucony z transportowca numer siedem i trzy czwarte z trzydziestu oddziałów nie miało pełnego stanu. Starcie w otworze wlotowym było straszne, a z tych, którzy je przeżyli, jedna dwudziesta nie ukończyła podróży i lądowania.

Przewidziano taką sytuację; sierżanci utworzyli ze zdziesiątkowanych oddziałów nowe. Mirski miał pod swoim bezpośrednim dowództwem dwustu dziesięciu żołnierzy i niewielką nadzieję, że dostanie więcej. Nikt nie wiedział, ile osób przeżyło lądowanie w innych komorach. Dywersyjne drużyny Specnazu przydzielone do batalionu Mirskiego zameldowały przez radio, że przepłynęły rzekę i rozstawiły posterunki w mieście drugiej komory.

Minęły dwie godziny. Wojska NATO stacjonujące przy moście nie uczyniły żadnego ruchu. Niepokoiło to Mirskiego. Wiedział, że najlepszą obroną jest natychmiastowy i niszczący atak. Obrońcy powinni byli zaatakować, kiedy jego ludzie znajdowali się jeszcze w powietrzu. Najwyraźniej zostali zaskoczeni i nie zdążyli zebrać sił.

Między jego batalionem a celem znajdował się las i kilka dużych betonowych fundamentów o nieznanym przeznaczeniu. Mimo że na razie stanowiły wystarczającą ochronę, łatwo mogły stać się pułapką.

„Zew”, generał major Sośnicki, przeżył lądowanie w drugiej komorze, ale złamał obie nogi, gdyż na wysokości stu metrów rozerwał mu się spadochron. Generał był teraz pod działaniem środków uśmierzających, ukryty w zagajniku i strzeżony przez czterech żołnierzy, bez których Mirski z trudem mógł się obejść. Oficer polityczny Biełożerski także przeżył i trzymał się blisko generała jak pełen nadziei sęp.

Mirski znał Sośnickiego z kilkutygodniowego szkolenia w Moskwie. Szanował go. General, liczący około pięćdziesięciu pięciu lat, lecz sprawny jak trzydziestolatek, darzył Mirskiego sympatią i bez wątpienia miał coś wspólnego z jego szybkim awansem i przeniesieniem do Moskwy. Nikt wyższy rangą od pułkownika, oprócz „Zewa”, nie dotarł do drugiej komory. Oznaczało to, że Mirski przejmuje dowodzenie. Garabedian przeżył skok, i to dodawało Mirskiemu trochę otuchy. Nie mógł oczekiwać lepszego zastępcy.

Mirski poprowadził trzy pododdziały do pierwszej z betonowych budowli stojącej w odległości kilometra od mostu. Wierzch fundamentu był płaski, miał około trzystu metrów kwadratowych powierzchni i nie zapewniał żadnej ochrony.

Budowla miała dwa metry wysokości, jednaka nawet taka osłona była niewystarczająca. Mirski martwił się, że jeśli przeciwnicy mają lasery lub broń palną o dużym zasięgu, z łatwością mogą powystrzelać jego ludzi, zważywszy na dogodne pozycje strzeleckie, jakie dawało zakrzywienie komory.

Wycelował radio w kierunku południowego otworu wlotowego, szukając sygnału transpondera. Znalazłszy go, przesłał wiadomość do podpułkownika Pogodina znajdującego się w pierwszej komorze i zapytał, ilu ma żołnierzy i jaka jest sytuacja. Pogodin leciał na pokładzie „Czajki” razem z „Newem”.

– Mam czterystu ludzi – odparł Pogodin. – „New” zaginął. Pułkownik Smirdin jest ciężko

ranny. Prawdopodobnie nie przeżyje. Zajęliśmy dwa osiedla i wzięliśmy dziesięciu jeńców. Kontrolujemy windę.

Major Rogów zameldował z czwartej komory, że ma stu żołnierzy, ale nie zajął żadnych celów. Tuneli zażarcie broniono. Rozważał pomysł dotarcia na wyspę na pontonach znalezionych w ośrodku rekreacyjnym. „Lew” nie przeżył kolizji „Chevy’ego” z przeszkodami w otworze wlotowym. Pułkownik Eugen nie żył i nigdzie nie było śladu dowódcy batalionu podpułkownika Nikołajewa.

Cała struktura dowodzenia legła w gruzach.

W Mirskim znowu obudziła się nienawiść, powodując ściskanie w gardle i palenie w żołądku.

– Rozwinąć się w tyralierę i zdobyć cele – rozkazał dowódcom pododdziałów po tej stronie mostu. Sam stanął za betonową ścianą, by pokierować pozostałymi oddziałami.

Grzechotanie pocisków małego kalibru przywitało jego ludzi, kiedy porzucili osłonę i rozbiegli się grupkami liczącymi po dwadzieścia osób w stronę drzew i białych budowli. Nie można było stwierdzić, ile jest laserów. Ciche i niewidzialne promienie zostawiały jedynie ślad w wilgoci lub kurzu w powietrzu. Mirski porozumiał się przez radio z kapitanem dowodzącym oddziałami po drugiej stronie mostu.

– Ogień krzyżowy – powiedział. – Odwróćcie ich uwagę.

Następnie wywołał trzy kolejne pododdziały, kazał im biec w stronę rzeki i zająć pozycje strzeleckie w lesie.

Przez lornetkę widział twarze obrońców za plastikowymi osłonami. Lornetka również miała taką ochronę, lecz jego ludzie nie. Prawie każde działo laserowe można było przestawić na ogień zaporowy z oślepiających promieni. Wiele najróżniejszej broni mogły użyć wojska NATO i...

Obrońcy ułożyli worki z piaskiem równolegle do drogi na moście. Nie wszystkie stanowiska były obsadzone. Gdyby jego oddziałom udało się tam dotrzeć, zanim przeciwnicy dostaną posiłki, mogliby bez trudu zdobyć most.

Ponownie przesunął lornetką po stanowiskach i wydał rozkazy oddziałom po drugiej stronie rzeki. Powietrze rozdarł straszliwy huk. Mirski przygotował się na śmierć. Powinien się spodziewać, że Amerykanie mają w zanadrzu nowoczesną, śmiertcioną broń. Lubili niespodzianki...

Huk rozległ się ponownie, a po nim zabrzmiał wyjątkowo donośny głos. Mówił po rosyjsku z silnym niemieckim akcentem.

– Nie ma potrzeby walczyć. Powtarzamy, nie ma potrzeby walczyć. Możecie zachować obecne pozycje, ale nie posuwajcie się dalej. Musicie nas wysłuchać. Na Ziemi doszło do katastrofalnej w skutkach wojny nuklearnej.

Mirski potrząsnął głową i włączył radio. Nie mógł tracić czasu na słuchanie...

– Mamy dość broni i ludzi, żeby was zniszczyć. Nie ma takiej potrzeby. Wśród nas są wasi rodacy, naukowcy.

Rozmawialiśmy z waszymi kolegami z transportowców. Możecie im przekazać wiadomość; czekają na zewnątrz otworu wlotowego.

Mirski wydał przez radio rozkaz ataku. Następnie polecił pozostałym oddziałom dotrzeć do brzegu. Do tamtego miejsca jego żołnierze mieli dobrą osłonę, a kiedy już znajdą się pod mostem, będą mogli strzelać w amerykańskie umocnienia z worków i nie dopuścić do ich obsadzenia.

– Walka jest bezcelowa. Nasi najwyżsi dowódcy nie żyją albo urwał się z nimi kontakt. Prawdopodobnie na bardzo długo. Możecie zostać na obecnych pozycjach, ale zrezygnujcie z walki albo otworzymy ogień.

Następnie odezwał się drugi głos, zniekształcony, lecz znajomy – mówił podpułkownik Pletniew, dowódca eskadry transportowców. Skapitulował czy nadal znajdował się poza otworem wlotowym? Niemożliwe, żeby go wzięto do niewoli. Raczej zginąłby, niż dał się wziąć żywy.

– Towarzysze. Nasze kraje toczą wojnę na Ziemi. Są ogromne zniszczenia w Związku Radzieckim i w Stanach Zjednoczonych. Nasz plan nie ma już sensu.

Do diabła z nim. Mirski poderwał do ataku swoich ludzi po obu stronach rzeki. Zdobyć cel, a potem następny i dopiero wtedy rozmawiać...

– Pshshwniku Mirski – zasyczało w radiu. – Posiłki wroga przechodzą przez most.

Rozpoczął się ostrzał i Mirski, po raz pierwszy w życiu, usłyszał krzyki umierających ludzi.

Na Kamieniu nie było innego samolotu, przynajmniej o żadnym nie słyszał. Wątpił, by Rosjanie mieli statek, który by mógł poruszać się w taki sposób.

Więc co to było?

Duch. Pośród całego zamieszania zobaczył swojego pierwszego ducha. „Zawsze znajdzie się sposób”. Włączył system śledzący samolotu.

Przez chwilę miał wyraźny sygnał na ekranach, a nawet powiększony przez komputer obraz statku. Był gładki, lśniący i przypominał stępioną strzałę. Widział go prawie przez pięć sekund, zanim radary śledzące zgubiły cel.

Heineman kręcił się na fotelu pilota, słuchając wymiany zdań po rosyjsku, angielsku i niemiecku. Transpondery w otworach wlotowych automatycznie przekazywały sygnały radiowe od komory do komory i w głąb korytarza. Dlaczego ich nie wyłączyli? Może tak zrobili. Może odbierał sygnały od rosyjskich transponderów.

Poleciał plazmolotem w bezpieczne miejsce. Znajdował się teraz na osobliwości tysiąc kilometrów w głębi korytarza. Czuł się beużyteczny. Zaprogramował procesory telekomunikacyjne, by przeszukiwały różne pasma i wylapywały wszelkie komunikaty, zapisując osobno wiadomości, które nadchodziły jednocześnie. Siedział przed półokrągłą konsolą. Docierały do niego nawet obrazy z otworu wlotowego.

Zanim sygnał zanikł, Heineman był świadkiem ognia wierzchołkowego ogarniającego Ziemię.

Tylko przypadkiem spojrzął przez ramię i dostrzegł poruszający się biały błysk. Przesunął się gładko nad nim. Cokolwiek to było, wydawało się lecieć lotem spiralnym wokół rury plazmowej, w warstwie plazmy. Pozostawiło po sobie widoczny ślad w postaci cienia pośród blasku.

Patricia czuła w sobie lodowate zimno. Wyglądała przez okno statku Olmy’ego, obserwując monotony szary krajobraz przesuwany się w dole. Walczyły w niej dwie osobowości: jedna, znacznie silniejsza, zabraniała jej wszelkiego ruchu lub reakcji. Druga była normalna, zafascynowana sytuacją, a nawet lekko rozbawiona. Gdyby się odezwała, ta druga Patricia spróbowałaby cieszyć się przygodą. Ale pierwsza zdominowała tamtą i nie pozwoliła się jej odezwać. Nawet nie mogła poruszyć głową. Tylko wpatrywała się w uciekające w tył ściany korytarza.

– Jest pani głodna albo spragniona? – zatroszczył się Olmy. Nie odpowiedziała. – Chce pani spać?

Żadnej reakcji.

– Podróż trochę potrwa. Kilka dni. Axis City leży milion kilometrów od tego miejsca Drogi... korytarza. Proszę nam powiedzieć, gdyby pani czegoś potrzebowała...

Obejrzał się na franta, ale tamten wywrócił oczami na znak, że nic nie ma do zaproponowania.

Patricia czuła, że się rozkleja; cała ambicja i nadzieja nie mogły powstrzymać nieuniknionego załamania. Ramiona zaczęły jej drżeć. Spojrzała na Olmy’ego i szybko odwróciła wzrok. Z oczu trysnęły łzy. Powoli uniosła ręce do twarzy. Po chwili były całe mokre.

„Wszystko teraz ginie, wszystko się rozpada...”

Oddychała ciężko.

– Proszę – szepnęła.

„Oni nie żyją. Naprawdę odeszli. Nie uratowałaś ich”.

– Proszę.

– Panno Vasquez... – Olmy dotknął jej, ale zaraz cofnął rękę, kiedy Patricia się wzdrygnęła.

– O Jezusie, Mario. – Całe ciało trzęsło się od szlochu, który wyrwał się jej z piersi i przesywał czerwienią ciemność za powiekami. Objęła się ramionami i kołysała na koi, z wygiętymi w łuk plecami i zaciśniętymi zębami.

Przyciągnęła kolana do piersi i zwinęła się w kłębek. „Czy to jest histeria?”

To jest smutek.

Poczucie straty. Świadomość. To nie jest ośmieszanie siebie.

Olmy nie próbował jej uspokoić. Patrzył, jak kobieta płacze za światem utraconym – dla jego rasy już od trzynastu wieków. Starożytna kobieta, starożytna agonია.

Patricia Louisa Vasquez żałowała miliardów ofiar i życia, którego on nie znał.

– To otwarta rana – powiedział frant, podchodząc do Olmy’ego i kucając obok niego. – Chciałbym pomóc, ale nie potrafię.

– Nikt nie może pomóc – odparł Olmy. Śmierć naznaczyła bliznami następne pokolenia. Zrozumiał to, kiedy patrzył na Patricię, próbując dostrzec różnice. W wyniku Śmierci powstał Nexus, a do władzy doszli naderyci... Ale ile ich uprzedzeń, ile zaślepienia i uporu było odległym echem jej bólu?

– Martwi mnie, że nie można jej pomóc – wyznał frant.

Gerhardt przyniósł zwój map z tymczasowej kwatery głównej.

– Kontrolują południowy kraniec pierwszej komory, łącznie z osiedlami naukowców, oraz windy przy południowym otworze wlotowym. Walczą w drugiej komorze, ale wygląda na to, że sytuacja jest patowa. Berenson przysłał połowę swoich wojsk z czwartej komory, jak tylko ogłoszono alarm. Przeszli przez most pod ciężkim ogniem. Rosjanie nie próbowali niczego zdobyć w trzeciej komorze, a w czwartej są rozproszeni i mało skuteczni. – Gerhardt rozłożył mapę. – Nie mamy siły, żeby ich pokonać, a oni, by zająć więcej terenu. I do tej pory nie odpowiedzieli na nasze próby nawiązania rokowań.

– Mamy jeszcze ludzi w dokach? – spytał Lanier.

– Tak, i mogą się tam utrzymać przez całe miesiące. Nie rozładowaliśmy ostatniej dostawy żywności i sprzętu. Czwarta komora jest samowystarczalna, a oddziały Berensona mają tam wyraźną przewagę, więc wygląda na to, że problemy będą tylko w pierwszej i drugiej komorze. Nasi żołnierze mają zapasów na około dwa tygodnie. Jeśli nie dokonamy dla nich zrzutów, a nad tym się teraz zastanawiamy, będzie źle.

– A co z transportowcami?

– Jeszcze ich nie wpuściliśmy. Podejrzewamy, że jeden z nich ma na pokładzie ciężki sprzęt, który ma być zrzucony w drugiej komorze. Nie dopuścimy, żeby przedarły się przez barykadę. Nie wydają się uszczęśliwieni, ale spokojnie mogą poczekać jeszcze parę dni.

– Zaproponowali poddanie się? Gerhardt potrząsnął głową.

– Nie. Pletniew wygłosił małą przemowę, ale jeszcze nie zamierza wycofać statków. Zaproponował negocjacje, żeby skończyć z działaniami wojennymi. Załogi transportowców chcą przyłączyć się do kolegów. Wiedzą, że nie mogą wrócić do domu. Podejrzewam również, że wiedzą, iż ich oddziały zostały zdziesiątkowane w otworze wlotowym.

– To był desperacki manewr...

– Nie powiódł się – powiedział Gerhardt ponuro. – Postawił nas jednak w niedogodnej sytuacji. Jesteśmy uwięzieni na Kamieniu. Nie znaczy to, żebyśmy szczególnie pragnęli się stąd wydostać i gdzieś polecieć, nawet gdybyśmy mogli. Martwi mnie Specnaz. Ci mordercy czający się teraz w drugiej komorze za kilka dni znajdą drogę do nas. Nie mamy dość ludzi, by nie wpuścić ich do trzeciej albo czwartej komory. To nieprzyjemni osobnicy, Garry. Pełni poświęcenia i dobrze wyszkoleni. Im dłużej czekamy, tym gorzej dla nas.

– Więc w drugiej komorze znajdujemy się w impasie? – zapytał Lanier, rzucając nerwowe spojrzenie na mapę.

– Wszędzie. Nikt nie zamierza ustąpić. Zwiększy się liczba ofiar.

– Sądzisz, że o tym wiedzą? Że sami przed sobą się do tego przyznają?

– Możemy być pewni, że ich przywódcy nie są głupcami, zważywszy na całą drogę, jaką przeszli.

– A co z niezadowolonymi?

– Wątpię, czy wśród nich są jacyś niezadowoleni, podobnie jak u nas.

– Ile czasu upłynie, zanim posłuchają głosu rozsądku?

– Do diabła, Garry, może już słuchają. Tylko nie dają żadnego znaku. Wystawiamy głowy, oni strzelają, i na odwrót.

Sierżant stał przed zwierzchnikami ze zmartwioną miną. Twarz miał całą w zadrapaniach od czołgania się przez poszycie lasu. Zasalutował i skinął głową Mirskiemu.

– Pułkownik, znaleźli nasze transpondery w otworach wlotowych. Nie możemy połączyć się z innymi komorami.

– Czy to znaczy, że chcą złożyć broń i wpuścić wilki do zagrody owiec? – skwitował Mirski.

Garabedian przystawił do oczu lornetkę. Przyjrzał się lasom i polom ciągnącym się między nimi a oddalonym o kilometr mostem. Następnie spojrzął na podziurawiony pociskami i popalony laserem, lecz poza tym cały most i oddał lornetkę.

– Pawle – powiedział – powinniśmy wysadzić most, nie sadzisz?

Mirski spojrzął na swojego zastępcę z dezaprobatą.

– A jak przejdziemy na drugą stronę? Mamy maszerować pięćdziesiąt kilometrów albo więcej do następnego mostu, czy może przepłynąć rzekę?

– Oni również nie mogliby się przeprawić ani otrzymać posiłków...

– Tak, ale mogą je dostać z pierwszej komory. Nie mamy pojęcia, ilu ich tam jest.

– Jesteśmy w pułapce.

– Nie ruszymy mostu – zdecydował Mirski. – Poza tym nie możemy sobie pozwolić na desperackie ruchy i jeszcze większe straty. Albo wystawić się snajperom na strzał, kiedy będziemy przepływać rzekę!

– To był tylko pomysł – bronił się Garabedian.

– Nie brakuje mi pomysłów, Wiktorze. Brakuje mi dział laserowych i artylerii. Możemy przyjąć, że „Żyguli” z naszą artylerią i zapasami nie przedarł się przez barykadę i już tego nie dokona, gdyż nasi przeciwnicy najwyraźniej mocno obsadzili otwory wlotowe, skoro znaleźli transpondery. Możemy założyć, że nasz człowiek został schwytany, a rosyjscy naukowcy nam nie pomogą, czy to z wyboru, czy też dlatego, że ich internowano. Możemy także przypuszczać, że pilotom transportowców i załogom nie podoba się myśl o czekaniu na zewnątrz przez całe tygodnie, podczas gdy my tutaj dajemy się zabijać.

– O co ci naprawdę chodzi, Pawle? – Garabedian uśmiechnął się. Z cofniętą szczęką, zawsze przypominał Mirskiemu jesiotra.

– Nie dostaniemy wsparcia.

– Wierzysz, że na Ziemi była wojna i że to już koniec? Mirski potrząsnął głową.

– Sądzę, że daliśmy im w kość na orbicie. Musiało być stąd niezłe widowisko...

– Pawle, z pewnością potrafiliby dostrzec różnicę między wojną orbitalną a holokaustem.

Mirski zacisnął szczęki i z uporem potrząsnął głową. – Jesteśmy tu po to, by walczyć i osiągnąć cel.

– Zapytaj oficerów politycznych. Jesteśmy tu po to, by zaprowadzić socjalizm i zadbać o przyszłość naszego kraju.

– Gówno – rzucił Mirski, zaskoczony swoją gwałtownością. Nienawidził oficerów politycznych. Nienawidził ich wszystkich, gdziekolwiek służył. Oficer polityczny kompanii, major Biełozerski, jak zwykle był na tyłach, wydając rozkazy często sprzeczne z rozkazami Mirskiego. – No dobrze, spalili Ziemię. Więc co mamy zrobić, porzucić walkę i...co? Wrócić na zgliszcza? Jeśli to wszystko prawda, tym razem to nie była bójka na szkolnym boisku między bohaterem i tchórzem znęcającym się nad słabszymi, lecz jatki na półkuli pomocnej.

– Mówią, że to właśnie się wydarzyło. Pletniew potwierdza. Trudno się spodziewać, że zniszczymy im platformy orbitalne, a oni rzucą się na ziemię i będą błagać o litość.

– Są zepsuci – stwierdził Mirski. – Słabi i tchórzliwi.

– Pawle, co z twoim poczuciem rzeczywistości? Właśnie ty powinieneś stawić czoło faktom i ich implikacjom. Nie należy nie doceniać wroga. Czy słabi, dekadencycy ludzie wyprzedziliby nas

w prawie każdej dziedzinie?

– Och, zamknij się i pozwól mi się wygadać – powiedział Mirski, obejmując dłońmi głowę.

Spojrzał na sierżanta. – Wynoś się stąd – rzucił ze znużeniem. – Przynieś mi dobre wieści albo żadne.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Szkoda, że nie mamy batalionu karnego, żeby go wysłać w bój – stwierdził Garabedian. –

Tak właśnie wygrywaliśmy w przeszłości wojny.

– Lepiej, żeby Biełożerski tego nie słyszał. Mam z nim dość kłopotów. I z tobą też.

Zostawimy most w spokoju – oznajmił Mirski. – To ostateczna decyzja. Ruszamy za godzinę.

Nie można było sprzeczać się z Mirskim, kiedy mówił takim tonem. Garabedian zbladł lekko.

Wyciągnął z kieszeni gumę do żucia i włożył do ust.

Radio zatrzeszczało cicho. Mirski przełączył na odbiór.

– Towarzyszu pułkowniku, tu Biełożerski. „Zew” chce rozmawiać z panem osobiście.

Mirski zaklął i odparł, że zaraz się zjawi.

– Chyba kolejne kłopoty – powiedział do Garabediana.

Dwadzieścia sześć godzin pata. Takie były wyniki zwiadu. Porucznik, który go przeprowadził, mężczyzna o chudej twarzy, z głęboko osadzonymi oczami, przekazał je Gerhardtowi cedząc słowa.

– Przyjrzeliliśmy się wszystkim stanowiskom i policzyliśmy ich z pewnej odległości – z otworów wlotowych i łuku. Mają około sześciuset zdolnych do walki ludzi, może pięćdziesięciu lub stu więcej, nie jesteśmy pewni. Stracili wielu starszych oficerów, mają rannych – generał oraz kilku pułkowników. Zostaje jeden pułkownik w drugiej komorze i dwóch podpułkowników oraz pułkownik w pierwszej. Mogą być jeszcze inni generałowie. Słyszeliśmy, jak mówią przez radio o „Zewie”, „Newie” i „Lwie”. Przypuszczamy, że chodzi o trzech generałów.

– Możecie ich zidentyfikować?

– Nie, sir. Naprawdę nie noszą identyfikatorów. Sadzimy jednak, że ktoś z ekipy rosyjskiej mógłby ich rozpoznać. Żołnierze są bardzo dobrze wyszkoleni, mają doświadczenie kosmonautyczne, więc musieli się zetknąć z jakimiś specjalistami od kosmosu.

– Macie fotografie tych oficerów? – spytał Gerhardt.

– Tak, sir, większości. Całkiem wyraźne. Parę dobrych zdjęć z profilu.

– Pokaż je rosyjskim naukowcom i zapytaj, czy potrafią kogoś rozpoznać. Garry, chyba powinieneś wystąpić w roli mediatora. Porozmawiamy z Pritikinem z zespołu rosyjskiego. To porządny facet. Wpuścimy jeden z transportowców do doku, ten z Pletniewem na pokładzie. Jeśli on albo Pritikin połączą się przez radio ze starszymi oficerami i jeśli uda się im zorganizować spotkanie, może dojdziemy do porozumienia.

– Jeśli mam być pośrednikiem, powinienem znać rosyjski – zauważył Lanier.

– Jeden z naszych ci pomoże. Rinskaya albo też niemiecki porucznik, Rudolph czy jakośtam Jaeger.

– Rinskaya jest dobry, ale może nie dość, jeśli chodzi o dyplomatyczne niuanse. Jaeger mógłby się przydać. Ale nie podejmę się tego zadania, jeśli nie będę mógł rozmawiać z Rosjanami bezpośrednio. Mogę pojechać pociągiem do trzeciej komory i nauczyć się języka, w czasie gdy ty zorganizujesz spotkanie z Pletniewem.

– Nie mamy tygodni, Garry. Lanier potrząsnął głową.

– To nie potrwa tak długo. Może parę godzin. – Wziął głęboki oddech i pochylił się do przodu. – Widzisz jakiś powód, by nie można położyć kresu tym wszystkim tajemnicom?

Gerhardt myślał przez chwilę.

- Szczerze? Nie mam zdania.
- Nie chciałbyś wiedzieć, o co tutaj chodzi?
- Oczywiście. Tylko nie jestem pewien, kto powinien odwołać zakaz.
- Kirchnerowi powiedziano, że jesteśmy samodzielni, jeśli chodzi o strategię. Czy nie możemy przyjąć, że również politycznie?
- Jesteśmy panami samych siebie, to masz na myśli?
- Właśnie – potwierdził Lanier.
- Nie mam nawet ochoty tam zaglądać.
- Cóż, wezmę na siebie odpowiedzialność. Biblioteki będą od tej pory otwarte. Zgromadzone w nich informacje są dostępne dla wszystkich.
- Nawet dla Rosjan?
- Nawet dla Rosjan, jeśli zechcą z nami rozmawiać – powiedział Lanier. – Nauczę się rosyjskiego, ty ustalisz procedurę negocjacji i proponujemy im udział we wszystkim.
- Kirchner nie będzie chciał wpuścić drani do doku. I z pewnością nie zgodzi się na ustępstwa.
- Kto dowodzi obroną wewnętrzną? – spytał Lanier sarkastycznie. – Zresztą czy mamy inny wybór?

Patricia obudziła się i stwierdziła, że kabina jest pogrążona w półmroku. Odwróciła się do okna. Ponad dwadzieścia kilometrów w dół widać było ciemną i pokrytą bliznami powierzchnię korytarza. Wielkie szramy przecinały cętkowaną przestrzeń, a ich brzegi lekko lśniły.

Rozejrzała się po kabinie. Jej porywacz leżał otoczony siecią migających niebieskich i zielonych światełek. Między światełkami przelatywały iskry, a samo ciało spowijała przezroczysta zielonkawa mgiełka.

Dzięki grawitacji w kabinie można się było zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Patricia zsunęła się z koi i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć świetlnej sieci i przekonać się, czy jest prawdziwa. Powstrzymał ją głos.

– Proszę nie przeszkadzać. – Olmy stał w przedniej części kabiny. Patricia spojrzała na postać na łóżku, a potem na Olmy'ego, który się do niej odezwał. – Jestem osobowością cząstkową, duchem. Olmy odpoczywa, poddaje się medytacji talsit. Jeśli ma pani do niego jakąś sprawę, mogę go zastąpić.

- Kim jesteś? – spytała Patricia.
- Duchem. Gdy on odpoczywa, ja spełniam wszelkie jego obowiązki, które nie wymagają fizycznego działania. Jestem projekcją.
- O – zmarszczyła się. – Co on... robi? Co się z nim dzieje?
- Podczas medytacji jest się otoczonym przez nośniki danych talsit, które oczyszczają ciało i umysł. Informują, reorganizują, wyostrzają funkcje umysłowe. To rodzaj snu.
- Jesteś tylko obrazem?
- Nie. Jestem z nim połączony procesem myślowym, ale w sposób, który nie zakłóca mu odpoczynku.

– Gdzie jest... – już miała powiedzieć „zjawa”. Obejrzała się i zobaczyła zwiniętą na koi płaskogłową, brązową istotę, która obserwowała ją spokojnym, nieruchomym spojrzeniem.

- Cześć – odezwała się istota melodyjnie. Patricia przełknęła ślinę i skinęła głową.
- Jak masz na imię?
- Nie mam imienia. Jestem frant.
- Kto pilotuje?

– Automatyczny pilot. Z pewnością ludzie też mają takie statki – powiedział frant tonem upomnienia.

– Tak. Oczywiście. – Odwróciła się do ducha. – Dlaczego korytarz tak wygląda?

– Wieki temu toczyła się tutaj wojna. Materiał, którym pokryto Drogę... korytarz, uległ zniszczeniom. W niektórych miejscach widać samą Drogę.

– Wojna? – Patricia zerknęła w dół na cętkowany krajobraz.

– Drogę zajęli jartowie. Przybyli bramami znajdującymi się setki tysięcy kilometrów stąd. Bramy są od tamtego czasu zamknięte i ściśle strzeżone. Kiedy mieszkańcy Axis City próbowali odzyskać kontrolę nad Drogą, jartowie stawili opór. Usunięto ich, ale ten odcinek na całym dystansie do Thistledown jest teraz opuszczony.

– Aha. – Położyła się na koi i zapatrzyła na migające wokół Olmy'ego światełka. Była wyczerpana. Pod powiekami czuła piasek, drapało ją w gardle, kłuło w piersiach, a mięśnie rąk i nóg miała napięte i obolałe. – Płakałam – powiedziała.

– Przespałaś ostatnie dwanaście godzin. Nie przeszkadzaliśmy ci.

– Dziękuję – odparła. – Lecimy do Axis City?

– Tak – potwierdził frant.

– Co ze mną zrobicie?

– Otoczymy szacunkiem – odpowiedział duch Olmy'ego. – Pochodzisz z naszej przeszłości i jesteś bardzo mądra.

– Nie podoba mi się to... zamieszanie – oświadczyła Patricia cicho. – Chcę wrócić i pomóc przyjaciółom. Potrzebują mnie.

– Nie jesteś tam potrzebna, poza tym doszliśmy do wniosku, że to niebezpieczne.

– Mimo to chcę wrócić. Chcę, byście wiedzieli, że zabieracie mnie wbrew mojej woli.

– Przykro nam. Nie będziesz źle traktowana. Patricia stwierdziła, że sprzecznianie się z duchem jest bezcelowe. Oplotła się ramionami i obserwowała poczerniały i zryty krajobraz daleko w dole. Trudno jej było teraz myśleć o przeszłości, o tym, co się wydarzyło, zanim wsiadła do statku. Naprawdę chciała wrócić? Czy istotnie było tam coś ważnego dla niej?

Tak. Lanier. Należała do jego zespołu. Oczekiwał od niej pomocy. I Paul, rodzina. „Nie żyją”. Namacała list schowany w kieszeni i sięgnęła po torbę zawierającą multimetr, tabliczkę i procesor. Były nadal sprawne.

Sośnicki umierał. Z pięciu sanitariuszy, którzy towarzyszyli batalionowi, dwóm udało się wyładować w drugiej komorze. Nie zamierzali ukrywać prawdy przed generałem. Jeden z nich, niski, łysiejący, drobny mężczyzna z posiniaczoną twarzą wziął Mirskiego na bok, kiedy ten zjawił się w zagajniku.

– Generał ma wewnętrzne obrażenia, między innymi pękniętą śledzionę. Nie mamy krwi, plazmy ani warunków do przeprowadzenia operacji. Umrze w ciągu godziny, może dwóch... jest silny, ale nie jest supermanem.

Sośnicki leżał na legowisku zrobionym z brezentu i gałęzi.

Jego twarz była blada i wilgotna. Co jakiś czas otwierał oczy. Mirski uklęknął obok niego, a Sośnicki chwycił go za rękę. Uścisk generała okazał się zadziwiająco mocny.

– Mam strzaskane kości, pułkowniku – odezwał się. – Domyślam się, że ani „Zew”, ani Lew” nie mieli szczęścia. – Skrzywił się albo uśmiechnął, a potem zakaszłał. – Zamierzam zrobić panu wątpliwy zaszczyt, pułkowniku Mirski. Potrzebujemy dowódcy dywizji. Drugi pozostały przy życiu pułkownik to Wielogorski, a nie chcę, żeby naszymi oddziałami dowodził oficer polityczny. Daję panu przyspieszony awans, którego na Ziemi mogą nie uznać. Jednak jeśli prawdą jest to, co

słyszałem, nikt się tym nie zainteresuje. Mam świadków. Jeden z nich to Biełożerski. Zanim umrę, potwierdzę awans przez radio, by dowiedzieli się o nim pozostali dowódcy batalionów. Muszę działać szybko. Jest pan teraz generałem porucznikiem. Daję panu moje insygnia. – Z twarzą stężoną z bólu podał Mirskiemu gwiazdki. – Mogą być kłopoty z innymi oficerami. Ale takie jest moje życzenie. Ufam panu, generale Mirski. Jeśli to, co mówi nasz dowódca eskadry, jest prawdą – a wydaje się całkiem prawdopodobne – musi pan negocjować. Może jesteśmy ostatnimi Rosjanami... Wszyscy inni spłonęli. – Zakaszłał znowu. – Na razie niech pan utrzyma zdobyty teren. Ale kim ja jestem, żebym mówił, co ma pan robić? Teraz pan jest generałem. Proszę powiedzieć Biełożerskiemu, żeby przyniósł radio.

Biełożerski zbliżył się, obrzucając go gniewnym spojrzeniem, w którym kryło się coś jeszcze – jakby błaganie. „Jeszcze nie wie, jak mnie traktować”, pomyślał Mirski. Generał ogłosił decyzję pozostałym przy życiu członkom sztabu. Biełożerski delikatnie poinformował go, że transpondery ukryte w otworach wlotowych nie działają, ale generał uparł się, żeby mimo wszystko przesłać wiadomość.

– Amerykanie wiedzą teraz, że mamy nowego dowódcę – powiedział. Parę minut później zapadł w śpiączkę.

Minęło trochę czasu, zanim do Mirskiego dotarło, co się stało. Uznał, że najlepiej będzie postępować jak do tej pory, więc wrócił na stanowisko przy moście i naradził się z Garabedianem.

Pomimo że minął wyznaczony termin, Mirski nie wydał rozkazu ataku. Wiedział, że równałoby się to samobójstwu. Wcześniej miał złudną nadzieję, że transportowce nagle się przedrą i dokonają zrzutów, ale nadzieja rozwiąła się, a wraz z nią ambicja kontynuowania walki.

Generał major Sośnicki miał oczywiście rację.

Od samego początku była to niezwykle ryzykowna gra. Jeśli wróg powiedział prawdę – aż pewnością przynajmniej dowódca eskadry Pletniew nie okłamywałby własnych ludzi, by uratować skórę – zwycięstwo jest niemożliwe.

Garabedian podszedł do niego z racjami żywnościowymi. Mirski odprawił go machnięciem ręki. – Musimy jeść – powiedział Garabedian – towarzyszu generale.

Mirski zmarszczył czoło.

– Dlaczego? Po co? Będą nas tutaj trzymać, dopóki nie umrzemy z głodu. Jesteśmy w potrzasku.

Garabedian wzruszył ramionami.

– W porządku.

Mirski odwrócił się od swojego byłego zastępcy, ale wyciągnął rękę.

– Daj mi to, draniu. Nie chcę, żebyś sam zjadł. Garabedian uśmiechnął się szeroko i podał mu tubkę.

– To obrzydlistwo – powiedział Mirski, wyciskając pastę rybne do ust. – Smakuje jak gówno.

– W moim rodzinnym mieście gówno nazywamy kielbasą i walczymy o nie – stwierdził Garabedian. – Dlaczego jesteś taki przygnębiony?

– Lubiłem Sośnickiego – wyznał Mirski. – A on mianował mnie generałem.

Lanier stał w jasno oświetlonej bibliotece, krzywiąc się. Od miesiący nie zasiadł przed chromowanym pulpitem. I nawet teraz nie miał na to ochoty. Doświadczenie nie było fizycznie nieprzyjemne, ale miał wrażenie, że wszystkie jego obecne kłopoty biorą się z tego miejsca.

Trzej żołnierze piechoty morskiej z laserami i uzi stali niepewnie za nim. Gerhardt uparł się, żeby towarzyszyli Lanierowi na wypadek, gdyby jacyś członkowie Specnazu dotarli tak daleko.

Szedł między rzędami. Ominął stanowisko, które wcześniej nie spodobało się Patricii. Wreszcie zdecydował się, usiadł i włączył konsolę. Przed nim wyświetliły się pytania. Biblioteczny komputer nadal zwracał się do niego czystą angielszczyzną z dwudziestego pierwszego wieku. Może go pamiętał, może nawet wiedział, kim jest i po co tutaj przyszedł.

– Muszę się nauczyć rosyjskiego z dwudziestego pierwszego wieku – oznajmił. – Z czasów przed Śmiercią. Jak długo to potrwa?

– Chodzi o bierną, czynną czy płynną znajomość języka, a może o wszystkie? – zapytał głos.

– Muszę jak najszybciej nauczyć się mówić językiem potocznym. Innych rzeczy także, jeśli to nie zabierze dużo więcej czasu.

– Możesz się nauczyć posługiwania potocznym i technicznym rosyjskim w ciągu dwóch godzin. Na naukę czytania i tłumaczenia potrzebna będzie dodatkowa godzina.

– W takim razie wszystko – zdecydował.

– Bardzo dobrze. Rozluźnij się, jesteś trochę spięty. Zaczniemy od cyrylicy...

„Jestem zrelaksowany”, uświadomił sobie z pewnym zdziwieniem. Z przyjemnością chłonał wiedzę. „Podoba mi się to”.

Nigdy nie miał zdolności do języków. Mimo to po trzech godzinach mówił po rosyjsku jak rodowity moskwianin.

Muskularny, łysiejący, czerwony na twarzy dowódca eskadry, podpułkownik Siergiej Aleksiejewicz Pletniew i jego czteroosobowa załoga wyszli przez rufowy luk transportowca i zostali zaprowadzeni do służby powietrznej pierwszego doku. Zgodnie z umową wynegocjowaną kilka godzin wcześniej, pozostałe transportowce zostały na swoich pozycjach na zewnątrz otworu wlotowego.

Rosjanie zdjęli skafandry i eskortowani przez siedmiu uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej ruszyli przez pomost roboczy do centrum łączności. Przywitał ich Kirchner, którego słowa tłumaczył porucznik Jaeger, i wyjaśnił procedurę.

– Wasz starszy oficer przebywa w drugiej komorze. Generał major Sos... Sos...

– Sośnicki – podpowiedział Jaeger.

– Sośnicki awansował oficera o nazwisku Mirski do stopnia generała porucznika. To oznacza, że musimy negocjować sprawę przejścia przez pierwszą komorę, którą kontrolują wasze oddziały. My możemy wam jedynie zaproponować lot przez oś, a nie sądzę, żeby komuś spodobała się ta myśl.

Pletniew wysłuchał porucznika Jaegera i energicznie skinął głową.

– Porozmawiam z nimi – oznajmił. – Tym razem bezpośrednio.

– Nie ma pan nad nimi władzy. Mogą uznać pana za zdrajcę.

– Spróbuję – powiedział Pletniew. – Pójdę sam albo z moją załogą i postaram się ich przekonać.

– Nie wydaje się, żeby byli skłonni do ustępstw. Przekazywano im pańskie słowa, a mimo to kontynuowali walkę.

– I co z tego? – wybuchnął Pletniew, czerwieniejąc jeszcze bardziej. – Spróbujemy jeszcze

raz.

– My spróbujemy – zgodził się Kirchner. – Przede wszystkim pozwolimy wam połączyć się z pierwszą komorą. Proszę im opowiedzieć wszystko – o naszej sytuacji, o planach, o tym, co się stało na Ziemi.

– Nie jestem idiotą. Właśnie to im powiem. – Rzucił Kirchnerowi piorunujące spojrzenie, ale podał mu rękę. – Pokonaliście nas – stwierdził.

Kirchner zawahał się, lecz mocno potrząsnął wyciągniętą dłoń.

– Wasi ludzie walczyli dzielnie.

– Proszę mi wskazać drogę.

Pickney zaprowadziła go do stanowiska łączności. Wpięła mu w klapę bezprzewodowy mikrofon i dostroiła sprzęt do częstotliwości używanej przez Rosjan.

Pletniew połączył się z podpułkownikiem Pogodinem z pierwszej komory. Niemiec tłumaczył Kirchnerowi większą część szybkiej wymiany zdań.

– Nie mogliście mnie zapomnieć, Pogodin. Byłem waszym instruktorem w Nowosybirsku.

– Tak, rzeczywiście, mówicie jak Pletniew...

– Nie obawiajcie się, Pogodin! Walka się skończyła. Muszę przejść przez wasze terytorium, żeby porozmawiać z pułkownikiem, obecnie generałem porucznikiem Mirskim. Przepuście mnie... – Spojrzał na Kirchnera.

– Pana, jednego członka załogi i eskortę złożoną z czterech żołnierzy – odpowiedział Kirchner.

– Dwóch naszych i czterech z obstawy? Przez chwilę nie było odpowiedzi.

– Nie mamy łączności z innymi komorami. Pułkownik Raksakow nie żyje. Najstarszy stopniem jest teraz pułkownik Wielogorski.

– Więc razem podejmijcie decyzję, Pogodin. Czekali kilka minut na odpowiedź Wielogorskiego.

– Możecie przejść nie uzbrojeni. Będę chciał z panem porozmawiać osobiście.

Pletniew rzucił Kirchnerowi pytające spojrzenie.

– Nie uzbrojeni? Zgadzą się? Kirchner skinął głową.

– Więc przyjedziemy...

– Windą do osiedla zespołu naukowego – poinstruował Kirchner, a Niemiec przetłumaczył. – Będziemy potrzebowali ciężarówkę, żeby przejechać przez komorę.

Pletniew przekazał warunki. Wielogorski dodał, że jeden z jego ludzi musi im towarzyszyć do drugiej komory. Po chwili zastanowienia Kirchner wyraził zgodę. Następnie porozumiał się z Gerhardtem, który zatwierdził plan.

– Lanier i dwaj moi ludzie będą czekali po przeciwnej stronie mostu, jak tylko dojdziemy do porozumienia z dowódcą z drugiej komory – powiedział Gerhardt. – Lanier nauczył się rosyjskiego. Uważam, że powinien z nim pójść również ktoś z rosyjskiego zespołu naukowców.

Pletniew mruknął coś, czego Niemiec nie mógł zrozumieć. Następnie znośnym angielskim zapytał: – Czy jest tu łazienka? Od tygodnia nie zdejmowałem skafandra.

Biełożerski przykucnął obok Mirskiego, słuchając nadawanego przez głośnik we wrogim obozie rozkazu o przerwaniu ognia.

– To może być podstęp – stwierdził Biełożerski, potrząsając głową. – Nie wiemy, z czym przyjdą.

Mirski nie zareagował. Słuchał uważnie, a następnie za pośrednictwem Garabediana przekazał swojemu batalionowi rozkaz zachowania czujności.

– Pletniew będzie tutaj za godzinę – powiedział, biorąc papierosa od Garabediana. – Wypytamy go o wszystko. Jeśli to, co mówi, rzeczywiście jest prawdą, będziemy negocjować.

– Nie można odstępować od zasad – oświadczył Biełożerski surowo.

– Kto mówi o odstępie? – odparował Mirski. Nie lubił małego służbisty, jego zaciśniętych ust i nerwowych gestów.

– Jeśli Pletniew mówi prawdę – kontynuował Biełożerski – musimy stworzyć tutaj, na Ziemiaku, twierdzą rewolucji.

– Oni mówią na niego Kamień – wtrącił się Garabedian.

– Na Ziemiaku – powtórzył Biełożerski, piorunując go wzrokiem.

– Nikt się z wami nie spiera – stwierdził Mirski z przesadnym spokojem.

– Musimy być równymi partnerami.

– Oni mają wszystkie kobiety – zauważył Mirski. Biełożerski przyjrzał mu się badawczo, jakby Mirski powiedział kiepski żart.

– Tak? Nie rozumiem, towarzyszu generale.

– Jeśli Pletniew ma rację, nie możemy wrócić do domu – wyjaśnił Mirski. – Chcąc przekazywać ideały rewolucji następnym pokoleniom, musimy mieć kobiety. To wydaje się oczywiste.

Biełożerski nic nie odpowiedział.

– Może w naszym zespole naukowym... – zasugerował Garabedian.

– Większość to mężczyźni – zauważył Mirski. – Pamiętacie odprawy? Bardzo prestiżowy przydział, Ziemiak. Wyłącznie starsi akademicy i ich asystenci. Może z piętnaście kobiet. Na siedem tysięcy żołnierzy. – Roześmiał się i zdusił niedopałek papierosa o betonowy fundament.

Biełożerski siedział oparty o ścianę i wpatrywał się w swoje złożone dłonie spoczywające na podciągniętych w górę kolanach.

– Nie wszystko w Rosji uległo zniszczeniu – mruknął. – Są schrony. Z pewnością o nich słyszeliście, towarzyszu generale.

– Niewiele wyjawia się tym, którzy nie powinni wiedzieć – odparł Mirski. – Plotki to nie wszystko.

– Ale w Podlipkach są ukryte hangary, helikoptery i samoloty czekające na sekretarza partii, ministra obrony...

– Może – skwitował Mirski dla świętego spokoju.

– Skomunikują się z nami. – Biełożerski spojrzał w górę roziskrzonym wzrokiem. – Musimy mieć nasz własny zewnętrzny kanał łączności. Jeśli będziemy negocjowali, musimy zażądać...

– Już o tym myślałem – przerwał mu Mirski. – A teraz zamilknijcie. Mam sporo rzeczy do przemyślenia przed przybyciem Pletniewa.

Ciężarówka minęła linie okopów i ogrodzenie z drutu kolczastego zabranego z osiedla naukowców. Obserwowali ją Rosjanie w niestosownych arktycznych strojach maskujących. Niektórzy nadal nosili hełmy kosmonautyczne. Same skafandry dawno zdjęli. Zaścielały teraz strefy zrzutu w pierwszej komorze razem ze spadochronami i ciałami pechowych żołnierzy.

– Nigdy nie widziałem takiej akcji – stwierdził Pletniew. – Nigdy.

Major Annenkowski, przedstawiciel Rosjan z pierwszej komory, wyglądał ze smutkiem przez okno pojazdu i przeczesywał rękami rude włosy.

– Jestem wdzięczny losowi, że żyję – powiedział. Porucznik Rudolph Jaeger przetłumaczył to po cichu dwóm żołnierzom z eskorty. Ciężarówka przejechała przez punkt kontrolny obok zdemolowanej budki wartowniczej i skierowała się na północ.

Lanier czekający na moście spojrzął na zegarek: czternasta. Żołnierze skinęli sobie głowami i zgodnie z umową ruszyli przed siebie pieszo.

– Mam tylko nadzieję, że ci przekłeci Rosjanie dotrzymają słowa – powiedział młody sierżant, oglądając się na Aleksandrię.

Za pośrednictwem kamer umieszczonych w otworze wlotowym pierwszej komory Kirchner obserwował jazdę ciężarówki. Zaledwie trzydzieści godzin wcześniej te same ekrany przekazywały obrazy śmierci Ziemi. Link podskoczyła w fotelu i szybko dostroiła aparaturę – Nadlatuje TPO – przekazał jeden z żołnierzy czuwających we wgłębieniu na powierzchni asteroidu. – Nie rosyjski. Jeden z naszych. Link wcisnęła kolejno kilka guzików. – Katanie Kirchner, mamy TPO ze Stacji Szesnastej. Jest uszkodzony i nie może lecieć na Księżyc... Sir, mówią, że mają Judith Hoffman na pokładzie. Kirchner obrócił się w fotelu.

– Nie jestem zaskoczony – powiedział lakonicznie. „Sprowadźcie ich. Panno Pickney, gdzie zostawiłem marynarkę?”

Mirski szedł powoli nie tyle z ostrożności, co żeby zachować godność i wyrobić sobie pojęcie o własnych stratach. Lanier, porucznik Jaeger, major Annenkowski i Pletniew zbliżali się szybciej. Obie grupy zatrzymały się w odległości kilku metrów od siebie. Pletniew wystąpił do przodu, uściśnął rękę Mirskiemu i cofnął się, stając z boku.

Mirski spojrzał na ciała leżące na polu bitwy. Dostrzegł dwa w nie dokończonym okopie. Przez dziury w mundurach widać było wypalone otwory i osmaloną skórę. Naliczył do tej pory dwadzieścia osiem trupów. Musiało ich być co najmniej dwa razy tyle. Zamiast o negocjacjach, myślał o poległych rodakach.

Czterdziestu jeden rannych w drugiej komorze opatrywało tylko dwóch sanitariuszy. Sośnicki umarł poprzedniego dnia, nie odzyskując przytomności. Codziennie umierało po dwóch, trzech i czterech rannych. Mirski zwrócił się do Pletniewa.

– Czy to, co nam przekazano, jest prawdą?

– Tak – potwierdził Pletniew.

– Są jakieś rozkazy z Ziemi?

– Nie.

– Jak wygląda sytuacja?

– Bardzo źle – odparł Pletniew cicho, drapiąc się po policzku. – Nie będzie zwycięzców.

– Żadnych instrukcji? Z ministerstwa obrony, partii, platformy, od oficerów, którzy przeżyli?

Pletniew potrząsnął głową.

– Żadnych. Nie obchodzimy ich.

– Widział pan walki? – zapytał Mirski. Na jego twarzy malowało się napięcie.

– Widzieliśmy, jak płonie Rosja. Cała Europa stoi w ogniu.

– Kto z was mówi po rosyjsku? – spytał Mirski, patrząc na Laniera i Jaegera.

– Obaj – odparł Lanier.

– Czy wasze kraje zwyciężyły?

– Nie – powiedział Lanier.

– Wszyscy jesteśmy świniami – stwierdził Mirski. Pletniew potrząsnął głową.

– Wypełnialiśmy obowiązek, towarzyszu generale. Dokonał pan wspaniałego...

– Ile statków ocalało? – przerwał mu Mirski.

– Cztery. A ilu ludzi?

Lanier, Jaeger i major Annenkowski czekali na odpowiedź Mirskiego.

– Tutaj dwustu... nie, około stu osiemdziesięciu. – Mirski spojrzał krzywo na Laniera. – Nie wiem, ilu w pozostałych komorach. Może razem siedmiuset. Generał Sośnicki umarł wczoraj:

– Więc jest pan najstarszym rangą oficerem – stwierdził Pletniew.

– Powinniśmy zacząć rozmowy – odezwał się Lanier. – Nie widzę potrzeby wznawiania walki.

– Istotnie – powiedział Mirski. Potoczył wzrokiem po polu bitwy, kiwając głową. – Jeśli tylko tyłu nas zostało... Nie ma sensu walczyć.

– Ziemia nie zginęła, pułkowniku – powiedział Lanier. – Jest ciężko ranna, ale nie martwa.

– Mówi pan to z taką pewnością – stwierdził Mirski. – Skąd ją pan czerpie?

– Właśnie – powiedział Pletniew po angielsku. – Ma pan łączność ze swoimi zwierzchnikami?

– Nie – odparł Lanier. – Czytałem o tym i widziałem. To długa historia, generale Mirski.

Myślę, że nadszedł czas, by wszystkich z nią zapoznać.

Chociaż ciała na razie zostały na polu, Rosjanom zapewniono swobodę poruszania się w pierwszych czterech komorach, w zamian za zagwarantowanie personelowi bloku zachodniego dostępu do osiedli i windy w pierwszej komorze. Złożono obietnice, że dróg będą strzegły wspólne oddziały bezpieczeństwa. Po tych uzgodnieniach z południowego otworu wlotowego usunięto ciała i wraki, a rosyjskim transportowcom pozwolono na dokowanie.

Negocjacje prowadzono w pierwszej komorze, w barze osiedla naukowców. Połowę baraków w drugim osiedlu oddano czasowo do dyspozycji rosyjskich żołnierzy. Sektory oddzielała biała linia. Po jednej stronie stało pięciu żołnierzy piechoty morskiej, a po drugiej pięciu zmęczonych członków kosmicznych oddziałów szturmowych.

Rosjanie zaproponowali na koniec, że wycofają większość swoich ludzi z pierwszej komory, jeśli będą mogli zająć dużą część czwartej.

Gerhardt rozmawiał z Mirskim za pośrednictwem Laniera i Jaegera. Pułkownik Wielogorski, śniady przystojny mężczyzna w średnim wieku, o czarnych włosach i zielonych oczach, doradzał Mirskiemu w kwestiach politycznych. Major Bielożerski zawsze kręcił się w pobliżu. Trzeci oficer polityczny, major Jazykow, został przydzielony do zespołu, który miał przeprowadzić inspekcję czwartej komory.

Drugiego dnia rozmowy toczyły się do wieczora. Podczas przerwy na obiad i kawę Kirchner pojawił się w barze z gościem i dwoma żołnierzami. Lanier spojrzał na przybyłych i powoli odstawił kubek z kawą.

– Wygląda na to, że wcale nie potrzebujecie pomocy – powiedziała Judith Hoffman. Była blada, potargana, ubrana w zbyt obszerny kombinezon i miała zabandażowaną rękę. W drugiej trzymała torbę z rzeczami osobistymi. Lanier odepchnął krzesło, przeszedł przez salę i bez słowa wziął ją w objęcia. Rosjanie przyglądali się z lekką irytacją. Wielogorski szepnął coś do Mirskiego, tamten skinął głową i wyprostował się na krześle.

– Boże – powiedział Lanier cicho. – Byłem pewien, że ci się nie udało. Nawet nie wiesz, jak się cieszę ze spotkania.

– Ja również. Prezydent zwolnił mnie i całą radę cztery dni przed... Przed tym. Poprosiłam parę osób o przysługę i następnego dnia poleciałam na Stację Szesnątą. Z trudem zorganizowałam lot promem. Wśród polityków byłam persona non grata i to niepokoiło grube ryby, ale dwaj członkowie załogi chętnie przesznułowali mnie na pokład. Mieliśmy paliwo i byliśmy gotowi do odlotu, kiedy... zaczęła się wojna. Uciekliśmy razem z sześcioma cywilami, zanim... – Przełknęła ślinę. – Jestem bardzo zmęczona, Garry, ale musiałam się z tobą przywitać. Nie jako twoja szefowa. Jest jeszcze ze mną dziewięć osób – cztery kobiety, dwóch mężczyzn, trzech członków załogi. Prześpi? się, a potem mi powiesz, do czego mogę się przydać.

– Jeszcze nie opracowaliśmy struktury władzy. Nawet nie wiemy, czy jesteśmy wysuniętą placówką, terytorium czy narodem – powiedział Lanier. – Będziesz miała dużo do roboty. – Oczy mu zwilgotniały, Wytarł je wierzchem dłoni i uśmiechnął się szeroko do Hoffman, a następnie wskazał na stół, przy którym prowadzono negocjacje. – Rozmawiamy. Walka się skończyła na razie, a może na dobre,

– Zawsze wiedziałam, że jesteś dobrym administratorem – stwierdziła Hoffman, – Garry, muszę odpocząć. Nie spałam podczas podróży. Ale...przywiozłam coś,

Otworzyła skrzynkę i rzuciła na stół torebki z nasionami. Niektóre ześliznęły się na stolik Rosjan. Mirski i Wielogorski wyglądali na zdumionych. Mirski podniósł torebkę z nasionami nagiętka.

– Proszę, zatrzymajcie, co chcecie – powiedziała do nich Hoffman. Spojrzała na Laniera. – Są dla nas wszystkich.

Kirchner wziął ją za łokieć i wyprowadził z baru.

Lanier wrócił do stolika. Czuł się o niebo lepiej. Biełożerski stojący za Wielogorskim i Mirskim spojrzał na stos torebek z nieukrywaną podejrzliwością.

– Mój główny oficer polityczny chce wiedzieć, czy otrzymaliście instrukcje od rządu – oświadczył Mirski. Jaeger przetłumaczył jego słowa Gerhardtowi.

– Nie – odparł Lanier. – Nadal działamy na własną rękę.

– Poznajemy kobietę, z którą pan rozmawiał – powiedział Wielogorski. – Jest członkiem waszego rządu odpowiedzialnym za waszą politykę wobec Kamienia.

– Tak – potwierdził Lanier. – Kiedy odpocznie, weźmie udział w negocjacjach. Muszę jednak dodać, że została usunięta ze stanowiska przed Śmiercią.

Zdziwił się, jak łatwo wypowiedział to słowo.

– Kiedy przyleciała? – zapytał Mirski.

– Nie wiem. Niedawno.

– Nalegamy – włączył się Biełożerski – żeby przyjęto również przybyszów z państw Układu Warszawskiego. Wojskowych i cywilów.

– Oczywiście – powiedział Lanier. Gerhardt potwierdził skinieniem głowy.

– A teraz – odezwał się Lanier – najważniejsze sprawy. Rozbrojenie i prawa terytorialne...

– Opracujemy projekt uzgodnień, a później podpiszemy oficjalny dokument – zaproponował Mirski.

– Domagamy się suwerenności wszystkich naszych ludzi na asteroidzie – oznajmił Biełożerski. Wielogorski zacisnął usta. Mirski odsunął się gwałtownie z krzesłem od stołu i odprowadził Biełożerskiego w kąt sali. Tam pograżyli się w cichej, lecz ożywionej rozmowie, podczas której Biełożerski rzucał wściekle spojrzenia na Laniera i Gerhardta.

Mirski wrócił sam.

– Ja dowodzę radzieckimi żołnierzami i cywilami – oświadczył. – Ja jestem głównym negocjatorem.

Gabinet i pokój Laniera nie zostały poważnie zniszczone podczas walk. Garry przespał się pięć godzin, a potem w barze zjadł śniadanie.

Przed wejściem do kobiecego baraku spotkał Kirchnera.

– Wracam do otworu wlotowego – oznajmił kapitan. – Nadal jest tam niezły bałagan. Zbieramy teraz ciała naszych i tamtych. Czy są zaplanowane jakieś uroczystości pogrzebowe?

– Jutro odbędzie się jedna wspólna. Będzie to coś więcej niż ceremonia żałobna po poległych tutaj...

Kirchner zacisnął usta.

– Niełatwo będzie stać obok tych drani.

– Od czegoś trzeba zacząć. Jak Hoffman? Wyspała się?

– Podobno tak. Dwie twoje astronomki przyjęły ją do siebie, a mnie i wartowników wyrzuciły. – Wskazał w kierunku baru. – Jaka będzie moja rola, kiedy się dogadacie?

– Przypuszczani, że nadal będziesz kapitanem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych – odparł Lanier. – Dowódcą obrony zewnętrznej. Nie zamierzam podawać im Kamienia na talerzu.

– Zgodzili się na rozbrojenie?

Lanier potrząsnął głową. – Jeszcze nie. Chcą założyć obóz w czwartej komorze, potem porozmawiają o rozbrojeniu. Dzisiaj po południu zrobię Mirskiemu prywatną wycieczkę. Biblioteki,

miasta.

- Chryste, chciałbym pojechać z tobą.
- Wkrótce będziesz miał okazję. Wszystko jest otwarte. Żadnego monopolu.
- Nawet siódma komora?
- Z czasem. Jeszcze o to nie prosili. Kirchner uniósł brwi. – Nic nie wiedzą?
- Nie mam pojęcia, co mówią swoim ludziom. Z pewnością ci dowiedzą się szybko. Rosyjscy naukowcy nie spoufalają się z żołnierzami. Najwyraźniej wojskowi nie mają u nich dużego poważania. Ale wieść się rozniesie. – Milczał przez chwilę. – Jakież wiadomości z Ziemi?

– Nic. Przechwyciliśmy sygnały radarowe z Oceanu Północnego. Może to statki. Niewiele widać. Większą część Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych przesłania dym. Nie obchodzimy ich, Garry.

Kirchner ruszył przez osiedle i wszedł do ciężarówki. Lanier zapukał do drzwi baraku. Otworzyła mu Janice Polk.

- Wchodź – powiedziała. – Już się obudziła. Zaniiosłam jej śniadanie.

Hoffman siedziała na kozetce w małym saloniku. Beryl Wallace i porucznik Doreen Cunningham, była szefowa ochrony osiedla, zajmowały krzesła naprzeciwko niej. Cunningham miała zabandażowaną głowę, ślad po strzale z lasera, który otrzymała przed kapitulacją pierwszego osiedla.

Wstały na widok Laniera. Cunningham zrobiła gest, jakby chciała zaszalutować, uśmiechnęła się z zakłopotaniem i opuściła głowę.

– Moje panie, pan Lanier i ja mamy sobie dużo do opowiedzenia – powiedziała Hoffman, stawiając na stoliku do połowy opróżnioną szklankę soku pomarańczowego.

Gdy zostali sami, Lanier usiadł i przysunął się bliżej z krzesłem.

– Jestem gotowa – oznajmiła Hoffman. – Nie wiem, co się działo po tym, jak opuściłam Ziemię. Było tak, jak pokazywano w bibliotekach?

– Tak – odparł Lanier. – I zaczęła się Długa Zima.

– W porządku. – Energicznie potarła nos. – Koniec świata. I wszystkiego, co znamy. – Westchnęła i omal nie wybuchnęła szlochem. – Cholera. Najpierw rzeczy najważniejsze.

Lanier uściśnął jej rękę.

– Pomyślą, że jesteśmy kochankami – stwierdziła.

– Łączy nas praca – odparł. Roześmiała się i wytarła oczy chusteczką.

– Jak sobie radzisz, Garry? – spytała. Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Straciłem samolot, Judith. Byłem szefem i...

– Bzdury.

– Byłem szefem i zrobiłem wszystko, żeby zapobiec wojnie. Zawiodłem. Więc trudno mi stwierdzić, jak sobie radzę. Może niezbyt dobrze. Nie wiem. Nie ustępuję im podczas negocjacji. Ale jestem bardzo zmęczony.

Poklepała go po dłoni i wolno pokiwała głową, patrząc mu w oczy.

– W porządku. Nadal cieszysz się moim pełnym zaufaniem. Wiesz o tym, Garry?

– Tak.

– Kiedy wszystko się ułoży... Teraz opowiedz mi o inwazji i o wszystkim, co się tutaj działo.

Lanier miał nadzieję, że pojedzie z Mirskim do biblioteki w drugiej komorze sam albo najwyżej z jednym ochroniarzem. Gdy się zjawił w barze, czekali na niego Mirski, Garabedian, dwaj oficerowie polityczni, Biełozerski i Jazykow, oraz czterej komandosi. Poprosił więc Gerhardta i Jaegera, żeby mu towarzyszyli, a dla wyrównania sił do grupy dołączyło czterech marines.

W milczeniu dojechali do mostu w drugiej komorze. Jeden z ludzi Mirskiego prowadził pojazd w czasie pierwszej połowy krótkiej podróży. Mirski kilkakrotnie zerkał na Laniera podczas jazdy przez miasto. Lanier podejrzewał, że go ocenia. Rosyjski generał porucznik był dla niego zamkniętą księgą. Ani razu nie odsłonił się jako osoba prywatna. Jednak Lanier żywił znacznie więcej szacunku dla Mirskiego niż dla Biełożerskiego. Mirski był w stanie posłuchać głosu rozsądku; Biełożerski nawet nie wiedział, co to jest rozsądek.

W połowie mostu ciężarówka zatrzymała się i za kierownicą usiadł jeden z amerykańskich żołnierzy. Przejechali przez dzielnicę handlową, którą Patricia określiła jako osobliwą, i wysiedli na placu przed biblioteką. Jeden żołnierz rosyjski i jeden amerykański zostali, żeby pilnować ciężarówki. Stanęli po przeciwnych stronach pojazdu i starannie unikali rozmowy.

Gerhardt pogрузił się w dyskusji z Biełożerskim, korzystając z pomocy Jaegera. Lanier skorzystał z okazji i odprowadził Mirskiego kilka kroków, żeby przygotować go na to, co go czeka.

– Nie wiem, co przywódcy powiedzieli wam o Kamieniu – zaczął – ale wątpię, czy znacie całą historię.

Mirski patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– Kamień to lepsza nazwa niż Ziemiak – stwierdził, unosząc brwi. – Nazwa Ziemiak sugeruje, że jesteśmy robakami, prawda? Powiedziano mi, że Kamień zbudowali ludzie.

– To nie jest nawet połowa prawdy.

– Więc chciałbym usłyszeć resztę.

Po drodze do biblioteki Lanier opowiedział mu całą historię ze szczegółami.

W czytelni Lanier odnalazł dział książek rosyjskich i przyniósł stamtąd trzy tomy, z których jeden – tłumaczenie Krótkiej historii Śmierci – wręczył Mirskiemu, a pozostałe Biełożerskiemu i Jazykowowi.

Biełożerski stał, ściskając książkę w rękach i wpatrując się w Laniera, jakby czuł się obrażony.

– Co to ma być? – zapytał.

Jazykow z wahaniem otworzył swój egzemplarz.

– Proszę przeczytać – zaproponował Lanier.

– Dostojewski – stwierdził Biełożerski. Wymienił się książkami z Jazykowem. – I Aksakow. To ma nas zainteresować?

– Może spojrzycie na datę wydania, panowie – podsunął Lanier spokojnie. Otworzyli książki, przeczytali i niemal jednocześnie zamknęli je gwałtownie.

– Musimy dokładniej przeszukać półki – oświadczył Biełożerski. Nie wydawał się uszczęśliwiony tą perspektywą.

Mirski otworzył książkę, przekartkował ją, kilka razy wracając do stronicy tytułowej i patrząc na datę. Zamknął tom i stuknął kilka razy grzbietem o stół, patrząc na Laniera. Biblioteka wydawała się ciemniejsza i bardziej ponura niż kiedykolwiek przedtem.

– To historia wojny. – Mirski ni to zapytał, ni stwierdził. – Czy to jest dokładne tłumaczenie wydania angielskiego?

– Tak przypuszczam.

– Panowie, pan Lanier i ja musimy zostać sami na kilka minut. Zaczekajcie, proszę, z generałem Gerhardtem i jego ludźmi.

Biełożerski odłożył książkę na stół. Jazykow poszedł za jego przykładem.

– Niech to nie trwa zbyt długo, generale – uprzedził Biełożerski.

– Tak długo jak będzie trzeba – odparł Mirski.

W nadziei na taką okazję Lanier przywiózł ze sobą menażkę do połowy napełnioną brandy. Nalał im teraz obu.

– Dziękuję – powiedział Mirski, unosząc kubek.

– Specjalna obsługa – odparł Lanier.

– Moi oficerowie polityczni oskarżą pana o próbę upicia mnie i wysondowania... taki jest idiom?

– Nie ma czym się upić – powiedział Lanier.

– Szkoda. Nie jestem dość silny na... to. – Mirski zatoczył koło pustym kubkiem, wskazując na bibliotekę. – Może pan tak, ale ja nie. To mnie śmiertelnie przeraża.

– Za jakiś czas znajdzie pan siły – powiedział Lanier. – To jest równie atrakcyjne jak przerażające.

– Wiedział pan o tym od dawna.

– Od dwóch lat.

– Chyba pozwolę innym szukać atrakcji – stwierdził Mirski. – Moi ludzie będą teraz mieli nieograniczony dostęp do tego wszystkiego? Żołnierze i oficerowie, tak?

– Tak jest w umowie.

– Gdzie nauczył się pan rosyjskiego? W szkole?

– W bibliotece w trzeciej komorze – odpowiedział Lanier. – Zajęło mi to trzy godziny.

– Mówi pan jak moskwianin. Taki, który kilkadziesiąt lat mieszkał za granicą, ale jednak moskwianin. Mógłbym równie szybko nauczyć się angielskiego?

– Prawdopodobnie. Lanier rozlał resztkę brandy i obaj wzniesli toast.

– Jest pan dziwnym człowiekiem, Garry – stwierdził Mirski poważnym tonem.

– Tak?

– Tak. Jest pan zamknięty w sobie. Nie pozwala pan, by inni pana przejrzeni. Lanier nie zareagował.

– No proszę! – Mirski zaśmiał się. – Właśnie teraz tak się pan zachowuje. – Rosjanin spojrzał mu prosto w oczy. – Dlaczego od razu nie powiedzieliście o tym całemu światu?

– Kiedy spędzi pan trochę czasu tutaj i w bibliotece trzeciej komory, proszę zadać sobie pytanie, co by pan zrobił.

Teraz z kolei Mirski nic nie odpowiedział.

– Nasze narody żywią do siebie urazę – rzekł, odkładając książkę na stół. – Niełatwo będzie o niej zapomnieć. Nie rozumiem tego miejsca. Nie rozumiem naszej sytuacji ani waszej. Moja ignorancja jest niebezpieczna, panie Lanier, więc kiedy czas mi pozwoli, będę tutaj przychodził, żeby się czegoś dowiedzieć. I nauczę się angielskiego pańską metodą. Uważam jednak, że jeśli mamy zapobiec kłopotom, moi ludzie nie powinni mieć tutaj wstępu. Czy nie byłoby rozsądniej, gdybyście wprowadzili podobne ograniczenia?

Lanier potrząsnął głową, zastanawiając się, czy Mirski dostrzega sprzeczność we własnym rozumowaniu.

– Jesteśmy tutaj, żeby przełamać stereotypy, a nie utrwalać je. Jeśli o mnie chodzi, biblioteki są otwarte dla wszystkich.

Mirski wpatrywał się w niego przez nieprzyjemnie długą chwilę, potem wstał.

– Może – powiedział. – Łatwiej panu to mówić niż mnie. Moi ludzie nie są przyzwyczajeni, żeby ich dobrze informowano. Niektórych moich oficerów przeraża sama myśl o tym. Niektórzy nie uwierzą w nic. Uznają, że to amerykański podstęp. To byłoby bardzo pocieszające.

– Ale pan wie, że tak nie jest. Mirski dotknął książki.

– Jeśli prawda jest niebezpieczna – rzekł – może nie do końca jest prawdą.

Park w drugiej komorze, gdzie wylądował batalion Mirskiego, przyjął ciała poległych. Stu sześciu Amerykanów, Brytyjczyków i Niemców poległych w bitwie leżało teraz w plastikowych workach w długim rowie wykopanym przez archeologów. W kolejnych czterech rowach spoczywało trzystu sześćdziesięciu dwóch Rosjan. Zaginęło dziewięćdziesięciu ośmiu Sowieców i dwunastu żołnierzy bloku zachodniego. Prawdopodobnie nie żyli. Polegli w walce albo wylecieli przez otwór wlotowy i zamienili się w zamrożone mumie krążące po orbicie wokół Kamienia. Przygotowano specjalną płytę pamiątkową dla załóg TPO 45 i rozbitych transportowców.

Dwa tysiące trzystu ludzi zebrało się wokół rowów. Mirski i Gerhardt wygłosili krótkie przemowy po rosyjsku i angielsku. Chowali coś więcej niż tylko swoich towarzyszy. Choć nie było płyty pamiątkowej za tych, którzy zginęli na Ziemi, chowali członków rodziny, przyjaciół, a także kulturę, historię, marzenia.

Grzebali przeszłość albo przynajmniej tę jej część, z którą potrafili się rozstać. Sowieci stali razem w szeregach. Członkowie zespołu naukowego trzymali się w tej grupie osobno.

Chaplain Cook i Vitshak Jacob oraz Uzbek muzułmanin odmówili modlitwy za zmarłych.

Mirski rzucił pierwszą łopatę ziemi do grobu rosyjskiego, Gerhardt do grobu żołnierzy NATO. Potem, bez wcześniejszego planu, amerykański generał nabrał na łopatę ziemi, która miała przykryć jego ludzi, i zaniósł ją do pierwszego rowu rosyjskiego. Mirski bez wahania zrobił to samo.

Biełozerski obserwował to z dezaprobatą, która stale gościła na jego twarzy. Wielogorski milczał, zachowując pełną godności postawę. Jazykow wydawał się błądzić myślami gdzieś indziej. Miał wilgotne oczy.

Hoffman i Farley wystąpiły do przodu i położyły wieńce na obu grobach.

Gdy tłum się rozszedł, archeolodzy natychmiast zaczęli zakopywać mogiły. Sowieci podzielili się, wracając do drugiej i czwartej komory. Farley, Carrolson i Hoffman dołączyły do Laniera i Heinemana przy moście. Razem obserwowali ludzi udających się na stację. Carrolson zbliżyła się do Laniera i dotknęła jego ramienia.

– Garry, muszę o czymś z tobą pomówić.

– Słucham.

– Nie tutaj. W osiedlu – odparła, spoglądając na Hoffman. Wsiedli do ciężarówek i pojechali do pierwszej komory. Carrolson, Farley, Heineman i Hoffman towarzyszyli Lanierowi do pustego budynku administracyjnego. Tam zbrali się przy biurku Ann Blakley.

– Zdaje się, że masz złe wiadomości – zaczął Lanier. Nagle wytrzeszczył oczy. – O mój Boże – wydusił z siebie. – Gdzie jest...

Carrolson przerwała mu.

– Byłeś zbyt zajęty. Nigdzie nie możemy znaleźć Patricii. Nie wiemy, co się stało. Są dwie wskazówki, ale jedna pochodzi od Rosjan i jest mało wiarygodna. Rinskaya usłyszała tę wiadomość, kiedy rozmawiał z naukowcami rosyjskimi. Drugi ślad mamy od Larry’ego. Myśleliśmy, że ją znajdziemy, że może gdzieś się ukryła, ale...

Heineman skinął głową.

– To, co widziałem, może mieć związek z jej zniknięciem.

– Patricia opuściła osiedle w czwartej komorze w środę – poinformowała Farley. – Nikt nie widział, dokąd się udała, ale Lenore jest przekonana, że musiała wsiąść do pociągu i pojechać do trzeciej komory.

– Oświadczyła, że zamierza pójść do biblioteki. Wszyscy byliśmy wtedy zszokowani, a ona zносиła to wszystko szczególnie źle – wyjaśniła Carrolson.

– Naukowcy rosyjscy twierdzą, że jakiś ich żołnierz widział samolot lądujący obok jednego z podziemnych terminali w Thistledown – powiedziała Farley. – Na pokład wsiadło dwoje ludzi i ktoś, kogo Rosjanin nazwał diabłem. Jednym z tych ludzi był mężczyzna, a drugim kobieta, której opis zgadza się z wyglądem Patricii. Samolot odleciał. Był biały, w kształcie strzały, ale ze spłaszczonym dziobem. Nie robił żadnego hałasu.

Heineman zrobił krok do przodu.

– Kiedy byłem w korytarzu, widziałem statek-widmo. W kształcie strzały, ze spłaszczonym dziobem. Leciał po spirali wokół rury plazmowej, kierując się na pomoc.

– Aż do tej pory nie było czasu, żeby to wszystko razem poskładać – mówiła Carrolson. – Przykro mi, że dopiero teraz ci o tym mówimy.

– To nie ma sensu – stwierdził Lanier, potrząsając głową. – Może została porwana przez Rosjan. Może...

– Rimskaya twierdzi, że nie. Zrobił mały wywiad – powiedziała Carrolson. – Wtedy nie było w Thistledown nikogo oprócz paru sowieckich spadochroniarzy, żadnych oddziałów dywersyjnych, żadnych wojsk, przynajmniej w tamtym czasie. Nikogo oprócz Patricii.

– I zjawy – dodał Heineman. – To niezwykle zbieg okoliczności, Garry.

Lanier potrząsnął głową.

– To już koniec. Nie dam rady. Judith, powiedz im. Nie mogę nic teraz zrobić. Toczą się rozmowy i ...

– Oczywiście – przytaknęła Hoffman, chwytając go za ramię. – Wszyscy trochę odpocznijmy. Lanier podniósł rękę do twarzy, jakby chciał wygładzić głębokie bruzdy wokół ust.

– Miałem się nią opiekować – powiedział. – Ona jest ważna, Judith. Kazałaś mi opiekować się z nią.

– W porządku. Nic...

– Przekłęte miejsce, Judith! – Uniósł pięści i potrząsnął nimi bezradnie. – Nienawidzę tej cholernej skały!

Carrolson zaczęła płakać. Farley objęła ją.

– Nie tylko ty – rzekła Carrolson. – Przekazałeś ją pod moją opiekę.

– Przestańcie – poleciła Hoffman spokojnie. Heineman cofnął się, zakłopotany.

– Nie zamierzam się poddać – oświadczył Lanier, opuszczając ręce. – Ona nie odeszła tak sobie. Larry, jak szybko możesz przygotować plazmolot?

– W każdej chwili.

– Judith, myślę, że źle wybrałaś.

– Nie sądzę. A co masz na myśli?

– Nie będę czekać. Zamierzam wyruszyć z misją ratunkową, zamiast siedzieć tutaj i kłócić się z bandą Sowietów. Znasz mnie. Wiesz, że to zrobię.

– W porządku – zgodziła się. – Jedź po nią. Masz inne powody?

– Co takiego? – spytał Lanier.

– Utknęliśmy tutaj, prawda? – powiedziała Hoffman. – I tak wkrótce musielibyśmy się dowiedzieć, co tam jest dalej. Larry, czy samolot jest sprawny? A plazmolot?

– Oba sprawne – zapewnił Heineman.

– Więc ułożmy plan. Zróbmy to jednak rozważnie. Dobrze, Garry? Nie w tej chwili.

– W porządku – zgodził się Lanier potulnie.

– Myślę, że wszyscy powinniśmy coś zjeść i odpocząć – powiedziała Farley, szukając u obecnych potwierdzenia.

Stali w milczeniu, wstrząśnięci stanem Laniera i świadomością, że sami są bliscy załamania.
– Ja też chciałabym polecieć – oświadczyła Carrolson.

„Więc chcesz się od tego wszystkiego oderwać. Uciec gdzieś daleko”.

– Tak.

„Popędzić za nią w głąb korytarza. Dlaczego?”

– Żeby zbawić swoją przeklętą duszę, oto dlaczego. „Radziłeś sobie dobrze”.

– Ziemia jest spalona, Kamień w połowie zajęty przez gburowatych Rosjan, a ja nie upilnowałem osoby, którą miałem szczególnie chronić.

„Ale Kamień nadal tutaj jest, a sytuacja wydaje się stabilizować...”

– Biełożerski, Jazykow, Wielogorski. „Twardogłowi. Tak. To kłopot. Czy nie powinieneś zostać na miejscu, żeby ich pilnować?”

Nie „Zostawisz Hoffman ze wszystkimi problemami...”

– Puści mnie, bo wie, że jestem u kresu wytrzymałości. Nie zniosę więcej. Nie jestem potrzebny jej ani Kamieniowi... muszę znaleźć Patricię.

Lanier otworzył oczy i zerknął na zegarek: za dziesięć ósma. Czuł się jak sparaliżowany. Głosy wiodły spór w jego głowie. Umysł próbował uporać się z sytuacją nie do zniesienia.

Myślał o Ziemi, o ludziach – przyjaciółach, współpracownikach, osobach poznanych zaledwie kilka tygodni temu – czolgających się przez gruzy. Bardzo prawdopodobne, że na Ziemi nie został przy życiu nikt, kogo znał bliżej. Była to straszna myśl. Większość jego znajomych mieszkała w miastach lub pracowała w ośrodkach wojskowych.

Jedynym wyjątkiem był Robert Tyheimer. Dowódca okrętu podwodnego, mąż jego siostry, która zmarła dwa lata przed wyjazdem Laniera na Kamień. Nie rozmawiali od jej śmierci. Tyheimer może jeszcze żyć gdzieś pod lodem. Jeśli nie przyczynił się do totalnego zniszczenia, może strzeże swoich głowic jądrowych i czeka... czeka... na następną wymianę ognia. Na zadanie ostatecznego ciosu.

– Nienawidzę cię – powiedział Lanier na głos, mając nadal zamknięte oczy. Nawet nie wiedział, kogo ma na myśli. Trzej psychiatry prowadzili w jego głowie dyskusję. Jeden, freudysta, zawsze wybierał najgorszą i najbardziej wstrętną interpretację każdej przelotnej myśli. „Tak... twoja matka... i co wtedy powiedziałaś? Mówiłeś to poważnie, prawda?”

Drugi siedział cicho. Uśmiechał się tylko, pozwalając mu pogrążyć się w zamięcie.

A trzeci...

Trzeci kiwał głową i zalecał terapię pracą. Przypominał jego ojca.

To zainteresowało pierwszego.

Lanier obrócił się na łóżku i znowu otworzył oczy. Brak snu, brak odpoczynku. Ile czasu minie, zanim ludzie na Kamieniu zaczną się załamywać? Ilu i jak poważnie? Kto się z tym upora, on czy Hofrman?

Jednak już podjął decyzję. Zorganizował Hoffman wielką wycieczkę... i spotkał Mirskiego w bibliotece trzeciej komory. Rosyjskiemu generałowi porucznikowi towarzyszyło trzech ochroniarzy, choć w budynku nie było pusto. Wyglądał na wyczerpanego i zignorował ich obecność.

Lanier wskazał Hoffman miejsce z dala od Rosjan i nauczył ją obsługi sprzętu.

Usiadł i włączył interkom. Ann Blakley już pracowała za biurkiem.

– Nie mogę spać – powiedział. – Co robi Heineman?

– Nie śpi, jeśli to chcesz wiedzieć – odparła.

– To świetnie. Na pewno jest w siódmej komorze.

– Nie, według grafiku jest w doku przy południowym otworze wlotowym...

- Połącz się z nim, proszę.
- Dobrze.
- Powiedz mu, że chcę ruszyć jutro o ósmej rano.
- Tak jest, sir.

Załoga samolotu VISTOL już została skompletowana: on, Heineman, Carrolson – chyba jedyna osoba, bez której Hoffman trudno się będzie obejść – i Karen Farley. Misja byk prosta: mieli polecieć milion kilometrów w głąb korytarza – jeśli ciągnie się on tak daleko – lądując po drodze w kilku miejscach. Ciekawe, jaki jest korytarz tak daleko na północ? Potem mieli zawrócić, z Patricią albo bez niej czy nawet bez wiadomości o miejscu jej pobytu.

Było wiele niewiadomych, ale Laniera to nie zniechęcało. Tak długo miał do czynienia z potwornościami, że zwykła, choćby i niebezpieczna wyprawa wydawała się atrakcją.

Ubrał się i włożył kilka osobistych rzeczy do małej czarnej torby. Maszynkę do golenia, zmianę bielizny, tabliczkę z pakietem bloków pamięci, szczoteczkę do zębów.

Szczoteczka do zębów.

Roześmiał się. Śmiech, chociaż wymuszony, wzbierał w nim falami, aż w końcu Lanier nie mógł się powstrzymać. Leżał na łóżku, zgięty w pół, z wykrzywioną twarzą. Wreszcie z trudem się opanował, ale wtedy pomyślał o maleńkiej łazience w samolocie i o maleńkim prysznicu. Pomyślał o toalecie w czasie lotu wzdłuż osobliwości i znowu wybuchnął śmiechem. Minęło parę minut, zanim się opanował. Usiadł na brzegu łóżka, wziął kilka głębokich oddechów i roztarł obolałe szczęki i policzki.

– Boże – westchnął i wrzucił szczoteczkę do zębów do torby.

Martwy sowiecki żołnierz dryfował dwadzieścia metrów od rusztowania w otworze wlotowym siódmej komory. Nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób dotarł tak daleko. Nie wyglądał na rannego. Może przestraszył się spadania i został w pobliżu osi, dopóki nie skończyło mu się powietrze. Wolno dryfował w stronę szóstej komory. Nie było czasu, żeby go ściągnąć na dół. Wprawił zegnających się w ponury nastrój. Wydawał się obserwować ich z wielkim zainteresowaniem. Jego blada twarz i szeroko otwarte oczy były widoczne za wizjerem hełmu.

Hoffman uściskała Laniera, Carrolson i Farley. Trochę jej przeszkadzały ich baloniaste skafandry. Heineman już był na pokładzie samolotu połączonego z plazmolotem.

Stali przez chwilę w milczeniu przy spłaszczonym końcu osobliwości. Wreszcie Hoffman powiedziała:

– Garry, to nie jest porywanie się z motyką na słońce. Wiesz o tym. Potrzebujemy tej małej. Ktokolwiek nam ją zabrał, pewnie wie, jak bardzo jest dla nas ważna. Jestem podejrzliwa z natury. W każdym razie wyruszenie z bardzo poważną misją. Powodzenia.

Farley zwróciła się do Hoffman.

– Ostatniej nocy podjęliśmy decyzję – Hua Ling i reszta Chińczyków. Ma być ogłoszona dopiero wieczorem, ale nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli wam powiem. Jesteśmy z blokiem zachodnim. Radziecka ekipa zabiegała o nasze względy, ale my postanowiliśmy przyłączyć się do was. Myślę, że radzieccy naukowcy mają ochotę pójść za naszym przykładem. Chciałam tylko, żebyście wiedzieli.

– Dziękuję – powiedziała Hoffman, ściskając rękę Farley. – Będziemy czekali z ciekawością. Nie muszę wam tego mówić. Życzę sukcesu. Co najmniej setka osób chciałaby z wami polecieć.

– Dlatego zgłosiłam się pierwsza – oświadczyła Carrolson.

– Tracimy czas – wycedził Heineman. – Wszyscy na pokład.

– Zamknij się i pozwól nam na sentymenty – skarciła go Carrolson.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Hoffman do Laniera, gdy się po raz ostatni uścisnęli.

– Ruszajmy – zarządził Lanier. Przymocowali linki asekuracyjne do rusztowania obok samolotu i kolejno skoczyli do wjazdu. W śluzie powietrznej mieściły się dwie osoby. Powtarzali cykl dwa razy. Lanier wchodził jako ostatni. Po zamknięciu wjazdu i wpompowaniu powietrza zdjął skafander i włożył go do szafki pod tablicą kontrolną śluzu.

Przy czterech pasażerach na pokładzie wewnątrz samolotu było przestronne. Przednią część kabiny zajmowały pudła ze sprzętem naukowym. Carrolson i Farley sprawdziły je przed zapięciem pasów. Lanier dołączył do Heinemana w kokpicie.

– Kable paliwowe i tlenowe drożne – informował Heineman, patrząc na tablicę przyrządów. – Zrobiłem przegląd diagnostyczny plazmolotu. Wszystko w porządku.

Spojrzał wyczekująco na Laniera.

– Więc ruszajmy – powiedział tamten. Heineman przesunął kolumnę z przyrządami sterowniczymi plazmolotu i zablokował ją przed sobą.

– Trzymaj się – rzucił. A następnie dodał przez interkom: – Panie, woreczki foliowe są w kieszeniach foteli przed wami. Żadnych sugestii, rozumiecie same.

Zacisnął klamry. Powoli, gładko plazmolot zaczął sunąć wzdłuż cienkiej srebrnej rury osobiwości.

– Jeszcze trochę – uprzedził. Lanier poczuł, że wciska się w fotel. – I jeszcze trochę.

Kabina ustawiła się pionowo, a oni leżeli teraz na plecach, coraz ciężsi.

– Ostatni raz – powiedział Heineman i ich waga zwiększyła się jeszcze o połowę tego, co ważyliby na Ziemi.

– Rozwinę w przejściu drabinkę sznurową, gdyby ktoś chciał iść do łazienki. – Wyszczерzył się do Laniera.

– Nie polecam umywalki w tych warunkach. Nie jest zbyt komfortowa. Zwolnię klamry, jeśli kogoś przyciśnie.

– Musisz się z tym liczyć – odezwała się Carrolson z kabiny.

Lanier obserwował przez przednią szybę wolno i majestatycznie przesuwaną korytarz, który zlewał się w oddali z perłowym blaskiem rury plazmowej, ciągnąc się w nieskończoność.

– Ostatnia ucieczka, co? – rzekł Heineman, jak gdyby czytając w jego myślach. – Znowu czuję się młody.

Gdy po raz trzeci Olmy zawiął się w oddzielającą go od świata zewnętrznego sieć światłek, Patricia doszła do wniosku, że w talsicie jest coś niepokojącego. Być może uzależniał.

Lecieli już co najmniej trzy dni – może pięć – i chociaż Olmy i Frant odnosili się do niej uprzejmie i odpowiadali na jej pytania z pozorną szczerością, nie byli zbyt rozmowni. Wiele czasu przespłała niespokojnie, śniąc o Paulu. Często dotykała jego ostatniego listu spoczywającego na piersi w kieszonce kombinezonu. Raz obudziła się z krzykiem i zobaczyła, że Frant podrywa się z koi. Olmy mało nie wypadł z łóżka i wpatrywał się w nią z wyraźnym przerażeniem.

– Przepraszam – powiedziała, spoglądając na nich z poczuciem winy.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Olmy. – Chcielibyśmy pomóc. Właściwie moglibyśmy, ale...

Nie dokończył. Kilka minut później, kiedy serce przestało jej walić i uświadomiła sobie, że nie pamięta, dlaczego krzyczała, zapytała Olmy'ego, co miał na myśli.

– Talsit – odparł. – Nie wymazuje pamięci, lecz łagodzi ją, usuwa w cień pewne przykre wspomnienia, blokuje podświadomy dostęp do nich. Po nim można je przywołać tylko wysiłkiem woli.

– O – zdumiała się Patricia. – Dlaczego nie mogę dostać talsitu?

Olmy uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Jesteś czysta – powiedział. – Dostałbym reprimendę, gdybym cię wprowadził w nasze zwyczaje, zanim zbadają cię nasi uczeni.

– To brzmi, jakbym była okazem – stwierdziła Patricia.

Frant znowu wydał dźwięk podobny do głośnego zgrzytania zębami. Olmy spojrzał na niego z naganą i zszedł z łóżka.

– Oczywiście, że jesteś – stwierdził. – Co chciałabyś zjeść?

– Nie jestem głodna – odparła Patricia, kładąc się z powrotem. – Jestem przestraszona, znudzona i mam złe sny.

Frant spojrzał na nią nie mrugającymi dużymi oczami. Wyciągnął rękę, rozstawił cztery smukłe palce i zacisnął je znowu.

– Proszę – odezwał się, a jego głos brzmiał jak źle nastrojone organy parowe. – Nie mogę pomóc.

– Frant zawsze chce pomagać – wyjaśnił Olmy. – Jeśli nie może pomóc, cierpi. Obawiam się, że wystawiasz na próbę mojego Franta.

– Twojego Franta? Jesteś jego właścicielem?

– Nie, nie jestem jego właścicielem. Łączy nas stosunek służbowy, gdy mamy zadanie do wykonania. Jesteśmy raczej społecznymi symbiontami. Dzielimy się myślami.

Patricia uśmiechnęła się do Franta.

– Już dobrze się czuję.

– Kłamiesz – ocenił Frant.

– Masz rację. – Patricia z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Skórę miał gładką i ciepłą. Cofnęła palce. – Nie boję się was – zapewniła. – Daliście mi jakiś narkotyk?

– Nie! – wykrzyknął Olmy, energicznie potrząsając głową. – Nie możemy ingerować w twoją osobowość.

– Dziwne. Wszystko wydaje mi się nierealne, ale nie boję się.

– Może tak jest lepiej – stwierdza Frant zatroskany. – Dopóki się nie obudzisz, jesteśmy

snem.

Po tej wymianie zdań nie rozmawiali wiele godzin. Patricia leżała wyglądając przez okno, i zauważyła, że korytarz zmienił się. Był teraz pocięty liniami przypominającymi gęstą sieć autostrad. Lecieli po spirali wokół rury plazmowej, wykonując skręt co piętnaście lub dwadzieścia minut. Patricia stwierdziła, że całe dno korytarza pokrywają jakieś wzory. Nie przemieszczały się, ale nie mogła być tego pewna z powodu dzielącej ją od nich odległości dwudziestu kilometrów.

Spiralny lot samolotu był hipnotyzujący. Drgnęła, uświadamiając sobie, że przez kilka minut obserwowała nowe zjawisko bez udziału świadomości. Gęste wzory widoczne w dole zmieniły się w strumień poruszających się światel. Na pasy „autostrady” były nanizane czerwone linie i białe paciorki. W świetle zawieszonych nad nimi łuków ukazywały się krawędzie nisko latających dysków. W regularnych odstępach co dziesięć kilometrów potok ten przegradzały ściany o wysokości dwóch lub trzech kilometrów.

– Zbliżamy się do Axis City – oznajmił Olmy.

– Co to jest? – spytała Patricia, wskazując palcem.

– Ruch uliczny między bramami – odpowiedział Olmy.

– Co to są bramy?

– Nazywacie je studniami. Prowadzą do światów znajdujących się poza Drogą... korytarzem.

Patricia zmarszczyła czoło.

– Wchodząc w nie, opuszcza się korytarz?

– Tak – potwierdził Olmy. – Axis City reguluje ruch na długości miliarda kilometrów.

– Ale studnie... bramy... nie mogą się otwierać do naszego wszechświata, do teraźniejszości.

– Istotnie – przyznał Olmy. – Proszę, wstrzymaj się z pytaniami, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Nadmiar informacji wpłynie na wyniki badań.

– Przepraszam – bąknęła Patricia z fałszywą skruchą.

– Nie powinnaś tego żałować – powiedział Olmy. – Spójrz przed siebie, na ścianę nad łóżkiem.

Wlepiła wzrok w gładką białą powierzchnię. Olmy wykonał kilka szybkich ruchów i powierzchnia zmarszczyła się jak sadzawka. Fale rozszerzyły się w duży prostokąt i zastygły. Prostokąt zrobił się czarny, a następnie wypełnił się kolorowym śniegiem. Prostokątna rama rozplynęła się i zniknęła.

Patricia miała wrażenie, że jest sama. Wszystko wokół – blask, pulsujące światła – poruszało się po zawitych torach. W przedzie osobliwość otaczał ciemny krąg. W tym miejscu rura plazmowa zmieniała kolor z białego na morski.

– Axis City leży za tą barierą – powiedział Olmy. – Wkrótce otrzymamy pozwolenie wjazdu.

Patricia odwróciła głowę i złudzenie przysło.

– Nie, nie, proszę! – zawołał Olmy. – Obserwuj dalej. – W jego głosie słyhać było chłopiące podniecenie, a na twarzy malowała się duma.

Spojrzała na śnieżny prostokąt.

Pole widzenia wypełniła bariera. Była szarobrazowa, poznaczona czerwonymi impulsami. W miejscu, gdzie przecinała się z osobliwością, żarzyła się jak stopiona lava.

Część bariery wyrzuciła się w ich stronę i rozmyła, pulsując czerwienią. Przelecieli przez nią.

Pierwsze wrażenie było takie, jakby nagle znaleźli się pod wodą. Rura plazmowa rozdęła się we wszystkich kierunkach na kilka kilometrów, jaśniejac morskim błękitem, który wcześniej Patricia dostrzegła wokół bariery. Dno korytarza było nadal widoczne, ale mniej wyraźne, przyćmione przez

blask plazmy.

Na błądą nitkę osobliwości były nasadzone dwa duże sześciany. Każda z widocznych ścian miała szerokie poziome przecięcie. W przedniej części bliższego sześcianu znajdowało się duże półkoliste wgłębienie z czerwonym otworem pośrodku, w którym znikła osobliwość.

Za sześcianami widniał kilka razy od nich większy cylinder, obracający się wokół osi, którą stanowiła osobliwość. Jego zewnętrzna powierzchnia mieniła się tysiącami świateł. Strona zwrócona do nich była ciemna z wyjątkiem pięciu rzędów latarni kierunkowych.

Za cylindrem znajdowały się trzy wygięte łopatki sięgające na odległość około dziesięciu kilometrów. Dotykały one rury plazmowej lub podtrzymywały ją, a ona w miejscach zetknięcia z łopatkami jarzyła się biało-niebiesko. Cylinder zasłaniał wszystko, co znajdowało się za nim.

– Dom – odezwał się Olmy. Spojrzała na niego, mrugając oczami. – Te konstrukcje to system nawigacyjny i siłownie, wszystko zautomatyzowane. Rolujący cylinder to Axis Nader. Nie widać ich z tej perspektywy, ale dalej leżą Central City, Axis Thoreau i Axis Euclid.

– Dokąd lecimy? – zapytała.

– Do doku w Axis Nader.

– Jak duże jest to miasto?

– Masz na myśli obszar czy liczbę mieszkańców?

– Jedno i drugie.

– Ciągnie się czterdzieści kilometrów wzdłuż Drogi i liczy około dziewięćdziesięciu milionów mieszkańców, w tym dwadzieścia milionów cielesnych, a siedemdziesiąt milionów zmagazynowanych w Pamięci Miasta.

– Aha. – Odwróciła się do ekranu i obserwowała w milczeniu, jak samolot mija sześciany i leci wzdłuż ciemnej strony rolującego cylindra.

– Przypuszczam, że w waszych czasach nazwalibyście Axis City nekropolią, miastem umarłych – kontynuował Olmy. – Dla nas rozróżnienie nie jest tak precyzyjne. Ja, na przykład, umarłem dwukrotnie, pełniąc obowiązki dla Nexus.

– Przywrócili cię do życia? – spytała Patricia.

– Stworzyli mnie na nowo – odparł.

Nie odwróciła się od ekranu, ale po plecach przeszły jej ciarki.

Premier poradził Olmy'emu, żeby natychmiast po przyjeździe zgłosił się do ser Oliganda Tollera. Toller, adwokat Teesa van Hamphuisa, prezydenta hexamońskiego Nexus, był radykalnym geszelem, który zachował całkowicie ludzki wygląd. Fakt, że ten wygląd nie wynikał z genomu – który zmodyfikowano, by uzyskać maksimum cech przywódczych – nie łagodził jego skrajnego konserwatyzmu. Większość radykalnych geszelów, łącznie z prezydentem, przybrała neomorficzne kształty, które miały niewiele wspólnego z ludzkimi.

Premier uważał, że to, co Olmy ma do powiedzenia, bardzo zainteresuje prezydenta. Sam prezydent był nieosiągalny, gdyż brał udział w konferencji poświęconej groźbie ofensywy jartów. Toller pełnił nieoficjalnie funkcję zastępcy.

Nie podobało się to naderytom ani członkom gabinetu van Hamphuisa. Toller nie należał do ludzi, z którymi łatwo się rozmawia. Olmy spotkał się z adwokatem tylko raz i nie poczuł do niego sympatii, chociaż żywił szacunek dla jego zdolności.

Toller miał biuro w najlepszej części Central City, nie dalej niż pięć minut drogi od siedziby Nexus mieszczącej się w centrum. Po załatwieniu sprawy mieszkania dla Patricii, ale jeszcze przed rozmową z własnym adwokatem, Olmy udał się do biura Tollera.

Toller urządził małe prostokątne pomieszczenie w surowym geszelskim stylu: niewiele

sprzętów i ozdób, głównie z platyny i stali.

Adwokat prezydenta nie był zadowolony z wieści, które przyniósł Olmy.

– Premier nie miał żadnych podejrzeń, kiedy wysyłał pana samego? – zapytał Toller. Pytanie wyświetliło się w postaci symboli generowanych przez piktory, urządzenia, które obaj mieli na szyi. Mową graficzną posługiwano się w Thistledown i Axis City od wieków.

– Jego informacje były bardzo ogólnikowe – powiedział Olmy. – Wiedział jedynie, że znowu zajęto Thistledown.

Toller przesłał mu obraz gniazda rojących się węzowatych stworzeń.

– To niezwykła wiadomość, ser Olmy. Gdyby pochodziła od kogoś innego, trudno by mi było w nią uwierzyć. Przywiózł pan kogoś ze sobą, prawda?

– Ona nazywa się Patricia Louisa Vasquez.

– Prawdziwa... przodkini? Olmy skinął głową.

– Dlaczego ją pan tu sprowadził? Jako dowód?

– Nie mogłem jej zostawić. Była bliska odkrycia, jak zmodyfikować maszynę w szóstej komorze.

Toller uniósł brwi i przesłał cztery pomarańczowe kręgi wyrażające zaskoczenie.

– Kim jest ta kobieta?

– Młodą matematyczką – odparł Olmy – bardzo szanowaną przez kolegów.

– I nie zrobił pan nic więcej, żeby uporać się z sytuacją, którą pan zastał w Thistledown?

– Sytuacja na razie jest bardzo niestabilna. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli skonsultuję się z prezydentem i Nexus.

– Poinformuję prezydenta, ale zdaje pan sobie sprawę, że mamy teraz inne poważne kłopoty. Ta konferencja może zdecydować o losie Axis City. Naderyci zaczynają się buntować, zwłaszcza frakcja Korzeniowskiego. Jeśli się dowiedzą... – Gniazdo podobnych do węży stworzeń rozjarzyło się wściekłą czerwienią. – Proszę odizolować tę kobietę i zachować informacje dla bezpośrednich przełożonych..

– Znam swoje obowiązki. Jest odizolowana. – odparł Olmy. – Będzie jednak musiała dostać adwokata.

– Lepiej byłoby tego unikać. – Toller obserwował go z wyraźną podejrzliwością i niepokojem.

– Takie jest prawo. Wszystkim osobom, które nie są obywatelami miasta i nie mają określonego statusu prawnego, należy natychmiast wyznaczyć adwokata.

– Nie ma potrzeby, żeby mi pan cytował przepisy – zauważył Toller. – Wyznaczę adwokata...

– Już to zrobiłem – przerwał mu Olmy.

Na twarzy Tollera odmalowało się głębokie niezadowolenie.

– Kogo?

– Ser Suli Ram Kikurę.

– Nie znam jej. – Zanim skończył zdanie, otrzymał kompletne dane Kikury. Szybko się z nimi zapoznał, korzystając z implanta, i nie znalazł niczego, co uzasadniałoby jego wątpliwości. – Zdaje się, że jest do przyjęcia. Będzie musiała złożyć przysięgę, że dotrzyma tajemnic Hexamonu.

– Już ma do nich dostęp.

– Jesteśmy pogrążeni w politycznym chaosie – powiedział Toller. – Pan przywiózł zapalnik do bomby, jaką jest Axis City. Oczywiście w imię obowiązku.

– Od razu pan poinformuje prezydenta? – zapytał Olmy, przesyłając prośbę o pozwolenie odejścia.

– Jak tylko to będzie możliwe – odparł Toller. – Oczywiście przygotuje pan dla nas pełny raport.

– Już przygotowałem – oznajmił Olmy. – Mogę go od razu przekazać.

Toller skinął głową i Olmy dotknął naszyjnika. W ciągu niecałych trzech sekund raport został przekazany. Toller dotknął swojego piktora na potwierdzenie odbioru.

Suli Ram Kikura mieszkała na obrzeżach Central City w jednym z trzech milionów niewielkich apartamentów zarezerwowanych dla samotnych młodych osób z klasy średniej. Pokoje wydawały się większe niż w rzeczywistości. Poczucie przestrzeni było dla niej tak ważne dla Olmy’ego, który miał mniej nowoczesne, lecz większe mieszkanie w Axis Nader. Tym, co ją pociągało w Olmym, był wiek i charakter, a także zwyczaj wynajdywania dla niej ciekawych spraw.

– To największe wyzwanie, przed jakim kiedykolwiek stanęłam – stwierdziła Suli Ram Kikura.

– Nie mógłbym znaleźć do tego odpowiedniejszej osoby – powiedział. Unosili się naprzeciwko siebie w powietrzu, w przyćmionym świetle, otoczeni przez obrazy kul, na których były wyświetlone ciekawe i odprężające wzory. Właśnie skończyli się kochać, jak zwykle bez zbytnich uniesień i bez pomocy rzeczy bardziej wymyślnych od pól trakcyjnych.

Olmy wskazał na kule i skrzywił się.

– Prostota? – zapytała Ram Kikura.

– Prostota, proszę – potwierdził. Przyciemniła wszystkie światła z wyjątkiem tych, które padały na nich, i wykasowała kule z programu wystroju.

Poznali się, gdy zasięgał informacji, jak uzyskać licencję na posiadanie dziecka. Chodziło mu przede wszystkim o osobowość będącą połączeniem jego własnej i kogoś nieokreślonego. To było trzydzieści lat temu, kiedy Ram Kikura dopiero rozpoczynała praktykę. Udzieliła mu porady prawnej. Żyjący we własnym ciele homomorf o jego pozycji łatwo mógł uzyskać zgodę. Jednak nie złożył oficjalnej prośby. Ram Kikura zrozumiała, że Olmy’ego bardziej interesuje teoria niż praktyka.

Na tym się nie skończyło. Kobieta nie dawała mu spokoju – postępując z uporem i klasą – aż pozwolił się uwieść w ustronnym zakątku Lasu w Central City.

Z powodu swojej pracy Olmy często wyjeżdżał daleko, nawet na kilka lat. To, co między nimi było, mogło się wydawać tymczasowe. Ram Kikura rzeczywiście utrzymywała z innymi mężczyznami przelotne stosunki, chociaż znowu weszły w modę związki trwające dziesięć lat lub dłużej.

Gdy Olmy wracał, uwalniała się od innych zobowiązań. Nigdy nie wywierali na siebie nacisku. Ten spokojny związek dawał im wcale nie trywialne poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Interesowali się sobą, lubili rozmawiać o swojej pracy i zastanawiać się nad przyszłością. Poza tym mieli ciała, ciekawą pracę i uprzywilejowaną pozycję. Z dziewięćdziesięciu milionów obywateli Axis City tylko piętnaście milionów miało ważną pracę do wykonania, a tylko trzy miliony pracowało więcej niż parę godzin dziennie.

– Wygląda na to, że cieszysz się z zadania – zauważył Olmy.

– Taką mam perwersyjną naturę. To najdziwniejsza sprawa, jaką mi podsunąłeś... Jest bardzo ważna.

– Może się okazać niezwykle ważna – powiedział grobowym tonem.

– Nie używamy piktorów?

– Nie, zastanówmy się.

– Dobrze – zgodziła się. – Chcesz, żebym była jej adwokatem. Jak sadzisz, do czego jej będę potrzebna?

- Pomyśl – powiedział Olmy. – Jest przecież taka inna. Będzie się musiała przystosować do nowego otoczenia. Będzie potrzebowała ochrony. Kiedy wszystko wyjdzie na jaw – co według mnie jest nieuniknione, niezależnie od życzeń prezydenta i premiera – wzbudzi sensację.
- Łagodnie to ujmujesz – stwierdziła. Zamówiła wino. W kręgu światła pojawiły się trzy kule wypełnione płynem. Wręczyła Olmy’emu słomkę. – Widziałeś Ziemię?
- Skinął głową.
- Drugiego dnia pobytu w Thistledown wyszedłem z Frantem na powierzchnię. Poczułam, że muszę ją zobaczyć na własne oczy.
- Staroświecki Olmy – roześmiała się Ram Kikura. – Chyba zrobiłabym to samo. I widziałeś Śmierć?
- Tak – odparł, wpatrując się w ciemność. Przeczesał ręką włosy. – Najpierw tylko na ekranie. W otworze wlotowym toczyła się walka, więc nie mogłbym się przedostać. Gdy bitwa się skończyła, wsiałem do statku i zobaczyłem.
- Ram Kikura dotknęła jego dłoni.
- Jak się czuleś?
- Czy kiedykolwiek miałaś ochotę płakać? Przyjrzała mu się uważnie, starając się wy badać, na ile poważnie to mówi.
- Nie.
- Cóż, a ja tak. Wtedy i później za każdym razem, gdy o tym myślałem. W drodze powrotnej chciałem pozbyć się tego uczucia. Miałem parę sesji talsitu. Nie pomogło.
- Ciągle widziałem zasnuty dymami, zniszczony, umierający świat. – Opowiedział jej o rozpaczycy Patricii. Ram Kikura odwróciła się z niesmakiem.
- My nie potrafimy tak się otworzyć – stwierdził. – Może to kolejna rzecz, jaką utraciliśmy.
- Smutek nie jest pozytywnym uczuciem. Świadczy o niemożności zaakceptowania zmiany.
- Są ortodoksyjni naderyci, którzy nadal mają tę umiejętność – przypomniał. – Uważają smutek za szlachetne uczucie. Czasami im zazdroszczę.
- Zostałeś naturalnie poczęty i urodzony. Kiedyś też potrafiłeś się smucić. Znałeś to uczucie. Dlaczego z niego zrezygnowałeś?
- Żeby się dostosować – odparł Olmy.
- Chciałeś się przystosować?
- Z wyższych pobudek. Ram Kikura wzdrygnęła się.
- Nasz gość pomyśli, że jesteśmy bardzo dziwni.
- To jej przywilej – skwitował Olmy.

Burza zaczęła się od gwałtownych zawirowań powietrza. W całej pierwszej komorze utworzyła się gruba warstwa chmur. Naukowcy z bloku zachodniego dokonali szybkich pomiarów wzdłuż głównej drogi, zanim schronili się do ciężarówek. Pył i piasek wzbijały się cienkimi skręconymi pasmami, które następnie rozwijały się, tworząc tumany kurzu. Jego chmury kłębiły się i przetaczały między klapami jak fale w kanale. Kamery w otworze wlotowym zarejestrowały to zjawisko, ale nie można było nad nim zapanować. Albo burza stanowiła część systemu, albo w komorze brakowało skutecznej kontroli pogody. Może uznano, że nie jest konieczna. Mimo wszystko nie była to zamieszкана część Kamienia.

W latach po ponownym zasiedleniu Kamienia nie odnotowano niczego o podobnej sile i gwałtowności. Chmury kurzu powoli opadły, tworząc warstwę o grubości kilku kilometrów. W górze coraz bardziej ciemniały chmury deszczowe.

O piątej po południu, sześć godzin po pierwszych podmuchach wiatru lunął deszcz, który padając przez pokłady kurzu, docierał na ziemię w postaci wielkich kropli błota. Ludzie stłoczyli się w pawilonach osiedli, zaskoczeni i straszeni nagłą zmianą.

Hoffman wyglądała przez spryskane błotem okno. Przerwa w dopływie światła plazmowego była mile widziana. Nareszcie coś w rodzaju nocy. Poczuli się senna.

Przez komorę przebiegały błyskawice. Inżynierowie i żołnierze zmagali się z wiatrem i deszczem, żeby przymocować do budynków piorunochrony.

W pawilonie rosyjskiego dowództwa, pośrodku drugiego osiedla, zignorowano burzę i ciemność. Dyskusja nad strukturą dowodzenia przeciągnęła się do późna. Najbardziej nieustępliwi byli Biełożerski i Jazykow. Wielogorski przyjął wyczekującą postawę.

Mirski upierał się przy militarnej organizacji i nie zgadzał się na jakiegokolwiek ograniczenie swojej władzy, a zwłaszcza na podzielenie się nią z młodszymi oficerami.

Biełożerski zaproponował prawdziwie sowiecką strukturę, z centralnym komitetem partii kierowanym przez sekretarza generalnego – wysunął kandydaturę Wielogorskiego – oraz prezydentem i premierem działającymi za pośrednictwem Rady Najwyższej.

Zaledwie dzień wcześniej Mirski i Pogodin, dowódca pierwszej komory, nadzorowali początek budowy rosyjskiego osiedla w czwartej komorze. Otrzymali pozwolenie na wycinanie drzew w gęstych lasach. Bardzo potrzebne były narzędzia, podobnie jak wiele innych rzeczy.

Negocjacje na temat drugiej komory ożywiły się, kiedy archeolodzy NATO zaprotestowali przeciwko profanacji miejsca, które uważali za swoje. Mirski szorstko poinformował Hoffman, że Ziemiak nie jest już pomnikiem, lecz schronieniem.

Był wyczerpany. Długie sesje w bibliotece trzeciej komory często zamiast snu – pogłębiały uczucie zmęczenia.

A teraz jeszcze to.

Musimy gdzieś pomieścić naszych ludzi, zanim zajmiemy się sprawami politycznymi – oświadczył Mirski. – Mamy tylko prowizoryczne namioty, to osiedle, a Hoffman... – Dziwka – skomentował Biełożerski oschle. – Jest gorsza niż ten głupiec Lanier.

Wielogorski dotknął ramienia Biełożerskiego, który usiadł posłusznie. Wpływ Wielogorskiego na oficerów politycznych nie zaskoczył Mirskiego, ani go nie ucieszył. Mirski był pewien, że potrafi sobie poradzić z Biełożerskim, ale Wielogorski ze swoją zręcznością, powściągliwością i autorytetem oraz Jazykow o przenikliwym, prawniczym umyśle stanowili wyzwanie.

Czy dałoby się zrobić coś, by przekabacić Wielogorskiego i Jazykowa, wykorzystać ich zdolności?

Czuł, że na jego korzyść przemawia ciągła nauka. A może raczej oświecenie. Nigdy przedtem nie mógł do woli buszować po tak zróżnicowanych i ogromnych zbiorach. Dostęp do radzieckich bibliotek – wojskowych i cywilnych – zawsze ściśle ograniczano. Książki były tylko dla tych, którym nakazano zdobywanie wiedzy. Krzywiono się na zwykłą ciekawość.

Nawet nie znał dobrze geografii swojego kraju. Historia była przedmiotem, który go nigdy zbyt nie interesował, w przeciwieństwie do historii podróży kosmicznych. To, czego dowiedział się w tutejszej bibliotece, całkowicie go odmieniło.

Niczego nie wyjawiał kolegom. Zadawał sobie trud, by ukrywać, że zna angielski, niemiecki, francuski, a uczy się japońskiego i chińskiego.

– Przeciwnie – powiedział Biełożerski, patrząc na Wielogorskiego – polityczne względy zawsze muszą być najważniejsze. Nie wolno nam porzucić ideałów rewolucji. Jesteśmy ostatnią twierdzą...

– Tak, tak – przerwał mu niecierpliwie Mirski. – Wszyscy jesteśmy już zmęczeni. Jutro zaczniemy od nowa. Musimy odpocząć. – Spojrzał przez ramię na Garabediana, Pletniewa i Siergieja Pritikina, starszego inżyniera z zespołu naukowego. – Towarzyszu majorze Garabedian, odprowadźcie panów do namiotów i upewnijcie się, czy wszystko w porządku?

– Mamy wiele rzeczy do omówienia, a mało czasu – stwierdził Wielogorski.

Mirski utkwił w nim wzrok i uśmiechnął się.

– To prawda – przyznał. – Ale ludzie zmęczeni robią się źli, a frustracja nie sprzyja myśleniu.

– Są inne rzeczy, które prowadzą do słabości i dekoncentracji – powiedział Wielogorski.

– Właśnie – poparł go Biełożerski.

– Jutro, towarzysze – upierał się Mirski, ignorując zaczepkę. – Musimy być wypoczęci, kiedy spotkamy się z Hoffmanem.

Oficerowie wyszli z pomieszczenia, zostawiając Pritikina i Pletniewa z Mirskim. Starszy inżynier i były dowódca eskadry usiedli przy stole. Mirski potarł oczy i grzbiet nosa.

– Zdajecie sobie sprawę, co się stanie, jeśli Wielogorski i jego marionetki przejmą władzę – powiedział.

– To nie są rozsądni ludzie – stwierdził Pritikin.

– Myślę, że jedna trzecia żołnierzy popiera ich całym sercem, a kolejna jedna trzecia nie popiera nikogo – to malkontenci – powiedział Mirski. – Jestem dowódcą, więc malkontenci mnie nie lubią. Gdyby chodziło o samego Biełożerskiego, nie przejmowałbym się. Malkontenci nienawidzą oficerów politycznych jeszcze bardziej. Ale Wielogorski jest dobrym mówcą. Biełożerski smaga słowami, a Wielogorski głaszcze. Może pokusić się o przejęcie władzy.

– Co zatem zrobimy, towarzyszu generale? – zapytał Pletniew.

– Każdego z was będzie strzegło pięciu ludzi. Wybranych przez Garabediana lub przeze mnie. Barak otoczą komandosi. Pritikin, niech do jutrzejszego popołudnia zespół naukowy przeniesie się do czwartej komory. Wielogorski nie ufa intelektualistom. Może nie tolerować ich obecności, jeśli dojdzie do przewrotu.

Gdy tamci dwaj wyszli, Mirski został sam. Westchnął, marząc o czymś, co pozwoliłoby mu zapomnieć o wszystkim na resztę wieczoru – butelka wódki, kobieta...

Albo kolejne nieprzerwane godziny w bibliotece.

Nigdy w życiu nie czuł większej nadziei niż teraz, mimo że otaczali go podstępni ignoranci.

Plazmolot leciał sterowany przez automatycznego pilota, a czwórka pasażerów spała w kabinie.

Heineman ograniczył prędkość do dziewięciu kilometrów na sekundę. Powyżej tej prędkości kadłub ulegał gwałtownym wibracjom.

Lanier nie spał. Leżał niespokojnie, przypięty do rozkładanego fotela i wpatrywał się w łagodne pomarańczowe światło na suficie. Heineman leżący po drugiej stronie przejścia oddychał równomiernie. Kobiety spały za zasłoną, którą Carrolson rozciągnęła przez środek kabiny. Carrolson pochrapywała cicho. Od strony Farley nie dobiegał żaden dźwięk.

Pożądanie rzadko dręczyło Laniera. Miał całkiem normalny popęd. Zawsze jednak potrafił go kontrolować lub zignorować, gdy sytuacja tego wymagała. Dwuletni celibat na Kamieniu był dla niego mniejszą niedogodnością niż dla innych. Jednak nigdy nie czuł większego pragnienia niż w tej chwili.

Pomimo licznych korzyści zawsze czuł się lekko zawstydzony brakiem temperamentu. Teraz pożądanie opanowało go nie na żarty. Z całych sił powstrzymywał się, żeby nie zakraść się za zasłonę i rzucić na Farley. Pragnienie było jednocześnie zabawne i męczące. Czuł się jak dojrzewający nastolatek, mokry z podniecenia, który nie wie, co zrobić.

Psychiatrzy w jego głowie pracowali w nadgodzinach. „Perspektywa śmierci”, mówił freudysta, „tylko wzmacnia pragnienie prokreacji...”

Leżał więc bezsennie, rozpalony i niezdolny do jasnego myślenia. Nie miał ochoty na masturbację. Sam pomysł był śmieszny. Nie onanizował się od ponad roku.

Czy inni odczuwali to samo? Heineman z pewnością nigdy tego nie robił. Właściwie Lanier nigdy nie słyszał, by inżynier czynił jakieś aluzje na temat seksu, chyba że w rzadko opowiadanych dowcipach.

Czy Farley też się tak czuła?

Na próbę odsunął przykrywający go termiczny koc. Zmusił się do naciągnięcia go z powrotem. Szaleństwo.

W końcu udało mu się zasnąć.

Na stutysięcznym kilometrze radar samolotu VISTOL zarejestrował dużą przeszkodę na kursie. Heineman przejrzał raporty naukowców na temat korytarza w poszukiwaniu jakichś informacji, ale niczego nie znalazł.

– Wygląda, jakby fizycy po prostu wystrzelili promień radarowy wzdłuż osobliwości – powiedział. – A to, co widzimy przed sobą, to ściana z dziurą w środku.

Ściana wyrastająca na drodze sięgała na wysokość dwudziestu jeden kilometrów. Pośrodku widniał otwór o średnicy ośmiu kilometrów. Rura plazmowa i osobliwość ciągnęły się nieprzerwanie dalej.

– Zobaczmy, co jest po drugiej stronie – zaproponował Lanier. – Potem zadecydujemy, gdzie wylądować. Z szybkością zaledwie sześciu kilometrów na sekundę polecili wzdłuż osobliwości. Ściana miała brudnobrązowy kolor, była gładka i niczym się nie wyróżniała. Gdy zbliżyli się do otworu, Carrolson wycelowała teleskop.

– U góry ma tylko metr grubości – oznajmiła. – Sądząc po kolorze, jest zbudowana z tego samego materiału co studnie i korytarz.

– Czyli z niczego – stwierdziła Farley. – Z kosmicznych cegieł Patricii.

Heineman zredukował prędkość do paruset kilometrów na godzinę. Przelecieli przez dziurę.

Po drugiej stronie wyraźnie było widać dno korytarza, nie przesłonięte wcale atmosferą. Wyglądało jak chaotyczna płatanina ciągnących się wiele kilometrów wyżłobień, czarnych plam i szerokich pasów odsłoniętej brązowej powierzchni. Instrumenty potwierdziły ich przypuszczenia.

– Nie ma atmosfery – oznajmiła Farley. – Ściana jest barierą.

Heineman zwolnił jeszcze bardziej, aż w końcu zatrzymali się dwa tysiące kilometrów za ścianą, teraz zredukowaną do maleńkiej plamki w bezlitosnej perspektywie korytarza.

– I co dalej? – zapytał.

– Zawróćmy; znajdziemy krąg studzien – zdecydował Lanier – tak jak planowaliśmy. Sprawdzimy je i polecimy dalej. Nie będziemy tracić czasu. Badania to rzecz drugorzędna.

– Tak jest, sir – odparł Heineman. Obrócił samolot, ustawiając go dziobem w przeciwnym kierunku. – Trzymajcie się; pełne przyspieszenie.

Czterysta kilometrów na południe od ściany zlokalizowali studnie i zwolnili, żeby przygotować się do lądowania. Przymocowali wszystkie luźne przedmioty, a Heineman odczepił samolot od plazmolotu. Gdy włączyły się dysze korygujące, odlecieli od osobliwości. Heineman ustawił samolot dziobem w dół.

Inaczej niż w komorach asteroidu, samolot natychmiast rozpoczął powoli, potem coraz szybciej wytracanie wysokości, odpychany przez osobliwość czy też przyciągany przez podłogę. Cztery kilometry niżej Heineman trzy razy na krótko włączał silnik raketowy i skierował dziób samolotu na północ.

– Nie lądowałbym w ten sposób w komorze – wyjaśnił – ale w korytarzu to jest najlepsza taktyka. Tutaj lecąc spiralnym kursem nie uderzymy w atmosferę. Zamierzam więc wykonać długi ślizg w dół. Garry, weź stery i staraj się wyczuć, co robię.

Lanier chwycił drążek, w chwili gdy Heineman zadarł dziób samolotu w górę. Nastąpiła seria wstrząsów. Na zewnątrz kadłuba zaczęło narastać wycie. Heineman opuścił klapy, żeby zmniejszyć prędkość lotu, i łagodnie skrzył w prawo, obniżając jednocześnie dziób i wysuwając łopaty śmigła z gondoli silnikowych. Słyszając warkot dwóch silników turbośmigłowych, uśmiechnął się jak chłopiec.

– Panie i panowie – powiedział – jesteśmy w samolocie. Garry, chciałbyś go sprowadzić na ziemię?

– Z przyjemnością – odparł Lanier. – Pasażerowie proszeni są o zapięcie pasów.

– Tak jest – powiedziała Carrolson.

– Świetna zabawa. Zrobmy to jeszcze raz! – zawołała Farley.

– Teren wygląda na dość gładki, ale polecimy kawałek dalej i zdecydujemy, czy wykonamy krótkie lądowanie, czy pionowe – oznajmił Heineman.

Lanier położył samolot na skrzydło i okrążył studnię, a następnie przeleciał nad kopułą na wysokości pięćdziesięciu metrów, zwalniając dzięki ustawieniu śmigieł pod kątem w górę. Heineman obejrzał miejsce lądowania i uniósł kciuki w górę.

– W dole jest gładki piasek.

Lanier łagodnie posadził samolot na ziemi z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując dziób w stronę wgłębienia i kopuły. Następnie zredukował stopień pochylenia łopat i podkołował na skraj otworu. Huk silników ucichł.

– Bravo – pochwalił Heineman.

– Boże, to było wspaniałe – powiedział Lanier. – Nie latałem od sześciu lat... i nigdy w taki sposób. Patrzysz na ziemię i zawsze ci się wydaje, że zaryjesz prosto w nią.

– Jeśli nam pomożecie, piloci – przerwała mu Carrolson – szybciej uporamy się z robotą.

Carrolson zrobiła zdjęcia, a Farley przeprowadziła pomiary. Studnia była otwarta. Kilkanaście metrów od unoszącej się w powietrzu kopuły znajdowała się platforma z dwiema nieregularnymi kulami w czerwone i czarne kropki, o średnicy trzech metrów każda.

Zeszli po zboczu. Heineman wspiął się po drabince na platformę i obszedł rusztowanie z kulami.

– Skafandry kosmiczne – stwierdził.

– Tu jest jakaś informacja! – zawołała Farley. Wskazała na brązową tabliczkę umieszczoną na postumencie obok studni. Mimo że alfabet był łaciński, z wyraźnymi literami A, G i E, nie potrafili odczytać napisu.

– To nie jest greka ani cyrylica – doszła do wniosku Carrolson. – To musi być tutejszy język.

– Sfotografowała tabliczkę z trzech stron.

– Nigdy nie zetknąłem się z czymś takim w bibliotekach – powiedział Lanier. Zrobił krok w stronę krawędzi studni i poczuł nagły opór, jakby wszedł w melasę.

– Ostrzeżenie – dobiegł skądś głęboki, groźny męski głos. – Ostrzeżenie dla osób posługujących się językiem angielskim z dwudziestego pierwszego wieku. Nie próbujcie wejść bez zabezpieczenia do żadnej bramy w tym rejonie. Ze względu na wysoką grawitację i żrącą atmosferę należy założyć skafandry. Ostrzeżenie. Carrolson dotknęła tabliczki i gwizdnęła.

– Popatrzcie. – Litery zmieniły się. To samo ostrzeżenie, które wypowiedział głos, pojawiło się napisane po angielsku. – To dopiero obsługa.

Heineman przesunął dłońmi po górnej powierzchni jednej z kul i namacał wgłębienie. Nacisnął ostrożnie. Nic się nie wydarzyło.

– Przepraszani – odezwała się Farley nie wiadomo do kogo. Lanier spojrzał na nią. Odpowiedziała mu zakłopotanym uśmiechem. – Przepraszam, ale jak mamy skorzystać ze skafandrów, z... patoskafów? – zapytała, zwracając się do spodniej części kopuły.

– Batyskafów – poprawiła ją Carrolson.

– Właśnie. Chcemy wejść do studni.

– Pojazdy reagują na polecenia wydawane w waszym języku. Macie pozwolenie na wyprawę przez bramę?

– Jakie pozwolenie?

– Pozwolenie Nexus. Wszystkie bramy są kontrolowane przez Nexus. Proszę w ciągu trzydziestu sekund okazać pozwolenie albo brama zostanie zamknięta.

Spojrzeli na siebie. Czas mijał.

– Brak pozwolenia – obwieścił głos beznamiętnie. – Bramy zostają zamknięte do czasu zbadania sprawy przez ekipę nadzorującą.

Lanier odsunął się od niewidzialnej bariery. Otwór dwudziestometrowej szerokości zasklepił się cicho, tworząc gładkie brązowe wybrzuszenie. Heineman stojący na rusztowaniu wrzasnął i zeskoczył w momencie, kiedy kule i rusztowanie zapadły się we wgłębienie, znikając bez śladu.

Farley zakłęła po chińsku.

– No cóż – powiedziała Carrolson z westchnieniem. – I tak nie mamy czasu na zabawę w turystów.

Krajobraz wokół studni był monotony: sam piasek bez śladów życia. Z powodu suchego powietrza wszystkich wkrótce zaczęło drapać w gardłach. Z pewną ulgą wsiedli do swojego samolotu, zamknęli właz i wystartowali.

– To dopiero zabawa – stwierdził Heineman. – Maszyna działa jak marzenie. – Oderwał samolot od ziemi i zwiększył prędkość, nachylając gondole silnikowe do przodu. Wznosili się

w równym tempie. – Abrakadabra – zawołał, gdy zbliżyli się na kilometr do rury plazmowej i górnych warstw atmosfery. Schował łopaty śmigieł i uruchomił silnik zamontowany w ogonie. Nagłym skokiem przebili się przez atmosferę i rurę plazmową, wchodząc w próżnię otaczającą osobliwość. Kilkakrotnie włączając dysze korygujące, Heineman zbliżył się do plazmolotu i korzystając z komputerów pokładowych dokonał połączenia.

– Jest piękny, prawda? – zachwycił się, potrząsając głową.

– Nieprędko wydobędziemy od nich zgodę na rozbrojenie – powiedział Gerhardt do Hoffman w drodze ze stacji do osiedla w czwartej komorze. – Bardziej boją się siebie nawzajem niż nas i nikt nie zda broni, dopóki sytuacja się nie unormuje.

– Jak myślisz, kto zdobędzie władzę? Gerhardt wzruszył ramionami.

– Żadnych zakładów. Wszyscy oni to twardzi dranie. Mam nadzieję, że Mirski.

– Bywa w bibliotece w trzeciej komorze częściej niż ktokolwiek z nas – zauważyła Hoffman.

– Musi się więcej nauczyć – skwitował Gerhardt. – Rosjanie nie potrzebują wykształconych żołnierzy.

– Myślę, że powinniśmy się cieszyć z rozejmu i osobnych obozów.

Gerhardt otworzył drzwi baru. Czekają tam na nich czworo specjalistów od rolnictwa – mężczyzna i trzy kobiety. Przywitali się i zajęli miejsca. Gerhardt zamówił skromny posiłek i usiadł przy sąsiednim stoliku; nie był bezpośrednio zainteresowany.

– Sprawy wyżywienia – powiedziała Hoffman. – Uprawa roli. Dobrze. Bierzmy się do roboty.

Przewrót nastąpił zaledwie osiemnaście godzin po naradzie w bungalowie. Burza w pierwszej komorze uspokoiła się jeszcze szybciej, niż się zaczęła. Wiatry ucichły, deszcz przestał padać, chmury rozeszły się. Rozbłysło znów światło rury plazmowej, a powietrze się ociepliło.

Biełożerski rozkazał plutonowi otoczyć bungalow i zatrzymać Mirskiego. Oficjalnym powodem był brak oddania sprawie socjalizmu. W rzeczywistości wszyscy trzech oficerowie polityczni uważali, że generał porucznik jest słaby i wkrótce pójdzie wobec Hoffman na ustępstwa, na które Sowieci nie mogą sobie pozwolić.

Pluton sprawnie przeprowadził akcję. Dwudziestu wartowników poddało się bez oporu, a Biełożerski podszedł do drzwi baraku, żeby aresztować Mirskiego. Trzej krzepcy komandosi kopnięciami wyważyli drzwi, trzymając broń gotową do strzału.

Biełożerski wszedł do środka.

– Towarzyszu generale! – krzyknął załamującym się głosem. – Nadużył pan zaufania swoich ludzi. W imieniu nowo utworzonej Rady Najwyższej jest pan aresztowany!

Komandosi wskoczyli do środka. Pletniew usiadł na pryczy, mrugając oczami.

– Generała Mirskiego nie ma – oznajmił ochryłym głosem. – Czym mogę służyć?

Po naradzie z Mirskim Wielogorski uciął sobie krótką drzemkę, a następnie, korzystając z tego, że burza ustaje, wyprowadził trzy ciężarówki z pięćdziesięcioma żołnierzami z pierwszej komory i pojechał na stację metra, skąd odchodził zarezerwowany dla Rosjan pociąg do czwartej komory.

Koledzy chcieli pozbyć się go w ten sposób, na wypadek gdyby coś poszło nie tak podczas aresztowania Mirskiego. Przez kilka godzin mógł się więc cieszyć lasami czwartej komory. Szczególnie spodobał mu się widok żołnierzy ścinających drzewa i ściągających je do wody. W dzieciństwie fascynowały go opowieści o budowie kolei transsyberyjskiej. Teraz sam był świadkiem karczowania pól pod uprawę, budowania chat, wznoszenia wzdłuż dróg rosyjskich osad. „Z tej porażki mimo wszystko może wyniknąć coś dobrego”, pomyślał. „Powstanie czystsza, mniej zepsuta i ściślej kontrolowana socjalistyczna społeczność, która w końcu obejmie władzę nad asteroidem i wróci na Ziemię, by dokończyć zadanie, zapoczątkowane osiemdziesiąt lat temu przez Lenina.

Rzeczy toczyły się teraz ze zdumiewającą szybkością. Za ledwie dziewięć dni temu

wylądowali na Ziemiaku, a teraz obejmowali w posiadanie najbardziej atrakcyjną z siedmiu komór. Czyż to nie świadczyło o słabości przeciwników?

Podeszło do niego trzech komandosów. Ich dowódca niósł jakieś papiery. Wielogorski zapewne miał je podpisać jako nadzorca prac prowadzonych w czwartej komorze.

– Pułkowniku – odezwał się żołnierz, wysuwając zza papierów pistolet. Wycelował go w Wielogorskiego i zdjął czapkę.

– Mirski – stwierdził Wielogorski, nie tracąc panowania nad sobą.

Przekonał się, że pozostali dwaj to Pogodin i Pritikin. Każdy z nich miał przewieszony przez ramię karabin. Mirski wziął oficera politycznego za ramię i przystawił mu pistolet do boku.

– Ani słowa, proszę.

– Co pan wyprawia? – szepnął Wielogorski chrapliwie. Mirski mocniej przycisnął pistolet.

– Spokojnie. Jakies szczury buszują w moim baraku. Ruszyli odmierzonym krokiem do ciężarówki czekającej nad brzegiem jeziora. Pogodin bezceremonialnie wepchnął Wielogorskiego do skrzyni ładunkowej i zarzucił na niego brezent, sam wskoczył do środka i lekko postukał kolbą karabinu w wypukłość, jaką tworzyła głowa oficera.

Mirski siadł za kierownicą i spojrzął na żołnierzy pracujących w lesie. Inna grupka grała w coś w rodzaju baseballa, posługując się gałęziami i szyszkami. Nikt nie zainteresował się ciężarówką.

– Dokąd jedziemy, generale? – zapytał Wielogorski głosem stłumionym przez brezent.

– Cicho, sir – warknął Pogodin, znowu szturchając jeńca karabinem.

◇

Wyszedł z pierwszej komory i pojechał na stację metra, skąd odchodził zarezerwowany dla Rosjan pociąg do czwartej komory.

Koledzy chcieli pozbyć się go w ten sposób, na wypadek gdyby coś poszło nie tak podczas aresztowania Mirskiego. Przez kilka godzin mógł się więc cieszyć lasami czwartej komory. Szczególnie spodobał mu się widok żołnierzy ścinających drzewa i ściągających je do wody. W dzieciństwie fascynowały go opowieści o budowie kolei transsyberyjskiej. Teraz sam był świadkiem karczowania pól pod uprawę, budowania chat, wznoszenia wzdłuż dróg rosyjskich osad. „Z tej porażki mimo wszystko może wyniknąć coś dobrego”, pomyślał. „Powstanie czystsza, mniej zepsuta i ściślej kontrolowana socjalistyczna społeczność, która w końcu obejmie władzę nad asteroidem i wróci na Ziemię, by dokończyć zadanie, zapoczątkowane osiemdziesiąt lat temu przez Lenina.

Rzeczy toczyły się teraz ze zdumiewającą szybkością. Zaledwie dziewięć dni temu wylądowali na Ziemiaku, a teraz obejmowali w posiadanie najbardziej atrakcyjną z siedmiu komór. Czyż to nie świadczyło o słabości przeciwników?

Podeszło do niego trzech komandosów. Ich dowódca niósł jakieś papiery. Wielogorski zapewne miał je podpisać jako nadzorca prac prowadzonych w czwartej komorze.

– Pułkowniku – odezwał się żołnierz, wysuwając zza papierów pistolet. Wycelował go w Wielogorskiego i zdjął czapkę.

– Mirski – stwierdził Wielogorski, nie tracąc panowania nad sobą.

Przekonał się, że pozostali dwaj to Pogodin i Pritikin. Każdy z nich miał przewieszony przez ramię karabin. Mirski wziął oficera politycznego za ramię i przystawił mu pistolet do boku.

– Ani słowa, proszę.

– Co pan wyprawia? – szepnął Wielogorski chrapliwie. Mirski mocniej przycisnął pistolet.

– Spokojnie. Jakieś szczury buszują w moim baraku. Ruszyli odmierzoną krokiem do ciężarówki czekającej nad brzegiem jeziora. Pogodin bezceremonialnie wepchnął Wielogorskiego do skrzyni ładunkowej i zarzucił na niego brezent, sam wskoczył do środka i lekko postukał kolbą karabinu w wypukłość, jaką tworzyła głowa oficera.

Mirski siadł za kierownicą i spojrzał na żołnierzy pracujących w lesie. Inna grupka grała w coś w rodzaju baseballa, posługując się gałęziami i szyszkami. Nikt nie zainteresował się ciężarówką.

– Dokąd jedziemy, generale? – zapytał Wielogorski głosem stłumionym przez brezent.

– Cicho, sir – warknął Pogodin, znowu szturchając jeńca karabinem.

Przez następne pół miliona kilometrów korytarz wyglądał tak samo: pozbawiony powietrza, jałowy, poznaczony bliznami. Członkowie wyprawy zrezygnowali z drugiego lądowania. Lądowanie i start w próżni wymagały zbyt dużej ilości paliwa. Gdyby pustynny teren ciągnął się jeszcze, poza milionowy kilometr, mieli zawrócić. Tak postanowił Lanier.

– Myślisz, że wszędzie jest tak jak tutaj? – zapytała Farley, siadając obok niego.

Lanier potrząsnął głową.

– Dokądś musieli zabrać Patricię.

– Pomyślałeś o studniach? Może tamtędy opuścili korytarz. Nie możemy za nimi polecieć.

– Zastanawiałem się nad tym, ale mam przeczucie, że nie skorzystali ze studni.

– Kolejna ściana! – zawołał Heineman.

Zebrawi się w kokpicie. Carrolson usiadła w fotelu drugiego pilota, a Farley i Lanier stanęli w luku. Lanier wyraźnie czuł bliskość kobiecego ciała.

Lot wzdłuż osobliwości powodował zawroty głowy.

Lanierowi kojarzył się z jazdą rurą odpływową. Pocięty fioletowymi, brązowymi i czarnymi bliznami, które odstaniały brudnobrązowy materiał konstrukcyjny, korytarz umykał w tył. Co pół sekundy odzywał się radar śledzący.

– Na miejsca – polecił Heineman. – Rozpoczynamy hamowanie. Tym razem włączę wsteczny ciąg, ze względu na radar. Przeciężenie wyniesie dwie dziesiąte g.

Carrolson zapięła pasy i uśmiechnęła się kpiąco do Laniera.

– Wracaj do kabiny, szefie – powiedziała. – Ja tu byłam pierwsza.

Lanier i Farley ominęli pudła ze sprzętem i usiedli obok siebie. Lanier wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Pożądanie było niemal nie do zniesienia.

– Coś nie w porządku? – zapytała Farley.

– Nie. – Dotknął jej dłoni uspokajającym gestem i zaraz cofnął rękę.

– Dobrze się czujesz?

Uśmiechnął się bez przekonania i skinął głową.

– Coś jest nie tak, Garry. Znam cię już trochę...

– Będziemy na miejscu za jakąś godzinę! – zawołał Heineman z kokpitu.

– Więc o co chodzi? – nalegała Farley. Odetchnął głęboko i poczerwieniał na twarzy.

– Nie mogę nic na to poradzić, Karen. To szaleństwo. Ja... od kilkunastu godzin mam erekcję. Nie chce ustąpić.

Spojrzała na niego bez wyrazu. Potem jej oczy nagle rozszerzyły się.

– Sama zapytałaś – przypomniał.

– Tak ogólnie?

– Nie.

– Ktoś w szczególności.

– Tak – odparł.

– Kto... a może nie powinnam pytać?

Pokazał palcem na nią, trzęsąc się od tłumionego śmiechu. Miał twarz czerwoną jak burak i wydawał dźwięki, jakby się dusił.

– To zabawne?

– Nieee – wystękał, opanowując śmiech. – To szaleństwo.

– Nigdy przedtem się mną nie interesowałaś?

– Nie, to znaczy tak, jesteś bardzo atrakcyjna, ale...

– Więc się zamknij. – Zaczęło się hamowanie. Karen odpięła pas i powoli ruszyła w stronę kokpitu, przytrzymując się uchwytów zamocowanych na bokach foteli.

– Poczekaj – powiedział Lanier, wyciągając do niej rękę. Spojrzał ponad zagłówkiem. – Karen!

Farley zatrzymała się w luku.

– Obudźcie nas, kiedy dolecimy do ściany – powiedziała znacząco, zdecydowanym gestem zasuważąc ściankę działową. Poszybowała z powrotem przejściem. Uklęła jednym kolaniem na jego fotelu, a drugim na sąsiednim.

– Przepraszam... – zaczął Lanier.

– Nie ma za co – odparła Karen. Rozpięła suwak i zdjęła kombinezon. Pod spodem miała podkoszulek z wydrukowanym na przodzie ideogramem wieloryba, co było chińską nazwą Kamienia. Ściągnęła ją szybkim ruchem i zsunęła białe majtki.

Lanier patrzył zaszokowany.

– Powinieneś być powiedzieć wcześniej – skarciła go. – Wszystko, co przeszkadza ci w myśleniu, jest zagrożeniem dla naszej wyprawy. – Wcisnęła ubranie do kieszeni fotela.

Lanier zdjął kombinezon, zerkając nerwowo na ściankę działową kokpitu. Karen położyła się na dwóch fotelach. Dzięki hamowaniu mieli przynajmniej poczucie kierunku.

– Nigdy nie umieszczałeś swojego nazwiska na liście towarzyskiej – powiedziała Farley, biorąc go za rękę i przyciągając do siebie. – Z pewnością nie dlatego, że jesteś nieśmiały.

Lanier dotknął piersi Karen. Serce waliło mu jak młotem. Delikatnie przesunął palcami po jej ciele.

– Nigdy nikogo bardziej nie potrzebowałem – wyznał.

Carrolson pojawiła się na drabince pośrodku przejścia między fotelami.

– Za dziesięć minut będziemy na miejscu – oznajmiła. Spojrzała przeciągle na Farley, a potem na Laniera. Oboje ubrali się już wcześniej i teraz siedzieli naprzeciwko siebie. – Ta ściana jest podobna do pierwszej, ale wznosi się ponad poziom atmosfery, a wokół osobliwości jest mniejszy prześwit, nie większy niż sto metrów. Powinniśmy jednak przeprowadzić takie same badania jak poprzednio.

– Dobrze – powiedziała Farley.

– Garry... – zaczęła Carrolson, przyglądając mu się uważnie.

– Co?

– Mniejsza o to. – Zeszła po drabince, wracając do kokpitu.

– Ależ mi wstyd – mruknął Lanier.

– Bo jesteś człowiekiem? – zapytała Farley.

– Mam obowiązki.

– Wszyscy na Kamieniu je mają – odparła. – A przez cały czas były jakieś skoki w bok.

Wbrew sobie zachichotał.

– Chyba żartujesz.

– Nie mów mi, że nic nie zauważyłeś. Potrząsnął głową.

– Naprawdę nie. Szef dowiaduje się ostatni.

– Tylko jeśli jest ślepy. Wątpię, czy takie rzeczy ujdą uwagi Hoffman.

– W porządku, więc jestem... sam nie wiem. Nie pruderyjny, ale może trochę niewinny – powiedziała Farley, dotykając jego ramienia. – I nie przejmuj się, nadal jesteś szefem.

Wielogorski miał trudności z zachowaniem spokoju. Pocił się obficie. Głos miał zachrypnięty. Mirski niemal mu współczuł.

Zbliżali się do ogromnych czarnych drzwi biblioteki w trzeciej komorze. Pogodin i Pritikin poganiali jeńca kolbami karabinów. Mirski szedł za nimi wolniejszym krokiem.

– To tutaj tracił pan czas – rzucił Wielogorski przez ramię.

– Nigdy pan tu nie był? – zapytał Mirski, udając zdziwienie. – Choćby z ciekawości?

– To nic niewarte – stwierdził Wielogorski. – Amerykańska propaganda. Po co marnować czas?

Mirski roześmiał się, raczej zirytowany niż rozbawiony.

– Ty biedny sukinsynu – powiedział. – Ludzie, którzy zbudowali ten międzygwiazdny statek, byli tak samo Amerykanami jak ty lub ja. – Zatrzymali się przed rzędami krzesel i chromowanych pulpity.

– Jeśli mnie zabijecie, Bielożerski i Jazykow będą kontynuowali dzieło.

– Nie zamierzam cię zabić – oznajmił Mirski. – Potrzebujemy siebie nawzajem. Siadaj.

Wielogorski stał w miejscu, trzęsąc się jak mokry pies.

– Krzesła cię nie zjedzą – powiedział Pogodin, popychając go znowu.

– Nie możecie mi zrobić prania mózgu – wybuchnął oficer.

– Nie, ale możemy cię wyedukować. Siadaj. Wielogorski wolno opadł na najbliższe krzesło, lękliwie zerkając do pulpitu.

– Zmusisz mnie do czytania książek? To idiotyczne. Mirski obszedł go i sięgnął do przycisków.

– Chciałbyś nauczyć się angielskiego, francuskiego, niemieckiego? Wielogorski nie odpowiadał.

– Nie? Więc może chciałbyś poznać trochę historii. Nie z amerykańskiego punktu widzenia, lecz z punktu widzenia naszych potomków. Rosjan, którzy przeżyli Śmierć.

– Nie obchodzi mnie to – odparł Wielogorski, blady i wilgotny na twarzy.

– Właśnie to Amerykanie ukrywali przed nami – powiedział Mirski. – Czy nie jest twoim obowiązkiem sprawdzenie, o jaki skarb się biliśmy? Twoi przełożeni nie mogą tego zrobić. Nie żyją albo wkrótce umrą. Cała Ziemia będzie przez najbliższe lata zasnuta dymami. Miliony ludzi umrą z głodu lub zamarzną. Do końca dekady zostanie przy życiu niecałe dziesięć milionów naszych rodaków.

– Mówisz nonsensy – stwierdził Wielogorski, wycierając twarz rękawem.

– Ten statek zbudowali nasi potomkowie – oświadczył Mirski. – To nie jest propaganda. To brzmi jak bajka, ale jest prawdą, Wielogorski, i wszystkie nasze kłótnie nie zdołają jej zmienić. Walczyliśmy i umieraliśmy, żeby poznać prawdę. Będziesz zdrajcą, jeśli ją odrzucisz..

– Proponujesz, żebyśmy się podzielili władzą? – zapytał Wielogorski, spoglądając na niego. Mirski zaklął pod nosem i włączył maszynę.

– Będzie mówiła do ciebie po rosyjsku – powiedział. – Nauczy cię obsługi i odpowie na wszystkie pytania. Zaczynaj.

Wielogorski wlepił wzrok w zawieszony przed nim w powietrzu symbol biblioteki.

– Pytaj.

– Od czego mam zacząć?

– Zaczynaj od naszej przeszłości. Od tego, czego nas uczyli w szkole.

Symbol zmienił się w znak zapytania.

– Powiedz mi o... – Wielogorski spojrzał na Mirskiego.

– Śmiało. To nie boli. Ale uzależnia.

– Powiedz mi o Mikołaju Pierwszym.

– Bezpiecznie – stwierdził Mirski. – Dawne dzieje. Zapytaj o strategiczne plany armii radzieckiej od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do dwutysięcznego piątego. – Mirski uśmiechnął się. – Nigdy nie byłeś ciekawy?

– Więc powiedz mi... o tym – wyjąkał Wielogorski. W polu widzenia Wielogorskiego pojawiły się i szybko zniknęły liczne kolorowe symbole. Komputer wyszukiwał dane. Potem się zaczęło.

Po półgodzinie Mirski kazał Pogodinowi i Pritikinowi wracać do czwartej komory. Skinieniem głowy wskazał na pogrążonego w transie Wielogorskiego.

– Nie będzie z nim kłopotów. Przypilnuję go.

– Kiedy my będziemy mieli szansę? – zapytał Pritikin.

– Gdy tylko będziecie wolni, towarzysze – odparł Mirski. – Biblioteka jest otwarta dla wszystkich.

Biełożerski z zadziwiającą siłą poderwał z krzesła ciężkiego muskularnego Pletniewa.

– Zawsze poznaję, gdy ktoś zmyśla! – ryknął.

– To łatwo udowodnić – odparł Pletniew, uwalniając się z rąk Biełożerskiego. – Musimy tam pojechać. Towarzysze Pritikin i Sinowiew powiedzieli nam wszystko. Siódma komora nie ma końca. Ciągnie się dalej.

Biełożerski cofnął się powoli, zaciskając pięści. – Bzdury. Pritikin i Sinowiew to intelektualiści. Dlaczego miałbym im wierzyć? Jazykow skinął na trzech żołnierzy.

– Sprzedałeś nas za swoją nędzną skórę – powiedział. – Twoim obowiązkiem było zginać, a nie przychodzić z płaczem do Amerykanów.

– To był koniec – zaprotestował Pletniew. – Nie mieliśmy wyboru.

– Ta skała może być nasza! – krzyknął Jazykow. – A teraz mów, gdzie jest Mirski?

– Powiedziałem wam. W czwartej komorze.

– Gówno. Jest w swojej ukochanej bibliotece – powiedział Biełożerski.

– Więc tam go aresztujemy – stwierdził Jazykow. – Teraz powinniśmy znaleźć Garabediana i Annenkowskiego. To także ludzie Mirskiego. Towarzyszu Pletniew, osobiście rozstrzelałem was pod drugą ścianą siódmej komory, świadectwem waszej naiwności. Rozprysnie się na niej wasz wywrotowy mózg. – Z wyrazem niesmaku na twarzy uniósł ręce. – Pilnujcie go, dopóki nie znajdziemy pozostałych.

Rimskaya wszedł po schodach i zapukał do drzwi dawnego gabinetu Laniera, obecnie zajmowanego przez Hoffman. Otworzyła Beryl Wallace.

– Wiadomość od Sowietów – oznajmił krótko. Miał bladą twarz i wyglądał, jakby nie spał od wielu nocy.

– Coś ważnego? – zapytała Beryl.

– Beryl, nie odgrywaj przede mną służbistki i idealnej sekretarki. Gdzie jest Judith?

– Na konferencji z naczelnym lekarzem. Nie chcę być nadgorliwa, ale ona naprawdę jest bardzo zajęta.

– Tak, a Sowietci są zajęci byciem Sowietami. W powietrzu wiszą kłopoty. – Potarł oczy i zamrugał.

– Wezwę ją. Spotkacie się na parterze. Rimskaya ciężko zszedł po schodach.

Hoffman wyszła z sali konferencyjnej, wzięła od Rinskai tabliczkę i szybko ją przeczytała. Ona również wyglądała na wyczerpaną, choć mniej niż Rinskaya. Oczy miała zaczerwienione, a twarz nabrzmiała z braku snu.

– Jaką funkcję pełni Biełozerski?

– Oficera politycznego – poinformował Rinskaya. Ręce mu drżały. – Jest majorem. Rozmawiałem z nim raz czy dwa.

– Co o nim sędzisz? Rinskaya ponuro potrząsnęła głową.

– Twardogłowy, ignorant, pozbawiony wyobraźni. Martwią mnie pozostali dwaj, Wielogorski i Jazykow. Są bystrzejsi, bardziej niebezpieczni. Jeśli twierdzą, że usunęli Mirskiego i musimy rozmawiać z nimi, to prawdopodobnie tak jest.

– Więc zorganizuj spotkanie. Nie możemy wstrzymać negocjacji z powodu ich wewnętrznych nieporozumień. I wywiedz się od – jak on się nazywa? – Sinowiewa lub Pritikina, co się dzieje i jakie są nastroje wśród cywilów.

– Nie ma ich tutaj. Może są w areszcie albo nie żyją.

– Myślisz, że już do tego doszło? – zapytała Hoffman.

– Działają jak prawdziwi Rosjanie – stwierdził Rinskaya, rozkładając ręce.

– Będę na konferencji jeszcze jakąś godzinę. Umów się z nimi za półtorej.

– Lepiej zaproponować porę spotkania, a potem kazać trochę poczekać – zasugerował Rinskaya.

– Ty się tym zajmij.

Patrzyła, jak wysoki, surowy matematyk wychodzi z baraku, a potem wbiła wzrok w pustą ścianę nad biurkiem Ann. Sekretarka była na obiedzie w barze.

– Tylko trzydzieści sekund – powiedziała Hoffman, starając się nie myśleć o niczym. Oddychała równomiernie, palcem lekko stukając w róg biurka, jakby wybijała rytm jakiegoś wewnętrznego zegara. Gdy minęło pół minuty, zacisnęła na chwilę powieki, wzięła głęboki oddech i ruszyła do sali konferencyjnej.

Plazmolot przeleciał powoli przez drugą ścianę. Jakiś kilometr za ścianą, równoległe do niej, na nagim brązowym podłożu stał rząd budowli koloru cegły. Każda z nich umieszczona była na kwadratowej podstawie o boku około dwustu metrów i wznosiła się harmonijką stopni, z których każdy był lekko skręcony, tworząc zaokrągloną, półspiralną piramidę.

– Strzał w dziesiątkę! – zawołał Heineman, wskazując w głąb korytarza. W dole przesuwwały się pasy światła. Pasy układały się w wiele poziomów jak skomplikowany system bezkolizyjnych autostrad. – Nie jesteśmy sami.

– Jak daleko dolecieliśmy? – zapytała Carrolson.

– Siedemset siedemdziesiąt tysięcy kilometrów – powiedział Heineman. – Garry, mógłbyś za mnie popilotować? Muszę zrobić koniecznie pomiary.

– Polecimy teraz z prędkością dziewięćdziesięciu lub stu kilometrów na godzinę – postanowił Lanier.

– Zgoda. Trochę mnie niepokoi myśl o spotkaniu z mieszkańcami, kimkolwiek są – przyznał się Heineman, wstając z fotela. Znowu poruszali się ze stałą prędkością, więc byli w stanie nieważkości.

– Dlaczego miałbyś się tym martwić, pomijając oczywiste powody? – zapytała Farley.

– Oczywiste powody wystarczą, ale szczerze mówiąc, nie podoba mi się lot wzdłuż osobliwości. Przyszło mi do głowy, że ci, którzy mieszkają tam w dole, nie lubią obcych podróżujących w ten sposób. Może mają inne pojazdy. Tak czy inaczej, gdybyśmy uderzyli w coś z prędkością ośmiu czy dziewięciu kilometrów na sekundę, byłyby poważne kłopoty. Stanowimy zagrożenie, nie sądzicie?

– Nie pomyślałem o tym – powiedział Lanier, sadowiac się w fotelu pilota.

– Cóż, teraz, kiedy możesz już jasno myśleć... – Heineman spojrzał na niego surowo i poklepał po ramieniu. – Dziewczyno, bierzmy się do pracy.

Rozmieścili instrumenty w różnych miejscach samolotu i zainstalowali dodatkowe czujniki. Lanier wpatrywał się w korytarz, zafascynowany widokiem powodzi światła. Nawet przez lornetkę nie mógł zobaczyć niczego więcej oprócz jasnych plam, kontrastujących z czernią pasów.

Coś dużego i szarego przesłoniło mu pole widzenia. Opuścił lornetkę. Ponad pasami sunął w powietrzu, kierując się na południe, dysk o szerokości co najmniej pół kilometra. Kolejny dysk podążał podobnym kursem dwadzieścia czy trzydzieści stopni na zachód.

– Żadnych spójnych sygnałów radiowych – oznajmił Heineman. – Mikrofale, promieniowanie X, gamma, cieplne, i to wszystko. Radar wykrył coś sporego, co znajduje się na samej osi w odległości ćwierć miliona kilometrów i ma powierzchnię minimum piętnastu kilometrów kwadratowych.

– Widzę to – powiedział Lanier, patrząc na ekran. – Wokół tego i wzdłuż ściany korytarza poruszają się jakieś obiekty.

– Nie pytaj mnie, co to jest – uprzedził Heineman, obserwując szare dyski. Był zaintrygowany i zaniepokojony. – Ani jak długo zostawią nas w spokoju.

– Przynajmniej jesteśmy mali – odezwała się Farley. – Może nas nie zauważą.

– Na pewno zauważą – odparł Heineman. – Dziesięć do jednego, że ta duża rzecz przed nami również porusza się po osobliwości.

Pięćset kilometrów za ścianą nad płataniną pasów wyrastały cztery duże skręcone piramidy. Z ich rozmieszczenia – w układzie tetragonalnym – Lanier domyślił się, że wznoszą się nad

studniami. Z tej odległości wydawały się wielkości znaczka pocztowego trzymanego na wyciągnięcie ręki, co oznaczało, że są wysokie na kilometr i szerokie na dwa. Z każdej budowli ciągnęły się na północ jasne pasy kilometrowej szerokości.

– Chyba sytuacja nas przerasta – mruknął Lanier. Farley położyła mu dłoń na ramieniu i usiadła na miejscu drugiego pilota.

– Od dawna nas przerasta, nie uważasz?

– Zawsze sadziłem, że korytarz jest pusty. Nie wiem dlaczego. Może nie miałem dość wyobraźni.

Heineman przydryfował do nich i chwycił się drążka na tablicy przyrządów.

– Przyspieszymy do dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, zbliżymy się do tego dużego obiektu na osobliwości – zwalniając przy tym, żeby nie pomyśleli, że chcemy ich staranować – potem zawrócimy i do domu. Oczywiście, jeśli się zgodzisz. – Uniósł brwi, patrząc na Laniera.

Lanier uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co im może grozić.

– Co powiemy naszym, jeśli teraz zawrócimy? – zapytał Heineman. – Nie wiemy, co to za miejsce, ale z pewnością jest ważne.

– Mówisz rzeczy oczywiste – stwierdził Lanier. Powiedz mi lepiej, czy wyjdziemy z tego cało.

– Nie wiem – odparł Heineman. – Ale bawię się świetnie. A wy?

– Jesteś szalony – powiedziała Carrolson ze śmiechem. – Szalony pilot inżynier.

Heineman pokiwał głową i z dumą wypchnął kciukami kieszonki kombinezonu na piersi.

– Garry?

– Nie możemy wrócić z pustymi rękami – przyznał. -

Lećmy więc. Heineman ustawił automatycznego pilota i plazmolot popędził wzdłuż osobliwości.

Gdy przestali przyspieszać i lecieli dalej ze stałą szybkością dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, Heineman rozdał kolację – kanapki owinięte w folię i gorącą herbatę. Zjedli w milczeniu. Carrolson i Farley były przypięte pasami do ścianki za kokpitem.

Minęli kolejny krąg budowli, a kilka minut później następny – były połączone czterema prostymi pasami i roily się od światła.

Lanier ustąpił miejsca Carrolson i uciał sobie drzemkę. W tym czasie Heineman pokazywał kobietom, jak się steruje plazmolotem. Lanier owi przyśniło się, że lata lekkim samolotem nad dżunglą i siecią rzek. Obudził się z posmakiem herbaty w ustach, rozpiął pasy i wstał z fotela. Farley chowała właśnie instrumenty i wymieniała bloki pamięci w tabliczkach. Zapelnione bloki wrzuciła do pudełka. Następnie wzięła jeden z zapasowych multimetrów zbudowanych przez inżynierów przed Śmiercią i pokazała odczyt Lanierowi.

– O co chodzi? – zapytał, spoglądając na migające cyferki.

– Kłapa – oznajmiła. – Pokazuje bzdury. Podobnie jak większość instrumentów. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam zinterpretować połowę zgromadzonych danych.

– Masz jakieś wytłumaczenie? Potrząsnęła głową.

– Tylko domysły. Inne układy elektryczne działają, więc możliwe, że lecimy przez pola kontrolne podobne do tych, które selektywnie tłumią inercję na Kamieniu. Zakrzywienie przestrzeni powoduje zmianę uniwersalnych stałych. A może cały sprzęt po prostu wysiadł. Dzisiaj skończyła się gwarancja i... niespodzianka!

– Sprzęt jest w porządku! – zawołał Heineman z siedzenia drugiego pilota. – Nie zrzucaj winy na moje maszyny.

– Jaki drażliwy – skomentowała Farley. – Zawsze wdęra, kiedy ktoś kwestionuje jakość urządzeń.

– Gdera – poprawił Lanier.

– Wszystko jedno.

– Twoja kolej – przypomniał Lanier Heinemanowi, pokazując kciukiem na tył samolotu. – Pora na drzemkę. Musimy być wypoczęci i pogodni.

Heineman skorygował kurs i ruszył w stronę kabiny.

– Zaczekaj! – zawołała Carrolson. – Co to takiego? Osobliwość widoczna przed plazmolotem rzucała na przemian pomarańczowe i białe błyski, jarząc się jak rozpalony stalowy drut.

– Nie ma odpoczynku dla grzeszników – stwierdził Heineman, zastępując Laniera na miejscu drugiego pilota. Opuścił klamry plazmolotu na osobliwość, żeby wyhamować. Statek gwałtownie szarpnął i zakołysał, rzucając Laniera i Farley na szafkę. Heineman zwolnił zaciski.

– Przyspieszamy! – pilot starał się przekrzyczeć hałas. – Straciłem kontrolę nad plazmolotem!

Lanier poszybował w koniec kabiny, próbując czegoś się złapać. Farley chwyciła się fotela i usiłowała w nim usiąść.

Osobliwość ciągnęła się długą, czerwoną linią pośrodku rury plazmowej. Lanier przypiął się pasami do fotela i wyciągnął rękę, żeby pomóc Farley. Sprzęt poleciał do tyłu, obijając się o stojaki, ścianki i siedzenia.

– Możemy zawrócić?! – krzyknął Lanier.

– Nie da rady! – odkrzyknął Heineman. – Jeśli opuszczę klamry, zaczniesz szarpać. Trzydzieści tysięcy i ciągle przyspieszamy. – Plazmolot znowu zakołysał. Lanier i Farley zasłonili się przed kolejnym atakiem pudełek z blokami pamięci, instrumentów i zwojów kabla.

– Czterdzieści – oznajmił Heineman chwilę później. -

Pięćdziesiąt.

Zatrzeszczało radio i nieokreślony melodyjny głos rozpoczął w pół zdania:

– ...naruszenie Prawa Drogi. Wasz statek naruszył Prawo Drogi. Nie stawiajcie oporu, bo statek zostanie zniszczony. Znajdujecie się pod jurysdykcją Nexus Hexamonu. Za sześć minut zostaniecie usunięci z trasy. Nie próbujcie przyspieszać ani hamować.

Wiadomość zakończyła się szumem.

Biełożerski stał sztywno za Jazykowem, z rękami założonymi za siebie. Jazykow siedział przy stole konferencyjnym. Hoffman napisała na tabliczce tłumaczenie rosyjskich żądań i podała ją Gerhardtowi. Ten przeczytał je szybko i potrząsnął głową.

– Odrzucamy wasze żądania – oświadczyła Hoffman po rosyjsku. Ona również spędziła trochę czasu w bibliotece trzeciej komory.

– Ci ludzie to przestępcy – powiedział Jazykow. – Porwali jednego z naszych kolegów i ukryli w którymś z miast. Nie możemy ich znaleźć.

– Już uzgodniliśmy rozdział systemu sadowniczego i administracyjnego. Nawet jeśli to, co mówicie, jest prawdą, nie możemy wam pomóc, nie naruszając postanowień umowy.

– Ukrywają się w sektorach zajętych przez waszych ludzi – odezwał się Biełożerski. – Może sami ich ukrywacie.

– Jeśli tak, nic mi o tym nie wiadomo – odparła Hoffman. – Wątpię.

– Z pewnością popieracie nasze próby stworzenia cywilnego rządu – powiedział Jazykow.

– Nie popieramy ani ich nie zakłócamy – odparowała Hoffman. – To wasza sprawa. Nas interesuje pokojowe współistnienie. Nic więcej.

Jazykow wstał szybko i uklonił się Hoffman. Obaj Rosjanie wyszli z baru.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Hoffman Gerhardta. Generał ze skruczą potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Mirski ukradł im najważniejszego człowieka – powiedział. – Wygląda na to, że ich uprzedził i wykonał pierwszy ruch.

– Jak oceniasz Mirskiego?

– Nie wiem, czy jest twardogłowym rosyjskim oficerem, ale wolałbym mieć do czynienia z nim niż z Jazykowem czy Biełożerskim.

– Więc pomożemy mu?

– Pomóc Morskiemu? Do diabła, nie. Pierwszy odruch jest najlepszy. Trzymajmy się od tego z daleka i pozwólmy im załatwić sprawę między sobą. Poza tym Mirski nie poprosi o pomoc. Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do walki. Wtedy nie moglibyśmy pozostać bezstronni.

Mirski i Pogodin wywieźli Wielogorskiego z trzeciej komory, prowadząc ciężarówkę krętą siecią dróg dojazdowych, aż dotarli do głównej arterii, która prostą linią ciągnęła się przez ostatnie dwadzieścia kilometrów. Arteria kończyła się kilkoma półksiężycowymi bramami przed tunelem prowadzącym do drugiej komory.

Mirski sprawdził kilka budynków w drugiej komorze, zanim wybrał odpowiedni. Był ukryty między jednym z gigantycznych wieżowców-kandelabrow, które Amerykanie nazywali mega, a długim rzędem stumetrowej wysokości skalnych wież o niewiadomym przeznaczeniu.

Budynek miał tylko cztery piętra i wyglądał na szkołę. Na każdym piętrze znajdowały się trzy pomieszczenia o czarnych ścianach, z długimi szeregami połączonych siedzeń.

Zajęli pokój na najwyższym piętrze. Mirski został ze znacznie już spokojniejszym, ale jeszcze bardziej przygnębionym Wielogorskim. Pogodin poszedł ukryć ciężarówkę.

– Nie dziękuję ci – odezwał się Wielogorski. Położył się na ławce i wlepił wzrok w złote gwiazdy na ciemnoniebieskim suficie. – Mój ojciec poległ w Afganistanie. Nie powiedziano mi, jak zginął... tajemnica państwowa.

I nadal nic nie wiem. A okazuje się, że to były ćwiczenia wojskowe... sprawdzenie armii na polu bitwy... – Potrząsnął głową ze zdumieniem. – Ćwiczenia trwające dziesięć lat! Dowiedzieć

się... – zakaszłał – dowiedzieć się, że to, w co się wierzyło, było jednym wielkim kłamstwem..

- Nie wszystko – powiedział Mirski. – Wiele, ale nie wszystko.
- Otwierając komuś oczy, nie należy oczekiwać wdzięczności.
- Zawsze wiedzieliśmy to i owo, prawda? – zauważył Mirski. – O korupcji, nieskuteczności, braku kompetencji... O zdradzaniu rewolucyjnych ideałów.
- Każdy człowiek musi pracować ze świadomością takich rzeczy, nawet jeśli nie chce ich zaakceptować. Ale wykorzystywanie naszych najlepszych sportsmenek i tancerek jako konkubiny...
- Hipokryzja mieszała się z głupotą.
- Tym gorzej dla rządu, który twierdzi, że nie grożą mu skandale, bo nie może robić nic złego!

Amerykanie przynajmniej lubują się w skandalach.

Rozmawiali przez dwie godziny. Pogodin przysłuchiwał się z uwagą, marszcząc czoło, kiedy rozmawiali o sprawach dla niego bolesnych. Przerwał tylko raz, żeby zapytać:

- Czy Amerykanie nie odkryli, jak bardzo są zepsuci? Mirski skinął głową.
- Zawsze to wiedzieli, a przynajmniej uświadamiali sobie za każdym razem, kiedy prasa ujawniała fakty.

- Ich prasa nie jest kontrolowana?
- Manipulowana tak – odparł Mirski. – Ale nie kontrolowana. Każdy z tysięcy amerykańskich historyków ma swój punkt widzenia. Ich historia jest pogmatwana, ale celowe zafałszowania zwykle wykrywano.

Pogodin spojrział na nich obu i wyszedł z sali.

- To, co nam mówiono o Stalinie, Chruszczowie, Breżniewie, Gorbaczowie... – Wielogorski zawiesił głos, potrząsając głową.

- Różni się od tego, co mówiono naszym ojcom – dokończył za niego Mirski – a wcześniej ich ojcom.

Rozmawiali jeszcze godzinę, tym razem o życiu w wojsku. Mirski opowiedział, jak omal nie został oficerem politycznym. Wielogorski opisał przyspieszone kursy, które przeszli on i inni oficerowie polityczni przed odlotem na Ziemiaka.

- Wcale nie dzieli nas tak dużo – stwierdził Wielogorski, gdy Mirski nalewał mu wodę z termosu. – Znasz obowiązki oficera politycznego... obowiązek wobec partii, rewolucji...

- Jakiej rewolucji? – zapytał Mirski cicho. Wielogorski poczerwieniał na twarzy.

- Musimy być wierni rewolucji. Od tego zależy nasze życie, nasze zdrowie psychiczne.

- Rewolucja zaczyna się tutaj, właśnie teraz – oświadczył Mirski. – Odrzuciliśmy przeszłość.

Patrzyli na siebie przez dłuższy czas. Gdy Pogodin wrócił, milczeli, więc usiadł obok, niespokojnie wykręcając palce.

- Musimy się podzielić władzą – odezwał się Wielogorski. – Trzeba utworzyć partię.

- Nie z morderców i prostaków – odparował Mirski, zaciskając szczęki. – Mieliśmy ich dość. Rosja zbyt długo była niewolona przez morderców i prostaków w imię rewolucji i partii. Nigdy więcej. Trzeba z tym wreszcie skończyć, a nie narażać na cierpienia nasze dzieci na Ziemi.

Wielogorski wyjął z kieszeni antyczny złoty zegarek.

- Biełożerski i Jazykow już pewnie szaleją. Nie wiadomo, co zrobią, jeśli nie dostaną ode mnie wiadomości.

- Przynajmniej skruszeją – stwierdził Mirski. – Niech jeszcze trochę poczekają albo niech się powieszą.

Wielogorski wyszczerzył się jak wilk i pogroził Mirskiemu palcem.

- Ty draniu, znam cię. Jesteś wizjonerem. Wywrotowcem.

– I jedynym człowiekiem, z którym spokojnie można dzielić władzę – powiedział Mirski. – Wiesz, że w końcu po ciebie przyjdą. Możesz im ufać tak samo jak wściekłym psom.

Wielogorski nie wyglądał na przekonanego.

– Może nareszcie zrozumiemy się nawzajem. Wielogorski wzruszył ramionami i wykrzywił usta.

O dwunastej następnego dnia Pogodin wycelował antenę w ciężarówce w kierunku południowego otworu wlotowego i Wielogorski przesłał wiadomość Jazykowowi i Biełożerskiemu.

– Nasi żołnierze schwytali Mirskiego i jego stronników w bibliotece w trzeciej komorze. Przyjeżdżajcie. Proces odbędzie się w bibliotece.

Obserwowali w milczeniu czerwoną linię osobliwości prowadzącą ich w stronę czarnej tarczy. Lanier dołączył do Farley i Carrolson w tyle kabiny, próbując dopatrzeć się sensu w odczytach przyrządów. Od czasu do czasu rejestrowały sensowne dane, ale nie na tyle często, by można je było wykorzystać.

– Coś się do nas zbliża wzdłuż osobliwości... Jakaś duża i czarna maszyna – oznajmił Heineman. – Leci bardzo szybko...

Osadzona na jarzącej się czerwonej linii, sunęła na nich maszyna dwa razy szersza od plazmolotu, okrągła w przekroju, o lśniącej czarnej powierzchni. Widniały na niej rozmieszczone symetrycznie jasnopurpurowe kwadraty i prostokąty. Lanier patrzył zafascynowany, jak wysuwają się z nich chwytaki i przegubowe ramiona. Maszyna przypominała teraz okręt podwodny... albo gigantyczny scyzoryk.

– Co to zamierza zrobić?

– Dostosowuje się do naszej szybkości. Wygląda na to, że... W kabynie zabłyśły kolorowe światła. Heineman drgnął i cofnął się. Lanier zamknął oczy i zamachał rękami.

– Co to było?! – zawołała Carrolson z kabiny. Przed Lanierem znowu zatańczyły czerwone i zielone przezroczyste obiekty. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jednego. Okazało się, że są niematerialne.

– To symbole albo coś w tym rodzaju – stwierdził Heineman. – Widzisz je?

– Widzę – potwierdził Lanier. – Nie mam pojęcia, co to jest ani skąd się bierze.

– Proszę podać tożsamość i powód przybycia do Axis City – dobiegł głos z radia.

Lanier wziął od Heinemana mikrofon.

– Jestem Garry Lanier. – To będzie dla nich wskazówka, pomyślał ponuro. – Prowadzimy badania. Jeśli są jakieś problemy...

– Chcecie adwokata?

– Przepraszam...?

– Bezwzględnie dostaniecie adwokata. Jesteście ludźmi i domagacie się należnych praw w Sądzie Hexamonu?

– Powiedz tak – poradziła Carrolson.

– Tak.

– Teraz zostaniecie odeskortowani do Axis Nader. Maszyna wsunęła jedno ramię pod spód plazmolotu.

Przednią szybę przesłoniły latające iskierki. Samolot zadrżał. Rozległ się syk gazu i w kokpicie włączyły się alarmy. Nastąpiło szarpnięcie. Plazmolot, uwolniony od samolotu VISTOL, został zdjęty z osobliwości.

Heineman spojrzał na jasnoczerwoną linię i maszynę, która nadal trzymała okaleczony i bezużyteczny plazmolot.

– Oderwała nas – powiedział głosem nabrzmiałym gniewem. Statek przeleciał swobodnie jakieś trzydzieści metrów. – Idę na tył sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Lanier usiadł na fotelu drugiego pilota. Zapiął pasy i próbował opanować oddech. „To jak wjechanie do rowu”, pomyślał. „Nic gorszego”.

– Chyba nie ma żadnych nieszczelności, ale wołałbym już być w atmosferze! – zawołał Heineman z kabiny.

Maszyna puściła plazmolot i szeroko rozstawiła chwytaki, lecąc w kierunku samolotu.

Heineman wrócił do kokpitu, przeciskając się między Carrolson i Farley.

– Cholera – rzucił.

Lanier po raz pierwszy usłyszał z jego ust przekleństwo.

Cielsko maszyny przesłoniło przednią szybę. Samolot okręcił się. Lanier zawirował wokół wystraszonego inżyniera, który dryfował w luku.

– Trzymaj się! – krzyknął.

Heineman chwycił się jedną ręką fotela pilota. Samolot znowu obrócił się dokoła osi i jak mistrz sztuk walki wykorzystał ciężar Heinemana, by wywichnąć mu ramię.

Inżynier wrzasnął i puścił się, koziółkując z stronę kabiny. Lanier patrzył bezradnie, czekając, aż wszystko się uspokoi. Po paru sekundach odpiął się i złapał Heinemana w pasie, popychając łagodnie na tył samolotu. Twarz inżyniera zastygła z bólu niby maska. Oczy miał szeroko otwarte jak dziecko okrutnie skrzywdzone przez przyjaciela.

Carrolson i Farley zarobiły kilka siniaków, zanim zdążyły się złapać uchwytów. Farley przytrzymała głowę Heinemana, a Carrolson wierzgające nogi, podczas gdy Lanier badał ramię.

– Sukinsyn! – zawył Heineman. – Zostaw mnie.

– Im dłużej jest wywichnięte, tym bardziej boli – powiedział Lanier. – Nie sądzę, żeby było złamane. Boże, jak mam je nastawić przy zero g?

– Zahacz stopę o drabinkę, a my go przytrzymamy – poradziła Carrolson. Heineman wił się z przerażeniem w oczach. Krótkie włosy sterczały mu na wszystkie strony. Lanier wsunął stopę pod szczebel, a drugą oparł o żebra Heinemana. Carrolson i Farley mocniej chwyciły kontuzjowanego.

– Puśćcie mnie – poprosił Heineman słabym głosem. Twarz miał mokrą od potu i łez.

Lanier chwycił go za ramię i pociągnął, jednocześnie skręcając. Heineman wrzasnął i wywrócił oczami, aż ukazały się białka. Rozległ się chrzęst i ramię wróciło na miejsce. Inżynierowi głowa opadła bezwładnie, usta otworzyły się. Zemdlął.

– Nigdy nam tego nie wybaczy – powiedziała Carrolson.

– Zrób mu zimny okład – polecił Lanier. Spojrzał w okno. Maszyna nadal przesłaniała widok.

– Nie próbujcie przyspieszać – uprzedził głos z radia. – Nie uruchamiajcie napędu. Zostaniecie przetransportowani do Axis Nader.

Farley odprowadziła bladego jak śmierć Heinemana na fotel. Carrolson zbadała mu oczy, rozchylając powieki.

– Szok – stwierdziła. Otworzyła pakiet pierwszej pomocy, wyjęła strzykawkę i zrobiła mu zastrzyk w zdrowe ramię.

Lanier usiadł w kokpicie i próbował zorientować się w sytuacji, odczytując wskazania instrumentów. Stwierdził jedynie, że lecą bardzo szybko.

Olmy wszedł do pokoju kontrolnego, pokazując strażnikowi prezydencką przepustkę. Znalazł się w wysokim owalnym pomieszczeniu wypełnionym graficznymi informacjami skierowanymi do dwóch neomorfów pełniących dyżur przy monitorach. Podryfował w ich stronę. Otoczyły go szczegółowe dane na temat zniszczonego, dryfującego plazmolotu oraz samolotu, które obecnie były pod kontrolą maszyny patrolowej.

– Z rozkazu prezydenta operacja ma być zachowana w tajemnicy – poinformował Olmy starszego neomorfa.

– Nie mogę się zgodzić – odparł neomorf. To poważne naruszenie prawa, które należy natychmiast zgłosić w sądzie. Dostaną adwokata...

– Już mają adwokata. Musicie wykonać bezpośredni rozkaz przedstawiciela prezydenta – oświadczył Olmy.

Neomorf – w kształcie jaja z chwytymi ramionami po bokach i ludzką twarzą – otoczył się białym kręgiem, sygnalizując ustępstwo pod naciskiem. To jednak nie wystarczyło Olmy’emu.

– Z rozkazu prezydenta Hexamonu i z upoważnienia premiera zostaje pan zwolniony ze służby – oznajmił.

Neomorf zaprotestował gwałtownie, wydając stłumione dźwięki i przesyłając czerwone obrazy, lecz posłusznie opuścił pokój. Olmy zajął jego miejsce, mierząc się wzrokiem z drugim neomorfem.

– Ta sprawa nie dotrze do sądu – powiedział zdecydowanym tonem.

– Już została przekazana – odparł neomorf.

Olmy przesłał wiadomość do biura Ram Kikury w Central City. Przed nim pojawił się stylizowany emblemat.

– Ser Ram Kikury w tej chwili nie ma. Jestem jedną z osobowości cząstkowych. W czym mogę pomóc?

– To bardzo pilne. Mamy kolejnych gości. Naruszyli prawo Hexamonu. Z rozkazu prezydenta trzeba natychmiast wycofać ich sprawę z sądu. – Przesłał kod upoważnienia.

– Przyjęte – odpowiedziała zjawa. Następnie, zupełnie jak żywa, potrząsnęła głową. – Doprawdy, Olmy, sprowadzasz na nas tyle kłopotów. – I wyłączyła się, a Olmy skontaktował się z przebywającym w Axis Nader frantem, prosząc go, by przyprowadził Patricię do hangaru. Poleciał oczyścić prowadzące do niego drogi. Wiązało się z tym ryzyko wywołania podejrzeń, ale nie widział innego wyjścia.

– I będziemy potrzebowali więcej kwater.

Frant przyjął jego zakodowane upoważnienie i wyłączył się. Olmy zainteresował się teraz pasażerami samolotu.

– Nie są ranni? – zapytał, nadając przesyłanym obrazom purpurową barwę ponaglenia.

– Nie zrobiliśmy im krzywdy – odparł przestraszony neomorf.

– Zdaje sobie pan sprawę, że to tajna operacja? – spytał. Tamten potwierdził słabym odcieniem zieleni. – W porządku. Więc proszę skierować wehikuł i intruzów do hangaru kontrolnego.

Olmy opuścił pokój i najszybszą windą udał się do Axis Nader.

– Ile osób jest w samolocie? – zapytał głos.

– Cztery – odparł Lanier. – Jeden ranny.

– Wszyscy są cielesnymi ludźmi?

– Wszyscy jesteśmy ludźmi. A ty?

– Znajdujecie się teraz w hangarze dla nielegalnych pojazdów. Nie próbujcie ucieczki. Teren jest strzeżony.

Maszyna schowała chwytaki i odsunęła się od samolotu. Lanier zobaczył, że znajdują się w ogromnym pustym pomieszczeniu o gładkich ciemnoszarych ścianach. Za oknem kokpitu wiły się cienkie srebrne kable. Oplatały samolot przyczepiony do srebrnego torusa zwieszającego się z sufitu. Trzy metalicznoszare roboty popychały go do przodu. Poruszały się na czterech delikatnych przegubowych nogach, a baniaste korpusy składały się z półkul połączonych wąską giętką rurą.

W hangarze nie było żadnego człowieka. W ścianach widniały dwa eliptyczne otwory około czterometrowej szerokości. Nie dawały Lanierowi podstaw do domysłów, kto ich przywita.

– Chcecie rozmawiać z osobą, która potwierdziła waszą tożsamość? – zapytał miły melodyjny głos.

– Kto to jest? Kto nas zidentyfikował? Następny głos rozpoznali od razu.

– Garry, tu Patricia. Jest was czworo? Kto oprócz ciebie?

– To ona... znaleźliśmy ją! – zawołał Lanier. – Albo raczej ona znalazła nas.

– Przypuszczałam, że ktoś będzie mnie szukał. To moi przyjaciele. – Patricia pochyliła się do przodu, chcąc wyraźniej zobaczyć przesyłane obrazy. Dostrzegła Laniera siedzącego w kokpicie. – Muszą być przerażeni. – Obserwowała, jak czarna maszyna patrolowa znika w otworze za samolotem.

– Mogą mieć poważne kłopoty z władzami miasta – uprzedził Olmy. – Próbuję wycofać i zatuszować sprawę, ale niczego nie mogę gwarantować.

– Szukali mnie – powiedziała. – Nie możecie ich o to obwiniać.

– Lecieli trasą, a to jest ściśle zabronione.

– Tak, ale skąd mogli wiedzieć? Olmy nie skomentował tego.

– Znam ich – powiedział. – Twój szef Lanier, naukowiec Carrolson, biała Chinka Farley i inżynier Heineman.

– Rozpoznajesz ich? Śledziłeś nas wszystkich, prawda? Mechaniczni robotnicy wepchnęli samolot do bocznego pomieszczenia. Otwór zasklepił się za nim, a światła w hangarze pogasły.

Olmy wziął Patricię za rękę i zaprowadził do służby hangaru kontrolnego.

Czekała już tam na nich Suli Ram Kikura. Przeprowadziła szybką graficzną rozmowę z Olmym. Jeszcze nie spotkały się z Patricia, ale już się dobrze znały. Patricia nie miała urządzenia do odbioru wizualnych symboli – zresztą i tak by ich nie zrozumiała – ale mogła się wiele domyślić z zachowania kobiety. Ram Kikura była adwokatem. Przyjmowała zlecenia od Olmy'ego i przekazywała sprawy do sądu niższej instancji.

Otworzył się luk samolotu VISTOL. Jeden z robotów na przegubowych nogach stanął kilka metrów dalej, z wysuniętymi czujnikami, by nagrywać opuszczanie samolotu przez pasażerów.

„Historia”, pomyślała Patricia. „Wszyscy tutaj jesteśmy historią.”

Lanier wysiadł pierwszy. Patricia powstrzymała chęć, by mu pomachać. Uniosła się na czubkach palców i skinęła głową. Odpowiedział tym samym i zszedł po stopniach. Następnie ukazała się Farley, a za nią Carrolson. Lanier wskazał za siebie na kabinę i powiedział głośno:

– Mamy w środku rannego. Potrzebuje pomocy. Olmy naradził się z kobietą, która dotknęła srebrnego naszyjnika. Spojrzała przy tym na Patricię i uśmiechnęła się. Piktory wyświetlił nad jej lewym ramieniem amerykańską flagę. Ram Kikura miała amerykańskich przodków i była z tego dumna.

– Co mamy zrobić? – zapytała Carrolson. – Zostawić go?

– Proszę powiedzieć swojej przyjaciółce, że zaraz się zjawi robot medyczny – rzucił Olmy półgłosem.

– Wszystko będzie w porządku. Pomoc nadchodzi – uspokoiła ją Patricia. Lanier próbował do niej podejść, ale został zatrzymany przez robota.

– Puśćcie go! – poprosiła Patricia. – Olmy, co oni zrobili złego?

– Muszą przejść kwarantannę – odparł Olmy, wskazując na świecącą czerwoną linię, która otaczała samolot.

– Nie zrobią wam krzywdy. Wszystko w porządku. Spokojnie czekajcie – zwróciła się Patricia do Laniera.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Lanier i zerknął na oddalające się roboty. – Nie mieliśmy pojęcia, czy cię kiedykolwiek znajdziemy.

Patricia przełknęła ślinę. Odwróciła się do Olmy'ego.

– Musimy być razem – oświadczyła. – Musimy sobie nawzajem pomagać.

Olmy uśmiechnął się do niej, co nie oznaczało zgody. Powiedział coś do Ram Kikury, która

znowu dotknęła naszyjnika.

– Właśnie podejmują decyzję – wyjaśnił.

– Są gośćmi czy przestępcami? – zapytała Patricia.

– Będą gośćmi – odezwała się kobieta doskonałą angielszczyzną.

– Zostaną teraz przebadani – powiedział Olmy. – Może lepiej ich o tym uprzedź.

– Garry – odezwała się Patricia – Jeden z robotów pobierze od was wycinki skóry. To nie boli. Chcą zbadać kultury bakterii, a także zawartość zbiornika samolotu.

– Oto ekipa medyczna – oznajmił Olmy. Będzie musiał później skontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi i wymóc przysięgę zachowania tajemnicy. Do pomieszczenia weszło dwóch ludzi i mały robot. Podeszli do czerwonej linii. Gdy ją przekroczyli, nad ich ramionami pojawiły się czerwone szewrony. Teraz ich również objęła kwarantanna.

Robot odsunął gościom rękawy kombinezonów i pobrał próbki. Następnie cofnął się, dotykając czerwonej linii. Natychmiast otoczyła go liliowa poświata. Gdy się rozplynęła, robot przekroczył linię i stanął w miejscu.

Dwaj homomorfowie z ekipy medycznej wsiedli do samolotu. Kilka minut później Heineman wyszedł na własnych nogach, podtrzymywany przez nich z obu stron. Jeden z medyków przesłał wiadomość Olmy'emu.

– Cierpiał, ale nie jest poważnie ranny – przekazał Olmy Patricii. – Złagodzili ból, ale jeszcze nie podali mu leków.

– Dziewicze okazy, jak ja, zgadza się? – zapytała Patricia. Olmy potwierdził i podszedł razem z nią do linii.

Czerwona linia zniknęła, gdy się zbliżyli.

– Kwarantanna zakończona – oznajmił główny medyk. Przesłał Patricii kilka prostych obrazów, których przyjęcie uprzejmie potwierdziła. Potem rzuciła się do przodu i wyściskała Laniera, Carrolson i Farley. Gdy przyszła kolej Heinemana, uścisnęła go ostrożniej.

– Nie oszczędzaj mnie. Czuję się dobrze – powiedział. – Gdzie, u licha, jesteśmy?

– Mam już wyrok – oznajmiła ich obrończyni, nad której ramieniem nadal unosiła się amerykańska flaga. Zbliżyła się do grupki Ziemiaków.

– Ona ma implanta, jak wszyscy – wyjaśniła Patricia Lanierowi, dotykając swojej głowy. – Słucha teraz decyzji sądu.

– Sprawa została umorzona i usunięta z archiwów sądu ze względu na okoliczności – oświadczyła kobieta. – Jesteście gośćmi Axis Nader. – I spoglądając znacząco na Olmy'ego, dodała: – Z polecenia premiera.

Wielogorski stał przed czarną płytą stanowiącą wejście do biblioteki w trzeciej komorze. Z drugiej strony placu, niemal nie rzucając cieni w świetle rury plazmowej, zbliżali się do niego ostrożnie Biełożerski i Jazykow. Za nimi szły dwie drużyny komandosów ze zdjętymi z ramion karabinami.

Mirski i Pogodin obserwowali ich z opuszczonego posterunku NATO, małego pokoju w nadbudówce, wyposażonego w monitory. Mirski bawił się przełącznikami głośnika.

– Ryzykujemy – zauważył Pogodin.

– Wiem.

Pogodin odwrócił się do ekranu. Mirski wycelował w idących amerykańskie urządzenie podsłuchowe i wyregulował głośność.

– Nie będziemy potrzebowali więcej żołnierzy – mówił Wielogorski. – Już aresztowałem Mirskiego i Pogodina i odesłałem do czwartej komory.

– Wygląda na to, że współpracuje – stwierdził Pogodin cicho.

Mirski skinął głową. Rzeczywiście istniało ryzyko. W ciągu ostatnich paru dni stało się dla niego jasne, że bez Wielogorskiego nie będzie mógł rządzić. Nie miał ani doświadczenia, ani inklinacji do angażowania się w polityczne intrygi. Wielogorski był najlepszym z oficerów politycznych. Gdyby nie mogli dojść ze sobą do porozumienia, oznaczałoby to, że żadna współpraca nie jest możliwa. Mirski wątpił, czy potrafiłby ich wszystkich zabić, co stanowiło alternatywę. Wolałby pójść do Amerykanów albo zaszyć się w miastach i radzić sobie sam.

– Myślę, że nadszedł czas, byśmy się przekonali, o co walczyliśmy – powiedział Wielogorski.

– Nie mam ochoty naśladować Mirskiego – oświadczył Biełożerski. – Nie obchodzi mnie to wszystko.

– Towarzyszu – przekonywał Wielogorski cierpliwie – wiedza to siła. Chcecie pozostać ignorantem? Byłem tutaj i nadal jestem Wielogorskim, sekretarzem partii.

– Tak... – odezwał się Jazykow. – Mnie to nie przeraża.

– Ani mnie – zapewnił pospiesznie Biełożerski. – Ale...

– Więc wejdźmy i zobaczmy, dlaczego Mirski spędzał tu tyle czasu.

Zanim znaleźli się w polu widzenia, Mirski skierował na nich wideokamery. W grę wchodziło coś jeszcze. Czy można nie znać swojego kraju, jeśli spędziło się w nim całe życie? Tak. Nie miał podstaw do porównań, a świeżo zdobyta wiedza była bez nich bezużyteczna. Musiał przeprowadzić eksperyment.

Na podstawie zachowania Wielogorskiego osądzi teraz swój kraj.

– Zabierze im broń – powiedział Mirski. – Nie mogą być uzbrojeni, kiedy się tu zjawiają.

– Schodzisz na dół? – zapytał Pogodin.

– Tak.

– Tak bardzo ufasz Wielogorskiemu?

– Nie wiem. To jest ryzyko.

– Nie tylko dla ciebie – stwierdził Pogodin. – Współdziałaliśmy z tobą – Pletniew, naukowcy, ja, Annenkowski, Garabedian.

Mirski poszedł w stronę schodów. Ruszył w dół, czując ciarki na plecach. Bardziej bał się teraz, niż kiedy wyskakiwał z transportowca w otwór wlotowy. Dziwne, znowu czuł się jak dziecko. I był zmęczony. Takie samo zmęczenie zaobserwował u Amerykanina, Laniera.

Na parterze czekali na niego trzech oficerowie polityczni: Wielogorski, celujący z pistoletu w Biełżerskiego, Jazykow wpatrujący się z konsternacją w kolegę. Ich karabiny leżały na podłodze.

– Proszę, towarzyszu generale – przywitał go Wielogorski. Zrobił kilka kroków w bok, nadal celując z pistoletu, i pochylił się, żeby podnieść AKV. Biełżerski patrzył na Mirskiego z nienawiścią. Twarz Jazykowa była blada, lecz opanowana. Mirski ruszył w ich stronę.

Gdy znalazł się pięć metrów od grupki, Wielogorski skierował pistolet w jego stronę.

– Nie dziękuję, towarzyszu – powiedział. Nacisnął spust.

Obraz przed oczami Mirskiego zamazał się, jakby coś nagle przesłoniło obiektyw projektora kinowego. Połowa głowy wydała mu się nagle bardzo duża. Upadł na kolana, pochylił się do przodu, zgiął w pół i upadł, szorując mocno policzkiem po podłodze. Zabolało bardziej niż postrzał. Zamrugął zdrowym okiem.

Wielogorski opuścił pistolet, oddał go Biełżerskiemu, podszedł do leżących na podłodze karabinów, podniósł jeden i zaczął strzelać. Pociski rykoszetowały, roztrzaskując pulpity i krzesła. W dużym holu dźwięk wydawał się odległy i przytłumiony. Mimo echa nie robił wrażenia.

Biełżerski wydał okrzyk triumfu ucięty w pół przez donośny, trudny do opisania dźwięk. Trzej oficerowie polityczni dostali drgawek. Wielogorski upuścił broń i odchylił głowę do tyłu. Jazykow przyłożył ręce do uszu. Wszyscy trzej upadli. Z sufitu wystrzeliły białe strumienie pary, tworząc gęstą mgłę.

Mgła opadła na leżących. Mirski zamknął oczy, wdzięczny, że może spokojnie zasnąć.

Lanier leżał na sofie pokrytej obiciem w afrykański wzór, wpatrując się w gładki kremowy sufit, i rozmyślał.

Ich kwatery mieściły się na obrzeżach rotującego cylindrycznego miasta zwanego Axis Nader: pięć apartamentów obok siebie, każdy z sypialnią, łazienką i salonem. Na końcu korytarza znajdowała się wspólna sala jadalna i duża okrągła sala klubowa. Siła odśrodkowa na tym poziomie była niewiele mniejsza niż na dnie komór Kamienia. Wszystkie mieszkania były pozbawione prawdziwych okien, choć idylliczne ziemskie scenki w apartamentach i sali klubowej dawały złudzenie przestrzeni, któremu trudno było się oprzeć. Ktoś zadał sobie spory trud, żeby pomieszczenia miały przyjemny i swojski wystrój. Z tych wszystkich zabiegów wynikało, że są ważnymi osobami. Na razie Lanier nie potrafił stwierdzić, czy są więźniami, czy gośćmi honorowymi.

Sięgnął do sterty czasopism leżących na stoliku obok łóżka, wziął egzemplarz „Sterna” i przekartkował go pobieżnie. Przyjrzał się apartamentowi, zatrzymując wzrok na drobnych szczegółach – szklanej wazie w rogu biurka, czerwono-fioletowej ze złotymi nitkami, obiciu sofy, książkom stojącym na półce, kościom pamięci w hebanowym pojemniku.

Już miał odłożyć magazyn na szklany stolik do kawy, kiedy uświadomił sobie, że nie spojrzał na datę. 4 marca 2004. Sprzed ponad roku. Skąd go wytrzasnęli?

Albo inne przedmioty w apartamencie?

– Mogę wejść? – zapytała Patricia. Drzwi apartamentu zrobiły się przezroczyste. Zobaczył ją w holu. Sądząc po zachowaniu, nie widziała go.

– Oczywiście – odpowiedział. – Proszę. Nadal stała na zewnątrz.

– Garry, jesteś tam?

Zdziwił się. Nie słyszała go. Obok drzwi w powietrzu pojawiły się symbole, pikty, jak je nazwała Patricia, zdania ułożone z pojedynczych ikon. Gdy nic się nie wydarzyło, podszedł do drzwi, a bezpłciowy, melodyjny głos powiedział:

– Ma pan gościa, panie Lanier. Patricię Louise Vasquez. Mogę ją wpuścić?

– Tak, proszę ją wpuścić – powiedział. Drzwi zmatowiały i rozsunęły się.

– Cześć – przywitała go Patricia. – Wszyscy spotykamy się za pół godziny z kobietą, którą widziałeś w hangarze. Olmy mówi, że ona jest naszym adwokatem. Pomyślałam, że najpierw naradzę się z tobą.

– Dobry pomysł – stwierdził. – Siadaj.

Zajął wygodny skórzany fotel, a Patricia usiadła na sofie. Złożyła ręce na kolanach i spojrzała na niego spokojnie, ściągając usta, jakby powstrzymywała uśmiech.

– Co się z tobą działo? – zapytał Lanier.

– Czy to nie oczywiste? Zostałam porwana. Zdaje się, że nastąpiła inwazja. Byłam wtedy bliska szaleństwa. Wsiadłam do pociągu i pojechałam do trzeciej komory. Tam znalazł mnie Olmy. Towarzyszył mu frant, przedstawiciel obcej rasy.

– Kto to jest Olmy?

– Poznałeś go. To ten, który nas tutaj przywiózł i załatwił mieszkania.

– No dobrze, ale kim on jest, jaką pełni funkcję?

– Jest kimś w rodzaju agenta. Wykonuje zadania dla Nexus, rządu Hexamonu. Przez ostatnie kilka dni był moim nauczycielem. Napadnięto nas?

– Tak – potwierdził Lanier. – Rosjanie. – Opowiedział jej, co się stało. Słuchała uważnie.

– To chyba jeden z powodów, dla których Olmy chciał mnie stamtąd wydostać – stwierdziła.
– Uznał, że grozi mi niebezpieczeństwo. Nie wiem, dlaczego wybrał akurat mnie, ale... – Wzruszyła ramionami. – Mam pewne podejrzenia. Już przeprowadzili ze mną testy. Was również to czeka. Medyczne, psychologiczne... i wszystko w ciągu paru minut. To nie boli. Interesują ich nasze osoby. Jesteśmy historycznymi osobliwościami.

– Z pewnością. W każdym razie, kiedy usłyszałem, że zniknęłaś, sam omal nie zwariowałem. Judith Hoffman udało się dotrzeć na Kamień...

– To wspaniale! – wykrzyknęła Patricia. – Ktoś jeszcze z nią był?

– Tak, ale nie znasz ich.

Wyraz radości na twarzy Patricii przybladł.

– Na pewno doszła do wniosku, że już do niczego się nie nadaję. Przesadziła o tym historia z tobą.

– Ze mną?

– Hoffman kazała mi opiekować się tobą. Nie zdołałem zapobiec temu, co się stało na Ziemi, i do tego jeszcze zgubiłem ciebie. Niezbyt dobrze znoszę porażki, Patricio. – Potarł oczy. – Porażka. Tak. Chyba można nazwać utratę całej Ziemi za porażkę.

Patricia przycisnęła dłonie kolanami.

– Nie utraciliśmy jej – szepnęła.

– Hoffman zaaprobowала pomysł wyprawy ratunkowej – Dobrze, że tutaj jesteście. Moi przyjaciele, wybawcy. – W jej głosie pojawił się uszczypliwy ton.

– Naprawdę jesteście gośćmi? – zapytał.

– O tak. Nie spodziewali się was, chociaż kiedy Olmy usłyszał nowinę, domyślił się, że chodzi o plazmolot. Od razu się z nim skonsultowali, ponieważ ostatnio spędził na Kamieniu sporo czasu.

– Wiedzieli o nas? O tym, co robiliśmy?

– Tak przypuszczam. Olmy musiał im wszystko powiedzieć.

– I co zamierzają z nami zrobić? Podejrzewam, że nadal interesuje ich Kamień...

– Nie wiem. Trudno się w tym połapać, jestem tu dopiero od paru dni. Olmy mówi, że w grę wchodzi polityka.

– Są bardzo zaawansowani w rozwoju, prawda?

– O tak, ale nie na tyle, żebyśmy nie mogli zrozumieć wielu rzeczy. Nasze pokoje, na przykład, nie różnią się od tamtego apartamentu w trzeciej komorze. Tego, który mi pokazał Takahashi.

Lanier nie wspomniał o zdradzie Takahashiego. Uznał, że nie jest to teraz konieczne.

– Wszystkie dekoracje to iluzja – powiedziała Patricia. – W każdym pokoju jest piktor, coś w rodzaju projektora. Meble tutaj mają podstawowe kształty i funkcje, ale wszystko inne to projekcja. Od wieków posługują się tą techniką. Przyzwyczaili się do niej jak my do elektryczności.

Lanier sięgnął po egzemplarz „Sterna”, przekartkował go, a potem wyciągnął spod niego „Time”.

– Te czasopisma, ta waza – wskazał na szkło artystyczne – to tylko zmagazynowane gdzieś tam zapisy, projekcje?

– Tak sędzę.

– Czy oni nas teraz obserwują?

– Nie. W każdym razie obiecali, że nie będą. Prywatność to tutaj bardzo ważna rzecz.

– Powiedziałaś, że podejrzewasz, dlaczego cię tutaj sprowadzili.

– Cóż... to tylko domysł. Olmy zaniepokoił się, że znajdzie sposób, by zmienić maszynierię w szóstej komorze.

– Ale chciał zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Tak. – Wstała i skinieniem głowy wskazała na pokój. – Podoba ci się tu?

– Nieźle. – Wzruszył ramionami. – Wygodnie.

– Potrafią dobrać wystrój do upodobań człowieka. Moje pokoje również są wygodne. Choć nie takie jak w domu. Ja... – Napięcie w jej głosie, pomimo wesołości, stało się na moment wyraźnie wyczuwalne. W oczach pojawił się błysk. – Niezbyt dobrze znoszę to wszystko. Sama ze sobą nie mogę dojść do ładu.

– To zrozumiałe – powiedział Lanier.

– Chcą mi pomóc – oznajmiła – odnaleźć dom. Choć jeszcze sami tego nie wiedzą, są w stanie to zrobić. Do takiego doszłam wniosku podczas pobytu tutaj. Korytarz jest bardzo kręty. – Splotła palce. – Chodźmy już.

Olmy i Suli Ram Kikura stali pośrodku okrągłej sali klubowej. Przedstawił jej całą piątkę, szczegółowo wymieniając wszystkie funkcje, jakie pełnią w Thistledown. Lanier był pod wrażeniem; wyglądało na to, że Olmy ma dossier każdego z nich.

– A to jest Ser Suli Ram Kikura, wasz adwokat. Podróż plazmolotem była nielegalna, więc obrończyni już wam się przydała. Doprowadziła do umorzenia sprawy w sądzie.

– Z polecenia premiera – dodała. – Takiej rzeczy adwokat o mojej pozycji nie potrafiliby sam dokonać.

– Nie docenia siebie – powiedział Olmy.

– Teraz, kiedy już się znamy, możemy sobie wszystko wyjaśnić – stwierdziła Ram Kikura. Olmy usiadł i splótł ramiona. – Po pierwsze, obywatele i klienci Axis City oraz społeczności mieszkających wzdłuż Drogi – czyli korytarza – rozmawiają ze sobą głównie za pośrednictwem obrazów. – Dotknęła naszyjnika i spojrzała na Heinemana. Przed jego oczami przeleciały błyski światła. – Noszę przy sobie osobisty piktor. Za kilka dni otrzymacie własne. Nie musicie się uczyć mowy graficznej, ale byłoby to bardzo przydatne. Lekcje nie powinny zająć więcej czasu niż dwa, trzy dni. Panna Vasquez ma już, jak sądzę, podstawową wiedzę o piktach.

– To uprzejme z pani strony – powiedziała Patricia.

– Mówię po angielsku, ponieważ jestem dumna ze swojego pochodzenia. Moi przodkowie żyli w Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii. Przy pierwszym spotkaniu zauważyliście zapewne amerykańską flagę nad moim ramieniem. Amerykanofile często to robią; flaga symbolizuje naszą dumę. Po Śmierci uważano za wstydlive przyznawanie się do rosyjskiego lub amerykańskiego pochodzenia. Tych, którzy to robili, prześladowano. Amerykanów bardziej niż Rosjan. Gdy Latynosi zaludnili duże obszary Ameryki Północnej, zaczęto aresztować ludzi głoszących, że są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Ówczesni naderyci próbowali stworzyć jednolity światowy rząd, a wobec byłych supermocarstw żywiono uprzedzenia.

– To się zmieniło? – zapytał Heineman. Ram Kikura skinęła głową.

– Stanom Zjednoczonym zawdzięczamy kulturę, podstawy prawa i systemu rządów. Czujemy wobec Ameryki to samo, co wy możecie czuć wobec Rzymu czy Grecji. Obywatele są dumni, że mają amerykańskich przodków. Jeśli dowiedzą się o waszej obecności...

Lanier zacisnął pięść. Niepokoił go fakt utrzymywania wszystkiego w tajemnicy.

– ...obawiam się, że będę musiała występować jako wasza agentka. – Jej uśmiech zdawał się świadczyć zarówno o rozbawieniu, jak i pewności siebie. Lanier rozluźnił się trochę.

– Jestem Chinką – odezwała się Farley. Ram Kikura uśmiechnęła się.

– Potomkowie Chińczyków stanowią co najmniej jedną trzecią Hexamonu. Jest ich więcej niż obywateli pochodzenia amerykańskiego. Na razie wasza obecność będzie objęta tajemnicą państwową. Nie będziecie utrzymywali żadnych kontaktów z obywatelami Hexamonu, dopóki sytuacja się nie zmieni. Niemniej jednak macie wszelkie prawa przysługujące gościom Hexamonu. Nawet sam prezydent nie może ich wam odebrać. Jednym z nich jest prawo do posiadania adwokata reprezentującego wasze interesy. Jeśli ktokolwiek z was ma coś przeciwko mnie, proszę powiedzieć od razu, a zostanie wyznaczony inny adwokat. – Spojrzała na nich kolejno. Nie było żadnych obiekcji. Nie spodziewała się ich zresztą. – Jesteście niewinni. To znaczy, możecie służyć Hexamonowi, a taka służba da wam pewne korzyści – można to nazwać zapłatą. Na razie jednak nie powinno się was niczym niepokoić. Zostaniecie poddani badaniom – chyba że się sprzeciwiacie – a zgromadzona wiedza zostanie zmagazynowana w jednym z banków informacji. Będzie ona również dostępna dla Nexus i innych instytucji rządowych Hexamonu, niezależnie od waszych sprzeciwów.

– Mam kilka pytań – wtrącił Lanier.

– Proszę.

– Co to jest Hexamon i Nexus?

– Hexamon to ogół ludzkich obywateli. Można to nazwać państwem. Nexus jest głównym ciałem ustawodawczym miasta i Drogi od Thistledown i zakazanego terytorium do punktu dwa do potęgi dziewiętej, to znaczy punktu na dwumiliardowym kilometrze Drogi.

– Wszyscy jesteście potomkami mieszkańców Kamienia, ludzi, którzy żyli w Thistledown? – zapytała Carrolson.

– Tak – odparła Ram Kikura.

– Proszę mi wybaczyć – włączył się Heineman. – Ilu ludzi mieszka w Axis City?

Ram Kikura uśmiechnęła się i przesłała graficzne instrukcje do pustych ścian. W pomieszczeniu nie było kolumny danych. Najwyraźniej ich funkcje pełniły niewidoczne pokojowe piktory.

Obok niej pojawił się stereometryczny obraz Axis City, które wolno się obracało. Heineman zsunął się na brzeg krzesła, patrząc z zainteresowaniem.

– Miasto i Drogę zamieszkuje sto milionów ludzi. Dziesięć milionów żyje poza miastem, na Drodze. Są to głównie kupcy i koordynatorzy pięciuset siedemdziesięciu jeden aktywnych studzien. Dziewięćdziesiąt milionów mieszka w Axis City, z czego siedemdziesiąt milionów w Pamięci Miasta. Większość z nich przeżyła przysługujące im dwa wcielenia, zrezygnowała z ciała i istnieje teraz jako wzór osobowości w Pamięci Miasta. W szczególnych okolicznościach mogą otrzymać nowe ciała, ale najczęściej pozostają w Pamięci. Jakies pięć milionów dewiacyjnych osobowości, których nie można wyleczyć nawet nowoczesnymi metodami, jest nieaktywnych.

– Ludzie nie umierają? – zapytała Carrolson.

– Śmierć i umieranie to określenia zwykle odnoszące się do utraty ciała, a nie umysłu. Jednym słowem, nie albo bardzo rzadko – odpowiedziała Ram Kikura. – Wszyscy mamy implanty. – Dotknęła miejsca za uchem, a potem na czole. – Wspomagają proces rozumowania i jeśli zdarzy się wypadek, przechowują zapis naszych ostatnich przeżyć i wzór osobowości. Implant jest niemal niezniszczalny. To pierwsza rzecz, jaką ratuje się u ofiary wypadku. Co kilka dni aktualizujemy archiwa w Pamięci Miasta zapisami z implantów. W ten sposób można szybko zrekonstruować osobowość. Wystarczy dokonać ostatecznej aktualizacji i zamieszkać w nowym ciele. Jest się nieodróżnialnym od oryginału.

Rozejrzała się po pokoju, gotowa na następne pytania. Nie było żadnych. Obecni zdawali się przyswajać informacje.

– Wykorzystam Olmy'ego jako przykład – powiedziała Ram Kikura. – Jeśli mi pozwoli...

Olmy skinął głową.

– Jest wyjątkiem ze względu na swój wiek i przeszłość. Urodził się pięćset lat temu. Pierwsza śmierć nastąpiła w wypadku. Zniszczenie nie było całkowite, więc został zrekonstruowany. Ponieważ uznano go za ważnego dla Hexamonu i ponieważ wykonywał niebezpieczne zadania, pozwolono mu na trzy wcielenia, a nie zwyczajowe dwa. Obecne ciało, najpopularniejszego typu, jest wyspecjalizowane i samowystarczalne. Stanowi zamknięty system. W brzuchu ma małe źródło zasilania. Wszystkie wydaliny są wewnętrznie przetwarzane i powtórnie wykorzystywane. Tylko raz na rok musi wymieniać źródło zasilania i przyjmować substancje uzupełniające. Wody potrzebuje raz na trzy miesiące.

– Jesteś człowiekiem? – zapytała Carrolson ostro.

– Tak – odparł Olmy. – Przypuszczam, że interesuje was moja płćć?

– No... szczerze mówiąc tak – przyznała Carrolson. Heineman łypnął jednym okiem i uniósł brew.

– Jestem mężczyzną z urodzenia i wyboru, a moje organy płciowe funkcjonują.

– Istotnie – potwierdziła Ram Kikura. – Ale orientacja seksualna, nawet u ludzi urodzonych naturalnie, niekoniecznie jest stała.

– Masz na myśli, że mężczyzna nie musi na zawsze pozostać mężczyzną? – zapytała Farley.

– Albo kobieta. Wielu dzisiejszych neomorfów nie ma żadnej określonej orientacji seksualnej.

– Mówicie o urodzonych naturalnie – wtrącił się Heineman. – Macie dzieci z próbki, tego rodzaju rzeczy?

– Może was zaszokuję – co i tak pewnie jest nieuniknione – ale większość dzisiejszych ludzi nie rodzi się z mężczyzny i kobiety. Ich osobowości są tworzone przez jedno z rodziców lub więcej poprzez łączenie cząstkowych osobowości przechowywanych w Pamięci Miasta i tego, co nazywamy Tajemnicą, pochodzącą od przynajmniej jednego osobnika, zwykle rodzica. Młodą osobowość poddaje się edukacji i badaniom i jeśli przejdzie przez pewne testy, „dojrzewa”, to znaczy otrzymuje zgodę na pierwsze wcielenie, najczęściej dojrzałego młodego osobnika. Ciało może być zaprojektowane przez rodziców albo przez samego zainteresowanego. Jeśli cielesny obywatel wykorzysta dwa wcielenia, wycofuje się do Pamięci Miasta.

Carrolson chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. W końcu jednak się odważyła. – Czy ludzie pozbawieni ciał, istniejący w pamięci komputera, naprawdę żyją?

– Tak sami uważają – odparła Ram Kikura. – Mają określone prawa i pewne obowiązki, choć z konieczności ich głos w rządzie znaczy mniej niż żyjących w ciele obywateli. Jeśli jednak mogę coś zasugerować, nie jest to najważniejszy temat do rozmowy... – Wskazała na obraz miasta. – Na razie nie możecie wrócić do Thistledown. Wasz dom będzie tutaj, w Axis Nader, gdzie warunki są dla was w miarę znajome – otoczenie, kultura, ludzie. Ta okolica jest zamieszkała przez ortodoksyjnych naderytów, choć nie spotkacie się z nimi jeszcze przez jakiś czas. Panna Vasquez powiedziała ser Olmy'emy, że niektórzy z was znają podstawowe fakty z naszej historii. Nie zdziwi was zatem, że ortodoksyjni naderyci preferują warunki jak najbardziej zbliżone do ziemskich. W tej części miasta jest dużo naturalnego piękna i niewiele iluzji w miejscach publicznych. Istnieją dwa rolujące osiedla – Axis Thoreau i Axis Euclid. Axis Thoreau jest także zamieszkałe przez naderytów, chociaż o bardziej liberalnym nastawieniu.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Lanier. – Kiedy będziemy mogli wrócić do swoich?

– Nie wiem. Ta decyzja nie zależy od nas.

- Możemy im wysłać wiadomość?
- Nie – odparł Olmy. – Z prawnego punktu widzenia, wdarliście się na cudzy teren.
- Czy sytuacja nie jest niezwykła? – zapytał Lanier. – Teraz, kiedy Thistledown wróciło do

Ziemi...

Olmy spojrział z wyraźnym niepokojem.

– Niezwykła. I bardzo skomplikowana.

Patricia dotknęła ręki Laniera i lekko potrząsnęła głową: wystarczy na razie.

– Po posiłku będziecie mieli czas na zapoznanie się z otoczeniem i naukę obsługi urządzeń.

Później możecie odpocząć. Jutro rano spotkamy się tutaj.

W holu Patricia podeszła do Laniera.

– Jesteśmy zakładnikami – powiedziała półgłosem. – Włączyliśmy dzwonki alarmowe. –

Uniosła palec do ust i zniknęła w swoich drzwiach.

Wu i Chang maszerowali ramię w ramię ze stacji do biblioteki. Niewiele rozmawiali, ale wyraźnie cieszyli się swoim towarzystwem. Parę godzin wcześniej postanowili wspólnie pójść do biblioteki, zrobić wycieczkę, którą planowało wiele osób. Nieliczni jednak mieli czas, by zrealizować zamiar. Członkowie zespołów naukowych i żołnierze NATO udawali się tam pojedynczo i grupkami i wracali przepelnieni nabożnym lękiem. To zrobiło wrażenie na Wu. Poprosił Hua Ling o pozwolenie, a ponieważ mieli teraz mniej pracy, szef ekipy chińskiej wyraził zgodę.

Coś jednak było nie tak. Przed biblioteką kręcili się bezładnie rosyjscy żołnierze. Gdy zauważyli Wu i Chang, rzucili się na ziemię i wycelowali w nich broń. Wu instynktownie uniósł ręce, a Chang cofnęła się o krok, gotowa do ucieczki.

– Nie, kochana – szepnął Wu.

– O co im chodzi?

– Nie wiem. Lepiej nie róbmy gwałtownych ruchów. Stała obok niego i również podniosła ręce, szukając u Wu aprobaty. Skinął głową.

Przez kilka długich, nieprzyjemnych minut trwali w tej pozycji, podczas gdy Rosjanie naradzali się. Następnie któryś warknął komendę i wszyscy oprócz dwóch żołnierzy wstali i przewiesili karabiny przez ramię.

– Możemy się teraz ruszyć? – zapytała Chang.

– Nie. Nadal jesteśmy w niebezpieczeństwie.

W ich stronę ruszyli przez plac dwaj Rosjanie. Zatrzymali się w odległości paru metrów.

– Mówicie po rosyjsku? – zapytał jeden z nich.

– Tak – odpowiedziała Chang. – Ale lepiej po angielsku.

– Mój angielski okropny – powiedział tamten, udowadniając to od razu. – Jesteście Chińczykami?

– Tak. Wyszliśmy na spacer – poinformowała Chang. Od tego momentu przeszli na rosyjski.

– Jestem kapral Rożeński, a to kapral Fremow. Coś się stało w bibliotece. Nie wiemy co. Nie możemy tam wpuścić nikogo. Zresztą budynek jest zamknięty i nie możemy się do niego dostać.

– Macie jakieś domysły, co się stało? – zapytała Chang, starając się okazać zainteresowanie i uprzejmość.

– Nie. Usłyszeliśmy strzały, a potem ta czarna ściana zamknęła się i nie chce się otworzyć.

– Dlaczego strzelano?

– Nie wiemy – odparł Rożeński, spoglądając nerwowo na Fremowa. – Komunikowaliśmy się z naszymi zwierzchnikami w czwartej komorze, ale jeszcze się nie zjawili.

– Pomożemy wam w miarę możliwości – oznajmiła Chang. – Albo możemy odejść, jeśli chcecie.

– Nie... Może podejdziecie do drzwi i spróbujecie je otworzyć. To śmieszne, ale... – Rożeński wzruszył ramionami, a potem nagle uświadomił sobie, że karabiny nadal są wycelowane w parę Chińczyków. – Macie broń? – zapytał, zerkając przez ramię na gotowych do strzału żołnierzy.

– Nie. Jesteśmy naukowcami.

Rożeński zawołał do kolegów, żeby opuścili broń.

– Nie znamy tego miejsca – wyjaśnił. – Denerwuje nas. Zwłaszcza teraz. W budynku są nasi oficerowie, szukają zbiega. – Zmarszczył czoło, uświadamiając sobie, że za dużo wyjawia obcym. – Proszę, chodźcie z nami.

Chang przetłumaczyła wszystko Wu. Miał na twarzy wyraz zaciekawienia, kiedy szli do drzwi biblioteki. Żołnierze kręcili się wokół bezradnie. Wu podszedł do ściany i dotknął dłońmi gładkiej czarnej powierzchni.

Nie rozsunała się. Cofnął się o krok i opuścił rękę.

– Przykro mi – powiedział. – Nie wydaje się...

Ze ściany wydobyła się seria niskich, wibrujących tonów, a po niej rozległ się głos.

– Konieczna obecność policji – powiedział po rosyjsku. – Osobom nie upoważnionym wstęp wzbroniony. Proszę natychmiast powiadomić policję i pogotowie. Wstęp wzbroniony. – Następnie powtórzył informację po angielsku i chińsku.

Żołnierze cofnęli się, zdejmując z ramion karabiny i wyciągając pistolety.

– Coś się musiało wydarzyć w środku – powiedziała Chang do Rożeńskiego. – Może powinniśmy zawiadomić zwierzchników. Czy tak nie byłoby najrozsądniej? – Spojrzała na Rosjanina skośnymi migdałowymi oczami, z wyrazem nalegania i spokoju na twarzy. Wu poczuł dla niej ogromny podziw. Nigdy nie widział jej w kryzysowej sytuacji.

Kapral Rożeński zastanowił się, potrząsnął energicznie głową i wyprostował zgarbione plecy, jakby podjął decyzję.

– Co zrobimy, jeśli drzwi się nie otworzą? – zapytał.

– Teraz też nie chcą się otworzyć.

– W środku są nasi dowódcy – przypomniał. Chang patrzyła na niego bez słowa.

– No dobrze – powiedział w końcu Rożeński. – Proszę iść i sprowadzić swoich zwierzchników.

– Dziękuję – powiedziała Chang. Wzięła Wu za rękę i ruszyła z nim przez plac.

– Bardzo dziwne – ze zdziwieniem potrząsnęła głową. – Bardzo dziwne.

– Byłaś wspaniała – stwierdził Wu, przejęty podziwem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Zakopał spadochron i teraz leżał na słodko pachnącej żółtej trawie obok drogi. Przysłaniając dłońmi oczy, czekał, aż nadjedzie jakaś ciężarówka lub samochód, który go podrzuci do Podlipek... a może to była baza w Mongolii oznaczona tylko numerem... 83?

Nie żeby to miało znaczenie. Słońce przygrzewało i mimo lekkiego bólu głowy major Mirski czuł się wspaniale. Zniosło go tak daleko, że dotarcie do bazy zajęłoby mu godziny. Spóźniłby się na obiad, ale także na szkolenie polityczne. Chętnie zrezygnowałby z kaszy, żeby móc przez kilka godzin pomyśleć w samotności.

Wreszcie nadjechała zakurzona czarna wołga i zatrzymała się obok niego. Tylne szyby opuściła się i gruby mężczyzna o nalanej twarzy, w szarym kapeluszu, wystawił głowę i spojrzał krzywo na Mirskiego.

– Co pan tutaj robi? – zapytał. Przypominał generała majora Sośnickiego, ale był również trochę podobny do biednego Żadowa, który zginął w otworze wlotowym. – Jak ma na imię pańska matka?

– Nadia – odpowiedział. – Muszę dojechać...

– A co pan dostał na deser podczas jedenastych urodzin?

– Towarzyszu, nie rozumiem...

– To bardzo ważne. Co pan jadł?

– Chyba coś z czekoladą.

Mężczyzna w kapeluszu skinął głową i otworzył drzwi.

– Proszę wsiadać – powiedział. Mirski wcisnął się obok niego. Siedzenie lepiło się od krwi. Trzej współpasażerowie byli martwi. Wszyscy mieli przestrelone głowy. – Zna pan tych ludzi?

– Nie – odparł Mirski, śmiejąc się. – Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Oni to pan, towarzyszu – powiedział mężczyzna i sen rozwiął się. Mirski znowu zakopywał spadochron...

Powoli nabierał podejrzeń. W końcu, gdy został po raz siódmy czy ósmy zaproszony do samochodu i mężczyzna w kapeluszu zapytał go o czasy komsomolskie, Mirski postanowił sam zadać kilka pytań.

– Wiem, że nie śnię, towarzyszu. Więc gdzie jestem?

– Został pan ciężko ranny.

– Nie pamiętam tego...

– Nie, ale przypomni pan sobie. Dostał pan postrzał w głowę i odniósł ciężkie obrażenia. Brakuje części mózgu. Nigdy nie przypomni pan sobie wszystkich szczegółów ze swojego życia i nigdy już nie będzie pan takim samym człowiekiem.

– Czuję się normalnie.

– Tak – zgodził się mężczyzna w kapeluszu – ale to tylko złudzenie. W trakcie badań staraliśmy się dowiedzieć, co pan zapomniał. Nie jest tak źle, zważywszy na uszkodzenia, ale nigdy nie będzie pan całkiem...

– Tak, tak – przerwał mu Mirski. – Więc umrę?

– Nie, nie ma już niebezpieczeństwa. Rana wygoi się i będzie pan żył. Musi pan jednak podjąć pewne decyzje.

– Jakie decyzje?

– Może pan żyć z lukami w pamięci lub otrzymać neurologiczną protezę w postaci sztucznych segmentów osobowości pasujących do tych, które panu zostały.

– Teraz naprawdę jestem w kłopotcie.

Mężczyzna wyciągnął z torby książkę i otworzył ją. Liczne ilustracje przedstawiały skomplikowane protezy: w jaskrawych kolorach, matowe, metaliczne, pełniące różne funkcje, stymulujące zmysły i odczucia. Mirski wziął książkę i przejrzał ją.

– Będę wiedział, co jest moje, a co nie? – zapytał na koniec.

– Jeśli pan zechce.

– A bez tych... protez? Jaki będę?

– Okaleczony. Będzie miał pan wspomnienia – wyjaśnił mężczyzna – chociaż niektóre zatarte, a inne pełne dziwnych luk. Miną tygodnie, zanim pan znowu nauczy się widzieć, ale już nigdy nie będzie pan miał dobrego wzroku. Nigdy pan nie odzyska zmysłu zapachu ani dotyku w lewej części ciała. Zdolności matematyczne pozostaną nienaruszone, ale pańska mowa będzie niewyraźna i nigdy się nie poprawi.

Mirski wpatrywał się w twarz mężczyzny, dopóki nie zniknęła za boczną szybą samochodu.

– To nie zapowiada się zabawnie – stwierdził.

– Decyzja należy do pana.

– Jest pan w bibliotece, prawda?

– Nie taki, jakim mnie pan widzi – odparł mężczyzna. – Przybrałem wygląd, który jest dla pana do przyjęcia w obecnej sytuacji. Ziemskie władze medyczne są nieosiągalne, więc miasto wzięło na siebie obowiązek wyleczenia pana.

– W porządku – powiedział Mirski. – Wystarczy na razie. Nie chcę niczego poza ciemnością.

– Dobrze, tylko proszę dać nam odpowiedź.

– Chodzi mi o to, że chcę umrzeć.

– To nie wchodzi w grę.

– No dobrze, więc zgadzam się. – Podjął decyzję szybko, żeby nie rozważać wszystkich okropnych możliwości.

– Zgadza się pan na protezę i programowanie osobowości?

– Zgadzam się.

Mężczyzna kazał zatrzymać samochód i uśmiechnął się.

– Może pan wysiąść.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Mirski wysiadł z wołgi i zamknął drzwi.

– A, jeszcze jedno – powiedział mężczyzna, wychylając się przez okno. – Miał pan zamiar skrzywdzić Biełżerskiego, Wielogorskiego albo Jazykova?

– Nie – odparł Mirski. – Irytowali mnie i wolałbym się ich pozbyć – może z wyjątkiem Wielogorskiego – ale nie zamierzałem im zrobić krzywdy.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna i podniósł szybę.

– Nie ma za co. – Mirski odwrócił się i stwierdził, że jest noc. Położył się na trawie i zapatrzył się w ciemność.

– Proszę wyłączyć światło – powiedział Lanier. W pokojach ściemniło się. Usiadł na iluzorycznej sofie i powtórzył w myślach to, co mu powiedziała Patricia po spotkaniu. „Włączyliśmy dzwonek alarmowe”. Czy miała na myśli, że w Axis City od samego początku wiadano o ich pobycie na Kamieniu? Od jak dawna obserwował ich samowystarczalny Olmy?

Nagle poczuł nieznośne napięcie w dole brzucha i uświadomił sobie, że choć nie był zainteresowany seksem, ciało domagało się swoich praw.

– Karen Farley czeka w holu – zaanonsował głos.

– Po co? – zapytał zirytowany tym zbiegiem okoliczności. – Chwileczkę... jest sama?

– Tak.

– Odeślij... wpuść ją. – Wstał i wygładził wyczyszczony i wyprasowany kombinezon, ten sam, który nosił w samolocie. Nie włożył przygotowanej dla niego szaty, leżącej na łóżku w sypialni.

Karen postąpiła inaczej. Gdy drzwi się rozsunęły i zapaliły się światła, weszła w identycznej szacie, tyle że złocistej, a nie granatowej.

– Wybacz mi napaść – powiedziała, uśmiechając się i unosząc ręce w obronnym geście.

– Słucham?

– Czy to właściwy zwrot?

– Nie bardzo – odparł Lanier. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Rozmawiałam z Patricia – powiedziała. – To ona przyszła do mnie. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć o czym.

Wskazał na krzesło stojące naprzeciwko sofy.

– Ja też z nią rozmawiałem, ale niczego się nie dowiedziałem.

– Heineman i Carrolson są dzisiaj w nocy razem – oznajmiła Farley, siadając. – Lenore mi to powiedziała, nie Patricia. Zanim opuściliśmy Kamień, zauważyłam, że Wu i Chang wymykają się razem. – W jej uśmiechu było trochę zdziwienia i irytacji.

Lanier lekko klasnął w dłonie.

– To normalne.

– Tak. A ja złapałam ciebie, kiedy przestałeś się pilnować, prawda?

– Doceniam to, co zrobiłaś.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Rozejrzała się z ciekawością po apartamencie. – Nigdy tak naprawdę nie miałam na ciebie ochoty... Ale wyglądałeś na takiego zagubionego. Ja również czułam się zagubiona. Nie przejmuj się, nadal jesteś szefem.

– To nieważne – powiedział. – Co Patricia...

– Właśnie że ważne – sprzeciwiła się Farley stanowczo. – Dobrze mi było z tobą. Myślę, że tobie również. Poza tym to było zdrowe. Chciałam tylko, byś wiedział, że nie czuję się urażona.

Lanier przez chwilę nic nie mówił, patrząc na nią ciemnymi oczami.

– Chciałbym znać chiński, żebyśmy mogli się lepiej zrozumieć. Mogłbym się nauczyć...

– Przydałoby się, ale niekoniecznie teraz – powiedziała Farley. Uśmiechnęła się. – Mogłabym cię nauczyć.

– Co powiedziała Patricia?

– Ona sądzi, że nas wykorzystują. Olmy dużo z nią rozmawiał. Przeprowadziła nawet kilka rozmów z frantem. Uważa, że w Axis City jest dużo polityki. Nie wiemy, co to dla nas oznacza. Patricia twierdzi, że w serwisie danych dostępnym w jej apartamencie jest mniej informacji niż w mieście w trzeciej komorze. Przypuszcza, że je cenzurują.

– To nie brzmi dobrze – stwierdził Lanier. – A może nic nie znaczy. Może chcą, żebyśmy się aklimatyzowali powoli.

– Podsunęłam jej takie wyjaśnienie, a ona tylko się uśmiechnęła. Zachowuje się dziwnie, Garry. Stwierdziła również, że wie, jak znaleźć drogę do domu. Kiedy to mówiła, miała w oczach dziwny błysk.

– Mnie też to powiedziała. Ma jakąś teorię?

– Słucham? A tak. Powiedziała, że korytarz porusza się w czasie około roku na tysiąc kilometrów. I że to jest najpiękniejsza teoria, jaką w życiu wymyśliła. Garry, ona uważa, że ją porwali, bo obawiali się, że może zmajstrować coś w szóstej komorze. Pamiętasz, że wiele lat po exodusie z trzeciej komory wszystkich naderytów zmuszono do opuszczenia drugiej komory?

Skinął głową.

– Patricję twierdzi, że zostali wysiedleni wbrew woli, ponieważ ludzie z Axis City chcieli opróżnić Kamień. Nie było żadnej interwencji, żadnego sabotażu. Dlatego ona uważa, że w grę wchodzi polityka. Nadal istnieją podziały między naderytami i geszelami.

– Nie przyszło ci do głowy, że te pokoje mimo wszystko są na podsłuchu? – zapytał Lanier. – Może nie powinniśmy tutaj rozmawiać na takie tematy?

– A gdzie mamy je omawiać? – zapytała niewinnie. – Mogą nas śledzić i podsłuchiwać, gdzie zechcą, może nawet czytać w naszych myślach. Jesteśmy tutaj jak dzieci, nie douczone dzieci.

Lanier spojrzał na półprzeźroczysty stolik stojący między sofą a krzesłem.

– Coś w tym jest. Naprawdę podoba mi się wystrój apartamentu.

– Mój również jest przyjemny.

– A skąd oni wiedzą, jacy jesteśmy? Zrobiła konspiracyjną minę.

– Właśnie. Zapytałam głosu, a on powiedział: „Pokoje muszą się dostosować”.

Lanier pochylił się do przodu.

– Całe to miejsce jest niewiarygodne. Niesamowite. Czy my śnimy, Karen?

Z powagą potrząsnęła głową.

– Więc dobrze. Czy Patricia śni, że znalazła sposób, by wrócić na Ziemię?

– Ona nie chce wrócić na Ziemię taką, jaka jest teraz. Twierdzi, że może nas zabrać do „domu”, cokolwiek to znaczy. I mówi to poważnie. Obiecała, że wszystko wyjaśni później.

– Czy jako fizyk sadzisz, że to możliwe?

– Jestem jak dziecko, Garry. Nie wiem.

– Co jeszcze powiedziała?

– Nic więcej. – Wstała. – Pójdę już. Ale ja nie... Och. – Splotła ramiona i spojrzała na niego.

– Nie przyszłam tylko po to, by ci przekazać, co powiedziała Patricia, lecz również po to, by cię zapewnić, że nie wykorzystuję okazji.

– Rozumiem.

– Sam powiedziałeś, że to zdrowe. Martwiłam się jednak.

Nie zaprotestował, choć to wcale nie były jego słowa.

– Nie martw się.

– Dobrze. Wstał.

– Prawdę mówiąc... – Zaczerwienił się. – Czuję się jak nastolatek, kiedy rozmawiamy w ten sposób.

– Przepraszam – powiedziała, opuszczając głowę.

– Nie, wszystko w porządku. Do tej pory czułem się jak starzec, który utracił siły vitalne. Chciałbym, żebyś została ze mną na noc.

Uśmiechnęła się, a potem nagle zmarszczyła brwi.

– Ja również bym chciała i zostanę – oświadczyła. – Ale żal mi Patricii.

– Tak?

– Tylko ona jedna śpi dzisiaj sama.

Krok po kroku śledziła drogę krzywej przez pięć wymiarów. Przypominała szyb z sennego koszmaru: jedna część pogrążona w mroku, druga stanowiąca jej negatyw. Patricia miała oczy zaciśnięte aż do bólu, a na jej twarzy malował się wyraz ni to ekstazy, ni to smutku. Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiej intensywności myślenia, tak głębokiego zaangażowania w przeprowadzane w pamięci obliczenia. Przerazało ją to. Nawet kiedy otworzyła oczy, patrząc na błękit sufitu i przewróciła się na bok, sięgając ręką w pustkę za łóżkiem...

Nawet wtedy przesuwiała palcami po krzywej, żywym węźle wiszącym w powietrzu. Zaciskając pięść, zauważyła niewielkie plamki światła zbierające się wzdłuż ścieżki, którą nakreśliły jej palce. Znowu zamknęła oczy.

I natychmiast zasnęła, śniąc o rozwiązywanym problemie. Zdawała sobie sprawę, że śpi, i z odległego punktu obserwowała, jak jej mózg wykonuje, choć z mniejszą intensywnością, pracę, której nie mogła zakończyć.

Zaledwie kilka godzin później obudziła się raptownie, uświadamiając sobie, że musi jeszcze raz przestudiować swój artykuł znaleziony w bibliotece w trzeciej komorze, ten, który dopiero miała napisać. Z pewną obawą wyszła z owalnego łóżka, narzuciła lawendową szatę i idąc przez mroczny pokój zawiązywała pasek. Serwis danych, do którego zwracała się już cztery razy, nie zawsze dostarczał jej tego, czego potrzebowała.

– Dane, Pamięć Miasta – powiedziała. Pojawiła się przed nią sfera armilarna, której pasy jarzyły się na czerwono i złoto. Po niej ukazały się jedno nad drugim dwa kółka, odpowiednik dawnego znaku zapytania.

– Dostęp do artykułu Patricii Louisy Vasquez... O, Boże, zapomniałam tytuł i datę. Są potrzebne?

Zabłyśły skomplikowane pikty. Wyłączyła je i poprosiła o język mówiony.

– Chcesz zobaczyć pełną listę krótkich prac Patricii Louisy Vasquez? – zapytał głos.

– Tak. – Poczwała dreszcz, uświadamiając sobie, co robi.

Jak na dużej kartce białego papieru pojawiła się przed nią lista. Pośrodku niej zauważyła tytuł Teoria n-przestrzennych geodetyk z zastosowaniem w fizyce newtonowskiej oraz rozprawa na temat linii świata.

– Jest – powiedziała. – Wyświetl.

Uważnie przeczytała artykuł, bębniąc palcami o poręcz krzesła.

– Jest błyskotliwy – stwierdziła ponuro – i błędny. – Może i wywarł wpływ na liczne pokolenia naukowców, ale ona uznała, że to wczesna i prymitywna praca. – Proszę jeszcze raz wyświetlić listę.

Wybrała późniejszą rozprawę.

Pojawił się znajomy symbol najeżonej kolcami kuli.

– Zabronione – oznajmił głos. Wybrała następny, czując narastający gniew.

– Zabronione.

I kolejny, z końca listy, napisany, kiedy miała – będzie miała – sześćdziesiąt osiem lat.

– Zabronione.

– Dlaczego moje artykuły są zakazane? – zapytała ze złością.

Jedyną odpowiedzią była najeżona kula.

– Dlaczego dane podlegają cenzurze? – Nagle poczuła mrowienie na karku i zdała sobie sprawę, że nie jest sama w pokoju. – Olmy? Światła. – W pokoju zrobiło się jasno. Żadnej

odpowiedzi.

Wstała i rozejrzała się powoli, cała w napięciu.

I wtedy zobaczyła intruza wiszącego pod sufitem: szarą kulę wielkości piłki baseballowej z twarzą pośrodku. Przez chwilę nie robiła nic, tylko obserwowała tę twarz. Wyglądała na męską, z małymi azjatyckimi oczkami i spłaszczonym nosem. Nie sprawiała groźnego wrażenia, co najwyżej wyrażała silną ciekawość.

Patricia oparła się o ścianę. Twarz nie poruszyła się, ale oczy śledziły ją uważnie.

– Kim jesteś? – zapytała. W całym pokoju pojawiły się niezrozumiałe dla niej symbole. – Nie znam mowy graficznej – wyjaśniła. – Co tutaj robisz?

– Co prawda, nie powinienem tutaj być – przyznał intruz. Opuścił się znacznie i przybrał kolor różowy. – Z drugiej strony, jestem tylko ikoną. Nie bój się.

– Boje się. Przerażasz mnie. Kim jesteś?

– Pochodzę z Pamięci Miasta. Jestem włamywaczem.

– Nie znam cię – powiedziała. – Proszę, odejdz.

– Nie mogę cię skrzywdzić. Najwyżej zirytować. Potrzebuję tylko odpowiedzi na parę pytań.

Kula opuściła się i jak wampir w starym fiknie przybrała męską postać, ubraną w luźną białą koszulę i zielone spodnie. W pokoju stał teraz niski drobny mężczyzna w średnim wieku, z długimi czarnymi włosami i zmęczoną chudą twarzą. Serce Patricii uspokoiło się. Odsunęła się od ściany.

– Jestem dumny ze swoich osiągnięć – powiedział obcy. – Mam dostęp do najlepszych archiwów. Zapomnianych archiwów. Na niższych poziomach Pamięci Miasta panuje straszny bałagan. Znalazłem częściowo oczyszczone akta pewnej sprawy sądowej... Naprawdę coś poważnego. Naruszenie bezpieczeństwa ruchu. Strzępy informacji wskazywały na to miejsce. Ledwo uchwytne związki, przyznaję, ale intrygujące.

Postać wydawała się znajoma, jakby Patricia już ją kiedyś widziała.

– Co tutaj robisz?

– Jestem przestępcą. Dość gwałtownym, choć nie powiedziała byś tego, patrząc na mnie. Chodzę, gdzie mam ochotę. Wystarczy, że zachowam ostrożność. Od stu pięćdziesięciu lat nie mam ciała. Zostałem skazany na wykasowanie z Pamięci. Oczywiście tylko moja kopia jest nieaktywna. Ludzie wynajmują mnie do różnych zadań. Zwykle pojedynkuję się z innymi przestępcami. Wykończyłem już sześćdziesięciu. Śmiertelne szachy.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Była bliska łez. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kogo przypomina jej intruz. – Zostaw mnie w spokoju. Chcę pomyśleć.

– Przestępcy nigdy nie są zbyt uprzejmi. Wzbudzasz duże zainteresowanie w Axis Nader. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś, dopóki nie skorzystałaś z serwisu danych. Znalazł cię program śledzący, jeden z moich najlepszych.

– Proszę! – krzyknęła Patricia. – Zabierzcie go stąd!

– To na nic się nie zda – uprzedził intruz. – Skąd pochodzisz?

Patricia nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę drzwi sypialni.

– Mam za zadanie dowiedzieć się, skąd pochodzisz.

Wybrano mnie zamiast mojego odwiecznego wroga i zapłacono z góry. Nie odejdę, dopóki mi nie powiesz.

– Kto cię wynajął?! – krzyknęła, teraz naprawdę przestraszona.

– Zastanówmy się... Mówisz dwudziestowiecznym angielskim, a właściwie amerykańskim. To zaskakujące. Tylko najbardziej zagorzali amerykańscy znają ten język równie dobrze jak ty. Ale dlaczego ktoś miałby się interesować amerykańskimi? – Obraz podążył za nią do sypialni. – Nie

płacą mi za zgadywanie. Powiedz mi.

Patricia podbiegła do głównych drzwi i rozkazała, by się otworzyły. Nie drgnęły. Przełknęła ślinę i odwróciła się do prześladowcy, zdecydowana nie tracić panowania nad sobą.

– Co... co dostanę w zamian? – zapytała. – Jeśli ci powiem?

– Możemy się potargować.

– Więc pozwól mi usiąść.

– Nie mógłbym ci zabronić. Nie jestem okrutny.

– Jesteś duchem – stwierdziła stanowczo.

– Jeszcze bardziej niż duchy, które do tej pory spotkałaś – potwierdził tamten.

– Jak się nazywasz?

– Nie mam teraz nazwiska. A ty?

– Patricia.

– To nie jest popularne imię.

Nagle uświadomiła sobie, kogo jej przypomina włamywacz. Równie nagle odrzuciła ten pomysł, był śmieszny.

– Naprawdę jestem Amerykanką.

– W ilu procentach? Większość ludzi jest szczęśliwych, jeśli mogą twierdzić, że w trzech lub czterech procentach, chociaż statystycznie to mało prawdopodobne...

– W stu procentach. Pochodzę ze Stanów Zjednoczonych, z Kalifornii. Urodziłam się w Santa Barbara.

Obraz zadrżał.

– Nie mam wiele czasu, Patricio Louiso Vasquez. To, co mówisz, jest bez sensu, ale zdaje się, że w to wierzysz. Jak uchowałaś się taka pierwotna i czysta?

– Jedyńm wytlumaczeniem jest czas i miejsce, z którego pochodzę – wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Przechyliła głowę. – Znam ciebie – stwierdziła. – Wyglądasz jak Edgar Allan Poe.

Intruz okazał zaskoczenie.

– Fantastyczne. Naprawdę fantastyczne. Znałaś Poego?

– Oczywiście, że nie – odparła Patricia, czując oprócz strachu niestosowny dreszcz zadowolenia z siebie. – Czytałam jego powieści. On nie żyje.

– To mój mentor. Co za umysł! – Intruz otoczył się piktami przedstawiającymi nagrobki, pogrzeby, statki uwięzione w arktycznych lodach. – Patricia Louisa Vasquez rozpoznaje Poego. Twierdzi, że jest Amerykanką i pochodzi z dwudziestego pierwszego wieku. Fascynujące. Muszę niedługo iść. Zapytaj mnie o to, co chcesz wiedzieć, a potem ja zadam ci jeszcze jedno pytanie.

– Co zamierzają z nami zrobić?

– Z nami? Są jacyś inni?

– Czworu. Co zamierzają zrobić?

– Naprawdę nie wiem. Spróbuję się dowiedzieć. A teraz moja kolej. Dlaczego jesteś dla nich tak ważna?

– Z powodu tego, co właśnie powiedziałam. – Ku jej zaskoczeniu cały strach zniknął. Włamywacz, duch czy ktokolwiek to był, wydawał się chętny do współpracy i nie widziała powodu, by być głupio lojalną wobec swoich porywaczy.

– Możemy sobie nawzajem pomóc. Wiesz, że serwis danych ma blokadę? Trzymają cię w zamknięciu i cenzurują informacje. Jeśli im powiesz, że tutaj byłem, nie będę mógł wrócić i odpowiedzieć na twoje pytanie. Przemyśl to. Do następnego razu – powiedział i zniknął.

Apartament nagle odzyskał głos.

– Ser Vasquez, dobrze się pani czuje? Było zakłócenie...

– Wiem – odparła Patricia.

– Może pani określić jakiego rodzaju? Przygryzła wargę i potrząsnęła głową.

– Nic poważnego – powiedziała.

– Intruz przestraszył ją, ale powiedział wiele ciekawych rzeczy. Nie przypuszczała, by incydent był testem lub eksperymentem. Włamywacz mógł się okazać użytecznym źródłem informacji... – Musiało być spięcie czy coś w tym rodzaju.

Komputer nie odpowiadał przez parę sekund.

– Jeśli to konieczne, zostaną dokonane naprawy. Potrzebuje pani czegoś?

– Nie, dziękuję – powiedziała Patricia. Spojrzała na piktora, marszcząc czoło.

Premier Hexamonu, Ilyin Taur Ingle mieszkał w jednym z sześciu szerokich szybów wentylacyjnych Central City, w głębi rozległego Lasu. Olmy nigdy nie chciał osiedlić się w staroświeckim domu, ale zazdrościł premierowi. W Lesie panowała atmosfera odosobnienia i spokoju, a same apartamenty były bardzo eleganckie.

Sześć szybów biegło z obrzeży Central City prosto do ośrodków rządowych w centrum. Wewnątrz każdego szybu, między ścieżkami wijącymi się przez Wald mieszkało dziesięć tysięcy ludzi. Zajmowali gęste napowietrzne skupiska komunalnych szklanych bloków lub małe, swobodnie dryfujące moduły mieszkalne odpowiednie dla jednego, najwyżej dwóch homomorfów albo nie więcej niż czterech przeciętnych neomorfów.

Las był zarówno ozdobą, jak i ustępstwem wobec naderytów. Szyby zaspokajały około jednej trzeciej zapotrzebowania Central City na powietrze. Resztę dostarczały zaprojektowane przez gejszelów urządzenia. Tysiące odmian drzew i innych roślin – w tym jadalnych – zmieniono genetycznie i przystosowano do stanu nieważkości.

Jedna trzecia biomasy Axis City koncentrowała się w Waldzie.

Jedną z wielkich przyjemności Olmy'ego stanowiły wędrówki po Lesie, skakanie po drzewach, przemieszczanie się bez pomocy pól trakcyjnych. Nie było tam żadnych pojazdów, tylko trasy szybkiego ruchu i wyznaczone ścieżki zdrowia, na których ćwiczyli liczni homomorfowie i garstka neomorfów. Tysiące razy Olmy mierzył sobie czas na najtrudniejszych trasach. Doszedł do tego, że drogę na dno szybu pokonywał w ciągu piętnastu minut.

Teraz jednak nie miał ochoty na wyścigi. Z ramionami założonymi z tyłu, w leniwym tempie skakał z szerokich liści na korzenie o gładkiej powierzchni, podążając dobrze znana trasą. Ważniejszy niż szybkość był czas na myślenie.

Przez Las wiły się plastikowe rury wypełnione gęstą luminescencyjną zupą z bakterii, zwane świetlnymi węzami. Każda miała metr grubości i czasami pół kilometra długości. Na polanach tworzyły jaskrawe wzory, z bliska świecąc na brzoskwińowe i czerwono, a czasami ciemnożłote. Homomorfowie lubili kąpać się w ich świetle. Olmy ledwo zerknął na nie po drodze, pochłonięty marszem.

Dotarcie do kwatery premiera zajęło mu dwadzieścia minut. Na rozwidleniu opuścił główną ścieżkę i podryfował przez kwitnące obręcze utworzone przez powykręcane konary. Kwatera unosiła się w powietrzu pośrodku prywatnej dolinki premiera.

Rezydencja została zaprojektowana jako osiemnastowieczny angielski dwór z wieloma modyfikacjami uwzględniającymi brak góry i dołu. Miała trzy dachy i sześć par drzwi wejściowych. Wykuszone okna wychodziły na trzy strony. Równo przycięte cyprysy osłaniały jedno z okien przed blaskiem rur biegnących przez drugi kraniec doliny.

Gdy wyłonił się z ukwieconych tuneli, pojawiły się monitory, zidentyfikowały go i wróciły do innych zadań: przycinania żywopłotu, usuwania owadów i pilnowania ulubieńców premiera.

Przywitał go komputer i zaprosił do środka. Olmy wszedł drzwiami znajdującymi się na wprost świetlnego węza. Premier już na niego czekał.

Olmy stanął w mansardowym oknie i z mieszaniną pobłażliwości i znudzenia patrzył na wyświetlane scenki z życia rodzinnego. Gdy piktor się wyłączył, Olmy zobaczył nieznanego neomorfa wchodzącego przed premierem do poczekalni. Neomorf – bez kończyn, o rybim kształcie i lisiej twarzy – popatrzył na Olmy'ego i posłał mu zdawkowe pozdrowienia, nie przedstawiając się jednak. Olmy odwzajemnił powitanie z podobną niedbałością, rozpoznając jednego z asystentów

Tollera. Neomorf opuścił dom otoczony chmurą własnych kompaktowych monitorów.

– Robią się coraz śmielsi, prawda? – zauważył premier, wyciągając rękę. Olmy uściśnął ją. – Zadam panu pytanie. Ufałby pan komuś, z kim nie mógłby wymienić uścisku dłoni?

– Nie ufam wielu osobom, którym mogę uściśnąć rękę – odparł Olmy.

Premier spojrział na niego z wyrazem rozbawienia i nie ukrywanej irytacji.

– Przyszedł pan poinformować mnie o nowych gościach. – Wprowadził Olmy'ego do dużego gabinetu. Centralne miejsce zajmowało okrągłe biurko osadzone na jednej nodze. Wzdłuż siedmiu ścian stały drewniane szafki pełne antycznych ksiązek i bloków pamięci. Przez fałszywe okna widać było emitowane z opóźnieniem sceny z innych pokoi.

– Prezydent jest zdenerwowany – oznajmił Ingle, siadając za biurkiem. – Obawiam się, że większość członków rady prezydenckiej nie potrafi zrozumieć, dlaczego przywiózł pan ze sobą tę piątkę.

– Przywiozłem tylko jedną osobę – sprostował Olmy. – Pozostali zjawili się sami.

– Tak czy inaczej stanowią kłopot. Secesjoniści dążą do uzyskania przewagi. Niewiele brakuje, by się zjednoczyli. Możliwe, że frakcja Korzeniowskiego przekształci się z radykalnej partii we front ludowy. Zagroziłoby to pozycji prezydenta, który nie ma czasu, by zająć się tym osobiście. Ma na głowie konferencję, więc wyznaczył do tej sprawy ser Oliganda Tollera i mnie.

– Ci, którzy przynoszą złe wieści, nie są mile widziani – stwierdził Olmy.

– Tak? Ostatecznie, czy wiadomość jest zła czy dobra, zależy od naszej reakcji, prawda? Szczerze mówiąc, nie podzielałam wszystkich obaw prezydenta. Niektóre, ale nie wszystkie. Uważam, że możemy obrócić sytuację na własną korzyść. Może nawet osiągniemy consensus, którego potrzebujemy, by skutecznie przeciwstawić się jartom. No dobrze. Podobno ma pan jeszcze jakieś wieści.

– Ktoś wynajął co najmniej jednego przestępcę z Pamięci Miasta, żeby przeniknął do kwater naszych gości. Komuś bardzo zależy, by wiedzieć, co się dzieje.

– Tak, mogłem się tego domyślić – stwierdził premier. – Cóż, może czas wyjawić prawdę. Najdalej za tydzień i tak dotrze to do publicznej wiadomości, zwłaszcza jeśli wmieszają się w to włamywacze. Jaka jest pańska opinia, ser Olmy?

– Już ją wcześniej wyraziłem, ser. Będę świadczył przed Nexus.

Premier zastanawiał się przez chwilę.

– Mam wątpliwości, czy to mądre posunięcie. Może jednak ma pan rację. Skoro to nieuniknione, lepiej jeśli my wszystko ujawnimy. Ale delikatnie. Neomorfowie już są śmiertelnie przestraszeni pogłoskami o secesji. Odbezpieczymy granat, ogłaszając, że Thistledown wróciło do Ziemi?

To nie jest łatwa decyzja. W każdym razie nie możemy zwołać całego Nexus ze względu na konferencję. Będą musiały wystarczyć duchy. – Wszedł zza biurka, zachowaniem zdradzając niepokój. – Będę dzisiaj wieczorem potrzebował dłuższej sesji talsitu. – Skrzyżował ramiona i poszybował na środek gabinetu. Obszerna czarna szata falowała wokół niego. – Będzie więc pan zeznawał osobiście, jako agent Hexamonu?

– Frant i ja – potwierdził Olmy.

– Frant nie będzie świadczył. Składanie przysięgi jest wbrew ich zasadom.

– Potwierdzi moje zeznanie. To dozwolone.

– I co potem, ser Olmy? Jak zdołamy powstrzymać naszych ciekawskich – tych, którzy wynajęli włamywacza – albo frakcję Korzeniowskiego? Pneumo, zmiłuj się nad nami.

– To nie jest nasz największy problem. W Thistledown mieszka teraz dwa tysiące ludzi.

Wcześniej czy później będziemy musieli zająć się nimi. Nasz pierwszy gość, Vasquez, już była bliska odkrycia, jak manipulować maszyną szóstej komory. Przypuszczam, że pomimo zakazów w bibliotekach Thistledown inni będą kontynuować badania.

– Gwiazda, Los i Pneuma nie są dla nas łaskawe, nie szcędzą nam kłopotów, prawda? – powiedział premier z westchnieniem, które poruszyło fałdami szaty. – Niech będzie pochwalony Logos.

– Logos – powtórzył Olmy powątpiewająco.

– Cechuje pana nasz geszelski brak wiary, co? – stwierdził premier, obserwując uważnie reakcję Olmy'ego. – Mądrzej jednak będzie nie zdradzać się z tym, a przynajmniej zbytnio nie chwalić. Czy ze strony naszych... przodków grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo? Jakie jest prawdopodobieństwo, że narozrabiają w szóstej komorze?

– Nie stanie się to w ciągu najbliższych miesięcy, może nawet roku, zważywszy że mamy Vasquez.

– Bardzo dobrze. Pierwszeństwo mają rzeczy najważniejsze. W naszym interesie leży publiczne przedstawienie gości, co i tak wydaje się nieuniknione. Mogą nam zapewnić przewagę nad opozycją. Moi sekretarze przygotowują plan. Jak spisuje się ich adwokat, a twoja partnerka, Suli Ram Kikura?

– Świetnie – zapewnił Olmy. – Dopiero zaczęła pracę.

– Doskonale – powiedział premier. – Nie możemy sobie pozwolić na zbytnią pewność siebie. Jeśli jartowie wcześniej zaczną ofensywę albo, chrońcie niebios, postanowią otworzyć bramę do serca gwiazdy, nasi goście przestaną być atrakcją. – Ingle potrząsnął głową, przesyłając ciąg symboli – komara ginącego w słonecznej protuberancji.

Kapral Rożeński siedział oparty plecami o czarną ścianę biblioteki. Przed nim leżały rozrzucone racje żywnościowe i puszki, rosyjskie i amerykańskie. Pochrapywał lekko. Obok niego przykucnął major Garabedian, jedząc amerykański obiad składający się z szynki i pieczonych ziemniaków przysłanych z czwartej komory w ramach jeszcze nie ratyfikowanej umowy o współpracy.

Czujnie obserwował amerykańskich żołnierzy kręcących się kilkadziesiąt metrów dalej. Siły były wyrównane: dziesięciu Rosjan i dziesięciu Amerykanów, uzbrojonych w karabiny. Na wszelki wypadek, by uniknąć cichych zabójstw, nie pozwolono im nosić laserów.

Napięcie powoli zelżało po tym, jak Amerykanie przybyli na wezwanie kaprala Rożeńskiego i dwojga Chińczyków. Biblioteka przez cały czas pozostawała zamknięta, a z generałem porucznikiem Mirskim, pułkownikiem Wielogorskim, majorami Biełożerskim i Jazykowem oraz porucznikiem Pogodinem nie było żadnego kontaktu. Początkowo podejrzewano podstęp Amerykanów. Jednak po kilku godzinach rozmów z Pritikinem, Sinowiewem i amerykańską przywódczynią, Hoffman, Garabedian doszedł do innego wniosku.

Nikt nie wiedział, co się stało w bibliotece, chociaż Hoffman przedstawiła pozornie prawdopodobne wyjaśnienie, które nikogo nie zadowoliło. Garabedian rozmyślał nad nim, przesuając wzrok z nieustępliwej czarnej ściany na amerykańskich żołnierzy i z powrotem.

Oficerowie polityczni, zasugerowała Hoffman, próbowali zabić generała Mirskiego. Nie wiadomo, czy im się udało, w każdym razie budynek biblioteki został odcięty od świata, co miało zapobiec dalszym aktom przemocy. Możliwe też, że chodziło o zachowanie dowodów.

Mogli tylko czekać.

Minął tydzień. W tym czasie Garabedianowi i Pletniewowi udało się powstrzymać oddziały rosyjskie przed robieniem głupstw – podziałem na frakcje, agitowaniem lub czczymi spekulacjami. W czwartej komorze postępowały prace nad budową osiedla. Według ostatnich meldunków pięćdziesięciu dwóch Rosjan opuściło obozy i zaszło się w lasach czwartej komory. Do tej pory odnaleziono pięciu. Byli dobrze odżywieni. Lasy obfitowały w jadalne rośliny. Trzej z piątki dezertów, skuleni w pozycji embrionalnej, znajdowali się w stanie opóźnionego szoku.

Amerykańscy psycholodzy zaoferowali pomoc. Mieli już do czynienia z podobnymi przypadkami, w tym z najbardziej spektakularnym: Josepha Rinskajki, który miał atak trzy dni wcześniej. Zabłąkał się do głównego obozu rosyjskiego w czwartej komorze, szlochając niepoohamowanie. Ubranie miał w strzępach i poranione od samobiczowania plecy. Odwieziono go do Amerykanów. Garabedian uznał, że oddanie rosyjskich żołnierzy pod opiekę amerykańskich psychologów nie byłoby mądrym posunięciem.

Przede wszystkim jednak czuł smutek, który niemal wyparł poczucie obowiązku. On – podobnie jak Mirski i większość młodych oficerów – brał udział w nowym rosyjskim eksperymencie militarnym mającym rozwiązać problemy, które wyszły na jaw w wyniku licznych porażek z czasu Małej Śmierci. Inaczej niż w zarzuconym dziewiętnastowiecznym systemie, stanowili zgrany zespół. Mieli wspaniałe osiągnięcia: większą skuteczność, mniej dezercji, aktów przemocy, samobójstw i alkoholizmu.

Byli wojskowymi nowej generacji, a sukcesy uczyniły z nich bohaterów. Podbój Kamienia miał im przynieść niesłychaną chwałę. Zamiast tego, przez jakiś błąd, którego nie mógł pojąć, haniebnie zawiedli. Jako jedyne dziedzictwo zostały im popioły.

Garabedian aż za dobrze rozumiał pobudki kolegów, którzy płynęli na wyspy w czwartej

komorze i kładli się na ziemi, zagrzebując w mech.

Przewodniczący Nexus Hexamonu, Hulane Ram Seija, potrafił wymienić swoich przodków aż do Wielkich Geszelów z Azji, którzy trzynaście wieków temu pierwsi wrócili w kosmos. Mimo to, jako typowy neomorf z Central City, miał wygląd jeszcze mniej ludzki niż frant.

Jedna połowa okrągłego ciała Ram Seiji była z wypolerowanego srebrnego metalu, a druga z eleganckiej czarno--zielonej muszli pochodzącej ze światów leżących za bramą 264. W twarzy, która mogła zajmować jedno z trzech położeń na kuli, wyróżniały się duże badawcze oczy. Szeroki uśmiech ukazujący ostre zęby w żadnym razie nie maskował wrodzonej agresywności. Dwa muskularne ramiona wyglądały jak ludzkie i miały niezwykłą właściwość: mogły się w razie potrzeby wydłużyć do dwóch metrów.

Z powodu braku nóg do przemieszczania się używał rąk i korzystał z wszechobecnych pól trakcyjnych. Liczył sobie niecałe sto lat i było to jego drugie ciało. Przez pierwsze trzydzieści lat nie różnił się od przeciętnego ortodoksyjnego naderyty. To w tamtych latach Ram Seija nawiązał kontakty i nauczył się zasad uprawiania polityki. Dla Olmy'ego stanowił przykład radykalnego geszela dwunastego stulecia Podróży.

Ram Seija był numerem czwartym w hierarchii władzy Hexamonu, po prezydencie, premierze Nexus i ministrze Połączonej Rady Axis.

Ram Seija zwołał zebranie dwudziestu trzech posłów i pięciu senatorów w siedzibie Nexus, położonej tuż za osobliwością w pobliżu środka Central City. Dwudziestu członków Nexus zjawiło się we własnym ciele, które to określenie już wieki temu straciło swoje znaczenie. Teraz oznaczało podstawową postać fizyczną, niekoniecznie cielesną. Zgodnie z prawem, do izb nie wpuszczano osobowości cząstkowych, choć byłoby to dogodne dla uczestników konferencji odbywającej się na Timbl, ojczystej planecie frantów.

Ram Seija przemieścił się na środek sfery i wyświetlił złote naramienniki, ogłaszając rozpoczęcie sesji.

Olmy dryfował obok franta zwiniętego w kulę, z której wystawały tylko szyja i głowa. Kilka minut wcześniej Olmy zakończył ostrą wymianę zdań z posłem Rosenem Gardnerem. Nowy naderycki przywódca frakcji Korzeniowskiego domagał się wstępnego przesłuchania, lecz Olmy sprzeciwił się temu. Gardner był jednym z paru posłów, którzy często naruszali procedurę, a mimo to cieszyli się szacunkiem. Należał również do tych niewielu członków frakcji Korzeniowskiego, którzy zachowywali rozsądek w dyskusji. Ta cecha, a także liczne grono zwolenników, czyniły z niego w oczach radykalnych geszelów szczególnie niebezpiecznego przeciwnika.

– W imię Gwiazdy, Losu, Pneumy i Dobrego Człowieka, który domagał się równości i uczciwości w interesach oraz położenia kresu przytłaczającej i nieludzkiej technice, otwieram zebranie Nexus Hexamonu. Mam nowinę, szanowni państwo – oznajmił Ram Seijamam nowinę. Ser Olmy przedstawi sprawozdanie, a potwierdzi je jeden z naszych sprzymierzeńców, który pomagał ser Olmy'emu w śledztwie.. Olmy i frant wystąpili na środek i otrzymali świetlne naramienniki.

– Na prośbę premiera ostatni rok spędziłem w Thistledown – zaczął Olmy. – Towarzyszył mi frant. Razem wykonywaliśmy niezwykle zadanie. Czy możemy odtworzyć zapisy i dać świadectwo prawdzie?

Ram Seija wyraził zgodę.

Senatorom i posłom wyświetlono nagrany materiał. W ciągu kilku minut zobaczyli siedem komór Thistledown ze sporą liczbą szczegółów, kilkuset mieszkańców, osiedla oraz wnętrza budynków. Następnie Olmy zwrócił uwagę, że przybysze mówią ziemskimi językami z czasów przed Śmiercią.

Ukazał się przyprawiający o zawrót głowy widok na południową klapę pierwszej komory i otwór wlotowy. Mignęły tętniące życiem doki i pomosty wyładunkowe. Potem punkt obserwacyjny przeniósł się na powierzchnię asteroidu. Na niebie pojawił się sierp Ziemi odległej o trzydzieści tysięcy kilometrów i Słońce wyłaniające się zza horyzontu.

Reakcja obecnych była nadzwyczajna. Homomorficznym posłom zaparło dech w piersiach. Wszyscy w różny sposób wyrażali silne emocje.

Pierwszy odezwał się Gardner.

– Błogosławiony Konrad. Dzięki niemu będziemy mogli wrócić do domu.

– Tego nie ma w sprawozdaniu – oświadczył nagle Ram Seija.

– To naprawdę jest Ziemia – powiedział Olmy. – Thistledown wróciło na swoją orbitę, automatycznie i bez naszej wiedzy. Nie opuściliśmy znanego kosmosu. Niewykluczone, że mogło dotrzeć do celu podróży. Tak się nie stało. Asteroid odszukał Słońce i zmienił kurs, żeby wrócić do domu. Nie uniknęliśmy jednak wszystkich skutków utworzenia Drogi. Thistledown przemieściło się w czasie i przestrzeni. Weszło na obecną orbitę jakieś trzy wieki przed swoim wystrzeleniem.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy byli zaszokowani tym, co powiedział Olmy.

Pokaz trwał. Zebrani zobaczyli początek Śmierci, a potem Ziemię na progu Długiej Zimy, spowitą gęstym szarym całunem dymu.

Panowało milczenie. Olmy szybko podjął wątek.

– Wróciłem do miasta z jednym z nowych mieszkańców, kobietą o nazwisku Patricia Louisa Vasquez. Później czworo jej przyjaciół, naruszając prawo ruchu, leciało trasą w pobliżu miasta. U niewinniono ich i przyznano status gości Axis Nader. Wszyscy oczywiście są cieleśni i prymitywni. Mają ludzkie kształty i nie wspomagają psychikę. Są naszymi przodkami sprzed Śmierci.

Naramienniki otrzymał teraz senator, który pierwszy miał zabrać głos. Olmy rozpoznał Prescient Oyu, córkę Odźwiernego Bram Ry Oyu. Dwa lata temu senator Oyu starała się razem z Suli Ram Kikurą o zwolnienie ofiar retrowirusa przenoszonego drogą płciową od limitu dwóch wcieleń. Z pochodzenia umiarkowana geszelka, darzyła sympatią naderytów. Była homomorfem z uwydatnionymi cechami przywódczymi.

– Thistledown wróciło w okolice Ziemi dokładnie w momencie Śmierci? – zapytała.

– To jest w sprawozdaniu – przypomniał jej Ram Seija.

– Niezupełnie – odparł Olmy. – Thistledown znalazło się w granicach Układu Słonecznego pięć i pół roku przed Śmiercią. Mam dowód, że nasze przybycie przyczyniło się do wybuchu wojny. Możliwe, że gdyby nie obecność Thistledown na orbicie, Ziemia uniknęłaby Śmierci w tym kontinuum.

– To pomówienie – zaprotestował wstrząśnięty Gardner. – Błogosławiony Korzeniowski nigdy by czegoś takiego nie zaplanował.

– Mimo całego szacunku dla Nexus – kontynuowała Prescient Oyu – muszę zadać pewne pytanie. Dlaczego publicznie nie ogłoszono tej wiadomości? Proponuję, żebyśmy zwołali nadzwyczajne posiedzenie Nexus i udostępnili sprawozdanie wszystkim mieszkańcom miasta.

Światłne pasy zmieniły kolor na bursztynowy. Senator cofnęła się o metr. Ram Seija uniósł rękę, prosząc obecnych o uwagę.

– Wiadomość jest zaskakująca i ważna, ale może wywołać niepożądane reakcje społeczności. Powinniśmy ją ogłosić w najbardziej konstruktywny sposób.

Poseł Enrik Smys, umiarkowany geszel, pełniący w przeszłości podobną służbę jak Olmy, stwierdził, że najważniejsza jest konferencja. Wszystko wskazywało na to, że Jartowie przygotowują się do przekroczenia punktu dwa do dziewiętej.

– ...W porównaniu z tym nasza dzisiejsza sprawa jest trywialna.

– Wcale nie, pośle Smys – sprzeciwił się Rosen Gardner. – Wszystko to może mieć ze sobą związek.

– Znalazł pan dowody, że celowo przeprogramowano system sterowania Thistledown? – zapytał Ram Seija.

– Nie – odparł Olmy. – Ale wszystkie instrukcje zostały wykasowane po zmianie kursu. Nigdy nie dowiemy się prawdy.

Gardner oficjalnie poprosił o naramienniki. Ram Seija przyznał mu je z pewnym wahaniem.

– Domagam się zbadania Pamięci Miasta – oświadczył. – Jest ktoś, kto może odpowiedzieć na wszystkie pytania...

– Inżynier nie żyje! – zaprotestował gwałtownie Ram Seija.

– Wiemy, że jest nieaktywny – powiedział Gardner z nietypowym dla niego opanowaniem. – Ale błogosławiony Korzeniowski wiedział o niebezpieczeństwie, kiedy opuszczał ciało. Musimy dostać pozwolenie na odszukanie części jego osobowości nie zniszczonych przez zabójców.

– Odrzucam wnioski – oznajmił Ram Seija.

– Proszę o przesłuchanie przed pełnym składem Nexus – nalegał Gardner.

– Odmawiam.

– Żądam oficjalnego dochodzenia – powiedział Gardner zimno. Twarz Ram Seiji przesunęła się na połowę kuli zbudowaną z muszli. Spiorunował oponenta wzrokiem. Jedyne w wyjątkowych wypadkach domagano się oficjalnego dochodzenia. Przekraczając własne uprawnienia, ułatwił zadanie posłowi.

– Popieram – odezwała się senator Oyu, patrząc na zaskoczonego Gardniera.

– Oficjalne dochodzenie – zgodził się Ram Seija. Nie miał wyboru. Jednak wyraz jego twarzy – znajdującej się teraz pośrodku kuli – wyraźnie świadczył, że za wszelką cenę postara się osłabić pozycję Gardniera w Nexus.

Od tego momentu Olmy słuchał dyskusji bez większego zainteresowania i kiedy otrzymał pozwolenie, opuścił sferę razem z frantem. Wsiadli do szybkiej windy i pojechali do Axis Nader, gdzie przebywali Ziemianie.

Zaprowadził franta do sali jadalnej i zamówił dla niego posiłek.

– Jesteś łaskawy, ser Olmy – powiedział frant, wybierając dania. – Zdaje się, że mam tu zostać przez jakiś czas.

– Przedstawimy cię gościom trochę później – odparł Olmy, błędząc myślami daleko.

– Dobrze.

Olmy wystukał kod przy wejściu do wydzielonego sektora. Frant przycupnął na półce, która stanowiła jego tradycyjny stół jadalny, i spojrzał na Olmy'ego.

– Nie spodziewałeś się takich kłopotów, co? – odezwał się.

Olmy uśmiechnął się do franta.

– Byłbyś zaskoczony – powiedział puszczając do niego oko i wszedł do sektora.

Winda do pomostów roboczych przy otworze wlotowym była teraz rzadko używana. Korzystały z niej jeszcze tylko dwie osoby – Roberta Pickney i Sylvia Link. Hoffman uznała, że ich praca jest ważna i odwiedzała je co najmniej raz w tygodniu.

Ze względu na dużą powierzchnię i stosunkowo niski sufit doki kojarzyły się jej garażem lub centrum konferencyjnym. Razem z dwoma ochroniarzami dojechała wózkiem elektrycznym do ośrodka kontroli i łączności pod pierwszym dokiem i sama weszła do cichego pomieszczenia.

Sylvia Link spała w hamaku. Roberta Pickney cicho przywitała się z Hoffman i pokazała jej transmisje przechwycone z Ziemi i Księżyca.

– Osiedle księżycowe dobrze sobie radzi – poinformowała. Pod oczami miała worki. Wyglądała o dziesięć lat starszej niż wtedy, gdy Hoffman zobaczyła ją po raz pierwszy. – Na Ziemi są jeszcze jacyś ludzie, ale używają tylko przekaźników niskiej mocy, przypuszczalnie na baterie lub generatory wiatrowe. Myślę, że te przekazy pochodzą z małych miasteczek leżących na obszarach chronionych przez orbitujące platformy. Od czasu do czasu wysyłam sygnały, ale nikt nie odpowiada. To tylko kwestia czasu.

– Przynajmniej ktoś ocalał – stwierdziła Hoffman.

– Tak. Przynajmniej. Nikt jednak o nas się nie troszczy, a zresztą dlaczego miałby to robić?

– Powinnaś pojechać do czwartej komory na krótki odpoczynek – zasugerowała Hoffman. –

Nie wyglądasz dobrze.

– I nie czuję się najlepiej. Ale została mi tylko praca. Będę to robiła, jak długo w dole będą się odzywały jakieś głosy. Nie każesz nam przerwać, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła Hoffman. – Nie bądź głupia.

– Mam prawo być paranoiczką – stwierdziła Pickney, zaciskając szczęki. – Gdy wróci Heineman, zajmiemy się remontem wahadłowca. Chciałabym polecieć na Księżyc. Mam tam przyjaciół.

– Nie ma żadnych wieści od wyprawy – poinformowała Hoffman. – Spóźniają się, ale nie ma powodu do zmartwienia... na razie. Może przyślę paru kolegów Heinemana do pracy przy wahadłowcu. Podsunęłaś nam dobry pomysł.

– A co z zaginionymi Rosjanami? – zapytała Link, mrugając zaspanymi oczami.

– Nic na razie nie wiadomo – odparła Hoffman. Wzięła Pickney za rękę i uścisnęła ją. – Jesteście potrzebne – zapewniła. – Obie. Nie przemęczajcie się.

Pickney skinęła głową bez większego przekonania.

– W porządku. Niech Janice Polk i Beryl Wallace zastąpią nas za dzień lub dwa. Wyjdziemy na światło i pooglądamy widoki.

– Świetnie – powiedziała Hoffman. – Teraz pokażcie mi, skąd przychodzą sygnały...

Włamywacz zjawił się, kiedy Patricia spała, i obudził ją, łaskocząc w ucho.

– Panno Patricio Louiso Vasquez, Ziemianko, była Ziemianko. Przybyłem z odpowiedziami.

Odwróciła się i przetarła oczy. Wygląd intruza zmienił się. Miał teraz na sobie workowate spodnie i sweter. Włosy były zmierzwiłone, a u pasa wisiał łańcuszek bez zegarka, włożony do kieszonki swetra. Włamywacz był ubrany według mody z 2005 roku. Patricia przechyliła się przez brzeg łóżka i przyjrzała się jego butom. Stroju dopełniały huaraches i japońskie skarpety tabi.

– Są na moim tropie – oznajmił. – Musiałem się wśliznąć w inny sposób. Korzystam z zapasowego piktora. Pierwszy jest zamknięty. I przeprogramowałem komputer pokojowy, żeby nas nie mogli podsłuchać. Znalazłem sposób, by się dostać do archiwów miasta. To duże rozczarowanie. Najwyraźniej nie ma nic świętego dla Nexus.

Patricia zamrugła oczami i wstała z łóżka, sięgając po szatę.

– Przez cały czas to robisz?

– Nie – odparł. – Dotarcie tak daleko wymaga dużo wysiłku. Wolałbym raczej zabawiać się w Pamięci Miasta, ale moi zleceniodawcy hojnie odwdzięczają się za informacje. Na szczęście zdążyłem przed oficjalnym ogłoszeniem nowiny. Teraz wszyscy wiedzą, że tutaj jesteś.

– Poinformowano nas o tym.

– Racja – potwierdził włamywacz. W sypialni zapaliło się światło. Patricia obejrzała się w lustrze nad umywalką i doszła do wniosku, że niewiele zdołała w pośpiechu. Wyglądała na wyczerpaną, a włosy miała potargane od niespokojnego snu.

– Tak czy inaczej, mam odpowiedzi – oznajmił intruz – i to więcej niż było pytań. Za kilka dni złożysz zeznanie przed całym Nexus. Nikt tego jeszcze nie wie oprócz mnie i tych, którzy powinni. Weźmiesz udział w ceremonii Ostatniej Bramy. To nie jest oficjalna nazwa. Spotkasz się z Pierwszym Odźwiernym w punkcie trzy do dziewiątej i będziesz świadkiem otwarcia bramy. Zaraz potem pewnie ją zamkną. Jartowie się zbliżają.

– Kto to są jartowie?

– Pasożyty, insekty, niezwykle agresywna i niechętna do współpracy rasa. Droga istniała tysiąc lat przed przyłączeniem jej do Thistledown, oczywiście tutejszego czasu. Jartowie weszli przez próbną bramę i osiedlili się na Drodze. Musieliśmy z nimi walczyć. Potrafią otwierać bramy i kontrolują odcinek między punktem dwa do dziewiątej a cztery do dziewiątej. Ale to wszystko jest w Pamięci, a ja nie mam wiele czasu. Dowiedziałem się paru rzeczy o Olmym. Słyszałaś o ortodoksyjnych naderytach i geszelach?

– Tak – potwierdziła Patricia.

– Istnieją dwa plany działania, na wypadek gdyby jartowie nas pokonali, co wydaje się bardzo prawdopodobne. Geszelowie chcą zmobilizować całe Axis City, przejąc trasę i polecieć nią z prędkością bliską światła na terytorium Jartów, jednocześnie odłączając Thistledown od Drogi.

– Jak to? Dlaczego?

– Mogliby zapieczętować Drogę. I wyeliminować niebezpieczeństwo zajęcia Thistledown i całej Drogi przez Jartów. Alternatywą jest wyszukanie nadającej się do zamieszkania planety i osiedlenie się na niej... albo zamknięcie Drogi. Axis City poleciałoby w stronę Thistledown, oderwało asteroid od Drogi i weszło na orbitę wokół planety. To będzie wymagało czasu, czy raczej wymagałoby. Teraz sytuacja jest idealna, ponieważ Thistledown znajduje się na orbicie wokółziemskiej. Wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Dlatego też ortodoksyjni naderyci, zwłaszcza frakcja Korzeniowskiego...

– Kim oni są? – zapytała Patricia, ożywiając się na dźwięk znajomego nazwiska.

– Wywodzą się od inżynierów, którzy kiedyś popierali projektanta Drogi, Konrada Korzeniowskiego. Jest to mała, konserwatywna grupka pragnąca powrotu na Ziemię. Geszelowie uważali ich do tej pory za kandydatów do nieaktywnej Pamięci. Naderyci i zwolennicy Korzeniowskiego domagają się rozważenia tego planu.

– Chcą wprowadzić Axis City na orbitę wokół Ziemi i Księżyca?

– Właśnie. Mój czas się kończy. Muszę zaraz uruchomić wszystkie zabezpieczenia. Nie będę cię mógł odwiedzać. To ostatnia wizyta. Olmy nie jest tym, za kogo się podaje. On...

Później wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Patricia ledwo je zarejestrowała. Obraz włamywacza zachwiał się gwałtownie. W przeciwległej ścianie coś zasyczało. Z zapasowego piktora wystrzelił czerwony promień, przeleciał przez pokój i trafił w tabliczkę leżącą na nocnym stoliku. Intruz zniknął. Światła w sypialni zgasły.

Wszystko w pokoju, meble i ściany, było niewyraźne i szare.

– Światło, proszę – poleciała.

– Przykro mi – powiedział głos, tym razem ochryple i niemelodyjny. – Awaria piktorów. Proszę o cierpliwość. Naprawa w toku.

Usiadła na brzegu łóżka. Gdy wzrok jej przyzwyczał się do ciemności, zauważyła, że zniknęły wszystkie dekoracje. Siedziała na białym niby-łóżku otoczona przez białe niby-meble. Ściany były puste. Wzięła do ręki tabliczkę, żeby sprawdzić, czy działa.

Na ekranie ukazał się prymitywny rysunek włamywacza ubranego według najnowszej mody, potem ciąg liczb, a na koniec trójkąt. Później wyświetliły się trzy równania i kod. Patricia szybko rozwiązała równania.

Na tabliczce pojawił się napis: „Olmy znał Korzeniowskiego. Nadal się z nim kontaktuje. W Thistledown City”.

Olmy miał apartament w Axis Nader. Nigdy nie mieszkał w nim dłużej niż cztery miesiące z rzędu, ale dość często zatrzymywał się w tej części Axis City. Nigdy nie urządzał kwatery, zadowolając się tylko niezbędnymi poprawkami, by nadawała się do zamieszkania. Unikał korzystania z udogodnień, które większość obywateli Axis uważała za podstawowe.

Wcale nie był ascetą. Po prostu nie odczuwał potrzeby wygód, jednak nie miał tego za złe innym.

Siedział w białym salonie, czekając aż program śledzący wykona zadanie. Zaprojektowany przez niego tropiciel miał cechy psa ziemskiej rasy, teriera krótkowłosego, uzupełnione paroma jego własnymi cząstkowymi osobowościami. Tropiciel był twardy, zaradny, pomysłowy. Rzadko go zawodził.

Zgodnie z prawem Axis City, walka z włamywaczami z Pamięci Miasta musiała być czysta. Obywatele nie mogli wykasować wytropionych przestępców, lecz jedynie zapędzić ich w kozi róg i zażądać natychmiastowej dezaktywacji.

Olmy'emu nie chodziło o unicestwienie włamywacza. Po prostu chciał mieć go na oku i wywierać presję, by poczuć dreszczyk emocji, jaki wywoływało naruszenie prawa. Ten duch był bardzo dobry. Przeżył dziesiątki pojedynków, ciągnących się nieraz przez całe dekady, co oznaczało tysiąclecia w Pamięci Miasta. Nie miał nazwiska i nie zostawiał śladów. Był skuteczny, nieuchwytny i na tyle egoistyczny, by mieć motywację do pojedynków.

Tropiciel wyszedł z włamywacza w apartamencie Patricii. Olmy kazał mu się wycofać w taki sposób, by duch myślał, że udało mu się uciec.

Olmy dobrze znał osobowość przeciętnego włamywacza. Większość z nich urodziła się

w czasach, kiedy kończono tworzenie Pamięci Miasta. Jej budowę, która trwała pięćset lat, rozpoczęto jeszcze w Thistledown City przed powstaniem Drogi.

Wielu obywateli, na ogół młodych, znalazło sposób, by unikać kar odstrasżających od przestępstwa – wykasowania zmagazynowanych osobowości i wymiany ciał. Najpopularniejszą metodą było tworzenie nielegalnej kopii osobowości, która miała pozostać nieaktywna w Pamięci Miasta. Jeśli obywatel otrzymywał najwyższą karę, mógł uaktywnić swoją nielegalną kopię, gwarantując sobie ciągłość życia.

Oszuści zajęli się następnie najróżniejszymi formami nielegalnej działalności. Niektórzy uciekali się do aktów przemocy nie spotykanych w Axis City od czasu usunięcia ortodoksyjnych naderytów z Aleksandrii. Większość złapano, osadzono, skazano i wykonano na nich wyrok, tym samym zamykając w Pamięci Miasta destrukcyjne osobowości. Z czasem agenci Hexamonu przekonali niektórych skazanych, że najciekawiej mogą spędzać czas angażując się w pojedynki. Mieli tropić i eliminować innych przestępców. To rozwiązało wiele problemów. Pojedynki weszły w modę i w ciągu dziesięciolecia połowa kryminalistów została zlikwidowana przez własnych kolegów.

Wielu jednak przeżyło – najsprytniejsi i najbardziej pomysłowi, i dlatego najbardziej niebezpieczni.

Przywrócenie porządku w Pamięci Miasta było w ostatnich dekadach jednym z najpilniejszych zadań Nexus. Niewiele osiągnięto. Najbardziej uparci przestępcy nadal działali, od czasu do czasu poważnie zakłócając funkcjonowanie miasta.

Wynajęcie włamywacza zawsze wiązało się z ryzykiem. Olmy zdawał sobie z tego sprawę. Zleceniodawca nie mógł oczekiwać całkowitej lojalności. Przestępca był lojalny tak długo, jak długo czerpał z tego korzyści.

Dlatego Olmy hojnie wynagrodził przestępcę, który miał dostęp do kilku prywatnych banków danych. Jednocześnie zabezpieczył się przed odkryciem, kto go wynajął, zwłaszcza przed samym zainteresowanym.

W bibliotece powoli zrobiło się jasno. Paweł Mirski zamrugał oczami. Stał w końcu sali pełnej siedzeń i pulpitów.

W pierwszym odruchu postanowił obejrzeć szkody spowodowane strzelaniną. Nie zobaczył żadnych. Wszystkie stanowiska były nietknięte. Mirski uniósł rękę, dotykając głowy, nosa i brody. Nie wyczuł blizn. Słaby sygnał w głowie pozwolił mu zorientować się, że używa części mózgu nie należącej pierwotnie do niego.

Zaczął chodzić tam i z powrotem, doświadczając dość nieprzyjemnego uczucia zagubienia. Obszedł rzędy krzeseł i zbliżył się do czarnej ściany. Zmarszczył brwi i zawołał:

– Halo! – Nikt nie odpowiedział. – Halo! Gdzie są wszyscy?

Może został sam? Pozostali wyszli z biblioteki po tym, jak do niego strzelili. Pamiętał jednak białą gęstą mgłę i leżących na podłodze trzech oficerów.

– Pogodin! – zawołał. – Pogodin, gdzie jesteś? Znowu brak odpowiedzi. Podeszedł do małych drzwi, które prowadziły do pokoju obserwacyjnego. Drzwi były otwarte. Wspiął się po schodach.

Pogodin leżał na trzech złączonych krzesłach, oddychając równomiernie. Najwyraźniej spał. Mirski delikatnie potrząsnął jego ramieniem.

– Pogodin. Czas iść.

Pogodin otworzył oczy i popatrzył na Mirskiego ze zdumieniem.

– Zastrzelili cię – wyjąkał. – Odstrzelili ci pół głowy. Widziałem na własne oczy.

– Spałem – powiedział Mirski. – Miałem bardzo dziwne sny. Widziałeś, co się stało z Wielogorskim, Biełożerskim i Jazykowem?

– Nie – odparł Pogodin. – Pamiętam tylko mgłę i swędzenie. A teraz to. – Oczy mu się rozszerzyły. Usiadł i powiedział drżącym głosem: – Chcę stąd wyjść.

– Dobry pomysł. Zorientujmy się, co się stało. – Mirski ruszył przed Pogodinem po schodach. Podeszedł do czarnej ściany. – Otwórz się.

Półksiężycy we drzwi rozsunęły się cicho. Annenkowski stał w postawie na spoczynj tyłem do drzwi, trzymając za lufę karabin oparty kolbą o ziemię.

– Przepraszam, majorze – odezwał się Mirski. Annenkowski obrócił się na pięcie, niezdarnie unosząc karabin.

– Ostrożnie – ostrzegł Mirski.

– Towarzyszu pułkowniku, to znaczy generale...

– Gdzie są pozostali? – zapytał Mirski, patrząc na oddziały na placu.

– Pozostali?

– Oficerowie polityczni.

– Nie wyszli. Proszę wybaczyć, generale, ale musimy natychmiast wrócić do obozu, musimy skontaktować się przez radio i...

– Jak długo mnie nie było?

– Dziewięć dni, generale.

– Kto dowodzi? – zapytał Mirski. Pogodin stanął tuż za nim.

– Major Garabedian i podpułkownik Pletniew, generale.

– Więc zaprowadź mnie do nich. Co tutaj robią wojska NATO?

– Generale... – Annenkowski wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. – Było dużo zamieszania. Nikt nie wiedział, co się dzieje. A co się właściwie wydarzyło?

– Dobrze pytanie – powiedział Mirski. – Może dowiemy się później. Na razie czuję się

dobrze, Pogodin również. Musimy jechać do obozu w czwartej komorze.

– Tak, generale.

– Chodźmy. A dlaczego nasi żołnierze stacjonują tutaj?

– Czekają na pana, generale.

– Więc niech wracają z nami.

– Tak jest, generale.

W pociągu Mirski zaniknął oczy i oparł głowę o ścianę. „Jestem martwy”, pomyślał. „Czuję to. Brakuje części mnie. Zalepili dziury. To znaczy, że jestem nowym człowiekiem. Jestem martwy, przywrócony do życia. Nowy, ale obarczony dawnymi obowiązkami”.

Otworzył oczy i spojrzał na Annenkowskiego. Na twarzy majora malował się wyraz przestachu, który natychmiast zniknął, wyparty przez szeroki uśmiech.

– Podsumujmy więc – powiedział Lanier. Zebrali się w apartamencie Patricii, żeby wysłuchać historii o intruzie i uzgodnić dalsze plany. – Jesteśmy gośćmi, ale nie do końca. Pilnują nas, więc równie dobrze możemy uważać siebie za więźniów.

– Serwis danych jest cenzurowany – dodała Farley.

– Nie możemy wrócić na Kamień – włączył się Heineman.

– I jeśli to, co mówi Patricia, jest prawdą, niedługo będziemy sławnymi osobistościami – powiedziała Carrolson.

– Co ci powiedział włamywacz? Czy ktokolwiek spodziewał się, że Kamień wróci na orbitę wokół Ziemi? – zapytał Lanier.

– Nic nie powiedział – odparła Patricia. – Ale nie sądzę. Jeśli mam rację, myśleli, że będzie podróżował przez kosmos, zbyt mały, by go dostrzeżono, i nigdy nie dotrze do określonego miejsca.

– Więc jakie zajmiemy stanowisko? – zapytał Lanier. – Lany, Lenore.

– A co kogo obchodzi nasze zdanie? Co możemy zrobić? – zapytał Heineman, rozkładając ręce.

– Pomyśl, Larry – odezwała się Carrolson, kładąc mu dłoń na kolanie. – Jesteśmy ważnymi osobistościami. Nie mogą tak po prostu zignorować naszych życzeń.

– O nie! – zawołał Heineman. – Mogą nam zrobić pranie mózgow. Niektórzy z nich nie są nawet ludźmi!

– Są ludźmi – sprzeciwiła się Patricia. – To, że mogą sobie wybierać rodzaj ciała, talenty i zdolności, nie oznacza, że nie pochodzą od nas.

– O Boże – jęknął Heineman, potrząsając głową. – To mnie przerasta.

– Nieprawda – zapewniła go Carrolson. – Jeśli ja mogę sobie z tym poradzić, ty również potrafisz. – Ścisnęła go za kolano.

– Jeśli będziemy jednomyślni, zmusimy ich do ustępstw – stwierdził Lanier. – Jeśli jesteśmy osobistościami albo raczej osobliwościami, możemy mieć wpływ na to, jak nas potraktują... i naszych kolegów na Kamieniu.

– Czego więc zażądamy? – zapytała Carrolson.

– Po pierwsze, żeby nie cenzurowano informacji – zaproponowała Patricia.

– Jeszcze nie korzystałem z serwisu – przyznał się Heineman.

– Spróbujmy wymóc zgodę na skomunikowanie się z Kamieniem. – Lanier rozejrzał się po pokoju. – Mam rację?

Potwierdzili.

– Musimy podróżować całą grupą. Nie powinniśmy się rozdzielać – kontynuował. – Jeśli tak się stanie, protestujemy...

– Strajk głodowy? – rzuciła Farley.

– Najważniejsza jest skuteczność. Nasi gospodarze nie są ludożercami i jest mało prawdopodobne, by nas źle traktowali. Zapewne nieraz będziemy zaszokowani, ale z tym sobie poradzimy. Przetrwaliśmy na Kamieniu, przetrwamy i tutaj. Jasne?

– Jasne – potwierdziła Farley, patrząc na Laniera wzrokiem wyrażającym coś więcej niż tylko szacunek dla autorytetu. Patricia zerknęła na nich oboje i na jej twarzy pojawił się cierpki uśmiech, który Lanier uznał za wesoły.

Carrolson przyjrzała się uważnie na całej trójce.

– Olmy jest w sali klubowej – poinformowała Patricia. – Razem z Ram Kikurą.

Powiedziałam, żeby poczekać, dopóki nie skończymy, ale koniecznie chce z nami rozmawiać.

– Więc jesteśmy jednomyślni? – upewnił się Lanier.

– Oczywiście – powiedział Heineman cicho.

Do apartamentu Patricii weszli Olmy i Ram Kikurą i usiedli pośrodku grupki. Ram Kikurą uśmiechnęła się przyjaźnie. Wyglądała równie młodo jak Patricia, lecz Lanier doszedł do wniosku, że musi być znacznie starsza.

Przedstawił żądania. Ku jego zaskoczeniu Olmy zgodził się prawie na wszystko, z wyjątkiem łączności z Thistledown.

– Nie mogę wam teraz tego zagwarantować. Może później. Pozwolimy wam na nieograniczony dostęp do danych, ale musicie się najpierw nauczyć paru rzeczy – powiedział. – Wiąże się z tym wielka odpowiedzialność. Istnieje możliwość nadużyć. Zgodzicie się na pomoc pedagoga? Ram Kikurą wyznaczy ducha, osobowość cząstkową. Pedagog będzie dla was wyszukiwał informacje, a jednocześnie uczył. Nasi młodszy obywatele przez cały czas korzystają z takiej pomocy.

– Nie będzie nam stawiał żadnych ograniczeń? – zapytała Patricia.

– To nie jest takie proste – stwierdziła Ram Kikurą. – Żaden obywatel nie ma dostępu do wszystkich danych w Pamięci Miasta. Wiele rzeczy może być niebezpiecznych...

– Na przykład co? – zainteresował się Heineman.

– Programy zmieniające osobowość albo łączące cechy różnych osobowości. Rzeczywistość wirtualna. Może poznacie je później, ale na razie pedagog uchroni was przed, nazwijmy to, pomieszaniem w głowach.

– Mamy pozostać czysti? – zapytała Patricia.

– Do pewnego stopnia – przyznał Olmy. – Wprawdzie przeprowadzono testy...

– Naprawdę? – zdziwił się Heineman.

– Tak. Gdy spaliście.

– Uważam, że powinniście nas uprzedzić – oświadczył Lanier, marszcząc czoło.

– Zrobiliśmy to. Wasze śpiące osoby odpowiadały na pytania i nie zrobiliśmy nic, na co się nie zgadzaliście.

– Boże – powiedziała Carrolson. – Co to, do diabła, są śpiące osoby?

– Teraz chyba rozumiecie, dlaczego traktujemy was jak dzieci albo w najlepszym razie nastolatków. Jesteście po prostu nie przygotowani na przyjęcie wszystkiego, co ma do zaoferowania Axis City. Proszę, nie obrażajcie się. Jestem tu po to, by wam pomagać i chronić, i będę to robiła niezależnie od waszych obiekcji – oświadczyła Ram Kikura.

– Na tym właśnie polega praca adwokatów? – zapytał Heinema.

– Adwokat jest jednocześnie przedstawicielem i przewodnikiem – wyjaśniła Ram Kikura. – Wyznaczone duchy zbierają materiały, a my korzystając z nich udzielamy porad. Mamy wiele przywilejów, na przykład dostęp do prywatnych zbiorów pamięci. Chociaż nie możemy ujawnić zawartości tych zbiorów, wolno nam z nich korzystać, oczywiście w określonych granicach. Niektórzy adwokaci oferują to, co wy nazwalibyście poradami psychologicznymi. Ja również się tym zajmuję.

– Przede wszystkim – włączył się Olmy – ser Ram Kikura zapewni wam ochronę przed nadużyciami władz. Macie jeszcze jakieś pytania?

– Tak – powiedziała Carrolson, patrząc na Laniera. Gdy skinął głową, kontynuowała: – Co się stanie z ludźmi, którzy zostali na Kamieniu... w Thistledown?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Olmy. – Nie podjęto decyzji.

– Będą dobrze traktowani? – zapytała Farley. – Wszyscy?

– Mogę zagwarantować, że nie stanie się im krzywda – oświadczył Olmy.

– Kiedy będziemy mogli z nimi się skomunikować? – zapytał Lanier.

Olmy splótł palce i nic nie powiedział.

– No więc?

– Jak powiedziałem, jeszcze nie rozstrzygnięto tej kwestii.

– Mam nadzieję, że wkrótce poznamy decyzję – oświadczył Lanier.

– Oczywiście – zapewnił ich Olmy. – Do tej pory trzymano was w zamknięciu. Teraz to się zmieni. Wasza obecność już nie jest tajemnicą. Staniecie się popularni. Czekają was uroczystości i podróże. Jeszcze będziecie mieli tego dosyć.

– Z pewnością – powiedział Lanier z powątpiewaniem. – Ser Olmy, tak między nami, dlaczego panu tak na nas zależy, skoro występuje pan tylko w swoim imieniu i nikt nie zagląda panu przez ramię?

– Panie Lanier – odparł Olmy – wie pan równie dobrze jak ja, że jeszcze nie pora na całkowitą szczerość. Pogubilibyście się, gdybym próbował wam wszystko wyjaśnić. Kiedyś to zrobię, ale najpierw musicie poznać nasze miasto, naszą kulturę. Ponieważ możecie teraz swobodnie korzystać z serwisu danych...

– Do pewnego stopnia – poprawił Lanier.

– Tak, z pewnymi ograniczeniami... Być może zechcecie poświęcić następną dobę na „wkuwanie”, jeśli to jest właściwy idiom.

– Czy będą inne ograniczenia?

– Tak – potwierdził Olmy. – Nie możecie opuszczać kwater. Do czasu ułożenia planu zajęć i zorganizowania przez Nexus waszego... debiutu. Na razie proponuję, żebyście jak najwięcej dowiedzieli się o Axis City i poznali nasze zwyczaje.

Uniósł brwi i spojrzał kolejno na wszystkich, jakby czekał na następne pytania. Nikt się nie odezwał. Lanier splótł ręce na karku i rozparł się na sofie.

Ram Kikura zaprogramowała piktory.

– Już macie pedagoga – oznajmiła. – Możecie korzystać z serwisów danych w swoich pokojach. Najlepiej zacznijcie od poznania miasta i Drogi. Zgodza?

Cała siódemka patrzyła w milczeniu na Axis City, które wyświetliło się przed nimi w najdrobniejszych szczegółach. Mieli wrażenie, że zbliżają się do miasta od pomocy, lecąc trasą bardzo blisko osobliwości i mijając po drodze kilka ciemnych tarcz.

Zawiśli kilkaset metrów nad pasami ruchu. Heineman drgnął, kiedy zobaczył podobne do zbiorników paliwa cylindry mknące po drogach widocznych w dole. Każdy cylinder miał z przodu krąg jasnych reflektorów i trzy pasy świateł pozycyjnych wzdłuż boków. Czterokilometrowej szerokości terminal przyjmował tysiące pojazdów nadjeżdżających ze wszystkich kierunków. Na krótko ukazało się wnętrze stacji końcowej – labirynt wielopoziomowych rozjazdów, cylindry w hangarach, gdzie je rozładowywano lub załadowywano, kontenery. Sama brama była znacznie większa niż te, przez które oni przejeżdżali. Miała co najmniej dwa kilometry szerokości i przypominała kopalnię odkrywkową, ale o bardziej regularnym kształcie i zastawioną maszynią.

Axis City było imponujące z każdego punktu obserwacyjnego, a z bliska przytłaczało. Piktory przybliżył najpierw pomocną część miasta i wyjaśnił jej funkcję, a następnie południową.

Najdalej na południe wysunięty kraniec miasta wyglądał jak duży krzyż maltański wyrastający z dwóch sześcianów ustawionych jeden za drugim na osobliwości, która przechodziła przez środek krzyża. Tutaj znajdowała się maszyneria, która zasilala miasto i sterowała nim w czasie lotu trasą. Ten sam efekt, dzięki któremu miasto mogło się przesuwac wzdłuż osobliwości i który napędzał

plazmolot, dostarczał również dużej części energii. Wewnątrz sześcianów mieściły się turbiny, których „łopaty” przecinały osobliwość i podlegały transformacjom przestrzennym.

„Skąd bierze się energia?”, zastanowiła się Patricia. „Czy to pytanie w ogóle ma sens?”

Za dwoma sześcianami znajdował się bufor w kształcie gigantycznego kieliszka do wina. Jego szeroki koniec przylegał płasko do pierwszego obracającego się cylindra, Axis Nader, najstarszej części miasta. Po ostatecznym przeniesieniu ortodoksyjnych naderytów z Thistledown, osiedlono ich w Axis Nader, które stało się czymś w rodzaju naderyckiego getta.

Rozrastająca się wtedy populacja neomorfów przeniosła się na północ do Central City i innych cylindrów, nowszych i pod wieloma względami bardziej atrakcyjnych. Dzięki rotacji powstawała siła odśrodkowa równa w najbardziej oddalonych od centrum punktach sile panującej na Drodze. Axis Nader zamieszkiwali głównie ortodoksyjni naderyci, którzy byli w większości homomorfami.

Za Axis Nader znajdowało się Central City. Jego architektura przyprawiała o zawrót głowy. Ciekawość Laniera wzbudziły dziwne kształty budowli. Każda płaszczyzna sześcianu stanowiła przysadzistą piramidę, której „stopnie” skręcały się lekko w stosunku do siebie, tworząc półspirale. Całość zmieściłaby się w kuli o średnicy około dziesięciu kilometrów i przypominała dzieła architekta Paolo Soleriego i wieżę Babel z obrazu dwudziestowiecznego artysty M.C. Eschera. Central City było największą atrakcją Axis City. Motyw „skręconej piramidy” wydawał się wszechobecny. Taki kształt miały również terminale.

Za Central City zaczynało się Axis Euclid, w którym mieszkali zarówno neomorfowie, jak i homomorfowie o geszelskich i naderyckich sympatiach. Axis Thoreau i Axis Euclid obracały się w przeciwnym kierunku, żeby zrównoważyć obrót większego od nich Axis Nader.

Piktor przeniósł ich znowu w okolice krzyża maltańskiego w południowej części miasta. Znaleźli się w środku krzyża, w doku, gdzie zobaczyli inną wersję – znacznie większy i bardziej skomplikowany – ich zniszczonego plazmolotu. Statek miał prawie sto metrów długości i kształt okaryny zwężającej się pośrodku. Dwa segmenty wrzeciona były niemal gładkie, jeden lśniący ciemnoszary, drugi niebiesko-fioletowy.

Obraz uzupełniony był danymi i informacjami. Statek – jeden z floty liczącej ponad sto jednostek – mógł podróżować z szybkością pięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Mógł odłączyć się od osobliwości, żeby przepuścić inne pojazdy – chociaż Heineman wyznał, że nie rozumie, jak to możliwe, skoro osobliwość przechodzi przez sam środek statku – i wysyłać mniejsze jednostki na rekonesans.

Ogromne dyski, które widzieli podczas lotu, dostarczały towary i przewoziły pasażerów znacznie tańszym kosztem. Na zakończenie wycieczki pojawiła się przed nimi wirująca złoto-srebrna sfera armilarna.

– Ser Olmy – odezwał się Lanier.

– Słucham.

– Jesteśmy gośćmi czy więźniami?

– Ani jednym, ani drugim – odparł Olmy. – Zależnie od tego, kogo zapytacie i jak szczerze wam odpowie, jesteście ważnymi osobistościami albo zagrożeniem. Pamiętajcie o tym. Planujemy trzy powitania. Pierwsze w siedzibie Nexus Hexamonu, drugie na ojczystym świecie franta, Timbl, gdzie być może spotkacie się z prezydentem, i trzecie w punkcie trzy do dziewiątej, gdzie zostanie otwarta nowa brama. Lanier wstał powoli.

– W porządku – powiedział. – Staliśmy się własnością publiczną i jesteśmy teraz wykorzystywani w celach propagandowych. Całe lata zajmie nam nauka tutejszych zwyczajów. Może

nigdy się nam to nie uda, ponieważ nie mamy implantów. Przynajmniej pokażecie nam więcej niż do tej pory. Nie jesteśmy już czystymi okazami homo sapiens z czasów sprzed Śmierci. – Zrobił przerwę, zbity z tropu. – Jednak...

– Nigdy nie zadowolą was moje wyjaśnienia – przerwał mu Olmy. – Wyczuwacie, że coś ukrywamy. I macie rację. Zauważcie, że nigdy was nie prosiłem, byście mi zaufali. Nie powinienem tego oczekiwać. Możemy sobie jednak nawzajem ogromnie pomóc. Wy chcecie skomunikować się ze swoimi rodakami, a Nexus musi uporać się z nową sytuacją. Wkrótce dowiecie się więcej o Drodze i naszej misji, więcej niż z serwisu danych. Będę wam towarzyszył. Suli Ram Kikura i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by bronić waszej sprawy, po pierwsze dlatego, że to uczciwe, a po drugie, że to, co jest w waszym interesie, służy również Nexus.

Lanier spojrzął na pozostałą czwórkę, zatrzymując wzrok na Farley, a potem na Patricii. Farley uśmiechnęła się zachęcająco. Wyrazu twarzy Patricii nie potrafił zinterpretować.

– Możecie liczyć na naszą współpracę, w granicach rozsądku, przez następnych siedem dni – zapewnił Lanier. – Jeśli nie będzie dla mnie oczywiste, że działamy dla wspólnego dobra, i jeśli nie otrzymamy pozwolenia na połączenie się z Thistledown, współpraca zostanie wstrzymana. Nie wiem, czy to dla was duża groźba – wziął głęboki oddech. – Zdaję sobie sprawę, że możecie stworzyć nasze komputerowe obrazy i kazać im zrobić dowolną rzecz albo nawet wyprodukować podobne do nas androidy. Takie jednak jest nasze stanowisko.

– Zgoda – powiedział Olmy. – Siedem dni.

Olmy i Ram Kikura wyszli. Heineman wolno pokręcił głową, potem spojrzął na Laniera.

– I co?

– Będziemy się uczyć – odparł Lanier. – I uzbroimy się w cierpliwość.

Hoffman stała przed małym lustrem w swojej klitce, jak nazywała pokój w kobiecym baraku. Doszła do wniosku, że nie wygląda źle. Przez ostatnie kilka dni spała lepiej.

Liczba samobójstw zmniejszyła się. Jej ludzie – Hoffman zawsze myślała o nich w taki sposób – wydawali się pogodzeni z losem. Planowano remont wahadłowca i rosyjskich transportowców, żeby podjąć próbę lotu na Księżyc. Niektórzy nawet zastanawiali się nad wyprawą na Ziemię. Prym w tej grupie wiedli Gerhardt i Rinskaya.

Rinskaya zadziwiająco szybko doszedł do siebie po załamaniu, jak to sam określał. Był mocno zażenowany i w końcu poprosił, by koledzy przestali okazywać mu zrozumienie. „Bądźcie dla mnie tacy surowi, jak ja byłem dla was” – zażądał.

Hoffman natychmiast uczyniła go odpowiedzialnym za sprawy zaopatrzenia. Wiedziała, że dobrze sobie poradzi.

Zawsze należy wyznaczyć twardego (lecz bystrego) człowieka do pilnowania zapasów. Potrafił współpracować z Rosjanami i zdjął jej duży ciężar z barków. W wolnym czasie – choć było go niewiele – konferował z Gerhardtem na temat planów wyprawy na Ziemię. Hoffman miała własne sposoby radzenia sobie z ludźmi. Wyglądało na to, że Rinskaya ożył pod nawałem nowych obowiązków.

Jej głównym zmartwieniem teraz był los wyprawy ratunkowej.

Po zniknięciu trzech oficerów politycznych i powrocie Mirskiego Rosjanie stali się bardziej skłonni do współpracy. Problemem był brak kobiet. Miały miejsce dwa gwałty i kilka usiłowań. I tak mniej, niż się spodziewała. Żołnierze oddawali kobietom lekką broń. Już jej nie potrzebowali.

Hoffman za godzinę spotykała się z Mirskim w czwartej komorze. Miało to być ich drugie spotkanie od jego powrotu i było wiele rzeczy do omówienia, ale nie spodziewała się trudności.

Razem z Beryl Wallace i dwoma żołnierzami piechoty morskiej pojechała pociągiem do

czwartej komory i w osiedlu NATO przesiadła się do ciężarówki. Osiedle Rosjan podzieliło się w czasie nieobecności Mirskiego na trzy części. Zajmowało teraz długi pas wybrzeża i dwie wyspy. Z dni zbito dwie tratwy i powoli, mozolnie budowano łodzie, gdyż brakowało narzędzi ciesielskich.

Podróż przez las była dla Hoffman czystą przyjemnością. Obóz Rosjan znajdował się blisko stacji, jakieś czterdzieści kilometrów od osiedla NATO. Zbudowaną przez mieszkańców Kamienia drogę otaczały dzikie tereny i duże połacie lasów. Lekki deszczyk zrosił szyby ciężarówki.

Wallace mówiła coś o podjęciu badań naukowych w szóstej i siódmej komorze. Hoffman słuchała i potakiwała, ale temat jej nie interesował. Wallace wyczuła to po paru minutach i pozwoliła szefowej pograć się w rozmyślaniach.

Główny obóz Rosjan przypominał stary fort z Dzikiego Zachodu. Z okorowanych i odartych z gałęzi młodych drzewek zbudowano ścianę obronną za wysokim ziemnym obwałowaniem. Rosyjscy żołnierze szeroko otworzyli gościom wrota. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła Hoffman, były szubienice. Stały – dzięki Bogu puste – pośrodku placu oczyszczonego z trawy i wszelkiej roślinności, otoczone kamieniami wielkości głowy.

Trwały prace budowlane. Najbardziej ambitnym przedsięwzięciem miał być dwupiętrowy dom zaprojektowany na wzór starej rosyjskiej chaty.

Żołnierze pokazali im, że mają zaparkować za długim, wąskim budynkiem zbudowanym z bali. Mirski przyjął ich przy biurku stojącym w końcu baraku. Ze względu na brak ścianek działowych widać było inne stanowiska pracy i hamaki do spania. Hoffman i Wallace uścisnęły dłoń gospodarzowi, który wskazał im brezentowe krzesła. Amerykańscy żołnierze zostali na zewnątrz w towarzystwie dwóch rosyjskich komandosów.

Mirski zaproponował gościom herbatę.

– To z waszych zapasów – powiedział. – Całkiem dobra herbata.

– Robicie postępy w budowie obozu – stwierdziła Hoffman.

– Mówmy po angielsku – zaproponował Mirski. – Potrzebuję praktyki. – Nalał ciemnobursztynowej herbaty do trzech plastikowych kubków.

– Świetnie – zgodziła się Hoffman.

– Nie mogę sobie przypisać zasługi za te postępy – przyznał Mirski. – Wiecie, że mnie tu nie było, kiedy wykonano większość prac.

– Wszyscy są ciekawi... – zaczęła Hoffman.

– Tak? Czego?

Hoffman uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Mniejsza o to.

– Nalegam. Czego są ciekawi?

– Przyczyny pańskiego zniknięcia. Spojrzał na obie kobiety.

– Umarłem – oświadczył. – Przywrócono mnie do życia. Czy to jest odpowiedź na wasze pytanie? – I zaraz dodał: – Nie sędzę. Więc dobrze, sam nie wiem. Dla mnie to również jest tajemnica.

– W porządku – powiedziała Hoffman, uśmiechając się. – Cieszymy się, że pan wrócił. Jest dużo pracy.

Pierwszym punktem dyskusji było rozładowanie transportowca przewożącego ciężki sprzęt i zapasy. Od Śmierci tkwił w otworze wlotowym. Załodze pozwolono się ewakuować, ale nie osiągnięto jeszcze porozumienia w sprawie ładunku. W ciągu kilku minut Hoffman i Mirski ustalili satysfakcjonującą obie strony procedurę. Całej broni zmagazynowanej w pomieszczeniu obok pomostu wyładunkowego mieli strzec Rosjanie i Amerykanie. Uzgodniono, że pozostałe rzeczy

zostaną przewiezione do rosyjskiego osiedla w czwartej komorze.

– Potrzebujemy zapasów oraz towarów na wymianę – poinformował Mirski.

Następną sprawą był status rosyjskiego zespołu naukowego. Hoffman twierdziła, że członkowie zespołu, którzy chcą zostać z grupą NATO, powinni mieć swobodę wyboru. Mirski zastanawiał się przez chwilę w milczeniu, a potem skinął głową.

– Nie potrzebuję kolejnych niechętnych mi osób – powiedział, patrząc w napięciu na gości. Zamrugał oczami.

Hoffman zerknęła do notatek.

– Idzie jeszcze lepiej niż ostatnim razem – stwierdziła. Mirski pochylił się w jej stronę, oparł łokcie na kolanach i splótł ręce.

– Jestem zmęczony sporami – wyznał. – Mam w sobie spokój nieboszczyka, panno Hoffman. Obawiam się, że budzę przerażenie w niektórych kolegach.

– Stale pan powtarza, że pana zabito. To nie ma sensu, generale.

– Może nie. Ale to prawda. Nie pamiętam wszystkiego. Pamiętam jednak, że strzelono mi w głowę. Pogodin mówi, że oni – możecie się domyślić, kto mnie zabił – odstrzelili mi połowę głowy. – Pokazał ręką. – Zostałem zabity, a potem przywrócono mnie do życia. Dobrze, że byłem bez broni, bo inaczej mógłbym się teraz znajdować tam, gdzie Wielogorski, Biełożerski i Jazykow.

– To znaczy gdzie?

– Nie wiem – odparł Mirski. – Może w więzieniu. Wygląda, że w Thistledown City prawo jest nadal przestrzegane.

– Tak przypuszczałam. To oznacza, że Thistledown City może podejmować decyzje i wykonywać je.

– Musimy uważać na swoje zachowanie, prawda? – zasugerował Mirski.

Hoffman skinęła głową i wróciła do porządku rozmów. W ciągu następnych czterdziestu pięciu minut doszli do porozumienia we wszystkich sprawach.

– To była przyjemność – stwierdził Mirski, wstając. Wymienili uścisk dłoni i Mirski odprowadził gości do ciężarówki.

– A co z szubienicami? – zapytała Wallace, gdy wyjechali z obozu. – Co mamy o tym sadzić?

– Może to tylko ostrzeżenie – podsunęła Hoffman. – Nigdy więcej.

– Mirski jest jak duch – powiedziała Wallace.

– Istotnie – zgodziła się Hoffman.

Suli Ram Kikura i frant zabrali piątkę gości na wycieczkę do osobliwości, wokół której obracało się cylindryczne miasto. Sposób podróżowania na szczęście nie był dla nich zaskoczeniem. Opadanie pustym szybem trzykilometrowej długości przypominało jazdę windą w Thistledown City.

Carrolson niezbyt się to podobało. Miała lęk wysokości. Przełamała się jednak. Odwagi dodali jej Lanier i Ram Kikura.

– Nie jestem staruszką – powiedziała urażona.

Trasa była półkilometrowej szerokości rurą przechodzącą przez Axis City, z osobliwością w środku. Setki tysięcy mieszkańców poruszało się po niej wielkimi grupami, lecz w ustalonym porządku. Ram Kikura i frant naradzili się z inżynierem trasy, homomorficzną kobietą, która, podobnie jak Olmy, była samowystarczalna i nie miała nozdrzy.

Całą piątkę przedstawiono następnie pierwszemu z wielu urzędników miejskich, ministrowi Axis Nader, siwowłosemu dystyngowanemu naderycie, który wyświetlił nad lewym ramieniem japońskie wschodzące słońce. Wydawało się, że nie ma w sobie kropli orientalnej krwi, ale może to było jego kolejne ciało. Nikt nie miał czasu ani zbytnej ochoty na wypytywanie go.

– Możecie nazywać mnie burmistrzem – powiedział po angielsku i powtórzył to samo po chińsku. Te języki były teraz najpopularniejsze wśród mieszkańców czterech osiedli, niezależnie od pochodzenia.

Na trasie znajdował się przypominający żuka czarny pojazd konserwacyjny, podobny do wehikułu, który zdemontował plazmolot. Ten jednak był większy, udekorowany rzadko spotykanymi czerwonymi flagami i miał obszerną, dobrze wyposażoną kabinę. Ram Kikura, burmistrz i Frant stanęli z boku, przepuszczając gości, a piktory wyświetliły wokół statku sztuczne ognie, które wyglądały jak prawdziwe. Zajęli miejsca za półkolistym pulpitem z przyrządami kontrolnymi i zostali łagodnie przypięci niewidocznymi pasami.

Burmistrz przejął stery – czarną kolumnę w kształcie litery Y z wgłębieniami na palce – i włączył zamknął się cicho.

Ruszyli trasą, poprzedzani przez słaby czerwony impuls. Po obu stronach nadal wykwiwały fajerwerki, które czasami spadały na tłum, nie robiąc nikomu krzywdy.

– Nie wystarczy im, że zobaczą was za pośrednictwem piktorów – powiedziała Ram Kikura.

– Ludzie nie zmienili się tak bardzo. Przypuszczam, że jedna trzecia tam na zewnątrz to duchy. Zobaczyć i samemu się pokazać.

– Gdzie jest Alicja? – zapytał gderliwie Heineman.

– Jaka Alicja? – zdziwiła się Ram Kikura.

– Po prostu Alicja – odparł Heineman. – Mam nieodparte wrażenie, że jesteśmy w Krainie Czarów.

– Brakuje kogoś? – zapytał burmistrz, odwracając głowę zaniepokojony.

– Nie – uspokoił go frant, wydając dźwięk przypominający zgrzytanie zębów.

Podróż zajęła pół godziny. Przebyli piętnaście kilometrów dzielących Axis Nader od Central City. Tutaj tłumy były jeszcze większe i mniej zdyscyplinowane. Niektórzy – przeważnie neomorfowie – próbowali zablokować pojazd, lecz zostali delikatnie odsunięci przez pola trakcyjne falujące przed statkiem.

Patricia siedziała cierpliwie, nic nie mówiąc, tylko od czasu do czasu rzuciła spojrzenie na Laniera. Na jego twarzy malował się wyraz lekkiego zdziwienia na widok pojawiających się neomorfów – podobnych do ryb, ptaków, kul, lśniących jak chrom węży, czy krzemowych skorupki

glonów o najróżniejszych kształtach zbliżonych do ludzkich. Farley chłonęła to wszystko z otwartymi ustami.

– Założę się, że wyglądam jak prymityw – powiedziała w pewnym momencie, a potem spojrzała na swoich towarzyszy, uświadamiając sobie, że nikt jej nie rozumiał. – O jakie słowo mi chodzi? – zapytała Laniera.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł, odwzajemniając uśmiech. Położyła rękę na jego dłoni. Patricia cofnęła się lekko na siedzeniu.

„Więc co to jest?”, zadała sobie pytanie. „Zazdrość? Niewierność wobec Paula? Dlaczego Garry w ogóle miałby zwracać na ciebie uwagę? Przyjechał cię szukać – z poczucia obowiązku”.

Odsunęła od siebie te myśli, nie chcąc wkroczyć na terytorium wielkiego bólu, niepewności i poczucia winy.

Wysiedli z pojazdu, eskortowani teraz przez neomorficznego ministra Central City i senator Prescient Oyu. Olmy przywitał ich w dużym okrągłym wejściu do izb Nexus Hexamonu. W środku panowało zamieszanie: homomorfowie, neomorfowie, niektórzy z amerykańskimi flagami wyświetlonym nad ramionami, pośrodku niedaleko podium dwa duże obrazy flag Republiki Chińskiej i Stanów Zjednoczonych, okrzyki i głośna wesoła muzyka.

Heineman zamrugał oczami. Carrolson wzięła go pod ramię, gdy Olmy i Ram Kikura wprowadzili ich na pole trakcyjne. Prescient Oyu, piękna i pełna wdzięku, wzięła pod ramię Laniera i Patricię, a minister Central City stanął obok Farley.

Lanier zobaczył, że kilku senatorów, a może posłów, wyświetla sowiecki sierp i młot. Chwilę potem znaleźli się na środku sali posiedzeń. Zebrani uciszyli się. Wszystkie obrazy zgasły.

Przewodniczący Huknę Ram Seija wszedł na podium i poinformował obecnych, że goście wkrótce udadzą się do bramy frantów, żeby zobaczyć, jak odbywa się handel na Drodze. Następnie senator Prescient Oyu zabierze ich na spotkanie z ojcem, który obecnie uczestniczy w przygotowaniach do otwarcia bramy w punkcie jeden i trzy do dziewiętej.

Lanier został wybrany na rzecznika grupy. Suli Ram Kikura zaproponowała – mimo obiekcji Olmy’ego – żeby wykorzystał okazję i przedstawił sprawę.

Ruszył niepewnie wzdłuż pola trakcyjnego na podium i otrzymał świetlne naramienniki.

Rozejrzał się po sali.

– Nie jest łatwo przemawiać do swoich potomków – powiedział. – Co prawda nie miałem dzieci, więc wątpię, czy ktokolwiek z was jest ze mną choćby daleko spokrewniony. Nie mówiąc o tym, że możemy pochodzić z różnych wszechświatów. Mówienie o tych rzeczach sprawia, że czuję się jak człowiek z epoki kamienia łupanego, który po raz pierwszy widzi samolot albo statek kosmiczny. Czujemy się tutaj obco i chociaż zostaliśmy serdecznie powitani, nie możemy nazwać tego miejsca domem..

Podchwycił wzrok Patricii i wyraz ni to strachu, ni wyczekiwania na jej twarzy. Na co czekała?

– Jedyne miejsce, które możemy nazwać domem, leży w gruzach. To nasza tragedia... nasza wspólna tragedia. Dla was Śmierć jest odległa, ale dla nas bardzo realna i bliska. Cierpimy z powodu naszych wspomnień, doświadczeń i będziemy cierpieć przez wiele lat, może przez resztę życia. – W tej chwili uświadomił sobie jasno, co musi powiedzieć, jakby myślał o tym od wielu dni... i może tak było, choć nie zdawał sobie z tego sprawy... – Ziemia jest naszym domem... waszym domem, waszą kolebką, podobnie jak naszą. Teraz jest to miejsce śmierci i nieszczęścia, a my nic nie możemy na to poradzić... Wy jednak możecie. Ziemia rozpaczliwie potrzebuje waszej pomocy. Może zdołamy zmienić historię, napisać ją na nowo. Wróćmy razem do domu – powiedział, czując

ściskanie w gardle. Olmy siedzący w pierwszym rzędzie skinął głową. Tuż za nim, w drugim rzędzie, Oligand Toller, adwokat prezydenta i jego przedstawicieli, zacisnął dłonie. Miał niewzruszoną twarz.

– Wracajmy do domu – powtórzył Lanier. – Przodkowie nas potrzebują.

Pletniew odetchnął głęboko, odłożył siekiere i wytarł ręcznikiem zaczerwienioną twarz. Kilka metrów dalej czekał stos pociętych bali przygotowanych do budowy chaty. Wcześniej zrobił również koryto do mieszania gliny, którą uszczelniał przerwy między balami, oraz wykarczował działkę w lesie obok plaży.

Garabedian i Annenkowski stali ze skrzyżowanymi ramionami, wbijając wzrok w ziemię.

– Mówicie – zaczął Pletniew, odsapnąwszy jeszcze raz – że bardzo się zmienił i nie można na nim dłużej polegać?

– Nie potrafi się skupić na pracy – powiedział Annenkowski. – Odsuwa nas.

– Odsuwa od czego?

– Po pierwsze – kontynuował Annenkowski – traktuje zwolenników Wielogorskiego, jakby byli zbłąkanymi dziećmi, a nie niebezpiecznymi wywrotowcami.

– Cóż, może to mądre. Jest nas zbyt mało, żeby robić czystki.

– To nie jest jedyny problem – powiedział Annenkowski. – Często opuszcza obóz, wsiada do pociągu, jedzie do biblioteki i po prostu tam siedzi. Wygląda na zagubionego. Chyba pomieszało mu się w głowie. Pletniew spojrzał na Garabediana.

– A wy co sądzicie, towarzyszu majorze?

– Nie jest tym samym człowiekiem – odparł Garabedian. – On też to przyznaje. I wciąż twierdzi, że jest martwy. Zmartwychwstały. To nie jest... właściwe.

– Nadal jest generałem Pawłem Mirskim?

– Takie pytanie nie ma sensu. Należy zapytać, czy jest dobrym, dowódcą – powiedział Annenkowski. – Każdy z nas poradziłby sobie lepiej.

– Negocjował z Amerykanami. Robił to źle? – zapytał Pletniew.

– Nie – odparł Garabedian. – Całkiem sprawnie.

– Więc nie rozumiem, na co mamy się skarżyć. Wróci do siebie. Miał ciężkie przeżycia, i do tego tajemnicze. Nic dziwnego, że się zmienił.

Annenkowski zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

– Nie zgadzam się, że dobrze prowadził negocjacje. Poszedł na wiele niepotrzebnych ustępstw.

– I uzyskał dla nas liczne korzyści – przypomniał Pletniew. – Zgodnie z umowami wkrótce będziemy mogli przenieść się do miast.

– On nie jest przy zdrowych zmysłach! – rzucił Annenkowski zapalczywie. – Mówi, że nie jest tym samym człowiekiem. Nie ma cech, które powinien mieć dowódca!

Pletniew spojrzał na obu majorów, a następnie mrużąc oczy zerknął w górę na rurę plazmową.

– Co zrobiliby dla nas Wielogorski, Bielőzerski i Jazykow? Nic. Pogorszyliby wszystko. Najprawdopodobniej zabiliby nas trzech. Uważam, że lepszy znany diabeł niż nieznan. Mirski to mniejsze zło.

– On jest barankiem, a nie diabłem – stwierdził Garabedian. – Uważam go za przyjaciela, ale...

Pletniew uniósł brwi.

– Nie wiem, jak się zachowa w sytuacji kryzysowej.

– Sądzę, że kryzys mamy już za sobą – powiedział Pletniew. – Lepiej zapomnijmy o tej rozmowie. Nie kołyszmy łodzią. Pozwólcie mi w spokoju budować chatę.

Garabedian skinął głową, wetknął ręce w kieszenie i odwrócił się, żeby odejść. Annenkowski stał jeszcze chwilę, obserwując, jak Pletniew nacina pień.

– Myśleliśmy, żeby was zrobić dowódcą – powiedział Annenkowski cicho. – Nie skrzywdzimy generała Mirskiego.

– Nie zgadzam się – odparł Pletniew, nie podnosząc wzroku.

– A jeśli on całkiem zwariuje?

– Nie zwariuje – zapewnił Pletniew.

– Gdzie jesteście?! – krzyknął Mirski po raz kolejny. Stał pośrodku rzędów bibliotecznych krzesel i kolumn danych, z uniesionymi pięściami. Policzki miał czerwone i mokre, a żyły na szyi pulsowały mu z gniewu i frustracji.

– Jesteście martwi jak ja? Wykonali na was wyrok? Żadnej odpowiedzi.

– Zamordowaliście mnie!

Zacisnął szczęki i starał się zapanować nad oddechem. Wiedział, że jeśli spróbuje powiedzieć coś jeszcze, zacznie bełkotać bez związku. Drobnym sygnałem w mózgu – krótkie ostrzeżenie: „Korzystasz z nie swojej części osobowości” – omal nie doprowadził go do szału. Ta wiadomość przerywała tyle jego myśli i czynów. Gdy leżał nocami w hamaku, starając się zasnąć, choć wiedział, że nie potrzebuje snu, dokładnie zbadał granice.

Miał uczucie, że wiele z tego, co pamięta ze swojego życia, stanowi logiczną rekonstrukcję. Lewą połowę całego ciała odczuwał jako obcą. Miała nawet inny zapach. Zdawał sobie sprawę, że to nie ciało jest nowe, lecz odpowiadająca mu część mózgu.

Przez pierwsze kilka dni myślał, że wszystko pójdzie dobrze. Wierzył, że przyzwyczai się do statusu Łazarza. Swoje zmartwychwstanie traktował jako żart. Próbował w ten sposób zdyskredytować świadectwo Pogodina, że Wielogorski odstrzelił mu pół głowy. Ale to nie pomogło.

Żołnierzom, którzy stali na straży przed biblioteką, budynek przypominał grobowiec. A co znajduje się w grobowcu?

Żart przerodził się następnie w ponurą rzeczywistość. Nikt nie śmiał teraz go lekceważyć. Był duchem, a nie świeżo awansowanym generałem porucznikiem, nie Pawłem Mirskim, lecz obcym z miasta trzeciej komory.

Bzdura. A jego niezwykła siła oddziaływania na żołnierzy?

Po tygodniu pełnienia obowiązków dowódcy, po walce z samym sobą, by sprostać oczekiwaniom, pojechał do biblioteki. Bał się tego powrotu, jakby spodziewał się, że trzech oficerowie polityczni przywitają go i jeszcze raz zastrzelą.

Bzdura.

Czekał, aż wszyscy wyjdą – dwoje Chińczyków i Rosjanin, kapral Rożeński. Dopiero kiedy w bibliotece zrobiło się pusto, wszedł.

I krzyczał aż do ochrypnięcia.

Usiadł na krześle, majstrując niezdarnie przyciskami kolumny danych, unosząc i opuszczając pokrywę. W końcu włożył palce w pięć zagłębień.

– Prawo – zażądał. – Prawo w opuszczonym mieście.

Biblioteka zadała dodatkowe pytania, zawężając pole poszukiwań.

– Morderstwo – powiedział.

Materiał był bogaty i szczegółowy. Morderstwo karano zmianą osobowości, jeśli to okazywało się konieczne.

– A jeśli nie ma nikogo, kto wykonałby karę?

„To nie jest kara”, poinformował głos, „tylko przystosowanie do życia w społeczeństwie”.

– A jeśli nie ma prawa, policji, sądów ani psychologów? „Podejrzanych można zatrzymać na dziewiętnaście dni. Jeśli w tym czasie nie otrzymają wyroku, zostają zwolnieni i przekazani pod opiekę kliniki reintegracyjnej”.

– A jeśli nie ma kliniki? „Podejrzanych zwalnia się...”

– Gdzie są zwalniani?

„Jeśli nie postanowi się inaczej, w miejscu uwięzienia”.

– Gdzie są zabierani po schwytaniu?

„Jeśli zostają schwytani w miejscu przystosowanym do udzielenia natychmiastowej pomocy medycznej...”

Spojrzał na drzwi w północnej ścianie biblioteki. Za nimi znajdowały się dwa małe, zastawione sprzętem pokoje.

„...zostają uśpieni do czasu, kiedy zajmą się nimi władze lub minie dziewiętnaście dni. W nagłych wypadkach roboty medyczne pełnią rolę policji”.

Miał jeszcze dwa dni.

Wrócił do czwartej komory i przez kilka godzin udawał, że pełni obowiązki dowódcy. Spotkał się z Hoffman i Rimskaya, żeby kontynuować rozmowy na temat otwarcia miast w drugiej i trzeciej komorze dla osadników.

Później wymknął się, wziął karabin i wrócił do trzeciej komory. W bibliotece przebywało pięć osób: Rozeński i czworo ludzi z obozu NATO, w tym jeden żołnierz piechoty morskiej. Mirski cierpliwie czekał, aż sobie pójdą, i wszedł do biblioteki ściskając karabin w dłoni.

Dał oficerom politycznym szansę. Jeśli teraz zostaną zwolnieni, przyjdą po niego znowu. Zostanie w bibliotece przez następne dwa dni, czekając cierpliwie...

Przez kilka godzin w bibliotece było pusto. W tym czasie Mirski uświadomił sobie, że jego plan jest bezsensowny. Prędzej czy później zjawią się tu ludzie. Musi wykonać egzekucję w tajemnicy albo wszystko będzie na nic. Jeśli nie zlikwiduje trzech oficerów politycznych, zostaną przywrócenie do życia, a on trafi do aresztu na dziewiętnaście dni i wszystko zacznie się od nowa – cykl szaleństwa i przemocy przerastający nawet wyobraźnię Gogola.

Podszedł do ściany, za którą czekali nieprzytomni trzej oficerowie, i opuścił karabin na podłogę. Zamrugał oczami.

– Nie jestem tym samym człowiekiem, którego zabiliście – powiedział. – Dlaczego miałbym się mścić?

Nawet jeśli uważał, że się nie zmienił, byłby to dobry pretekst. Mógłby robić to, na co zawsze miał ochotę. Może tę jasność myślenia dało mu zniszczenie jakiejś irracjonalnej części umysłu, wyzwolenie czystszych i prawdziwszych odruchów.

Mirski zawsze marzył o gwiazdach, ale nie za cenę duszy. Funkcjonowanie w sowieckim systemie – nawet takim, jaki starał się zaprowadzić – zawsze oznaczało działanie przeciwko takim ludziom jak Biełożerski, Jazykow i Wielogorski. Podobni ludzie stale pojawiali się w rosyjskiej historii: zdeprawowani, służalczy i zdolni, lecz okrutni i przewrotni.

Wyłamie się z tego cyklu. Teraz ma szansę. Jego kraj zginął. Służba się skończyła. Już raz umarł za swoich ludzi. Może gdyby żył generał major Sośnicki... Ale gdyby Sośnicki żył, Mirski nie zajmowałby obecnego stanowiska.

Wyszedł z biblioteki i pojechał pociągiem do czwartej komory. Tam załadował zapasy do ciężarówki. Nikt go nie pytał o zamiary, nawet Pletniew, który obserwował go z odległości kilku metrów z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy.

– Będą zadowoleni, że się mnie pozbyli – pomyślał Mirski. – Będą mogli nadal snuć intrygi

i popełniać okrucieństwa. Polityczny triumwirat wróci, żeby zająć należne miejsca. Przez cały czas byłem zawadą...

Ostatnią czynnością było napisanie wiadomości dla Garabediana.

Wiktorze,

Trzej oficerowie polityczni wrócą. W ciągu następnych czterdziestu godzin pojawią się w bibliotece w trzeciej komorze. Jeśli chcecie, przyjmijcie ich jak dowódców. Nie będę im stał na przeszkodzie.

Paweł Zostawił kopertę w namiocie Garabediana.

Ruszył w lasy, kierując się w jeszcze nie zbadane okolice. Tam będzie sam, może zbuduje tratwę i przeprawi się przez płytkie jezioro na porośniętą drzewami wyspę albo przemierzy gęste lasy widoczne w odległości pięćdziesięciu kilometrów.

I postanowi, co robić dalej.

Nie przypuszczał, żeby miał ochotę wrócić.

Wnętrze statku pełne uprzywilejowanych obywateli i dygnitarzy było jeszcze swobodniej urządzone niż statek Olmy'ego. Wszystkie powierzchnie w kolorach od perłowego do szarego nie miały kantów ani rogów. Była to jedna przestronna długa kabina otaczająca trzymetrowej szerokości trasę i maszynię napędową. Kręcili się po niej ludzie o najróżniejszych kształtach, wymieniając piktogramy lub rozmawiając po angielsku i chińsku. Niektórzy sączyli drinki z dryfujących kulek z płynem, którym z gracją i umiejętnością przewidywania udawało się unikać zderzeń.

Lanier z trudem zorientował się, jak manewrować wśród pól trakcyjnych. Farley lepiej sobie radziła, jak urodzona gumnastyczka, co wzbudziło w nim lekką zazdrość. Pilniej wziął się do nauki.

– To wspaniałe – powiedziała, wirując powoli obok niego. Wyciągnęła rękę i zahamowała o jaśniejsze fioletową poświatą pole.

Heineman i Carrolson pomagali sobie nawzajem. Przechadzali się między neomorfami i homomorfami, uśmiechając się sztywno i kłaniając. Mieli nadzieję, że nie popełniają nietaktu. Olmy zapewnił ich, że jest to prawie niemożliwe. Każdy ich błąd gospodarze uznawali za czarujący. Byli przecież „osobliwościami”.

Patricia próbowała trzymać się z dala od tłumu. Kurczowo przyciskała do siebie torbę z tabliczką, procesorem i multimetrem. Nie udało się jej jednak nie zwracać na siebie uwagi.

Suli Ram Kikura zbliżyła się do niej i przechwyciła szybkie pikty wysłane przez mężczyznę o czarnej połyskującej skórze. Mężczyzna przeprosił Patricję, a następnie przechodząc na znośny angielski – bez wątpienia przyswojony podczas krótkiego kursu na kilka minut przed wejściem na pokład – wdał się w skomplikowane rozważania na temat ziemskiej ekonomii. Kikura oddaliła się, żeby wyratować kolejnego gościa z kłopotliwej sytuacji. Lanier był powoli, lecz zdecydowanie przypierany do ściany przez dwie szczupłe atrakcyjne kobiety. Obie były ubrane w trykoty bez rękawów ozdobione płetwami z materiału i ogonami w kształcie wachlarzy. Przypominały złote rybki. Lanier i Farley nie potrafili się przed nimi obronić.

Patricia przez kilka minut słuchała wywodu mężczyzny, aż wreszcie powiedziała:

– Jestem w tych sprawach ignorantką. Moją specjalnością jest fizyka.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy. Mogła niemal usłyszeć, jak tamten przełącza się na świeżo zmagazynowaną w implancie porcję wiedzy.

– Tak, to fascynujące. W waszych czasach tyle się działo w fizyce...

Olmy zbliżył się szybko i wyświetlił coś, czego Patricia nie rozumiała. Mężczyzna odsunął się urażony, otaczając się cienkim kręgiem czerwieni.

– Może to nie był taki dobry pomysł – doszedł do wniosku Olmy, eskortując ją do miejsca, gdzie frant rozmawiał z dwoma neomorfami. Jeden z nich miał kształt promienicy. Drugim był dyrektor Nexus, Hulane Ram Seija.

– Chyba musimy się do tego przyzwyczać – stwierdziła Patricia. „Po co się do tego przyzwyczajają?” Nie zamierzała zostać tu na zawsze.

– Ser Ram Seija, oto nasz pierwszy gość – przedstawił ją frant. W jego szeroko rozstawionych oczach wyrażało się pogodne usposobienie i dobre samopoczucie. Chociaż uznała słowo „gość” za eufemizm, nie obruszyła się.

– Czekalem na okazję, żeby z panią porozmawiać poza izbą posiedzeń – powiedział Ram Seija. – Choć nie wydaje się, żeby to była najlepsza okazja...

Patricia spojrzała na jego twarz znajdującą się teraz pośrodku kuli. Miała nieodparte wrażenie, że znajduje się w Disneylandzie i ogląda coś niezwykłego, na co istnieje zwykłe

wyjaśnienie. Otrząsnęła się z zamyślenia i odparła:

– Tak, z pewnością.

– Spodoba ci się Timbl, nasz świat – powiedział frant. – Jesteśmy starymi klientami Hexamonu. Bramę otworzono już dawno temu.

– Najpierw tam pojedziemy – zapowiedział Ram Seija. – Podróż do bramy frantów znajdującej się w punkcie cztery do szóstej potrwa cztery godziny. Potem będą dwa dni odpoczynku. Mamy nadzieję, że prezydent wyrwie się z konferencji, żeby się z nami spotkać.

Cztery do szóstej – cztery miliony kilometrów w głąb korytarza – to na jeden skok, pomyślała. I co tysiąc kilometrów przesunięcie w czasie o jeden rok; co ułamek milimetra wejście do alternatywnego wszechświata...

O ile bliżej domu?

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę Timbl i poznam prezydenta – powiedziała, dostosowując się do ogólnego nastroju.

– Jesteśmy proszeni na dziób – poinformował Lanier, przeciskając się obok niej razem z Farley. Heineman i Carrolson już byli w drodze. Tłum rozstępował się przed nimi. Nigdy nie widziała tylu uśmiechniętych twarzy ani nie czuła tak wielkiego zainteresowania swoją osobą. Nienawidziła tego. Miała ochotę uciec i schować się.

Namaciała w kieszeni kombinezonu Ust od Paula, ścisnęła go i ruszyła za frantem i Olmym w kierunku dziobu statku.

Czekała tam już senator Oyu razem z trzema naderyckimi historykami, homomorfami z Axis Thoreau. Uśmiechnęli się i zrobili miejsce dla gości. Kapitan statku, neomorf z męskim torsem i wężowym trzymetrowej długości ciałem od pasa w dół, dołączył do nich jako ostatni.

– Zaszczyt rozpoczęcia naszej krótkiej podróży przypada pierwszemu gościowi, jaki zawitał do Axis City – oświadczył kapitan. Podał Patricii rękę i zaprowadził do miejsca, gdzie przez statek przechodziła trasa. – Panno Vasquez, czy zechciałaby pani pełnić honory? Proszę tylko wydać polecenie.

– Ruszajmy – powiedziała Patricia cicho.

W kadłubie statku utworzył się krąg o ostrych krawędziach i średnicy pięciu metrów, dając im widok na Drogę. Lecieli wysoko nad pasami ruchu i terminalami. Tuż przed dziobem jarzyła się różowo linia osobliwości. Na razie nie było wrażenia ruchu.

Patricia odwróciła się i spojrzała na Olmy'ego, Laniera i Farley. Lanier uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu tym samym. Mimo wszystko to, co ich spotykało, było ekscytujące. Czuła się jak rozpieszczone dziecko biorące udział w przyjęciu dla bardzo dziwnych dorosłych.

„My jesteśmy larwami, a oni motylami”, pomyślała.

Pół godziny statek mknął tak szybko – powyżej stu czterech kilometrów na sekundę – że ściany Drogi zlewały się w gładkie czarno-złote pasy. Przelecieli już dziewięćdziesiąt cztery tysiące kilometrów i nadal przyspieszali.

W przodzie trasa pulsowała czerwienią. Patricia poczuła dłoń Farley na ramieniu.

– Zdumiewające, jak bardzo przypomina to przyjęcia na Ziemi – powiedziała Farley. – Nie w Hopeh, lecz w Los Angeles lub Tokio. Leciłam kiedyś przez Tokio do Los Angeles, a potem na Florydę... Było parę przyjęć. Bankiet w ambasadzie... – Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. – Gdzie my się właściwie znajdujemy, Patricio? Jestem dezorientowana.

– Wśród ludzi takich jak my – odparła Patricia.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. W myślach wracam do czasów, kiedy byłam małą dziewczynką w Hopeh i słuchałam nauk mojego ojca. To moja ucieczka.

„Przynosiłam Ramonowi *Tiempos de Los Angeles* do czytania...”

– Wszystkie przyjęcia po jakimś czasie robią się nudne. Wolałabym pracować – powiedziała Patricia – ale nie byłoby to dobrze widziane. Olmy chce, żebyśmy byli towarzyscy.

Zbliżyła się do nich Suli Ram Kikura. Wyglądała na zatroskaną.

– Czy ktoś was obraził? – zapytała. – Albo robił niewłaściwe propozycje?

– Nie – odparła Farley. – Patricia i ja po prostu się przyglądamy.

– Oczywiście... jesteście zmęczone. Nawet Olmy zapomina o waszych potrzebach, o śnie i odpoczynku.

– Nie jestem zmęczona – zaprzeczyła Patricia. – Wprost przeciwnie, jestem bardzo ożywiona.

– Ja również – zapewniła Farley. – Może oszołomiona będzie lepszym określeniem.

– W każdej chwili możecie pójść odpocząć – powiedziała Ram Kikura.

– Zostaniemy na dziobie i poobserwujemy – zdecydowała Patricia. Przyjęła w powietrzu pozycję lotosu. Farley uczyniła podobnie.

– Czujemy się świetnie – zapewniła Farley obrończynię. – Wkrótce dołączymy do wszystkich.

Ram Kikura odplynęła do grupy neomorfów zabawiających się skomplikowanymi piktogramowymi zagadkami.

– To nie jest złe miejsce – odezwała się Farley po kilku minutach milczenia. – Ci ludzie nie są okrutni.

– O nie – zgodziła się Patricia. – Olmy jest bardzo pomocny, podobnie jak Kikura.

– Przed odjazdem rozmawiała z Garrym i ze mną o prawach do sprzedawania historycznych informacji. Lub wymiany na przywileje, jak to nazwała. Podobno możemy mieć dostęp do wszystkich prywatnych banków danych w zamian za nasze wspomnienia.

– Tak słyszałam – powiedziała Patricia.

Po godzinie Patricia, Heineman i Carrolson zamknęli się w tylnej części kabiny. W czasie ich drzemki Frant odganiał ciekawskich. Lanier i Farley byli zbyt podnieceni, żeby spać. Zostali na dziobie, obserwując korytarz. W połowie podróży, po tym, jak przyspieszyli do sześciu g, statek leciał z prędkością czterystu szesnastu kilometrów na sekundę. Wkrótce zaczął zwalniać.

Po następnych dwóch godzinach zwolnił do zaledwie kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. Wydawał się wlec. W dole majestatycznie płynęły nad pasami duże srebrno-szare dyski. W oddali ukazały się cztery duże budowle w kształcie skrzyconych piramid. Były to terminale nad bramami do Timbl.

Dołączyli do nich dwaj homomorfowie, podobnie jak Olmy samowystarczalni. Mieli na sobie niebiesko-białe ściśle przylegające do ciała stroje, które nadymały się mocno wokół łydek i przedramion. Jednym z nich był osobnik nieokreślonej płci, a drugim kobieta, chociaż włosy miała obcięte jak Olmy. Uśmiechnęli się do Patricii i Farley i przesłali proste pikty. Patricia dotknęła naszyjnika i odpowiedziała im w taki sam sposób. Farley również próbowała włączyć się do rozmowy, ale wzbudziła tylko życzliwy śmiech. Bezpłciowy osobnik zrobił krok do przodu i wyświetlił chińską flagę nad lewym ramieniem.

– Jeszcze się nie poznaliśmy – zaczął. – Jestem Sama Ula Rixor, asystent prezydenta. Moi przodkowie byli Chińczykami. Rozmawialiśmy o morfologii. Panno Farley, stanowi pani wyjątek, prawda? Jest pani Chinką, ale ma cechy białej rasy. Czy to dlatego, że pani przeszła operację kosmetyczną?

– Nie... – odparła Farley z pewnym zakłopotaniem. – Urodziłam się w Chinach. Ale moi rodzice byli biali...

Patricia oddaliła się w stronę Laniera, Carrolson i Heinemana. Zjawiała się przy nich Ram

Kikura i uprzedziła, że wkrótce będą opuszczać statek. Wahadłowiec dla VIP-ów, który miał wziąć ich na pokład, już wyleciał z terminalu.

Heineman próbował wypytać Olmy'ego o tożsamość franta, który im towarzyszył. Podejrzał, że ten mógł się zamienić miejscami z jednym z dziewięciu frantów podróżujących razem z nimi. – Wygląda inaczej. Jesteś pewien, że to ten sam frant?

– Wszyscy wyglądają tak samo, kiedy są dojrzały – odparł Olmy. – Czy to ważne?

– Po prostu chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia – wyjaśnił Heineman, czerwieniąc się.

– To naprawdę nie jest ważne – powiedział Olmy. – Ponieważ są tacy sami i przekazują sobie nawzajem bieżącą pamięć, mogą się zastępować.

Heineman nie był całkiem przekonany, ale doszedł do wniosku, że nie warto o tym dalej rozmawiać.

Dysk transportowy dla VIP-ów był równie duży jak statek. Zawisł w odległości trzydziestu metrów od osi. Jarzył się od ładunków zebranych w polu plazmowym.

Blask przesuwiał się po jego powierzchni jak fosforyzująca morska fala. Pośrodku pojawił się okrągły otwór.

Luki statku otworzyły się. Parami i trójkami, trzymając się za ręce goście przeskakiwali do otworu przez pola łączące. Olmy chwycił Farley i Laniera, a Lanier Patricię. Ram Kikura wzięła za ręce Carrolson i Heinemana. Razem przebrnęli odległość między statkiem i dyskiem.

Dysk był powiększoną wersją kopuła, które przykrywały bramy za siódmą komorą. Ku konsternacji Heinemana, nie miał żadnej podłogi ani platformy, na której można by stanąć. Dolną połowę stanowiła sieć jarzących się linii. Podróżni unosili się w pustce bezpośrednio pod dyskiem, zawieszeni w niewidocznym i wszechogarniającym polu trakcyjnym, przez które przenikały mniejsze, widoczne pola. Jediną rzeczą, która istniała między nimi a podłożem Drogi odległym o dwadzieścia pięć kilometrów i oddzielała ich od próżni, była bariera utworzona z czystej energii.

Na brzegach dysku Lanier zobaczył homomorficznych i neomorficznych pilotów i techników, oddzielonych od pasażerów. Obserwował, jak neomorf o kształcie wrzeciona wylądowuje ze statku jakieś skrzynie, korzystając z purpurowych pól trakcyjnych. Ośmiu frantów czekało na swoją kolej, by opuścić pokład. Ich frant wymieszał się ze swoimi towarzyszami, czyniąc pytanie Heinemana akademickim.

Lanier chwycił się cienkiej purpurowej liny trakcyjnej i spojrzał na Heinemana.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Nędznie – odparł Heineman.

– On jest zniewieściaty – powiedziała Carrolson, sama trochę blada.

– Powinno ci się to podobać – zbeształ go Lanier. – Zawsze kochałeś maszyny.

– Maszyny! – warknął Heineman. – Pokaż mi choć jedną maszynę! Wszystko działa bez ruchomych części. To nienaturalne.

Dysk zaczął się opuszczać. Tłumy pasażerów w podnieceniu wymieniały się piktami. Patricia wisiała obok z rozłożonymi ramionami i nogami, jedną ręką trzymając się tej samej liny trakcyjnej co Lanier.

Patrzyła w dół na terminal. Ze wszystkich stron nadlatywały dyski, znikwały w bramach, wylatywały z nich, czekały na swoją kolej ułożone w stertach jak naleśniki albo wachlarzowato w kolumnach.

Opadali powoli, dzięki czemu mieli mnóstwo czasu, by obserwować ruch wokół terminalu. Większość pasów była pełna cylindrycznych pojazdów kontenerowych o wielu najróżniejszych kształtach: kuli, jaja, piramidy, kropli. Lanier bezskutecznie próbował doszukać się w tym wszystkim

sensu, przypominając sobie informacje uzyskane z serwisu. Musiał być tu jakiś porządek i cel, ale on nie potrafił się go doszukać. Przysunęła się do niego Patricia.

– Rozumiesz coś z tego wszystkiego? – zapytał. Potrząsnęła głową.

– Nic.

Ram Kikura wyrwała się z tłumu jaskrawo ubranych homomorfów i zbliżyła się do nich.

– Za kilka minut przelecimy przez bramę – poinformowała. – Musicie wiedzieć, że jeśli Nexus wyrazi zgodę, mogę was uczynić bardzo bogatymi ludźmi.

– Bogactwo nadal tyle znaczy? – zapytała Carrolson powątpiewająco.

– Informacja tak – odparła Ram Kikura. – Już rozmawiałam z czterema czy pięcioma potężnymi dystrybutorami informacji.

– Wyślijcie nas na tournée jako cyrkowe dziwolągi – mruknął Heineman.

– Och, zaufaj mi, Larry – poprosiła Ram Kikura, dotykając jego ramienia. – Nikt cię nie zamierza wykorzystać. Nie dopuściłabym do tego, nawet gdybym się okazała... – jak to nazywacie – scheister. Poza tym Olmy by was bronił. Dobrze o tym wiecie.

– Czyżby? – rzucił półgłosem Heineman, kiedy Ram Kikura odeszła.

– Nie bądź zrzędą – upomniała go Carrolson.

– Mam się na baczności – odparł Heineman z rozdrażnieniem. – Kiedy jesteś w Rzymie, unikaj publicznych toalet.

Lanier roześmiał się i potrząsnął głową.

– Do diabła, nawet nie wiem, co on ma na myśli – wyznał Patricii. – Ale podziwiam jego ostrożność.

Dysk znajdował się teraz na poziomie szerokiej, niskiej bramy we wschodniej części terminalu. Ściany budynku były wyłożone materiałem podobnym do opalizującego szkła mlecznego z pasami miedzianopomarańczowego metalu biegnącymi poziomo w pozornie przypadkowych odstępach.

– Jest piękny – stwierdziła Farley. Patricia skinęła głową, czując wilgoć w oczach. Nie wiedziała, dlaczego. Ścisnęło ją w gardle. Otarła łzę.

– Co się stało? – zatroszczył się Lanier.

– Jest piękny – powiedziała, tłumiąc szloch. Lanier poczuł, że jemu też wilgotnieją oczy.

– Nie możemy ich zapomnieć, prawda? – zapytał. – Gdziekolwiek jedziemy, cokolwiek widzimy, oni są z nami. Cztery miliardy.

Szybko przytaknęła. Olmy zbliżył się do nich od tyłu i podał jej przez ramię staroświecką chusteczkę. Wzięła ją zaskoczona i podziękowała.

– Jeśli się nie opanujesz – ostrzegł szeptem – w ciągu paru minut zbierze się wokół ciebie tłum. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do widoku płaczących ludzi.

– Boże – mruknęła Carrolson.

– Nie sądź nas na tej podstawie – powiedział Olmy. – Odczuwamy równie silne emocje, ale różnimy się w sposobach ich wyrażania.

– Już w porządku – powiedziała Patricia, wycierając oczy. – Nosileś to na wypadek, gdybyśmy...?

Olmy uśmiechnął się.

– Na wszelki wypadek.

Lanier wziął od Patricii chusteczkę i wytarł jej twarz.

– Dziękuję – powiedział, zwracając ją Olmy'emu.

– Nie ma za co.

Wlecieli do terminalu. W pustym wnętrzu promienie światła wytyczały ścieżki dla pojazdów. Pośrodku, jakiś kilometr pod nimi, znajdowała się brama – ogromny otwór o gładkich brzegach prowadzący w bezkształtny błękit.

– To nasza druga co do wielkości brama. Ma pięć kilometrów średnicy – wyjaśnił Olmy. – Największa ma siedem kilometrów szerokości i prowadzi do Talsit.

– Przelecimy przez nią? – zapytał Heineman. Dysk zaczął opadać.

– Tak. Nie ma niebezpieczeństwa.

– Chyba że dla mojego zdrowia psychicznego – mruknął Heineman. – Garry, szkoda, że nie zostałem malarzem pokojowym.

Znajdowali się teraz bezpośrednio nad bramą, ale nadal widzieli tylko błękit, bez żadnych szczegółów. Przed nimi leciało piec dysków, torując drogę. Setki cylindrów i innych pojazdów opadało kaskadą, majestatycznie zbliżając się do otworu.

Światne drogowaskazy przemieściły się i otoczyły kolumną ich dysk. Gdy dotarli do krawędzi otworu, Lanier zaczął odróżniać szczegóły. Wśród błękitu ukazał się świat frantów, zniekształcony jak na starym malowidle wykonanym na wazie. Dostrzegł oceany, odległe czarne góry na tle ultramarynowego nieba, wydłużone jasne słońce.

– Boże – szepnęła Carrolson. – Spójrzcie na to.

– Wolałbym nie patrzeć – powiedział Heineman. – Myślicie, że Olmy ma dramaminę?

Grupki homomorfów i neomorfów wymieniały między sobą jasne kręgi i kolorowe błyski podziwu. Przez dysk przeszło drżenie i nagle wszystko odzyskało właściwe proporcje i kształty. Kolumna promieni świetlnych zniknęła. Przelecieli przez bramę i sunęli teraz nisko nad oślepiająco białą powierzchnią.

Lanier, Carrolson i Patricia ruszyli w dół dysku, bliżej pola siłowego, by przyjrzeć się planecie frantów. Z obu stron wisały w powietrzu dyski, a między nimi cylindry i inne pojazdy, wylądowując towar. Lanier rozejrzał się wokół siebie. Za wyłożoną białymi płytkami salą przylotów zobaczył góry i morze. Nigdy jeszcze nie widział tak intensywnie błękitnego nieba.

Na niebie pojawił się meteor, jak pochodnia zakreślając łuk na niebie. Zanim zdążył wpaść do morza, z horyzontu wystrzeliła sieć pomarańczowych promieni. Kolejne promienie odszukały i zniszczyły rozpryskujące się kawałki. Na ocean lub łąd spadł tylko pył.

– Tak wygląda ich życie – powiedziała Ram Kikura, wskazując miejsce, gdzie meteor zakończył swój żywot. – Dlatego frantowie są frantami. – Wzięła Laniera i Patricię za ręce. Olmy zgarnął pozostałą trójkę. – Chodźmy. Wkrótce wysiadamy. Panuje tutaj trochę większa grawitacja. Początkowo będziecie potrzebowali pasów.

Dysk dotarł do wyznaczonego lądowiska. Gdy zbliżyli się do białej nawierzchni, przezroczyste pola przemieściły się pod nimi, a sieć jasnych linii utworzyła wir.

– Adwokat prezydenta i przewodniczący Nexus wysiądą pierwsi – poinformowała Ram Kikura. – My jako następni, potem frantowie, a na końcu reszta.

Oligand Toller, Hulane Ram Seija i ich asystenci – dwaj rybiokształtni neomorfowie i trzech homomorfowie – podryfowali w stronę środka wiru i gładko wylądowali na posadzce pod dyskiem. Olmy poprowadził swoją grupkę tą samą drogą. Stanęli na ziemi kilka metrów od dostojników.

Po miesiącach spędzonych w Thistledown i na Drodze poczuli się, jakby nagle obciążono ich ciężkimi cegłami. Pod Patricia ugięły się kolana, a mięśnie nóg zaprotestowały. Heineman jęknął, a na twarzy Carrolson odmalował się wysiłek.

Nadjechały kanciaste, nisko zawieszane pojazdy wielkości autobusów, na dużych białych kołach. Gdy wszyscy wsiedli, frantowie zapięli im pasy, łagodzące skutki większej siły przyciągania.

Neomorfowie, praktycznie bezradni bez pól trakcyjnych, otrzymali specjalne pasy bezwładnościowe, które można było dopasować do najróżniejszych kształtów.

– Powinno się wam spodobać – powiedziała Ram Kikura, gdy autobus ruszył w stronę szerokiej ceglastej drogi. – Jedziemy na plażę.

Świat frantów stanowił miejsce rekreacji dla ludzi i kilku innych oddychających tlenem ras, zamieszkujących Drogę. Ponieważ poziom promieniowania ultrafioletowego tutejszego słońca – jasnego żółtego karła – był dość wysoki, nad kilkoma tysiącami metrów kwadratowych powierzchni planety umieszczono osłonę. Kurort znajdował się w jej cieniu.

– W oceanie żyje niewiele dużych mięsożernych stworzeń. Nie są niebezpieczne dla człowieka, a środowisko jest czyste. Idealne miejsce wypoczynku dla tych, którzy mogą sobie na to pozwolić, czyli dla praktycznie każdego cielesnego obywatela.

Długi niski budynek kurortu miał wspaniałe położenie. Stał frontem do szerokiej, białej piaszczystej plaży, nad brzegiem półksiężycowej zatoki. Każdy pokój miał patio i przezroczyste drzwi, przez które można było oglądać prawdziwy widok lub wybrać dowolną scenerię. Meble, zgodnie ze starym ziemskim stylem kurortu, były prawdziwe.

Obiad, pierwszy posiłek na planecie frantów, zjedli w restauracji urządzonej w stylu dwudziestego wieku, a jedzenie serwowali homomorfowie. Nigdzie nie widać było robotów. Po obiedzie udali się do pawilonów. Ram Kikura dokładnie obejrzała ich pokoje, zanim pozwoliła im wejść. Nadal mieli na sobie pasy, chociaż Lanier czuł, że dałby sobie radę bez nich. Zdjąłby je, gdyby Heineman zrobił to samo, ale inżynier wydawał się zadowolony, że je ma na sobie.

Patricia rozejrzała się po pokoju, a potem dołączyła do towarzystwa zebranego w patio Laniera. Ram Kikura powiedziała, że mogą odpocząć i popływać, a ona i Olmy będą w pobliżu w razie potrzeby.

– Mają pokój na górze – rzuciła Carrolson konfidencjonalnym tonem, kiedy ich opiekunka wyszła. – Myślę, że są kochankami.

Patricia otworzyła kratę patio.

– Idę się przejść – oznajmiła. Spojrzała na Laniera. – Chyba że powinniśmy przez cały czas trzymać się razem.

– Nie. Sądzę, że jesteśmy tu dość bezpieczni. Idź.

Lanier patrzył, jak Patricia schodzi na plażę, na sztywnych nogach brnie przez piasek, mijając homomorfów i paru neomorfów w pasach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Potrząsnął głową, uśmiechając się.

– Jak w Acapulco – powiedział – gdyby nie te dziwne dryfujące balony.

Farley objęła go ramieniem.

– Nigdy nie byłam w Acapulco, ale nie sądzę, żeby niebo miało tam taki kolor.

– Papużki – prychnęła Carrolson, patrząc z wyrzutem na Heinemana. – Ty nigdy mnie tak nie traktujesz.

– Jestem inżynierem – odparł Heineman. – Nie rozpieszczę kobiet, tylko naprawiam różne rzeczy.

– Istotnie – stwierdziła Carrolson.

– O Boże, cieszcie się chwilą. My jesteśmy weseli – powiedział Lanier.

– Ale nie Patricia – rzuciła Carrolson. – Widziałam, jak patrzy na was oboje. Myślę, że jest zazdrosna, Garry.

– Chryste. – Lanier usiadł na krześle i spojrzał na oślepiającą plażę i intensywnie niebieskozielone morze, aż po wyraźnie rysujący się horyzont. – Jest dla mnie zagadką, odkąd ją

pierwszy raz zobaczyłem.

– Dla mnie nie – stwierdziła Farley. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. – Rozumiem ją. Byłam taka sama, wprawdzie mniej błyskotliwa, ale równie zamknięta w sobie. Uparta. Moje życie było żałosne do czasu, kiedy skończyłam dwadzieścia pięć czy sześć lat, i postanowiłam, że się zmienię, stanę bardziej normalna.

– Ona jutro skończy dwadzieścia cztery – przypomniała Carrolson.

– To jej urodziny? – zapytała Farley. Carrolson skinęła głową.

– Powiedziałam Olmy'emu o zwyczaju urodzinowych przyjęć. Uznał, że to dobry pomysł.

Zdaje się, że tutaj nie obchodzą urodzin. Niewielu ludzi urodziło się naprawdę, w biologicznym sensie. Świętują imieniny, dzień osiągnięcia dojrzałości, głównie w Axis Nader. Przypuszczam, że wiek nie ma dla nich takiego znaczenia jak dla nas.

– Więc co to będzie za przyjęcie?

– Zaproponowałam, żeby było skromne. Tylko my, Olmy, Ram Kikura. Zgodził się.

– Lenore, jesteś wspaniała – powiedział Lanier, nieświadomie przybierając ton głosu Hoffman. Carrolson dygnęła i zrobiła zabawną minę.

– My jesteśmy bardziej niż weseli – stwierdził Heineman, patrząc na nią. – Jesteśmy kompletnie zwariowani.

Patricia przeszła jakieś pół kilometra plażą i zobaczyła Oliganda Tollera stojącego na piasku. Miał na sobie krzykłą koszulę w hawajski wzór i szorty odsłaniające jasno owłosione, lekko pałakowate nogi.

– Podoba się pani? – zapytał, prezentując się przed nią. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Cóż, starałem się. – Wyglądał na zasmuconego. – Chciałbym z panią porozmawiać, jeśli nie pani nic przeciwko temu.

– Nie jestem pewna... – zaczęła.

– To ważne. Dla was wszystkich.

Stała w miejscu, patrząc na niego z lekko przechyloną głową, ale się nie odezwała.

– Możemy spacerować – powiedział Toller. – Chciałbym wyjaśnić parę rzeczy, zanim spotkacie się z prezydentem. Jeśli znajdzie dla nas czas.

– Więc porozmawiajmy – zdecydowała i ruszyła przed siebie. Zrobił dwa długie kroki, doganiając ją.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami, Patricio – zapewnił Toller. – Cokolwiek Olmy wam powiedział...

– Olmy nic złego nie powiedział – oświadczyła Patricia. – To moja wina. Z oczywistych powodów czuję się ostatnio niezbyt szczęśliwa.

– To zrozumiałe – stwierdził adwokat, dotrzymując jej kroku. Wyglądało na to, że żadnego z pływających lub dryfujących w powietrzu neomorfów nie dziwi widok adwokata prezydenta i kobiety z przeszłości spacerujących po plaży. Nie zwracano na nich uwagi. – Ten kurort jest wspaniały. Często tutaj przyjeżdżam. Przypominam sobie, co to znaczy być człowiekiem. Rozumie pani?

– Zobaczyć rzeczy takimi, jakie są naprawdę – powiedziała Patricia.

– Tak. I na jakiś czas uwolnić się od problemów. Tym razem będzie to pracowity urlop i do tego krótki. Nie możemy tu zostać dłużej niż dwa lokalne dni. Ale uznaliśmy, że warto pokazać wam, jak działa nasz system. Próbujemy pozyskać sobie twoją pomoc... Patricio? Mogę się tak do ciebie zwracać? Skinęła głową.

– Ze względu na to, jak się rzeczy ułożyły, możecie okazać się bardzo wpływowi. Nie

będziemy was przekonywali do naszych zwyczajów ani poglądów. Nie tak działa nasz rząd, zresztą wzorowany na waszym.

Zatrzymali się na naturalnym bazaltowym falochronie wysuniętym w morze. Patricia odwróciła się i zobaczyła mały jasny meteor przecinający niebo kilka stopni nad horyzontem. Nie wystrzeliły żadne promienie. Był na tyle mały, że sam spłonął w atmosferze.

– Pomagaliśmy frantom zainstalować Niebieską Lancę – poinformował Toller. – Kiedy otworzyliśmy bramę, znajdowali się we wczesnej erze atomowej. Zorganizowaliśmy wymianę informacji, ustanowiliśmy stosunki klient-patron i pomogliśmy im uchronić planetę przed rojami komet.

– Co dostaliście w zamian?

– Oni otrzymali znacznie więcej niż Niebieską Lancę. Otworzyliśmy dla nich Drogę. Są obecnie pełnoprawnymi partnerami w handlu z trzema światami, do których jest dostęp przez bramy, i w wymianie z okolicznymi układami w normalnej przestrzeni. W zamian wydzierżawili nam prawo do surowców i informacji. Najcenniejszym jednak towarem są oni sami. Poznałaś partnera Olmy’ego. Są idealnymi współpracownikami – pomysłowi, godni zaufania, niezmiennie sympatyczni. I o ile można to stwierdzić, naprawdę lubią z nami pracować.

– To brzmi, jakby byli domowymi zwierzakami – stwierdziła Patricia.

– Coś w tym jest – przyznał Toller. – Ale są równie inteligentni jak my – oczywiście bez implantów – i nikt nie traktuje ich jak obywateli drugiej kategorii albo domowych ulubieńców. Będiesz chyba musiała pozbyć się pewnych uprzedzeń, żeby zrozumieć naszą sytuację, Patricio.

– Już się ich pozbyłam – oznajmiła Patricia. – Po prostu jestem.. – Uniosła ręce i potrząsnęła głową. Ani razu jeszcze nie spojrzała Tollerowi prosto w oczy.

– Zanim się zjawiliśmy, Timbl co tysiąc lat przechodził przez rój komet. Za każdym razem ginęła połowa populacji. Ten ocean to w całości woda kometarna, gromadząca się przez miliardy lat. Jakiś milion lat temu przez długi czas panował spokój i to właśnie wtedy frantowie osiągnęli pełny rozwój i stworzyli podstawy kultury. Potem znowu zaczęły się bombardowania. Stopniowo frantowie coraz bardziej upodobniali się, przekazując sobie informacje i cechy osobowości na drodze chemicznej, a potem kulturowej. Stali się społeczeństwem homogenicznym, które lepiej radziło sobie z katastrofami powodowanymi przez roje. Nie zdawali sobie jednak sprawy ze swojego potencjału, dopóki nie otworzyliśmy bramy. Teraz korzystają z osiągnięć naszej techniki, używają piktorów, żeby się ze sobą komunikować, a nawet wymieniać osobowościami. Nie jestem więc pewien, kto miał więcej szczęścia – frantowie czy my. Gdyby frantowie nie pomogli nam wieki temu, przegralibyśmy wojnę z jartami.

Patricia słuchała uważnie, przyswajając sobie to, czego nie zdążyła się dowiedzieć z serwisu danych.

– Dlaczego nie możecie nawiązać podobnych stosunków z jartami? – zapytała.

– Ba! jartowie to zupełnie inna historia. Zapewne wiesz, że okupowali Drogę, zanim połączyliśmy ją z siódmą komorą.

– Tak słyszałam – potwierdziła, przypominając sobie, co jej powiedział włamywacz.

– Inżynier miał pecha, że otworzył eksperymentalną bramę akurat do rodzinnej planety jartów. Czas na Drodze nie płynął tak samo jak nasz. Spędzili trzy stulecia na nie ukończonej Drodze, czyniąc ją swoim domem. Nauczyli się nawet otwierać prymitywne bramy. Gdy przyłączono i otwarto Drogę, już tam byli. Silni, inteligentni i agresywni, absolutnie przekonani, że ich przeznaczeniem jest zaludnić wszystkie światy. Stoczyliśmy z nimi zażartą wojnę, odnosząc zwycięstwa. Otworzyliśmy wybrane bramy i zapełniliśmy pierwszy odcinek Drogi – do punktu jeden do piątej – glebą

i powietrzem. Przez cały czas budowaliśmy Axis City, toczyliśmy z nimi walki, spychając ich coraz dalej i dalej, zamykając bramy. W końcu wycofali się do punktu dwa do dziewiątej, a my ustawiliśmy tam barierę. Próbowaliśmy dojść z nimi do porozumienia. Bezskutecznie. Wiedzieli, że nie możemy ich wyprzeć z Drogi. Nie byliśmy dość silni.

Patricia usiadła na najniższym stopniu schodów prowadzących na szczyt falochronu.

– Jak możemy wam pomóc?

– Prawdę mówiąc, to skomplikowana sprawa – odparł Toller. – Najbardziej pomożecie, popierając nas. A przynajmniej nie występując przeciwko nam.

– Teraz wszyscy możecie wrócić do domu – stwierdziła Patricia.

Toller umilkł na chwilę, zaskoczony nagłym zwrotem w rozmowie.

– Właśnie. – Usiadł obok niej. Odsunęła się trochę. – Na to wygląda. Jednak, pomimo chwytającego za serce błagania ser Laniera, nie widzę powodu, by teraz wracać na Ziemię.

– Moglibyście pomóc tym, którzy przeżyli.

– Patricio, oni... wy... staniecie się nami. Nie widzę niczego niegodziwego w zostawieniu świata w spokoju, żeby się sam wyleczył. Wykonaliśmy pętlę w czasoprzestrzeni i możemy wrócić do najgorszego punktu w naszej linii świata, lecz nie uznałbym tego za okazję. Raczej za przeszkodę. Czy Olmy wyjaśnił, jak zamierzamy pozbyć się jartów z Drogi? Na zawsze. Potrząsnęła głową.

– To ambitny plan. Słyszałaś plotki o secesji, o podziale Axis City?

Znowu zaprzeczyła, postanawiając odgrywać głupią.

– Wiele lat temu nasi naukowcy odkryli, że Axis City można przyspieszyć niemal do prędkości światła. Samemu miastu nic się nie stanie, a mieszkańcy odczują tylko drobne niewygodę...

– Wszyscy powinniśmy o tym usłyszeć – oświadczyła Patricia, wstając. – Cała grupa. Nie tylko ja.

– Po powrocie do Axis City mogą się dowiedzieć tyle, ile zechcą. Wszystko jest dostępne w Pamięci Miasta. Olmy również może wam to wyjaśnić.

– Dlaczego jeszcze nic nie powiedział?

– Patricio, nasz świat jest bardzo skomplikowany, o czym zapewne wiesz lepiej niż ja. Wątpię, czy Olmy miał okazję powiedzieć wam o tysiącu ważniejszych rzeczy.

– W porządku – powiedziała Patricia, schodząc na piasek. – Słucham.

– Osiągnięcie tej prędkości zajęłoby jeden dzień. Przyspieszenie do trzystu g jest wartością graniczną dla inercyjnego systemu tłumienia i obiektu tak dużego jak Axis City. Trasa zostałaby poddana ogromnym przeciążeniom. Powstałoby twarde promieniowanie i strumienie ciężkich cząstek. Już przy prędkości równej jednej trzeciej prędkości światła wytworzyłaby się czasoprzestrzenna fala uderzeniowa. Tę prędkość osiągnęlibyśmy w punkcie siedem do dziewiątej. Nasz przelot przez terytoria jartów miałby niszczycielskie skutki. Relatywistyczne zakrzywienia w obrębie Drogi byłyby niewyobrażalne. Zmieniłby się kształt samej Drogi, a wszystkie bramy otworzone przez jartów zostałyby zmiecione – zrobił gest ręką – sprasowane jak kawałek materiału w jednej z waszych pralni.

Patricia patrzyła nieobecny wzrokiem. Próbowła wyobrazić sobie relatywistyczny obiekt poruszający się po Drodze, na której nawet obiekt podróżujący z prędkością jednej trzeciej prędkości światła byłby relatywistyczny.

– Wielki plan, nie sadzisz? Skinęła głową z roztargnieniem.

– Jak zamierzacie polecieć?

– Wciąż nad tym debatujemy.

– A jakie są alternatywy?

– Nawet w tej chwili rozważamy je na konferencji trwającej od ponad trzech tygodni. Sądzymy, że Jartowie przedrą się przez bariery w ciągu roku, może miesiący. Opanują nasze najdalej wysunięte bramy – zamkniemy je oczywiście – i pod koniec dekady zepchną nas do Thistledown. Będziemy się musieli ewakuować, a jeśli chcielibyśmy ich powstrzymać, musielibyśmy zniszczyć Drogę. Byłoby to niewyobrażalne nieszczęście – Jesteście tego pewni? Toller skinął głową.

– Nie zdołamy ich powstrzymać. Urosli w siłę i zapewnili sobie pomoc innych światów, otwierając bramy w swoim segmencie Drogi.

– Nie mogliście zrobić tego samego?

– Jak już powiedziałem, zamieszkiwali Drogę o kilka wieków dłużej od nas. Pod pewnymi względami lepiej ją znają, choć to my ją stworzyliśmy.

Toller nie mówił jej o jednej z alternatyw, o której wspomniał włamywacz – wyrzuceniu Thistledown jednym końcem Drogi i zapieczętowaniu jej, tak by mogła istnieć niezależnie od maszyny szóstej komory. Postanowiła nie pytać o tę możliwość.

– To fascynujące – powiedziała. – Daje mi dużo do myślenia.

– Tak, choć jestem pewien, że naruszyłem zasady etykiety, Patricio. Byłaś bardzo uprzejma, że zechciałaś mnie wysłuchać. Mamy niewiele czasu, jak widzisz, a wy wprowadziliście dodatkowy element do równania...

– Z pewnością – powiedziała Patricia. „Może więcej, niż sądzisz...” – Chciałabym już wracać.

– Oczywiście. Odprowadzę cię.

Uśmiechnęła się do niego, ale jej spojrzenie nadal było nieobecne. W drodze powrotnej Toller mówił niewiele, a Patricii to odpowiadało.

Pograżała się w znajomym stanie. Umysł zaczynał pracować na najwyższych obrotach. Przechodząc szybko przez pokój Laniera, Patricia rzuciła kilka słów przeprosin i weszła do swojego pokoju. Położyła się na łóżku i mocno zacisnęła powieki.

Toller przywitał się z Ziemianami i powiedział, że odbył z Patricia ciekawą pogawędkę dotyczącą spraw ważnych dla nich wszystkich. Gdy wyszedł, Lanier zapukał do drzwi Patricii, ale nie otrzymał odpowiedzi.

– Patricio!?! – zawołał.

– Tak – odezwała się cicho.

– Dobrze się czujesz?

– Odpoczywam. Przyjdę na kolację.

Spojrzał na zegarek. Drugi posiłek na Timbl miał być podany za godzinę. Wrócił do swojego pokoju.

– Co z nią? – zapytała Carrolson.

– Mówi, że dobrze. Odpoczywa.

– Mało prawdopodobne – stwierdziła Farley. – Ciekawe, co jej powiedział Toller.

Spotkanie trzech mężczyzn, którzy przejęli obowiązki Mirskiego, trwało pół godziny. Odbyło się w prywatnej chacie Pletniewa. Annenkowski pilnował na zewnątrz, żeby ich nikt nie podsłuchał.

Rozmawiali o wiadomości, którą Mirski zostawił Garabedianowi. Pletniew twierdził, że rozwiązanie problemu jest proste.

Początkowo Garabedian i Pogodin wahali się. Pletniew upierał się jednak, że nie mają wyboru. – Posłuchajcie, oni próbowali zabić Mirskiego i zostali aresztowani – powiedział. – A teraz wyjdą na wolność. Czy to nie oczywiste? Właśnie to miała na myśli Amerykanka.

– Więc co zrobimy?

Pletniew podniósł kałasznikowa. Większość broni laserowej już dawno się wyładowała, zresztą on zawsze wolał kule.

– Nie zamkną nas? – zapytał Garabedian.

– Czy ktoś został zamknięty w czasie walk? – odparował Pletniew. Pogodin potrząsnął głową.

– Więc zabijmy ich z dala od miasta.

– Nie podoba mi się pomysł zabijania bez sądu.

– Nie mamy wyboru – oświadczył Pletniew. – Cholera, Mirski zostawił wiadomość tobie, ale tylko ja rozumiem, o co mu naprawdę chodziło. Wielogorski ma swoich zwolenników. Możemy we trzech sprawować władzę, ale jeśli wrócą oficerowie polityczni, zastrzelą nas. Zróbmy to, co konieczne. Zgoda?

Pogodin i Garabedian skinęli głowami.

– Więc chodźmy – powiedział Pletniew. – Zaczekamy na nich na zewnątrz. Lepiej być wcześniej, niż się spóźnić.

Mirski zostawił ciężarówkę nad brzegiem jeziora i poszedł w głąb lądu z plecakiem pełnym suchego prowiantu. W lasach czwartej komory spotykało się pełno oczek obfitujących w ryby. Nie miał wątpliwości, że da sobie radę. Klimat również był łagodny. W niektórych rejonach czasem padał lekki śnieg, a deszcze były na tyle częste, żeby przetrwało życie roślinne.

Raczej nie będzie musiał walczyć o przetrwanie.

Pierwsze kilka dni spędził spokojnie, robiąc niewiele poza sporządzeniem odpowiedniej wędki. Przeczytał raport amerykańskich biologów na temat czwartej komory i wiedział, że znajdzie dżdżownice i larwy na przynętę. Przestał odczuwać niepokój. Zastanawiał się, dlaczego nie odszedł wcześniej.

Rzadko napotykał znaki graniczne swojej nowej umysłowości. Albo zanikły, albo nauczył się je ignorować.

Piątego dnia znalazł ślady wskazujące, że nie jest sam w lasach. Rosyjskie opakowanie po prowiancie i amerykański plastikowy pojemnik świadczyły, że ukrywa się tutaj co najmniej jeden Rosjanin. Odkrycie nie zmartwiło go. Było tu dość miejsca dla wszystkich.

Siódmego dnia na skraju trawiastej przecinki spotkał Rosjanina. Nie rozpoznał go, ale żołnierz znał Mirskiego i szybko zniknął w lasach.

Ósmego dnia znowu się zobaczyli przez wąskie jezioro i tym razem żołnierz nie uciekł.

– Jesteś sam, prawda? – zapytał żołnierz.

– Byłem do tej pory – odpowiedział Mirski.

– Jesteś dowódcą – stwierdził tamten urażony.

– Już nie – odparł Mirski. – Jak tu biorą ryby?

- Niezbyt dobrze. Zauważyłeś, że wszędzie tu pełno komarów i much, ale wcale nie gryzą?
- Tak, zauważyłem.
- Ciekawe dlaczego.
- Taki gatunek – zasugerował Mirski.
- Zastanawiam się, czy tutaj kiedykolwiek pada śnieg.
- Chyba tak, raz na rok czy jakoś podobnie – powiedział Mirski. – Ale nigdy nie jest zimno.

Nie to co w Moskwie.

– Wolałbym, żeby padał – wyznał żołnierz. Mirski przytaknął. Spotkali się przy końcu jeziora i razem poszli przez las w poszukiwaniu lepszego miejsca na ryby.

– Amerykanie powiedzieliby, że jesteśmy jak Huckleberry Finn i Tomek Sawyer – zauważył żołnierz, gdy zanurzyli wędki w strumieniu. – Wiesz, tutejsi Amerykanie nie są tacy źli jak na Ziemi. Zanim postanowiłem wyruszyć w lasy, myślałem, żeby pójść do nich.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytał Mirski.

– Wolałem być sam. Ale nie żałuję, że tutaj jesteś. – Żołnierz poderwał wędkę, żeby złapać pstrąga. – To przywraca mi wiarę w ludzkość. Nawet generał chce uciec od tego wszystkiego.

Żołnierz, który nigdy nie ujawnił Mirskiemu swojego nazwiska, opuścił obóz parę tygodni temu, przed wydarzeniami w bibliotece. Nie miał pojęcia, co się stało, a Mirski nic mu nie powiedział.

Zaczynał się czuć jak normalny człowiek, a nie jak dziwoląg lub duch. Wspaniale było siedzieć i podziwiać kroplę wody na liściu albo kręgi na wodzie po tym, jak ryba próbowała złapać owada. Nie miało znaczenia, kim jest. Ważne było, że żyje.

Minęły kolejne dwa dni i Mirski zaczął się zastanawiać, czy ktoś będzie ich szukał. Teleskopy o wysokiej rozdzielczości z łatwością by ich wyśledziły, a czujniki podczerwieni wykryły nawet wśród drzew. Podejrzał, że oficerowie polityczni są już wolni i przejmują władzę... jeśli Pletniew i pozostali nie postąpili zgodnie z jego ostrzeżeniem.

Nie interesowało go to zbytnio.

Najbardziej brakowało mu nocy. Oddałby wszystko za możliwość spędzenia kilku godzin w całkowitej ciemności. Chciał zamknąć oczy i nic nie widzieć, nawet brązowej poświaty w cieniściej lesie przenikającej przez powieki. Tęsknił również za gwiazdami i księżycem.

– Myślisz, że na Ziemi żyje jeszcze ktoś, kogo znaliśmy? – zapytał żołnierz pewnego ranka, kiedy piekli rybę nad małym ogniskiem.

– Nie – odparł Mirski.

Żołnierz podniósł głowę i potrząsnął nią w zdumieniu. – Myślisz, że nie?

– To mało prawdopodobne – powiedział Mirski.

– Nawet wśród najwyższego dowództwa?

– Może. I tak nie znałem tam nikogo.

– Mmm – mruknął żołnierz. – Znałeś Sośnickiego – zauważył po chwili.

– Niezupełnie.

– Myślę, że był dobrym człowiekiem – stwierdził żołnierz, zdejmując rybę z ognia i z wprawą obierając ją nożem. Dał połowę Mirskiemu, a ogon i kręgosłup wyrzucił w krzaki.

Mirski podziękował skinieniem głowy i zaczął jeść rybę razem ze skórą i ośćmi. Nagle dostrzegł między drzewami srebrny refleks, odbłask. Przestał jeść. Żołnierz zauważył jego spojrzenie i obejrzał się.

Spomiędzy drzew wyleciał długi stalowy obiekt i zatrzymał się kilka metrów od nich. Miał kształt prawosławnego krzyża, zakończonego u dołu ciężką kroplą. Na skrzyżowaniu ukośnego

ramienia z poziomym widniała płonąca intensywną czerwienią plama. Mirski wytrzeszczył oczy.

Żołnierz wstał.

– To amerykański? – zapytał.

– Nie sędzę – odparł Mirski, również wstając.

– Panowie – odezwał się po angielsku kobiecy głos. – Nie bójcie się. Nie zamierzamy was skrzywdzić. Nasze detektory wykryły osobę, która przeszła operację uzupełniającą.

– Amerykański – stwierdził żołnierz, zbierając się do ucieczki.

– Kim jesteś? – zapytał Mirski, również po angielsku.

– Jesteś tym operowanym?

– Tak – odparł Mirski.

Żołnierz wydał dziwny zduszony odgłos i popędził w las.

– To ja, nie zwracajcie sobie nim głowy.

Miedzy drzewami szła powoli ubrana na czarno kobieta. Mirski myślał przez chwilę, że jest Amerykanką, zauważył jednak, że krój munduru ma zupełnie inny. A jej uczesanie – krótko po bokach ostrzyżone włosy, pośrodku opadające kaskadą na plecy – z pewnością nie było amerykańskie. Minęło kilka sekund, zanim zauważył, że kobieta nie ma nozdrzy, a jej uszy są małe i okrągłe. Stała obok chromowanego krzyża i podniosła rękę.

– Nie jesteś obywatelem Axis City, prawda? – zapytała. – Nie jesteś ortodoksyjnym naderytą?

– Nie – odparł Mirski. – Jestem Rosjaninem. A kim ty jesteś?

Dotknęła ramienia krzyża i w tym momencie powietrze przecięły błyski światła.

– Będiesz mi towarzyszył? Zbieramy wszystkich mieszkańców komór. Nie stanie ci się żadna krzywda.

– Mam inne wyjście? – zapytał, zachowując spokój. Czy człowiek, który już raz umarł, może odczuwać strach?

– Przykro mi, ale nie – powiedziała kobieta, uśmiechając się miło.

Judith Hoffman właśnie skończyła trwającą dziewięć godzin naradę poświęconą zmianie systemu prawnego na Kamieniu. Beryl Wallace zmusiła ją do powrotu do kobiecego bungalowu. Hoffman natychmiast zasnęła w swoim pokoju. Była tak wyczerpana, że z trudem się obudziła. Kilka chwil zabrało jej uświadomienie sobie, co się dzieje. Brzęczał interkom. Wcisnęła przycisk.

– Hoffman – rzuciła. Miała zeszywniały język.

– Joseph Rimskaya. Judith, mamy epidemię zjaw w czwartej komórce. Sam widziałem dwie.

– I co?

– Są ze stali, mają kształt krzyża, krążą nad naszym osiedlem i nad terytorium Rosjan. Śledziliśmy kilka z nich radiolokatorami. Musi ich być ze dwadzieścia albo trzydzieści tylko w tej komórce. Są wszędzie.

Hoffman zacisnęła zęby i przetarła oczy. Spojrzała na zegarek. Spała niecałą godzinę.

– Jesteś teraz w osiedlu w czwartej komórce?

– Tak.

– Jadę do was.

Wyłączyła się. Natychmiast rozległ się następny dzwonek.

Tym razem odebrała Ann i zaczęła się wyklócać z głosem po drugiej stronie, dopóki Hoffman nie przerwała jej.

– Judith, przykro mi – powiedziała Ann pospiesznie. – Beryl powiedziała mi, że bym ci dała pospać, a ja wyszłam na sekundę...

– Panno Hoffman, tu pułkownik Berenson z siódmej komory...

– Proszę, pułkowniku – wtrąciła się Ann.

– To pilna sprawa...

– Ann, pozwól mu mówić – poleciła Hoffman.

– Panno Hoffman, czujniki wychwytyją dziesiątki, może setki obiektów, dużych i małych.

Część z nich poleciła do szóstej komory...

– Już są w czwartej – oznajmiła Hoffman. – Pułkowniku, niech się pan porozumie z Rinskaya. On również je widział. Jadę najbliższym pociągiem do czwartej komory.

Spakowała podręczną torbę i pobiegła do holu,omal nie spadając ze schodów. Chwyciła się poręczy, dopóki nie minął wywołany zmęczeniem zawrót głowy, i zbiegła szybko na dół, starając się nie potknąć. Ann czekała na nią z kubkiem wody i tabletkami pobudzającymi.

– Cholera, co to jest? – zapytała Hoffman.

– Hiperkofeina – poinformowała Ann. – Lanier zażywał ją przez cały czas.

Hoffman połknęła dwie tabletki.

– Co tym razem? – zapytała Ann z pobladłą twarzą. – Chyba nie następny atak?

– Nie z zewnątrz, kochanie – powiedziała Hoffman. – Gdzie są Wallace i Polk?

– W drugiej komorze.

– Powiedz im, żeby przyjechały do czwartej komory. Powiedz, że spotkamy się w osiedlu albo na stacji.

Wybiegła z baraku, wołając, żeby podstawiono ciężarówkę. Generał Gerhardt wyskoczył z baru i wezwał przez radio żołnierzy piechoty morskiej. Skinął na Hoffman. Przy bramie czekała na nich Doreen Cunningham. Bez słowa wskazała na dwie gotowe do drogi ciężarówki stojące za ogrodzeniem.

Wsiadali właśnie do pierwszej ciężarówki, kiedy w osiedlu włączyły się alarmy. Hoffman zeskoczyła ze stopnia i uniosła głowę. W górze leciał niespiesznie srebrny krzyż. Ciężki płat w dolnej części nadawał mu wygląd jednocześnie groźny i śmieszny. Przypominał dziwną broń ze starych filmów wojennych.

– To nie rosyjski, prawda? – zapytała, nadal trochę senna.

– Z całą pewnością nie – odparł Gerhardt, osłaniając dłonią oczy przed światłem rury plazmowej. Krzyż okrążył obóz, uniosł się w górę, stając się na tle rury plamką wielkości łebka szpilki, i zniknął. – To naprawdę zjawą.

Po zachodzie słońca niebo zrobiło się granatowe. W miejscu, gdzie ostatni czerwony skrawek słońca został pochłonięty przez ocean, pojawiła się ciemna chmura, sięgnęła od horyzontu po zenit, gdzie rozszczepiła się na strzępiaste smugi, których naelektryzowane krawędzie rzucały fioletowe refleksy. Farley i Carrolson godzinę wcześniej opuściły towarzystwo. Doba na planecie frantów trwała czterdzieści godzin. Lanier nie miał ochoty iść spać. Rozmyślał, obserwując z patio zachód słońca. Heineman siedział obok niego. Patricia jeszcze nie wyszła ze swojego pokoju po rozmowie z Tollerem.

Ubrany w szorty i niebieską marynarkę Olmy szedł boso po piasku. Dostrzegł ich i zbliżył się.

– Panie Heineman, panie Lanier – powiedział, a oni pozdrowili go skinieniami głowy, zupełnie jak arystokraci.

Brakowało im tylko fajek, wieczorowych strojów i drinków, żeby złudzenie było całkowite. – Podoba się panom tutaj?

– Bardzo – odparł Lanier. – Pierwszy zachód słońca, jaki widzę od wielu miesięcy.

– A ja od roku – dodał Heineman.

– Ja od znacznie dłuższego czasu – powiedział Olmy. – Nie miałem służby na zewnętrznym świecie od... – zastanowił się – ...piętnastu lat. Tej planety nie odwiedzałem od pięćdziesięciu.

– Jest pan bardzo zajęty, panie Olmy? – zapytał Heineman, zerkając na niego z ukosa.

– Bardzo. Jak się czuje Patricia? Wiem, że rozmawiała z ser Tollerem i od tamtej pory przebywa w pokoju.

– Tak – potwierdził Lanier. – Mam zamiar zajrzeć do niej za parę minut. Dopilnuję, żeby coś zjadła.

– Od jakiegoś czasu żyje w dużym napięciu, prawda?

– Odkąd przyleciała na Kamień... Thistledown – powiedział Lanier. – Obarczyliśmy ją ogromną odpowiedzialnością... zbyt dużą.

– Sądziście, że rozwikła tajemnicę Thistledown?

– Myśleliśmy, że może nam powie, czy to, czego dowiedzieliśmy się w bibliotekach, dotyczy naszego świata. I okazało się...

– Że i tak, i nie – dokończył Olmy.

Lanier popatrzył na niego i skinął głową, spoglądając na zachodzące słońce.

– Zachowywała się dziwnie...nawet wzięwszy pod uwagę okoliczności.

Olmy oparł się o balustradę patio.

– Po przybyciu do Axis City ona i ja mieliśmy bardzo długą interesującą rozmowę. Chciała się dowiedzieć jak najwięcej o nas, o mieście, a zwłaszcza o bramach. To jeden z powodów, dla których wkrótce weźmiemy udział w otwarciu bramy. Mówiła wam o swoich planach?

– Nie – odparł Lanier. Heineman pochylił się do przodu, z powagą patrząc na Olmy'ego.

– Zanim ją porwaliśmy, szła do biblioteki, żeby sprawdzić pewną hipotezę. Doszła do wniosku, że między bramami można znaleźć miejsca, które my nazywamy zagęszczeniami czasoprzestrzeni. Zafascynowało mnie, że wiedziała o takich obszarach, że wydedukowała ich istnienie, ponieważ zrozumieć podstawy teorii Drogi niekoniecznie oznacza zrozumieć wszystkie implikacje. Uznała, że potrafiłaby skonstruować urządzenie do otwierania bram.

– Co to są zagęszczenia czasoprzestrzeni? – zapytał Heineman ochryłym głosem. Odchrząknął i spojrzał na Laniera.

– Bramy są rozmieszczone w określonych odstępach wzdłuż Drogi. Prowadzą do ściśle określonych miejsc we wszechświatach różniących się od naszego. Dzieli je półroczne przesunięcie w czasie. Patricia doskonale to rozumiała. Trochę czasu zabrało jej jednak uświadomienie sobie, że nieskończoność alternatywnych światów musi być skupiona w wyraźnie zaznaczonych obszarach. Ma to miejsce w rejonach zagęszczenia czasoprzestrzeni, i tym spowodowane jest zakrzywienie poważnego przemieszczenia niektórych wszechświatów zarówno w nadprzestrzeni, jak i w czasie Drogi.

– Nie nadażam za panem – przyznał się Lanier.

– Patricia doszła do wniosku, że potrafi otworzyć bramę do alternatywnego świata, alternatywnej Ziemi, niewiele różniącej się od oryginału, ale gdzie nie nastąpiła Śmierć. Zrozumiała, że urządzenia do otwierania bram można dostroić. Uważa, że jednym z naszych urządzeń może otworzyć ścieżkę do alternatywnej i gościnnej Ziemi.

– A istotnie może? – zapytał Lanier. Olmy przez chwilę nic nie mówił.

– Skonsultujemy się z dwoma odźwiernymi bram. Jeden jest tutaj, na Timbl, a drugi to główny odźwierny, ser Ry Oyu, ojciec senator Prescient Oyu. Oczekują nas w punkcie trzy do dziewiętej.

– To kolejny cel wycieczki? Olmy uśmiechnął się i skinął głową.

– Moje powody, by przywieźć ze sobą Patricię, były całkiem rozsądne. Ale wasze przybycie

skomplikowało sytuację. Jedną osobę moglibyśmy ukryć, choć teraz wydaje się to wątpliwe. Pięć osób, w żadnym razie. Prezydent ma nadzieję, że będziecie raczej naszymi atutami niż zagrożeniem.

– Minęło trzynaście wieków, a ludzie nadal są ludźmi – stwierdził Heineman z tonem gorczy w głosie. – Wciąż się kłócą.

– To prawda, choć nie do końca – powiedział Olmy. – W waszych czasach ludzie często działali wbrew własnym interesom z powodu zaburzeń osobowości lub błędów w rozumowaniu. Gdyby jasno określili cele, mogliby obmyślić lub nawet intuicyjnie wytyczyć drogi do ich osiągnięcia. Wrogowie często zmiierzali do tego samego, a nawet mieli podobne systemy wartości, a jednak nienawidzili się. Teraz żaden człowiek nie może tłumaczyć się ignorancją, zaburzeniami psychicznymi czy brakiem zdolności. Niekompetencja jest niewybaczalna, ponieważ można jej zaradzić. Jeden z obowiązków Ser Ram Kikury polega na kierowaniu ludźmi przy wyborze zdolności i postaw niezbędnych w danej pracy. Mogą sobie przyswoić to, czego potrzebują, czy to będzie zestaw wspomnień czy nawet uzupełnienie osobowości.

– Dlaczego więc w dalszym ciągu nie mogą się ze sobą zgodzić? – zapytał Heineman.

Olmy potrząsnął głową.

– Odpowiedzieć na to pytanie oznaczałoby zrozumieć podłoże wszystkich konfliktów w królestwie Gwiazdy, Losu i Pneumy. We wszystkich dostępnych dla nas wszechświatach.

– Więc to jest niepoznawalne – stwierdził Lanier.

– Wcale nie. Jest aż nazbyt jasne. Może istnieć więcej niż jeden pożądany cel i wiele równouprawnionych dróg do ich osiągnięcia. Niestety są też ograniczenia i nie każdy może podążać ścieżką, którą pragnąłby iść. Ta prawda dotyczy nawet nas. Nasi obywatele są w większości dobrzy, zdolni i różnią się między sobą. Mówię w większości, ponieważ system Axis City w żadnym razie nie jest doskonały...

– Twierdzi więc pan, że nawet bogowie mogą toczyć wojny.

Olmy potwierdził.

– Interesujące, że prymitywne mity z naszej młodości wracają w postaci odwiecznych prawd, czyż nie?

Lanier zapukał do drzwi Patricii i zawołał ją. Kilka minut później Patricia otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka. Włosy miała w nieładzie. Nosiła to samo ubranie, w którym była na plaży.

– Sprawdzam tylko, jak się czujesz – powiedział Lanier niepewny, jak się zachować.

– Myślę – odparła Patricia, spoglądając na niego. Miała smutny wzrok. – Jak długo to trwa?

– Odkąd wróciłaś z plaży?

– Tak.

– Dwanaście godzin. Już ciemno.

– Wiem. Włączyłam światła, zanim cię wpuściłam. Tutaj jest zupełnie jak w pokoju hotelowym. Tak pewnie ma być. Powrót do dawnych czasów. Tak powiedział prezydent.

– Chyba nie czujesz się dobrze – stwierdził Lanier. – Coś się stało.

– Nie mogę przestać myśleć. Byłam w stanie – tak to nazywam – głębokiego zamyślenia przez dwanaście godzin. Teraz też jestem. Ledwo mogę z tobą rozmawiać.

– O czym myślisz?

– O powrocie do domu. Wszystko sprowadza się do tego.

– Olmy powiedział...

– Garry, gubię się. Skończę jak ten włamywacz, będę jak duch, nieprawdziwa. Nie mogę przestać myśleć. Adwokat prezydenta powiedział... Garry, potrzebuję pomocy. Potrzebuję czegoś, co odwróci moją uwagę.

– To znaczy? – zapytał Lanier. Wyciągnęła do niego rękę.

– Jestem człowiekiem, prawda? Jestem prawdziwa. Nie jestem jakąś zabawką albo programem.

– Jesteś prawdziwa – zapewnił Lanier. – Dotykam ciebie.

– Wcale nie jestem tego pewna. Nie uwierzyłybyś, co siedzi w mojej głowie. Widzę wszystkie obliczenia, teorie. Są we mnie. Widzę światy... jak kartki Biblii i znam numery stron. Olmy nie uwierzył mi, w każdym razie nie do końca. Ale nadal uważam, że mam rację. Oni mają urządzenia do otwierania bram. Gdybym miała jedno z nich, mogłabym zaprowadzić was do domu. Do miejsca, gdzie nic się nie zmieniło. Znam numer strony.

– Patricio...

– Pozwól mi mówić! – powiedziała gwałtownie. – Do miejsca, gdzie nie było wojny nuklearnej. Gdzie mój ojciec czyta „Tiempos de Los Angeles”. Gdzie czeka na mnie Paul. Więc myślę, ale nie tylko o tym. Prezydent powiedział, że mogą rozpedzić Axis City do prędkości relatywistycznej. W ten sposób wymietliby swoich wrogów z korytarza. To mogłoby się udać. Ale...

– Uspokój się, Patricio.

– Nie mogę, Garry. Potrzebuję ludzkiego dotyku. Potrzebuję Paula, ale on nie żyje, dopóki go nie znajdę. – Mocniej chwyciła go za rękę. – Pomożesz mi? Proszę.

– Jak?

Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się niepewnie.

– Droga rozděłaby się jak balon, gdyby poruszał się po niej z relatywistyczną szybkością jakiś obiekt. Rozděłaby się jak balon. Bramy by się zamknęły, po prostu zasklepiły.

– Jak mogę ci pomóc? Pójdę po Carrolson...

– Nie, proszę. Zostań. Robiłam notatki. – Podniosła tabliczkę. Ekran był wypełniony równaniami, które dla Laniera zupełnie nic nie znaczyły. – Mam dowód. Niech mi pozwolą pojechać do punktu zagęszczenia czasoprzestrzeni... a wydostanę nas stąd. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Patricio, powiedziałaś, że mogę ci pomóc.

– Kochaj się ze mną – poprosiła nagle. Lanier spojrzał na nią zaskoczony.

– Jestem teraz samą myślą. Daj mi ciało.

– Nie bądź śmieszna – powiedział, rozgniewany. Podwójnie zły z powodu swojej reakcji Drgnęła.

– Paul nie żyje. Nie zdradzę go. Kiedy otworzę bramę, znowu będzie żył, ale teraz go nie ma. Wiem, że byłeś z Farley... I Hoffman.

Omali nie powiedziała czegoś niewłaściwego, omali nie poruszyła kwestii jego odpowiedzialności za nią, i oboje o tym wiedzieli.

– Jestem zazdrosna i jednocześnie nie jestem – wyznała. – Lubię Karen. Lubię was wszystkich. Czuję się inna, ale chciałam być z wami. Chciałam, żebyś mnie lubił.

– Nie wykorzystam cię, kiedy jesteś w takim stanie – powiedział Lanier.

– Wykorzystać? Potrzebuję ciebie. Ja cię wykorzystam.

Ja cię wykorzystuję. Zdaję sobie z tego sprawę, ale po prostu wiem, co mi pomoże. Nie jestem małą dziewczynką. Teraz krążą mi po głowie myśli, jakich nikt nie miał. Olmy o tym wie. Ale nie przestanę myśleć, zwariuję. Wszystko przepadnie. O tak. – Strzeliła palcami. – Chyba nie jestem dobra w łóżku.

– Patricio – powiedział Lanier, próbując uwolnić rękę, a zarazem tego nie chcąc.

Przysunęła się do niego bliżej i położyła mu dłoń na brzuchu.

– Jeśli to konieczne, zagram nieuczciwie. Ciało to tygrys, umysł to smok. Trzeba nakarmić

jedno, żeby utrzymać przy życiu drugie.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – stwierdził Lanier.

Przesunęła dłoń w dół.

– Nie jestem tylko grymaśnym geniuszem.

– Nie.

Patricia odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się ekstatycznie, zamykając oczy. Lanier nie miał już sił opierać się. Rozpiął jej bluzkę.

Nadzy, objęli się mocno. Lanier uklęknął. Poczul łyzy w oczach, kiedy chwycił ustami brodawki jej piersi. Miała piersi średniej wielkości, jedną wyraźnie większą od drugiej. Skóra między nimi była nieco ciemniejsza. Ich rozmiar i kształt nie miały znaczenia. Laniera ogarnęło nagłe pożądanie, zagłuszać wszelkie wątpliwości. Zaprowadziła go do sypialni. Położyli się obok siebie, całując się i przytulając. Ujął ją za biodra i wśliznął się w nią głęboko, napinając mięśnie brzucha i pośladków. Przetoczyli się. Patricia uniosła się nad nim. Oczy miała zamknięte, ale twarz spokojną, jakby stępiała swoje pragnienie. Wyprostowała się. Lanier obserwował ich wspólne ruchy bez zwykłej obojętności. Miał uczucie pełni i jedności, którego nie rozumiał. Między nimi niczego szczególnego nie było – po prostu obowiązek, wspólna praca. Tak jak z innymi.

Poszedł do łóżka z tą małą Hiszpaneczką, geniuszem i pupilką Hoffman. Dopiero teraz uświadomił sobie, że był przerażony przy pierwszym spotkaniu. Zasugerował się opinią Hoffman i nie dostrzegł rzucającej się w oczy kruchości Patricii. Właśnie rozkoszował się tą kruchością, czerpał z niej przyjemność, a wszystko to w imię obowiązku. Śmieszne. Jego przerażenie częściowo wynikało z fascynacji.

Patricia poruszała się własnym rytmem, dążąc do spełnienia. Przy Paulu odkryła, że jest naturalna w miłości. Czula, że się uspokaja, wychodzi ze swojego stanu. Skupiła się na przeżywanej chwili.

Doszła do szczytu. Po krótkim odpoczynku znowu zaczęła się poruszać. Garry wypchnął biodra w górę, opadł, uniósł się wyżej i jęknął, wtulając twarz w jej ramię. Otworzył usta w stłumionym, ochryplym okrzyku. Poczul, że wszystko się w nim rozluźnia, ustępuje narastające latami napięcie, z którego nie zdawał sobie sprawy.

Długo leżeli w milczeniu, słuchając odgłosów dobiegających zza szklanych drzwi.

– Dziękuję – powiedziała Patricia.

– Boże – wydusił Lanier i uśmiechnął się. – Lepiej? Skinęła głową i ukryła twarz w jego ramieniu.

– To było igranie z ogniem – stwierdziła. – Przepraszam.

Lanier odwrócił do siebie jej twarz i przytulił.

– Oboje jesteśmy dziwni – stwierdził. – Wiesz o tym?

– Uhm. – Ułożyła się na jego ramieniu i mocno zamknęła oczy. – Nie powinieneś tu dzisiaj spać. Ze mną wszystko będzie dobrze. Powinieneś wrócić do Karen.

Uważnie się jej przyjrzał.

– Dobrze – powiedział.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Teraz wyglądała nie jak kotka, tylko jak jeden z niesamowitych neomorfów, których widywali w ciągu ostatnich kilku dni. Pod dziwacznymi postaciami kryli się normalni ludzie.

W Patricii Louisie Vasquez było jednak coś nieludzkiego. Coś, co być może tkwiło w niej przez cały czas.

„Tylko bogowie albo obcy”.

– Co mi się tak przyglądasz? – zapytała.

– Przepraszam. Pomyślałem sobie, że wszystko jest postawione na głowie.

– Nie żałujesz? – zapytała, przeciągając się. Oczy miała jak szparki.

– Nie żałuję.

Gdy wyszedł z pokoju, poczuł dreszcz na skórze. Uświadomił sobie, że żadna z rzeczy, których doświadczył w ciągu ostatnich dni, nie spowodowała u niego gęsiej skórki...

Aż do tej pory.

Choć nad kurortem jeszcze nie wstał dzień, Olmy obudził gości i zaprowadził ich do czekającego autobusu. Z powodu dużych białych kół Carrolson nazywała je zabawkami. Powietrze było nieruchome i chłodne, a gwiazdy błyszczały jasno i równo na granatowym niebie.

Patricia milczała, niczym nie zdradzając się z tym, co się wydarzyło zeszłej nocy między nią a Lanierem. Farley również zdawała się o niczym nie wiedzieć. Gdy Lanier wrócił do jej pokoju, zastał ją śpiącą. On nie mógł zasnąć. Od czasów dojrzewania nie pamiętał podobnej sytuacji.

Kilka minut później przez szmaragdowy trawnik przybiegła Ram Kikura i wsiadła do autobusu.

– Prezydent nie może z nami pojechać – oznajmiła.

– Jaka szkoda – powiedziała Carrolson, niezbyt szczerze. – Jakies kłopoty?

– Nie wiem. Ser Toller, prezydent i duch premiera mają teraz spotkanie. Wyjedźcie, a ja zostanę i dowiem się, jakie są rezultaty.

Kierowca frant obejrzał się na Olmy'ego, który skinął głową. Potoczyli się gładko przez trawnik do drogi wysypanej drobnym żwirem, a następnie do białej szosy, która okrążała kurort. Skierowali się w stronę czerwieniejącego przed świtem horyzontu. Patricia wyczuła w powietrzu słodką woń, zupełnie niepodobną do ostrego zapachu oceanu Timbl. Znad ciągnących się za kurortem pól porośniętych niskimi żółtymi roślinami o grubych łodygach wiał wiatr. Na polach już pracowali farmerzy w czerwonych fartuchach z licznymi kieszeniami, wspomagani przez małe automatyczne traktory.

– Zbierają biologiczne elementy osobowości – wyjaśnił Olmy. – Specjalnie wyhodowane rośliny reprodukuje złożone biologiczne struktury, łącznie z zaprogramowanymi wcześniej wspomnieniami. Można to nazwać produkcją chałupniczą. Bardzo korzystna forma uprawy.

– Dla ludzi czy dla frantów? – zapytał Lanier.

– Rośliny można przystosować dla większości organizmów – odparł Olmy. – Wprowadzenie odpowiednich kodów genetycznych nie jest trudne.

Lanierowi chodziło o to, czy chałupnictwo jest korzystne dla ludzi czy dla frantów, ale postanowił nie ponawiać pytania. Autobus jechał białą drogą wijącą się wśród pól i przeciął gęsto zaludniony pas przybrzeżny. Na równinie ciągnącej się kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż wybrzeża i co najmniej dziesięć kilometrów w głąb lądu leżały liczne wioski frantów.

Kilkanaście wiosek zajmowało skrawki lądu o powierzchni zaledwie trzech kilometrów kwadratowych. Każda składała się z kilku kręgów niskich prostokątnych domów. Pośrodku wznosiła się budowla podobna do stopy, często wysoka na pięćdziesiąt metrów i udekorowana różnokolorowymi flagami. Gdy wstało słońce, flagi zaczęły się mienić kolorami jak tęcze, łopocząc powoli w łagodnym wietrzyku.

– Jak bardzo zaawansowani w rozwoju są frantowie w porównaniu z ludźmi? – zapytała Carrolson.

– Są prosi, ale nie prymitywni – odparł Olmy. – Mają ogromne zdolności do techniki i nauki, jeśli o to pytasz. Niech was nie zmylą skłonności do filozofowania czy łagodność. Frantowie są bardzo zaradni. Wiele nam pomagają.

Za polami i wioskami droga zakręcała wokół niskiej góry zwieńczonej sterczącymi w niebo pryzmami szarej skały. Na szczycie góry wznosiła się na jakieś sześćdziesiąt metrów przysadzista kopuła pokryta białymi i miedzianymi pasami, osadzona na dużym pawilonie. Autobus zajechał pod jego dalsze skrzydło i zatrzymał się.

Olmy poprowadził ich w kierunku dobrze utrzymanego, lecz wyraźnie starego mechanizmu z brązu i żelaza, mieszczącego się pod pustą kopułą. Obok podstawy w kształcie podkowy pięciometrowej szerokości stał muskularny mężczyzna w średnim wieku, z nagim torsem. Z szerokiego pasa zwisała torba na narzędzia. Skórę miał ciemnobrązową z lekkim tęczowym połyskiem. Obok stali trzej frantowie, rozmawiając ze sobą przyciszonymi głosami i polerując urządzenie. Nad nimi wznosiła się ogromna klatka ze skrzyżowanych żelaznych prętów, która wyglądała jak umieszczony w niewłaściwym miejscu wiktoriański most.

– To teleskop – stwierdził Heineman. – Jest piękny.

– To rzeczywiście jest teleskop – powiedział brązowo-skóry mężczyzna, uśmiechając się. – Ostatni, jaki frantowie zbudowali przed otworzeniem bramy.

– Ser Rennslaer Yates, drugi odźwierny bram – przedstawił go Olmy. – Będzie nam towarzyszył do punktu trzy do dziewiętej.

Yates odczepił torbę z narzędziami.

– Długo czekaliśmy na to spotkanie. Ser Olmy wiele mi o was mówił. Frantowie pobłagają mi, pozwalając majstrować przy tych cennych zabytkach. – Wskazał na teleskop, kopułę i pawilon. Włożył niebieską płócienną koszulę.

– Już nie potrzeba odźwiernych bram. Jeden z powodzeniem wystarczy. – Podeszedł do Patricii. – Wiele o pani słyszałem od Olmy’ego. Dokonała pani kilku imponujących odkryć. Patricia uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Oczy miała jednak roziskrzona i duże, jakby ukrywała jakiś sekret. Lanier poczuł przypływ – dumy? – gdy zauważył, jak bardzo poprawił się jej nastrój od ostatniej nocy.

– Chciałbym przy tym pomajstrować – wyznał Heineman tęsknie.

– Może któregoś dnia będzie pan miał okazję. Frantowie nie są zbyt przywiązani do swojej przeszłości. – Poklepał podstawę teleskopu. – Nieprędko tutaj wrócę – powiedział ze smutkiem – Prosiłem ich, żeby nie przerywali obserwacji, ale oni, jak to frantowie, ciągle się mieszają i wymieniają, a to wszystko wkrótce zacznie niszczyć. Dawniej piętnaście instrumentów, łącznie z tym tutaj, pracowało od świtu do zmierzchu, szukając rojów komet. – Skinął na nich. Poszli razem za pawilon i dalej przez wąskie, płaskie pole.

Stanęli nad brzegiem stromej przepaści, spoglądając na równiny i leżące za nimi morze.

– Frantowie zaczęli podbój kosmosu, gdy my się zjawiliśmy. Zbudowali tysiące pocisków z głowicami nuklearnymi. Fantastyczna, pomysłowa, bardzo skomplikowana technologia. To było ponad dziewięć wieków od ostatnich wielkich bombardowań. Czekali. Jeśli instrumenty wykryły komety, połączone umysły tysięcy frantów obliczały ich trajektorie. Trwało to całe lata, ale mieli tylko prymitywne komputery. Przenoszono wioski w bezpieczniejsze miejsca. Wszystkie wioski na planecie były w ciągłym ruchu! Wybawiliśmy ich od tego. A jednak to – wskazał ręką na kopułę – był wspaniały instrument. – Potrząsnął głową. – Ser Olmy! Ruszajmy. Ja już skończyłem. – Uściskał wszystkich frantów i dotknął ich rąk na znak połączenia, chociaż dla człowieka był to pusty gest.

Już mieli wsiąść do autobusu, kiedy jeden z frantów stojących obok pawilonu zagwizdał i wskazał w kierunku wybrzeża. Nadlatywały stamtąd trzy białe punkty. Olmy zmarszczył czoło.

– Panie Lanier, niech wszyscy wejdą do środka. Ser Yates, mógłby pan im towarzyszyć?

Yates ruszył za nimi do pawilonu.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odparł Olmy. – W planach nie było, że ma nas przywitać ochrona bram.

Trzy białe punkty urosły szybko, przybierając kształty statków – strzał o spłaszczonym dziobie. Zatoczyły koło nad teleskopem i wyładowały na płaskim polu za pawilonem. Właz na

dziobie jednego ze statków otworzył się i wysiedli z niego Oligand Toller, czterech przedstawicieli okręgu bram i frant z dyplomatyczną szarfą. Toller podszedł szybko do Olmy'ego i spojrzał mu prosto w oczy.

– Są kłopoty w Axis City – oznajmił. – Polecono mi przerwać waszą wycieczkę i bezzwłocznie przywieźć wszystkich do miasta.

– Proszę o wyjaśnienie – zażądał Olmy. – Jakie kłopoty?

– Frakcja Korzeniowskiego i ortodoksyjni naderycy nielegalnie przejęli władzę i przerwali łączność między dzielnicami. Prezydent odłożył konferencję, opuścił Timbl i jest teraz w drodze powrotnej do Axis-City. Musimy zaraz ruszać.

– Czy nie byłoby lepiej zostać tutaj? – zapytał Olmy. – Dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

– Jest bardzo klarowna. Secesjoniści próbują zastosować rozwiązanie siłowe. – Toller przeszedł na mowę graficzną, przesyłając wiadomość w kolorze fioleto: – Nasi goście są kluczowymi postaciami w tym sporze. Wie pan o tym, ser Olmy.

Olmy nie odpowiedział obrazem.

– Rozumiem, ser Toller. Pan jednak nie zrozumiał mnie. Po wyjeździe prezydenta ser Yates jest teraz najwyższym rangą urzędnikiem na Timbl.

Toller szybko ocenił sytuację.

– Odmawia pan wypuszczenia naszych gości? Działam z upoważnienia prezydenta.

– Nie mam na myśli wszystkich – odparł Olmy. – Z nami zostanie dwoje. Możecie zabrać pozostałych.

Lanier zaczął protestować, ale Olmy spiorunował go wzrokiem. Toller cofnął się o krok.

– Mógłbym rozkazać władzom bramy aresztować was wszystkich.

– Proszę nie blefować, panie adwokacie – ostrzegł Yates. – Władze bramy słuchają nawet byłego odźwiernego. Kogo pan chce zostawić? – zapytał Olmy'ego.

– Pana Laniera – odparł Olmy.

– Jesteście z secesjonistami? – zapytał go Toller, wyraźnie zły.

Olmy nie odpowiedział.

– Zatrzymamy Patricię Louise Vasquez i Garry'ego Laniera – oświadczył. – Możecie zabrać pozostałych.

– Nie chcemy się rozdzielać – powiedział Lanier, występując o krok. Heineman położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie macie wyboru – stwierdził Olmy. – Skończyły się dyplomatyczne gierki, panie Lanier. Wybrałem pana, żeby pomagał pan pannie Vasquez. Pozostali będą bezpieczni.

– Wszystkim gwarantujemy bezpieczeństwo – zapewnił Toller. – Z wyjątkiem tych, którzy pójdą z panem, ser Olmy.

– Ser Ram Kikura jest ich adwokatem. Będzie towarzyszyła trójce, Ziemi, dokądkolwiek ich zabierzecie. Proszę ich strzec – polecił Olmy.

Ze statku wyszły roboty i otoczyły Farley, Carrolson i Heinemana.

– Garry – powiedziała Farley z napięciem w głosie.

– Nie stanie się im krzywda – powtórzył Olmy. – To nie jest tego rodzaju walka.

– Obecnie oczyszczamy Thistledown – poinformował Toller, mając nadzieję wywołać większy opór. – Poseł Rosen Gardner kieruje ewakuacją asteroidu.

Olmy skinął głową, jakby to było oczywiste.

– Co robi pan z Vasquez i Lanierem? – zapytał Toller.

– Proszę zabrać resztę – powiedział Olmy. – Jest pan teraz za nich odpowiedzialny.

– Tego nie można tolerować. Gdy rozniesie się wieść, bramy zostaną zamknięte, pasy oczyszczone...

– Geszelowie i tak to planowali, prawda? Usuniecie jartów z Drogi. Już niewiele brakowało, by na sugestię prezydenta podjęto na konferencji taką decyzję. A może się mylę?

Toller zerknął niespokojnie na drugiego odźwiernego.

– Współpracuje pan z secesjonistami?

Yates tylko się uśmiechnął, wyjął z torby naszyjnik i przesłał symbol Ziemi otoczony spiralnym łańcuchem DNA.

Adwokat potrząsnął głową i wskazał na roboty, które prowadziły Farley, Carrolson i Heinemana w kierunku czekającego statku.

Carrolson była czerwona z gniewu.

– Musimy z nimi iść?! – krzyknęła.

– Chyba nie mamy wyboru – powiedział Heineman z poważną miną. – I to ma być urodzinowe przyjęcie Patricii. Uważaj na siebie, Garry.

Farley obejrzała się przez ramię na Laniera. Po policzkach spływały jej łzy.

– Garry! – zawołała.

– Wy sukinsyny – powiedział Lanier do Olmy’ego i Tollera. – Patricia miała rację. Jesteśmy tylko pionkami.

– Nie docenicie siebie – stwierdził Toller. Wrócił do statku razem z przedstawicielami dystryktu bram. Dyplomata frant został z tyłu. Statek wystartował, kierując się w stronę terminalu.

– Przepraszam za wszystko – powiedział Olmy. – Musimy natychmiast udać się do punktu trzy do dziewiętej. Sprawy toczą się szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Wu Gi Me, i Chang I Hsing wynosili z namiotu pudła ze sprzętem i papierami. Żołnierze Berensona pomagali im załadować je na ciężarówkę. Od południowej kłapy wiał chłodny wiatr, poruszając płótnem namiotu. Ewakuacja odbywała się niemal w ciszy. Słysząc było tylko ciężkie oddechy, kroki i gardłowe pokrzykiwania Berensona.

Sześć metalowych krzyży wisiało trzy metry nad drogą. Czerwone plamy wydawały się obserwować każdy ruch Ziemian. Dużo wyżej, na osobliwości tkwiło coś długiego i czarnego, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od otworu wlotowego. Patrząc przez lornetkę, Wu ocenił, że obiekt ma sto pięćdziesiąt metrów długości. Zjawił się dziesięć minut temu, przyspieszając decyzję Berensona o ewakuacji.

Gdy ciężarówka była pełna, a namiot opróżniony, żołnierze wskoczyli do skrzyni ładunkowej, a Chińczycy zajęli dwa miejsca w kabinie. Berenson stanął na drabince. Pojazd z szarpnięciem ruszył w stronę rampy.

Gdy komora opustoszała, krzyże sformowały się w szyk i odleciały.

Z punktu obserwacyjnego na statku znajdującego się dwadzieścia pięć kilometrów w górze, duch posła Rosena Gardnera obserwował wydarzenia, przekazując relację bezpośrednio do Axis City.

W samym Axis City łączność między trzema rotującymi cylindrami a Central City była przerwana. Axis Nader zostało zupełnie odcięte. Duże sekcje Pamięci Miasta – zwykle aktywne przez całą dobę – były teraz ciche i odizolowane. Fala wróciła. Radykalni geszelowie potracali się w pośpiechu, żeby wykorzystać wiadomość o Olmym i pięciu gościach.

Posel Rosen Gardner we własnej osobie kilka godzin wcześniej udał się do Nexus, chcąc być w centrum wydarzeń rozgrywających się w Axis City. Stworzył cztery duchy, żeby zajęły się szczegółami rewolty.

Zaden z członków frakcji ani zwolenników nie nazywał tego rewoltą. Wobec działań radykalnych geszelów uważali to za konieczny manewr. Musieli bronić własnych praw. Niezależnie od nazwy sytuacja była skomplikowana.

Z Thistledown dochodziły niekompletne wieści, ale było to na razie najmniejsze ze zmartwień Gardnera.

Jego duchy znajdowały się w trzech cylindrach Axis i w biurach Komitetu Handlowego Drogi w punkcie dziewięć do szóstej. Zbrojni członkowie frakcji zajęli wszystkie strategiczne punkty w mieście i na Drodze. W Pamięci Miasta i głęboko w infrastrukturze Axis City ortodoksyjni naderycy i frakcja Korzeniowskiego umacniali zdobycze z ostatnich kilku godzin. Życzliwe osobowości z Pamięci Miasta, łącznie z jego ojcem, pilnowały sieci telekomunikacyjnych.

Wszystko odbywało się zgodnie z planem. A jednak poseł Gardner był bardziej nieszczęśliwy niż kiedykolwiek w ciągu dwustu lat życia. Nie dbał o oskarżenia prezydenta czy premiera. Wystarczająco często przeciwstawiał się im w przeszłości, żeby cieszyć się widokiem ich klęski.

Nieszczęśliwym czyniła go świadomość, że akcja pogwałciła wszystko, za czym opowiadał się w swoich wystąpieniach w Nexus, i wszystko, co głosił przed wyborami na posła w Nowej Ortodoksyjnej Naderyckiej dzielnicy Axis Nader. Czuł się dziwnie bezbronny, jakby jeden z jego własnych duchów mógł go ukarać za zdradę honoru i wiary.

Jego zwolennicy już czynili przygotowania do podróży w kierunku Thistledown. Musieli usuwać bariery. To wymagało czasu.

Pośrodku pustej izby Nexus, otoczony pierścieniami informacyjnymi, czekał na powrót prezydenta, senatorów i posłów omawiających teraz sprawę jartów. Gdyby próbowali wrócić do Axis City i nie zostali wpuszczeni, akcja Gardnera nie miałaby znaczenia.

Wtedy rewolta zaczęłaby się naprawdę.

Obok niego pojawił się duch prezydenta i czekał, aż poseł zwróci na niego uwagę. Gardner nie spieszył się. W końcu, zadowolony, że wszystko idzie dobrze – a zwłaszcza że powiódł się podział Pamięci Miasta – pozwolił duchowi przesłać pikty.

– Ma pan potrzebne poparcie? – zapytał duch. – Mój oryginał jest w drodze. Przewodniczący Ram Seija już wszczął postępowanie sądowe. Nie muszę mówić, że nie przestrzegał pan zwykłych procedur Nexus.

– Istotnie. Wykorzystałem niespodziewane wydarzenia i okazje. – Ostatnie stwierdzenie przybrało formę szeregu nacechowanych emocjami symboli: naderyckiego znaku domu składającego się z Ziemi otoczonej spiralą DNA; po nim pojawiły się ogień i zwierzęca czaszka oraz rekwizyt oznaczający zastrzeżenia. Na koniec poseł powiedział wprost: – Ser Ram Seija może po secesji podać mnie do sądu. In absentia. Poza tym my zamierzamy go osadzić za pogwałcenie procedury Nexus.

– Nic o tym nie słyszałem – stwierdził duch z niedowierzaniem.

– Był pan zajęty, panie prezydencie. – Pożałował swojego tonu. Prezydent ostatnio ciężko pracował i Gardner nie chciał sugerować, że zaniedbuje obowiązki. Wystarczyło już, że wykorzystali nieobecność prezydenta. – To było drobne naruszenie przepisów, ale postępuję zgodnie z prawem. Na czas rozpatrywania sprawy w sądzie ser Ram Seija zostaje zawieszony w obowiązkach. Zastąpi go senator Prescient Oyu. Zostawiła swojego ducha.

W tym momencie duch von Hamphuisa zaprotestował przeciwko powstaniu i próbował zebrać głosy potrzebne do usunięcia posła Gardnera. Gardner był na to przygotowany. Za radą ducha senator Prescient Oyu oświadczył, że głosowanie jest nieważne. Brakowało kworum senatorów i posłów we własnych ciałach, a poza tym wniosek złożył duch, a nie sam zainteresowany.

Walka jeszcze się nie skończyła. Tees von Hamphuis w ciągu kilku godzin mógł się zjawić osobiście w Axis City.

Statki w kształcie strzał patrolowały pierwsze cztery komory, latając na wysokości rury plazmowej. Inne, większe jednostki sunęły nisko nad ziemią, a krzyże widziało się wszędzie.

Hoffman doszła do wniosku, że wszelkie próby obrony są bezcelowe. Przeciwnicy przewyższali ich siłą i techniką.

– Nie ma wątpliwości, że są z korytarza? – zapytała Berensona. Stali pośrodku obozu przy ciężarówce, która miała ich ewakuować.

– Żadnych wątpliwości – oświadczył Berenson głosem ochryłym ze zdenerwowania.

– Więc możemy mieć nadzieję.

– Na co? – zapytała Polk. Włosy miała w straszliwym nieładzie. U pedentycznej Janice Polk było to wyraźną oznaką rozstroju nerwowego.

– Ze to ludzie. Nasi potomkowie.

Nie chcąc ryzykować rzezi, poleciła Gerhardtowi, by wydał swoim żołnierzom zakaz strzelania, jeśli nie zostaną bezpośrednio zaatakowani. Nie mogła oczywiście zabronić tego Rosjanom. Sami musieli ocenić sytuację.

Wallace i Polk zajmowały się łącznością. Rozmawiały przez radio z kilkoma Rosjanami, ale ci odmówili jakichkolwiek informacji. Co prawda, nie udało się im skontaktować z żadnym z oficerów. Rinskaya zaofiarował się, że dostarczy wiadomość rosyjskim dowódcom, jeśli to konieczne, nawet na piechotę. To było rycerski gest z jego strony, ale Hoffman odmówiła. Sytuacja i tak prawdopodobnie ulegnie zmianie, zanim Rosjanie dostaną wiadomość.

Nad obozem przeleciały trzy krzyże. Jeden zawrócił przy południowej klapie i zawisł nad osiedlem. Między Hoffman a Berensonem pojawiły się jasne błyski światła. Hoffman potknęła się i wpadła na Rinskayę. Berenson stał jak wryty, wytrzeszczając oczy.

I wtedy usłyszeli kobiecy głos:

– Nie grozi wam niebezpieczeństwo. Nie stanie się wam żadna krzywda. Wam również nie pozwolimy na przemoc. Wszystkie komory znajdują się pod jurysdykcją Axis City.

– Co robimy? Padamy na kolana? – zapytała Beryl Wallace.

Gerhardt zbliżył się do nich wolno, zerkając na wiszący w powietrzu krzyż.

– Boże, to straszne – powiedział szeptem do Hoffman. – Moi ludzie nie wiedzą, czy siusiać w portki, czy kłaniać się z pokorą.

– Przykro mi, że nie mogę im dodać otuchy – odparła Hoffman.

– Co to, do diabła, jest Axis City? – zapytał Berenson.

– Zaryzykuję domysł – powiedziała Hoffman. – Miasto w korytarzu, w którym mieszkają.

Rinskaya skwapliwie pokiwał głową.

– Więc porozmawiaj z nimi – zasugerował. Hoffman spojrzała w górę, mrużąc oczy.

– Nie zamierzamy robić niczego złego. Przedstawcie się, proszę.

– Jest pani przywódczynią tej grupy?

– Tak – potwierdziła Hoffman. Wskazała na Gerhardta. – On również jest dowódcą.

– Jesteście przywódcami wszystkich grup w tej komorze?

– Nie – odparła Hoffman. Nie chciała z własnej woli udzielać więcej informacji. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie tylko odpowiadać na pytania.

Nadleciały wolno dwa z większych statków i zajęły pozycje na północnym i południowym krańcu osiedla, dwadzieścia pięć metrów nad ziemią.

– Gwarantujecie bezpieczeństwo negocjatorowi? – zapytał głos z krzyża.

Hoffman rzuciła spojrzenie na Gerhardta.

– Załatw to – powiedziała. I zwracając się do krzyża, dodała głośniejszym głosem: – Tak. Dajcie nam trochę czasu. – Gerhardt skontaktował się przez radio z jednostkami we wszystkich komorach.

– Jesteście już gotowi? – zapytał głos.

– Tak – odpowiedziała Hoffman na znak Gerhardta. Jeden ze statków opuścił się łagodnie na ziemię niedaleko środka osiedla, wysuwając wspornik w chwili lądowania. Otworzył się luk na dziobie.

Wyszedł z niego mężczyzna w czarnym stroju i rozejrzał się szybko po osiedlu. Miał kasztanowe włosy ostrzyżone w trzy pasma przedzielone krótkim puszkciem i duże okrągłe uszy. Jego nos był pozbawiony nozdrzy.

– Nazywam się Santiago – powiedział zbliżając się. Wyciągnął rękę do Gerhardta, który stał najbliżej. Następnie przywitał się z Hoffman, lekko ściskając jej dłoń. – Przepraszam za wszelkie przykrości. Polecono mi powiedzieć, że jesteście honorowymi gośćmi Axis City – oznajmił. – Niestety nie możecie zostać w Thistledown.

– Nie mamy dokąd pójść – powiedziała Hoffman, czując większą bezradność, niż kiedy opuszczała Ziemię.

– Jesteście pod moją opieką – uspokoił ją Santiago. – Musimy zebrać wszystkich: badaczy, żołnierzy, ludzi z otworów wlotowych, Rosjan. I to szybko.

Mirski wysiadł ze statku i zamrugał w jasnym świetle rury plazmowej. Ciche i ciemne wnętrze statku stanowiło ostry kontrast z jaśniejącą blaskiem siódmą komorą. Po raz pierwszy spojrzał w głąb korytarza i zobaczył na własne oczy to, o czym do tej pory tylko słyszał. Miał tak mało czasu. Poświęcał bibliotece tylko chwile wolne od obowiązków dowódcy...

Za nim wysiadło pięciu innych Rosjan. Wszyscy byli dezertkami i ukrywali się w lasach czwartej komory. Oni również zaczęli mrugać i zaciskać powieki. I spojrzeli ze strachem na korytarz, uświadamiając sobie jego ogrom.

Kilometr dalej obok tunelu metra zebrały się setki ludzi. Mirski stwierdził, że to w większości personel NATO. Więc ich również ewakuowano. Oczyszczano Ziemiaka, nieistotne teraz z jakiego powodu.

Rosjanin spotkany w lasach dotknął ramienia Mirskiego i wskazał na wschód. Setki rosyjskich żołnierzy siedziały po turecku w czworoboku otoczonym ze wszystkich stron przez co najmniej dwanaście krzyży i trzech ludzi ubranych podobnie jak kobieta, która wzięła go do niewoli.

W pobliżu południowej klapy wyładowały kolejne statki w kształcie spłaszczonej strzały. Wysypali się z nich ludzie. Mirski zaczął się zastanawiać, czy wszyscy zostaną zabici. Czy to miało dla niego znaczenie? Umrzeć jeszcze raz? Doszedł do wniosku, że tak.

Nadal marzył o podróży do gwiazd. Teraz szansa na spełnienie tego marzenia przepadła, ale przynajmniej upewnił się, że naprawdę jest Pawłem Mirskim. Nadal miał związek z pięcioletnim chłopcem, który wpatrywał się w gwiazdy nad Kijowem. To wspomnienie było oryginalne, a nie zrekonstruowane. Strzał Wielogorskiego nie pozbawił go najważniejszego doświadczenia.

Zastanawiał się leniwie, czy Wielogorski i pozostali oficerowie polityczni znajdują się wśród tłumów jeńców. Co mogliby mu teraz zrobić? Nic.

„Tylko Rosjanin”, pomyślał, „potrafi zachować spokój w takiej sytuacji”.

Senator Prescient Oyu zjawiała się w kurorcie i poinformowała Yatesa i Olmy'ego, że frantowie zamierzają zamknąć bramę, co było procedurą stosowaną w razie sytuacji krytycznych na Drodze.

Olmy zadziałał szybko. Yates poprosił o mały obronny statek dla siebie i gości. Prośbę

odrzucono, ale Yates wykorzystał swoją władzę po tej stronie bramy, zawłaszczając jeden z dwóch statków Axis zostawionych na lądowisku. Naderyccy homomorfowie stanowiący ochronę bramy postanowili przestrzegać prawa, a nie instrukcji Tollera, i dali drugiemu odzwiercielnemu to, o co prosił, oraz dwóch strażników i robota.

Przelecieli przez bramę i w pobliżu osi natknęli się na trzy statki, które zostały odłączone od osobliwości, żeby przepuścić statek Tollera. Jeden z nich był pusty. Opuszczony przez naderycką załogę zaledwie kilka minut temu, znajdował się na obszarze kontrolnym trasy, podtrzymywany przez pola trakcyjne. Trzymając się litery prawa, załoga oddała statek do przeglądu wymaganego po stu tysiącu godzin lotu.

I tym razem autorytet Yatesa okazał się wystarczający.

Wsiedli na pokład i nanizali statek na osobliwość. Kształt dziobu zmienił się na chwilę z O na U, a następnie statek zamknął się wokół osobliwości. Przyspieszyli, kierując się do punktu jeden i trzy do dziewiątej.

– Ma pan poparcie, prawda? – zapytał Lanier Olmy’ego. Obserwowali Drogę zmieniającą się w czarno – złoty pas.

– Większe, niż myślicie – odparł Olmy.

– Radykalni Geszelowie przez całe dekady balansowali na krawędzi – powiedziała senator Oyu. – Nie byli złymi przywódcami, ale nie potrafili zrealizować swoich planów. I spychali ortodoskjnych naderytów na drugi plan. Teraz widzicie rezultaty.

– Jesteście wszyscy ortodoksyjnymi naderytami? – zapytała Patricia.

– Nie – odparł Olmy. – Dawno temu odrzuciłem to dziedzictwo, a ser Yates i Oyu zostali wychowani jako Geszelowie.

– Więc dlaczego to robicie?

– Ponieważ obie strony mogą osiągnąć swoje cele, jeśli zajmą się tym rozsądni ludzie – powiedziała senator Oyu.

Statek był przystosowany do dużych przyspieszeń. Lecieli ze średnią prędkością czterech tysięcy dziewięciuset kilometrów na sekundę i dotarli do pierwszej stacji obrony w punkcie pięć do ósmej w ciągu dwudziestu ośmiu godzin.

Stacje były rozlokowane w trzech punktach Drogi. Jej powierzchnia na odcinku stu kilometrów pokrywała najeżona stanowiskami broni i generatorami pola warstwa czarnego materiału pięćdziesięciometrowej grubości.

Na wszystkich trzech stacjach załogi zażądały od nich pełnomocnictw. Yates przedstawił się, a ponieważ personel nie miał innych rozkazów, przepuścił ich. Mechaniczne pojazdy obronne oczyszczały dla nich Drogę na stu tysiącach kilometrów za każdą stacją, a potem wracały na stanowiska na osobliwości, wypatrując jartów.

Po pięćdziesięciu godzinach lotu statek pilotowany przez Olmy’ego zwolnił i zbliżył się do granicy atmosfery w punkcie jeden i trzy do dziewiątej, przechodząc przez otwór na osi z szybkością zaledwie kilkudziesięciu metrów na sekundę. Widok po drugiej stronie bariery był nieoczekiwany i piękny.

Jak okiem sięgnąć Droga przypominała czwartą komorę Thistledown. Była nawet jeszcze bardziej zielona i bujna. Nad zalesionymi wzgórzami tworzącymi paletę zieleni i złocistości leniwie płynęły chmury. Rzeki wiły się jasnymi ścieżkami przez wzgórza, odbijając światło plazmowe, tak że wyglądały jak iskrzące się srebro.

Patricia z rozkrzyżowanymi ramionami poszybowała na dziób statku. Prescient Oyu wyjaśniła jej, że ten odcinek Drogi przygotowano z myślą o ewentualnym osadnictwie. Zamierzano w ten

sposób złagodzić napięcia wynikające z przeludnienia Axis City; mimo ogromnej pojemności zaczynało brakować miejsca w Pamięci Miasta.

Droga w całości była zarezerwowana dla handlu, choć kilka mniejszych odcinków zamieszkiwali ludzie. Jej część w punkcie jeden i trzy do dziewiątej miała być przeznaczona dla homomorfów i ich szczególnych potrzeb, czyli przede wszystkim dla ortodoksyjnych naderytów.

Rok wcześniej zasiedlenie tego odcinka zostało opóźnione przez wtargnięcie jartów za punkt dwa do dziewiątej. Zwłoka przedłużała się. Jartowie i ich sprzymierzeńcy wzrosli w siłę i wyglądało na to, że mogą się przedrzeć do punktu jeden i trzy do dziewiątej. Mimo to ludzie nie wycofali się. Nie zasiedlili tej części Drogi, ale prowadzili inną działalność, między innymi otworzyli bramę.

Obszary zielone ciągnęły się tylko parę tysięcy kilometrów. Statek przeleciał nad budynkiem terminalu przykrywającym bramę, przez którą sprowadzono glebę i atmosferę. Znowu przyspieszali, lecąc nad piaszczystym, jałowym terytorium podobnym do odcinka tuż za siódmą komorą, a następnie przez kolejną granicę atmosfery.

Na kolejnym odcinku nie prowadzono handlu. Nie otwierano kolejnych bram. Z wyjątkiem trzech posterunków obrony Droga była pozbawiona szczególnych cech, brązową rurą ciągnącą się milion kilometrów. Patricia zastanawiała się nad geometrią tej części korytarza. Zagęszczenia czasoprzestrzeni powinny mieć inną konfigurację, gdyż nie było tu bram powodujących ich nakładanie się, ale na pewno istniały. Prawdę mówiąc, ten odcinek Drogi mógł być idealny dla jej poszukiwań...

– Chciałabyś sprawdzić tutaj swoje teorie? – zapytał ją Olmy cicho. Odwróciła się zaskoczona, i skinęła głową.

– Ser Yates i ja dyskutowaliśmy o nich – powiedział Olmy. – Uważamy, że powinnaś je przedstawić ser Ry Oyu.

Patricia podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Czy to ma coś wspólnego z Korzeniowskim? – zapytała, doszedłszy do wniosku, że równie dobrze może teraz wypytać Olmy'ego.

Olmy konspiracyjnie uniósł palec do ust.

– Jeśli chcesz sprawdzić swoje teorie... może. Ale nie rozmawiajmy o tym na razie.

W punkcie jeden i trzy do dziewiątej przekroczyli następną barierę. Za nią pod grubą warstwą atmosfery ciągnął się zaledwie sześćdziesięciokilometrowy odcinek aksamitnej zieleni. Cztery małe budynki terminalu stały w odległości ponad stu metrów od siebie wokół jeszcze nie otworzonego kręgu bram.

Z białego lądowiska uniósł się dysk mniejszy od tego, który przewiózł ich do terminalu na Timbl, i zbliżył się do statku.

Patricia uświadomiła sobie, że z całej siły zaciska zęby. Zmusiła się do spokoju. Co zamierzali Olmy i odzwierny? Co może im zaoferować w zamian za przysługę?

Wsiedli do małego dysku, który najwyraźniej miał charakter tylko użytkowy. Dolna połowa była nieprzezroczysta, a jedyne oświetlenie stanowił blask pól trakcyjnych.

W spodniej części dysku pojawił się kolisty otwór i pola trakcyjne opuściły ich łagodnie na lądowisko. Olmy wysiadł jako ostatni. Prescient Oyu poprowadziła ich w stronę terminalu.

– Możemy iść na piechotę – powiedziała. – Najlepiej będzie od razu spotkać się z ser Ry Oyu.

Przecięli białą płaszczyznę i wyszli na gęstą trawę o ostrych źdźbłach. W parku rosły w równych odstępach od siebie dęby i klony. Widoczna za drzewami piramida terminalu miała tylko

cztery stopnie skrócone w stosunku do siebie.

Wokół terenów terminalu na wysokości człowieka ciągnęły się na długości kilku kilometrów cztery rury trakcyjne o średnicy trzech metrów każda. Wewnątrz, oblane słabą fioletową poświatą, poruszały się w niczym nie przypominające ludzkich postacie.

– Nasi klienci i sojusznicy – wyjaśnił Olmy. Wskazał na jednego osobnika, walec na ośmiu nogach. Okrągłą „głowę” otaczały pokryte meszkiem wyrostki podobne do jelenich rogów. – Talsit – powiedział. – Forma trzeciorzędowa. Bardzo stara rasa. Ich historia liczy sobie co najmniej dwa miliardy ziemskich lat. Wkrótce poznacie pewnego talsita. Jest pomocnikiem głównego odźwiernego.

Terminal był zaledwie szkieletem budynku o wysokości około stu metrów i szerokości stu pięćdziesięciu u podstawy. W środku, nad otworem o gładkich krawędziach i średnicy pięćdziesięciu metrów wznosiło się stalowoszare rusztowanie. W połowie jego wysokości, w miejscu przecinania się pól trakcyjnych, wisiał przedmiot maleńki w porównaniu z całą konstrukcją, wielkości trzech dłoni. Patricii przypominał starodawny japoński podglówek z wgłębieniem na szyję. Był osadzony na podstawie rozwidlonej jak kierownica roweru. Stała obok rusztowania, żeby mu się przyjrzeć, instynktownie odgadując, co to jest.

Lanier doszedł do wniosku, że przedmiot wygląda jak różdżka z doczepionym talerzem radaru.

– Co to jest? – zapytała Patricia cienkim głosem.

– Tego właśnie używa odźwierny do otwierania bram – odpowiedział Olmy.

Zadrzała.

– Jak to się nazywa?

– Obojczyk. Istnieją tylko trzy. Tym opiekuje się Ry Oyu.

– Gdzie jest pański? – zapytała Patricia Rennslaera Yatesa.

– Nieczynny – odparł Yates. – Każdy jest dostrojony do odźwiernego. Gdy odźwierny przestaje pełnić oficjalną funkcję, obojczyk zostaje zdezaktywowany.

Niechętnie odwróciła wzrok od urządzenia i poszła za resztą do zachodniego skrzydła terminalu. Tam, pod nie ukończoną kopułą, obok kolumny danych stał wysoki, chudy mężczyzna o krótko obciętych rudych włosach. Patricia spojrzała na niego.

– Przyjaciele – oświadczyła Prescient Oyu – to jest mój ojciec, ser Ry Oyu. – Główny odźwierny bram uklonił się Patricii i Lanierowi.

– A to jest Patricia Louisa Vasquez – powiedział Yates, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Nauczyłem się starego języka tylko po to, by porozmawiać z tą kobietą – oznajmił Ry Oyu. – A także starych zwyczajów i kultury. A ona patrzy na mnie w taki dziwny sposób!

Patricia wyprostowała się i rozchmurzyła twarz.

– Spodziewaliście się kogoś bardziej imponującego, prawda? – powiedział Ry Oyu. – Mam nadzieję, że nie Czarodzieja z Krainy Oz. – Wyciągnął rękę, mrużąc oczy w uśmiechu. – Jestem zaszczycony.

Patricia uściśniła ją, ścigając czarne brwi.

Ry Oyu poklepał po ojcowsku jej dłoń i rzucił niespokojne spojrzenie na Olmy'ego.

– Więc spiskowcy zebrali się. Moi badacze są teraz na pierwszym stanowisku. Dołączą do nas za kilka godzin. Nie mają pojęcia, co się stało. Nie wiem, jak im to wyjaśnię. Człowiek z moją pozycją zamieszany w intrygi. Panno Vasquez...

– Wolę Patricia – powiedziała. Głos nadal miała stłumiony.

– Patricio, domyślasz się, po co cię tutaj sprowadziliśmy?

– Trochę – odparła Patricia.

– Tak? Powiedz nam.

– Chodzi o moją pracę na temat korytarza... Drogi. Ma to jakiś związek z Konradem Korzeniowskim.

– Bardzo dobrze. Jak ona to odkryła, Olmy?

– Wynająłem włamywacza, żeby jej złożył wizytę. Patricia popatrzyła na niego wstrząśnięta. W jej oczach pojawił się gniew.

– Rozumiem. I co?

– Wyjawił jej pewne fakty.

– To dość ryzykowne, nie sadsisz?

– Nie – odparł Olmy. – Przecież ona ma Tajemnicę.

– Istotnie. – Ry Oyu podszedł do Patricii. – Wiesz, o jakiej Tajemnicy mówimy?

Patricia potrząsnęła głową.

– Nie.

– Wiesz, jakie to dla nas ważne? Nie, oczywiście, że nie. Za dużo pytań...

– Olmy wie, gdzie znajduje się kompletny zapis osobowości Korzeniowskiego – rzuciła Patricia. Był to tylko domysł, ale nie chciała wyjść na zupełną ignorantkę.

– Prawdę mówiąc, wątpię w to – powiedział Ry Oyu. – Nie ma kompletnego zapisu. Od czasu zabójstwa.

Olmy opowiedział jej historię Konrada Korzeniowskiego, łącząc w całość strzępy informacji i fakty, które już знаła. Nazywany Inżynierem, zaprojektował inercyjny system tłumiący dla Thistledown i nadzorował konserwację napędu Beckmanna dokonywaną w czasie lotu. Wyszedłszy od teorii inercyjnego tłumienia, opracował następnie plany maszynierii szóstej komory, która stworzyła Drogę.

Zajął mu to trzydzieści lat. Projekt został zrealizowany dzięki współpracy między składającym się głównie z geszelów rządem Thistledown i ortodoksyjnymi naderytami mieszkającymi w Aleksandrii. Sam Korzeniowski, podobnie jak Olmy, był naderytą z urodzenia i przysiągł, że spełni ich pragnienia. Naderyci zaś żądali, by stworzenie Drogi nie doprowadziło do zmiany pierwotnego celu, jakim było znalezienie podobnej do Ziemi planety okrążającej odległą gwiazdę Epsilon Eridani. Uważali, że główna misja zasiedlenia odległych światów Ziemi jest ich świętym obowiązkiem, jedynym możliwym do przyjęcia powodem podróży poza Układ Słoneczny.

Korzeniowski nie wziął jednak pod uwagę wielu rzeczy. Po pierwsze, nie wiedział, że połączenie Drogi z siódmą komorą Thistledown spowoduje wyrzucenie asteroidu do innego wszechświata. Po drugie, nie przewidział, że otwarcie eksperymentalnych bram, dokonane zdalnie jeszcze przed połączeniem, pozwoli jartom zająć Drogę i da im wieki na umocnienie pozycji.

W następstwie skandalu Korzeniowski wycofał się do Pamięci Miasta Thistledown wkrótce po pierwszych wojnach z jartami. Nawet tam go nękano. W końcu radykalni geszelowie, uznawszy go za naderyckiego zdrajcę, doprowadzili do wykasowania zapisów jego osobowości. W ten sposób popełnili morderstwo.

– Więc on nie żyje? – zapytała Patricia, zdezorientowana.

– Nie – odparł Olmy. – Z Pamięci Miasta nadzorował budowę Axis City. W tym celu umieścił w różnych miejscach cząstkowe osobowości. Najwartościowsze duchy zostały uratowane przez kolegów-inżynierów i powierzone pewnej kobiecie, która umieściła je w sekretnej pamięci. Kobieta ta umarła podczas powstania w Aleksandrii, wiek po tym, jak zamordowano Korzeniowskiego. Była ortodoksyjną naderytką, a w tamtych czasach sekta nie zgadzała się na implanty. Jej śmierć była ostateczna. Wiek później ostatnich naderytów usunięto z Aleksandrii i przez

jakiś czas przetrzymywano w Thistledown City. Tam się urodziłem. A ponieważ eksperymentowałem z pozostawionymi prywatnymi bankami pamięci w naszym budynku, odkryłem osobowości cząstkowe, czyli partiale Korzeniowskiego. Byłem wtedy bardzo młody. Miałem niewiele czasu, żeby poznać Inżyniera. Ale wtedy...

Olmy zerknął na ser Oyu. Przez stulecia ukrywał swój sekret i nie miał ochoty wyjawić go nawet teraz, kiedy nadeszła właściwa pora. Ser Oyu skinął zachęcająco głową.

– Wtedy dowiedziałem się, że Inżynier starał się wynagrodzić ludziom krzywdę, jaką im mimowolnie wyrządził. Po wojnach z jartami rządzący Hexamonem geszelowie doszli do wniosku, że nie ma potrzeby lecieć na Epsilon Eridani. Po prostu uznali, że mają większe możliwości osiedlania się i eksploracji na Drodze. Mieli rację, ale to nie satysfakcjonowało ortodoksyjnych naderytów. Utracili nie tylko cel w życiu, ale Ziemię, swój rodzinny świat. Tak więc, przed wycofaniem się Korzeniowski w tajemnicy przeprogramował systemy sterujące Thistledown. Statek odszukał Układ Słoneczny i rozpoczął podróż powrotną.

– Nie rozumiem, jak mogę pomóc – stwierdziła Patricia.

– Partiale Korzeniowskiego po połączeniu się niemal dorównują oryginałowi – powiedział ser Oyu. – Brakuje nam tylko ostatniego elementu, Tajemnicy, żeby go przywrócić do życia. Mamy nadzieję odpłacić mu w ten sposób za to, co dla nas zrobił. Chcemy, by zobaczył rezultat swojej pracy. Patricia spojrzała na Olmy'ego i Oyu, a potem na Yatesa.

– A co wy nam dacie? – zapytała.

– Twoi koledzy będą mogli wrócić na Ziemię albo razem z geszelami polecieć w głąb Drogi. Ty zaś będziesz mogła spełnić swoje marzenie.

– Moje marzenie?

Ry Oyu podszedł do czarnej szafki stojącej pod lśniącą kopułą. Otworzył ją i wyjął małe perłowobiałe pudełko. Wróciwszy podał je Patricii i kazał otworzyć.

Uniosła wieczko. W środku na zielonym aksamicie leżała miniaturowa wersja urzędnika, które zwisało z rusztowania. Yates spojrział na nią i westchnął.

– Proponujemy ci interes, wymianę, na której nic nie stracisz – powiedział Ry Oyu. – Pozwolisz nam skopiować swoją Tajemnicę, żebyśmy mogli uzupełnić zapis osobowości Inżyniera, a my pozwolimy ci poszukać domu.

– Twierdzicie, że moja dusza i Korzeniowskiego są identyczne? – zapytała Patricia.

– „Dusza” to nieprecyzyjne określenie – stwierdził odźwierny. – „Tajemnica” lepiej oddaje istotę rzeczy. Gdy z osobowości wyodrębni się pamięć, sposób myślenia, zdolności, ich suma nie utworzy całości. Istnieje superwzór, który nadaje ostateczny rys całej psychice i który można utracić nawet po zebraniu razem wszystkich fragmentów. To właśnie nazywamy Tajemnicą. Nigdy nie potrafiliśmy jej zsyntetyzować. Można ją przenieść tylko poprzez nałożenie wzorca osobowości jednej osoby na połączone części osobowości drugiej. To, co już jest w tej drugiej osobie obecne, zostaje odrzucone. To, czego nie ma, czyli Tajemnica, zostaje zachowane. To dar, który możesz dać nam... i Korzeniowskiemu.

Patricia przestraszona chwyciła Laniera za rękę. To było coś nowego, mistycznego i niepokojącego. Przez jakiś czas sądziła, że nie ma nic niemożliwego dla mieszkańców Drogi, ale myliła się. Nie potrafili rozwiązać najważniejszego problemu.

– Moglibyście wziąć to ode mnie siłą – stwierdziła. – Dlaczego próbujecie mnie przekonać?

– W tych okolicznościach rozwiązanie z użyciem przemocy nie wchodzi w grę – powiedział Ry Oyu. – Albo dasz nam Tajemnicę dobrowolnie, albo wcale.

– Dlaczego chcecie przywrócić Inżyniera do życia? Czy nie wypełnił już swojego zadania?

– To sprawa honoru. – Olmy uśmiechnął się. – Myślisz, że gdyby Rycerze Okrągłego Stołu mogli przywrócić króla Artura do życia, nie zrobiliby tego? Inżynier musi zobaczyć, że jego plan się urzeczywistnił.

– Ale nie tak, jak się spodziewał.

– Istotnie – przyznał Olmy.

Patricia spojrzała na swoje splecione dłonie.

– Czy coś stracę?

– Nie – odpowiedział cierpliwie odźwierny.

– I w zamian będę mogła użyć tego... – Wskazała na miniaturowe urządzenie. – Dlaczego jest takie małe?

– Zostało zdezaktywowane – wyjaśnił Yates.

– To pańskie? Skinął głową.

– Yates przeniesie jego moc na ciebie, a ty w czasie ceremonii nauczysz się nim posługiwać – powiedział Ry Oyu. – Będziesz stała przy mnie.

– Czy Korzeniowski jest tutaj?

– Jest we mnie – powiedział Olmy, wskazując na swoją głowę.

Patricia spojrzała na Laniera. Miała minę małej dziewczynki niepewnej, czy mówią jej zdumiewające kłamstwa, czy prawdę, w którą trudno uwierzyć. Przeniosła wzrok na Olmy'ego.

– Jest w twoim implancie? Olmy skinął głową.

– Mam dodatkowe implanty.

– W waszym mieście dzieje się coś poważnego, prawda? – zapytała Patricia.

– Bardzo poważnego. Twoi towarzysze w Thistledown powinni już coś o tym wiedzieć.

– To dlatego prezydent nie mógł z nami zostać?

– Tak.

– Musimy odpocząć – przerwał im Lanier.

– Nie spaliśmy od wielu godzin...

– Macie zamiar wprowadzić Axis City na orbitę wokół Ziemi? Zniszczyć Thistledown?

– Niezupełnie – odparł Ry Oyu. – Ale dość na razie. Pan Lanier ma rację. Gdy odpoczniecie, będziemy kontynuować rozmowę o interesach. Chyba można to tak nazwać.

Patricia zmrużyła oczy i powoli potrząsnęła głową. – Nie wiem, o czym chcecie ze mną rozmawiać. W porównaniu z wami jestem prymitywna...

– Jeśli nie zdołaliśmy cię przekonać o twojej wartości i znaczeniu, to znaczy, że nie zrobiliśmy wszystkiego, co należało – stwierdził Olmy. – Byłaś natchnieniem Korzeniowskiego. Położyłaś teoretyczne fundamenty pod jego prace na temat Drogi. To dlatego uważamy, że możesz podzielić się z nim Tajemnicą. Był twoim najlepszym studentem.

– Byłaś jego nauczycielką, Patricio.

Mirski szukał w tłumie Pogodina, Annenkowskiego i Garabediana, zerkając od czasu do czasu na krzyże przelatujące w górze. Żołnierze, którzy byli niegdyś pod jego dowództwem, łypali na niego ponuro, usuwając się z drogi. Uniósł się na czubkach palców i dostrzegł czerwoną twarz i kędzierzawę, krótko obcięte włosy Pletniewa. Podszedł do niego od tyłu i położył mu dłoń na ramieniu. Były dowódca transportowca stracił rękę, potem odwrócił się i zobaczył Mirskiego.

– Gdzie są inni? – zapytał Mirski.

– Kto? Zabójcy? Zostawiłeś nas z piekielnym bałaganem, towarzyszu generale. – Głos Pletniewa był ochryply, a ton przestraszony i gniewny jednocześnie.

– Pogodin, Annenkowski, Garabedian – ponaglił go Mirski.

– Nie widziałem ich, odkąd to się zaczęło – powiedział Pletniew. – Teraz zostaw mnie w spokoju.

– Byłeś z nimi – upierał się Mirski. – Co się stało?

– Jak to, co się stało?

– Z Wielogorskim i pozostałymi oficerami politycznymi. Pletniew podejrzliwie spojrział w niebo, szukając krzyży.

– Nie żyją, towarzyszu generale. Nie było mnie przy tym, ale Garabedian mi opowiedział. Zostali zastrzeleni. – Odwrócił się od Mirskiego, mrużąc do siebie. – W Bogu nadzieja, że te psy gończe nic nie wiedzą.

W górze pojawiły się krzyże, powodując, że wszystkie głowy odwróciły się jak łan pszenicy na wietrze. Mirski poszedł dalej z rękami w kieszeniach, przeciskając się przez tłum mężczyzn. Na twarzy miał wyraz skupienia.

„Podobnie musiało być podczas ewakuacji ostatnich mieszkańców Kamienia”, pomyślała Hoffman. Statek za statkiem odlatujące z kolejnymi grupami na pokładzie w stronę otworu wlotowego i ogromnego plazmolotu, który tam czekał, według słów Berensona. Była zadowolona, że Wallace i Polk są w jej grupie. Nauczyła się na nich polegać. Ann gdzieś się zapodziała. Prawdopodobnie przebywała jeszcze w pierwszej komorze albo już odleciała.

Kobieta w czerni opiekowała się czterystuosobową grupą z wprawą pasterza strzegącego stada. Jej psami były chromowane krzyże, które nikomu nie pozwalały się oddalać. Hoffman zastanawiała się, czy użyto wobec nich urządzeń zmieniających nastrój. Czuła się spokojna, odprężona, wręcz wypoczęta. Prawdę mówiąc, lepiej niż w ostatnich tygodniach.

Niemal połowę jej grupy stanowili Rosjanie. Na mocy milczącego porozumienia trzymali się z dala od Amerykanów, chociaż statki zabierały ich razem. Nigdzie nie widziała Mirskiego ani oficerów, którzy po nim objęli dowództwo.

Nadeszła jej kolej. Kobieta kierująca ewakuacją wskazywała kolejno na osoby, które mają wystąpić do przodu, aż zebrało się ich dwadzieścia. W tym czasie wylądował statek w kształcie spłaszczonej strzały.

Hoffman wzięła głęboki oddech, kiedy ją wywołano. W pewnym sensie poczuła ulgę. Zniknęła wszelka odpowiedzialność. Stwierdziła, że zadziwiająco łatwo przychodzi jej rezygnacja z wszystkiego, co robiła do tej pory.

Potulnie wsiadła na pokład razem ze swoją grupą.

Patricia i Lanier zostali sami w małym pokoju w południowym krańcu terminalu, żeby się przespać. Piktora nadał pomieszczeniu taki sam wystrój jak w apartamencie Patricii w Axis City, ale Lanier nie czuł się tu dobrze. Był zły i zdezorientowany.

– Nie masz pojęcia, o czym oni mówią – powiedział jej, kiedy usiedli na sofie. – Zamierzają ukraść ci duszę. Nie obchodzi mnie, co twierdzą. Ich wyjaśnienia brzmią podejrzanie, nie sadsisz?

Patricia wpatrywała się nieruchomo w fałszywe okno z widokiem na sosny i błękitne niebo.

– Przypuszczam, że mogliby to zrobić, gdyby chcieli – i odparła.

– Jasne, że mogliby. Nic o nich nie wiemy. Manipulowali nami, odkąd tutaj przyjechaliśmy.

– Próbowali nas wyedukować. Wiemy znacznie więcej niż na początku. To, co mówili Olmy i Ram Kikura, ma sens.

Lanier energicznie potrząsnął głową. Nie przyjmował tego do wiadomości. Tlił się w nim gniew, którego nie potrafił stłumić.

– Nie dają ci wyboru...

– Ależ dają – zaproponowała Patricia. – Nie wezmą tego ode mnie, jeśli nie wyrażę zgody.

– Bzdury – wybuchnął Lanier. Wstał i wyciągnął rękę. Wiedział, że pomieszczenie jest niewielkie. Nie mógł jednak namacać ściany. Iluzja była zupełna, nawet co do odległości. – Wszystko tutaj to oszustwo. Nic nie jest prawdziwe. To byłoby wytłumaczenie. Dlaczego pokazują nam więcej, niż muszą?

– Oni nie są... – Próbowwała znaleźć właściwe słowo. – Nie są złymi ludźmi.

– Wierzysz w tę bajkę o nauczycielce, prekursorce?

– Dlaczego nie? – Patricia wyciągnęła do niego rękę. – Widziałam niektóre napisane przez siebie artykuły. – Zacisnęła powieki i przyłożyła dłoń do policzka. – Prawdopodobnie nigdy ich nie napiszę... lecz ktoś inny, kto jest mną. One dowodzą, że to wszystko jest prawdą. Od lat to tkwiło w mojej głowie, jeszcze nie uformowane. Od dawna wiedziałam, że jestem jedyną osobą w naszym świecie, która poważnie myśli o takich rzeczach. Tak więc, wierzę im. – Uśmiechnęła się do niego. – Judith Hoffman uznała, że jestem wyjątkowa. Zgadzałeś się z tym.

– Lubisz być bohaterką? O to chodzi? – „Za ostro ją traktujesz”, pomyślał. „Uspokój się. I dlaczego jesteś zły?”

– Nie – powiedziała cicho. – Naprawdę nie dbam o to. Niewiele rzeczy mnie teraz obchodzi.

Lanier puścił jej rękę i obszedł stół, zerkając na nią kątem oka.

– Po prostu chcesz jechać do domu. Skinęła głową.

– Nie możesz wrócić do domu.

– Mogę.

– Jak?

– Znasz zasadę, Garry.

– Chcę poznać szczegóły. Jak odnajdziesz dom?

– Jeśli nauczą mnie posługiwać się urządzeniem, wrócę do pustej części korytarza, przez którą przelatywaliśmy, i przeszukam miejsce zagęszczenia czasoprzestrzeni. Dla nich zagęszczenia geometrii są bezużytecznymi śmietnikami. Ale tam właśnie znajdę drogę do domu.

– Nie jest to zbyt szczegółowy plan, Patricio.

– Nauczą mnie – powiedziała, patrząc na niego dużymi czarnymi oczami. Już nie były kocie, lecz okrągłe i spokojne.

– A co wezmą?

– Nic! – Odchyliła głowę na oparcie sofy. – Skopiują, nie wezmą.

– Jak możesz im ufać? Nie odpowiedziała.

– Wcale nie potrzebujesz czasu, żeby to przemyśleć, prawda?

– Rzeczywiście – przyznała się.

– Chryste.

Wstała i objęła go mocno, wtulając twarz w jego ramię.

– Nie wiem, czym dla siebie jesteście, ale muszę ci podziękować.

Wziął w ręce jej głowę i spojrzał w górę z wyrazem bólu w oczach.

– Ja również nie wiem.

– Już myślałam, że nie jestem człowiekiem.

– Ty... – Nie dokończył.

– Pod pewnymi względami jestem bardziej podobna do nich niż do was. Rozumiesz?

– Nie.

– Przypuszczam, że to dlatego moja Tajemnica jest odpowiednia dla Korzeniowskiego. Miał podobne myśli i podobne cele. Chciał zabrać swoich ludzi do domu.

Lanier potrząsnął głową, nie zgadzając się.

– Nie zamierzają mnie skrzywdzić. Zamierzają mnie uczyć. Muszę powiedzieć „tak”.

– Szantażują cię.

Gwałtownie uniosła głowę, marszcząc brwi.

– Nie – rzuciła z roztargnieniem. – Nie bardziej niż ja ich szantażuję. Garry, właśnie o czymś pomyślałam, dlaczego nie wcześniej? Z jakiego powodu otwierają kolejną bramę?

– Nie wiem – powiedział Lanier szybko. Jej pytanie wydało mu się bez sensu.

– Zapytam ich. Roześmiał się.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Sprowadzili mnie tutaj, żebym była świadkiem ceremonii. To oczywiście nie jest główny powód.

Zastanawiał się przez chwilę. Mimo wątpliwości, obaw i podejrzeń musiał przyznać... Że chciałby to zobaczyć.

– Myślę, że powinniśmy się przespać – stwierdziła Patricia.

Kochali się, lecz Lanier zorientował się, że Patricia już tak bardzo tego nie potrzebuje. Miała przed sobą cel. Wszystko inne, jak pokój i łóżko, na którym leżeli, było dekoracją.

Poczuł się mało ważny. Przyszło mu do głowy, że Patricia zmieniła się od przybycia na Kamień.

– Jestem człowiekiem? – zapytała.

– Chyba tak – odparł, na próżno starając się zapanować na drżeniem głosu.

Zanim statek van Hamphuisa dotarł do miejsca zajmowanego do tej pory przez Axis City, wszystkie bramy na Drodze zostały zamknięte, a pasy między nimi oczyszczone. Sytuacja była bezprecedensowa w historii Drogi.

Axis City wyruszyło w drogę. Pod kierunkiem posła Rosena Gardnera opanowano wszystkie siłownie miasta. Osobom, które zginęły, wyjęto implanty. Okazało się, że jest ich sto osiemdziesiąt. Liczba ofiar wstrząsnęła Gardnerem, na szczęście ich śmierć nie była nieodwracalna. Mając trasę pod kontrolą, przyspieszył Axis City, kierując je na południe w stronę Thistledown. Podróż zabrała szesnaście godzin. Statek van Hamphuisa gonił ich, ale prezydent niewiele mógł zdziałać.

W szóstej komorze Thistledown czterej członkowie frakcji Korzeniowskiego popełnili największą zbrodnię – majstrowali przy maszynierii Drogi. Nie dokonali dużych zmian, ale karą

nawet za drobne wykroczenia było pozbawienie ciała i całkowite wykasowanie zapisów osobowości. Gardner wiedział, że od tego momentu nie ma już powrotu.

Trasa nie musiała sięgać poza północną granicę siódmej komory. Przedłużono ją do otworu wlotowego wyłącznie dla wygody podczas ostatnich etapów ewakuacji Thistledown i budowy Axis City. Teraz maszyna miała skrócić trasę o dwadzieścia kilometrów.

Cztery trzyosobowe zespoły pojechały na powierzchnię asteroidu windami, których Ziemianie nie odkryli. Szyby wychodziły bezpośrednio na ukryte urządzenia napędowe Beckmanna.

Użyto ich do zmniejszenia prędkości obrotowej asteroidu, a następnie zredukowania jej do zera. Początkowo skutki były nieznaczne we wszystkich komorach z wyjątkiem czwartej, gdzie ze zbiorników wystrzeliły w powietrze ogromne ilości wody. Zabrakło czasu, żeby stłumić te efekty. Gardner działał według napiętego planu.

Radykalni geszelowie i umiarkowani, którzy nigdy nie angażowali się w spory, otrzymali szansę dołączenia do frakcji Gardniera. Wielu nie miało innego wyboru. W planach Gardniera nie było miejsca dla radykalnych neomorfów. Ludzi przesiedlono do właściwych osiedli, a Pamięć Miasta przebudowano i podzielono. Potem przyszedł czas na następny krok.

W pierwszej kolejności odłączono od trasy Axis Nader i Central City. Osiedla te przydzielono radykalnym geszelom, którzy chcieli ruszyć w głąb Drogi z prędkością podświetlną i zmieść jartów. Gardner natomiast potrzebował dwóch ratujących cylindrów, Axis Thoreau i Euclid.

Ponowne dostrojenie gradientu grawitacji między Thistledown i Drogą było niezwykle trudnym zadaniem. Inżynierowie mieli pełne ręce roboty, szczególnie kiedy ogromna masa Central City i Axis Nader została przesunięta na jedną stronę siódmej komory, żeby można odczepić od osobliwości pozostałe osiedla.

Cała procedura zajęła sześć godzin. Axis Nader i Central City zamieniły się miejscami z Axis Thoreau i Euclid. Dwie pary cylindrów i związane z nimi konstrukcje rozdzieliła odległość kilometra. Osiedla zarezerwowane dla geszelów przesunęły się powoli na północ.

Ziemian poinformowano, jaki mają wybór. Z około dwóch tysięcy jeńców tylko czworo zdecydowało się nie wiązać swojego losu z grupą planującą powrót na Ziemię.

Byli to Joseph Rinskaya i Beryl Wallace oraz dwaj Rosjanie: kapral Rożeński i generał Paweł Mirski.

Asteroid ponownie wprowadzono w ruch obrotowy. Spodziewano się szkód we wszystkich komorach, ale w czwartej skutki były katastrofalne. Gdy powstała siła odśrodkowa, miliardy galonów wody powaliły drzewa, zniszczyły lasy i utworzyły nowe rzeki.

Rury plazmowe nagle zgasły. Pola siłowe tworzące bariery atmosferyczne działały, ale komory pogrążyły się w ciemnościach po raz pierwszy od dwunastu wieków.

Na granicy Drogi i siódmej komory roboty zaczęły zakładać potężne ładunki, które miały wysadzić północny koniec asteroidu i zasklepić Drogę.

Prezydent i jego zwolennicy niewiele mogli zrobić. Machina Gardniera działała perfekcyjnie, a poświęcenie członków frakcji było całkowite. Jeszcze raz historia dowiodła, że najgorszym błędem w polityce jest niedocenywanie przeciwnika.

Van Hamhuis nie miał innego wyboru, jak zgodzić się na ofertę Gardniera i przejąć władzę nad dzielnicami przeznaczonymi dla radykalnych geszelów.

Paweł Mirski, przebywający w Lesie pod opieką geszelskiego kuratora, zaczął żałować swojej decyzji. Miał wrażenie, że trafił do koszmaru niczym z obrazów Boscha, i sam sobie zadawał pytanie, czy możliwość spełnienia marzeń jest warta tego poczucia wyobcowania i niepewności. Doszedł jednak do wniosku, że trzeba się z tym liczyć, porzucając własną przeszłość i kulturę.

I pogodził się z tym, co można uznać za największą zdradę w dziejach.

Olmy stał samotnie obok rusztowania, wpatrując się w urządzenie do otwierania bram. Żałował, że Inżynier nie może włączyć się w tok jego myśli, doradzić mu, skomentować podejmowanych decyzji.

Vasquez i Lanier nadal byli w swoim pokoju. Myśl, że można spać po osiem godzin, wydała się Olmy'emu dziwna i pociągająca. Mieć każdej doby długie okresy pustki, mieć czas na swobodne myślenie, pograć się w nicości, w innym świecie... Oczyszczanie talsitem było znacznie skuteczniejsze, ale bawiło go odkrycie, że atawistyczna część jego osobowości nadal tęskni za zwykłym snem.

Nigdy głęboko nie zastanawiał się nad różnicami między współczesnymi ludźmi a przodkami, dopóki nie musiał zatroszczyć się o ich potrzeby. Mimo implantów, manipulacji i wspomaganie, podobieństwa znacznie przewyższały różnice.

Yates przeszedł przez gładki trawnik dywan i zbliżył się do rusztowania. Miał ponurą minę.

– Nasz czas jest ograniczony – przekazał Olmy'emu. – Stacja obrony w punkcie dziewięć do dziewiętej zarejestrowała zwiększone promieniowanie trasy. Jartowie zapewne przygotowują się do otwarcia bardzo dużej bramy.

– Bramy do serca gwiazdy? – zapytał Olmy.

– Tak przypuszczamy. Personel stacji przygotowuje się do ewakuacji.

Od dawna dowódcy obrony zastanawiali się nad taką możliwością. Droga w wielu miejscach stykała się z gwiazdami. Ponieważ była pustą rurą, po otwarciu dużych bram do serca gwiazdy powstałoby podciśnienie, w wyniku czego rozgrzana plazma wypełniłaby całą Drogę. Bariery – choć skonstruowane ze zmodyfikowanej czasoprzestrzeni – wchłonęłyby tę ogromną ilość ciepła i w rezultacie zapadłyby się, zrównując ze ścianami. Sama Droga pozostałaby nietknięta, ale wszystko inne na przestrzeni miliardów kilometrów po prostu rozpadłoby się na atomy...

– Jak szybko przemieszczałby się front plazmy? – zapytał Olmy.

– Mogłyby ją spowolnić tylko turbulencje. Ostateczna prędkość wyniosłaby około sześciu tysięcy kilometrów na sekundę.

– Więc mielibyśmy trzydzieści dwie godziny na ewakuację.

– Chyba że zdalnie otworzą bramę...

Myśl, że jartowie potrafią manipulować bramami na odległość, zawsze niepokoiła planistów obrony. Wrogowie do tej pory nie zdradzili się z takimi umiejętnościami, lecz na podstawie danych o zakłóceniach na Drodze badacze Ry Oyu wyciągnęli wniosek, że istnieje niebezpieczeństwo, którego się zawsze obawiano.

– Posłałem wiadomość senator Oyu – kontynuował Yates. – Jej ojciec jest teraz z badaczami. Przekaze mu ją jak najszybciej.

Olmy zobaczył, że Patricia i Lanier wychodzą z pokoju w drugim końcu terminalu.

– Sądysz, że ser Vasquez się zgodzi? – zapytał Yates. – Spędziłeś z nią więcej czasu niż ja.

Olmy przesłał mu symbol niepewności i humoru nacechowanego rezygnacją: obraz niekompletnego neomorfa wahającego się, jaki wybrać kształt ciała.

– Chciałbym mieć twój spokój – stwierdził Yates. – Chętnie odbyłbym teraz sesję talsitu.

Patricia zauważyła Olmy'ego i Yatesa i pomachała im. Potem dotknęła ramienia Laniera. Oboje ruszyli przez trawnik w stronę rusztowania.

– Muszę się zobaczyć z ser Oyu – powiedziała do Olmy'ego. Lanier miał niespokojnie oczy i wyglądał na zmizerowanego.

– Jest ze swoimi badaczami. Senator Oyu przekazuje im wszystkie wiadomości – odparł Yates.

– Cóż, chyba nie mam mu nic szczególnego do powiedzenia. Olmy...

Lanier spojrział na Olmy'ego. Miał nieszczęśliwą i urażoną minę.

– Zdecydowałam się. Dobijemy targu. Olmy uśmiechnął się.

– Kiedy będzie najlepiej? – zapytał.

– Zostało nam niewiele czasu – zauważył Yates. Patricia wzruszyła ramionami. – W każdej chwili.

– Czynię pana odpowiedzialnym za wszystko – zwrócił się Lanier do Olmy'ego, wskazując na niego palcem.

– Biorę na siebie odpowiedzialność – zapewnił Olmy uroczyście. – Patricia będzie pod moją opieką.

Yates poszedł poinformować senator Oyu, że mogą zaczynać. Olmy zaprowadził ich do nieukończonej kopuły, gdzie po raz pierwszy spotkali się z Ry Oyu, i przesłał polecenia unoszącemu się w powietrzu monitorowi.

– Wezwałem robota medycznego. Dokonam w nim kilku modyfikacji i przekażę zmagazynowane w moich implantach partiale. Później ty podarujesz swoją Tajemnicę. To całkiem proste.

– Będzie cud, jeśli wszystko się uda – szepnął Lanier – a pan mówi, że to proste.

– Łazarz zmartwychwstał, prawda? – zauważył Olmy, mając nadzieję rozbawić go.

– Proszę nas nie traktować protekcjonalnie – zaprotestował Lanier. Narastał w nim gniew. Olmy doszedł do wniosku, że potrafi to zrozumieć. Teraz, kiedy podjęła decyzję, Lanier stał się niepotrzebny. Patricia z pewnością zignorowała jego zastrzeżenia.

Sunąc kilka centymetrów nad trawą, zbliżył się do nich robot medyczny – urządzenie w kształcie wydłużonego jaja około metrowej wysokości, oznaczone na czerwono w miejscach, w których znajdowały się manipulatory i inne instrumenty.

Olmy przesłał mu polecenia i robot wysunął gruby stalowy kabel, na którego końcu znajdował się mały przedmiot w kształcie kubka. Olmy przyłożył kubek do miejsca pod uchem i zamknął oczy. Patricia obserwowała go szeroko otwartymi oczami, splatając i rozplatając palce. Jej spokój wydawał się sztuczny. Lanier poczuł ściskanie w żołądku.

Prescient Oyu i jej ojciec dołączyli do nich w chwili, kiedy Olmy brał kubek. Zatrzymali się w odległości paru metrów, zachowując milczenie.

Robot zbliżył się do Patricii. Przed nim uformowało się łóżko z pola trakcyjnego. Olmy poprosił Patricię, żeby się położyła. Robot oplótł jej głowę siecią czarnych kabli.

Siatka zacisnęła się. Patricia wyciągnęła rękę, żeby jej dotknąć.

– Nie powinnam się pokazywać w czymś takim publicznie – zażartowała.

Lanier ukląkł obok łóżka i wziął ją za rękę.

– Jesteśmy jak para Hotentotów – powiedział. Patricia zrobiła minę odpowiednią do jego słów, a potem spojrziała na Olmy'ego.

– Jestem gotowa.

– To nie będzie bolało, nic zupełnie nie poczujesz – uspokoił ją Olmy.

– Cóż, tak czy inaczej, jestem gotowa. Garry puścił jej dłoń i cofnął się.

Sieć zacisnęła się mocniej. Patricia skrzywiła się lekko. Lanier również skrzywił się bezwiednie, ale nie poruszył się. Prescient Oyu podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ona spełnia nasze marzenie – powiedziała. – Nie martw się. – Lanier zerknął na nią

z ukosa.

Patricia zamknęła oczy. Na jej twarzy pojawił się wyraz koncentracji. Lanier przyglądał się zafascynowany. Cała operacja transferu Tajemnicy odbywała się w zupełnej ciszy.

Sieć cofnęła się. Patricia otworzyła oczy i spojrzała na Laniera.

– Wszystko w porządku – oznajmiła siadając. – Nie czuję żadnej różnicy.

– Musimy poczekać kilka godzin na rezultat – wyjaśnił Olmy. – Korzeniowski znowu będzie z nami.

– Dostanie ciało? – zapytał Lanier. Patricia stanęła obok niego.

– Tak, ale na razie pozostanie w tym robocie – odparł Olmy. – Gdy rekonstrukcja zakończy się, będzie mógł przesyłać swój obraz.

Patricia wzięła Laniera za rękę i mocno ścisnęła.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co, na litość boską?

– Za to, że byłeś dzielny – odparła. Lanier popatrzył na nią w osłupieniu.

Patricia, Lanier i Olmy udali się za robotem do pomieszczenia, w którym spędzili noc. Olmy uznał, że najlepiej będzie, jeśli Korzeniowski obudzi się do życia w znajomym otoczeniu – w normalnym pokoju, skromnie urządzonej i bez tłumu ludzi. Ry Oyu i Yates zgodzili się z nim.

– Poza tym – dodał odzwierny – czekaliśmy na to pięć wieków. To dla nas wielka chwila.

Po piętnastu minutach oczekiwania Olmy polecił robotowi zaprezentować postępy rekonstrukcji osobowości. Patricia uniosła rękę do ust, gdy pojawił się przed nimi mocno zniekształcony obraz. Jedna połowa ciała była duża i bulwiasta, a druga niemal w zaniku, w wielu miejscach przezroczysta. Dominował kolor niebieski. Wydłużona głowa opadała na bok. Oczy ślizgały się po twarzach.

– Nie przerażajcie się – uprzedził ich Olmy. – Świadomość kształtu ciała dojrzeje jako ostatnia.

W ciągu następnych kilku minut, prawie niezauważalnie, zniekształcenia ustąpiły. Kolor ciała stał się bardziej naturalny, a przezroczyste plamy wypełniły się.

Po poprawkach obraz Korzeniowskiego był w pełni uformowany. Olmy zauważył to z satysfakcją. Inżynier wyglądał dokładnie tak jak na oficjalnych miniaturowych portretach: szczupły, ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu, o ostrym długim nosie, badawczych, wesołych czarnych oczach i cerze koloru kawy.

Mimo to Olmy szukał odchyień. Skopiowana Tajemnica nie była identyczna z oryginałem, choć bardzo zbliżona. Wystarczyła jednak, by przywrócić Inżynierowi pełną świadomość. Uzupełniona przez wspomnienia miała stworzyć osobowość podobną do tej, która została wykasowana... zamordowana, zanim Olmy się narodził.

– Witaj – powiedział Olmy.

Inżynier spojrzał na niego i próbował się odezwać. Poruszył wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Obraz zachwiał się gwałtownie i po chwili znieruchomiał.

– Znam cię. Czuję się znacznie lepiej... inaczej. Zostałem zrekonstruowany? – odezwał się w końcu Korzeniowski.

– Tak. Bardzo się staraliśmy – odparł Olmy.

– Tak niewiele pamiętam. Jakby złe sny. Byłeś dzieckiem... kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy.

Olmy'ego ogarnęło uczucie, które Ram Kikura uznałaby za atawistyczne.

– Miałem wtedy pięć lat. – Wyraźnie pamiętał chwilę, kiedy pierwszy raz natknął się na

partiale Inżyniera, pamiętał dziecięcy przestach i fascynację. Poznał kogoś słynnego... i niezwywego.

– Jak długo byłem martwy?

– Pięć wieków.

– Dlaczego przywróciliście mnie do życia? Z pewnością wszystkim było lepiej beze mnie. –

Protest Inżyniera uznano by w jego czasach za niedelikatny. Obecnie Olmy'emu wydał się dziwny i staroświecki.

– O nie – zaprotestował Olmy szczerze. – Czujemy się zaszczytzeni twoją obecnością.

– Jestem niedzisiejszy.

– Możemy to naprawić w ciągu kilku godzin.

– Czuję się... nie ukończony. Dlaczego?

– Musisz dojrzeć. Twoja rekonstrukcja nadal trwa. Nie masz własnego ciała. Znajdujesz się w robocie medycznym.

Znowu okrzyk, jeszcze głośniejszy.

– Jestem przeżytkiem. Tylko umysłowy karzeł mógłby się przystosować do życia w automacie. – Inżynier spojrział na Olmy'ego pytającym wzrokiem. – Zostałem unicestwiony, czy tak?

– Tak – potwierdził Olmy.

– Czego mi brakowało?

– Tajemnicy. Musieliśmy wykorzystać partiale.

– Od kogo wzięliście Tajemnicę? Olmy wskazał na Patricię.

– Dziękuję – powiedział Korzeniowski po chwili milczenia.

– Nie ma za co – bąknęła Patricia niepewnie.

– Wyglądasz znajomo... Widziałem cię już.

– To Patricia Louisa Vasquez – powiedział Olmy.

Na twarzy Korzeniowskiego w pierwszej chwili odmalowało się niedowierzanie. Wyciągnął rękę. Patricia uściśniła ją, wcale nie zaskoczona jej ciepłem.

– Ta Patricia Louisa Vasquez?

– Właśnie ta – zapewniła Patricia. Korzeniowski odchylił głowę do tyłu i skrzywił się.

– Muszę nadrobić zaległości. – Puścił jej rękę, przepaszając szeptem. Ujął wyciągniętą dłoń Laniera i potrząsnął nią krótko i mocno.

Lanier odczuwał niemal nabożny lęk, witając się z człowiekiem, który zaprojektował korytarz.

– Mam na biurku pański posążek czy też hologram. Przez całe lata stanowił pan dla mnie zagadkę... – Uświadomił sobie, że bełkocze. – Jesteśmy z Ziemi – zakończył raptownie.

Twarz Korzeniowskiego pozostała nieprzenikniona.

– Gdzie się znajdujemy? – zapytał.

– Na Drodze, w punkcie trzy do dziewiątej – odparł Olmy.

– Gdzie jest Thistledown?

– Na orbicie okołozemskiej.

– Który mamy rok?

– Dwa tysiące piąty – pospieszyła z odpowiedzią Patricia.

– Który rok Podróży? – zapytał Korzeniowski z nadzieją.

– Anno Domini – powiedział Olmy. Inżynier sprawiał wrażenie zmęczonego.

– Ile czasu minie, zanim mnie wszystkiego nauczycie?

– Możemy zacząć od razu, zanim osobowość dojrzeje. Chcesz tego?

– Chyba tak będzie najlepiej, prawda? – Następnie zwrócił się do Patricii. – Jesteś bardzo młoda. Ile prac już napisałaś?

– Jeszcze żadnej z najważniejszych – odparła.

– Tego nie przewidziałem... Nie wynikało to z naszych prac. Jak mogłem coś takiego przeoczyć? Musisz mi powiedzieć, skąd się tutaj wzięłaś... i dlaczego akurat ty?

Patricia i Inżynier pogrążyli się w rozmowie.

Po czterech godzinach badacze z siedmiu ras korzystających z korytarza zebrali się wokół rusztowania. Obcy pomagali ludziom w badaniu Drogi i wielu innych dziedzinach, nie okazując jednak służalczości. Byli pełnoprawnymi partnerami. Cechowała ich różnorodność form, choć nie większa niż u neomorfów w Axis City.

Byli obecni trzej frantowie ubrani w lśniące metalizowane kurtki, które wydawały się tradycyjnym strojem noszonym przez nich poza Timbl. Kilka metrów od frantów, otoczona czerwoną linią kwarantanny, stała nieruchomo na czterech słoniowatych nogach istota, która wyglądała jak dwie litery U połączone grubym powrozem z ciała, pozbawiona oczu. Miała gładką skórę przypominającą czarne szkło.

Najwyraźniej nie była przystosowana do oddychania tutejszym powietrzem.

Obok Yatesa stał ośmionożny badacz z Talsit otoczony kapsułą trakcyjną zawierającą odpowiednią dla niego mieszkankę do oddychania: bardzo mało tlenu, dużo dwutlenku węgla. Z powodu niskiej temperatury na ściankach skraplała się para. Omszałe „rogi” były w ciągłym ruchu. Badacze innych ras chroniły podobne pola. Największe wrażenie robił stwór o węzowym ciele i czterech głowach, jak zakonserwowany okaz zwinięty w kuli wypełnionej ciemnozielonym płynem.

Wyglądało na to, że istoty o ludzkich kształtach nie są często spotykane w kosmosie.

Przed zebraniem Lanier i talsit mieli dziwną rozmowę. Dziwną ze względu na niesamowitą poufałość i doskonałe porozumienie, jakby od dawna byli dobrymi znajomymi.

Talsit stał po pomocnej stronie rusztowania, rozmawiając z frantem, podczas gdy drugi frant czekał w milczeniu obok. Frantowie zhomogenizowali się kilka godzin wcześniej. Drugi frant nie włączał się do rozmowy, skoro nie było potrzeby równoległego myślenia. Lanier i Patricia jedli do woli, biorąc z dryfującego stołu to, na co mieli ochotę. Patricia odeszła potem z Olmym, by dokończyć rozmowę z Korzeniowskim.

Lanier przez przypadek wdał się w rozmowę z talsitem, który podszedł do Prescient Oyu, żeby omówić szczegóły ceremonii. Początkowo rozmawiali mową graficzną, później senator przeszła na angielski, przedstawiając talsita Lanierowi. Okazało się, że obcy doskonale mówi po angielsku. Nie miał żadnego widocznego narządu mowy.

Lanier ani trochę nie przejmował się, że może wydać się dziwny. Wokół niego było tyle osobliwych istot. Skupił się na doborze właściwych słów, próbując wyjaśnić, jak się tutaj znaleźli. Podczas rozmowy z istotą nie przypominającą człowieka i o nieznanym psychice (skoro potrafiła doskonale mówić po angielsku, może potrafiła również ukrywać prawdziwe myśli) opowiadał dość obojętnie o Śmierci, o alternatywnych światach i inwazji w kosmosie. Talsit z kolei mówił o własnym gatunku. Lanier potakiwał ze zrozumieniem, słuchając historii, która byłaby dla niego niepojęta jeszcze kilka miesięcy temu.

Talsitowie byli potomkami zunifikowanej biologiczno--mechanicznej rasy, która kiedyś zamieszkiwała czternaście planet bardzo starego układu słonecznego. W pewnym momencie inteligencja została w całości zmagazynowana w bankach pamięci, bez podziału na jednostki, czyli inaczej niż w Pamięci Miasta. Jednak stopniowo ta zbiorowa inteligencja rozdzieliła się na poszczególne jednostki, które przybrały nowe formy fizyczne. Powstał ród talsitów, introwertyków

i samotników. Tak się złożyło, że do ich świata otwarto krąg bram, więc ich potomkowie zaczęli handlować, najpierw z jartami, a potem z ludźmi. Zostali przedstawicielami handlowymi i doradcami młodszych cywilizacji.

Rasa talsitów była co najmniej sto razy starsza od ludzkości.

– Więc dlaczego w ogóle z nami rozmawiacie? – zapytał Lanier.

– Można to uznać za hobby starszego wieku – powiedział talsit bez śladu protekcjonalności czy obłudy.

– Mój gatunek świadczy usługi, zwłaszcza związane z oczyszczaniem i porządkowaniem informacji, które ludzie i inne rasy uważają za bezcenne. Lubimy być użyteczni, a my z kolei otrzymujemy informacje o wielkiej dla nas wartości.

Kilka minut później rozległ się sygnał do rozpoczęcia ceremonii. Jeden z frantów uderzył w pręt rusztowania, wydobywając z niego wysoki melodyjny dźwięk.

Lanier stał z rękami założonymi z tyłu obok obrazu Korzeniowskiego i Prescient Oyu, a Patricia zajęła honorowe miejsce między Yatesem a Ry Oyu.

Uroczysty strój Ry Oyu był prosty. Składał się z białej płóciennej koszuli i czarnych spodni oraz czarnych płóciennych pantofli. Yates miał na sobie dość podniszczoną szatę w kolorze zielonym.

Ry Oyu podszedł do schodów prowadzących na szczyt rusztowania. Stał przez chwilę z pochyloną głową, a potem skinął na Patricię.

– Musisz się nauczyć paru rzeczy – powiedział do niej, gdy weszli na górę. – Urządzenie pomaga określić, gdzie można otworzyć bramę, ale nie jest precyzyjne. Musisz sama wyczuć odpowiedni punkt i dostroić je. Jest w tym tyle samo intuicji, co kalkulacji.

Pochylił się i wziął do rąk urządzenie podtrzymywane przez linie trakcyjne. Patricia spojrzała w dół i zakręciło się jej w głowie. Szczyt rusztowania znajdował się co najmniej sześćdziesiąt metrów nad dnem otworu.

– Wiąże się z tym pewien rytuał. Wprowadza on w odpowiedni nastrój – powiedział odzwierny. – Przygotowuje. Może nie jest konieczny, ale mnie zawsze pomagał. – Wyciągnął przed siebie urządzenie i zamknął oczy. – Nie chodzi nam dzisiaj o zwykłą demonstrację. Szukałem tego skrzyżowania przez pięćdziesiąt lat i jak do tej pory zawsze mi umykało. – Otworzył jedno oko i uśmiechnął się do niej. – Zastanawiałaś się, dlaczego otwieramy bramę, którą zaraz będziemy musieli zamknąć, kiedy zjawią się jartowie lub nadleci Axis City. Mam rację?

Patricia skinęła głową.

– Ponieważ mimo braku lojalności wobec geszelskich przywódców, pozostaję wierny Hexamonowi. Będę mu służył, nawet jeśli inni uznają mnie za zdrajcę, co się zapewne stanie, gdy wyjdzie na jaw moja rola w secesji. Więc żeby odkupić swoją winę, otwieram tę bramę.

– Nadal nie rozumiem – stwierdziła Patricia, patrząc na urządzenie.

Ry Oyu ramieniem zatoczył koło.

– Wszystkie bramy prowadzą do innych planet. Istnieje nieskończona liczba skrzyżowań Drogi z innymi światami, a my musimy wybierać z tej nieskończoności. Zauważyłaś może, że bramy zawsze dzieli odległość nie mniej niż czterystu kilometrów. To z powodu zagęszczeń czasoprzestrzeni. Rozumiesz?

Patricia skinęła głową.

– Tak.

– Nie zapuszczamy się w same zagęszczenia. Są w nich alternatywne światy i linie czasu, dla nas jednak bezużyteczne. Pracujemy między nimi. – Przeciął powietrze kantem dłoni. – Szukamy w promieniu dziesięciu metrów, gdzie jest może z miliard dogodnych miejsc. Dostrajamy się,

określając z jak największą dokładnością położenie obiektu o masie planety. Obojczyk przekazuje nam bezpośrednio do mózgu wszystkie niezbędne dane. Dotknij. – Wziął jej rękę i położył na drugim uchwycie urządzenia. – W jej umyśle pojawiły się obrazy i informacje. – Teraz popatrz na mnie.

Spojrzała na Ry Oyu, który przesłał jej do mózgu wiele danych technicznych.

– Byłoby znacznie łatwiej, gdybyś miała implant, ale wystarczą też twoje zdolności i motywacja do nauki. Nie mogę ci przekazać wszystkiego, ale pomogę wyostrzyć intuicję.

Trzymając dłoń na uchwycie, poczuła, że wchłania kolejną porcję informacji.

– Nie pomogę ci znaleźć drogi do domu – powiedział i zdjął jej dłoń z urządzenia. – Nie będzie mnie przy tobie. Nie będzie Yatesa ani Olmy’ego. Wszyscy mamy swoje sprawy. Jeśli jednak twoja teoria jest prawidłowa, a nie widzę powodu, aby sądzić inaczej, znajdziesz właściwą bramę w zagęszczeniu czasoprzestrzeni. Masz do tego wystarczającą wiedzę. Teraz uważaj. Nie otworzymy dzisiaj bramy do innego świata, lecz do samej Drogi.

Patricia zmarszczyła brwi.

– Widziałaś zakrzywienie Drogi, Patricio. Jestem pewien, że je przewidziałaś i obliczyłaś.

– Tak – potwierdziła.

– Widziałaś miejsce, w którym przecina samą siebie?

– Nie.

– To trudno zauważalne, gdyż punkt przecięcia znajduje się bardzo daleko stąd. Droga może być tam zupełnie inna. Axis City kiedyś tam dotrze, może za miliony lat albo znacznie wcześniej, jeśli geszelowie zrealizują swoje plany. Otwierając bramę, dowiemy się, jaka naprawdę jest Droga, a może nawet, jak daleko się ciągnie. Dowiemy się, co właściwie stworzyliśmy. W ten sposób zrehabilitujemy się wobec Hexamonu. Teraz rozumiesz, dlaczego tutaj zostaliśmy?

Patricia skinęła głową.

Ry Oyu odwrócił się do badaczy stojących na dole.

– Czy Inżynier jest gotowy?

– Tak.

– Widzi pan i czuje wszystko wyraźnie?

– Tak.

Odźwierny wziął głęboki oddech i spojrzał na Patricię.

– Dzisiaj wszyscy jesteśmy uprzywilejowani – powiedział.

Gdy wszedł na pole trakcyjne, urządzenie zabrzęczało. Skinął na Patricię. Stała obok niego. Pole utworzyło wgłębienie, zamykając się wokół nich na kształt pucharu. Znaleźli się kilka metrów nad otworem. Ry Oyu uklęknął i odłożył obojczyk na zwykłe miejsce.

– Zawęziłem obszar poszukiwań do kilku centymetrów. Uniósł rękę i ku zdumieniu Patricii zaintonował:

– W imię Gwiazdy, pieca i kuźni, największego ze wszystkich ogni, który daje nam światło i dar tworzenia. Chwyć mocno urządzenie w obie ręce, zamknął oczy i uniósł twarz w górę. – W Losie pokładamy naszą ufność, w Drodze Życia i Światła, w ostatecznym celu, którego nie możemy się wyrzec. Pneumo, oddechu naszych umysłów, wietrze naszych myśli, prowadź nas, żyjących w ciele lub zamkniętych w maszynie, natchnij entuzjazmem, byśmy mogli stworzyć samych siebie, ukazać swoje wnętrza.

Lanier zobaczył, że Korzeniowski bezgłośnie powtarza słowa Ry Oyu. Czyżby Inżynier napisał scenariusz ceremonii, z którego teraz korzystał odźwierny?

Szum urządzenia stał się głośniejszy. Patricia uświadomiła sobie, że składa dłonie jak do modlitwy. Nie była jednak w stanie rozpleść palców i opuścić rąk.

– W imię Eldów, którzy są teraz z nami, zrodzonych z ciała i tych wskrzeszonych dzięki mocy tworzenia; w imię tych, którzy spłonęli, byśmy mogli znaleźć właściwą drogę, którzy cierpieli w czasie Śmierci, byśmy mogli żyć... Oczy Patricii i Laniera napełniły się łzami.

– Wznoszę to urządzenie ku niezliczonym światom i sprowadzam światło, otwierając tę bramę, by nam się wszystkim dobrze wiodło. Tym, którzy kierują, i tym, którzy słuchają, którzy tworzą i są tworzeni, którzy oświetlają Drogę i pławią się w jej świetle.

Umieścił urządzenie między kolanami. Wydobywający się z niego strumień piktów oświetlił twarz odźwiernego jak pochodnia. Szum przekroczył granicę słyszalności.

– Oto otwieram... nowy świat...

Na brązowej powierzchni Drogi pojawiły się skrzyżowane czarne, zielone i czerwone linie. Ry Oyu wstał, trzymając urządzenie w rękach.

Stojąc na skraju otworu, przy samym rusztowaniu, badacze, Yates, Prescient Oyu, Lanier i Korzeniowski wpatrywali się w cyklon dający początek bramie.

Pole trakcyjne w kształcie pucharu uniosło odźwiernego i Patricię o kilka metrów. Patricii znówu zakręciło się w głowie, gdy popatrzyła na wirujące kolory.

Pośrodku wiru utworzył się czarny krąg.

Ry Oyu wręczył urządzenie Patricii. Chwyciła je mocno.

– Postaraj się wyczuć, co to znaczy prawidłowe otwarcie bramy – powiedział po angielsku.

Urządzenie było jak żywe w jej dłoniach, stanowiło jej część, połączone z nią strumieniem piktów. Pamiętała instrukcje Ry Oyu.

Poczucie mocy dawało radość. Patricia miała ochotę roześmiać się, kiedy urządzenie poszerzyło otwór w Drodze. Nie ukończona kopuła, która osłaniała miejsce pracy Ry Oyu, przesunęła się, szukając centrum zakłóceń.

– To niebezpieczna chwila – uprzedził Ry Oyu. – Jeśli sytuacja wymknie się nam spod kontroli, kopuła zamknie się wokół nas i zlikwiduje zakłócenie. W takim wypadku pójdziemy tam, dokąd zaprowadzi nas ukończona brama, i nie będziemy mogli wrócić na Drogę. Czujesz tę moc?

Czuła. Radość zmieniła się w strach, że goni ją coś szkaradnego i nieprzyjaznego. Wpatrywała się w urządzenie.

– Dobrze – powiedział Ry Oyu. – Olmy nie mogliśmy zrobić tego lepiej. Należysz bardziej do naszego świata niż do swojego.

Kopuła przybrała na powrót brązową barwę, którą znali z innych bram. Wir otaczający czarny krąg widoczny pośrodku otworu zaczął się rozszerzać. Pole trakcyjne uniosło ich w górę.

– Chodź ze mną – powiedział Yates do Laniera. Badacze stanęli w grupkach kilkanaście metrów od rusztowania. Ziemia wokół dziury wybrzuszyła się i utworzyła kopiec nad formującą się bramą. Rusztowanie i linie trakcyjne nie przesunęły się. Ry Oyu wziął do rąk urządzenie.

– Jest tu sto tysięcy możliwości – mruknął. – Wyczuwam je, doświadczani ich. Dowiaduję się o tysiącach światów, ale interesuje mnie tylko jeden. Nasłuchuję, poznaję jego położenie, cechy. Urządzenie sonduje, zachowuje kierunek, ale ja nim kieruję. I znajduję.

Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. Czarny krąg poszerzył się i przybrał intensywnie niebieski odcień. W brązowym materiale konstrukcyjnym Drogi utworzyło się zagłębienie o gładkich brzegach, z błękitem pośrodku. Stopniowo powiększyło się. Patricia określiła w myśli ten proces jako gojenie się czasoprzestrzeni.

Jak przez obiektyw typu rybie oko zobaczyła na tle błękitu coś długiego i jasnego, otoczonego masywnymi czarnymi obiektami.

– Brama jest otwarta – oznajmił Ry Oyu, garbiąc się. Odłożył obojczyk na miejsce

i odsapnął. – Teraz dowiemy się, co leży po drugiej stronie.

– Wejdziemy? – zapytała Patricia.

– Nie – odparł odzwierny z lekkim rozbawieniem. – Wyślemy jednego z naszych mechanicznych przyjaciół. Złoży nam raport, a my podejmiemy decyzję, nie ryzykując życia.

Puchar pola trakcyjnego uniósł ich na szczyt rusztowania.

Ry Oyu puścił przed sobą Patricię. Po chwili dołączyli do reszty towarzystwa.

Sześcienny monitor o boku około półmetrowej długości, duży jak na tego typu urządzenie, wśliznął się cicho do zagłębienia i przeleciał przez bramę. Yates włączył piktor i dostroił go do sygnałów monitora przekazywanych przez transpondery umieszczone na rusztowaniu.

Lanier odniósł wrażenie, że Patricii poprawił się nastrój. Wydawała się spokojniejsza, pewniejsza siebie. Ścisnęła go za rękę i uśmiechnęła się.

– Potrafię to zrobić. Czuję to. Znajdę drogę – szepnęła. Monitor przesłał nieostry obraz. Yates przetłumaczył im informacje o warunkach panujących po drugiej stronie bramy, które otrzymał w formie piktów.

– Tam jest próżnia i bardzo niski poziom promieniowania. Wygląda na to, że trasa jest nieczynna, jeśli rzeczywiście znajdujemy się w innej części Drogi.

– Nie wydaje się, żeby tam w ogóle była jakaś trasa – stwierdził Ry Oyu, wpatrując się w skupieniu.

Obraz się wyostrzył.

– Jest ogromna – szepnęła Oyu.

W punkcie, gdzie powstała brama, Droga rozszerzyła się. Miała w tym miejscu średnicę co najmniej pięćdziesięciu tysięcy kilometrów.

– Dryf geodetyk – powiedziała Patricia.

– To istotnie może być wytłumaczenie – zgodził się Ry Oyu. – Ale niekoniecznie.

Lanier nie zadał sobie trudu, żeby poprosić o wyjaśnienie. Miał wątpliwości, czy zdoła je zrozumieć.

Droga była pełna ciemnych krystalicznych struktur ciągnących się tysiące kilometrów. Niektóre unosiły się swobodnie, przesuając się na tle podobnej do węża jasnej rury plazmowej i rzucające wielkie cienie na ściany Drogi.

– Siła przyciągania wynosi około jednej dziesiątej g – poinformował Yates. – Parametry są zasadniczo różne, Ry. Przypuszczasz, że to inna Droga, nie nasza?

– Czy mamy powód, by sądzić, że ktoś inny stworzył podobny świat? – zapytał odzwierny.

– Nie – przyznał Yates.

– Nadając Drodze cylindryczny kształt, odcisnęliśmy na niej swoje piętno. Mocno wątpię, czy inni mogliby to powtórzyć. Zwłaszcza że istnieje nieskończona liczba możliwości.

– A jednak taki kształt jest praktyczny, jeśli chodzi o handel... Ry Oyu skinął głową. Nie wydawał się zadowolony z rezultatów swojej pracy.

– Dziwnie tutaj – stwierdził. – Nie ma trasy, a rura plazmowa jest bardzo nieregularna. Jakby coś przy niej majstrowano.

– Jartowie?

– Nie – powiedział odzwierny. – Te struktury nie wyglądają na dzieło jartów. Nie przychodzi mi do głowy, jakie mogą mieć zastosowania. Są zniekształceniami, ekstruzjami czasoprzestrzeni, krystalizacjami albo... – Potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia. A poza tym wątpię, czy jartowie zapuściliby się tak daleko. To skrzyżowanie, jeśli to jest skrzyżowanie, musi się znajdować za punktem jeden do piętnastej, ponad sto lat świetlnych w głąb Drogi.

– Więc nie może być tutaj żadnych bram – stwierdziła Patricia.

Yates uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Ponieważ to jest poza granicami czasowymi naszego świata. Bramy otworzyłyby się do... –

Uniosła ręce. – Nicości. Zera.

– Niekoniecznie – powiedział Ry Oyu. – Choć to interesująca teoria. Droga jest zaprojektowana stosownie do warunków z okresu, kiedy powstała. Ma jednak duże zdolności adaptacyjne.

– Czy Axis City może dotrzeć tak daleko? – zapytała Prescient Oyu.

– Nie wiem. Gdyby trasa przestała istnieć, musieliby dokonać poprawek, co byłoby trudne.

Jeśli od pewnego punktu rzeczywiście nie ma trasy...

– Droga samopodtrzymuje się – dokończył za niego Yates.

– Istotnie. Nie potrzeba maszyny szóstej komory ani połączenia z Thistledown.

– Wygląda na pustą – zauważył Lanier, niepewny, czy powinien włączyć się do dyskusji. –

Nie widzę żadnego ruchu.

Yates polecił monitorowi zbadać teren. Obraz powiększył się, pojawiło się więcej szczegółów. Droga była usypana z ogromnych kryształów. Niektóre miały długość dziesiątków tysięcy kilometrów i sięgały od jednej ściany do drugiej, a wokół nich wiła się rura plazmowa.

Wszystkie struktury, nawet te unoszące się swobodnie, były przykryte podobnymi do kopuł dyskami, z których każdy chronił wyraźnie widoczne bąble otwartych bram. Obraz powiększył się jeszcze kilkakrotnie. Między gęsto rozmieszczonymi bramami rozciągały się gęste sieci migoczących świetlnych pasm. Panował tu ruch, handel na niewyobrażalną skalę i innego rodzaju niż ten, którego kiedyś byli świadkami.

Pojawiły się kolejne pikty.

– Z całą pewnością nie ma trasy – oznajmił Yates. – Droga w tym miejscu jest całkowicie stabilna i samowystarczalna.

Patricia wyglądała na śpiącą. Znowu pogrążyła się w swoim stanie. Próbowała znaleźć jakieś wyjaśnienie. Lanier doszedł do wniosku, że to go przerasta.

– Istnieje tu związek przyczynowy – powiedziała ochryplym głosem.

– Proszę? – zapytał Lanier, dotykając jej łokcia i spoglądając na obecnych. Wlepiała w niego wzrok.

– Jeśli Axis City będzie podróżowało Drogą z prędkością podświetlną, stanie się to, co tutaj widać... jeszcze zanim podróż się zacznie. Droga leży z natury poza czasem i musi się dostosować do wszystkich wydarzeń, które mają na niej miejsce. To właśnie się stanie, szczególnie po zamknięciu końca, gdzie znajduje się Thistledown.

– Tak? Proszę mówić dalej... – ponaglił ją Yates.

– Ona ma rację – odezwał się Korzeniowski. – To oczywiste. I ktoś – nie ludzie, nie jartowie ani inne istoty z naszego wszechświata – wykorzystuje tę zdolność adaptacji.

Ry Oyu uśmiechnął się szeroko.

– Obawiam się, że nie jest to oczywiste dla wszystkich. Proszę kontynuować.

Patricia spojrzała na Inżyniera, wyczuwając w nim uznanie dla siebie. Korzeniowski skinął jej głową.

– Świetnie ci idzie.

– Patrzymy na przenoszone wzdłuż wektorów nadprzestrzeni rezultaty tego, co się wydarzyło na Drodze – powiedziała. – Myślałam o tym, zanim poleciliśmy na Timbl. Jeśli Axis City będzie

podróżowało z prędkością większą niż jedna trzecia c , zakrzywi Drogę. Powstanie fala uderzeniowa, która przekroczy prędkość światła. Będzie posuwała się przed miastem, docierając na miejsce przed swoją przyczyną. Już minęła ten punkt, może wieki temu, może nawet przed powstaniem Drogi. Obiekt poruszający się po osobliwości spowoduje naprężenia przekraczające jej wytrzymałość. Przekształci cząstki wirtualne w energię, promieniowanie. – Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. – Droga rozszerzyła się, tworząc stabilną konfigurację. Trasa zniknęła.

Olmy nic nie mówił, spokojnie słuchając Korzeniowskiego i Patricii. „Jest dumny”, pomyślał Lanier.

– Przez kilka lat świetlnych, dopóki Droga się nie rozszerzy, a fala uderzeniowa zaniknie, przed miastem nie będzie niczego, tylko pustka. Wszystko zostanie zmiecione, bramy się zasklepią. – Wskazała na dziwne obiekty. – W tym miejscu Droga poszerzyła się i relatywistyczne obiekty już jej wiele nie zaszkodzą.

Lanier próbował rozwiązać zagadkę zniknięcia trasy jeszcze przed powstaniem obiektu, który do tego doprowadzi. Szybko zagubił się w sprzecznościach, te jednak wydawały się nie martwić Korzeniowskiego ani odźwiernych.

– Pomożesz nam, gdy przygotujemy dokumentację? – zapytał Patricię.

Potwierdziła.

– Z pomocą ser Korzeniowskiego.

– Więc będziemy wiedzieli to, co powinniśmy wiedzieć – stwierdził Ry Oyu. – Przedstawimy raport prezydentowi. Jego frakcja zrobi z nim, co zechce. – Uśmiechnął się. – Co musi zrobić.

Na głównym monitorze pojawiły się jasnoczerwone pikty, sygnalizując pilną wiadomość. Olmy poszedł ją przyjąć. Wrócił z wesołą miną, co było dziwne, zważywszy na to, co powiedział.

– Jartowie otworzyli bramę. W punkcie pięć do dziewiątej. Odcieśli ostatnią stację obrony. Front plazmy zbliża się do nas z maksymalną prędkością. Dotrze tu za jakieś siedem godzin. Musimy ruszać.

Prescient Oyu spojrzała na ojca.

– Geszelowie nie ugną się przed jartami – powiedziała.

– Więc prezydent nie ma teraz wyboru, prawda? – skomentował Ry Oyu. – Przesadza się los Drogi i jartów. Jego zwolennicy zajmą swoje dzielnice, my swoje i rozdzielimy się.

Mirski i troje pozostałych „dezertów” zamieszkali w małych kulistych modułach w Lesie Central City. Na czas przyspieszonej edukacji i aklimatyzacji przydzielono im do pomocy troje geszelskich homomorfów – dwie kobiety i osobnika nieokreślonej płci.

Mirski siedział w swojej kuli, chłonąc informacje przesyłane w postaci piktów. Niektóre objaśniali im pedagodzy, duchy ich przewodników. On i Rozeński zgodzili się na tymczasowe implanty, żeby przyspieszyć proces uczenia się. Patrzyli, słuchali i niewiele mówili. Rozeński szukał jego towarzystwa, podczas gdy Rinskaya trzymał się na uboczu. Na pozostałą dwójkę Mirski nie zwracał uwagi. Byli nikim.

Gospodarze przychodzili do nich we własnych ciałach i robili im krótkie, pełne treści wykłady.

W powietrzu wyczuwało się napięcie. Inni geszelowie nie zwracali uwagi na Ziemię. Las był prawie opustoszały. Większość mieszkańców zajmowała się przygotowaniami do tego, co miało nadejść.

Do podzielonego Axis City dotarły raporty od najdalszych stacji obrony. Jartowie otworzyli bramę i plazma z wnętrza gwiazdy wdarła się na Drogę.

Miała dotrzeć do miasta za siedemdziesiąt godzin, ale mieszkańcy dzielnic geszelskich musieli szybko podjąć decyzję. Jeśli chcieli zostać na Drodze i bronić jej przed jartami, musieli rozpedzić cylindry do szybkości co najmniej jednej trzeciej c przed spotkaniem z frontem plazmy.

Po wdarciu się materii gwiazdnej do wnętrza Drogi temperatura plammy spadłaby znacznie poniżej poziomu potrzebnego do zasklepienia bram, ale i tak osiągnęłaby dziewięćset tysięcy stopni. Mógł to jednak zmienić przelot geszelskich dzielnic.

Gdyby rzeczywiście zderzyli się z frontem, czasoprzestrzenna fala uderzeniowa spłaszczyłaby supergorącą plazmę zmieniając ją w cienką błonę. Błona rozgrzana do temperatury wyższej od tej, która jest potrzebna, by nastąpiła synteza jądrowa, wyścieliłaby całą Drogę. W rezultacie pęd miasta spowodowałby przekształcenie się Drogi w nową o kształcie rury.

Mirski, śledzący publiczne dyskusje, uważał te plany za bredzenie chorego. Nie obchodziło go zbytnio, czy przeżyje. Tkwił w centrum wielkich wydarzeń przerastających jego wyobraźnię.

Politycy geszelscy, uwolnieni przez secesjonistów, czynili pospieszne przygotowania. Należało zabezpieczyć dzielnice przed twardym promieniowaniem, zostawionym bowiem do ich dyspozycji czterem głównym generatorom trasy groziło przeciążenie, zwłaszcza przy takich prędkościach. Czy to było wykonalne?

Fizycy doszli do wniosku, że tak, choć wyrazili wiele zastrzeżeń.

Należało również stworzyć osłonę przed samą osobliwością, która miała emitować ogromne ilości śmiertelnego promieniowania. Czy to da się zrobić?

Tak. Ale w tym przypadku fizycy mieli jeszcze większe zastrzeżenia.

Pomimo wszystkich wątpliwości wśród mieszkańców dzielnic panowała zdumiewająca zgoda. Nie chcieli wracać na Ziemię, patrzyli w przyszłość, odcinając się od przeszłości. Od wieków walczyli z jartami i nie mieli zamiaru oddawać im teraz Drogi.

Wędrując po lasach, Rinskaya unikał toczących się dyskusji. Modlił się żarliwie, nie dbając o to, czy go ktoś zobaczy. Głównym jego zmartwieniem było, czy Bóg usłyszy modlitwy odmawiane poza normalną czasoprzestrzenią? Czy nadejdzie moment, kiedy zostaną całkowicie odcięci od Boga?

Jego opiekunka, homomorficzna kobieta, trzymała się na jego prośbę z daleka. Zdawała sobie sprawę, że niewiele może mu pomóc.

Jego problem kojarzył się jej ze starożytnym pytaniem, ile diabłów mieści się na końcu szpilki.

Czekając na wiadomości o ostatecznej decyzji, Rozeński i Mirski dryfowali kilka metrów od siebie wśród zieleni. Liście rzucały na nich cienie. Świetlne węże rozjaśniały przecinkę między ich kwaterami.

Mirski przyjrzał się uważnie młodemu kapralowi. Dostrzegł połysk na skórze, wyraz podniecenia na twarzy i rozjaśniony wzrok. „Przyszłość jest dla niego jak narkotyk”, pomyślał. Czy dla niego również?

– Mało co rozumiem – wyznał Rozeński i przysunął się po gałęzi do Mirskiego. – Czuję jednak, że zrozumiem. Oni tak pomagają! Uważają nas za dziwadła. Ale tak mile nas przyjmują!

– Jesteśmy dla nich czymś nowym – powiedział Mirski. Nie chciał zdradzać się przed kapralem ze swoimi obawami. Serce biło mu szybciej za każdym razem, kiedy myślał o tym, co ich czeka.

Zbliżyła się do nich kobieta wyznaczona na opiekunkę smutnego Amerykanina.

– Wasz przyjaciel mnie martwi – powiedziała. – Zastanawiamy się nad odwiezieniem go z powrotem. Nie przyzna się do tego, ale chyba podjął złą decyzję.

– Proszę mu dać trochę czasu – zaproponował Mirski. – Wszyscy wiele za sobą zostawiliśmy. Będziemy tęsknili za domem. Porozmawiam z nim.

– Ja również – zaofiarował się skwapliwie Rozeński.

– Nie – zdecydował Mirski, unosząc rękę. – Tylko ja. Rozmawialiśmy już podczas negocjacji z Amerykanami i razem zgłosiliśmy się na ochotnika.

Zmieszany Rozeński skinął głową na znak zgody. Mirski zapukał do perłowej przezroczystej kuli. Ze środka odezwał się po angielsku Rimskaya.

– Tak? O co chodzi?

– Paweł Mirski.

– Żadnych rozmów, proszę.

– Nie mamy wiele czasu. Albo pan wróci, albo pogodzi się w własną decyzją.

– Proszę zostawić mnie w spokoju.

– Mogę wejść?

Drzwi kuli rozsunęły się i Mirski wszedł do środka.

– Wkrótce ruszają – oznajmił. – Gdy wystartujemy, nie będzie już odwrotu. Zostanie pan tutaj na zawsze.

Rimskaya wyglądał strasznie – blady, ze sterczącymi na wszystkie strony rudymi włosami i czterodniowym zarostem.

– Zostaję – oświadczył. – Zdecydowałem się.

– To samo powiedziałem naszej hostessie.

– Występuje pan w moim imieniu?

– Nie.

– Co to pana obchodzi? Zmartwychwstał pan. Nie dba pan ani trochę o swoją pozycję. Właśni ludzie próbowali pana zabić. Jeśli chodzi o mnie, zostawiłem... obowiązki, lojalność.

– Dlaczego? – zapytał Mirski.

– Cholera, nie wiem.

– Może ja wiem.

Rimskaya spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Chce pan zobaczyć to, co ostateczne – powiedział Mirski.

Rimskaya tylko patrzył, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając.

– Pan, ja, Rożeński, może nawet ta kobieta, nie umiemy dostosować się do otoczenia. Nie zadowala nas tylko jedno życie. Sięgamy dalej. – Uniósł dłoń. – Zawsze chciałem zobaczyć gwiazdy.

– Chciał pan zobaczyć gwiazdy, więc wyruszył pan w kosmos, by toczyć wojnę! – stwierdził Rimskaya. – Nie wiadomo, co zobaczymy. Dalszy ciąg tego zapomnianego przez Boga korytarza. – Ukrył twarz w dłoniach. – Przez całe życie byłem bezkompromisowy. Wszyscy uważali mnie za pozbawionego uczuć starego... dupka. Matematyka, socjologia i uniwersytet. Moje życie toczyło się w czterech ścianach. Gdy wysłano mnie na Kamień, Boże, co to było za przeżycie! A potem ta okazja.

– Wiemy, że to będzie ciekawe, znacznie bardziej niż to, co moglibyśmy zastać na Ziemi.

– Tamci wracają, żeby uratować Ziemię – zauważył Rimskaya, zaciskając pięści.

– Czy to czyni nas nieodpowiedzialnymi? Może. Ale nie bardziej niż innych ludzi w tej połowie miasta.

Rimskaya wzruszył ramionami. – Proszę posłuchać. Podjąłem decyzję i będę się jej trzymał. Nie martwcie się o mnie. Wszystko będzie dobrze.

– Tylko to chciałem usłyszeć – powiedział Mirski.

– Nosi pan implant, który panu dali? – zapytał Rimskaya.

Mirski odchylił prawe ucho i pokazał urządzenie.

– Ja też mam – powiedział Rimskaya. Otworzył pięść, pokazując urządzenie wielkości orzeszka ziemnego.

– Będzie go pan potrzebował – stwierdził Mirski. Zwlekał jeszcze chwilę z odejściem. Amerykanin wolno uniósł implant i umieścił za uchem.

– Rozstaniemy się teraz – powiedział Ry Oyu do córki i Yatesa. Wyciągnął dłoń na pożegnanie. Olmy, Patricia, Lanier i Korzeniowski czekali na nich obok dysku.

– Co on zamierza? – zapytała Patricia.

– Przejdzie przez bramę – odparł Olmy. – Będzie mu towarzyszył talsit i jeden z frantów. Reszta poleci z nami.

– On tego nie przeżyje – powiedział Lanier. – Nie mogą zabrać ze sobą dość jedzenia, tlenu, nie ma czasu na przygotowania...

– Nie pójdzie tam we własnym ciele – wyjaśnił Olmy. – Żaden z nich. Przeniosą swoją osobowość do robota. Przeprowadzą tyle badań, ile zechcą, otworzą inne bramy, zaczekają na Axis City, jeśli miasto dotrze na tę odległość. Mają zapas energii na miliony lat.

Prescient Oyu wolno potrząsnęła głową, patrząc na ojca.

– Byłeś dla mnie dobry – powiedziała. – Będzie mi brakowało naszych rozmów...

– Jedź z geszelami – powiedział Ry Oyu. – Może znowu się spotkamy, gdzieś na Drodze. Kto wie, co dalej zrobią, jeśli się im powiedzie. A poza tym, ktoś zawsze może znowu otworzyć tę bramę, znaleźć nas...

– Nikt nigdy nie odnajdzie tej bramy – zapewniła go. – Tylko ty mógłbyś ją znaleźć i otworzyć.

– Ona ma rację – wtrącił Yates. – Ty to potrafiłeś. Ry Oyu skinął głową w kierunku Patricii.

– Korzeniowski albo ta Ziemianka. Oni potrafiliby, ale Korzeniowski wróci na Ziemię, a ona będzie się oddawała złudzeniom. Cóż, w każdym razie nic nie jest ostateczne.

– Jest – powiedziała Prescient Oyu. – Wracam na Ziemię. Do tego dążyliśmy. – Puściła dłoń ojca.

Odźwierny przesłał jej symbol: niebiesko-zielono-brązową Ziemię spowitą chmurami, które wyglądały jak żywe, i otoczoną pierścieniem DNA, oraz uproszczone równanie, które Korzeniowski znalazł w jednym z artykułów Vasquez. Za Ry Oyu czekał talsit w kapsule i frant w białym płaszczu oznaczającym pożegnanie, nałożonym chwilę wcześniej. Prescient Oyu pocałowała ojca i wróciła do osób czekających przy dysku.

Odźwierny i jego towarzysze ruszyli w stronę nowej bramy. – On wypełnia przysięgę wobec Hexamonu – powiedziała Prescient Oyu, gdy dysk zamknął się wokół nich. – Poprowadzi Axis City, jeśli się spotkają. – Wyciągnęła rękę do Patricii, która znowu miała wilgotne oczy, i dotknęła jej policzka. Zdjęła łązę i umieściła na własnym policzku.

Olmy wydał dyskowi polecenie startu. Polecieli do czekającego na nich statku.

Oba statki, odźwiernego i obronny, którym tutaj przylecieli, odczepione od flaw, wisiały podtrzymywane przez pola trakcyjne. Był to środek ostrożności na wypadek, gdyby z północy nadleciały jednostki ewakuacyjne. Olmy bez wahania podjął decyzję. Wybrał mniejszy i szybszy statek, gdyż liczył się dla nich czas.

Musieli dogonić miasto, zanim osiągnie szybkość jednej trzeciej c. Istniały dwa wyjścia: geszelowie mogli na krótko wyłączyć generatory i przepuścić ich statek albo też oni mogli odłączyć się od osobliwości, usunąć pod ścianę i przeczekać strumień cząsteczek i atomów pędzących przed miastem.

Jednak jeszcze przed spotkaniem musieli spełnić obietnicę daną Patricii.

Zamierzali ją wysłać z urządzeniem do otwierania bram na dół w którymś z pustych sektorów Drogi, gdzie istniało prawdopodobieństwo znalezienia zagęszczeń czasoprzestrzeni. Miała bardzo

mało czasu na wykonanie pracy. Front plazmy się zbliżał.

Yates zaprowadził Patricię na tył statku i udzielił jej ostatnich instrukcji, jak posługiwać się urządzeniem.

– Pamiętaj – powiedział na koniec – masz instynkt i dobre chęci, ale mało umiejętności. Masz wiedzę, ale brak ci doświadczenia. Nie wolno ci się spieszyć, musisz postępować rozważnie i ostrożnie. – Wziął ją za ramiona. – Wiesz, jakie są szanse powodzenia?

Skinęła głową.

– Niezbyt duże.

– I nadal jesteś zdecydowana podjąć ryzyko? Potwierdziła bez wahania. Yates puścił ją i wyjął z kieszeni małe pudełko.

– Gdy przekażę ci obojczyk, osiągnie właściwe rozmiary. Będzie pracował tylko dla ciebie. Jeśli umrzesz, rozsypie się w pył. Jak długo będziesz żyła, będzie ci służył. Co prawda nie wiem, na co się może przydać, jeśli ci się uda. Otwiera nowe bramy tylko z Drogi, a nie z innego miejsca. Rozpozna poprzednie bramy, nawet jeśli będą zamknięte...

Yates wyjął z pudełka urządzenie, mające zaledwie dwanaście centymetrów długości, i wcisnął jej do lewej dłoni.

– Weź oba uchwyty – polecił. Obojczyk przesłał Yatesowi strumień czerwonych symboli.

– Jeszcze cię nie rozpoznaje – powiedział. – Prosi o instrukcje od ostatniego właściciela. Zreaktywuję go. – Przesłał urządzeniu zakodowany rozkaz.

Urządzenie powoli powiększyło się w dłoniach Patricii, aż osiągnęło takie same rozmiary jak obojczyk używany przez Ry Oyu.

– Teraz przekazuję ci kontrolę nad nim. – Kolejne zakodowane instrukcje i nagle Patricia poczuła przepływ ciepła między sobą a urządzeniem.

Korzeniowski obserwował ich z odległości kilku metrów. Lanier unosił się za nim w powietrzu.

– Mogę teraz z nim rozmawiać – stwierdziła Patricia ze zdumieniem. – Mogę mu bezpośrednio przekazywać polecenia...

– A ono może się porozumiewać z tobą. Jest aktywne, a ty jesteś jego panią – powiedział Yates. W jego głosie brzmiała nuta smutku.

Korzeniowski zbliżył się do nich.

– Mam pewne pomysły dotyczące twoich poszukiwań, pewne sugestie – powiedział.

– Chciałabym je usłyszeć – odparła Patricia.

Ze stałym przyspieszeniem dwudziestu g statek leciał Drogą na południe.

Front plazmy dotarł do sektora na sześćdziesiątym kilometrze, gdzie znajdowała się na ostatnia brama. Pod wpływem ogromnego żaru rozpadła się pierwsza bariera, a niewielka oaza zamieniła się w popiół. Studnie zamknęły się, a powierzchnia Drogi wygładziła.

Ostatnie przekazy z bram na kontrolowanej przez ludzi części Drogi mówiły o ewakuacji. Miliony ludzi postanowiły zostać w światach, do których prowadziły bramy. Nie chcieli wybierać między podzielonymi dzielnicami Axis City. Zamknięto handel na Drodze i zapieczętowano bramy, przygotowując się do przelotu geszelskich dzielnic miasta i czoła plazmy.

Pomimo bliskości frontu Olmy zaczął zwalniać. W ładowni statku znajdowały się dwa samoloty w kształcie spłaszczonych strzał. Prescient Oyu przygotowała jeden dla Patricii.

Patricia podeszła do Laniera i mocno go uściśnęła.

– Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś – powiedziała.

Lanier chciał ją przekonać, żeby nie podejmowała próby, ale nie odważył się.

– Bardzo dużo dla mnie znaczysz – wyznał.

– Nie jestem już żółtodziobem, którego musiałeś pilnować? – zapytała, uśmiechając się.

– Czymś więcej. Ja... – Odwrócił wzrok, usiłując nad sobą zapanować, i potrząsnął głową. – Jesteś kimś, Patricio. – Roześmiał się przez łzy. – Nie wiem kim, ale naprawdę kimś.

– Chciałby pan polecieć z nią? – zapytał Olmy, zbliżając się do nich.

– Co takiego? – zapytał Lanier.

– Będzie potrzebowała pomocy. Ja idę.

Prescient Oyu dostrzegła zmieszanie Laniera i wyjaśniła:

– Stworzysz ducha. Oczywiście nie będziesz miał z nim kontaktu, ponieważ musimy ruszyć natychmiast po tym, jak zostawimy Patricię.

– Duchy nie umrą? – zapytał Lanier.

– Zostaną zniszczone razem z monitorami – powiedział Olmy. – Ale my nie.

Lanier poczuł zamęt w głowie.

– Tak – zdecydował. – Bardzo bym chciał.

„Ramon czytający »Tiempos de Los Angeles, Rita przygotowująca posiłek. Powrót do domu. Czekający Paul. Co powiem Paulowi? »Nie uwierzyłybyś...« Albo »Byłam niewierna, Paul, ale...« Albo tylko uśmiechnę się do niego i zaczniemy wszystko od nowa”.

Olmy i Lanier, a raczej ich duchy, usiedli w samolocie obok Patricii. Patricia trzymała urządzenie na kolanach. Ekran ukazywał pustą gładką powierzchnię Drogi. Mocniej ścisnęła uchwyty urządzenia, chłonąc przekazywane przez nie informacje o cechach nadprzestrzeni w każdym punkcie „pod” powierzchnią Drogi.

To, czego szukała, było trudniej znaleźć niż konkretne ziarnko piasku na plaży. Szukała świata, gdzie nie nastąpiła Śmierć i gdzie jej również nie było. Gdzie przybył Kamień, ale nie spowodował wojny, i gdzie jej odpowiedniczka umarła.

Gdyby go nie znalazła (wiedziała, że takie miejsce musi istnieć), zamierzała poszukać świata, gdzie żyją dwie Patricie. Zamierzała znaleźć drogę do domu. Spojrzała na ducha Laniera. Uśmiechnął się do niej, dodając otuchy, mimo że sam czuł się niepewnie.

I nagle, bez żadnego powodu, poczuła się wspaniale. Zamknęła się we własnym świecie, uniezależniła od wszystkiego, co minęło, nie dbała o to, co nadejdzie. Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Nie była to ani pewność siebie, ani euforia. To była po prostu akceptacja wszystkiego, co przeżyła i co jeszcze miała przeżyć, pogodzenie się z faktem, że jest inna. Od dzieciństwa marzyła, by poświęcić się najbardziej niezwykłym rzeczom. Nie chciała prowadzić normalnego życia. Ponieważ świat był, jaki był, dawno już postanowiła, że sama sobie stworzy w wyobraźni własną rzeczywistość. I wtedy świat się zmieni. Światy zmieniły się w jakiś niepojęty sposób, zapewniając przeżycia, które pamiętała ze swoich wizji. Może jeszcze dziwniejsze i wspanialsze, gdyż złożyły się na nie działania dziesięciu miliardów ludzi i nie wiadomo ilu nie ludzi.

Nie czuła się ani trochę osamotniona czy wyjątkowa. Uświadomiła sobie jednak, że ma niezwykle życie. Już spełniła swoje najbardziej szalone i najskrytsze marzenia.

„Wszystko inne jest premią”, pomyślała. „Nawet powrót do domu”.

Samolot wylądował gładko na Drodze. Urządzenie emitowało przyjemny szum, informując ją, że powinni być kilka kilometrów dalej na południe. Powiedziała o tym duchowi Olmy’go, który poderwał samolot, żeby wykonać krótki skok.

W górze statek przyspieszył, lecąc na południe.

Zamknęła oczy, dopuszczając do siebie strumień wrażeń płynących z urządzenia. Wydawało

się jej, że widzi każde skupisko alternatywnych światów, że je poznaje, jest ich częścią. Nie mogła jednak zrobić nic więcej, jak tylko kierować urządzeniem. Nie otrzymywała żadnych informacji o innych rzeczywistościach. Wiedziała tylko, że istnieją, i poznawała odpowiedź na pytanie, czy mieszczą się w zakresie, który przeszukiwała.

W przeciwieństwie do niej duchy nie potrzebowały pola ochronnego. Olmy przygotował dla niej bańkę trakcyjną Lanier trzymał się blisko niej. „Ile z niego jest tutaj?” zastanawiała się. „Jak to jest, kiedy partia! ginie?”

Skupiła całą uwagę na urządzeniu. Właz na dziobie otworzył się i Patricia wyszła na powierzchnię Drogi, otoczona elastyczną, słabo jarzącą się bańką trakcyjną. Lanier i Olmy szli obok niej bez żadnej ochrony, mimo że znajdowali się w próżni.

– Masz jakieś pół godziny – poinformował Olmy. Monitor przekazywał głos do jej naszyjnika. – Potem promieniowanie frontu plazmy stanie się zbyt niebezpieczne. Czy to ci wystarczy?

– Myślę, że tak. Mam nadzieję. – Patricia sprawdziła torbę. Wszystko było na miejscu: multimetr, procesor, tabliczki i bloki.

Trzymała urządzenie przed sobą, szukając. Przez dziesięć minut chodziła w tę i z powrotem, na północ i na południe, za każdym krokiem mijając mnóstwo alternatywnych światów. Odrzucała większość docierających do niej wrażeń, żeby nie przeciążać zmysłów.

Po następnych dziesięciu minutach zlokalizowała odcinek o długości kilku centymetrów. Czuli, że tam znajduje się punkt, którego szukała. Uklękła, a bańka trakcyjna dostosowała się do kształtu ciała. Urządzenie samo przeszukiwało niewielki obszar, a ona tylko trzymała je w rękach.

Po pięciu kolejnych minutach zlokalizowała miejsce z dokładnością do ułamków milimetra. Dane o każdym świecie były teraz dokładniejsze. Rzeczywiście znajdowała się blisko alternatywnej Ziemi. Także czas niemal się zgadzał, z dokładnością do kilku lat.

– Pospiesz się – ponaglił Olmy. – Front plazmy jest blisko.

To było bardzo trudne zadanie. Jej teorie okazały się zbyt ogólne. Nawet w najmniejszych wycinkach zagęszczenia czasoprzestrzeni pojawiały się światy różniące się od siebie zasadniczo. Teraz rozumiała, dlaczego Korzeniowski i jego zwolennicy uważali obszary o zaburzonej geometrii za bezużyteczne.

Urządzenie znieruchomiło. Nie potrafiła stwierdzić, czy znalazła właściwe miejsce, ale mogłaby tak szukać jeszcze przez wiele dni i to bez skutku. Zamknęła oczy.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

– Więc zrób to – powiedział Lanier. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję... za wszystko. Lanier skinął głową.

– Nie ma za co. To było fascynujące.

– Prawda?

Przystąpiła do otwierania bramy. W północnej części korytarza pojawiła się czerwona poświata. Z sekundy na sekundę zmieniała kolory: od pomarańczowego po przerażający zielonkawoniebieski...

Urządzenie wydało przenikliwy gwizd. Patricia zobaczyła w dole wirujący krąg trochę ponadmetrowej średnicy, wewnątrz którego ukazał się zniekształcony obraz niebieskiego nieba, jasnych dużych kształtów i wody...

Nie umiała dokładnie określić miejsca. Wyczuwała, że trafi na ląd, ale nie miała pojęcia na jaki. Tak czy inaczej ochroni ją pole trakcyjne.

Duch Laniera nachylił się, żeby pocałować ją na pożegnanie. Jego wargi były ciepłe

i miękkie.

– Ruszaj! – rozkazał Olmy.

Weszła w bramę. To przypominało jazdę z górki. Wszystko kręciło się i wirowało wokół niej. Puściła na chwilę urządzenie, ale zaraz je złapała jedną ręką. Dobiegł ją szum wody, zobaczyła w oddali coś ogromnego i białego, oślepiające słońce...

Lanier i Olmy zwrócili się twarzami w kierunku zbliżającej się plazmy.

„To wcale nie jest umieranie”, pomyślał Lanier. „Moje właściwe ja teraz ucieka. Ale nigdy nie przeżyje czegoś podobnego. Nigdy mu tego nie przekażę”.

Otoczył ich oślepiający blask. Olmy skrzywił się i jednocześnie uśmiechnął, chłonąc wrażenia. Już wcześniej wysyłał swoje duchy na śmierć i nigdy się nie dowiedział, jakie to uczucie. Teraz mógł tego doświadczyć bezpośrednio...

A oryginalny Olmy nigdy tego nie zazna.

– Monitory wytrzymają w plazmie ułamek sekundy – wyjaśnił Lanierowi. – Spędzimy moment w sercu gwiazdy...

Lanier, bez bólu, bez strachu, stanął twarzą na północ i spojrzał w środek pieca pędzącego na nich z szybkością sześciu tysięcy kilometrów na sekundę.

Nie było nawet czasu, by rozkoszować się doznaniem.

Na statku, niebezpiecznie blisko żarłocznej plazmy, Lanier zamknął oczy i powiedział sobie, po raz kolejny, że wypełnił obowiązki i towarzyszył swojej podopiecznej do końca.

Kurczowo trzymając urządzenie, z torbą przewieszoną przez ramię, Patricia wpadła z wysokości pięciu czy sześciu metrów do wody.

Nawet się nie zamoczyła. Leżała oszołomiona na dnie bańki trakcyjnej. Woda – rzeka albo kanał – zniosła ją kilkadziesiąt metrów od bramy. Patricia rozejrzała się, żeby się zorientować, gdzie jest.

I dobrze się stało. Z bramy wypłynął wielki niebieskawy pióropusz i zamienił wodę w parę, pokrywając wszystko gęstą, białą chmurą. Na szczęście dla niej i dla wszystkiego w promieniu kilkuset metrów brama zasklepiła się na zawsze w ułamku sekundy.

Patricia leżała w bańce, częściowo oślepiiona, zakrywając dłonią oczy. Dryfowała przez kilka minut, zanim utknęła na mieliźnie. Wtedy odzyskała wzrok.

Wstała i z bijącym sercem rozejrzała się po okolicy.

Znajdowała się na brzegu szerokiego prostego kanału o mętnej brązowej, leniwie płynącej wodzie.

Brzeg porastały wysokie zielone trzciny. Niebo było intensywnie błękitne, bezchmurne, a słońce świeciło jasno.

Z lekkim niepokojem otworzyła bańkę trakcyjną i wzięła głęboki oddech. Powietrze było słodkie, czyste i ciepłe.

Od paru miesięcy, z wyjątkiem krótkiego pobytu na Timbl, nie czuła się tak ciężka. Tym razem nie miała pasów, które by skompensowały siłę przyciągania.

Jednak niezaprzeczalnie to była Ziemia, nie zniszczona bombami atomowymi. Okolica wydawała się znajoma. Wszystko to widziała już wcześniej... w szkółce niedzielnej, do której Rita uparła się ją posyłać w dzieciństwie.

Oslaniając oczy, Patricia spojrzała na zachód.

Po drugiej stronie kanału, na płaskowyżu stały białe odbijające światło piramidy. Musiały się znajdować w odległości wielu kilometrów, ale w czystym pustynnym powietrzu były wyraźnie widoczne. Poczowała podniecenie.

To był Egipt. Z Egiptu ruszy dalej, to niewielki problem. Będzie się mogła stąd dostać do domu.

Rozejrzała się. Na rozklekotanym pomoście wśród trzciny stała mała brązowoskóra dziewczynka, wyglądająca na dziesięć lub jedenaście lat. Była naga, jeśli nie liczyć białej przepaski na biodrach. Włosy miała splecione w mnóstwo długich warkoczyków ozdobionych na końcu niebieskimi kamykami. Dziewczynka patrzyła na Patricię ze zdumieniem pomieszany ze strachem.

– Cześć! – zawołała Patricia, gramoląc się na piaszczysty brzeg. – Mówisz po angielsku? Możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

Dziewczynka odwróciła się zwinnie i uciekła. Przez straszną chwilę Patricia zastanawiała się, czy nie przeskoczyła kilku tysiącleci w czasie i czy to nie jest starożytny Egipt.

Wtedy usłyszała odległy grzmot i spojrzała w górę. Poczła tak wielką ulgę, że omal nie wydała okrzyku radości. Wysoko nad pustynią leciał samolot, chyba odrzutowiec.

Idąc wzdłuż brzegu kanału, zastanawiała się, czy reaktywować bańkę trakcyjną, gdyż słońce zaczynało dotkliwie przypiekać. W końcu natrafiła na drogę i ruszyła nią. Za gajem palm daktylowych zobaczyła małe miasteczko zbudowane na planie kwadratu. Domy z pobielonych cegieł były przysadziste i prawie identyczne. Wokół kręciło się niewielu ludzi. Minęło właśnie południe i z pewnością wszyscy odpoczywali.

Coś ją zaniepokoiło. Nie myślała o tym wcześniej, ale teraz sobie przypominała...

Odłożyła urządzenie na kamienną drogę, osłoniła oczy dłońmi i znowu spojrzała na zachód. Z tego miejsca dostrzegła, że piramidy są otoczone gęstymi laskami. Nie potrafiła rozpoznać gatunku drzew. Wydało się jej to dziwne. Czy egipskie piramidy nie wznosiły się na pustyni?

I ile dużych piramid było na Ziemi? Trzy?

Naliczyła osiem białych piramid o gładkiej powierzchni, ciągnących się rzędem po horyzont.

– Zabłądziłam – powiedziała do siebie cicho.

Lanier stał samotnie na dziobie statku, zadowolony, że ma spokój. Za oknami przesuwały się tysiące kilometrów korytarza.

Wszystko sprowadzało się do tego, że był więcej winien Ziemi niż Patricii. I nie mógł jej towarzyszyć w podróży, zadbać o jej bezpieczeństwo, ponieważ to nie była jego podróż.

Przeżyła? Dotarła do celu?

Nawet jeśli tak, to znajdowała się daleko na Drodze światów jak ze snu lub koszmaru, a dla niego jakby umarła.

Olmy zbliżył się do niego z tyłu i chrząknął.

– Czuję się dobrze – rzucił Lanier z rozdrażnieniem.

– Nie o to chodzi – powiedział Olmy. – Pomyślałem, że może będziesz chciał poznać sytuację. Znajdujemy się daleko przed frontem plazmy. Promieniowanie jest znośne, choć proponowałbym fizyczną sesję talsitu, gdy dotrzemy na miejsce.

– A co z miastem?

– Komunikowaliśmy się z nimi. Lecą teraz w naszym kierunku. Zgodzili się unieść kłamry i przepuścić nas pod sobą.

– Czy to się uda?

– Przy odrobinie szczęścia tak – odparł Olmy. – Będą lecieli z prędkością trzydziestu procent

c.

– Przypuszczam, że to będzie niezły widok – zauważył Lanier.

– Wątpię, czy cokolwiek zobaczymy – powiedział Olmy.

– To tylko zwrot retoryczny.

– Tak. Może chcesz coś zjeść? Ser Yates ucieszyłby się z twojego towarzystwa.

– Kiedy spotkamy miasto?

– Za dwadzieścia siedem minut – odparł Olmy. Lanier przełknął ślinę i odwrócił się.

– Chętnie coś zjem.

Zjadł jednak bardzo mało, rozglądając się nerwowo po kabinie. Patrzył na nieładzi zamkniętych w bankach trakcyjnych: niektórzy spali, inni byli niepokojąco aktywni (wąż z czterema głowami wykonywał szybki, skoczny taniec w zielonym płynie); na Prescient Oyu, która odwzajemniła jego spojrzenie; na jedzącego Yatesa, który wyglądał najbardziej ludzko z nich i miał najbardziej naturalny sposób bycia.

Olmy był spokojny i milczący. Obok niego unosił się w powietrzu owinięty w sieć linii trakcyjnych robot, który przechowywał zrekonstruowaną osobowość Korzeniowskiego i część osobowości Patricii. Obraz był wyłączony, gdyż trwał długi proces dojrzewania.

Lanier odsunął nie dojezdzonego posiłek i powiedział, że zaczeka na dziobie. Olmy skinął głową.

Ruszyli tłumnie do przodu: Lanier, Olmy i Yates oraz dziwne stworzenie w kształcie litery U otoczone polem kwarantanny. Dwaj frantowie odpoczywali zwinięci w kłębki, tak że wystawały im tylko szyje i głowy.

Widoczne za oknami czerń i złoto zamieniły się w ciepły kolor pomarańczowy i brązowy. Trasa pulsowała bladym różem.

– Jeszcze tylko kilka sekund – powiedział Olmy. Droga zdawała się wydymać na zewnątrz we wszystkich kierunkach. Lanier poczuł mrowienie w rękach i palenie w oczach. Osobliwość zajaśniała oślepiającym błękitem.

Przezroczysty dziób statku ciemniał coraz bardziej, żeby uchronić ich przed blaskiem. Trasa przechodząca przez środek statku wibrowała. „Jeszcze tylko kilka sekund życia... mniej...” Lanier odniósł wrażenie, jakby eksplodował. Krzyknął z bólu i zaskoczenia. I już było po wszystkim. Wpadł w sieć linii trakcyjnych i zamrugał oczami. Droga znowu przybrała czarną i złotą barwę. Trasa świeciła różowawo.

– Nie ma żadnych uszkodzeń – oznajmił Olmy.

– Niezupełnie – powiedział Yates, trzymając się za oko. Lanier niechętnie uderzył go łokciem. Przeprószył.

– Nic się nie stało – odparł Yates. – Kolejny pretekst, by zakosztować więcej talsitu. To wszystko jest nawet ekscytujące.

Połączone Axis Nader i Central City przyspieszając do czterystu g spotkały się z frontem plazmy. Powstała pierwsza czasoprzestrzenna fala uderzeniowa, zapoczątkowując proces przekształcania się Drogi w wydłużoną nową.

Poziom promieniowania na zewnątrz statku gwałtownie wzrósł.

Wokół obwodu siódmej komory rozmieszczono ładunki. Inżynierowie po raz ostatni sprawdzili maszynię szóstej komory, która po oddzieleniu się asteroidu od Drogi miała zostać poddana ogromnym przeciążeniom wynikającym z konieczności tłumienia destrukcyjnych sił wewnątrz komór. Jednocześnie miała zakończyć swoją rolę stabilizatora Drogi.

Axis Thoreau i Euclid znalazły się sto tysięcy kilometrów na pomoc od siódmej komory. W dwóch cylindrach panowało wielkie zamieszanie. Większość obywateli – ortodoksyjnych i liberalnych naderytów oraz zaskakująco duża liczba homomorficznych geszelów – otrzymała nowe kwatery. Niewielu znało dzielnice, w którym mieli teraz zamieszkać. Panował nastrój wakacji, radości, a jednocześnie niepokoju.

Ziemiańskie setkami wypełniali gmachy publiczne, gdzie zajmowali się nimi geszelscy lekarze i adwokaci.

Jeden z homomorfów – Hoffman włączyła to słowo do szybko poszerzającego się słownika – pobierał próbki skóry od dwudziestu Ziemiań. Ona również czekała w kolejce. Dla każdego miał uśmiech i kilka stosownie dobranych słów otuchy. Był przystojny, choć nie w jej guście. Miał zbyt ostre rysy i nie wyróżniał się spośród dziesiątków innych homomorfów. A może to ona nie była dość spostrzegawcza. W jej świecie nieuniknione defekty urody – niekształtne nosy, otyłość, braki w uzębieniu – dawały w rezultacie ogromną różnorodność fizjonomii.

Po zmagazynowaniu próbek homomorf wziął z dryfującego stolika puchar w kształcie twarzy.

– To służy do wykonywania wielu analiz medycznych – poinformował. – Testy są dobrowolne, ale współpraca jest mile widziana.

Wszyscy po kolei zaglądali do pucharu i obserwowali przez kilka sekund serię skomplikowanych wzorów.

Podczas wszystkich badań Hoffman ani przez chwilę nie miała poczucia zniewolenia. Wręcz przeciwnie, panowała atmosfera koleżeństwa. Wiele osób z dumą wyświetlało flagi nad lewym ramieniem. Flagi Indii, Australii, Chin, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Związku Radzieckiego i wielu innych krajów. Wszyscy aż się palili, by mówić do swoich podopiecznych ich ojczystymi językami.

Po zakończeniu badań lekarskich zaprowadzono ich do wind. Do Hoffman podeszła Ann Blakley. Towarzyszyła jej Doreen Cunningham, była szefowa ochrony osiedla naukowców.

– Wszyscy są tacy spięci – szepnęła Cunningham do Hoffman.

– Ja nie – odparła Hoffman. – Czuję się jak na wakacjach. Ależ tu tłumy. O Boże. – Właśnie

zajrzała do windy, która nie miała podłogi. Nakłonienie Ziemiaków, by do niej wsiedli, wymagało sztuki perswazji ze strony opiekunów.

Grupa składała się z sześćdziesięciu osób. Wszyscy kurczowo trzymali się siebie. Cunningham zamknęła oczy. Powiedziała Hoffman, że Rosjanie są przygotowani na najgorsze.

– Ktoś mi mówił, że kilku ludzi zdezerterowało – rzuciła Hoffman, przezornie wpatrując się w plecy znajdującej się przed nią osoby. Nie doznawała żadnych nieprzyjemnych sensacji, ale podróż niezbyt się jej podobała.

– Czterech. Dwaj Rosjanie i dwoje Amerykanów. Tak słyszałam – powiedziała Ann.

– Wiadomo kto?

– Rimskaya – odparła Cunningham. – I Beryl Wallace.

– Beryl... – Uniosła brwi i potrząsnęła głową. – Nie spodziewałabym się tego po niej... ani po Rimskayi. – Czyżby miała uczucie, że ją zdradzili? To śmieszne. – A co z Rosjanami?

– Jeden z nich to Mirski – powiedziała Ann. – Nie znam nazwiska drugiego.

Decyzja Mirskiego nie była dla niej zaskoczeniem. Lepiej potrafiła ocenić obce osoby niż własnych podwładnych. Taki to miała instynkt administratora.

Ich kwatery były rozrzucone po całej dzielnicy. Gdy grupy podzieliły się, pojawili się następni homomorfowie, którzy zaprowadzili ich do apartamentów znajdujących się na różnych poziomach.

– W każdym apartamencie będą mieszkały po trzy osoby – uprzedził ich opiekun. – Przestrzeń życiowa jest teraz w cenie.

– Razem? – zapytała Cunningham Hoffman i Blakley.

– Razem – odpowiedziała Hoffman. Blakley skinęła głową.

Ich dwunast osobowa grupka szybko malała, w miarę jak opiekunowie odprowadzali wszystkich do kwater. Jej trójkę eskortowała kobieta, która wyświetliła nad ramieniem rosyjską flagę. Apartament znajdował się na samym końcu długiego, łagodnie zakręcającego korytarza. Gdy zbliżyły się do drzwi, na podłodze zaświeciły się zielone cyfry.

Pokoje były małe i puste. Kobieta została, żeby nauczyć gości posługiwania się serwisem danych. Następnie życzyła im powodzenia i wyszła.

– Co za pośpiech – skomentowała Blakley, potrząsając głową.

– Skoro nie mamy nic do roboty – powiedziała Hoffman – możemy się rozgościć.

Po paru minutach żywo dyskutowały z przydzielonym im duchem o możliwościach urządzenia wnętrza. Do Przełomu, jak nazwano opuszczenie Drogi, pozostawało kilka godzin. Hoffman wykorzystała ten czas, by się skontaktować z innymi.

Blakley i Cunningham zdecydowały się na tymczasowy wystrój, który ożywiał mieszkanie i dawał wrażenie przestrzeni. Hoffman dołączyła do nich wkrótce, żeby obejrzeć rezultat ich pracy i spróbować jedzenia przygotowanego przez automatyczną kuchenkę stojącą w kącie.

Obywatele miasta i Ziemiaków, poinformował ich duch, mogą być świadkami wejścia na orbitę. Monitory rozmieszczone w całym Thistledown miały transmitować całą operację. Każdy mógł mieć najlepsze miejsce.

Przejęte urządzeniem mieszkania kobiety usiadły przed monitorem, żeby zobaczyć, co się dzieje w asteroidzie i połowie miasta.

Obrazy były aż za realistyczne. Po kilku minutach Cunningham odwróciła się od ekranu i zaczęła niepohamowanie chichotać.

– To śmieszne – wydusiła, kulając się po dywanie w orientalne wzory. – Przeróżające.

Blakley zaraziła się od niej śmiechem.

– Wpadamy w histerię – stwierdziła, powodując kolejny atak. – Nie mamy pojęcia, co się dzieje.

– A ja mam – oświadczyła Hoffman poważnie. Czowała się osamotniona.

– Co? – zapytała Cunningham, starając się zachować powagę.

Hoffman zwinęła dłoń w trąbkę.

– Wysadzą jeden koniec asteroidu. Północny biegun.

– Boże – powiedziała Cunningham, nagle poważniejąc. – Co by się stało, gdybyśmy go próbowali przewiercić? Gdzie byśmy się znaleźli?

– Wysadzą północny biegun – podjęła Hoffman, ignorując pytanie, na które nie było odpowiedzi – i oderwą Kamień od korytarza. A potem..

– Co? – zapytała Ann, też bardzo poważna.

– Miasto będzie stacją kosmiczną.

– A Kamień? – spytała Cunningham.

– Kolejnym księżycem.

– I wrócimy na Ziemię? Hoffman skinęła głową.

– Cholera – powiedziała Blakley. – Jakbym słuchała bajki. Może to dzień zmartwychwstania. Jak to nazywają? Wniebowstąpienie. Nieboszczycy unoszący się do nieba. Żywi opuszczający samochody przez dach. – Zakłopotana odwróciła się plecami do ekranu. – To nie ma sensu, prawda? Nie ma tu żadnych samochodów. Tylko aniołowie zstępujący z nieba.

Hoffman westchnęła głęboko.

– Masz rację. To bajeczka. – Potem nagle wybuchła śmiechem i długo nie mogła się powstrzymać, aż rozboleł ją brzuch, a twarz zrobiła się mokra od łez.

Godzinę przed zaplanowanym wybuchem poseł Rosen Gardner przesłał Hoffman pytanie, czy będzie mógł jej złożyć wizytę. Kilka minut później zjawił się pod drzwiami apartamentu. Hoffman zaprosiła go do środka. Wszystkie trzy odzyskały już panowanie nad sobą.

Gardner zakończył służbę na rzecz Hexamonu i zgłosił swoją kandydaturę na posła Nowego Nexus. Postanowił porozmawiać z Hoffman jako przedstawicielką Ziemi i logicznie myślącą osobą. Zapewnił, że będzie informowana o wszystkim na bieżąco, dzięki połączeniu z jego prywatnym bankiem pamięci i serwisem informacyjnym.

„Wakacje się skończyły”, pomyślała z odrobiną żalu. Znowu musi być gotowa na każde wezwanie.

– Przynoszę również pewną wiadomość – oznajmił, zakładając ręce za plecy. Zaczynała rozumieć ortodoksyjnych naderytów, pełnych poświęcenia, niemal rycerskich, podobnych do paru konserwatywnych polityków, z którymi miała do czynienia na Ziemi. – Mamy wieści o Patricii Louise Vasquez i czwórce wysłanej na jej poszukiwanie.

– Tak?

– Troje wróciło do nas. Lawrence Heineman, Karen Farley i Lenore Carrolson. Wstyd powiedzieć, ale przez jakiś czas byli jeńcami geszelów. Uwolniono ich, zanim Axis Nader i Central City odleciały. Wkrótce do was dołączą.

– A pozostali?

– Patricia Louisa Vasquez otrzymała szansę znalezienia drogi do domu – kontynuował ser Gardner. – Nie wiem, co to dokładnie oznacza. Nie znamy szczegółów. Ona i Garry Lanier polecili z odźwiernym i jego pomocnikami do punktu trzy do dziewiątej. Część z tych osób, w tym Lanier, jest teraz w drodze powrotnej. Bezpiecznie minęli się z Axis Nader i Central City. Nie zdążą jednak przyłączyć się do nas.

Nie miała pojęcia, kto to jest „odźwierny”, ale nie uznała za stosowne zapytać. Sprawdzi to później.

– Opuszczą korytarz?

– Nie wiem – odparł Gardner. – Ich przywódca, ser Olmy, zna nasze plany. Uważa, że zdążą przez zapieczętowanie Drogi. Musieli się zatrzymywać przy kilku bramach, żeby wysadzić gości z innych światów, i to spowodowało opóźnienie.

Hoffman spokojnie przyjęła wieści, uderzając lekko dłonią o udo. Sądziła, że członkowie wyprawy ratunkowej i Vasquez nie żyją lub zaginęli. Udało się jej o nich zapomnieć. Teraz znowu miała się czym martwić, gdyż nie wiedziała, jakie mają szansę ani co im grozi.

– Godzina zero będzie za trzydzieści trzy minuty – powiedział poseł Gardner. – Przy okazji, muszę poinformować, że grupka Ziemian zaczęła obywateli Hexamonu. W kwaterach w Axis Thoreau odbywają się szalone przyjęcia. Niektóre wasze kobiety świadczą usługi seksualne. Niestety nie wiem, w zamian za co. Zakazałem bywać tam moim ludziom.

Hoffman spojrzała na niego przestraszona, niepewna jak zareagować.

– Słuszna decyzja – zaryzykowała w końcu. – Nie wiem, kto kogo bardziej by zepsuł. Kamień.

Siedem komór: ciemność i spokój. Po przywróceniu rotacji w pierwszej utworzyły się chmury deszczowe.

W otworach wlotowych panowała absolutna cisza próżni i brakowało jakiegokolwiek aktywności, jeśli nie liczyć przelatujących od czasu do czasu małych monitorów.

W drugiej komorze słychać było tylko słaby świst wiatru. Wypadło dużo okien i pomimo wysiłków inżynierów zawaliło się parę budynków, w tym mega.

W trzeciej komorze sytuacja wyglądała podobnie, na szczęście budynki ocalały. Rozjarzone okna Thistledown City przypominały rój świetlików.

W czwartej komorze zniszczone lasy i rozszalałe wody w końcu zawarły ze sobą pokój. Osiedla zajmowane przez personel bloku zachodniego i wschodniego zostały zmyte, a szczątki popłynęły do jezior lub zatrzymały się na drzewach niedaleko brzegów.

Ci, którzy zginęli w czasie walki o Kamień, leżeli w grobach niczego nieświadomi. Zabrali ze sobą tajemnice. Ich osobowości przepadły na zawsze.

Piąta komora: ciemna i pusta jak ogromna ziemská pieczara. Stały szum wodospadów i rzek.

Szóstą komorę, jako jedyną oprócz siódmej, rozjaśniał niepewny blask rury plazmowej.

Rura plazmowa zamigotała i zgasła. Nieważne. Ukończono już wszystkie przygotowania i teraz tylko monitory patrolowały opustoszałe Thistledown Siódma komora. Od klapy wiał łagodny wiatr, szeleszcząc w zagajnikach karłowatych drzew. Ze słabym świstem przeleciał leniwie przez pusty namiot, poruszając klapami. Część namiotu zapadła się w miejscu, gdzie wysunął się palik. Zaskakujące, że zniszczeń było tak niewiele. Ładunki i detonatory czekały.

Połączone dzielnice Axis Thoreau i Euclid znajdowały się jeszcze daleko na Drodze. Z tego miejsca można je było zobaczyć tylko przez silny teleskop. Droga wydawała się pusta, nieskończona, wieczna i spokojna: największe dzieło ludzkich istot.

Wokół Thistledown – czarny kosmos, gwiazdy, Księżyc i biedna, spalona, skuta lodem Ziemia, na której niewiele osób, jeśli w ogóle ktokolwiek, myślało o asteroidzie lub możliwości ratunku. Kto mógł im przynieść ratunek pośród nieszczęścia i śmierci? Historia o nich zapomniała.

Silniki Beckmanna stanowiące napęd asteroidu już przygotowano do odegrania roli w dramacie, dostarczono paliwo, które miało ulec dematerializacji. Miały zamortyzować odrzut, wprowadzając jednocześnie Thistledown na kolistą orbitę wokół Ziemi, na wysokości dziesięciu

tysiący kilometrów.

Axis Thoreau i Euclid rozpoczęły samobójczy lot, pędząc prosto na klapę siódmej komory. W środku dwadzieścia dziewięć milionów istot ludzkich wykonywało różne czynności w oczekiwaniu na śmierć lub życie.

Pół kilometra za cylindrami gwałtownie wytracał szybkość niewielki statek obronny. Trasa jarzyła się fioletowo i niebiesko. Musiał zwolnić do prędkości orbitalnej Ziemi, zanim dogoni połączone dzielnice. Jeśli w ogóle istniała szansa, że dokona tej sztuki.

Wybuch ładunków umieszczonych w ścianach siódmej komory miał nastąpić jednocześnie.

Ogromne walce Axis Thoreau i Euclid leciały na południe w stronę siódmej komory z szybkością czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę lub jedenastu kilometrów na sekundę.

Detonatory zareagowały na sygnał.

W siódmej komorze rozległ się potworny huk. Miliardy ton skał i metalu wystrzeliły w stronę osi z siedmiu punktów, gdzie podłożono ładunki, i poleciały dalej w kosmos przez ogromne pęknięcia.

Wokół północnego bieguna pył i odłamki utworzyły szeroki wachlarz oświetlony białym blaskiem jaśniejszym od słonecznego. Jego barwa zmieniła się na czerwoną i purpurową. Od asteroidu oderwał się sześćdziesięciokilometrowej szerokości skalny kaptur. Między nim a asteroidem na krótką chwilę powstała dziura w kosmosie wypełniona światłem rury plazmowej, ukazująca nieskończoną perspektywę...

Z otworu wyleciały połączone Axis Euclid i Thoreau, ledwo unikając zderzenia z asteroidem. Stożkowate pola trakcyjne usuwały z drogi rumowisko. Przedzierając się pośród blednącego blasku przez wirujące odłamki skał i metalu, dzielnice oddaliły się na bezpieczną odległość od asteroidu. Wtedy włączyły się silniki Beckmanna, wprowadzając Thistledown na orbitę.

Droga stanowiła teraz odrębną całość. Dziura w kosmosie zaczęła się zasklepiać, przybierając wszelkie odcienie fioletu, morskiej zieleni, karminu, indygo. W próżnię pomknęły wiatry potężniejsze od tysięcy huraganów.

Droga zamknęła się.

Odcięła się na zawsze od świata.

Olmy usiadł wygodniej i zamknął oczy. Yates z ożywieniem zacierał ręce. Senator Oyu wydawała się opanowana jak zawsze, ale Lanier zauważył, że jej wzrok błądzi niespokojnie.

Skoro Prescient Oyu była zdenerwowana, choćby nawet lekko, a Olmy zrezygnowany, Lanier doszedł do wniosku, że ma wszelkie prawo się bać.

– Uda się nam? – zapytał.

– Z trudem – odparł Olmy, nie otwierając oczu. Lanier spojrzał na dziób.

Pod wpływem blasku siedmiu jednoczesnych wybuchów szyby zmatowiały. Teraz znowu zrobiły się przezroczyste. Jego oczom ukazał się początek Drogi, W środku świecącego kręgu stopionych szczątków asteroidu i zamarznętej pary wodnej znajdowało się czarne koło,

Koło zmniejszało się, pochłaniane przez opalizującą nicość, od której bolały oczy: przez nowy początek Drogi.

I nagle wewnątrz kurczącego się czarnego kręgu Lanier zobaczył matowobiały sierp. Zamrugał oczami.

Księżyc.

Statek wirując wszedł w atmosferę. Mieniąca się nicość prawie wypełniła swoje zadanie. Wydawała się prowadzić ich ku szybko kurczącej się czerni i sierpowi Księżyca,

Ze ścian uniosły się grudki ziemi i utworzyły nową opalizującą granicę, która przesłoniła

Księżyc.

– O Boże – szepnął Lanier, Splótł dłonie i zamknął oczy. QQQQQQ

Epilog

Pierwszy. 6. rok Po Śmierci.

„Wszystkie konie króla i wszyscy jego ludzie...”

To zdanie często przychodziło Heinemanowi do głowy, kiedy pilotował samolot w kształcie spłaszczonej strzały, oblatując zniszczony glob. To, czego nie spopieliła lub nie zatrąła sama Śmierć, spustoszyła Długa Zima. Przez jakiś czas wydawało się, że nawet pomysłowość, technika i zasoby Nowego Hexamonu nie zdołają poprawić sytuacji.

Lenore, od czterech lat jego żona, przypominała mu w najgorszych chwilach zniechęcenia:

– Udało im się z tego otrząsnąć bez niczyjej pomocy, więc nasza obecność wszystko przyspieszy.

Jednak nawet nadzieja na lepszą przyszłość nie mogła zmniejszyć napięcia i goryczy z powodu tego, co widział w ciągu jednego dnia poszukiwań.

Indie, Afryka, Australia i Nowa Zelandia oraz znaczna część Ameryki Południowej wyszły ze Śmierci ze stosunkowo niewielkimi zniszczeniami. Ameryka Północna, Rosja i Europa były praktycznie pozbawione życia. Chiny utraciły jedną czwartą populacji w wyniku bombardowań. Kolejne dwie trzecie umarły z głodu podczas Długiej Zimy, która dopiero teraz zaczynała ustępować dzięki pomocy przybyszów. Południowo-wschodnia Azja, prawie tak samo spustoszona, pogrążyła się w anarchii i chaosie.

Pokryte popiołem jałowe równiny, doliny i wzgórza zamieniały się w lodowce. Szare, nabrzmiałe śniegiem chmury rzucały czarne cienie na leżącą odłogiem ziemię. Kontynenty zostały opanowane przez bakterie, karaluchy i mrówki oraz przez garstkę zwierząt, które kiedyś nazywały siebie istotami ludzkimi, mieszkały w wygodnych domach, potrafiły ujarzmić elektryczność, czytały gazety i wyznawały prowincjonalne poglądy na rzeczywistość...

Które kiedyś miały czas na luksus myślenia.

Serce się od tego kroilo. Heineman zaczął myśleć o swoich kolegach, inżynierach, naukowcach i technikach, jako o narzędziach samego szatana. Odżyły w nim uśpione uczucia religijne. Wiedział, że wystawia na próbę cierpliwość Lenore, ale z nawiedzających go wizji apokalipsy, aniołów i zmartwychwstania czerpał przynajmniej jakieś pocieszenie, odnajdował sens życia, próbował zrozumieć Boży plan. Jeśli kiedyś był narzędziem szatana, teraz służył aniołom, które miały przekształcić Ziemię w raj.

Lenore wciąż próbowała mu wykazać, że inżynierowie byli równie odpowiedzialni za uratowanie Ziemi, jak za jej zniszczenie. Gdyby nie orbitalne platformy i cały kosmiczny system obronny, na Ziemi nie pozostałby nikt żywy. Platformy NATO i sowieckie unieszkodliwiły czterdzieści procent pocisków.

Za mało, za mało...

A ile dzieci, ile niewinnych istot, ile zwierząt...

Lenore jednak uważała, że nie ma niewinnych ludzi.

Często oczywiście miała rację.

Panowie, którym teraz służył, nie byli wcale doskonali jak aniołowie, lecz inteligentni, potężni, rozsądni. Ich przywódców nie cechowało ignoranckie zaślepienie ziemskich przywódców. Jednak różnili się między sobą, czasami nawet bardzo.

Tak więc Heineman i jego żona oblatywali ziemskie niebo i szkicowali mapę zniszczeń, mając nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy urosnie trawa i zakwitną kwiaty, kiedy ustąpią śniegi i powietrze nie będzie skażone. Pracował ciężko na ten dzień.

I był wierny swoim nowym panom, gdyż urodził się ponownie. Pierwszego dnia po powrocie na Ziemię miał ciężki atak serca.

Larry Heineman miał teraz drugie ciało. Lenore zapewniała go, że lepsze niż pierwsze.

Żywił co do tego wątpliwości, ale z pewnością czuł się lepiej.

Nad Nową Zelandią zapadał zmierzch, słońce chowało się w morzu. W górze rysowała się wyraźnie duża radiolatarnia Thistledown. Axis Thoreau i Euclid przecinały niebo w przeciwnym kierunku.

Garry Lanier wyszedł z namiotu talsit i zobaczył, że Karen Farley rozmawia z grupką farmerów przy ogrodzeniu obozu. Dwa tygodnie temu farmerzy przyprowadzili do obozu dzieci, które miały być poddane oczyszczeniu talsitem. One przynajmniej nie spłodzą potworków ani nie odczują skutków napromieniowania. Jeśli jednak chodzi o dorosłych, nie potrafili pozbyć się podejrzliwości i uprzedzeń. Plotki o inwazji obcych i hordach diabłów z nieba trafiały na podatny grunt. Widoczna ciąża Karen przekonywała ich, że mają do czynienia z istotami ludzkimi.

Lanier nie opowiedział jeszcze swoich przeżyć ocalałym Ziemianom. Kto uwierzyłby w tak nieprawdopodobną historię? Myśli każdego zaprzętała jedynie troska o życie i zdrowie dzieci, owiec, sąsiadów.

Stał z rękami w kieszeniach kombinezonu i obserwował Karen, która spokojnie rozmawiała z pasterzami. Żyli i pracowali razem od powrotu na Ziemię. Pobrali się dwa lata temu. Poświęcili się pracy i byli dla siebie dobrzy, ale...

Nie czuł się szczęśliwy i nie wyleczył się jeszcze z neuroz, których nabawił się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Dobrze przynajmniej, że rany psychiczne powoli goiły się i zablizniały.

Lanier co sześć miesięcy odbywał seanse z talsitem, żeby zapobiec skutkom skażenia powietrza. Pomimo namów Olmy'ego nie chciał się poddać psychicznemu oczyszczeniu. Był indywidualistą i wolał sam się uporać ze swoimi problemami.

Za kilka miesięcy on i Karen, jeśli uda im się stąd wyrwać, pojedą do Hoffman i Olmy'ego. Może nawet dołączą do nich Larry i Lenore. Uzupełnią tymczasowe implanty nowymi danymi, nowym programem edukacyjnym i będą pracowali z posłem Rosenem Gardnerem i senator Prescient Oyu nad ogromnym zadaniem oczyszczenia atmosfery.

Naderyci wkrótce mieli usłyszeć pierwsze nieśmiałe hasła swojej własnej wiary, które zaczęły się pojawiać na terenach jeszcze nie objętych rekonstrukcją.

Lanier nieczęsto myślał teraz o Drodze i wydarzeniach sprzed paru lat. Miał umysł zbyt zajęty pilniejszymi sprawami.

Od czasu do czasu jednak zamykał na chwilę oczy. A kiedy je otwierał, napotykał promienny uśmiech Karen i przesuwiał dłońmi po jej jasnych włosach.

Nie ma sensu martwić się o tych, którzy są dalej niż dusze zmarłych.

Drugi. Rok Podróży 1181

Olmy stał z rękami założonymi z tyłu w kopule obserwacyjnej Axis Euclid, czekając na Korzeniewskiego. Wspólnie zamierzali przekonać głównego adwokata Ziemian, Ram Kikurę, że nie powinno się zwalniać ocalałych z obowiązku oczyszczenia talsitem. Gromadził w myślach argumenty.

Jeśli Ziemianie nie zostaną oczyszczeni psychicznie i fizycznie, w ciągu paru wieków, jeśli nie wcześniej, niesnaski i kłótnie znowu spowodują podziały. Należało uzdrowić ich mentalność, żeby mogli stawić czoło przyszłości, którą już dla nich budował Nowy Hexamon. Nie było miejsca na archaiczny, chory sposób myślenia sprzed Śmierci.

Olmy nie był pewien, czy zdoła przekonać Ram Kikurę. Przeczytała prace federalistów

i zapoznała się ze starymi sporami dotyczącymi praw konstytucyjnych.

Korzeniowski przyszedł jak zwykle spóźniony. Spędzili razem kilka minut, obserwując przesuujące się w dole kontynenty, morza i chmury. Horyzont nadal był pomarańczowy i szary od pyłu i popiołów utrzymujących się w stratosferze. W przerwach między chmurami widzieli pokryte śniegiem lądy.

– Czy twoja kobieta da nam dzisiaj wycisk? – zapytał Inżynier.

– Bez wątplenia – odparł Olmy. Korzeniowski uśmiechnął się.

– Muszę coś wyznać. Inna młoda kobieta nie dawała mi wczoraj spokoju. Zdaję sobie sprawę, że powinniśmy się skoncentrować na rekonstrukcji, ale chyba rozumiesz, dlaczego moje myśli błądzą.

Olmy skinął głową.

– Chyba się jej nie udało – powiedział Korzeniowski.

– Dotrzeć do domu?

– To bardzo mało prawdopodobne. Rozmyślałem nad teorią Drogi. Nie przestaję zastanawiać się na tych problemach. Niezbyt dobrze rozumieliśmy kwestię zagęszczeń czasoprzestrzeni. Gdy Patricia wygłosiła swoje teorie, wydawały się prawidłowe. Całkiem możliwe, że takie były. Nie do tego jednak stopnia, by zaprowadzić ją do domu.

– Więc gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. – Korzeniowski przyłożył dłoń do skroni. – Czuję wewnętrzny przymus, żeby się tym zajmować.

Nie twierdzą, że się opierani. Teoria jest fascynująca. Rozmyślanie nad nią jest dla mnie jedną z najprzyjemniejszych rzeczy. Może któregoś dnia spróbujemy jeszcze raz.

– Z Ziemi? – zapytał Olmy.

– Mamy jeszcze sześć komór – przypomniał Korzeniowski. – Teraz byłoby to znacznie łatwiejsze. I moglibyśmy zrobić to lepiej.

Olmy nie odpowiadał przez chwilę.

– Być może nie da się tego uniknąć, ale na razie nie wspominajmy o tym przed Nexus.

– Oczywiście – powiedział Korzeniowski. – Po tylu latach jestem bardzo cierpliwy. – Ostre, żywe spojrzenie Inżyniera, przypominające wzrok kota szykującego się do skoku, sprawiło, że Olmy'emu włoski zjeżyły się na karku.

Od lat nic nie wywołało w nim tak atawistycznej reakcji.

– Stoczmy dzielnie walkę z naszym adwokatem – odezwał się Korzeniowski. Odwrócili się od widoku Ziemi, wsiedli do windy i pojechali do sali Nexus, gdzie czekała na nich Ram Kikura.

Trzeci. Paweł Mirski Dziennik Jeśli nie jestem zbyt daleko albo jeśli zaburzenia czasu spowodowane naszą podróżą nie są zbyt trudne do obliczenia, kończę dzisiaj trzydzieści dwa lata.

Osiadłem się w Central City, przejąłem geszelskie zwyczaje. Co tydzień aktualizuję kopie osobowości i każdego dnia poznaję dziesiątki ludzi, chętnych do rozmowy ze mną. I pracuję.

Studiuje historię. Ci, którzy przydzielają pracę, uważają, że moje umiejętności percepcji i zdolności są wyjątkowe i dzięki mnie mogą badać i interpretować przeszłość. Rozeński mi pomaga. Przystosował się znacznie lepiej niż ja i nawet myśli o tym, by w następnym wcieleniu wybrać ciało neomorfa.

Często spotykam się z Josephem Rimską, ale on nadal jest ponury i zubożniały. Sądzę, że tęskni za domem. Chyba podjął niewłaściwą decyzję. Zamierza wkrótce poddać się terapii talsitem, choć zapowiadał to już wcześniej. Beryl Wallace, Amerykanka, rzadko się pokazuje. Została wyznaczona do zespołu obserwacyjnego. To wyjątkowa, bardzo poszukiwana praca, w której ona,

według mnie, spełnia raczej rolę maskotki, ale mogę się mylić. Implanty potrafią zdziałać cuda.

Nigdy nie byłem intelektualistą. Filozofia mnie nudziła. Pytania o ostateczny cel i sens życia wydawały mi się bezsensowne. Nie mam aż tak daleko sięgającej wyobraźni. Wszystko się zmieniło, odkąd dostałem implant. Zrobiłem kilka kolejnych kroków, by stać się innym człowiekiem.

Po osiągnięciu prędkości podświetlonej przelecieliśmy znaczny dystans. Nie sędzę, żeby ktoś się spodziewał tego, co się teraz dzieje. Teoria Drogi jest taka skomplikowana. Nawet ci, którzy ją stworzyli, nie potrafili przewidzieć wszystkich możliwości.

Podróżujemy teraz widmową Droga, której lokalny charakter zmienia się pod wpływem naszego przelotu. Nie ma teraz określonej średnicy ani granic. Obiekty obdarzone masą nie mogą istnieć dalej niż w odległości dwudziestu tysięcy kilometrów od nas. (Trasa, czy też osobliwość, zniknęła trzy miesiące temu. Po prostu wyparowała, emitując cząsteczki nie znane nawet geszelom.)

Dotarliśmy poza superukład zewnętrznych światów, który zawierał w sobie wszystkie nasze linie świata. Nawet gdybyśmy się zatrzymali i otworzyli bramy na zewnątrz, trafilibyśmy na światy bez materii, może nawet bez formy lub porządku. Wątpliwe, czy znaleźlibyśmy choć jedną znajomą rzecz.

Istnieje nieskończona liczba alternatywnych Dróg, z których każda rozpoczyna się od innej linii świata i sięga poza nią. Do tej pory badacze nie wiedzieli, jaki układ tworzą alternatywne Drogi i czy rzeczywiście można je uważać za prawdziwe. Czy w ogóle może istnieć więcej niż jedna Droga, skoro przecina ona liczną grupę alternatywnych linii świata, może wszystkie?

Podróżując z prędkością podświetlną, odpowiedzieliśmy na te pytania i postawiliśmy nowe. Zniekształciliśmy strukturę Drogi w więcej niż czterech wymiarach. Skupiliśmy wszystkie alternatywne Drogi, zamykając je w piątym wymiarze. Granice naszej stały się przezroczyste i możemy obserwować kształty innych Dróg. Możemy wybierać, którą chcemy badać posługując się małymi urządzeniami podobnymi do tych, jakich używali odźwierni. Beryl Wallace zajmuje się teraz obserwacją tych alternatywnych Dróg.

Widzimy – a czasami nawet komunikujemy się z nimi – istoty z innych Dróg.

Istnieje więc nieskończona liczba linii świata i nieskończona liczba połączeń między nimi. Nasi badacze obmyślają sposoby dotarcia do tamtych Dróg, inne superukłady linii świata, ale chociaż mam implanty, trudno mi zrozumieć, o czym dyskutują.

Mogę teraz wiele zrobić. Są Drogi, gdzie istoty należące do tysięcy najróżniejszych gatunków prowadzą handel, wymieniając czasami tylko informacje, a kiedy indziej różne typy czasoprzestrzeni. Czy można sobie wyobrazić potencjał istniejący między dwoma światami o różnych cechach? Czy taki potencjał można by nazwać energią?

Rimskaya, jak zwykle ponury, nawet sporo pomógł badaczom. Uważa, że znalazł definicję informacji: potencjał, który istnieje między wszystkimi wymiarami czasowymi (na przykład, między samym czasem a piątym wymiarem oddzielającym linie świata) a wymiarami przestrzennymi. Tam, gdzie stykają się czas i przestrzeń, jest informacja, a gdzie informacje można wykorzystać, zastosować zdobytą wiedzę, tam jest inteligencja.

Niech ktoś czytający ten dziennik prymitywnego człowieka nie pomyśli, że spędziliśmy czas nurzając się w abstrakcjach. Pozwolę sobie również dodać, że odkrywam bogactwo dostępne dla tych, którzy chcą zmienić swoje główne cechy. Istnieje różnorodność emocji dostępnych dla przekształconego ludzkiego umysłu, sposobów myślenia niemożliwych dla przodków...

Emocja, którą można opisać tylko jako coś pośredniego między miłością fizyczną a radością rozumowania, kochaniem się z myślą? Albo &&, prawdziwa odwrotność bólu, nie „przyjemność”, lecz „ostrzeżenie” o zdrowieniu, wzroście i zmianie. Albo xxx najbardziej skomplikowana emocja

z dotychczas odkrytych, odczuwana przez tych, którzy świadomie wytrzymają zmianę umysłowych konfiguracji i doświadczą szerokiego spektrum możliwości kryjących się w samym akcie myślenia i istnienia.

Ledwo zacząłem smakować różnych odmian ludzkiej miłości. Osobowości tutaj nie zawsze są odrębne. Mogę należeć do wielu zlepków osobowości, a mimo to zachować swoją indywidualność. Nie stracę niczego i zyskani tysiące nowych smaków ludzkiego uczucia.

Czy jest sens mierzyć odległości, które pokonaliśmy? Czy Paweł Mirski musi je zrozumieć? Wkrótce podejmę mocne postanowienie, że zbiorę się na odwagę i dołączę do rozszerzonych osobowości w Pamięci Miasta.

Mimo tylu zajęć nadal płaczę, smucę się z powodu tej części mnie, którą utraciłem, czuję żal i tęsknotę za ziemią, do której nie mogę wrócić, która teraz jest podwójnie niedostępna. Ale szloch tkwi we mnie głęboko, gdzie nie może dotrzeć talsit. Może to jest zmagazynowane w obszarze mózgu, którego nie wolno modyfikować, znanym jako Tajemnica. O ironio, dlatego nadal czuję się Rosjaninem i jak długo będzie istniała jakaś częśćka mnie, będę Rosjaninem!

Ponieważ dzielę tajemnicę z Pawłem Mirskim, mam poczucie ciągłości, czuję...

Tęsknotę do gwiazd, tak, ale jeszcze coś więcej.

Gdy byłem dzieckiem w Kijowie (to jeden z okruców pamięci), zapytałem kiedyś ojczyma, jak długo będą żyli ludzie, kiedy nastanie Raj dla Robotników. Był technikiem komputerowym, obdarzonym wyobraźnią.

– Może tak długo, jak będą chcieli. Może miliard lat – powiedział...

– Ile to jest miliard lat? – zapytałem.

– To bardzo długo – odparł. – Wiek, wieczność, czas wystarczający, żeby powstało i skończyło się wszelkie życie. Niektórzy ludzie nazywają to eonem.

Później dowiedziałem się, że w geologii eon to rzeczywiście miliard lat. Jednak Grecy, którzy wymyślili to słowo, nie byli tak dokładni. Używali go do określania wieczności, czasu życia wszechświata, znacznie dłuższego niż miliard lat. Była to również personifikacja boskiego cyklu czasu.

Przeżyłem Raj Robotników. Przeżyłem koniec swojego świata i mogę jeszcze przeżyć niezliczenie wiele innych światów.

Drogi ojczymie, wygląda na to, że przeżyję samych bogów...

Prawdziwy eon.

Tyle mam do nauczenia się i tyle zmian do wprowadzenia. Każdego dnia oddycham głęboko, podsumowuję swoje życie i uświadamiam sobie, jakimi jesteśmy szczęściami. (Gdybym tylko zdołał przekonać Rinską! Smutny człowiek.)

Jestem wolny.

Czwarty. Egipt Rok Aleksandrosa 2323

Młoda królowa Kleopatra XXI spędziła właśnie długie nudne cztery godziny, słuchając pogmatwanych zeznań pięciu skazanych na ostracyzm kongresmanów z Oxyrrhynkos Nomes Boule Jej najbardziej zaufany doradca doszedł do wniosku, że ich skargi nie mają podstawy prawnej, więc odprawiła ich surowym uśmiechem i ostrzegła, żeby nie udawali się ze swoimi żalami do innego państwa, gdyż zostaną wypędzeni z Alexandrian Oikoumene i będą musieli przejść przez ziemie barbarzyńców albo, jeszcze gorzej, przez Lacjum.

Trzy razy w tygodniu Kleopatra rozpatrywała skargi wybrane spośród tysięcy spraw przez jej doradców. Wiedziała, że zostały wcześniej rozstrzygnięte i że chodzi tylko o formalność. Nie podobały się jej ograniczenia władzy narzucone poprzednikom przez Oikoumenical Boule, ale alternatywą było

wygnanie, a wypędzona osiemnastoletnia królowa nie miała do wyboru wielu miejsc, do których mogłaby się udać. Jakże wszystko się zmieniło w ciągu ostatnich pięciuset lat!

Kleopatra czekała jednak z niecierpliwością na następnego gościa. Słyszała wiele o kapłance i sophe z Hypatejenu na Rodos. Kobieta była legendą, nie tylko ze względu na historie, przybycia do Oikoumene, ale ze względu na swoje dokonania z ostatniego półwiecza. Mimo to królowa i kapłanka nie spotkały się jeszcze.

Sophe Patrikia odleciała z Rodos dwa dni wcześniej, wylądowała na lotnisku Rakotis na zachód od Aleksandrii i do czasu audiencji zajęła rezydencję w Mouseijon przeznaczoną dla uprzywilejowanych osób. W ciągu tych dwóch dni sophe zebrano na dwie obowiązkowe wycieczki do piramid Aleksandrosa i do Diadochoi, żeby pokazać jej (jakie to męczące, pomyślała Kleopatra) owinięte w złote zawoje mumie założycieli Aleksandrian Oikoumene, a następnie grobowce sukcesorów. Mówiono, że sophe dobrze zniosła wycieczkę, a kilka jej uwag zapisano, żeby później rozgłosić je w osiemdziesięciu pięciu nomos Oikoumene.

Przybyli heroldowie, głosząc, że sophe jest już na Cyplu Lokhiasa i wkrótce przybędzie do królewskiej rezydencji. Doradcy opróżnili dwór, a Kleopatrze obkoczyły muchy, jak nazywała szambelanów i pokojówki, które wytarły jej pot z czoła, przypudrowały policzki i nos, ułożyły fałdy szaty. Po drugiej stronie dziedzińca ukryta w półcieniu stała królewska straż. Gdy gwardziści rozdzielili się, stając po obu stronach portalu, Kleopatra przybrała Postawę, żeby przywitać sophe.

Heroldowie przystąpili do męczącego rytuału.

Był 4 Sóthis, starego stylu, 27 Archimedes, nowego stylu.

Kleopatra siedziała cierpliwie na tronie wykonanym z cedru pochodzącego ze sprawiającej duże kłopoty hierarchii Judei, czasami nazywanej Nową Fenicją. Z pucharu wyprodukowanego w Metascytii popijała iskrzącą się wodę z Galii. W ten sposób co dzień korzystała z dóbr pochodzących z różnych nomos i zaprzyjaźnionych państw. Wiedziała, że poczują się zaszczycone, a lud będzie dumny, że służy najstarszemu z imperiów, Aleksandrian Oikoumene. Dobrze będzie, jeśli sophe zobaczy, że Kleopatra wypełnia swoje obowiązki, bo po prawdzie młoda królowa niewiele miała do roboty. Naprawdę ważne decyzje podejmowały Boule i Rada Wybranych Mówców.

Wielkie brązowe drzwi Theotokopolos otworzyły się szeroko i ruszyła procesja. Kleopatra zignorowała szybko powiększający się tłum dworzan, szambelanów i drobnych polityków. Wzrokiem pobięła natychmiast ku sophe Patrikii, która wchodziła do sali podtrzymywana przez dwóch synów w średnim wieku.

Kapłanka miała na sobie szatę z czarnego chińskiego jedwabiu, prostą i elegancką. Na jednej piersi widniała gwiazda, na drugiej księżyc. Jej włosy były długie, gęste i ciemne. Mimo że Patrikia skończyła siedemdziesiąt cztery lata, jej twarz wyglądała młodo. Wyróżniały się w niej duże, czarne, przenikliwe oczy. Kleopatra spojrzała w nie z obawą. Wydawały się niebezpieczne, prowokujące.

– Witaj – przemówiła, celowo rezygnując z ceremonialnego powitania. – Siadaj, proszę. Mamy wiele rzeczy do omówienia.

– O tak, moja piękna królowo – powiedziała sophe, uwalniając się z rąk synów. Podeszła zwawym krokiem do tronu, jedną ręką unosząc długi tren szaty. Niewątpliwie trzymała synów w świątyni nie dla własnego, lecz ich dobra. W obecnych czasach niełatwo było znaleźć pracę w Oikoumene.

Patrikia usiadła na wyściełanym krześle w pewnej odległości od tronu królowej i spojrzała na Kleopatrze roziskrzonymi oczami.

– Doniesiono mi, że przywiozłaś niektóre ze swoich cudownych instrumentów

i zademonstrujesz mi je – powiedziała Kleopatra.

– Jeśli mogę...?

– Oczywiście.

Patrikia skinęła dłonią i dwaj studenci z Hypatejonu przynieśli dużą drewnianą skrzynkę. Kleopatra rozpoznała drewno: klon z Nea Karkhedon po drugiej stronie Atlantyku. Była ciekawa, jak przebiega tam rewolucja. Niewiele wieści docierało z objętych blokadą terytoriów.

Kapłanka kazała postawić skrzynkę na okrągłym stoliku z mosiądzu.

– Czy wasza Imperiał Hypselotes zna moją historię? Kleopatra skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Spadłaś z nieba, ścigana przez złą gwiazdę. Nie urodziłaś się na tej Gai.

– I przywiozłam ze sobą...? – ponagliła Patrikia, jakby była jednym z nauczycieli Kleopatry. Królowa nie obraziła się. Lubiła się uczyć. Większość czasu spędzała w sali szkolnej, poznając swoje królestwo, ucząc się języków.

– Przywiozłaś wspaniałe instrumenty, które nie mają odpowiedników w naszym świecie. Tak, te historie są bardzo znane.

– Więc teraz opowiem ci o rzeczach, o których wiem tylko ja sama – oświadczyła Patrikia. Rozejrzała się po sali i wróciła spojrzeniem do młodej królowej. Kleopatra zrozumiała i skinęła głową.

– To będzie prywatna audiencja. Zrobimy przerwę i spotkamy się w moich pokojach.

Dwór szybko odprawiono. Kleopatra bezceremonialnie zrzuciła ciężkie szaty i na ramiona zarzuciła tylko lekką byssos. W towarzystwie dwóch strażników i dwóch synów sophe udały się do pokojów królowej. Czekały na nich tace z przepiórkami i kryształowe puchary wina z Kos. Sophe jadła razem z królową, co było bardzo rzadkim przywilejem.

Na koniec uczyły Kleopatra i Patrikia ułożyły się wygodnie na poduszkach w rogu komnaty. Szambelanowie zaciągnęli wokół nich zasłony.

Dopiero wtedy Patrikia otworzyła wieko drewnianej skrzynki. W środku, na grubym purpurowym filcu – filc pochodził z Pridden, a barwnik z Judei – spoczywał srebrno-szklany płaski przedmiot wielkości dłoni, drugi mniejszy i trzeci w kształcie siodła z wystającymi uchwytyami.

Te przedmioty były niemal równie sławne jak Skarb generała Ptolemajosa Sotera, szczególnie wśród uczonych i filozofów. Niewielu je widziało, nawet matka i ojciec królowej. Kleopatra przyglądała się im z wyraźną ciekawością.

– Mów, proszę.

– Tym – Patrikia wskazała na płaski przedmiot – mogę zmierzyć cechy czasu i przestrzeni. Lata temu, kiedy po śmierci mojego męża znalazłam schronienie w Hypatejonie, tamtejszy tekhnai zrobił mi nowe baterie i urządzenie znowu działa.

– Muszę ich pochwalić – stwierdziła Kleopatra. Patrikia uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby to był drobiazg.

– Filozofia i technika w waszym świecie nie są tak zaawansowane jak w moim, choć bardzo zbliżone. Macie jednak wielu wspaniałych matematyków i astronomów. Zrobiłam postępy w pracy.

– Tak?

– I... – Patrikia wyjęła ze skrzynki przedmiot z dwoma uchwytyami – ...dzięki temu instrumentowi wiem, kiedy ktoś próbuje wejść do naszego świata, tej Gai. On mnie ostrzega.

– Spełnia jeszcze jakiś inny cel? – zapytała Kleopatra, świadoma, że to ją przerasta.

– Nie. Nie teraz, nie tutaj.

Ku swemu zdumieniu królowa dostrzegła, że stara kapłanka ma łzy w oczach.

– Nigdy nie zrezygnowałam ze swojego marzenia – powiedziała Patrikia. – I nigdy nie porzuciłam nadziei. Starzeję się jednak, Imperiał Hypselotes, i moje zmysły nie są już tak wyostrzone... – Usiadła, wzdychając głęboko. – Jednak tym razem jestem pewna. Odebrałam od tego urzędnika znaki.

– Jakie znaki?

– Moja królowo, otworzono przejście do naszego świata. Nie wiem gdzie i dlaczego. To urządzenie czuje jego obecność i ja również. Gdzieś na Gai, moja królowo. Zanim umrę, chciałabym znaleźć to przejście i przekonać się, czy istnieje choćby najmniejsza szansa, bym mogła spełnić swoje marzenie...

– Przejście? Co masz na myśli?

– Bramę do miejsca, z którego przyszłam. Może znowu otworzyli moją bramę. Albo... ktoś stworzył zupełnie nową drogę do gwiazd.

Kleopatra nagle się zaniepokoiła. Odezwały się w niej instynkty stu dwudziestu pokoleń dynastii macedońskiej.

– Czy w twoim świecie ludzie są spokojni i mają dobrą wolę? – spytała.

Spojrzenie kapłanki na chwilę się zamgliło.

– Nie wiem. Prawdopodobnie tak. Ale proszę królową, żeby znalazła to miejsce, tę bramę wszelkimi dostępnymi środkami...

Kleopatra zmarszczyła brwi i pochyliła się do przodu, żeby z bliska przyjrzeć się twarzy kapłanki. Następnie ujęła jedną z wysuszonych dłoni sophe.

– Czy nasz kraj będzie miał jakieś korzyści z tej bramy?

– Prawie na pewno – odparła Patrikia – Te urządzenia są drobnym przykładem cudów, które mogą się znajdować po drugiej stronie przejścia.

Kleopatra zastanawiała się przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Oikuomene borykała się z wieloma problemami. Według doradców, niektóre z nich były typowymi, nie do przezwyciężenia, problemami starej cywilizacji mającej się ku schyłkowi. Nie wierzyła w to, nie do końca, ale sama myśl ją przerażała. Nawet w epoce samolotów i radia muszą istnieć inne rzeczy, inne cuda, które uratują ich od kłopotów.

– Czy to jest brama do innych terytoriów, gdzie moglibyśmy rozszerzyć handel i nauczyć się nowych rzeczy?

Patrikia uśmiechnęła się.

– Szybko pojmujesz, moja królowo.

– Więc będziemy szukać. Rozkażę, by do poszukiwań przyłączyły się wszystkie sojusznicze kraje i imperia.

– To może być bardzo małe – uprzedziła kapłanka. – Może to tylko brama próbna, o niewielkiej średnicy równej długości ramienia mężczyzny.

– Nasi poszukiwacze będą bardzo dokładni – zapewniła Kleopatra. – Pod twoim kierunkiem znajdą tę bramę.

Patrikia zerknęła na nią z niemal zuchwałą podejrzliwością. – Od dawna ludzie uważają mnie za szaloną starą kobietę, pomimo tych cudów – powiedziała, kładąc dłoń na skrzyńce. – Wierzysz mi?

– Tak, na moje dziedzictwo królowej Egiptu Aleksandryjskiego i dynastii macedońskiej – zapewniła Kleopatra. Chciała wierzyć kapłance. Życie na dworze było bardzo nudne w ostatnich latach. A królowa rzeczywiście miała zdolności i wyczucie polityczne, zwłaszcza jeśli chodziło o dobro państwa. Będzie mogła wykorzystać te poszukiwania.

– Dziękuję – rzekła Patrikia. – Mój mąż nigdy mi naprawdę nie wierzył. Był dobrym człowiekiem, hodowcą ryb. Ale martwił się o mnie i mówił, że powinnam żyć tylko tym życiem, a nie marzyć o innych...

– Nienawidzę ograniczeń – wybuchnęła Kleopatra. – Co zrobisz, jeśli znajdziesz to przejście?

Oczy Patrikii rozszerzyły się.

– Pójdę do domu – odparła. – Nareszcie pójdę do domu, choćby miało się to okazać daremne.

– Mam nadzieję, że nie wcześniej, niż skończysz swoją pracę.

– To jest najważniejsze.

– Dobrze. Więc niech tak będzie.

Kleopatra wezwała doradców, przykazała im surowo, że jest to dekret królewski nie podlegający dyskusji, i wydała rozkaz rozpoczęcia poszukiwań.

– Dziękuję, moja Imperial Hypselotes – powiedziała kapłanka, gdy spacerem wracały na dwór. Kleopatra patrzyła, jak Patrikia wychodzi przez wrota Theotokopolos, wracając do Hypatejonu do czasu rozpoczęcia poszukiwań. Królowa zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić...

Dom starej kobiety. Skąd mogła pochodzić ta kobieta? Z miejsca o błyszczących wieżach i potężnych fortecach, gdzie ludzie przypominają bogów lub diabły. Tylko w podobnym miejscu mogła się narodzić taka mała dzielna sophe.

– Jakie to dziwne – mruknęła Kleopatra, siadając na tronie. Ciężkie szaty miała znowu udrapowane wokół ramion. Poczowała dreszcz. – Jakie wspaniałe...

Spis treści

[Prolog: 3](#)

[1. 17](#)

[2. 22](#)

[3. 28](#)

[4. 46](#)

[5. 53](#)

[6. 58](#)

[7. 61](#)

[8. 70](#)

[9. 74](#)

[10. 77](#)

[11. 85](#)

[12. 93](#)

[13. 100](#)

[14. 111](#)

[15. 118](#)

[16. 119](#)

[17. 123](#)

[18. 126](#)

[19. 130](#)

[20. 133](#)

[21. 136](#)

[22. 138](#)

[23. 144](#)

[24. 149](#)

[25. 150](#)

[26. 153](#)

[27. 157](#)

[28. 160](#)

[29. 163](#)

[30. 165](#)

[31. 173](#)

[32. 178](#)

[33. 189](#)

[34. 193](#)

[35. 201](#)

[36. 204](#)

[37. 208](#)

[38. 211](#)

[39. 214](#)

[40. 218](#)

[41. 222](#)

[42. 225](#)
[43. 232](#)
[44. 234](#)
[45. 241](#)
[46. 243](#)
[47. 246](#)
[48. 249](#)
[49. 254](#)
[50. 258](#)
[51. 263](#)
[52. 265](#)
[53. 269](#)
[54. 271](#)
[55. 280](#)
[56. 283](#)
[57. 288](#)
[58. 302](#)
[59. 313](#)
[60. 320](#)
[61. 332](#)
[62. 336](#)
[63. 350](#)
[64. 354](#)
[65. 362](#)
[Epilog. 365](#)